

GWIAZDA ZAPALNA



III TOM
CYKLU
„CZERWONY
ŚWIT”

PIERCE
BROWN

Autor
*Czerwonego Świtu
i Złotego syna*

Pierce Brown

GWIAZDA ZARANNA

Przełożyli
Małgorzata Strzelec
i Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2024

Spis treści

Mapa

Wcześniej...

Czerwony świt

Złoty syn

Dramatis personæ

Część I

1. Tylko ciemność
2. Więzień L17L6363
3. Ukąszenie węża
4. Cella 2187
5. Plan C
6. Ofiary
7. Trzmiele
8. Dom
9. Miasto Aresa
10. Wojna
11. Moi ludzie
12. Julii

Część II

13. Wyjce
14. Wampirzy księżyc
15. Polowanie
16. Kochanek
17. Zabijanie Złotych
18. Otchłań
19. Ciśnienie
20. Sprzeciw
21. Żywe Srebro
22. Brzemię Aresa
23. Przypływ
24. *Hic sunt leones*
25. Exodus
26. Lód
27. Zatoka śmiechu
28. Uczta
29. Myśliwi
30. Milcząca
31. Bładolica królowa

- 32. Ziemia niczyja
- 33. Bogowie i ludzie
- 34. Bogobójcy

Część III

- 35. Światło
- 36. Gorzała
- 37. Ostatni orzeł
- 38. Rachunek
- 39. Serce
- 40. Morze Żółte
- 41. Władca Księżyca
- 42. Poeta
- 43. Znowu
- 44. Szczęściarze
- 45. Bitwa o Ilion
- 46. Piekłonurek
- 47. Piekło
- 48. Imperator
- 49. Kolos

Część IV

- 50. Grom i błyskawica
- 51. Pandora
- 52. Zęby
- 53. Cisza
- 54. Goblin i Złoty
- 55. Nikczemny ród Barca
- 56. W czasie
- 57. Luna
- 58. Gasnące światło
- 59. Lew Marsa
- 60. Smocza Gardziel
- 61. Czerwony
- 62. *Omnis vir lupus*
- 63. Milczenie
- 64. Bądź pozdrowiona
- 65. Dolina

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Morning Star*

Copyright © 2016 by Pierce Brown

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Alicja Laskowska

Korekta: Magdalena Górnicka, MAQ PROJECTS

Schematy: © 2015 Joel Daniel Phillips

Ilustracja na okładce: David G. Stevenson

Projekt okładki: Faceout Studio i David G. Stevenson

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński, Dark Crayon

ISBN 978-83-68240-83-2

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

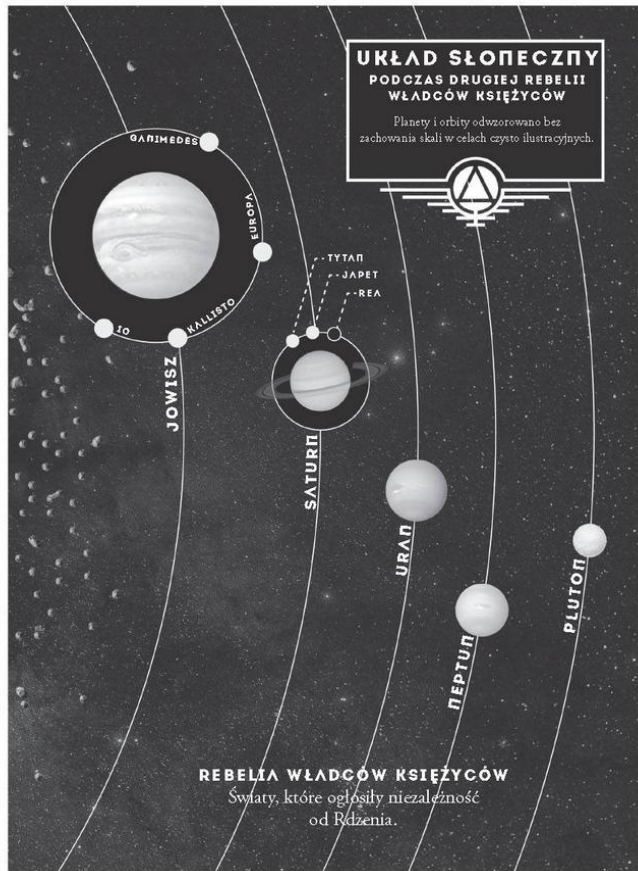
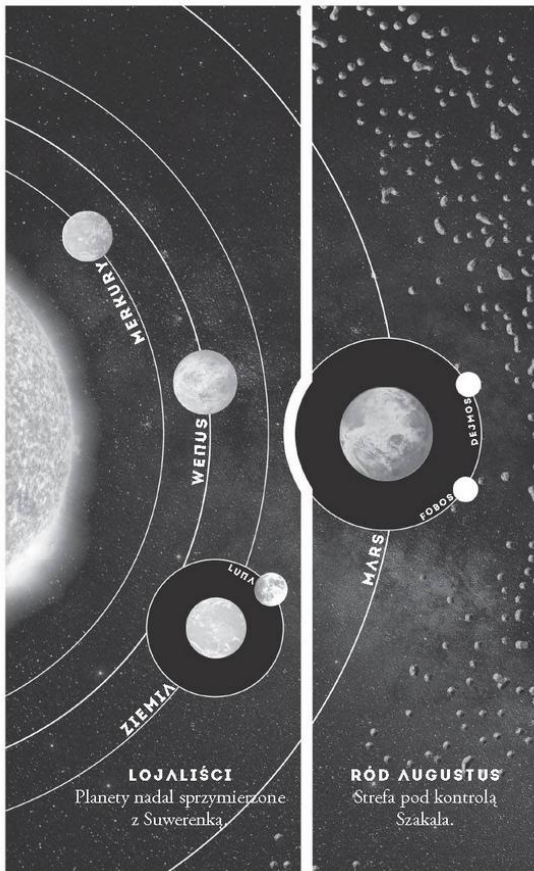
05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Siostrze, która nauczyła mnie słuchać.



Wcześniej...

Czerwony świt

Darrow jest Czerwonym, skromnym górnikiem harującym pod powierzchnią Marsa. Trudzi się, żeby jego planeta nadawała się do zamieszkania dla przyszłych pokoleń, ale on i jego rodzaj zostali zdradzeni: Mars jest już zdatny do życia i władają nim pozbawieni wszelkich skrupułów Złoci. Kiedy wieszają jego żonę za głoszenie buntowniczych idei, Darrow dołącza do grupy rewolucjonistów znanych jako Synowie Aresa. Z ich pomocą zostaje przeistoczony fizycznie w Złotego i wysłany, żeby zniszczył Wspólnotę od środka.

Wstępuje do Instytutu, szkoły dla elity Złotych, która zmienia rozpuszczonych nastolatków w najlepszych wojowników Wspólnoty. Tam uczy się sztuki wojennej i lawirowania po niebezpiecznych wodach zdradzieckich (a niekiedy całkiem szczerych) przyjaźni oraz skomplikowanych politycznych rozgrywek Złotych. Tylko dzięki zmianie paradygmatu i wsparciu nowych przyjaciół Darrow jest w stanie pokonać Instytut z jego wszystkimi niebezpieczeństwami.

Złoty syn

Dzięki zwycięstwu w Instytucie Darrow zdobywa prestiżową pozycję w świecie arcygubernatora Marsa, Nero au Augustusa. Przekonuje się jednak, że trudno dorosnąć do własnej legendy, gdy nie odnosi sukcesu w Akademii, gdzie Złoci trenują walkę na okrętach wojennych w kosmosie. Kiedy zostaje pokonany przez rywalizujący z jego pracodawcą ród, jego wartość szybko maleje w oczach arcygubernatora, dopóki Darrow nie da żadnemu władzy Złotemu tego, czego chce: wojny domowej.

Rozgrywając rodzinę Augustus przeciwko rodzinie Bellona, Darrow wpędza Wspólnotę w zamęt, siejąc nasiona chaosu wszędzie, gdzie się da. Zgromadziwszy potężną armię i kilku wątpliwych sojuszników, przypuszcza udany atak na Marsa i pozbawia ród Bellona kontroli nad planetą. Jednak podczas Triumfu urządzonego z okazji jego zwycięstwa zdrada znowu podnosi swój paskudny łeb i wszystko, na co pracował, obraca się w niwecz. Jego przyjaciele i sojusznicy zostają zabici albo przepadają bez wieści, on sam zostaje pojmany, a jego prawdziwa tożsamość – ujawniona. Losy rebelii zawisły na włosku...

Dramatis personæ

Złoci

Octavia au Lune – aktualna Suwerenka Wspólnoty
Lysander au Lune – wnuk Octavii, dziedzic rodziny Lune
Adrius au Augustus – arcygubernator Marsa, brat bliźniak Virginii
Virginia au Augustus/Mustang – siostra bliźniaczka Adriusa
Magnus au Grimmus/Pan Popiołów – arcyimperator Suwerenki, ojciec Ai
Aja au Grimmus – Rycerz Zmiany, główna ochroniarka Suwerenki
Cassius au Bellona – Rycerz Poranka, ochroniarz Suwerenki
Roque au Fabii – imperator armady Miecz
Antonia au Severus-Julii – przyrodnia siostra Victry, córka Agrippiny
Victra au Julii – przyrodnia siostra Antonii, córka Agrippiny
Kavax au Telemanus – głowa rodziny Telemanus, ojciec Daxo
Daxo au Telemanus – dziedzic i syn Kavaxa, brat Paxa
Romulus au Raa – głowa rodziny Raa, arcygubernator Io
Lilath au Faran – towarzyszką Szakala, przywódczyni Kościarzy
Cyriana au Tanus/Oset – dawny Wyjec, teraz przyboczna z Kościarzy
Vixus au Sarna – były członek Domu Marsa, przyboczny z Kościarzy

ŚródKolory i PodKolory

Trigg ti Nakamura – legionista, brat Holiday, Szary
Holiday ti Nakamura – legionistka, siostra Trigga, Szara
Regulus ag Sun/Żywe Srebro – najbogatszy człowiek we Wspólnocie, Srebrny
Alia Śnieżna Wróblica – królowa Walkirii, matka Ragnara i Sefi, Obsydianowa
Sefi Milcząca – przywódczyni Walkirii, córka Alii, siostra Ragnara

Orion x Aquarii – kapitan statku, Niebieska

Synowie Aresa

Darrow z Lykos/Żniwiarz – były lansjer domu Augustus, Czerwony

Sevro au Barca/Goblin – Wyjec, Żółty

Ragnar Volarus – nowy Wyjec, Obsydianowy

Dancer – przyboczny Aresa, Czerwony

Mickey – Rzeźbiarz, Fioletowy

Wznoszę się w ciemność, oddalam od ogrodu podlanego krwią moich przyjaciół. Złoty mężczyzna, który zabił moją żonę, leży martwy obok mnie na zimnym metalowym pokładzie; pozbawił go życia jego własny syn.

Jesienny wiatr targa mi włosy. Statek dudni pode mną. W oddali płomień wywołane przez tarcie rozrywają noc jasnym pomarańczem. Telemanusowie schodzą z orbity, pędzą mi na ratunek. Lepiej, żeby tego nie robili. Lepiej, żeby zagarnęła mnie ciemność i niech sępy kłóć się nad moim sparaliżowanym ciałem.

Głosy moich wrogów niosą się echem za moimi plecami. Wysokie demony z twarzami aniołów. Najmniejszy z nich pochyła się. Głaszcze mnie po głowie, patrząc na swojego martwego ojca.

– Ta historia zawsze miała się tak zakończyć – mówi do mnie. – Nie twoim krzykiem, nie twoją furją, lecz twoim milczeniem.

Roque, mój zdrajca, siedzi w kącie. Był moim przyjacielem. Miał za dobre serce jak na swój Kolor. Teraz odwraca głowę i widzę jego łzy. Nie są jednak przeznaczone dla mnie. To łzy za tych, których utracił. Za tych, których mu odebrałem.

– Żaden Ares cię nie uratuje. Żadna Mustang cię nie pokocha. Jesteś sam, Darrow. – Oczy Szakala są spokojne i zapatrzone w dal. – Jak ja. – Podnosi czarną, pozbawioną otworów na oczy maskę z kagańcem i zapina mi ją na twarzy. Pozbawia mnie wzroku. – Oto jak to się kończy.

Żeby mnie złamać, zabił tych, których kocham.

Jednak wciąż jest nadzieja w tych, którzy żyją. W Sevro. W Ragnarze i Dancerze. Myślę o wszystkich moich ludziach zniewolonych w ciemności. O wszystkich Kolorach na wszystkich światach, zakutych i spętanych łańcuchami, żeby Złoci mogli rządzić, i wściekłość płonie w mrocznej dziurze, którą Szakal wyciął w mojej duszy. Nie jestem sam. Nie jestem jego ofiarą.

Dlatego pozwolę, żeby zrobił ze mną, co zechce. Jestem Żniwiarzem.

Znam cierpienie.

Znam ciemność.

To jeszcze nie koniec tej historii.

Część I

Ciernie

Per aspera ad astra.

1

Tylko ciemność

Głęboko w ciemności, z dala od ciepła, słońca i księżyców, leżę cichy jak kamień, który mnie otacza i więzi moje zgarbione ciało w swoim straszliwym łonie. Nie mogę stanąć na nogi. Nie mogę się przeciągnąć. Mogę jedynie zwijać się w kłębek, zasuszone szczątki, skamielina człowieka, jakim byłem. Ręce mam skute za plecami. Leżę nagi na zimnym kamieniu.

Całkiem sam w ciemności.

Mam wrażenie, że minęły miesiące, lata, tysiąclecia, odkąd zginałem kolana, odkąd nie wyginałem kręgosłupa w tej skrzywionej pozie. Ból doprowadza mnie do szaleństwa. Moje stawy zapiekły się jak zardzewiałe żelazo. Ile czasu upłynęło, odkąd widziałem moich Żółtych przyjaciół wykrwawiających się na trawie? Odkąd Roque złożył na moim policzku pocałunek, łamiąc mi jednocześnie serce?

Czas nie jest rzeką.

Nie tutaj.

W tym grobie czas jest z kamienia. Jest ciemnością, stałą i nieustępliwą, a jego jedyną miarą są dwa wahadła życia: oddech i bicie mojego serca.

Wdech. *Ba-bach. Ba-bach.*

Wydech. *Ba-bach. Ba-bach.*

Wdech. *Ba-bach. Ba-bach.*

I tak w nieskończoność. Aż do... kiedy? Aż umrę ze starości? Roztrzaskam sobie czaszkę o kamień? Przegryzę wprowadzone przez Żółtych do jelit rurki, którymi otrzymuję składniki odżywcze i którymi odprowadzane są odchody?

Czy może do chwili, kiedy oszalejesz?

– Nie. – Zgrzytam zębami.

Oooo tak.

– To tylko ciemność.

Nabieram powietrza. Uspokajam się. Dotykam ścian w sposób, który mnie koi. Plecami. Palcami rąk, piętami, palcami stóp, głową. Powtórka. Tuzin razy. Sto razy. Niech będzie tysiąc.

Tak. Jestem sam.

Pomyślałbym, że są gorsze rzeczy niż to, ale teraz już wiem, że nie ma. Człowiek nie jest samotną wyspą. Potrzebujemy tych, którzy nas kochają. Potrzebujemy tych, którzy nas nienawidzą. Potrzebujemy innych, żeby kotwiczyli nas w naszym życiu, dawali nam powód do istnienia, do czucia. Ja mam tylko ciemność. Czasem krzyczę. Czasem śmieję się nocą, czasem za dnia. Kto to teraz wie? Śmieję się, żeby zabić czas, żeby zużyć kalorie, których dostarcza mi Szakal, żeby moje ciało z drżeniem pogrążyło się we śnie.

Czasem też płaczę. Nuczę. Gwizdzę.

Słucham głosów dobiegających z góry. Napływają do mnie z nieskończonego morza ciemności. Towarzyszy im przyprawiający o szaleństwo brzęk łańcuchów i kości wibrujący w ścianach mojego więzienia. Rozlegają się tak blisko, a jednak są odległe o tysiąc kilometrów, jakby cały świat istniał tuż poza ciemnością, a ja nie mogę go zobaczyć, dotknąć, poczuć, posmakować, nie mogę przebić tej zasłony i znów stać się jego częścią. Tkwię uwieczony w samotności.

Słyszę głosy w tej chwili. Brzęk łańcuchów i klekot kości sączą się przez moje więzienie.

Czy to moje głosy?

Śmieję się na tę myśl.

Przeklinam.

Knuję. *Zabij.*

Wymorduj. Wyłup. Rozerwij. Spal.

Błagam. Mam przywidzenia. Targuję się.

Skowyczę modlitwy do Eo, szczęśliwy, że oszczędzono jej takiego losu.

Ona nie słucha.

Śpiewam ballady z dzieciństwa i recytuję *Umierającą Ziemię*, *The Lamplighter*, *Ramajanę*, *Odyseję* w grece i łacinie, a potem w utraconych językach: arabskim, angielskim, chińskim, niemieckim, sięgając do wspomnień z infoNośników, które dał mi Matteo, kiedy byłem ledwie chłopcem. Szukam wsparcia u zbłąkanego Greka, który pragnął tylko znaleźć drogę do domu.

Zapomniałeś, co zrobił.

Odyseusz był bohaterem. Pokonał mury Troi za pomocą drewnianego konia. Tak jak ja pokonałem armie Bellony za pomocą Żelaznego Deszczu, który spadł na Marsa.

A potem...

– Nie – warczę. – Zamilcz.

...jego ludzie weszli do Troi. Znaleźli matki. Znaleźli dzieci. I zgadnij, co zrobili?

– Zamknij się!

Wiesz, co zrobili. Kość. Pot. Ciało. Popiół. Chłosta. Krew.

Ciemność chichocze z radości.

Żniwiarzu, Żniwiarzu, Żniwiarzu... Wszystkie czyny, które pozostają zapamiętane, są spisane krwią.

Czy ja śnię? Czy to jawa? Zatraciłem się. Wszystko zlewa się ze sobą, topi mnie w wizjach, szeptach i dźwiękach. Raz za razem szarpie za wątłe kostki nóg Eo. Roztrzaskuję twarz Julianowi. Słyszę, jak Pax, Quinn, Tactus, Lorn i Victra wydają ostatnie tchnienie. Tak wiele bólu. I po co? Żeby zawieść moją żonę. Moich ludzi.

Aresa też. I przyjaciół.

Ilu jeszcze zostało?

Sevro? Ragnar?

Mustang?

Mustang. A jeśli ona wie, że tu jesteś... A jeśli po prostu jej to nie obchodzi... Bo dlaczego miałoby ją to obchodzić? To ty zdradziłeś. To ty kłamałeś. To ty posłużyłeś się jej umysłem. Jej ciałem. Jej krwią. Pokazałeś jej swoją prawdziwą twarz, więc uciekła. A jeżeli to jej robota? Może to ona cię zdradziła? Mógłbyś ją wtedy kochać?

– Zamknij się! – krzyczę na siebie, na ciemność.

Nie myśl o niej. Nie myśl o niej.

Dlaczego masz o niej nie myśleć? Przecież za nią tęsknisz.

Jej obraz pojawia się w ciemności, tak jak pojawił się wiele razy wcześniej – dziewczyna odjeżdżająca ode mnie konno po zielonym polu obraca się w siodle i ze śmiechem woła, żebym za nią ruszył. Jej włosy falują jak złote źdźbła pszenicy, które wiatr porywa z wozu farmera.

Łakniesz jej. Kochasz ją. Złotą dziewczynę. Zapomnij o tamtej Czerwonej suce.

– Nie. – Walę głową w ścianę. – To tylko ciemność – szepczę.

Tylko ciemność płatająca figle mojemu umysłowi. Mimo to próbuję zapomnieć Mustang, Eo. Nie ma świata poza tym miejscem. Nie mogę tęsknić za czymś, co nie istnieje.

Ciepła krew spływa mi po czole ze starych strupów, teraz świeżo zdarłych. Kapie mi z nosa. Wyciągam język, macam kamień, aż natrafię na krople. Rozkoszuję się solą, marsjańskim żelazem. Powoli. Powoli. Niech nowość tego wrażenia trwa. Niech smak pozostanie dłużej i przypomni mi, że jestem człowiekiem. Czerwonym z Lykos. Piekłonurkiem.

Nie. Nie jesteś. Jesteś niczym. Żona cię porzuciła i ukradła wasze dziecko. Twoja dziwka odwróciła się od ciebie. Nie byłeś dość dobry. Byłeś zbyt dumny. Za głupi. Zbyt nikczemny. I teraz o tobie zapomniano.

Tak?

Kiedy ostatnim razem widziałem Złotą dziewczynę, klęczałem obok Ragnara w tunelach Lykos, prosząc ją, żeby zdradziła własny lud i poszukała w życiu czegoś więcej, dla czego warto trwać. Wiedziałem, że jeśli zdecyduje się dołączyć do nas, marzenie Eo będzie mogło rozkwitnąć. Lepszy świat był na wyciągnięcie ręki. A zamiast tego ona odeszła. Czy mogła o mnie zapomnieć? Czy miłość do mnie ją opuściła?

Kochała tylko twoją maskę.

– To tylko ciemność. Tylko ciemność. Tylko ciemność – mamrocze coraz szybciej.

Nie powinno mnie tu być.

Powinienem nie żyć. Po śmierci Lorna miałem trafić do Octavii, żeby jej Rzeźbiarze przeprowadzili sekcję zwłok i odkryli sekrety tego, jak stałem się Złotym; żeby przekonali się, czy mogą istnieć inni tacy jak ja. Jednak Szakał dobił targu. Zatrzymał mnie dla siebie. Torturował mnie w swojej posiadłości w Attyce, wypytyując o Synów Aresa, o Lykos i moją rodzinę. Nie powiedział mi, jak odkrył mój sekret. Błagałem, żeby zakończył moje życie.

A na koniec dał mi kamień.

– Kiedy wszystko przepadnie, honor żąda śmierci – powiedział mi kiedyś Roque. – To szlachetny koniec.

Ale co wie o śmierci bogaty poeta? Biedni znają śmierć. Niewolnicy znają śmierć. I chociaż jej pragnę, to się jej boję. Bo im więcej widzę okrutnego świata, tym mniej wierzę, że kończy się jakąś przyjemną fikcją.

Dolina nie istnieje naprawdę.

To kłamstwo opowiadane przez matki i ojców, którzy dają powód swoim umierającym z głodu dzieciom, by te mogły znieść horror. A tak naprawdę nie istnieje żaden powód. Eo przepadła. Nie patrzyła, jak walczę o jej marzenie. Było jej obojętne, jaki los wywalczyłem sobie w Instytucie ani czy pokochałem Mustang, bo w dniu, w którym umarła, rozpadła się w nicość. Nie ma niczego poza tym światem. To nasz początek i koniec. Nasza szansa na radość przed ciemnością.

Tak. Ale ty nie musisz umierać. Możesz uciec z tego miejsca – szepcze do mnie ciemność. – Wypowiedz te słowa. Wypowiedz je. Znasz sposób.

Ma rację. Znam.

– Wystarczy, żebyś powiedział „Poddaję się”, i wszystko to się zakończy – powiedział dawno temu Szakał, zanim spuścił mnie do tego piekła. – Umieszczę cię w ślicznej posiadłości na resztę życia, będę przysyłał ci ciepłe, śliczne Różowe i tyle jedzenia, że roztyjesz się bardziej niż Pan Popiołów. Niestety te słowa mają cenę.

Są tego warte. Ratuj się. Nikt inny cię nie uratuje.

– Ceną, drogi Żniwiarzu, jest twoja rodzina.

Moja rodzina, którą wyrwał z Lykos. Wysłał po nią lurcherów i teraz trzyma ją w swoim więzieniu w trzewiach fortecy w Attyce. Nie pozwolił mi ich zobaczyć. Nie dał mi powiedzieć, że ich kocham i jest mi przykro, że nie byłem dość silny, aby ich ochronić.

– Nakarmię nimi więźniów tej twierdzy – powiedział. – Mężczyzn i kobiety, o których myślałeś, że powinni władać zamiast Złotych. Kiedy zobaczysz zwierzę w człowieku, zrozumiesz, że ja mam rację, a ty się mylisz. To Złoci muszą rządzić.

Odpuść ich sobie – mówi ciemność. – Taka ofiara jest pragmatyczna. Jest mądra.

– Nie... Nie zrobię tego...

Twoja matka chciałaby, żebyś żył.

Nie za taką cenę.

Jaki człowiek potrafiłby pojąć matczyną miłość? Żyj. Dla niej. Dla Eo.

Czy mogłaby tego chcieć? Czy ciemność ma rację? W końcu jestem ważny. Eo tak powiedziała. Ares tak powiedział. Wybrał mnie. Ze wszystkich Czerwonych wybrał właśnie mnie. Mogę zerwać okowy. Mogę odnaleźć w życiu coś więcej, coś, dla czego warto żyć. To nie byłby wcale egoizm, gdybym uciekł z więzienia. Właściwie w szerszej perspektywie byłoby to wręcz bezinteresowne.

Tak. Naprawdę bezinteresowne...

Matka błagałaby, żebym złożył tę ofiarę. Kieran by zrozumiał. Podobnie jak moja siostra. Mogę ocalić naszych ludzi. Marzenie Eo trzeba urzeczywistnić za wszelką cenę. Moim obowiązkiem jest zachować je przy życiu. Obowiązkiem i prawem zarazem.

Wypowiedz słowa.

Walę głową w kamień i krzyczę na ciemność, żeby odeszła. Nie może mnie zwieść. Nie może mnie złamać.

Nie wiedziałeś? Każdego można złamać.

Przenikliwy chichot ciemności kpi ze mnie, przeciągając się w nieskończoność.

I wiem, że ma rację. Każdego można złamać. Szakal już złamał mnie torturami. Powiedziałem mu, że pochodzę z Lykos. Powiedziałem, gdzie znajdzie moją rodzinę. Istnieje jednak sposób, żeby uszanować to, czym jestem. To, co kochała Eo. Żeby uciszyć głosy.

– Roque, miałeś rację – szepczę. – Miałeś rację.

Po prostu chcę wrócić do domu. Zniknąć stąd. A jednak nie mogę. Jedyne, co mi zostało, jedyne honorowe wyjście to śmierć. Zanim jeszcze bardziej zdradzę człowieka, którym jestem.

Śmierć to droga ucieczki.

Nie bądź głupcem. Przestań. Przestań.

Uderzam głową w ścianę mocniej niż wcześniej. Nie po to, żeby się ukarać, ale żeby się zabić. Skończyć ze sobą. Skoro ten świat nie kończy się w żaden miły sposób, to będzie mi musiała wystarczyć pustka. Jeśli jednak istnieje Dolina poza tą rzeczywistością, to ją znajdę. Nadchodzę, Eo. W każdym razie jestem już w drodze.

– Kocham cię.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Walę czaszką w kamień. Żar zalewa mi twarz. Iskry bólu tańczą w czerni. Ciemność zawodzi do mnie, ale ja nie przestaję.

Jeśli to jest koniec, to popędzę ku niemu z całą moją zaciekłością.

Jednak kiedy cofam głowę, żeby uderzyć po raz ostatni, z całej siły, moja rzeczywistość jęczy. Dudni jak trzęsienie ziemi. To nie ciemność, ale coś poza nią. Coś w samym kamieniu nade mną, co staje się coraz głośniejsze, brzmi coraz bardziej basowo, aż ciemność pęka i rozcina ją płonący miecz światła.

Więzień L17L6363

Sufit się rozstępuje. Światło pali mnie w oczy. Zaciskam powieki, kiedy podłoga mojej celi wznosi się, aż zatrzymuje się ze szczękiem, a ja leżę odsłonięty na płaskiej kamiennej powierzchni. Prostuję nogi i gwałtownie łapię powietrze w płuca, prawie mdlejąc z bólu. Stawy mi trzeszczą. Napięte ścięgna rozciągają się. Walczę, żeby ponownie otworzyć oczy mimo rażącego światła. Napęniają się łzami. Jest tak jasno, że widzę tylko rozbielone przebłyski z otaczającego mnie świata.

Spowijają mnie urywki obcych głosów.

– Adriusie, co to jest?

– ...był tam przez cały ten czas?

– Co za smród...

Leżę na kamieniu. Rozciąga się po obu moich stronach. Czarny, mieniący się niebiesko i fioletowo jak pancerz kreońskiego żuka. Podłoga? Nie. Widzę filiżanki. Spodki. Wózek z kawą. To stół. Stół był moim więzieniem. Nie jakaś ohydna otchłań. Po prostu szeroki na metr i długi na dwanaście metrów kawał marmuru z pustym wnętrzem. Co wieczór jedli raptem kilka cali ode mnie. Ich głosy były odległymi szeptami, które słyszałem w ciemności. Brzęk ich sreber i talerzy był moim jedynym towarzystwem.

– Barbarzyństwo...

Teraz sobie przypominam. Przy tym stole siedział Szakał, kiedy odwiedziłem go po tym, jak doszedłem do siebie po ranach odniesionych podczas Żelaznego Deszczu. Czy już wtedy planował moje uwięzienie? Miałem na głowie kaptur, kiedy mnie tu wsadzili. Myślałem, że znajduję się w trzech wieżach fortecy. Myliłem się. Trzydzieści centymetrów kamienia oddzielało ich kolacyjki od mojego piekła.

Podnoszę wzrok znad stojącej koło mojej głowy tacy z kawą. Ktoś wpatruje się we mnie. Kilka osób. Nie widzę ich z powodu łez i krwi w oczach. Odwracam się i zwijam w kłębek jak ślepy kret po raz pierwszy w życiu

wykopany spod ziemi. Jestem zbyt przytłoczony i przerażony, żeby pamiętać o dumie albo nienawiści. Wiem jednak, że on się we mnie wpatruje. Szakal. Dziecinna twarz i smukłe ciało, piaskowe włosy czesane z przedziałkiem. Odchrząkuje.

– Moi szanowni goście, pozwólcie, że przedstawię wam więźnia L17L6363.

Jego twarz to niebo i piekło zarazem.

Widok drugiego człowieka...

Świadomość, że nie jestem sam...

A potem przypomnienie sobie, co mi zrobił... To wyrywa ze mnie duszę.

Inne głosy pełzają i dudnią, są tak donośne, że ogłuszają. I chociaż zwinąłem się w kłębek, czuję coś poza ich hałasem. Coś naturalnego, delikatnego i dobrego. Coś, czego – jak przekonywała mnie ciemność – miałem już nigdy nie poczuć. Wpada łagodnie przez otwarte okno i całuje moją skórę.

Późnojesienny wiaterek rozwiewa mięsisty, parny smród mojego brudu i sprawia, że myślę o dziecku, które gdzieś tam biegnie wśród śniegu i drzew, przesuwając dłońmi po korze i sosnowych igłach, brudzi sobie włosy żywicą. To wspomnienie, którego wiem, że nie mogę mieć, ale czuję, że powinienem. To jest życie, jakiego bym pragnął. Dziecko, które mógłbym mieć.

Płaczę. Nie tyle nad sobą, co nad tym chłopcem, który myśli, że żyje w dobrym świecie, gdzie matka i ojciec są ogromni i silni jak góry. Gdybym tylko znowu mógł być tak niewinny. Gdybym tylko wiedział, że ta chwila nie jest kolejną sztuczką. Niestety jest. Szakal daje tylko po to, żeby potem odebrać. Wkrótce światło stanie się wspomnieniem i powróci ciemność. Zaciskam mocno powieki, słucham krwi kapiącej z mojej twarzy na kamień i czekam na kolejny cios.

– Psiakrew, Augustus, to naprawdę było konieczne? – mruczy jak kot zabójczyni. Chropawy akcent przytłumiony ospałą intonacją typową dla Luny, wyuczoną na dworach Palatynu, gdzie wszystko robi na ludziach mniejsze wrażenie niż gdzie indziej. – Cuchnie jak śmierć.

– Sfermentowany pot i martwa skóra pod magnetycznymi kajdanami. Widzisz tę żółtawą skorupę na jego przedramionach, Aju? – zwraca jej uwagę Szakal. – Mimo to jest w miarę zdrowy i gotowy dla waszych Rzeźbiarzy. Zważywszy na okoliczności.

– Znasz tego człowieka lepiej ode mnie – odzywa się Aja do kogoś innego. – Upewnij się, że to on, a nie jakiś oszust.

– Wątpisz w moje słowo? – pyta Szakal. – Ranisz mnie.

Wzdrygam się, kiedy wyczuwam, że zbliża się ktoś inny.

– Daj spokój, do tego musiałbyś mieć serce, arcygubernatorze. Natura obsypała cię licznymi darami, ale obawiam się, że tego organu najwyraźniej ci brakuje.

– Zbyt hojnie mnie komplementujesz.

Łyzeczki uderzają z brzękiem o porcelanę. Ktoś odchrząkuje. Mam ochotę zasłonić uszy. Za dużo dźwięków. Za dużo informacji.

– Naprawdę można teraz dostrzec w nim Czerwonego. – To zimny głos kulturalnej kobiety z północnego Marsa. Wymowa bardziej szorstka niż akcent z Luny.

– Właśnie, Antonio! – odpowiada Szakal. – Ciekawiło mnie, jak uwięzienie na niego wpłynie. Członek gatunku *homo aureus* nigdy nie uległby takiemu poniżeniu jak ten tu, który leży przed nami. Wiecie, że prosił mnie o śmierć, zanim go tam umieściłem? Zaczął płakać. Jak na ironię, w dowolnej chwili mógł się zabić. Nie zrobił tego jednak, bo częśćka jego osoby rozkoszowała się tą dziurą. Widzicie, Czerwoni dawno temu zaadaptowali się do ciemności. Jak robaki. Nie ma dumy w ich zardzewiałej rasie. Czuł się tam jak u siebie w domu. Bardziej niż kiedykolwiek wśród nas.

Teraz przypominam sobie nienawiść.

Otwieram oczy, żeby dać im znać, że ich widzę. Że słyszę. Kiedy jednak moje powieki się rozwierają, to nie wróg przyciąga mój wzrok, ale zimowy krajobraz, który rozciąga się za plecami Żółtych. Za oknami sześć z siedmiu górskich szczytów Attyki skrzy się w porannym świetle. Budynki z metalu i szkła zwieńczają kamień i śnieg, wyciągają się ku błękitnemu niebu. Mosty spinają szczyty. Prószy drobny śnieg. Obraz zamazuje się przed moimi osłabionymi po pobycie w ciemności oczami.

– Darrow?

Znam ten głos. Znam tego człowieka. Obracam lekko głowę, żeby zobaczyć jedną z jego zgrubiałych dłoni na brzegu stołu. Wzdrygam się i odsuwam, spodziewając się, że mnie uderzy. Nie robi tego. Na środkowym palcu nosi złotego orła Bellony. Rodziny, którą zniszczyłem. Druga dłoń należy do ręki, którą odciąłem na Lunie, kiedy ostatni raz się pojedynkowaliśmy. Odtworzył ją Rzeźbiarz Zanzibar. Dwa pierścienie z wilczymi łbami

Domu Marsa zdobią palce. Jeden jest mój. Jeden jego. Oba zostały zdobyte za cenę życia młodego Złotego.

– Poznajesz mnie? – pyta.

Odchylam głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Mnie może i złamano, ale wojna nie przyćmiła urody Cassiusa au Bellona. Jest o wiele piękniejszy, niż odmalowałyby go jakiekolwiek wspomnienia. Pulsuje życiem. Ma ponad dwa metry wzrostu. Nosi biel i złoto Rycerza Poranka. Ułożone w pukle włosy błyszczą jak smuga ciągnąca się za spadającą gwiazdą. Jest gładko ogolony, nos ma lekko wykrzywiony po niedawnym złamaniu. Kiedy patrzę mu w oczy, robię wszystko, co w mojej mocy, żeby się nie rozszłochać. Patrzy na mnie ze smutkiem, niemal czule. Jakim muszę być cieniem samego siebie, żeby zasłużyć na litość człowieka, którego tak głęboko zraniłem.

– Cassius – mruczę bez żadnego powodu poza chęcią wypowiedzenia jego imienia. Odezwania się do drugiej ludzkiej istoty. Bycia usłyszanym.

– No więc? – pyta Aja au Grimmus, stając za Cassiusem.

Najbrutalniejsza z Furii Suwerenki nosi tę samą zbroję, w której ją widziałem, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w iglicy Cytadeli na Lunie, w noc, kiedy Mustang mnie uratowała, a Aja zatłukła na śmierć Quinn. Pancerz jest porysowany. Zniszczony w walce. Strach przewycięża moją nienawiść i znowu odwracam wzrok od ciemnoskórej kobiety.

– Jednak żyje – odzywa się cicho Cassius. Odwraca się do Szakala. – Co mu zrobiłeś? Te blizny...

– Spodziewałbym się, że to oczywiste – odpowiada Szakal. – Zniszczyłem Żniwiarza.

Patrzę w końcu na swoje ciało, sięgając wzrokiem poza skołtunioną brodę, żeby zrozumieć, co ma na myśli. Jestem trupem. Chudym jak szkielet i bladym. Żebra wystają spod skóry cieńszej niż kozuch na podgrzany mleku. Kolana sterczą na nogach jak patyki. Paznokcie u stóp mam długie i zakrzywione. Blizny po torturach Szakala znaczą mi ciało. Mięśnie osłabły. Z brzucha wychodzą mi rurki, które utrzymywały mnie przy życiu w ciemności: czarne, włókniste pępowiny, które nadal kotwiczą mnie do podłogi mojej celi.

– Jak długo tam siedział? – pyta Cassius.

– Trzy miesiące przesłuchań, a potem dziewięć miesięcy odosobnienia.

– Dziewięć...

– Stosownie. Nie powinniśmy rezygnować z używania metafor z powodu wojny. W końcu nie jesteście dzikusami, co, Bellona?

– Adriusie, obrażasz poczucie przyzwoitości Cassiusa – mówi stojąca obok Szakala Antonia.

To zatrute jabłko pod postacią kobiety. Z pozoru błyszczące, rumiane i kuszące, ale zgniłe i zepsute do głębi. W Instytucie zabiła moją przyjaciółkę Leę. Posłała kulę w głowę własnej matki i dwie kolejne w kręgosłup swojej siostry, Victry. A teraz sprzymierzyła się z Szakalem, człowiekiem, który ukrzyżował ją w Instytucie. Co za świat. Za Antonią stoi Oset o ciemnej twarzy, dawniej Wyjec, obecnie członkini Kościarzy, sądząc po symbolu czaszki szakala na jej piersi. Wbija wzrok w podłogę, żeby nie patrzeć na mnie. Jej kapitanem jest łysa Lilath, która siedzi na prawo od Szakala. Jego ulubiona zabójczyni od czasów Instytutu.

– Wybacz, jeśli nie rozumiem celu torturowania pokonanego wroga – odpowiada Cassius. – Zwłaszcza kiedy wyjawiał wszystkie informacje, jakie mógł.

– Celu? – Szakal wpatruje się w niego spokojnie i wyjaśnia: – Celem jest kara, mój łaskawy panie. To... coś uważało, że znajdzie sobie miejsce wśród nas. Jakby był nam równy. A może nawet od nas lepszy. Kpił sobie z nas. Sypiał z moją siostrą. Śmiał się z nas i uważał za głupców, zanim go odkryliśmy. Musi wiedzieć, że nie przegrał przypadkiem, ale że to było nieuniknione. Czerwoni zawsze byli cwanyimi stworzeniami. A on, mój przyjacielu, jest uosobieniem tego, czym pragnęli być i czym by się stali, gdybyśmy im na to pozwolili. Niech więc czas i ciemność zamienią go z powrotem w to, czym naprawdę jest. *Homo flammeus*, żeby posłużyć się nowym systemem klasyfikacyjnym, który zaproponowałem Komisji. Niewiele się różni od *homo sapiens* na drabinie ewolucyjnej. Reszta to była tylko maska.

– Rzecz w tym, że wyszedłeś przez niego na głupca – precyzuje Cassius – bo twój ojciec wolał Rzeźbionego Czerwonego od potomka własnej krwi, prawda? O to tu właśnie chodzi, Szakalu. O wstyd naburmuszonego dziecka, niekochanego i niechcianego.

Szakal wzdraga się na te słowa. Aja też jest wyraźnie niezadowolona z tonu swojego młodego towarzysza.

– Darrow odebrał życie Julianowi – mówi Antonia. – A potem wyrznął w pień twoją rodzinę. Wysłał zabójców, żeby wybić dzieci twojej krwi, które ukrywały się na Olympus Mons. Aż się człowiek zastanawia, co pomyślałaby twoja matka o twojej litości.

Cassius udaje, że ich nie słyszy, i kiwa głową na Różowych stojących na obrzeżach pokoju.

– Przynieście więźniowi koc.

Żaden nawet nie drgnie.

– Co za maniery... Nawet ty, Oset?

Dziewczyna nie odpowiada. Cassius prychnął pogardliwie, zdejmując białą pelerynę i zarzuca na moje drżące ciało. Przez chwilę nikt nie odzywa się słowem, są równie wstrząśnięci tym gestem jak ja.

– Dziękuję – chrypię. On jednak odwraca wzrok od mojej wymizerowanej twarzy. Litość to nie wybaczenie, a wdzięczność nie oznacza rozgrzeżenia.

Lilath parska śmiechem, nie podnosząc nawet wzroku znad misy gotowanych na miękko kolibrzych jajek. Siorbie je jak mięciutkie cukierki.

– Istnieje granica, za którą honor staje się wadą charakteru, Rycerzu Poranka. – Siedząca obok Szakala łysa kobieta zerka na Aję oczami jak ślepiec węgorzy z podziemnych mórz na Wenus. Pożera kolejne jajko. – Stary Arcos przekonał się o tym bardzo boleśnie.

Aja nie odpowiada, jej maniery pozostają nieskazitelne, ale czai się w niej śmiercionośna cisza; cisza, jaką pamiętam z chwil poprzedzających śmierć Quinn. Lorn nauczył ją szermierki i Aja nie pozwoli, żeby ktoś z niego kpił. Lilath łapczywie siorbie kolejne jajko, poświęcając maniery na rzecz obelgi.

Wrogość panuje wśród sprzymierzeńców. To u nich typowe, tym razem jednak rozłam jest nowy i ostry, między starymi Żłotymi a nowszym rodzajem pokrewnym Szakalowi.

– Jesteśmy tu wśród przyjaciół – odzywa się żartobliwie Szakal. – Zachowuj się, Lilath. Lorn był Żelaznym Żłotym, który po prostu stanął po niewłaściwej stronie. Zatem, Aju, jestem ciekaw: teraz, kiedy kończy się mój okres dzierżawy Żniwiarza, nadal zamierzacie poddać go sekcji?

– Owszem, taki mamy plan – potakuje Aja. Nie powinienem był dziękować Cassiusowi. Jego honor nie jest prawdziwy. To tylko kwestia higieny. – Zanzibara naprawdę ciekawi, jak go zrobiono. Ma swoje teorie, ale aż się pali, żeby dorwać w swoje ręce konkretny egzemplarz. Mieliśmy nadzieję złapać Rzeźbiarza, który tego dokonał, ale chyba zginął, kiedy pocisk trafił w Kato w prowincji Alcidalia.

– Albo chcą, żebyście tak myśleli – wtrąca się Antonia.

– Kiedyś już go tu miałeś, prawda? – rzuca znacząco Aja.

Szakał kiwa głową.

– Nazywa się Mickey. Stracił licencję po tym, jak Rzeźbił nielicencjonowanego noworodka Aureusów. Rodzina chciała zaoszczędzić dziecku Ekspozycji. Potem specjalizował się w aero- i akwamodyfach na Różowych. Miał warsztat w Yorkton, zanim Synowie Aresa zwerbowali go do specjalnego zadania. Darrow pomógł mu uciec z mojego aresztu. Jeśli chcecie znać moją opinię, to Mickey nadal żyje. Moi agenci umiejscawiają go w Tinos.

Aja i Cassius patrzą po sobie.

– Jeśli masz zamiary na Tinos, to powinienes od razu się nimi podzielić – mówi Cassius.

– Nie mam na razie żadnych konkretów. Tinos jest dobrze ukryte. I wciąż nie złapaliśmy żadnego z kapitanów ich statków... żywego. – Szakał syczy kawę. – Ale cały czas kujemy żelazo i pierwsi się dowiecie, czy coś z tego wyniknie. Myślę jednak, że moi Kościarze chcieliby pierwsi zając się Wyjcami. Nie uważasz, Lilath?

Staram się nie poruszyć, kiedy pada ta nazwa. Jednak jest to trudne. Oni żyją. Przynajmniej niektórzy. Wybrali Synów Aresa zamiast Złotych...

– Tak, panie – mówi Lilath, przyglądając mi się. – Bylibyśmy zachwyceni prawdziwym polowaniem. Walka z Czerwonym Legionem i innymi buntownikami to nuda, nawet dla Szarych.

– Suwerenka i tak potrzebuje nas w domu, Cassiusie – odzywa się Aja. A potem zwraca się do Szakała: – Odlecimy, kiedy tylko mój trzynasty legion zwinie obóz w Niece Golan. Najprawdopodobniej z samego rana.

– Zabieracie swoje legiony z powrotem na Lunę?

– Tylko trzynasty. Reszta zostanie pod twoim nadzorem.

Szakał jest zaskoczony.

– Pod moim nadzorem?

– To pożyczka do czasu aż to... powstanie zostanie całkowicie zdławione. – Prawie spluwa słowem „powstanie”. To coś nowego dla moich uszu. – To oznaka zaufania Suwerenki. Wiesz, że jest zadowolona z twoich postępów na Marsie.

– Mimo twoich metod – dodaje Cassius, znowu ściągając na siebie poirytowane spojrzenie Ai.

– Cóż, jeśli odlatujecie rankiem, to powinniście, rzecz jasna, zjeść dzisiaj ze mną kolację. Czekałem na okazję, żeby omówić pewne... kwestie związane z Rebeliantami na Obrzeżu.

Szakał nie mówi wprost ze względu na mnie. Informacja to dla niego broń. Sugerował, że przyjaciele mnie zdradzili, ale nie powiedział którzy. Rzucił aluzjami i wskazówkami w czasie tortur, zanim zostałem zesłany w ciemność. Szary mówiący mu, że jego siostra czeka na niego w salonie. Jego palce pachnące masalą ćaj ze spienionym mlekiem, ulubionym napojem siostry. Czy ona wie, że tu jestem? Czy siedziała przy tym stole?

Szakał nadal papla. Trudno nadążyć za głosem. Tak wiele trzeba rozszyfrować. Zbyt wiele.

– ...każę moim ludziom umyć Darrowa przed podróżą i możemy urządzić trymalchiońską ucztę po naszej rozmowie. Wiem, że rodziny Volox i Corialus z radością ponownie was zobaczą. Minęło za dużo czasu, odkąd mieliśmy tak czcigodne towarzystwo: dwoje Rycerzy Olimpijskich. Tak często działacie w terenie, krążycie po prowincjach, polujecie w tunelach, na morzach i w gettach. Ile czasu minęło, odkąd zjedliście porządny posiłek, nie martwiąc się nocnym atakiem albo zamachowcami-samobójcami?

– Sporo – przyznaje Aja. – Skorzystaliśmy z gościnności braci Rath, kiedy przejeżdżaliśmy przez Saloniki. Rwali się, żeby okazać swoją wierność po wcześniejszym... zachowaniu podczas Deszczu Lwa. To było... niepokojące.

Szakał się śmieje.

– Obawiam się, że w porównaniu z nimi moja kolacja wypadnie banalnie. Ostatnio widuję się tylko z politykami i żołnierzami. Domyślacie się pewnie, że ta przekłeta wojna bardzo zaszkodziła mojemu życiu towarzyskiemu.

– Na pewno nie chodzi o twoją słynną gościnność? – upewnia się Cassius. – Albo twoją dietę?

Aja wzdycha, próbując ukryć rozbawienie.

– Zachowuj się, Bellona.

– Bez obaw... Trudno zapomnieć o wrogości dzielącej nasze domy, Cassiusie, ale w takich chwilach jak ta musimy znaleźć płaszczyznę porozumienia. Przez wzgląd na dobro Złotych. – Szakał uśmiecha się, chociaż wiem, że wyobraża sobie, jak rzeza im obojgu głowy tępym nożem. – W każdym razie wszyscy mamy za sobą szkolne wspomnienia. Nie ma się czego wstydzić.

– Jest jednak jeszcze inna kwestia, którą chcielibyśmy omówić – odzywa się Aja.

Teraz to Antonia wzdycha.

– A nie mówiłam? Czego teraz życzy sobie Suwerenka?

– To dotyczy kwestii, o której wspomniał wcześniej Cassius.

– Moich metod – upewnia się Szakal.

– Tak.

– Myślałem, że Suwerenka jest zadowolona z moich pacyfikacyjnych wysiłków.

– Jest, ale...

– Chciała porządku i dałem jej porządek. Hel-3 nie przestaje płynąć, produkcja spadła tylko o trzy koma dwa procenta. Powstanie się dławi. Wkrótce Ares zostanie odnaleziony, podobnie jak Tinos, i wszystko to będzie za nami. To Fabii jest tym, kto...

– Chodzi o szwadrony śmierci – przerywa mu Aja.

– Ach tak.

– Protokoły likwidacji, które uruchomiłeś w zbuntowanych kopalniach. Suwerenka martwi się, że surowość twoich metod wobec podCzerwonych spowoduje znacznie ostrzejszą reakcję w porównaniu z poprzednimi propagandowymi wpadkami. Doszło do zamachów bombowych na Palatynie, ataków w latyfundiach na Ziemi, a nawet do protestów u bram samej Cyta-deli. Duch rebelii pozostaje żywy. Jednak osłabiają go rozłamy. I tak musi pozostać.

– Wątpię, żebyśmy zobaczyli wiele więcej protestów, kiedy do ich stłumienia zostaną wysłani Obsydianowi – odpowiada zadowolona z siebie Antonia.

– Mimo to...

– Nie grozi nam, że sekrety mojej taktyki ujrzą światło dzienne. Pozbawiliśmy Synów Aresa możliwości rozsiewania swojej propagandy – odpowiada Szakal. – Teraz to ja kontroluję przepływ informacji, Aju. Ludzie wiedzą, że ta wojna jest już przegrana. Nadal będą oglądać ataki Czerwonych na obiekty cywilne, dzieci śródKolorów i nadKolorów martwe w szkołach. Opinia publiczna stoi po naszej stronie...

– A jeśli ludzie zobaczą, co robisz? – pyta Cassius.

Szakal nie odpowiada natychmiast. Zamiast tego daje znać prawie nagiej Różowej siedzącej na kanapie w przylegającym do salonu pokoju. Dziewczyna, niewiele starsza od Eo, podchodzi do niego i wpatruje się potulnie w podłogę. Oczy ma jak różowy kwarc, srebrzysto-liliowe włosy zaplecione w warkocze opadają jej na nagi krzyż. Została wychowana, aby sprawiać przyjemność tym potworom, i nie chciałbym się dowiedzieć, co te

łagodne oczy widziały. Nagle mój ból wydaje mi się małeńki, szaleństwo w moim umyśle ciche. Szakal głaszcze dziewczynę po twarzy i cały czas patrząc na mnie, wpycha jej palce w usta, rozwiera zęby. Kikutem ręki obraca jej głowę, żebym zobaczył ją najpierw ja, a potem także Aja i Cassius.

Dziewczyna nie ma języka.

– Zrobiłem to osobiście po tym, jak złapaliśmy ją osiem miesięcy temu. Próbowала zabić jednego z moich Kościarzy w Perłowym Klubie w Agei. Nienawidzi mnie. Niczego nie pragnie tak bardzo, jak zobaczyć, że gniję w ziemi. – Szakal puszcza dziewczynę, wyjmując z kabury broń osobistą i wpycha jej w rękę. – Strzel mi w głowę, Calliope. Za wszystkie upokorzenia, które przeze mnie znosiłaś, ty i twoi ludzie. Śmiało. Odciałem ci język. Pamiętasz, co zrobiłem ci w bibliotece. To się będzie powtarzało raz za razem. – Znowu unosi rękę do jej twarzy i ściska jej kruchą szczękę. – Raz za razem. Pociągnij za spust, ty mała zdziro. Pociągnij!

Różowa trzęsie się ze strachu i odrzuca broń na ziemię, pada na kolana i obejmuje jego stopy. On stoi nad nią, łaskawy i kochający. Dotyka jej głowy.

– No już, już, Calliope. Dobrze się sprawiałaś. Dobrze. – Odwraca się do Ai. – Dla opinii publicznej miód zawsze jest lepszy od octu. Ale wobec tych, którzy walczą z kluczami nastawnymi w rękę, posługują się trucizną, sabotażem w kanałach ściekowych i terrorem na ulicach i którzy podskubają nas jak karaluchy nocą, strach jest jedyną metodą. – Patrzy mi w oczy. – Strach i eksterminacja.

Ukąszenie węża

Krew perli się w miejscach, gdzie brzęczący metal zahacza o skórę. Ciemnoblonde włosy spadają na beton, kiedy Szary kończy skalpować mnie elektryczną golarką. Jego kompani nazywają go Danto. Kręci moją głowę, żeby upewnić się, że ściął wszystko, po czym klepie mnie mocno w ciemię.

– Co powiesz na kąpiel, *dominus*? – pyta. – Podobno Grimmus lubi, jak jej więźniowie ładnie pachną, zgadza się?

Puka w kaganiec, który założyli mi na twarz, kiedy próbowałem jednego z nich ugryźć. Przyprowadzili mnie tutaj po założeniu mi elektrycznej obroży i skuciu rąk za plecami: oddział dwunastu twardych lurcherów włókł mnie korytarzami jak worek śmieci.

Kolejny Szary szarpnięciem za obrożę zwleka mnie z krzesła, kiedy Danto idzie po wysokociśnieniowy szlauch wiszący na ścianie. Są ode mnie o ponad głowę niżsi, ale to zwaliści i twardzi faceci. Prowadzą ciężkie życie: ścigają Grasantów w Pasie, tropią zabójców Syndykatu w głębinach Luny, polują na Synów Aresa w kopalniach...

Nie mogę znieść ich dotyku, w ogóle wszystkich wzrokowych i słuchowych bodźców, których są źródłem. Jest ich za wiele. Są zbyt szorstkie. Za twarde. Wszystko, co robią ci ludzie, rani. Szarpanie. Poklepywanie mnie od niechcienia. Staram się jak mogę, żeby powstrzymać łzy, ale nie potrafię tego wszystkiego w sobie upchać.

Szereg dwunastu żołnierzy tłoczy się razem, patrząc, jak Danto mierzy we mnie z węża. Mają ze sobą trzech Obsydianowych. To typowe dla oddziałów lurcherów. Woda uderza we mnie jak koński kopniak wymierzony w pierś. Rozdziera skórę. Koziółkuję po betonowej podłodze, ślizgam się przez całe pomieszczenie, aż zostaję przyszpilony w kącie. Walę czaszką w ścianę. Gwiazdy latają mi przed oczami. Połykam wodę. Dławię się, garbię, żeby chronić twarz, bo ręce nadal mam skute z tyłu.

Kiedy już skończą, nadal łapię łapczywie powietrze i kaszlę przez kaganiec, próbując odetchnąć. Rozkuwają mi ręce, wsuwają moje kończyny do czarnego jednocześnie kombinezonu więziennego, a potem znowu zakładają mi kajdany. Jest też kaptur, który wkrótce naciągną mi na głowę, żeby ograbić mnie z tych resztek człowieczeństwa, które mi jeszcze zostały. Zostaję ciśnięty z powrotem na krzesło. Przytwierdzają łańcuch do mocowania w sie, więc nie mogę się ruszyć. Wszystko to jest zbędne. Obserwują każdy mój ruch. Strzegą mnie jak to, czym byłem, a nie czym jestem. Patrzą na nich spod zmrużonych powiek, wzrok mi się mgli, nie sięga za daleko. Woda kapie mi z rzęs. Próbuję pociągnąć nosem, ale jest zatkany zakrzepłą krwią od nozdrzy aż po jamę nosową. Złamali mi go, kiedy zakładali kaganiec.

Znajdujemy się w pokoju badań Komisji Kontroli Jakości, która administruje więzieniem poniżej twierdzy Szakala. Budynek przypomina betonowe pudło, jak każdy rządowy gmach. Jadowite światło sprawia, że każdy wygląda tu jak chodzący trup z porami wielkości kraterów po uderzeniach meteorytów. Pomijając Szarych, Obsydianowych i samotnego Żółtego lekarza, znajduje się tu krzesło, stół do badań i szlauch. Jednakże plamy wokół metalowych odpływów w podłodze i zadrapania od paznokci na metalowym krześle dowodzą prawdziwego charakteru tego pomieszczenia. Tu się zaczyna koniec życia.

Cassius nigdy nie zszedłby do tej dziury. Niewielu Złotych potrzebowałoby albo chciałoby tu zejść, chyba że narazili się komuś niewłaściwemu. To wnętrze zegara, gdzie tryby wirują i mielą. Jak ktokolwiek mógłby być dzielny w równie niehumanicznym miejscu?

– Szaleństwo, co? – pyta Danto tych, którzy za nim stoją. Znowu zerka na mnie. – Przez całe życie nie widziałem czegoś tak powalonego.

– Rzeźbiarz musiał mu dorzucić ze sto kilo – odzywa się inny.

– Więcej. Widziałeś go kiedyś w zbroi? To był prawdziwy potwór. –

Danto pstryka w mój kaganiec wytatuowanym palcem. – Założę się, że takie powtórne narodziny są naprawdę bolesne. To trzeba uszanować. Ból to uniwersalny język. Prawda, Rdzawy?

Kiedy nie odpowiadam, pochyla się i przydeptuje moją nagą stopę podkutym stalą butem. Pęka mi paznokieć na dużym palcu. Ból i krew tryskają z odsłoniętej macierzy. Głowa leci mi na bok, kiedy łapię gwałtownie powietrze.

– Prawda? – dopytuje się Danto.

Łzy płyną mi z oczu – nie z bólu, ale z powodu nonszalancji, z jaką okazuje mi okrucieństwo. Czuję się przez to taki mały. Dlaczego tak niewiele trzeba, żeby skrzywdził mnie tak bardzo? Prawie tęsknię za swoją celą.

– To tylko pawian w zbroi – odzywa się ktoś inny. – Zostaw go. On nie ma o niczym pojęcia.

– Nie ma pojęcia? – powtarza Danto. – Chrzanisz. Lubił nosić pańskie szatki. Rozstawiać nas po kątach.

Kuca, żeby spojrzeć mi w oczy. Staram się odwrócić wzrok, przerażony, że znowu mnie skrzywdzi, ale on łapie mnie za głowę i rozwiera mi powieki kciukami, żebyśmy popatrzyli na siebie.

– Dwie moje siostry zginęły w tym twoim Deszczu, Rdzawy. I mnóstwo przyjaciół, wiesz? – Uderza mnie w skroń czymś metalowym. Widzę plamy przed oczami. Znowu płynie ze mnie krew. Za jego plecami centurion sprawdza coś na terminalu. – Tego samego życzyłyś sobie dla moich dzieci, co?

Danto szuka w moich oczach odpowiedzi. Nie mam takiej, którą by przyjął.

Podobnie jak pozostali jest legionistą-weteranem, szorstkim jak zardzewiała krata w kanale ściekowym. Dodatkowe wyposażenie techniczne obrasta jego czarną zbroję taktyczną, na której porysowanej powierzchni fioletowe smoki wiją się w subtelным filigranie. Posiada optyczne implanty w oczach, żeby widzieć w podczerwieni i czytać wojskowe mapy. Pod skórą ma jeszcze więcej implantów, które pomagają mu polować na Złotych i Obsydianowych. Tatuaz przedstawiający *XIII* w łapach ruchomego morskiego smoka płami szyje ich wszystkich, pod liczbą widnieją małe kupki popiołu. To członkowie *Legio XIII Dracones* – trzynastego legionu dragonów, ulubionego oddziału pretoriańskiego Pana Popiołów, a teraz także jego córki, Ai. Cywile nazywają ich po prostu smokami. Mustang nienawidziła tych fanatyków. To praktycznie cała niezależna armia licząca trzydzieści tysięcy ludzi wybranych przez Aję, żeby byli dłonią Suwerenki z dala od Luny.

Nienawidzą mnie.

Nienawidzą podKolorów i są przesiąknięci do szpiku kości rasizmem głębszym od wszystkiego, co żywią nawet Złoci.

– Wal w uszy, jeśli chcesz, by wrzasnął – sugeruje jakaś Szara.

Stoi przy drzwiach i porusza szczękami jak u dziadka do orzechów, żując gumę. Szare jak popiół włosy nosi obcięte na krótkiego irokeza.

Mówi przeciągle z akcentem z jakiegoś zakątka Ziemi. Opiera się o metal obok ziewającego Szarego o delikatnym nosie, bardziej pasującym Różowemu niż żołnierzowi.

– Uderz w nie dłonią stuloną, jakbyś chciał nabrać wody, to ciśnienie rozwali mu bębenek.

– Dzięki, Holi.

– Po to tu jestem.

Dante składa dłonie.

– W ten sposób?

Uderza mnie w głowę.

– Trochę bardziej zakrzyw.

Centurion pstryka palcami.

– Danto! Grimmus chce go mieć w jednym kawałku. Odsuń się i daj popatrzeć doktorkowi.

Wzdycham z ulgą.

Otyły Żółty lekarz podchodzi nieśpiesznie, żeby przyjrzeć mi się ślepiami jak ochrowe paciorki. W słabym świetle jego łysina błyszczy jak blade, nawoskowane jabłko. Przesuwa bioskopem nad moją piersią, obserwuje funkcje życiowe, korzystając z małych cyfrowych wszczepów w oczach.

– No więc, doktorku? – pyta centurion.

– Nadzwyczajny – szepcze Żółty po chwili. – Gęstość kości i funkcje organów są właściwie w normie mimo niskokalorycznej diety. Mięśnie uległy atrofii, jak to obserwowaliśmy w warunkach laboratoryjnych, ale nie tak bardzo jak w przypadku naturalnej tkanki Aureusów.

– Chcesz powiedzieć, że jest lepszy od Złotego? – upewnia się centurion.

– Nie powiedziałem niczego takiego – warczy lekarz.

– Spokojnie, tu nie ma kamer, doktorku. To pokój badań. Jak brzmi werdykt?

– To coś może podróżować.

– To coś? – udaje mi się warknąć gardłowo zza kagańca.

Lekarz wzdraga się, zaskoczony tym, że mogę mówić.

– A długotrwałe uśpienie? Z tej orbity na Lunę będziemy lecieć trzy tygodnie.

– Nie powinno być problemu. – Lekarz zerka na mnie przestraszony. – Ale zwiększyłbym dawkę o dziesięć miligramów dziennie, kapitanie, na

wszelki wypadek. To coś ma nadzwyczaj silny układ krążenia.

– Jasne. – Kapitan kiwa głową na Szarą. – Do roboty, Holi. Poślij go do łóżeczka. A potem łapiemy za wózek i wyjeżdżamy. Nudziarz z ciebie, doktorku. Wracaj do swojego bezpiecznego światka espresso i jedwabi. My się zajmujemy...

Pstryk.

Czoło centuriona odpada. Coś metalowego uderza w ścianę. Gapię się na centuriona, mój umysł nie ogarnia, dlaczego jego twarz zniknęła.

Pstryk. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Jakby ktoś głośno wyłamywał stawy dłoni. Czerwona mgiełka bucha w powietrze z głów najbliższych dragonów. Ochlapuje mi twarz. Pochylam głowę. Kobieta o potężnych szczękach idzie jakby nigdy nic wśród swoich towarzyszy i strzela im prosto w potylice. Pozostali sięgają po broń, gmerają przy niej, nie zdążą nawet zakląć, kiedy drugi Szary załatwia ich ze swojego miejsca przy drzwiach. Strzela do każdego po dwa razy ze staroświeckiej broni prochowej. Ma tłumik na lufie, więc wszystko rozgrywa się spokojnie i cicho. Obsydianowi pierwsi padają na ziemię i zalewają ją czerwienią.

– Teren czysty – oznajmia kobieta.

– Nie licząc tej dwójki – odpowiada mężczyzna.

Zabija Żółtego lekarza, który czołga się do drzwi, próbując uciec, a potem opiera but na piersi Danto. Szary wpatruje się w niego, krwawiąc spod szczęki.

– Trigg...

– Ares przesyła pozdrowienia, skurwysynu. – Mężczyzna strzela tuż pod krawędź taktycznego hełmu Danto, prosto między oczy. Obraca pistolet w rękę, zdmuchuje dym z lufy i chowa go w kaburze. – Teraz teren jest czysty.

Poruszam ustami za kagańcem, niezdolny do choćby jednej spójnej myśli.

– Kim... jesteście?

Szara kobieta odsuwa sobie ciało z drogi.

– Nazywam się Holiday ti Nakamura, a to mój młodszy brat Trigg. – Unosi przeciętą blizną brew. – Pytanie brzmi, kim ty jesteś?

– Kim jestem? – mamroczę.

– Przyszliśmy po Żniwiarza, ale jeśli to ty, to chyba powinniśmy poprosić o zwrot kasy. – Nagle puszcza do mnie oczko. – Żartuję!

– Holiday, odpuść sobie. – Trigg odsuwa ją opiekuńczym gestem. – Nie widzisz, że jest w szoku? – Podchodzi ostrożnie z wyciągniętymi rękami i przemawia kojąco: – Wszystko jest w najlepszym porządku, proszę pana. Jesteśmy tu, żeby pana uratować.

Mówi z mocniejszym akcentem, nie tak ładnie jak Holiday. Wzdragam się, kiedy robi następny krok. Szukam w jego rękach broni. On zaraz mnie skrzywdzi.

– Za chwilę pana rozkuję. Tylko tyle. Chce pan tego, prawda?

To kłamstwo. Podstęp Szakala. Mężczyzna ma tatuaż trzynastki. To pretorianie, nie Synowie Aresa. Kłamcy. Zabójcy.

– Nie rozkuję pana, jeśli pan tego nie chce.

Nie, nie, przecież zabił strażników. Naprawdę jest tu po to, żeby mi pomóc. Musi tu być po to, żeby mi pomóc. Kiwam ostrożnie głową. On staje za mną. Nie ufam mu. Na wpół spodziewam się igły. Oszustwa. Czuję jednak tylko ulgę, gdy dostaję nagrodę za podjęte ryzyko. Kajdanki zostają rozpięte. Aż strzelają mi barki, gdy z jękiem wyciągam ręce przed sobą po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy. Trzęsą się z bólu. Paznokcie urosły mi długie i paskudne. Jednak te dłonie znowu są moje. Podrywam się na równe nogi, żeby uciec, i padam na ziemię.

– Ejże... ejże... – mówi Holiday, dźwigając mnie z powrotem na krzesło. – Spokojnie, bohaterze. Masz potworną atrofię mięśni. Potrzebujesz wymiany oleju.

Trigg wychodzi zza moich pleców i staje przede mną, uśmiechając się krzywo. Ma szczerą, chłopięcą twarz, w żadnym razie nie budzi takiej zgrozy jak twarz jego siostry, mimo dwóch złotych łez wytatuowanych pod prawym okiem. Przypomina wiernego ogara. Delikatnie zdejmuje mi kaganiec z twarzy, a potem nagle coś sobie przypomina.

– Mam coś dla pana.

– Nie teraz, Trigg. – Holiday zerka na drzwi. – Nie mamy czasu.

– On tego potrzebuje – mruczy pod nosem Trigg, ale czeka, aż Holiday skinie głową, zanim wyjmie skórzane zawiniątko z twardego płaskiego plecaka. Podaje mi je. – To należy do pana. Proszę to wziąć. – Wyczuwa mój lęk. – Ej, przecież nie kłamałem, kiedy pana rozkułem, prawda?

– Nie...

Wyciągam ręce, a Trigg umieszcza w nich pakunek. Drżącymi palcami pociągam troczki, którym go obwiązano, i wyczuwam moc, zanim jeszcze

zobaczę śmiercionośny blask. Prawie wypuszczam zawiniątko, równie przerażony jak moje oczy, gdy ujrzały światło.

To moja brzytwa. Ta, którą podarowała mi Mustang. Już dwa razy ją straciłem. Pierwszy raz przez Karnusa, a drugi podczas mojego Triumfu – na rzecz Szakala. Jest biała i gładka jak pierwszy ząbek dziecka. Przesuwam dłońmi po chłodnym metalu i splamionej solą cielejącej skórcie na rękojeści. Ten dotyk budzi melancholijne wspomnienia dawno utraconej siły i dawno zapomnianego ciepła. Wraca zapach orzechów laskowych i przenosi mnie do sal treningowych Lorna, który mnie uczył, podczas gdy w kuchni po sąsiedzku jego ulubiona wnuczka uczyła się piec ciasta.

Brzytwa przecina powietrze, piękna i zdradziecka w swojej obietnicy mocy. To ostrze mówiło mi, że jestem bogiem, tak jak mówiło to pokoleniom mężczyzn przede mną, ale teraz już rozpoznaję to kłamstwo. Znam potworną cenę, jaką moi poprzednicy musieli płacić za swoją dumę.

Boję się znowu wziąć ją do ręki.

Rozlega się zgrzyt jak wrzask godowy żmii jaskiniowej, kiedy brzytwa przybiera kształt sierpaka. Była zupełnie gładka, kiedy ostatni raz ją widziałem, ale teraz mieni się obrazami wytrawionymi na białym metalu. Przekrzywiam ostrze, żeby lepiej widzieć kształt widoczny tuż nad rękojeścią. Gapię się na niego tępo. Patrzy na mnie Eo. To jej wizerunek utrwalono w metalu. Artysta nie przedstawił jej na szubienicy, w ostatniej chwili, która na zawsze zdefiniowała ją dla wszystkich, ale uchwycił ją w sposób niezwykle osobisty: jako dziewczynę, którą kochałem. Kuca z potarganymi włosami do ramion i zrywa kwiat hemantusa, podnosząc wzrok, jakby zaraz miała się uśmiechnąć. Wyżej, nad nią, mój ojciec całuje matkę w progu domu. A przy końcu ostrza Leanna, Loran i ja gonimy Kierana w tunelu; wszyscy nosimy maski z okazji Oktobernacht. To moje dzieciństwo.

Ktokolwiek stworzył te wizerunki, dobrze mnie zna.

– Złoci upamiętniają swoje wyczyny na mieczach. Wielkie czyny, akty przemocy, których się dopuścili. Ares uznał jednak, że ty wolałbyś widzieć ludzi, których kochasz – odzywa się cicho Holiday zza pleców Trigga. Znowu ogląda się na drzwi.

– Ares nie żyje. – Przyglądam się ich twarzom. Dostrzegam fałsz. Widzę perfidię w ich oczach. – Szakal was przysłał. To podstęp. Pułapka. Żeby doprowadził was do bazy Synów Aresa. – Zaciskam rękę na rękojeści brzytwy. – Żeby się mną posłużyć. Kłamiecie.

Holiday odsuwa się ode mnie, obawiając się ostrza, które trzymam w dłoni. Za to Trigga moje oskarżenia rozdierają na strzępy.

– Okłamujemy? Pana? Umarlibyśmy za pana. Umarlibyśmy za Persefonę... za Eo. – Próbuje znaleźć słowa, a ja wyczuwam, że zwykle pozwala mówić siostrze w swoim imieniu. – Za tymi murami czeka na pana armia. Rozumie pan? Armia, która czeka na... powrót swojej duszy. – Pochyliła się w błagalnym geście. Holiday spogląda na drzwi. – Jesteśmy z Pacyfiki Południowej, ziemskiego zadupia. Myślałem, że do śmierci będę pilnował silosów z ziarnem. Ale jestem tutaj. Na Marsie. I naszym jedynym zadaniem jest sprowadzić pana do domu...

– Spotykałem lepszych kłamców od ciebie – szydę.

– Pieprzyć to. – Holiday sięga po terminal.

Trigg chce ją powstrzymać.

– Ares powiedział, że możemy z tego skorzystać tylko w sytuacji awaryjnej. Jeśli zhakują sygnał...

– Spójrz na niego. To jest sytuacja awaryjna.

Holiday zdejmuje terminal i rzuca go mnie. Urządzenie łączy się z innym. Ekran mruga na niebiesko, czekając na reakcję po drugiej stronie. Obracam terminal w rękę, gdy wtem w powietrzu pojawia się hologram kolczastego hełmu, mały jak moja zaciśnięta pięść. Czerwone oczy jarzą się złowrogo za przyłbicą.

– Fitchner?

– Zgaduj dalej, dupku – odpowiada zniekształcony głos.

To niemożliwe.

– Sevro? – prawie skamlę.

– Rety, młody, wyglądasz, jakbyś wypełził z rozchwierutanej kuciapy szkieletu.

– Ty żyjesz...

Holograficzny hełm zsuwa się, ukazując wąską twarz mojego przyjaciela. Sevro uśmiecha się, szczerząc zęby jak u piły. Obraz migocze.

– Nie ma Piksa na tym świecie, który zdołałby mnie zabić. – Rechoce. – A teraz czas wracać do domu, Żniwiarzu. Nie mogę jednak przyjść po ciebie. Ty musisz przyjść do mnie. Czaisz?

– Ale jak? – Ocieram łzy z oczu.

– Zaufaj moim Synom. Dasz radę?

Patrzę na rodzeństwo i kiwam głową.

– Szakal... ma moją rodzinę.

– Ten kanibalistyczny kutas gównu ma, a nie twoją rodzinę. Ja mam twoją rodzinę. Zwinąłem ich z Lykos, kiedy cię złapano. Twoja matka czeka, żeby cię zobaczyć.

Znowu zaczynam płakać. Ulga jest zbyt wielka, żeby ją znieść.

– Ale musisz wziąć się w garść, młody. I ruszyć tyłek. – Sevro zerka na kogoś z ukosa. – Daj mi Holiday. – Podaję terminal dziewczynie. – Załatw to tak czysto, jak się da. A jak się nie da, możesz zagrać ostrzej. Jasne?

– Jasne.

– Zerwij okowy.

– Zerwij okowy – odpowiadają Szarzy i obraz znika.

– Nie patrz na nasz Kolor – mówi do mnie Holiday.

Sięga wytatuowaną ręką w dół. Gapię się na Pieczęcie Szarych wprawione w jej ciało, a potem podnoszę wzrok na jej piegowaną, szczerą twarz. Jedno oko ma bioniczne, nie mruga tak jak drugie. Słowa Eo brzmią inaczej w jej ustach. Mimo to myślę, że właśnie wtedy wraca do mnie moja dusza. Nie umysł. Nadal czuję w nim pęknięcia. Pełzającą, wąpiącą ciemność. Wraca jednak nadzieja. Desperacko chwytam drobniejszą dłoń Holiday.

– Zerwij okowy – powtarzam chrapliwie. – Będziecie musieli mnie nieść. – Patrzę na swoje nic niewarte nogi. – Nie dam rady wstać.

– Po to przynieśliśmy ten koktajl. – Holiday wyciąga strzykawkę.

– Co to? – pytam.

Trigg się śmieje.

– Pora na wymianę oleju. Serio mówię, przyjacielu, naprawdę nie chcesz wiedzieć. – Szczerzy zęby w uśmiechu. – To gównu ożywiłoby trupa.

– Dawaj – mówię, podsuwając nadgarstek.

– Zaboli – uprzedza Trigg.

– To duży chłopak. – Holiday podchodzi do nas.

Trigg podaje mi rękawiczkę.

– Proszę zagryźć.

Trochę mniej pewny siebie zagryzam splamioną solą skórę i kiwam głową do Holiday. Omija moją rękę i wbija mi igłę prosto w serce. Metal przebija ciało. Dostaję strzał.

– Jasna cholera! – próbuję krzyknąć, ale wydaję z siebie tylko bulgot.

Ogień buzuje mi w żyłach, serce zamienia się w tłok, a ja patrzę w dół, na wpół spodziewając się, że zobaczę, jak wybiega z galopem z mojej parszywej piersi. Czuję każdy mięsień. Wszystkie komórki mojego ciała wybuchają, pulsują kinetyczną energią. Szarpie mną odruch wymiotny.

Padam, drapiąc pierś. Dyszę. Pluję żółcią. Walę pięściami w podłogę. Szarzy odsuwają się od mojego wijącego się ciała. Wyrzucam z siebie strumień przekleństw, na dźwięk których Sevro by się zaczerwienił. A potem z drżeniem patrzę na nich.

– Co... to... było?!

Holiday stara się nie śmiać.

– Mama nazywa to ukąszeniem węża. Działanie utrzyma się ze trzydziści minut przy twoim metabolizmie.

– To robota waszej mamy?

Trigg wzrusza ramionami.

– Jesteśmy z Ziemi.

Cela 2187

Prowadzą mnie korytarzami jak więźnia. Z kapturem na głowie. Z rękami za plecami w otwartych kajdankach. Brat idzie po mojej lewej, siostra po prawej, oboje mnie przytrzymują. Ukąszenie węża trzyma mnie na nogach, ale z chodzeniem jest kiepsko. Moje ciało naszprycowane chemią nadal zdaje się wiotkie jak mokra szmata. Ledwie czuję rozwalony palec u stopy i słabość mięśni. Moje cieniutkie więzienne buty szurają o podłogę. W głowie mi się kręci, ale mój mózg pracuje teraz na zwiększonych obrotach. To skupiona mania. Gryzę się w język, by nie szeptać, powtarzam sobie, że nie siedzę już w ciemności. Wlokę się betonowym korytarzem. Idę w stronę wolności. Do mojej rodziny, do Sevro.

Nikt tu nie będzie zatrzymywał dwójki dragonów z Trzynastki, zwłaszcza kiedy mamy przepustki i przebywa tu Aja we własnej osobie. Wątpię, żeby wiele osób z armii Szakala choćby wiedziało, że żyję. Zobaczą mój wzrost, blade ciało i uznają, że jestem pechowym Obsydianowym więźniem. Mimo to czuję ich spojrzenia. Ogarnia mnie paranoja. Oni wiedzą. Wiedzą, że zostawiłeś za sobą zwłoki. Ile czasu minie, zanim otworzą tamte drzwi? Mój mózg błyskawicznie rozważa wszelkie możliwe zakończenia. Jak bardzo sytuacja może się schrzanić. To ten narkotyk. To po prostu przez ten narkotyk.

– Nie powinniśmy jechać w górę? – pytam, kiedy zjeżdżamy graWindą w głąb więzienia pod górską cytadelą. – Czy na dole jest drugi hangar?

– Dobrze pan kombinuje – mówi Trigg. Jest wyraźnie pod wrażeniem. – Czeka na nas statek.

Holiday strzela balonem z gumy do żucia.

– Trigg, masz coś brązowego na nosie. O... właśnie tu.

– Stul dziób. To nie ja się rumieniłem, kiedy był nagi.

– Jesteś pewien, smarkaczu? Teraz cisza.

GraWinda zwalnia i rodzeństwo sztywnieje nerwowo. Słyszę, jak odbezpieczają broń. Drzwi się otwierają i ktoś do nas dołącza.

– *Dominus* – wita gładko Holiday nowe towarzystwo, odpychając mnie na bok.

Kroki wchodzącego są dostatecznie ciężkie, żeby to był Złoty albo Obsydianowy, ale Szarzy nigdy nie zwracają się „dominus” do Obsydianowych, a Obsydianowy nie pachniałby goździkami i cynamonem.

– Sierzancie.

Głos przeszywa mnie na wskroś. To mężczyzna, który nosił naszyjnik z uszu. Vixus. Należał do starej bandy Titusa. Brał udział w masakrze podczas mojego Triumfu. Kulę się w swojej części graWindy, która znowu rusza w dół. Słyszę szelest jego kołnierzyka od munduru.

– Trzynasty legion? – pyta po chwili Vixus. Musiał zauważyć ich tatuaże na szyi. – Jesteście od Ai czy jej ojca?

– Od Furii, podczas tej misji, *dominus* – odpowiada chłodno Holiday. – Ale służyliśmy pod Panem Popiołów.

– Więc braliście udział w bitwie pod Dejmosem w zeszłym roku?

– Tak, *dominus*. Byliśmy z Grimmus w awangardzie, na pokładzie pijawki wysłanej, żeby zabić Telemanusów, zanim Fabii rozgromił ich i rozproszył okręty Arcosa. Mój brat strzelił staremu Kavaxowi w bark. Prawie go załatwił, zanim Augustus i żona Kavaxa nie zaatakowali naszej drużyny.

– Proszę, proszę... – wyraża aprobatę Vixus. – To byłoby pierwszorzędne trofeum. Mógłbyś dołożyć jeszcze jedną łezkę na swojej twarzy, legionisto. Ja polowałem na Obsydianowego psa z Siódemką. Pan Popiołów wyznaczył wcale niezłą nagrodę za zwrócenie mu niewolnika. – Wciąga coś nosem. To mi brzmi jak te stymy w kapsułkach, które tak lubił Tactus. – A to kto?

Ma na myśli mnie.

Słyszę bicie serca w uszach.

– Prezent od pretorki Grimmus w zamian... za przesyłkę, którą zabiera do domu – odpowiada Holiday. – Wie pan, co mam na myśli.

– Przesyłkę. Raczej pół przesyłki. – Śmieje się z własnego dowcipu. – Ktoś, kogo znam? – Dotyka brzegu mojego kaptura. Cofam się ze strachem. – Wyjec rozgrzałby serce. Kamyk? Chwast? Nie, za wysoki.

– Obsydianowy – odpowiada szybko Trigg. – Chciałbym, żeby to był Wyjec.

– Fuj. – Vixus cofa gwałtownie rękę, jakby się skaził. – A nie, czekajcie.
– Vixus ma pomysł. – Umieścimy go w celi razem z tą suką Julii. Niech walczą o kolację. Co wy na to, Trzynastki? Macie ochotę się zabawić?

– Trigg, załatw kamerę – rzucam ostro spod kaptura.

– Co? – Vixus odwraca się do mnie.

Pstryk.

Włącza się pole zakłócające.

Poruszam się niezręcznie, ale szybko. Wyrrywam nadgarstki z kajdanek, jedną ręką wyciągam ukrytą brzytwę, drugą zrywam kaptur. Dźgam Vixusa w ramię. Przyszpilam go do ściany i uderzam z byka w twarz. Jednak nawet na chemii nie jestem taki jak dawniej. Obraz przed oczami mi pływa. Potykam się. Nie to co Vixus. Zanim zdążę zareagować czy choćby zogniskować wzrok, wyciąga własną brzytwę.

Holiday zasłania mnie własnym ciałem, odpychając w bok. Padam na ziemię. Trigg jest jeszcze szybszy i ładuje lufę pistoletu prosto w otwarte usta Vixusa. Złoty zamiera, patrząc wzdłuż lufy, przesuwając językiem po zimnym metalu. Brzytwa zatrzymuje się parę centymetrów od głowy Holiday.

– Ćśś – szepcze Trigg. – Rzuć brzytwę.

Vixus robi, co mu każą.

– Coś ty sobie myślał? – pyta mnie gniewnie Holiday.

Dyszy ciężko i pomaga mi wstać. Nadal kręci mi się w głowie. Przepraszam. To było głupie z mojej strony. Staję pewniej i patrzę na Vixusa, który wpatruje się we mnie ze zgrozą. Nogi mi się trzęsą i muszę trzymać się poręczy w graWindzie. Serce kołaczy mi z wysiłku po narkotykach. Głupi byłem, że próbowałem walczyć. Głupi, że skorzystałem z zakłócacza. Zieloni skojarzą fakty. Przyślą Szarych, żeby sprawdzili pokój badań. Znajdą ciała.

Próbuję poskładać w całość rozpełzające się myśli.

Skup się.

– Victra żyje? – udaje mi się zapytać.

Trigg cofa lufę, tylko odrobinę, tuż za zęby, żeby Vixus mógł odpowiedzieć. Ale ten nie odpowiada. Na razie.

– Wiesz, co on mi zrobił? – pytam. Po chwili oporu Vixus kiwa głową. – I mimo to... – Śmieję się. Mój śmiech jest jak szczelina w lodzie, rozszerza się, rozprzestrzenia, sięga coraz dalej, roztrzaskuje lód na tysiąc możli-

wych sposobów, aż zagryzam język, żeby go powstrzymać. – Mimo to nadal masz odwagę kazać mi powtarzać pytanie?

– Żyje.

– Żniwiarzu... Przyjdą po nas. Zorientują się, że ktoś włączył zakłócacz – odzywa się Holiday, patrząc na małą kamerkę w suficie graWindy. – Nie możemy zmieniać planu.

– Gdzie ona jest? – Obracam brzytwę w ranie. – Gdzie ona jest?

Vixus syczy z bólu.

– Poziom dwudziesty trzeci, cela 2187. Rozsądek każe mnie nie zabijać. Możesz wsadzić mnie do celi. Uciec. Powiem ci, którądy powinienes uciekać, Darrow. – Mięśnie i żyły pod skórą jego szyi wiją się i wynurzają jak węże pod piaskiem. Nie ma na ciele grama tłuszczu. – Dwóch zdradzieckich pretorianów daleko cię nie zaprowadzi. Na tej górze siedzi cała armia. W mieście i na orbicie są legiony. Trzydziestu Niezrównanych Naznaczonych. Kościarze w południowej Attyce. – Kiwa głową na małą czaszkę szakała na klapie munduru. – Pamiętasz ich?

– Nie potrzebujemy go – warczy Trigg, przesuwając palcem po spuście broni.

– Czyżby? – Vixus się śmieje, widząc moją słabość, wraca mu pewność siebie. – A co ty zrobisz na widok Olimpijskiego Rycerza, blaszaku? Czekaj. Jest ich tu dwoje, prawda?

Holiday tylko prychnie.

– To samo, co ty byś zrobił na ich widok, złociutki. Zwiejemy.

– Poziom dwudziesty trzeci – mówię Triggowi.

Trigg wprowadza poziom na pulpicie sterowniczym windy, zmieniając naszą trasę ucieczki. Wywołuje mapę na terminalu i analizuje ją pobieżnie razem z Holiday.

– Cela 2187 jest... tu. Potrzebny będzie kod. I będą tam kamery.

– Za bardzo oddaliśmy się od drogi ucieczki. – Holiday zaciska usta. – Jeśli pójdziemy tędy, będziemy załatwieni.

– Victra to moja przyjaciółka – mówię. I myślałem, że nie żyje, ale jakimś cudem przetrwała, mimo że siostra ją postrzeliła. – Nie zostawię jej.

– Nie mamy wyboru – odpowiada Holiday.

– Zawsze jest wybór. – Te słowa brzmią słabo nawet w moich własnych uszach.

– Spójrz na siebie, człowieku. Została z ciebie skorupa!

– Opuść mu, Holi – odzywa się Trigg.

– Ta Złota suka nie jest jedną z nas! Nie umrę za nią.

Tyle że Victra oddałaby życie za mnie. W ciemności myślałem o niej. O dziecinnej radości w jej oczach, kiedy w gabinecie Szakala dałem jej buteleczkę petrichoru.

„Nie wiedziałam, Darrow, nie wiedziałam” – to były ostatnie słowa, które powiedziała mi po tym, jak Roque nas zdradził. Wokół szalała śmierć, Victra miała pociski w plecach, a chciała tylko, żebym pod koniec nie myślał o niej źle.

– Nie porzucę przyjaciółki – powtarzam z uporem.

– Pójdę za tobą – odpowiada przeciągle Trigg. – Zrobię, cokolwiek każesz, Żniwiarzu. Jestem twoim człowiekiem.

– Trigg – szepcze Holiday. – Ares powiedział...

– Ares nie zmienił biegu historii. – Trigg kiwa głową na mnie. – A on może to zrobić. Idziemy tam, gdzie on.

– A jeśli przegapimy naszą szansę?

– To stworzymy sobie nową.

Holiday ma szkliste oczy. Porusza potężną szczęką. Znam ten wyraz twarzy. Ona nie widzi w swoim bracie tego, co ja. Dla niej nie jest lurchem, zabójcą. Dla niej to chłopiec, z którym dorastała.

– W porządku. Wchodzę w to – zgadza się niechętnie.

– A co z Niezrównanym? – pyta Trigg.

– Wprowadzi kod, o ile dożyje – odpowiadam. – Zastrzel go, jeśli zacznie fikać.

* * *

Wysiadamy z windy na poziomie 23. Znowu mam kaptur na głowie. Holiday mnie prowadzi, a Vixus idzie przodem, jakby eskortował nas do celi. Trigg podąża tuż za nim z bronią w pogotowiu. W korytarzach jest cicho. Nasze kroki niosą się echem. Nie widzę niczego przez kaptur.

– To tu – mówi Vixus, gdy docieramy do drzwi.

– Wprowadź kod, dupku – rozkazuje Holiday.

Vixus wypełnia polecenie i drzwi otwierają się z sykiem. Otacza nas hałas, straszliwy biały szum z ukrytych głośników. W celi jest przeraźliwie zimno, wszystko jest kompletnie białe. Sufit jarzy się tak silnym światłem, że nie mogę nawet na niego spojrzeć. Wyniszczona lokatorka celi leży w kącie, skulona w pozycji płodowej, tyłem do mnie. Plecy ma pokryte sta-

rymi oparzeniami i poznaczone pręgami od bicia. Szopa tak jasných, że prawie białych włosów opada jej na oczy – jedyna rzecz, która osłania ją przed oślepiającym światłem. Nie zorientowałbym się, kim jest, gdyby nie dwie blizny od kul u szczytu kręgosłupa, między łopatkami.

– Victra! – przekrzykuję hałas. Nie słyszy mnie. – Victra! – krzyczę znowu, kiedy hałas milknie, zastąpiony odgłosem bicia serca.

Torturują ją dźwiękiem i światłem. Wrażeniami. Dokładnie odwrotna taktyka niż w moim przypadku. Teraz mnie słyszy, odwraca głowę w moją stronę. Jej złote oczy patrzą dziko spod skołunionych włosów. Nie wiem, czy mnie poznaje. Śmiałość, z jaką nosiła swoją nagość, przepadła bez śladu. Zasłania się. Wydaje się bezbronna. Przerazona.

– Podnieś ją – mówi Holiday, popychając Vixusa, który pada na brzuch. – Musimy iść.

– Jest sparaliżowana... – odzywa się Trigg. – Prawda?

– Szlag. W takim razie będziemy ją nieść.

Trigg podchodzi szybko do Victry. Wyciągam rękę, opieram ją na jego piersi, żeby go zatrzymać. Nawet w takim stanie mogłaby oderwać mu ręce. Pomny zgrozy, którą czułem, kiedy wyciągnięto mnie z dziury, podchodzę powoli do Victry. Mój własny strach wycofuje się w głąb mojego umysłu, zastąpiony gniewem na widok tego, co zrobiła jej własna siostra. Mam świadomość, że to moja wina.

– Victra, to ja, Darrow. – Nie zdradza się niczym, że mnie usłyszała. Przykucam obok niej. – Wyciągniemy cię stąd. Czy możemy cię podnieść...

Rzuca się na mnie, odpychając się rękami.

– Zdejmij twarz! – wrzeszczy. – Zdejmij twarz!

Miota się konwulsyjnie, kiedy Holiday podbiega i wali ją gromnikiem w krzyż. Ładunek elektryczny nie wystarcza.

– Padnij! – krzyczy Holiday.

Victra uderza ją w środek napierśnika z duroPlastu. Holiday leci kilka metrów do tyłu, uderza o ścianę. Trigg strzela z ambiKarabinu, wielofunkcyjnej długiej broni. Dwa pociski usypiające trafiają w udo Victry. To ją szybko załatwia. Jednak nawet gdy leży i dyszy na podłodze, patrzy na mnie zmrużonymi oczami, aż traci przytomność.

– Holiday... – zaczynam.

– Mam się pierwszorzędnie – stęka Holiday, podnosząc się. Ma w napierśniku wgniecenie wielkości pięści. – Piksa potrafi przywalić –

mówi, podziwiając wgniecenie. – Ta zbroja powinna wytrzymać pociski EM.

– Genetyka Julii – mruży Trigg.

Zarzuca sobie Victre na ramiona i wychodzi na korytarz za Holiday, która powarkuje na mnie, bym się pośpieszył. Zostawiamy Vixusa leżącego na brzuchu w celi. Żywego, tak jak obiecałem.

– Znajdziemy cię – mówi i siada, gdy idę zatrzaskać drzwi. – Wiesz, że cię znajdziemy. Powiedz małemu Sevro, że nadchodzimy. Jeden Barca z głowy. Został jeszcze jeden.

– Coś ty powiedział?

Wracam szybko do celi, a jemu w oczach zapala się strach. Ten sam, który musiała czuć Lea wiele lat temu, kiedy chowałem się w ciemności, gdy Antonia i Vixus torturowali ją, żeby mnie wywabić. Śmiał się, kiedy jej krew wsiąkała w mech. I potem, kiedy moi przyjaciele umierali w ogrodzie. Chciałby, żebym go teraz oszczędził, aby później móc znowu zabijać. Zło karmi się litością.

Moja brzytwa przybiera kształt sierpaka.

– Proszę... – błaga teraz, wąskie wargi mu drżą.

Widzę w nim chłopca, kiedy dociera do niego, że popełnił błąd. Gdzieś ktoś nadal go kocha. Pamięta go jako psotnego dzieciaka albo śpiącego malucha w kołysce. Szkoda, że nie pozostał tym dzieckiem. Szkoda, że wszyscy nimi nie pozostaliśmy.

– Miej serce, Darrow, nie jesteś mordercą. Nie jesteś Titusem.

Bicie serca w celi staje się głośniejsze. Białe światło zalewa Vixusa, tak że widzę tylko zarys sylwetki.

On chce mojej litości.

Moja litość przepadła w ciemności.

Bohaterowie w pieśniach Czerwonych znają miłosierdzie, mają honor. Oszczędzają ludziom życie, tak jak ja oszczędziłem życie Szakalowi, dzięki czemu nie plami ich grzech. Niech złoczyńca będzie tym złym. Niech on nosi czerń i próbuje mnie zadźgać, kiedy tylko odwrócę się plecami, a wtedy będę mógł się obrócić i go zabić. Satysfakcja bez poczucia winy. Tylko że to nie jest pieśń. To jest wojna.

– Darrow...

– Jesteś mi potrzebny, żeby przekazać Szakalowi wiadomość.

Podrzynam mu gardło. Kiedy pada na ziemię i pulsujące życie wypływa z niego, wiem, że się boi, bo nic na niego nie czeka po drugiej stronie.

Charczy. Skamle przed śmiercią. A ja nie czuję nic.

Mimo bicia serca w pomieszczeniu słyszę, jak zaczynają wyć syreny alarmowe.

Plan C

– Szlag – mówi Holiday. – Mówiłam, że nie mamy czasu.

– Damy radę – odpowiada Trigg.

Jesteśmy razem w windzie. Victra leży na podłodze. Trigg pomaga jej się ubrać w czarny strój przeciwdeszczowy, żeby zasłonić jej nagość. Kostki u rąk mi zbieleły. Krew Vixusa spływa po wizerunku dzieci bawiących się w tunelu. Kapie na moich rodziców i plami na czerwono włosy Eo, zanim otrę klingę o swój więzienny kombinezon. Zapomniałem, jak łatwo jest zabijać.

– Żyj dla siebie, umieraj samotnie – odzywa się cicho Trigg. – Można by się spodziewać, że zachowując tyle rozumu, będą mieli dość rozsądku, żeby nie być takimi dupkami. – Zerka na mnie, odrzucając włosy z szarych jak krzemień oczu. – Przepraszam, jeśli zachowałem się jak palant. Wie pan, jeśli był przyjacielem...

– Przyjacielem? – Kręcę głową. – On nie miał przyjaciół.

Pochyliam się, żeby odgarnąć włosy z twarzy Victry. Śpi spokojnie, oparta o ścianę. Ma policzki zapadnięte z głodu. Wąskie i smutne wargi. Jej rysy zyskały teraz dramatyczny rodzaj piękna. Zastanawiam się, co jej zrobili. Biedna kobieta, zawsze taka silna, taka zuchwała – i zawsze skrywająca w sobie dobroć. Zastanawiam się, czy coś z tej dobroci jeszcze w niej zostało.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Trigg. Nie reaguję. – Była pańską dziewczyną?

– Nie. – Dotykam brody, która mi wyrosła. Nie cierpię tego, jak mnie drapie i śmierdzi. Żałuję, że Danto nie zgolił także jej. – Nic nie jest w porządku.

Nie czuję nadziei. Nie czuję miłości.

Nie, kiedy patrzę na to, co zrobili z Victrą. Co zrobili ze mną.

Nienawiść rządzi.

Nienawiść także do tego, czym się stałem. Czuję na sobie spojrzenie Trigga. Wiem, że jest rozczarowany. Chciał Żniwiarza, a ja jestem pustą skorupą tamtego człowieka. Przesuwam palcami po żebrach. Tyle cieniutkich kosteczek... Za dużo obiecałem tym Szarym. Wszystkim za dużo obiecałem, zwłaszcza Victrze. Była wobec mnie uczciwa. A czym ja byłem wobec niej, jeśli nie kolejnym człowiekiem, który chciał się nią posłużyć? Kolejną osobą, przed którą jej matka uczyła ją się bronić?

– Wiecie, czego nam trzeba? – pyta Trigg.

Przyglądam mu się uważnie.

– Sprawiedliwości?

– Zimnego piwa.

Parskam gwałtownym śmiechem. Za głośnym. Aż sam się go przestraszyłem.

– Szlag by to... – mruczy Holiday, przesuwając dłońmi po pulpicie sterowniczym. – Szlag, szlag, szlag.

– Co jest?

Utknęliśmy między poziomami 24 i 25. Holiday uderza w przyciski, gdy nagle winda szarpie się w górę.

– Przejęli kontrolę nad windą. Nie zjedziemy do hangaru. Przekierowują nas... – Wypuszcza powietrze z płuc i podnosi na mnie wzrok. – Na poziom pierwszy. Szlag, szlag, szlag! Będą czekali na nas lurcherzy, może Obsydianowi... może Złoci. – Milknie. – Wiedzą, że tu jesteś.

Zwalczam rozpacz, która wypływa mi prosto z trzewi. Nie wrócę. Cokolwiek się stanie. Zabiję Victrę, zabiję siebie, zanim pozwolę im nas zabrać.

Trigg pochyla się nad siostrą.

– Dasz radę zhakować system?

– Do diabła, a kiedy twoim zdaniem miałam czas się tego nauczyć?

– Szkoda, że nie ma z nami Ephraima. On by potrafił.

– Niestety nie jestem Ephraimem.

– A co powiesz na wspinaczkę?

– Jeśli chcesz, żeby została po tobie mokra plama.

– W takim razie zostaje nam tylko jedno wyjście. Nie? – Trigg sięga do kieszeni. – Plan C.

– Nie cierpię planu C.

– Trudno. Będzie do bani i czas się z tym pogodzić, skarbie. Wyciągaj barbarzyńcę.

– Co to jest plan C? – pytam cicho.

– Eskalacja. – Trigg włącza system łączności. Kody rozbłyskują na ekranie, kiedy przechodzi na bezpieczną częstotliwość. – Grasant do Biesa, jak mnie słyszysz? Grasant...

– Tu Bies – niesie się echem widmowy głos. – Podaj kod uwierzytelniający Echo. Odbiór.

Trigg zerka na swój terminal.

– 13439283. Odbiór.

– Kod przyjęty.

– Potrzebujemy awaryjnego transportu za pięć minut. Mamy księżniczkę i dodatkowego gościa w stadium drugim.

Po drugiej stronie na chwilę zapada cisza.

– Późno dajecie znać. – Mimo zakłóceń ulga w głosie jest ewidentna.

– Morderstwo rzadko jest punktualne.

– Bądźcie na miejscu za dziesięć minut. Utrzymajcie go przy życiu.

Łączność zostaje przerwana.

– Cholerni amatorzy – mruczy Trigg.

– Dziesięć minut – powtarza Holiday.

– Bywaliśmy w gorszych opałach.

– Niby kiedy?

Trigg nie odpowiada.

– Trzeba było zjechać do tego cholernego hangaru – dodaje Holiday.

– Co mogę zrobić? – pytam. Wyczuwam ich strach. – Jak mogę pomóc?

– Nie umieraj – odpowiada Holiday, zdejmując plecak. – Bo cała nasza robota pójdzie się paść.

– Będzie pan musiał ciągnąć swoją przyjaciółkę – mówi Trigg.

Zdejmuje z siebie cały sprzęt z wyjątkiem zbroi. Wyjmuje kolejną antyczną broń z plecaka: dwa pistolety, na dokładkę do gazowego ambikarabinu o dużym zasięgu. Wręcza mi pistolet. Ręka mi się trzęsie. Nie trzymałem takiej broni, odkąd miałem szesnaście lat i trenowałem u Synów Aresa. Jest ogromnie niewydajna i ciężka, a na skutek odrzutu także okrutnie niecelna.

Holiday wyciąga z plecaka wielkie plastikowe pudełko. Jej palce zamierają na chwilę nad zatrząskami.

Otwiera pudło i odsłania leżący w środku metalowy cylinder z wirującą kulą rtęci w środku. Wpatruję się w to urządzenie. Gdyby Wspólnota złapała Holiday z czymś takim, dziewczyna nigdy więcej nie ujrzałaby światła

dziennego. To skrajnie nielegalna zabawka. Zerkam na wyświetlacz na ścianie graWindy. Jeszcze dziesięć poziomów. Holiday wyjmuję pilot do cylindra. Osiem poziomów.

Czy Cassius będzie tam czekał? Aja? Szakal? Nie. Pierwszych dwoje jest na statku, przygotowują się do kolacji. A Szakal jest zajęty własnym życiem. Nie wiedzą, że alarm dotyczy mnie. A nawet jeśli wiedzą, spóźnią się. Jednak nawet i bez nich mamy dość powodów do strachu. Byle Obsydianowy mógłby rozerwać tę dwójkę gołymi rękami. Trigg to wie. Zamyka oczy, dotyka piersi w czterech miejscach, kreśląc krzyż. Obrączka ślubna błyszczy słabo w przyćmionym świetle. Holiday zauważa ten gest, ale go nie powtarza.

– To jest nasz zawód – mówi do mnie cicho – więc schowaj dumę w kieszeń. Trzymaj się za naszymi plecami i pozwól mnie i Triggowi wykonać naszą robotę.

Trigg kręci głową na wszystkie strony, aż strzelają mu kręgi szyjne, i całuje palec serdeczny lewej dłoni przez rękawiczkę.

– Proszę trzymać się blisko. Przykleić się nam do tyłków. Nie ma co się krygować.

Jeszcze trzy poziomy.

Holiday przygotowuje trzymany w prawej ręce karabin i żuje zaciekle gumę. Lewy kciuk trzyma na pilocie. Jeden poziom. Zwalniamy. Obserwujemy dwuskrzydłowe drzwi. Łapię nogi Victry i ściskam je pod pachami.

– Kocham cię, smarku – mówi Holiday.

– Ja ciebie też kocham, skarbie – mruczy Trigg; ma teraz napięty, wręcz mechaniczny głos.

Boję się teraz bardziej, niż kiedy leżałem w astroPancerzu w komorze wyrzutni przed Deszczem. Boję się nie tylko o siebie, ale też o Victrę i o rodzeństwo. Chcę, żeby przeżyli. Chcę dowiedzieć się czegoś o Pacyfice Południowej. Chcę wiedzieć, jakie numery wykręcali swojej matce, czy mieli psa, dom w mieście czy na wsi...

GraWinda zatrzymuje się z jękiem.

Światło nad wyjściem rozbłyskuje. Grube metalowe drzwi, które oddzielają nas od plutonu elitarnych żołnierzy Szakala, rozsuwają się z sykiem. Dwa błyszczące energoGranaty wpadają i przyczepiają się do ścian. *Bip. Bip.* Holiday przyciska guzik na pilocie. Basowy huk implozji rozrywa ciszę w windzie, kiedy ze sferycznego urządzenia u naszych stóp wydobywa się niewidzialny impuls elektromagnetyczny. Granaty zdychają.

Światło gaśnie w windzie i na zewnątrz. Wszyscy Szarzy czekający za drzwiami z supernowoczesną bronią impulsową, wszyscy Obsydianowi w ciężkich zbrojach z elektromagnetycznymi stawami i w super hełmach z filtrami powietrza obrywają średniowieczem prosto w gębę.

Za to antyki Holiday i Trigga nadal działają. Rodzeństwo wychodzi z windy na kamienny korytarz, garbiąc się nad swoją bronią jak dwa złowrogie gargulce. To rzeź. W rozległych wnętrzach dwójka strzelców wyborowych krótkimi seriami archaicznych pocisków kosi bezbronnych Szarych, którzy nie mają się gdzie schować. Rozbłyśki w korytarzu. Potężny huk karabinów dużej mocy. Zęby mi szczękają. Zamieram w windzie. Dopiero kiedy Holiday krzyczy do mnie, pędzę za Triggim, ciągnąc za sobą Victrę.

Trzech Obsydianowych pada, kiedy Holiday ciska antycznym granatem. *Bum!* Dziura pojawia w suficie. Sypie się tynk. Pył. Krzesła i Miedziani wypadają przez otwór z pomieszczenia piętro wyżej i lądują w ogniu walki. Dopada mnie hiperwentylacja. Głowa jakiegoś mężczyzny odskakuje do tyłu. Jego ciało koziółkuje na ziemię. Jakaś Szara ucieka, szukając osłony w głębi kamiennego korytarza. Holiday trafia ją w kręgosłup. Szara wyklada się jak dziecko na lodzie. Wszędzie coś się rusza. Z boku szarżuje Obsydianowy.

Strzelam z pistoletu, potwornie pudłuję. Kula odbija się od jego zbroi. Dwieście kilogramów żywego ciała unosi jonowy topór, którego głównia nadal jest ostra, nawet jeśli bateria padła. Z gardła Obsydianowego dobywa się typowy dla jego rodzaju lament pieśni bojowej... i nagle z hełmu bucha gejzer czerwonej mgły. Kula przechodzi przez oczodół i otwór w hełmie. Trigg już zajmuje się kolejnym celem, wbija metal w ludzi z cierpliwością rzemieślnika wbijającego gwoździe w drewno. Nie ma w tym pasji. Nie ma maestrii. Tylko trening i fizyka.

– Żniwiarz, rusz tyłek! – krzyczy Holiday.

Szarpie mnie w głąb korytarza, z dala od chaosu. Biegnący za nami Trigg rzuca samoprzylepnym granatem w udo Złotego bez zbroi, który uskoczył przed czterema strzałami z jego karabinu. *Bum!* Z kości i mięsa zostaje krwawa mgiełka.

Brat i siostra przeładowują w biegu, a ja staram się po prostu nie zemdleć ani nie upaść.

– W prawo za pięćdziesiąt kroków, a potem schodami w górę! – warczy Holiday. – Mamy siedem minut.

W korytarzach jest upiornie cicho. Nie ma syren. Nie ma świateł. Podgrzane powietrze nie szumi w przewodach wentylacyjnych. Słysząc tylko huk naszych kroków, krzyki w oddali, trzeszczenie w moich stawach i rżenie w płucach. Mijamy okno. Okręty, czarne i martwe, spadają z nieba. Tam, gdzie lądują, wybuchają małe pożary. Tramwaje zatrzymują się gwałtownie na magnetycznych szynach. Jedyne światła, które nadal płoną, to te na dwóch najbardziej odległych szczytach. Wkrótce zjawia się posiłki z działającym wyposażeniem, ale nie będą wiedzieli, co się stało. Gdzie szukać. Ponieważ kamery i skanery biometryczne padły, Cassius i Aja nie będą w stanie nas znaleźć. To może ocalić nam życie.

Wbiegamy po schodach. Skurcze szarpią mi prawą łydką i ścięgnem podkolanowym. Stękam i prawie się przewracam. Holiday podtrzymuje większość mojego ciężaru. Napiera masywną szyją na moją pachę. Za naszymi plecami Trzech Szarych dostrzega nas z dołu długich marmurowych schodów. Holiday odpycha mnie na bok, załatwia dwóch z karabinu, ale trzeci zdąża strzelić. Kule nadgryzają marmur.

– Mają gazową broń w zapasie – warczy Holiday. – Ruchy. Ruchy!

Jeszcze dwa razy skręcamy w prawo, mijamy kilkoro podKolorów, którzy gapią się na mnie z rozdziawionymi ustami, biegniemy przez marmurowe sale z wysokimi sufitami i greckimi posągami, mijamy galerie, gdzie Szakał trzyma skradzione skarby. Kiedyś pokazał mi tutaj deklarację Hancocka oraz zakonserwowaną głowę ostatniego władcy imperium amerykańskiego.

Mięśnie mi płoną. W boku potwornie kłuje.

– Tutaj! – krzyczy wreszcie Holiday.

Dobiegamy do drzwi dla personelu w bocznym holu i wychodzimy na zimne światło dzienne. Wiatr mnie połyka. Lodowate zęby przegryzają się przez kombinezon, kiedy nasza czwórka wychodzi chwiejnie na metalowy pomost biegnący wzdłuż muru fortecy Szakała. Na prawo od nas kamienna góra ustępuje nowoczesnemu budynkowi z metalu i szkła. Po lewej ciągnie się głęboka na tysiąc metrów przepaść. Śnieg wiruje przed górkim zbożem. Wiatr wyje. Brniemy przed siebie pomostem, aż okrąży część twierdzy i połączy się z brukowanym mostem, który prowadzi do opuszczonego lądowiska niczym ręka szkieletu trzymająca betonowy talerz pokryty śniegiem.

– Cztery minuty – woła Holiday.

Pomaga mi przejść przez most do lądowiska, na końcu rzuca mnie na ziemię. Układam Victre obok siebie. Twarda skorupka lodu sprawia, że beton jest gładki i jego szarość ma dymny odcień. Przy wysokiej do pasa betonowej ścianie, która odgradza lądowisko od tysięczmetrowej przepaści, zbierają się zaspasy.

– Mam osiemdziesiąt w długim magazynku, szóstkę w staroci – woła do siostry Trigg. – A potem koniec.

– Ja mam dwanaście – odpowiada Holiday. Rzuca mały pojemnik, który otwiera się z trzaskiem i zielony dym unosi się w powietrze. – Musimy utrzymać most.

– Mam sześć min.

– Rozmieść je.

Trigg odbiega. Na końcu mostu są zamknięte pancerne drzwi, znacznie szersze niż boczne przejście, którym przyszlismy. Drżący i oślepiiony światłem odbitym od śniegu przyciągam Victre do siebie i blisko murku, żeby osłonić ją przed wiatrem. Płatki śniegu zbierają się na jej czarnym stroju przeciwdeszczowym. Sypią się, jak sypał się popiół, kiedy Cassius, Sevro i ja spaliliśmy cytadelę Domu Minerwy i ukradliśmy im kucharkę.

– Wszystko będzie dobrze – mówię jej. – Damy radę.

Zerkam ponad murkiem na miasto w dole. Panuje tam przedziwny spokój. Wszystkie dźwięki, wszystkie kłopoty zostały uciszone przez impuls elektromagnetyczny. Patrzę, jak płatek śniegu większy od innych dryfuje na wietrze i zatrzymuje się na moim knykcium.

Jak ja tu wylądowałam? Chłopak z kopalni, który teraz jest drżącym upadłym wojownikiem, spogląda w dół na wygaszone miasto i wbrew wszystkiemu ma nadzieję, że zdoła wrócić do domu. Zamykam oczy, żałując, że nie jestem wśród przyjaciół, wśród rodziny.

– Trzy minuty – mówi za mną Holiday. Obronnym gestem dotyka mnie ręką w rękawicy, patrząc na niebo i wypatrując wrogów. – Trzy minuty i już nas tu nie ma. Tylko trzy minuty.

Chciałbym jej wierzyć, ale właśnie śnieg przestał padać.

6

Ofiary

Przez zmrużone powieki patrzę za plecy Holiday. Opalizujące tarcze obronne opadają na swoje miejsca nad siedmioma szczytami Attyki, odcinając nas od chmur i nieba. Generator tarcz musiał znajdować się poza zasięgiem impulsu elektromagnetycznego. Nie otrzymamy zza nich żadnej pomocy.

– Trigg! Wracaj tutaj! – krzyczy Holiday, kiedy jej brat umieszcza ostatnią minę na moście.

Pojedynczy strzał przecina zimowy poranek. Echo jest przykre i zimne. Rozlegają się kolejne.

Trzask, trzask, trzask.

Śnieg wzbija się wokół Trigga. Chłopak pędzi z powrotem, a Holiday pochyla się, żeby go osłonić; karabin kołysze jej się na ramieniu. Z trudem się podnoszę. Oczy mnie bołą, kiedy oślepiiony słońcem próbuję zogniskować wzrok. Beton wybucha przede mną. Odłamki ranią mi twarz. Chowam się, trzęsąc się ze strachu. Ludzie Szakala znaleźli zapasową broń.

Znowu wyglądam. Spod zmrużonych powiek widzę, że Trigg został przyszpilony w połowie drogi do nas i trwa wymiana ognia z oddziałem Szarych z gazowymi karabinami. Wylewają się z fortecy przez pancerne drzwi, które teraz otworzyły się przy drugim końcu mostu. Dwóch padło. Kolejni dwaj zbliżają się do miny i znikają w chmurze dymu, kiedy Trigg strzela im pod nogi. Holiday załatwia kolejnego. W tej samej chwili Trigg chwiejnie dopada osłoniętego miejsca, trafiony w ramię. Robi sobie w udo zastrzyk ze stymulantu i zaraz wychyla się z powrotem. Kula rykoszetuje przede mną na betonie i uderza w Holiday, z mięsistym głuchym odgłosem trafia w żebra tuż pod pachą.

Dziewczyna pada na ziemię. Kanonada zmusza mnie do przykucnięcia obok niej. Z góry sypie się beton. Holiday pluje krwią, a jej oddechowi towarzyszy wilgotny, flegmisty odgłos.

– Oberwałam w płuco – sapie.

Na oślep wyjmuję ze schowka na udzie strzykawkę ze stymem. Gdyby obwody w jej zbroi nie zostały usmażone, otrzymałaby leki automatycznie, a tak sama musi otworzyć kaburę i ręcznie podać dawkę. Pomagam jej wyjąć mikrostrzykawkę i robię zastrzyk w szyję. Źrenice jej się rozszerzają, oddech zwalnia, lek krąży po ciele razem z jej krwią. Obok mnie leży Victra. Ma zamknięte oczy.

Ostrzał się urywa. Wychylam się ostrożnie. Szarzy Szakala chowają się za betonowymi murkami i pylonami po drugiej stronie mostu, jakieś sześćdziesiąt metrów od nas. Trigg ponownie ładuje broń. Słuchać tylko wiatr. Coś jest nie tak. Przeszukuję niebo, obawiając się tej ciszy. Zbliża się Złoty. Wyczuwam to w pulsie walki.

– Trigg! – krzyczę, aż ciało mi dygoce. – Biegiem!

Holiday widzi moją minę. Podnosi się z trudem, rzeżąc z bólu, kiedy Trigg porzuca swoją kryjówkę. Buty ślizgają mu się na oblodzonym moście. Przewraca się, podnosi, gramoli się ku nam przerażony. Za późno. Za jego plecami Aja au Grimmus wypada przez drzwi fortecy, mija czających się w cieniach Szarych i Obsydianowych. Ma na sobie czarną kurtkę od munduru galowego. Błyskawicznie dogania Triggę, ma dużo dłuższe nogi. To najsmutniejsza scena, jaką widziałem w życiu.

Ja strzelam z pistoletu, Holiday opróżnia magazynek karabinu. Trafiamy tylko w powietrze. Aja robi uniki, kręci piruety, a kiedy Trigg jest dziesięć kroków od nas, przeszywa mu pierś brzytwą. Połyskujący wilgotno metal wystaje mu z mostka. Zszokowany Trigg wytrzeszcza oczy. Z jego ust wyrывa się ciche westchnienie. A potem krzyczy, kiedy zostaje uniesiony w powietrze. Nadziany na brzytwę Ai wygląda jak drgająca żaba na końcu prowizorycznej włóczni.

– Trigg... – szepcze Holiday.

Ruszam chwiejnym krokiem do przodu, w stronę Ai, też wyciągam brzytwę, ale Holiday szarpie mnie do tyłu, za murek. Kule wystrzelone z daleka przez Szarych siekają beton wokół nas. Krew Holiday topi pod nią śnieg.

– Nie bądź głupi – warczy, ściągając mnie na dół resztkami sił. – Nie możemy mu pomóc.

– To twój brat!

– Nie jest celem misji. Ty jesteś.

– Darrow! – woła z mostu Aja.

Holiday się wychyla i patrzy na Złotą. Cała krew odpływa jej z twarzy. Aja trzyma Trigga w górze, w jednej ręce, nadzianego na brzytwę. Chłopak wije się na ostrzu, zsuwa ku jej dłoni.

– Mój łaskawy panie, skończył się czas chowania za innymi. Wychodź.

– Ani się waż – odzywa się Holiday.

– Wyjdź – mówi Aja.

I zrzuca Trigga z mostu. Chłopak spada dwieście metrów, zanim jego ciało roztrzaskuje się o granitową półkę.

Z piersi Holiday wyrывa się taki odgłos, jakby walczyła z wymiotami. Unosi karabin i pociąga za spust kilkanaście razy, celując w Furie. Aja pochyla się, zanim orientuje się, że z broni Holiday nie pada żaden strzał. Ciągnę Holiday w dół i kula snajpera celującego w jej pierś trafia w karabin: druzgocze go i wyrывa jej z dłoni, gruchocząc przy okazji palec. Siedzimy roztrzęsieni, przyciskając plecy do betonu. Victra leży między nami.

– Przykro mi – udaje się mi wykrztusić.

Holiday mnie nie słyszy. Ręce trzęsą jej się bardziej niż mnie. Nie ma łez w jej zapatrzonych w dal oczach. Nie ma ani odrobiny koloru w jej pozbitej twarzy.

– Przyjdą – mówi po chwili wypełnionej głuchą ciszą. Śledzi wzrokiem zielony dym. – Muszą przyjść.

Krew przesiąka jej przez ubranie i ścieka kącikiem ust, zanim zamarznie w połowie szyi. Holiday ściska nóż, który miała schowany w bucie, i próbuje się podnieść, ale jej ciało odmawia współpracy. Oddechem towarzyszy wilgotny, flegmisty odgłos, wydechane powietrze pachnie miedzią.

– Przyjdą – powtarza.

– Jaki jest plan? – pytam ją. Oczy jej się zamykają. Potrząsam nią. – Jak tu dotrą?

Kiwa głową na brzeg lądowiska.

– Słuchaj.

– Darrow! – Cassius przekrzykuje wiatr. Dołączył do Ai. – Darrowie z Lykos, wyjdź! – Jego dźwięczny głos nie pasuje do tej chwili. Jest zbyt królewski, wysoki i nietknięty smutkiem, który nas pochłania. Ocieram łzy z oczu. – Musisz zdecydować, czym będziesz w ostatnich chwilach. Wyjdiesz jak człowiek? Czy musimy cię wykopać jak szczura z jaskini?

Gniew zaciska mi pierś, ale nie chcę wstawać. Kiedyś bym wstał – dawniej, gdy nosiłem zbroję Złotego i myślałem, że stanę nad zabójcą Eo i ujawnię swoją prawdziwą tożsamość; ich miasta miały wtedy spłonąć, ich

Kolor upaść. Jednak zbroja przepadła. Maskę Żniwiarza przeżarły wątpliwości i ciemność. Jestem zwykłym chłopcem, trzęsę się i kryję przed wrogiem, bo znam cenę swojej porażki i bardzo się boję.

Nie dam się pojmać. Nie będę ich ofiarą i nie pozwolę, żeby Victra znówu wpadła w ich ręce.

– Walić to – mówię.

Łapię Holiday za kołnierz, a Victrę za rękę. Oczy rozbłyskują mi z wysiłku, oślepione przez słońce odbite od śniegu. Z odrętwiałą twarzą ciągnę dziewczyny ze wszystkich sił. Wynurzam się z kryjówki i idę przez lądowisko na drugi jego koniec, gdzie ryczy wiatr.

Moi wrogowie milczą.

Nieżył muszę przedstawiać widok: chwiejny krok, wymizerowane ciało, wlokę dwie przyjaciółki, oczy mam zapadnięte, twarz jak u zagłodzonego starego demona, brodatego i idiotycznego. Żałosny obrazek. Dwadzieścia metrów za mną dwoje Rycerzy Olimpijskich stoi władczo na moście w miejscu, gdzie ten łączy się z lądowiskiem. Towarzyszy im pięćdziesięciu Szarych i Obsydianowych, którzy wyszli za nimi przez drzwi prowadzące do cytadeli. Srebrna brzytwa Ai ocieka krwią. Jednak to nie jest jej klinga. To broń Lorna, ukradła ją trupowi. Mam mokre pantofle. Palce stóp mnie bolą.

Tamci sprawiają wrażenie malutkich na tle ściany ogromnej górskiej cytadeli. Ich metalowa broń jest taka drobna i prosta. Patrząc na prawo, za most. Kilka kilometrów dalej oddział wojska podrywa się z odległego górskiego szczytu, którego nie dosięgnął impuls elektromagnetyczny. Żołnierze skręcają ku nam, lecąc przez niską warstwę chmur. Za nimi podążają myśliwce.

– Darrow! – woła do mnie Cassius. We dwoje z Ają schodzą z mostu na lądowisko. – Nie możesz uciec. – Obserwuje mnie, jego wzrok pozostaje nieodgadniony. – Aktywowano tarczę. Niebo zostało odcięte. Żaden statek nie może po ciebie przylecieć. – Zerka na zielony dym kłębiący się z pojemnika na lądowisku w zimowym powietrzu. – Pogódź się ze swoim losem.

Wiatr wyje między nami, niosąc płatki śniegu zerwane z góry.

– Z dysekcją? – pytam. – Myślisz, że na to zasłużyłem?

– Jesteś terrorystą. Straciłeś wszelkie prawa, jakie ci przysługiwały.

– Prawa? – warczę ponad Victrą i Holiday. – Prawo, żeby pociągnąć za stopy swoją powieszoną żonę? Żeby patrzeć na śmierć swojego ojca? – Pró-

buję splunąć, ale tylko opluwam sobie wargi. – Jakim prawem mi ich odebraliście?

– Nie ma tu miejsca na debatę. Jesteś terrorystą i sprawiedliwości musi stać się zadość.

– W takim razie czemu ze mną rozmawiasz, ty parszywy hipokryto?

– Bo honor wciąż ma znaczenie. Honor jest tym, co powraca echem.

To słowa jego ojca. Brzmia jednak w jego ustach równie pusto, jak w moich uszach. Ta wojna odebrała mu wszystko. Widzę w jego oczach, jak bardzo jest złamany. Jak potwornie trudno jest pozostać synem swojego ojca. Gdyby mógł, wołałby wrócić do Instytutu i znów siedzieć przy naszym ognisku na wyżynach. Cofnąłby się do dni chwały, kiedy życie było proste, a przyjaciele wydawali się prawdziwi. Jednakże marzenie o powrocie do przeszłości nie zmyje krwi z rąk żadnego z nas.

Słucham wiatru zawodzącego nad doliną. Piętami dotykam krawędzi lądowiska. Za mną jest już tylko powietrze... powietrze i zmienna topografia ciemnego miasta dwa tysiące metrów niżej.

– On skoczy – mówi cicho Aja do Cassiusa. – A my potrzebujemy ciała.

– Darrow... nie rób tego – prosi Cassius.

Jego oczy mówią mi jednak, żebym skoczył, żebym wybrał tę drogę, zamiast się poddać, zamiast polecieć na Lunę, gdzie rozbiorą mnie na części. To jego szlachetna droga. Znowu okrywa mnie peleryną.

Nienawidzę go za to.

– Uważasz się za honorowego? – syczę. – Uważasz się za dobrego? Kto został z tych, którzy cię kochają? Za kogo walczysz? – Gniew przecieka do moich słów. – Zostałeś sam, Cassiusie. Nie to co ja. Nie byłem sam ani wtedy, kiedy stawiałem czoło twojemu bratu podczas Próby, ani kiedy ukrywałem się wśród was, ani kiedy siedziałem w ciemności. Nawet teraz. –

Ściskam ciało nieprzytomnej Holiday z całej siły, wplatom palce w paski jej zbroi. Mocniej ujmuję rękę Victry. Pięty mi zgrzytają na krawędzi betonu. – Posłuchaj wiatru, Cassiusie. Posłuchaj tego parszywego wiatru.

Rycerze przechylają głowy, nasłuchując. Nadal nie rozumieją dziwnego jęku niosącego się z dna doliny, bo niby skąd syn i córka Złotych mogliby znać dźwięk świdroSzponu przegryzającego się przez skałę? Jak mogliby odgadnąć, że moi ludzie nie przybędą z nieba, ale z serca planety?

– Do widzenia, Cassiusie – mówię. – Jeszcze się spotkamy.

Odbijam się od krawędzi obiema nogami i skaczę w pustkę, ciągnąc za sobą Holiday i Victrę.

Trzmiele

Spadamy w stronę stopionego oka w sercu pokrytego śniegiem miasta. Tam, pośród rzędów fabryk, budynki dygocą i przechylają się, kiedy ziemia wznosi się do góry. Rury pękają i wynurzają się na powierzchnię. Para bucha z popękanego asfaltu. Eksplodujące gazy tworzą falującą koronę, kreślą linie ognia wzdłuż ulic, które wyginają się i podnoszą, jakby sam Mars wyciągał się w górę na sześć kondygnacji, żeby urodzić jakiegoś prastarego lewiatana. A potem, kiedy ziemia i miasto nie mogą się już bardziej rozciągnąć, świdroSzpon wyrывa się na zimowe powietrze – tytaniczna metalowa ręka ze stopionymi palcami, które dymią, chwytają... i znikają, gdy świdroSzpon zanurza się z powrotem w głąb Marsa, wciągając za sobą pół kwartału zabudowy.

Za szybko spadamy.

Za wcześnie zeskoczyłem. Victra zaczyna mi się wysuwać z dłoni.

Ziemia pędzi nam na spotkanie.

I wtedy grom dźwiękowy rozrywa powietrze.

A potem drugi. I jeszcze jeden, aż cały ich chór dobiega z tunelu wyrąbanego przez świdroSzpon, gdy rodzi się z niego mała armia. Dwa, dwadzieścia, pięćdziesiąt uzbrojonych kształtów w grawiButach wypada z hukiem z ciemności i leci w naszą stronę. Są na lewo i prawo ode mnie. Pomalowane na krwistoczerwono zalewają niebo za nami ogniem impulsowym. Włosy stają mi dęba, czuję zapach ozonu. Rozgrzana tarcia amunicja świeci na niebiesko, kiedy przedziera się przez cząsteczki powietrza. Minidziałka zamontowane na ludzkich ramiona plują śmiercią.

Pośród wznoszących się w powietrze Synów Aresa uzbrojony szkarłatny mężczyzna w kolczastym hełmie swojego ojca śmiga naprzód i łapie Victrę na sekundy przed tym, jak ta uderzyłaby o dach wieżowca. Wycie wilka rozlega się z głośników jego hełmu. To sam Ares. Mój najlepszy przyjaciel na świecie nie zapomniał o mnie. Przybył ze swoim legionem burzycieli

imperium, terrorystów i renegatów – Wyjców. Za nim leci tuzin metalowych mężczyzn i kobiet w czarnych wilczych pelerynach. Największy z nich ma nieskazitelnie białą zbroję z niebieskimi odciskami dłoni na piersi i ramionach. Jego czarna peleryna jest splamiona czerwonym pasem pośrodku. Przez chwilę myślę, że to Pax powrócił dla mnie z martwych, ale kiedy łapie mnie i Holiday, widzę niebieskie symbole wyrysowane w niebieskiej farbie śladów dłoni. To symbole z południowego bieguna Marsa, to Ragnar Volarus, książę Wieżyc Walkirii. Rzuca Holiday innemu Wyjcowi i przesuwam mnie sobie na plecy, żebym mógł złapać go za szyję, wbijając palce w nity zbroi. Zakręca nad dymiącym miastem w stronę tunelu.

– Trzymaj się mocno, młodszy bracie – woła do mnie.

I daję nura. Na lewo ode mnie Sevro trzyma Victrę, wszędzie wokół nas są Wyjce, z ich grawiButów niesie się wizg, gdy spadamy w ciemność tunelu. Wróg nas ściga. Odgłosy są potworne. Wrzask wiatru. Pękająca skała, kiedy ogień z broni impulsowej ryje ściany za nami. Skowyt broni. Żuchwa mi szczeka o metalowe ramię Ragnara. Jego grawiButy wibrują, pracując z całą mocą. Śruby zbroi wbijają mi się w żebra. Bateria na wysokości jego kości ogonowej wali mnie w krocze, kiedy kluczymy i śmigamy w ciemności. Sunę na metalowym rekinie w głąb trzewi wściekłego morza. W uszach mi szumi. Wiatr gwizdże. Obrywam kamykiem w czoło. Krew zalewa mi twarz, piecze w oczy. Jedyne światło to poświata butów i błyski wystrzałów.

Skóra na prawym ramieniu nagle płonie mi z bólu: strzał impulsowy chybił o kilka cali. Mimo to mam pęcherze na skórze, która dymi. Rękaw kombinezonu staje w ogniu. Wiatr gasi płomień, ale ostrzał trafia tym razem w grawiButy Syna Aresa tuż przede mną i topi mu nogi w pojedynczy kawał metalu. Mężczyzna szarpie się w locie, uderza w sufit i jego ciało wiotczeje. Gubi hełm, który leci prosto na mnie.

* * *

Czerwone światło migocze mi przez powieki. Mięsisty dym wypełnia powietrze. Drapie mnie w gardło. Zwęglona tkanka tłuszczowa. Pierś rozżarzona z bólu. Trzęsawisko wrzasków, wycia i nawoływań matki. I coś jeszcze. Brzęczenie trzmieli w uszach. Ktoś jest nade mną. Widzę go w czerwonym świetle, gdy otwieram oczy. Krzyczy mi w twarz. Przyciska mi maskę do ust. Wilgotna wilcza peleryna zwiesza się z metalowych

ramion, łaskocze mnie w szyję. Dotykają mnie inne ręce. Świat wibruje, przechyla się.

– Sterburta! Sterburta! – ktoś krzyczy w oddali, głos dochodzi jakby spod wody.

Jesteśmy na statku, otaczają mnie umierający mężczyźni. Spalone, powykręcane skorupy zbroi. Na nich siedzą mniejsi ludzie, pochyleni jak sępy, z piłami jarzącymi się w rękach, kiedy rozcinają pancerze, próbując uwolnić umierających. Obok mnie leży chłopiec. Ma szeroko rozwarte oczy. Osmoloną zbroję. Skóra na jego policzkach jest młoda i gładka pod warstwą sadzy i krwi. Jeszcze nie ma zmarszczek od uśmiechu wokół ust. Jego oddech staje się coraz krótszy i szybszy. Porusza wargami, wypowiada moje imię.

I umiera.

8

Dom

Jestem sam, z dala od zgrozy, stoję nieważki i czysty na drodze, która pachnie mchem i ziemią. Dotykam stopami gruntu, ale nie czuję go pod sobą. Po obu moich stronach rozciąga się trawa targanych wiatrem wrzosowisk. Niebo przecina błyskawica. Nie mam Pieczęci na rękach i dryfuję wzdłuż kamiennego muru, który wiję się zakolami z obu stron. Kiedy zacząłem iść? Gdzieś w oddali unosi się dym z palonego drewna. Idę drogą, ale nie czuję, żebym miał wybór. Przywołuje mnie głos zza wzgórza.

*O! grobie, ty komnato ślubna, domie mój,
Co mnie na zawsze zamkniesz wśród więziennych ścian,
Gdzie ja do krewnych idę, których tylu już
Zabrała Persefona w swój podziemny kraj;
Ostatnia pójdę tam, najnieszczęśliwsza z nich,
Choć życie me nie doszło jeszcze kresu dni. —
Lecz krzepi mnie nadzieja, że gdy przyjdę tam,
Powita mnie serdecznie ojciec, również ty,
Kochana matko i twa, bracie, droga twarz.
Bo zmarłych was obmyła moja własna dłoń... ¹*

To głos mojego stryja. Czy to Dolina? Czy to droga, którą mam przejść przed śmiercią? Niemożliwe. W Dolinie nie ma bólu, a mnie boli całe ciało. Nogi mnie pieką. Nadal słyszę głos przed sobą, wyprowadza mnie z mgły. Głos mężczyzny, który nauczył mnie tańczyć po śmierci mojego ojca; który mnie strzegł i posłał do Aresa; który sam zginął w kopalnianym szybie i teraz mieszka w Dolinie.

Myślałem, że to Eo mnie powita. Albo ojciec. A nie Narol.

– Czytaj dalej – szepcze inny głos. – Doktor Virany powiedziała, że on nas słyszy. Musi po prostu znaleźć drogę powrotną.

Chociaż idę, czuję pod sobą łóżko. W płucach chłodne, rześkie powietrze. Pościel miękką i czystą. Mięśnie moich nóg drgają, mam wrażenie, jakby żądliły mnie w nie pszczoły. Z każdym ukąszeniem wyśniony świat blednie, a ja powracam do swojego ciała.

– Jeśli mamy mu coś czytać, to równie dobrze mogłoby to być coś Czerwonego, a nie jakieś pretensjonalne Fioletowe gówno.

– Dancer powiedział, że to jedna z jego ulubionych lektur.

Otwieram oczy. Leżę w łóżku. Biała pościel, kroplówki podłączone do obu rąk. Pod okryciem dotykam guzków wielkości mrówek wbitych w moje nogi, które przewodzą prąd elektryczny do mięśni, żeby zwalczyć ich atrofię. Znajduję się w jaskini zastawionej sprzętem naukowym, maszynami, terrariami.

Rzeczywiście we śnie słyszałem stryja Narola. Nie jest jednak w Dolinie. Żyje. Siedzi koło łóżka i mrużąc oczy, czyta jedną z książek Mickeya. Jest wyjątkowo stary i żylasty nawet jak na Czerwonego. Stwardniałe ręce starają się trzymać delikatnie kruche papierowe stronice. Wyłysiał, ma mocno opalone przedramiona i kark. Nadal wygląda, jakby poskładano go z kawałków starej, spękanej, wyprawionej skóry. Będzie miał teraz czterdzieści jeden lat. Wygląda na więcej. Robi wrażenie sroższego. Otacza go aura złowieszczego niebezpieczeństwa, którą tylko pogłębia broń elektromagnetyczna w kaburze na udzie. Ma sierpak naszyty na czarnej kurtce wojskowej nad logo Wspólnoty, które zostało zerwane, odwrócone i ponownie naszyte. Teraz Czerwoni są na górze. Złoci są fundamentem.

Ten człowiek był na wojnie.

Obok niego siedzi moja matka. Zgarbiona, krucha kobieta. Po udarze. Ile razy wyobrażałem sobie, jak Szakal stoi nad nią ze szczypcami w ręku? A ona przez cały czas była bezpieczna. W wykrzywionych palcach trzyma igłę z nitką i ceruje zniszczone skarpetki. Jej dłonie nie poruszają się tak jak kiedyś. Wiek i choroba spowolniły ją. Jej zniszczone ciało nie odpowiada temu, czym jest w głębi ducha – tam jest wysoka jak Złota i barczysta jak Obsydianowa.

Kiedy tak patrzę, jak siedzi, oddychając cicho, skupiona na swojej pracy, chcę ją chronić jak nic innego na świecie. Chcę ją uleczyć. Dać jej to, czego nigdy nie miała. Tak bardzo ją kocham, że nie wiem, co powiedzieć; co zrobić, żeby pokazać, jak wiele dla mnie znaczy.

– Mamo... – szepczę.

Podnoszą wzrok. Narol zamiera na krześle. Matka kładzie dłoń na jego rękę i wstaje powoli. Porusza się nieśpiesznie, ostrożnie.

– Witaj, synu.

Staje nade mną, a mnie aż przytłacza miłość w jej oczach. Dłoń mam prawie większą od jej głowy, ale dotykam delikatnie jej twarzy, jakbym chciał się upewnić, że jest tam naprawdę. Przesuwam palcami od kurzych łapek przy jej oczach do posiwiałych skroni. Jako chłopiec nie lubiłem jej tak bardzo jak ojca. Potrafiła mnie czasem uderzyć. Płakała samotnie i udawała, że nic się nie stało. A teraz chcę tylko słuchać, jak nuci, gdy gotuje. Chcę tylko tych spokojnych nocy z okresu dzieciństwa.

Chcę cofnąć się w czasie.

– Przepraszam – mówię, sam nie wiem kiedy. – Tak bardzo mi przykro...

Całuje mnie w czoło i kołysząc delikatnie głową, przytyka ją do mojej twarzy. Pachnie rdzą, potem i smarem. Pchanie jak dom. Mówi mi, że jestem jej synem. Że nie ma za co przepraszać. Że jestem bezpieczny, że jestem kochany. Moja rodzina jest tutaj. Kieran, Leanna, ich dzieci. Czeka ją, żeby mnie zobaczyć. Szlocham i nie mogę nad tym zapanować, dzieląc się z nią całym bólem, który musiałem nagromadzić w sobie podczas samotności. Łzy są wymowniejsze niż słowa, które potrafiłyby znaleźć moje usta. Jestem wyczerpany, zanim matka ucałuje mnie znowu w głowę i się odsunie.

Narol podchodzi i kładzie dłoń na mojej ręce.

– Narol...

– Cześć, łajdusie – mówi szorstko. – Nadal jesteś nieodrodnym synem swojego ojca, co?

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Eee tam. Śmierć mnie przeżyła, a potem wypluła mój parszywy tyłek. Powiedziała, że trzeba się zająć zabijaniem i uratować pewnego szurniętego krewniaka.

Szczerzy zęby w uśmiechu. Do starej blizny na jego ustach dołączyły dwie nowe.

– Czekaliśmy, aż się obudzisz – odzywa się matka. – Minęły dwa dni, odkąd przywieźli cię promem.

Nadal czuję w gardle smak dymu z palonych ciał.

– Gdzie jesteście? – pytam.

– W Tinos. W mieście Aresa.

– Tinos... – szepczę. Siadam szybko. – Sevro... Ragnar...

– Żyją – burczy Narol, popychając mnie z powrotem na łóżko. – Nie wrywaj sobie rurek i nie zdzieraj regenerantu. Doktor Virany potrzebowała godzin, żeby poskładać cię do kupy po tej koszmarniej ucieczce. Kościarze mieli się znaleźć w zasięgu impulsu EM. Nie wyszło. Roznieśli nas na strzępy w tunelach. Żyjesz tylko dzięki Ragnarowi.

– Byłeś tam?

– A jak myślisz, kto kierował ekipą wiertniczą, która przebiła się do Attyki? To była krew z Lykos. Lambdy i Omikrony.

– A co z Victrą?

– Spokojnie, chłopcze. – Kładzie rękę na mojej piersi, żebym nie próbował znowu wstać. – Jest z doktor. Ta Szara też. Obie żyją. Właśnie są łątane.

– Trzeba mnie sprawdzić, Narol. Powiedz lekarzom, żeby sprawdzili, czy nie ma na mnie lokalizatorów promieniotwórczych. Czy nie mam implantów. Mogli specjalnie mnie wypuścić, żeby znaleźć Tinos... Muszę zobaczyć się z Sevro.

– Ejże! Powiedziałem: spokojnie – odpowiada ostro Narol. – Sprawdziliśmy cię. Miałeś dwa implanty. Oba zostały usmażone przez impuls EM. Nie namierzyli cię. A Aresa tu nie ma. Wciąż jest z Wyjcami. Wrócił tylko po to, żeby zostawić rannych i coś przegryźć.

Widziałem prawie tuzin wilczych peleryn. Czyli zwerbował nowych. Oset nas zdradziła, ale Vixus wspomniał Pestkę i Błazna. Ciekawe, czy Brzydal też jest z nimi.

– Ares pozostaje wiecznie w ruchu – odzywa się moja matka.

– Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia, a Ares jest tylko jeden – tłumaczy go Narol. – Nadal szukają ludzi, którzy przeżyli. Niedługo wrócą. Przy odrobinie szczęścia przed rankiem.

Moja matka rzuca mu ostre spojrzenie i stryj się zamyka.

Opieram się o wezglowie łóżka, przytłoczony tą rozmową. Ich widokiem. Ledwie jestem w stanie składać zdania. Mam tyle do powiedzenia. Tak wiele nieznanomych emocji mnie zalewa. A ostatecznie tylko siedzę i oddycham szybko. Miłość mojej matki wypełnia pokój, ale cały czas czuję w przyszłości napływającą ciemność. Napiera na tę rodzinę, o której myślałem, że ją straciłem, a teraz boję się, że nie będę potrafił jej ochronić. Moi wrogowie są zbyt potężni, ja zaś jestem za słaby. Kręcę głową, przesuając kciukiem po kostkach jej dłoni.

– Myślałem, że już nigdy więcej cię nie zobaczę.

– A tu proszę.

Jakimś sposobem matka sprawia, że te słowa brzmią chłodno. Jakie to dla niej typowe: jest jedyną osobą z suchymi oczami, kiedy obaj obecni mężczyźni ledwie są w stanie mówić. Zawsze zastanawiałem się, jak prze-trwałem Instytut. Z pewnością nie zawdzięczam tego ojcu, był delikatnym człowiekiem. To matka jest moim kręgosłupem. Żelazem we mnie. Ściskam jej rękę, jakbym mógł to wyrazić takim prostym gestem.

Ktoś puka cicho do drzwi i do środka zagląda Dancer. Diabelnie przy-stojny jak zawsze, jest jedynym żywym Czerwonym, który ładnie się sta-rzeje. Słyszę, że lekko powłóczy nogą. Moja matka i stryj kiwają mu głową z poważaniem. Narol z szacunkiem odsuwa się na bok, kiedy Dancer pod-chodzi do łóżka, ale matka nie rusza się z miejsca.

– Wygląda na to, że ten piekłonurek jeszcze się nie poddał. – Dancer ści-ska mi rękę. – Ale solidnie nas nastraszyłeś.

– Psiajucha, dobrze cię widzieć, Dancer.

– Wzajemnie, chłopcze, wzajemnie.

– Dziękuję. Za opiekę nad nimi. – Ruchem głowy wskazuję matkę i stryja. – Za to, że pomogłeś Sevro...

– Od tego jest rodzina – odpowiada. – Jak się czujesz?

– Boli mnie w piersi. I wszędzie indziej.

Śmieje się lekko.

– Nic dziwnego. Virany mówi, że ta amfa, którą dali ci Nakamurowie, prawie cię załatwiła. Miałeś zawał serca.

– Dancer, skąd Szakał wiedział? Codziennie się zastanawiałem. Rozkła-dałem to na czynniki pierwsze. Analizowałem wskazówki, które mu zosta-wiłem. Sam się zdradziłem?

– To nie ty – mówi. – To była Harmony.

– Harmony... – szepczę. – Nie zrobiłaby tego... Nienawidzi Złotych.

Jednak nawet kiedy to mówię, wiem, jak nieobliczalna była jej niena-wiść. Harmony musiała dyszeć żądzą zemsty, kiedy nie zdetonowałem bomby, którą mi dała, żebym zabił Suwerenkę i pozostałych na Lunie.

– Uważa, że sprzedaliśmy naszą rebelię – ciągnie Dancer. – Że idziemy na zbyt wielkie kompromisy. Powiedziała Szakałowi, kim jesteś.

– Wiedział już, kiedy byłem w jego gabinecie. Kiedy dałem mu pre-zent...

Dancer ze znużeniem kiwa głową.

– Twoja obecność tylko potwierdziła jej słowa. Dlatego Szakał pozwolił, żebyśmy uratowali ją i pozostałych. Sprowadziliśmy ją do bazy, a ona zniknęła na godzinę przed pojawieniem się jego szwadronu śmierci.

– Fitchner zginął przez nią. A to on wskazał jej cel w życiu... Rozumiem, że mogła zdradzić mnie, ale jego? Aresa?

– Odkryła, że był Złotym. I wtedy go zdradziła. Musiała podać Szakałowi współrzędne bazy.

Ares był jej bohaterem. Jej bogiem. Kiedy jej dzieci zmarły w kopalni, dał jej powód do życia, powód do walki. A potem odkryła, że jest wrogiem, i ściągnęła na niego śmierć. Przygniata mnie myśl o przyczynie, dla której zginął.

Dancer przygląda mi się w milczeniu. Jest dla mnie jasne, że nie tego się spodziewał. Matka i Narol przyglądają mu się niemal równie bacznie co mnie i dochodzą do tych samych wniosków.

– Wiem, że nie jestem taki jak dawniej – odzywam się, cedząc słowa.

– Nie, chłopcze, przeszedłeś piekło. Nie o to chodzi.

– To o co?

Patrzę z matką po sobie.

– Jesteś pewna?

– Musi wiedzieć, powiedz mu – odpowiada mu matka.

Narol też kiwa głową.

Dancer mimo to się waha. Rozgląda się za krzesłem. Narol pośpiesznie przyciąga mu mebel i stawia koło łóżka. Dancer kiwa głową w podzięcie, a potem pochyła się nade mną, stykając dłonie czubkami palców.

– Darrow, zbyt długo żyłeś z tym, że ludzie wokół ciebie ukrywają różne rzeczy. Dlatego od tej chwili chcę być z tobą całkowicie szczery. Myśleliśmy, że nie żyjesz. To się zmieniło raptem pięć dni temu.

– Niewiele mnie dzieliło od rzeczywistej śmierci.

– Nie w tym rzecz. Mam na myśli to, że przestaliśmy cię szukać dziewięć miesięcy temu.

Matka mocniej ściska mi rękę.

– Trzy miesiące po tym, jak cię złapali, Złoci stracili cię za zdradę. Transmitowali twoją egzekucję w hP. Wywlekli chłopaka, który wyglądał identycznie jak ty, na schody Cytadeli w Agei i odczytali listę twoich zbrodni. Udawali, że nadal jesteś Złotym. Próbowaliśmy cię uwolnić, ale to była pułapka. Straciliśmy tysiące ludzi. – Jego wzrok pada na moje usta, moje włosy. – Miał twoje włosy, twoje blizny, psiajucha, miał twoją twarz.

Musieliśmy patrzeć, jak Szakał ścina ci głowę i niszczy twój obelisk na Polu Marsowym.

Wpatruję się w nich, nadal nie do końca pojmując, co do mnie mówią.

– Oplakaliśmy cię, synu – wtrąca cieniutkim głosem moja matka. – Cały klan, całe miasto. Osobiście pokierowałam Gasnącym Trenem i pochowaliśmy twoje buty w tunelu za Tinos.

Narol krzyżuje ręce na piersi, próbując odgrodzić się od tamtego wspomnienia.

– Wyglądał całkiem jak ty. Tak samo się poruszał. Miał taką samą twarz. Myślałem, że znowu patrzę na twoją śmierć.

– Najpewniej to była albo dermoMaska, albo ktoś Rzeźbiony, albo wykorzystali efekty specjalne na nagraniu cyfrowym – wyjaśnia Dancer. – Teraz to nie ma znaczenia. Szakał zabił cię jako Aureusa. Nie jako Czerwonego. To byłoby głupie z ich strony, ujawnić twoją tożsamość. Ta wiedza stałaby się narzędziem w naszych rękach. Zamiast tego zginąłeś jako jeszcze jeden Złoty, który uważał się za króla. To była przestroga.

Szakał obiecał, że skrzywdzi tych, których kocham. Teraz widzę, jak głęboko ich zranił. Fasada mojej matki załamuje się. Cała żałoba, którą skrywała w sobie, gęstnieje za jej oczami, kiedy na mnie patrzy. Krzywi się, dręczona wyrzutami sumienia.

– Porzuciłam cię – mówi łamiącym się głosem. – Poddałam się.

– To nie twoja wina – odpowiadam. – Nie mogłaś wiedzieć.

– Sevro wiedział.

– Nie przestał cię szukać – wyjaśnia Dancer. – Myślałem, że oszalał. Mówił, że nie umarłeś; że to czuje; że wiedziałby, gdybyś zginął. Poprosiłem go nawet, żeby oddał kierownictwo komuś innemu. Był zbyt nierozważny w swoich poszukiwaniach.

– A jednak cię drań znalazł – wtrąca Narol.

– Fakt – potwierdza Dancer. – Znalazł cię. Myliłem się. Powinienem być w ciebie wierzyć. Wierzyć w niego.

– A jak właściwie mnie znalazł?

– To Theodora obmyśliła całą operację.

– Jest tutaj?

– Pracuje dla nas w wywiadzie. Ta kobieta ma kontakty. Ktoś z jej informatorów w Perłowym Klubie usłyszał, że Rycerze Olimpijscy zabierają przesyłkę dla Suwerenki z Attyki na Lunę. Sevro uważał, że ty jesteś tą

przesyłką i włożył ogromną część naszych rezerwowych sił w ten atak, spalił przykrywkę dwóch naszych kretów...

Kiedy on mówi, ja obserwuję matkę, która wpatruje się niewidzącym wzrokiem w skwierczącą żarówkę na suficie. Jak musi się czuć? Jak musi się czuć matka, widząc swoje dziecko zniszczone przez innych ludzi? Widząc ból wypisany bliznami na jego skórze, dźwięczący w jego milczeniu, widoczny w spojrzeniach utkwionych w dal? Ile matek modliło się, żeby zobaczyć swoich synów i córki powracających z wojny, tylko po to, by przekonać się, że ta ich sobie zatrzymała, świat ich zatrzał i już nigdy nie będą tacy jak kiedyś?

Oplakiwała mnie przez dziewięć miesięcy, a teraz tonie w poczuciu winy i rozpacz, bo wojna znowu mnie połyka, a ona nic nie może na to poradzić. W ciągu minionych lat zdeptałem wielu ludzi, żeby osiągnąć to, czego chciałem. Jeśli to moja ostatnia szansa, żeby pożyć, to chcę to zrobić jak należy. Muszę.

– ...ale teraz prawdziwym problemem nie są zasoby, lecz ludzie potrzebni do...

– Dancer, przestań – przerywam mu.

– Co? – Marszczy skonsternowany czoło i zerka na Narola. – Co się stało?

– Nic, ale porozmawiam o tym z tobą rano.

– Rano? Darrow, świat usuwa się nam spod nóg. Straciliśmy kontrolę nad pozostałymi odłamami Czerwonych. Synowie Aresa nie przetrwają nawet roku. Muszę przedstawić ci sytuację, potrzebujemy cię...

– Dancer, ja żyję. – Myślę o wszystkich pytaniach, które chcę mu zadać na temat wojny, przyjaciół, mojego upadku, Mustang. To jednak może poczekać. – Zdajesz sobie sprawę, ile mam szczęścia, że mogę znowu zobaczyć was na tym świecie? Nie widziałem brata i siostry od lat. Dlatego jutro wysłucham twojego raportu. Jutro wojna może mnie odzyskać. Dzisiaj jednak należę do rodziny.

* * *

Słyszę dzieci, zanim dojdziemy do drzwi. Czuję się jak gość w cudzym śnie. Nie pasuję do świata dzieci. Mam jednak niewiele do powiedzenia w tej sprawie, kiedy matka wpycha mój wózek inwalidzki do ciasnej zbiorowej sypialni wypełnionej metalowymi pryczami, dziećmi, zapachem

szamponu i hałasem. Piątka spokrewnionych ze mną maluchów – świeżo po prysznicu, sądząc po wyglądzie ich włosów – zrzuca sandały na podłogę i ładuje się na jedno łóżko. Dwójka wyższych dziewięciolatków sprzymierza się przeciwko dwójce sześciolatków i malutkiemu cherubinowi – dziewczynce, która wciąż uderza główką w nogę starszego chłopca. Nawet jej nie zauważył. Szóste dziecko pamiętam z mojej wizyty u matki w Lykos. Dziewczynka, która nie mogła spać. Córka Kierana. Patrzy na pozostałe dzieci znad książki z bajkami wydanej na błyszczącym papierze, którą czyta na innym łóżku. Ona pierwsza mnie zauważa.

– Tato! – woła, wytrzeszczając oczy. – Tato...!

Na mój widok Kieran odrywa się gwałtownie od gry w kości z Leanną. Ona reaguje wolniej, ale też rusza w moją stronę.

– Darrow.

Mój brat podbiega do mnie i zatrzymuje się tuż przed wózkiem. Teraz on też ma brodę. Jest po dwudziestce. Nie garbi się tak jak kiedyś. Oczy promieniają mu dobrocią, przez którą kiedyś uważałem, że wygląda nieco nie-mądrze. Teraz jednak sprawia wrażenie szaleńczo odważnego.

Opamiętuje się, przywołuje dzieci gestem.

– Reagan, Iro, dzieciaki. Chodźcie poznać mojego młodszego brata. To wasz stryjek.

Dzieci ustawiają się skrzepowane wokół niego.

Z głębi pokoju dobiega śmiech berbecia. Młoda matka wstaje z łóżka, gdzie karmiła dziecko piersią.

– Eo? – szepczę.

To wizja z przeszłości. Drobna kobieta o twarzy w kształcie serca. Ma gęste, splątane włosy z rodzaju tych, które skręcają się w wilgotne dni. Tak jak włosy Eo. Ale to nie ona. Ma mniejsze oczy, elfi nos. Więcej w niej delikatności niż ognia. Poza tym to jest kobieta, a nie dziewczyna jak moja żona. Ma teraz ze dwadzieścia lat, jeśli dobrze liczę.

Wszyscy dziwnie na mnie patrzą.

Zastanawiają się, czy zwariowałem.

Poza Dio, siostrą Eo, która się uśmiecha.

– Przepraszam, Dio – mówię szybko. – Po prostu... wyglądasz jak ona.

Nie dopuszcza, żeby ta chwila stała się krępująca i szybko mnie uciska, dodając, że to najmiłsza rzecz, jaką mogłem powiedzieć.

– A to kto? – pytam, patrząc na dziecko, które trzyma.

Włosy małej dziewczynki wyglądają po prostu absurdalnie: rdzawoczerwone i związane na czubku głowy w małą antenkę. Mała przygląda mi się z ekscytacją ciemnoczerwonymi oczkami.

– To maleństwo? – pyta Dio, podchodząc bliżej. – To jest ktoś, kogo chciałam ci przedstawić, odkąd Deanna powiedziała nam, że żyjesz. – Zerka z miłością na mojego brata. Czuję ukłucie zazdrości. – To nasze pierwsze. Chciałbyś ją potrzymać?

– Potrzymać? Nie... ja...

Pulchne rączki dziewczynki wyciągają się do mnie i Dio wpycha mi ją na kolana, zanim zdążę się wzdrygnąć. Dziewczynka łapie się mojego swetra, postępuje, kręci się i wierci, aż wreszcie sadowi się na moich nogach tak, jak jej to odpowiada. Klaszcze w ręce i się śmieje, kompletnie nieświadoma tego, kim jestem, i powodu, dla którego mam pobliźnione ręce. Jest zachwycona wielkością moich Złotych Pieczęci. Łapie mnie za kciuk i próbuje go ugryźć dziąslami.

Jej świat zupełnie nie przystaje do makabry, której zaznałem. To dziecko widzi tylko miłość. Ma bladą skórę, miękką w dotyku. Ona jest utkana z obłoczka, a ja wykuty z kamienia. Ma wielkie i błyszczące oczy, jak jej matka. Usposobienie i wąskie usta odziedziczyła po Kieranie. W innym życiu mogłaby być córką moją i Eo. Moja żona wyśmiałaby pomysł, że ostatecznie to mój brat i jej siostra zostaną razem, a nie my. My byliśmy małą burzą, która nie mogła przetrwać. Może Dio i Kieranowi się to uda.

* * *

Długo po tym, jak światła w kompleksie przygaszono, żeby zmniejszyć obciążenie generatorów, siadam z moim stryjem i bratem przy stole w głębi pokoju. Słucham, jak Kieran opowiada mi o nowych obowiązkach, których uczy się od Pomarańczowych: serwisowania myśliwców i promów. Dio położyła się już dawno temu, ale zostawiła mi dziecko, które teraz śpi na mych rękach, kręcąc się czasem, kiedy sny zabierają je tam, gdzie zechcą.

– Naprawdę nie jest tu tak najgorzej – mówi Kieran. – Lepiej niż na dole. Mamy jedzenie. Mamy wodne prysznice. Koniec z Myjnią! Nad nami jest podobno jezioro. Psiajucha, te prysznice to naprawdę precudowna rzecz! Dzieciaki je uwielbiają. – Patrzy na malców w słabym świetle. Leżą po dwoje na łóżku, wiercą się cicho przez sen. – Najgorsze jest to, że nie wiem, co je czeka. Czy będą kiedykolwiek pracować w kopalni? Albo

w przedzalni? Zawsze tak myślałem. Że przekażę im misję, rzemiosło. Rozumiesz? – Kiwam głową. – Chyba chciałem, żeby synowie zostali pielkónurkami. Jak ty. Jak tata. Ale... – Wzrusza ramionami.

– Teraz, gdy masz oczy, nie widzisz niczego dobrego w tamtym życiu – odzywa się stryj Narol. – Życie staje się puste, kiedy wiesz, że jesteś wykorzystywany.

– Właśnie – mówi Kieran. – Umierasz przed trzydziestką, żeby tamci mogli dożyć setki. Psiajucha, to nie jest w porządku. Chcę, żeby moje dzieci dostały coś więcej, bracie.

Wpatruje się we mnie, a ja przypominam sobie, jak matka zapytała mnie, co nadejdzie po rewolucji. Jaki świat stworzymy? O to samo zapytała mnie Mustang. Eo nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Muszą dostać coś więcej niż to – dodaje. – Kocham Aresa jak nikogo innego, zawdzięczam mu życie, życie moich dzieci, ale...

Kręci głową, chce powiedzieć coś więcej, ale czuje na sobie ciężar spojrzenia Narola.

– Mów – zachęcam go.

– Nie wiem, czy on wie, co będzie potem. Dlatego cieszę się, że wróciłeś, bracie. Wiem, że masz plan. Wiem, że możesz nas uratować.

Mówi to z wielką wiarą, wielkim zaufaniem.

– Oczywiście, że mam plan – zapewniam go.

Wiem, że to właśnie potrzebuje usłyszeć. Kiedy jednak z zadowoleniem napełnia sobie ponownie kubek, spojrzenie stryja krzyżuje się z moim i już wiem, że Narol mnie przejrzał. Obaj czujemy napierającą ciemność.

Miasto Aresa

Jest wczesny ranek. Sącę kawę i zajadam miszkę płatków zbożowych, którą matka przyniosła mi z kantyny. Kieran i Leanna wyszli już do pracy, więc siedzę z Dio i matką, podczas gdy dzieci ubierają się do szkoły. To dobry znak. Wiadomo, że ludzie się poddali, kiedy przestają uczyć dzieci. Dopijam kawę. Matka mi jeszcze dolewa.

– Zabrałaś cały dzbanek? – pytam.

– Szef kuchni nalegał. Próbował wepchnąć mi dwa.

Popijam z kubka.

– Smakuje niemal jak prawdziwa.

– To jest prawdziwa kawa – mówi Dio. – Pewien pirat podsyła nam skradziony towar. Kawa jest chyba z Ziemi. Podobno z Jamaki.

Nie poprawiam jej.

– Ej! – woła ktoś na korytarzu. Matka aż podskakuje na ten dźwięk. – Żniwiarz! Żniwiarz! Wyjdź się pobawić!

Z korytarza słychać huk i łomot ciężkich kroków.

– Pamiętaj, Deanna powiedziała nam, że mamy pukać – rozlega się grzmiący głos.

– Ależ ty jesteś denerwujący. Dobra. – Rozlega się uprzejme pukanie do drzwi. – Wieści! To wujcio Sevro i Względnie Przyjazny Olbrzym.

Moja matka gestem daje znak jednej z moich podekscytowanych siostrzenic.

– Ella, bądź tak dobra.

Dziewczynka śmiga, żeby otworzyć drzwi Sevro. On wpada do środka i porywa ją na ręce. Ella krzyczy z radości. Sevro jest ubrany w strój z chłonnego pot czarnego materiału, jaki żołnierze noszą pod zbroją impulsową. Ma mokre plamy po pachami. Oczy skrzą mu się z radości na mój widok, rzuca szorstko Ellę na łóżko i pędzi do mnie z wyciągniętymi rękami.

Dziwny śmiech wyrywa mu się z piersi, na jego wąską twarz wypływa uśmiech. Ma brudne, prze pocone włosy ułożone w irokeza.

– Sevro, uważaj! – woła moja matka.

– Żniwciu!

Sevro wpada na mnie z impetem, mój wózek obraca się w miejscu, zęby mi szczękają, a on na wpół podrywa mnie z pozycji siedzącej. Jest silniejszy niż dawniej, pachnie tytoniem, paliwem silnikowym i potem. Na wpół się śmieje, na wpół płacze, gdy jak podekscytowany pies wtula się w moją pierś.

– Wiedziałem, że żyjesz. Psiajucha, wiedziałem. Te pieprzone Piksy nie mogły mnie oszukać. – Odsuwa się, patrzy na mnie i uśmiecha się od ucha do ucha. – Ty parszywy sukinkocie.

– Wyrażaj się! – warczy moja matka.

Krzywię się.

– Moje żebra.

– O, w mordę, wybaczyć, bracie. – Pozwala mi opaść na wózek i klęka, żebyśmy znaleźli się twarzą w twarz. – Powiedziałem to raz, a teraz powiem drugi. Jeśli istnieją dwie rzeczy, których nie da się zabić na tym świecie, to grzyb pod moimi klejnotami i Żniwiarz z parszywego Marsa. Ha, ha, ha!

– Sevro!

– Wybaczyć, Deanno. Wybaczyć.

Odsuwam się od niego.

– Sevro, ty naprawdę... cuchniesz.

– Nie myślałem się od pięciu dni – przechwala się, łapiąc się za krocze. – Mam tu prawdziwy rosołek z Sevro, młody. – Łapie się pod boki. – Wiesz, wyglądasz... ehm... – Zerka na moją matkę i poskramia język. – Naprawdę okropnie.

Cień pada na wszystkich, gdy do pokoju wchodzi mężczyzna, którego sylwetka zasłania górne światło w pobliżu drzwi. Dzieci gromadzą się wesołym stadkiem wokół Ragnara, tak że ten ledwie może się ruszyć.

– Cześć, Żniwiarz – mówi, przekrzykując ich wrzaski.

Witam go uśmiechem. Twarz ma tak samo beznamietną jak zawsze, wytatuowaną i bladą, stwardniałą od wiatru w arktycznym domu, podobną do skóry nosorożca. Białą brodę zaplótł w cztery warkocze, a włosy na głowie zgolił – z wyjątkiem białego ogona, w który wplótł czerwone wstążki. Dzieci pytają, czy przyniósł im prezenty.

– Sevro. – Pochylam się. – Twoje oczy...

Przysuwa się.

– Podobają ci się?

Skryte w zmrużonych powiekach na kanciastej twarzy oczy nie mają już brudnego złotego odcienia, ale są teraz czerwone jak ziemia Marsa. Odsuwa powieki, żebym lepiej widział. To nie są szkła kontaktowe. A prawe oko nie jest już bioniczne.

– Psiajucha, poszedłeś do Rzeźbiarza?

– Najlepszego w tym biznesie. Podobają ci się?

– Są, kurna, fantastyczne. Pasują ci jak ulał.

Uderza pięścią w drugą dłoń.

– Cieszę się, że tak mówisz. Bo to twoje.

– Moje co?

– Twoje oczy!

– Moje oczy...

– Czy ów Przyjazny Olbrzym upuścił cię na głowę podczas akcji ratunkowej? Mickey trzymał je w chłodziarce w swoim lokalu w Yorkton... upiorne miejsce, nawiasem mówiąc, widziałem je, kiedy pojechaliśmy po sprzęt dla Tinos, żeby wesprzeć Powstanie. Uznałem, że z nich nie korzystasz, więc... – Wzrusza niezręcznie ramionami. – Więc poprosiłem, żeby mi je wstawił. No wiesz. Żeby nas zbliżyć. Żebym miał po tobie pamiątkę. To wcale nie jest takie dziwne, nie?

– Powiedziałem mu, że to dziwne – odzywa się Ragnar.

Jedna z dziewczynek wspina mu się na nogę.

– Chcesz je z powrotem? – pyta nagle zaniepokojony Sevro. – Mogę ci je oddać.

– Nie! Po prostu zapomniałem, jaki z ciebie wariat.

– Aha. – Śmieje się i klepie mnie w ramię. – Dobrze. Myślałem, że to coś poważnego. Więc mogą je zatrzymać, zgadza się?

– Znalezione, nie kradzione – odpowiadam ze wzruszeniem ramion.

– Deanno z Lykos, mogę pożyczyć twojego syna w celach wojskowych? – pyta moją matkę Ragnar. – Ma sporo do zrobienia. Musi się wielu rzeczy dowiedzieć.

– Pod warunkiem, że zwrócisz go w jednym kawałku. I weź ze sobą trochę kawy. I zanieś te skarpetki do pralni. – Matka wpycha mu w ręce torbę świeżo zacerowanych skarpet.

– Jak sobie życzysz.

– A co z prezentami? – dopytuje się jeden z moich bratanków. – Nie masz niczego?

– Ja mam dla ciebie prezent... – zaczyna Sevro.

– Sevro, nie! – wołają jednocześnie Dio i moja matka.

– No co? – Sevro wyciąga torebkę. – Tym razem to tylko cukierki.

* * *

– ...i wtedy Ragnar potknął się o Pestkę i wypadł tyłem – rechoce Sevro. – Jak skończony kretyn. – Zajada baton nad moją głową, brawurowo popychając mój wózek kamiennym korytarzem. Znowu się rozpędza i wskakuje na tył, żeby się przejechać, aż skręcamy gwałtownie prosto w ścianę. Krzywię się z bólu. – Więc Ragnar wpada prosto do morza, człowieku, a to był prawdziwy sztorm. Fale wielkości dewastatorów. Więc ja też daję nura, myśląc sobie, że będzie potrzebował mojej pomocy i akurat wtedy ten wielki... nie wiem, jak u diabła, to nazwać, jakiś Rzeźbiony potwór...

– Demon – odzywa się zza moich pleców Ragnar. Nie zauważyłem, że za nami idzie. – To był morski demon z trzeciego poziomu Hel.

– Jasne.

Sevro skręca moim wózkiem za róg i zaczepia o ścianę dostatecznie mocno, żebym przygryzł sobie język. Rozpierzcha się przed nami grupka pilotów Syna Aresa. Patrzą za mną, kiedy jedziemy dalej.

– Ten morski... – Sevro ogląda się na Ragnara – ...demon najwyraźniej uważa Ragnara za smaczny kąsek, więc połyka go niemal od razu po tym, jak uderzył w wodę. Na ten widok ja i Brzydal prawie szczamy ze śmiechu, jak każdy normalny człowiek, bo to parszywie zabawne, a wiesz, że Brzydal ceni sobie dobry żart. Ale potem stwór daje nura, więc płynę za nim. Ścigam go, strzelam z pięści impulsowej w tego parszywego morskiego... – znowu zerka na Ragnara – ...demon, który płynie prosto na dno choler nego Morza Termicznego. Ciśnienie rośnie. Mój pancierz już rzezi. I myślę sobie, że zaraz umrę, kiedy nagle Ragnar wyrąbuje sobie wyjście z tego łuskowatego sukinsyna. – Pochyla się nade mną. – Ale zgadnij, którędy wyszedł. Dalej. Zgadnij. No zgadnij!

– Sevro, czy Ragnar wyszedł przez odbył morskiego potwora? – pytam.

Sevro aż piszczy z radości.

– Tak! Prosto z tyłka! Wystrzelił z niego jak balas...

Wózek się zatrzymuje. Głos Sevro się urywa, słysząc łoskot i szmer, jakby coś się za mną prześlizgnęło. Wózek znowu się toczy. Oglądam się i widzę, że teraz pcha go Ragnar z niewinną miną. Sevro nigdzie nie widać. Marszczę brwi, zastanawiając się, gdzie się podział, kiedy nagle wypada z bocznego przejścia.

– Ty trollu! – wrzeszczy Sevro. – Jestem przywódcą terrorystów! Prze stań mną rzucać. Przez ciebie upuściłem batonik! – Rozgląda się po podłodze. – Czeka. Gdzie on jest? Do cholery, Ragnar. Gdzie jest mój batonik z masłem orzechowym? Wiesz, ilu ludzi musiałem zabić, żeby go zdobyć? Sześciu! Sześciu!

Ragnar żuje coś cicho nad moją głową, a mnie się wydaje – chociaż pewnie się mylę – że się uśmiecha.

– Ragnarze, zacząłeś myć zęby? Wyglądają rewelacyjnie.

– Dziękuję. – Promienieje dumą tak bardzo, jak tylko może promień wysoki na osiem stóp facet z ustami pełnymi fistaszkowego batonika. – Czarodziej usunął moje stare zęby. Przysparzały mi wielkiego bólu. Te są nowe. Prawda, że wspaniałe?

– Czarodziej Mickey? – upewniam się.

– W rzeczy samej. Nauczył mnie też czytać, zanim opuścił Tinos.

Ragnar dowodzi prawdziwości swoich słów, odczytując każdy napis i każde ostrzeżenie, które mijamy w korytarzu, aż po jakichś dziesięciu minutach wchodzimy do hangaru. Sevro idzie za nami, nadal marudząc z powodu straconego batonika. Hangar jest ciasny jak na standardy Wspólnoty, ale i tak ma prawie trzydzieści metrów wysokości i sześćdziesiąt szerokości. Został wycięty laserowymi wiertłami w skale. Kamienna podłoga jest osmolona od silników. Kilka rozpadających się promów stoi obok trzech lśniących nowością myśliwców. Czerwoni kierowani przez dwóch Pomarańczowych serwisują statki i gapią się na mnie, kiedy przejeżdżam obok nich. Czuję się tutaj jak obcy.

Mieszana grupa żołnierzy odchodzi powoli od poobijanego promu. Niektórzy nadal mają na sobie zbroje, z ramion zwieszają im się wilcze pele-ryny. Inni rozebrali się już do spodniej warstwy albo idą z nagimi piersiami.

– Szefie! – woła Pestka spod ramienia Błazna.

Jest tak samo pulchna jak zawsze i uśmiecha się do mnie szeroko. Pociąga Błazna, który się na niej wspiera, żeby szybciej szedł. Jego puszyste włosy są posklejane potem. Oboje mają promienne twarze, jakbym

wyglądał dokładnie tak, jak to zapamiętali. Pestka spycha rękę Błazna z ramion, żeby mnie uściskać. Błazen zaś składa mi nedorzeczny ukłon.

– Wyjce meldują się w gotowości, Prymusie – mówi. – Przepraszamy za zamęt.

– Zrobiło się gorąco – wyjaśnia Pestka, zanim zdążę się odezwać.

– Nadzwyczaj gorąco. Zmieniłeś się, Żniwiarzu. – Błazen łapie się pod boki. – Wyglądasz... szczuplej. Przyciąłeś włosy? Nie, nie mów. To ta broda... okropnie cię wyszczupła.

– Miło, że zauważyłeś – odpowiadam. – I że zostałeś, zważywszy na wszystko.

– Co? Masz na myśli to, że okłamywałeś nas przez pięć lat?

– Owszem.

– No wiesz... – zaczyna Błazen i już zamierza mi dowalić, ale Pestka uderza go w ramię.

– Pewnie, że zostaliśmy, Żniwiarzu! – mówi słodko. – To nasza rodzina...

– Ale mamy pewne żądania... – kontynuuje Błazen, grożąc mi palcem. – Jeśli chcesz pełnego pakietu naszych usług. Jednak na razie... musimy zmykać. Obawiam się, że mam odłamek w tyłku. Dlatego proszę o wybaczenie. Chodź, Pestka. Do chirurgów marsz.

– Pa, szefie! – mówi Pestka. – Fajnie, że żyjesz!

– Kolacja dla drużyny o ósmej! – woła za nimi Sevro. – Nie spóźnijcie się. Odłamek w tyłku to żadna wymówka, Błaźnie!

– Tak jest, dowódco!

Sevro odwraca się do mnie, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Gnojki nawet nie mrugnęły okiem, kiedy powiedziałem im, że jesteś Rdzawy. Natychmiast polecili ze mną i Ragsem po twoją rodzinę. Jednak wyjaśnienie im, co jest grane, było słabe. Tędy.

Kiedy mijamy statek, z którego wysiedli Pestka i Błazen, za pochylnią wejściową widzę jego wnętrze. Dwóch młodych chłopaków pracuje w środku, zmywa podłogę wodą z węży. Brązowawoczerwona ciecz spływa po rampie na dno hangaru. Zamiast do odpływu, trafia do wąskiego koryta i płynie ku obrzeżom budynku, a potem znika za krawędzią.

– Niektórzy ojcowie zostawiają swoim synom statki albo wille. Cienias Ares zostawił mi to nieszczęsne gniazdo niespokojnego wieśniactwa.

– Psiajucha... – szepczę, gdy dociera do mnie, na co dokładnie patrzę.

Za hangarem ciągnie się odwrócony las stalaktytów. Lśni w sztucznym podziemnym świetle. Nie tylko od wody, która ścieka po śliskiej, szarej powierzchni, ale z powodu świateł lądowisk, koszarów i systemów czujników, które stanowią zęby potężnego bastionu Aresa. Statki dostawcze latają między licznymi dokami.

– Jesteśmy w stalaktycie.

Śmieję się zdumiony, ale potem patrzę na horror w dole i ciężar na moich ramionach podwaja się. Setki metrów pod nami rozciąga się obóz uchodźców. Dawniej było to podziemne miasto wykute w marsjańskiej skale. Ulice między budynkami są tak głębokie, że przypominają miniaturowe kaniony. Miasto rozlewa się na kilometry po posadzce kolosalnej jaskini ku odległym ścianom, na których wybudowano domy jak plastry miodu. Ulice wznoszą się zakolami po piaskowcu. Nad nim zaś rozciąga się drugie, pozbawione dachu miasto. Pełne uchodźców. W osobliwym morzu ciał kłębią się różnej barwy skóry, tkaniny i włosy. Ludzie śpią na dachach. Na ulicach. Na serpentynach schodów. Widzę prowizoryczne metalowe symbole Gammy, Omikronu, Epsilonu. Wszystkie dwadzieścia klanów, na które dzieli się mój lud.

Widok jest oszałamiający.

– Ilu ich jest?

– Niech to szlag, nie mam pojęcia. Co najmniej dwadzieścia kopalń. Lykos był malutki w porównaniu z ośrodkami położonymi przy większych złożach helu-3.

– Czterysta sześćdziesiąt pięć tysięcy. Według rejestrów – odzywa się Ragnar.

– Tylko pół miliona? – szepczę.

– Wygląda na wiele więcej, nie?

Kiwam głową.

– Co tu robią?

– Musiałem dać im schronienie. Biedne sukinkoty pochodzą z kopalń, w których Szakal przeprowadził czystki. Pompuje achlys-9 do szybów wentylacyjnych, jeśli tylko podejrzewa obecność Synów Aresa. Niewidzialne ludobójstwo.

Przebiega mnie dreszcz.

– Protokół likwidacyjny. Ostatnia deska ratunku Komisji Kontroli Jakości w przypadku zagrożonych kopalń. Jak utrzymujesz to wszystko w tajemnicy? Zakłócacze?

– Mhm. No i znajdujemy się ponad dwa kilometry pod ziemią. Tatko sfalszował mapy topograficzne w bazach danych Wspólnoty. Dla Złotych te skały zostały pozbawione złóż helu-3 ponad trzysta lat temu. Na razie to wystarcza.

– A jak wszystkich żywicie?

– Nie żywimy. Znaczą, staramy się, ale od miesiąca w Tinos nie widziano ani jednego szczura. Ludzie śpią dosłownie na sobie. Zaczęliśmy przenosić uchodźców do stalaktytów, ale już zaczynają chorować. Brakuje nam leków. A nie mogę ryzykować, że moi Synowie się rozchorują. Bez nich jesteśmy bezbronni jak dogorywająca krowa, która czeka na zarżnięcie.

– I doszło do rozruchów – dodaje Ragnar.

– Rozruchów?

– Aha, prawie o tym zapomniałem. Musiałem zmniejszyć racje żywnościowe o połowę. A już wcześniej były małe. To się nie spodobało tym niewdzięcznym dupkom na dole.

– Wielu straciło życie, zanim tu zszedłem.

– Tarcza Tinos – mówi Sevro. – Jest popularniejszy ode mnie, to jedno pozostaje cholernie pewne. Jego nikt nie obwinia za gówniane racje. Jednak ja jestem bardziej popularny od Dancera, bo mam zajebisty hełm, a on zajmuje się wszystkimi konkretami, którymi ja nie jestem w stanie się zająć. Ludzie są głupi. Facet tyra dla nich jak wół, a oni uważają, że to tępy dusi-grosz. Przynajmniej Synowie Aresa go kochają. I twój stryjek.

– Jakbyśmy cofnęli się w czasie o tysiąc lat – mówię pozbawiony nadziei.

– Właściwie tak, jeśli nie liczyć generatorów. Pod skałą płynie rzeka. Jest więc woda, urządzenia sanitarne, elektryczność... przeważnie. I są też... gorsze rzeczy. Przestępczość. Morderstwa. Gwałty. Kradzieże. Musimy trzymać tych zjebów z Gammy oddzielnie od reszty. W zeszłym tygodniu paru Omikronów powiesiło małego dzieciaka, Gamme, i wycięło mu Pieczęć Złotych na piersi. Zerwali mu też Czerwone Pieczęcie z rąk. Powiedzieli, że był lojalistą, złotolubem. Miał czternaście lat.

Robi mi się niedobrze.

– Zostawiamy zapalone światła. Nawet nocą.

– Fakt, bo jak się je zgasi, to na dole robi się... klimat jak nie z tego świata.

Sevro sprawia wrażenie zmęczonego, kiedy patrzy w dół na miasto. Mój przyjaciel potrafi walczyć, ale to jest całkiem inna walka.

Wpatruję się w miasto, nie potrafiąc znaleźć słów, które muszę wypowiedzieć. Czuję się jak więzień, który całe życie spędził na przekopywaniu się pod murem, a kiedy już się wyrwał na wolność, odkrył, że trafił tylko do kolejnej celi. Tyle że zawsze będzie jakaś cela. Jak nie ta, to inna. I jeszcze jedna. Ci ludzie nie mają życia. Próbują tylko opóźnić koniec.

– Nie tego chciała Eo – mówię.

– Cóż. – Sevro wzrusza ramionami. – Marzenie to łatwizna. Wojna jest trudna. – Zagryza usta w zadumie. – Widywałeś Cassiusa?

– Dwa razy, pod koniec. Czemu pytasz?

– Nic takiego. – Odwraca się do mnie z błyskiem w oku. – Tyle tylko, że to właśnie on załatwił tatę.

10

Wojna

– Nasza Wspólnota toczy wojnę... – mówi mi Dancer w sali narad Synów Aresa.

Pomieszczenie jest wysoko sklepienie, wykute w skale i oświetlone bladoniebieskimi górnymi światłami oraz poświatą terminali komputerowych, których monitory jarzą się wokół centralnego ekranu holograficznego. Dancer stoi obok wyświetlacza, oblany niebieskim światłem marsjańskiego Morza Termicznego. Jest z nami Ragnar, kilku starszych Synów Aresa, których nie rozpoznaję, oraz Theodora, która powitała mnie wdzięcznym pocałunkiem w usta, popularnym wśród nadKolorów na Lunie. Wygląda elegancko nawet w czarnych roboczych spodniach i emanuje autorytetem. Podobnie jak Wyjce nie została zaproszona przez Augustusa do ogrodu po moim Triumfie; na szczęście nie uznali jej za dostatecznie ważną. Sevro wysłał Pestkę, żeby wyciągnęła ją z Cytadeli, kiedy tylko wszystko się posypało. Od tego czasu była z Synami Aresa, pomagała Dancerowi przy propagandzie i wywiadzie.

– Nie chodzi tylko o Powstanie przeciwko siłom Żółtych tutaj i w innych naszych komórkach w całym Układzie, ale także o samych Żółtych. Po tym, jak na twoim Triumfie zabili Arcosa i Augustusa oraz ich najwierniejszych stronników, Roque i Szakał przeprowadzili skoordynowaną akcję mającą na celu przejęcie floty znajdującej się na orbicie. Obawiali się, że Virginia albo Telemachusowie zgromadzą pod swoją komendą okręty Żółtych zamordowanych w ogrodzie. Virginii się udało: zjednoczyła wokół siebie nie tylko jednostki swojego ojca, ale także dowodzone przez jego trzy synowe okręty Arcosa. Doszło do bitwy wokół Dejmosa. Flota Roque’a, chociaż mniej liczna, zmiażdżyła siły Mustang i zmusiła ją do ucieczki.

– Czyli Mustang żyje – mówię, świadomy tego, że martwię się tym, jak zareaguję na tę informację.

– Owszem – odzywa się Sevro, przyglądając mi się równie uważnie jak pozostali. – Na ile się orientujemy, żyje.

Ragnar sprawia wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale Sevro nie daje mu dojść do słowa.

– Dancer, pokaż mu Jowisza.

Nadal patrzę na Ragnara, kiedy Dancer macha ręką, holograficzny obraz zniekształca się i pojawia się marmurkowy olbrzym gazowy. Otaczają go sześćdziesiąt trzy podobne do asteroid satelity i cztery duże księżyce: Europa, Io, Ganimedes i Kallisto.

– Czystka urządzona przez Szakala i Suwerenkę była imponującą operacją, która objęła nie tylko trzydzieści zabójstw w ogrodzie, ale ponad trzysta innych w całym Układzie Słonecznym. Większość mordów przeprowadzili Rycerze Olimpijscy albo pretorianie. Całą operację zaproponował i obmyślił Szakal. Miała na celu usunięcie kluczowych wrogów Suwerenki na Marsie, a także na Lunie i w całej Wspólnocie. Pomysł sprawdził się dobrze, wręcz znakomicie. Jednak popełniono jeden ogromny błąd. W ogrodzie zginął Revus au Raa i jego dziewięcioletnia wnuczka.

– Arcygubernator Io – mówię. – To miała być wiadomość dla Władców Księżyców?

– Odbiło im się to czkawką. Tydzień po Triumfie dzieci Władców Księżyców, które Suwerenka trzyma na Lunie jako wychowanków, a w rzeczywistości zakładników zapewniających jej lojalność rodziców, uciekły. Dwa dni potem spadkobiercy rodu Raa z pomocą Cordovanów z Ganimedesa ukradli *Classis Saternus*, całą ósmą flotę, która cumowała na Kallisto. Ród Raa ogłosił niepodległość Io i księżyców Jowisza, nowe przymierze z Virginią au Augustus i dziedzicami rodu Arcos oraz wojnę z Suwerenką.

– Druga Rebelia Księżycowa. Sześćdziesiąt lat po spaleniu Rei – mówię z uśmiechem, myśląc o Mustang na czele całego układu planetarnego. Nawet jeśli mnie opuściła, nawet jeśli na myśl o niej ściska mnie w żołądku, jest to dla nas dobra wiadomość. Nie jesteśmy jedynym wrogiem Suwerenki. – Czy Uran i Saturn do nich dołączyły? Bo Neptun na pewno.

– Wszyscy dołączyli.

– Wszyscy? Zatem jest nadzieja...

– Można by tak pomyśleć, prawda? – mruczy Sevro.

Dancer mi wyjaśnia:

– Władcy Księżyców też popełnili błąd. Spodziewali się, że Suwerenka uwikła się w sprawy na Marsie i będzie gnębiona przez powstania podKolorów w Rdzeniu. Zakładali, że co najmniej przez trzy lata nie będzie w stanie wysłać dostatecznie dużej floty na odległość sześciuset milionów kilometrów, żeby zdławić ich rebelię.

– I koncertowo się na tym przejechali – mruczy Sevro. – Idioci. Dali się przyłapać ze spuszczoneymi portkami.

– Ile czasu potrzebowała, żeby wysłać flotę? – pytam. – Sześć miesięcy?

– Sześćdziesiąt trzy dni.

– To niemożliwe, sama logistyka paliwowa...

Urywam w pół zdania, bo przypominam sobie, że Pan Popiołów leciał wesprzeć rodzinę Bellona na orbicie wokół Marsa, zanim zajęliśmy planetę. Zostało mu jeszcze kilka tygodni lotu. Musiał polecieć dalej na Obrzeże, cały czas podążał za Mustang.

– Powinieneś lepiej niż ktokolwiek inny rozumieć sprawność Floty Wspólnoty. To machina wojenna – mówi Dancer. – Logistyka i systemy operacyjne są idealnie dopracowane. Im dłużej Obrzeże mogłoby się przygotowywać, tym trudniej byłoby Suwerence przeprowadzić kampanię. I ona o tym wiedziała. Dlatego cała armada Miecz została natychmiast wysłana na orbitę Jowisza i jest tam od prawie dziesięciu miesięcy.

– Roque zrobił paskudną rzecz – wtrąca Sevro. – Wykradł się przed główną flotę i zwinął tego Niszczyciela Księżyców, którego próbował ukraść w zeszłym roku stary Nero.

– Ukradł Niszczyciela Księżyców.

– No wiem. Nazwał go *Kolos* i wybrał na swój okręt flagowy. Kutas. To paskudna zabawka. *Pax* przy nim wydaje się malutki.

Holo ukazuje flotę Suwerenki zbliżającą się do Jowisza, gdzie czeka już na jej powitanie Niszczyciel Księżyców. Kolejne dni, tygodnie i miesiące wojny przemykają w przyśpieszonym tempie.

– Zakres walk jest wręcz... obłąkany – ciągnie Sevro. – Każda flota jest dwa razy większa od koalicji, jaką wezwałeś, żeby zniszczyć Bellonę...

Sevro mówi dalej, ale ja go nie słucham, zapatrzony na odtwarzaną w przyśpieszeniu wojnę. Zdaję sobie sprawę, że światy kręciły się dalej beze mnie.

– Octavia nie posłużyłaby się Panem Popiołów – mówię w zadumie. –

Gdyby tylko przekroczył Pas Asteroid, nie istniałaby szansa na pojednanie. Obrzeże nigdy by się nie poddało. Kto nimi dowodzi? Aja?

– Roque au Dupoliz Fabii – odpowiada szyderczo Sevro.
– Dowodzi całą flotą? – pytam zaskoczony.
– Kto by pomyślał, prawda? Po Obleżeniu Marsa i bitwie pod Dejmosem Rdzeń uważa go za półboga, prawdziwego Żelaznego Złotego wyciągniętego prosto z dawnych annałów. Nieważne, że przemknąłeś tuż pod jego nosem. Ani że jego „dokonania” w Instytucie to zwyczajny żart. Jest dobry w trzech rzeczach: jojczeniu, wbijaniu ludziom noża w plecy i niszczeniu flot.

– Nazywają go Poetą Dejmosa – odzywa się Ragnar. – W walce jest niepokonany. Nawet przeciwko Mustang i jej tytanom. Jest bardzo niebezpieczny.

– Walka flotą to nie jest jej specjalność – zauważam.

Mustang potrafi walczyć, ale zawsze była stworzona do polityki. Potrafi wiązać ze sobą ludzi. A taktyka? To domena Roque’a.

Wojownik we mnie oplakuje fakt, że tak długo nie mogłem brać udziału w walce. Przegapiłem taki spektakl jak Druga Rebelia Księżycowa. Sześćdziesiąt siedem księżyców, w większości zmilitaryzowanych, z czego cztery mające ponad stumilionową populację. Bitwy kosmiczne. Bombardowania orbitalne. Działania ofensywne wśród asteroidów z armiami w zmechanizowanych pancerzach. To byłby mój plac zabaw. Wiem jednak, że gdybym nie wylądował w zamknięciu, dziś w tej sali brakowałoby wielu ludzi.

Dociera do mnie, że za dużo chowam w sobie. Zmuszam się do podzielenia się swoimi myślami.

– Czas nam ucieka, prawda?

Dancer kiwa głową.

– W zeszłym tygodniu Roque zajął Kallisto. Tylko Ganimedes i Io stawiają zdecydowany opór. Jeśli Władcy Księżyców skapitulują, to ich flota i legiony wrócą tutaj i wesprą Szakala w walce z nami. Staniemy się jedynym celem zjednoczonej siły militarnej Wspólnoty i zostaniemy wyeliminowani.

Dlatego Fitchner nienawidził bomb. Przyciągają spojrzenia, budzą olbrzymia.

– Co więc z Marsem? Co z naszą wojną? Do diabła, właściwie gdzie się toczy nasza wojna?

– Nasza wojna to jeden wielki, parszywy burdel – odpowiada Sevro. – Zamieniła się w otwartą walkę jakieś osiem miesięcy temu. Synowie Aresa trzymają się razem. Nie wiem, gdzie jest Orion. Uznaliśmy, że nie żyje. *Pax*

i reszta twoich okrętów przepadły. Organizacje paramilitarne, niepowiązane z Synami Aresa, rosną w siłę na północy. Masakrują cywilów i w zamian za to są wybijane przez legionowe lotnictwo. Do tego dochodzą masowe strajki i protesty w dziesiątkach miast. Więzienia są przepełnione politycznymi, więc przewozi się ich do prowizorycznych obozów, gdzie, o czym wiemy z całą pewnością, dokonuje się masowych egzekucji.

Dancer wyświetla kilka holoWizuali, widzę rozmazane obrazy czegoś, co wygląda jak ogromne więzienia na pustyni i w lesie. Potem są zbliżenia trzymany na muszce podKolorów wysiadających z pojazdów i wchodzących do betonowych budynków. Przeskok na zawalone gruzami ulice. Mężczyźni w maskach, z czerwonymi przepaskami na rękach, strzelają zza dymiących szczątków miejskich tramwajów. Ląduje między nimi Złoty i nagranie się urywa.

– Uderzamy w nich najmocniej, jak się da – mówi Sevro. – Uzyskaliśmy parę konkretów. Ukradliśmy kilkanaście okrętów, w tym dwa niszczyciele. Zniszczyliśmy centrum dowodzenia nad Morzem Termicznym...

– Które już odbudowują – wtrąca Dancer.

– Więc znowu je zniszczymy – warczy Sevro.

– Kiedy nie jesteśmy w stanie nawet utrzymać miasta?

– Ci Czerwoni nie są wojownikami – przerywa im Ragnar. – Potrafią latać okrętami. Strzelać z broni. Detonować bomby. Walczyć z Szarymi. Ale kiedy pojawia się Złoty, topnieją jak śnieg.

Po jego słowach zapada głucha cisza. Synowie Aresa to partyzanci. Sabotażyści. Szpiedzy. Jednakże w kontekście tej wojny nie mogą opędzić się od słów Lorna: „W jaki sposób owce zabijają lwa? Topiąc go we krwi”.

– Jesteśmy obwiniani o śmierć każdego cywila na Marsie – odzywa się w końcu Theodora. – Zginie dwóch przy bombardowaniu fabryki amunicji, a tamci mówią, że zabiliśmy tysiąc. Podczas każdego strajku czy demonstracji agenci Wspólnoty przenikają do tłumu, udają demonstrantów, żeby zastrzelić paru Szarych policjantów albo przeprowadzić samobójczy atak bombowy. Te obrazy trafiają do mediów. A kiedy kamery są wyłączone, Szarzy włamują się do domów i nasi sympatycy znikają. ŚródKolory. PodKolory. To nieważne. Dławią każdy sprzeciw. A na północy, tak jak powiedział Sevro, wybuchł otwarty bunt.

– Odłam, który nazywa się Czerwonym Legionem, masakruje wszelkie nadKolory, które wpadną im w ręce – dorzuca ponuro Dancer. – Nasza stara przyjaciółka dołączyła do ich przywódców. Harmony.

– To było do przewidzenia.
– Podburzyła ich przeciwko nam. Nie przyjmują naszych rozkazów, więc przestaliśmy wysyłać im broń. Tracimy naszą wyższość moralną.
– Człowiek, który ma głos i środki przemocy, panuje nad światem – mruczę.

– Arcos? – pyta Theodora. Kiwam głową. – Szkoda, że go tu nie ma.
– Nie jestem pewien, czy by nam pomógł.
– Niestety wygląda na to, że nie ma głosu bez przemocy – mówi Różowa. Zakłada nogę na nogę. – Najpotężniejszą bronią rebelii jest jej duch. Duch odnowy. To małe nasionko, które znajduje nadzieję w umyśle, rozkwita i rozplenia się. Niestety odebrano nam możliwość krzewienia tej idei, odebrano nawet samą ideę. Ukradli nam przekaz. Straciliśmy głos.

Kiedy Theodora mówi, pozostali słuchają. Nie po to, żeby zrobić jej przyjemność, jak postąpiliby Złoci, ale bez mała jakby dorównywała swoją pozycją Dancerowi.

– Nic z tego nie ma sensu – odzywam się. – Co spowodowało otwartą wojnę? Szakał nie nagłośnił śmierci Fitchnera. Co było katalizatorem? Poza tym mówicie, że zostaliśmy pozbawieni głosu. Przecież Fitchner miał sieć komunikacyjną, która potrafiła nadawać do kopalń i gdzie tylko zechciał. Pokazał śmierć Eo masom. Sprawił, że stała się twarzą Powstania. Szakał zniszczył tę sieć? – Rozglądam się po ich zatroskanych twarzach. – Czego mi nie mówicie?

– Jeszcze mu nie powiedzieliście? – pyta Sevro. – To co robiliście podczas mojej nieobecności? Grzebaliście sobie w tyłkach?

– Darrow chciał spędzić trochę czasu z rodziną – odpowiada ostrym tonem Dancer. Odwraca się do mnie z westchnieniem. – Lwia część naszej cyfrowej sieci została zniszczona podczas czystek przeprowadzonych przez Szakała w miesiąc po śmierci Aresa i pojmaniu ciebie. Sevro zdołał nas ostrzec, zanim tamci zaatakowali naszą bazę w Agei. Zeszliśmy pod ziemię, ocaliliśmy zasoby, ale straciliśmy ogromną część ludzi. Tysiące Synów Aresa. Wyszkolonych operatorów. Przez następne trzy miesiące próbowaliśmy cię odnaleźć. Uprawdaliśmy transportowiec lecący na Lunę, ale ciebie na nim nie było. Przeszukaliśmy więzienia. Płaciliśmy łapówki. Niestety przepadłeś jak kamień w wodę, jakbyś nigdy nie istniał. A potem Szakał urządził ci egzekucję na schodach Cytadeli w Agei.

– To wszystko wiem.

– Ale nie wiesz, co potem zrobił Sevro.

Patrzę na mojego przyjaciela.

– Co zrobiłeś?

– To co konieczne.

Teraz to Sevro kieruje ekranem holograficznym, usuwa obraz Jowisza i zastępuje go moim. Mam szesnaście lat. Leżę chudy, blady i nagi na stole, nad którym stoi Mickey z piłą tarczową. Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Ale to nawet nie jest mój kręgosłup. Nie tak naprawdę. Należy do tych ludzi. Do rewolucji. Czuję się... wykorzystany, kiedy dociera do mnie, co zrobił Sevro.

– Ujawniłeś nagranie.

– A żebyś, kurna, wiedział – odpowiada rozeźlony.

Wszyscy teraz patrzą na mnie, a ja zaczynam rozumieć, dlaczego moje ostrze namalowano na dachach obozu uchodźców w Tinos. Wszyscy wiedzą, że byłem Czerwonym. Wiedzą, że jeden z nich podbił Marsa w Żelaznym Deszczu.

To ja zacząłem tę wojnę.

– Wypuściłem nagranie z twojego Rzeźbienia do wszystkich kopalń. Na każdą holoStronę. Wypełniłem nim każdy milimetr parszywej Wspólnoty. Złoci myśleli, że mogą cię zabić, pokonać cię i sprawić, że twoja śmierć nie będzie nic znaczyła. Prędzej szlag by mnie trafił, niż bym na to pozwolił. –

Sevro wali pięścią w stół. – Niech mnie diabli, jeśli miałbym pozwolić, żebyś zniknął w trybach tej maszyny równie anonimowy jak moja matka. Nie ma Czerwonego na Marsie, który nie znałby twojego imienia. Nie ma ani jednej osoby w cyfrowym świecie, która nie wiedziałaby, że Czerwony został księciem Żółtych i podbił Marsa. Dzięki mnie stałeś się mitem. A teraz, kiedy powróciłeś z martwych, nie jesteś już tylko męczennikiem. Jesteś parszywym mesjaszem, na którego Czerwoni czekali całe życie.

Moi ludzie

Siedzę na krawędzi hangaru ze zwieszonymi nogami i patrzę z góry na tętniące życiem miasto. Zgiełk tysiąca ściszonych głosów wznosi się do mnie jak szelest morza ocierających się o siebie liści. Uchodźcy wiedzą, że żyję. Na murach malują sierpaki. Na dachach. To desperacki bezgłośny krzyk zagubionych ludzi. Przez sześć lat chciałem między nich wrócić. Jednak patrząc w dół, widząc ich prośbę, przypominam sobie słowa Kierana i czuję, że tonę w ich nadziei.

Zbyt wiele oczekują.

Nie rozumiem, że nie możemy wygrać tej wojny. Nawet Ares wiedział, że nie nigdy nie zdołamy walczyć ze Złotymi jak równy z równym. Jak zatem mam dodać im otuchy? Jak wskazać im drogę?

Niestety wygląda na to, że nie tylko nie mogę im dać tego, czego chcą, ale na dodatek Sevro, ujawniając prawdę, spalił za nami most. Nie możemy już zawrócić.

Co to znaczy dla mojej rodziny? Dla moich przyjaciół i dla tych ludzi? Tak bardzo przytłoczyły mnie te pytania i fakt, że Sevro posłużył się nagraniem z mojego Rzeźbienia, że opuszczam ich bez słowa. Jak naburmuszony dzieciak.

Ragnar obchodzi dookoła mój wózek i siada obok. Zwiesza nogi tak samo jak ja. Jego buty są wręcz komicznie wielkie. Podmuch powietrza spowodowany przez przelatujący prom unosi wstążki w jego brodzie. Nic nie mówi, milczenie go nie krępuje. Czuję się bezpiecznie, wiedząc, że tu jest. Wiedząc, że jest ze mną. Myślałem, że tak właśnie będę się czuł przy Sevro. On jednak się zmienił. Z hełmem Aresa wiąże się zbyt wielki ciężar.

– Kiedy byłem chłopcem, zawsze chcieliśmy się przekonać, który z nas jest najdzielniejszy – mówię. – Wykradaliśmy się z domów nocą i szliśmy do najgłębszych tuneli, żeby stanąć plecami do ciemności. Jeśli jest się cicho, to można usłyszeć żmije jaskiniowe. Nigdy jednak nie wiesz, jak bli-

ska się znajdują. Większość chłopaków pękała i uciekała po minucie, może pięciu. Zawsze wytrzymałem najdłużej. Dopóki Eo nie dowiedziała się o naszej zabawie. – Kręcę głową. – Teraz wątpię, żebym wytrzymał choć minutę.

– Bo teraz wiesz, jak wiele można stracić.

W czarnych oczach Ragnara kryją się cienie rozległej historii. Ma prawie czterdzieści lat i wychował się w świecie lodu i magii, sprzedany Bogom, żeby kupić życie dla jego ludu. Służył jako niewolnik dłużej, niż ja żyję. O ile lepiej rozumie życie ode mnie?

– Nadal tęsknisz za domem? Za siostrą?

– Tak. Tęsknię za pierwszym śniegiem w ostatnich dniach lata, za tym, jak przyklejał się do futra na butach Sefi, kiedy niosłem ją na ramionach, żeby zobaczyć, jak Níðhołggr przebija się przez wiosenny lód.

Níðhołggr to smok, który według dawnych wierzeń nordyckich mieszkał pod kosmicznym drzewem Yggdrasil i podgryzał jego korzenie. Wiele Obsydianowych plemion wierzy, że smok wynurza się z głębin ich morza, by połamać lód blokujący porty i otworzyć wiosną przejścia dla ich rozbójniczych łodzi. Na jego cześć zrzucają w głębiny ciała przestępców podczas święta zwanego Ostara, w pierwszym dniu prawdziwego wiosennego słońca.

– Wysłałem przyjaciół do Wieżyc i na Lód, żeby ponieśli twoje słowa, powiedzieli moim ludziom, że ich bogowie są fałszywi; że tkwią w łańcuchach, a my wkrótce przyjdziemy ich uwolnić. I poznają pieśń Eo.

Pieśń Eo. Wydaje się teraz taka krucha i głupia.

– Już jej nie czuję, Ragnar. – Oglądałem się na Pomarańczowych i Czerwonych, którzy zerkają w naszą stronę, pracując przy myśliwcach w hangarze. – Wiem, że uważają mnie za ogniwo, które ich z nią łączy, ale ja ją straciłem w ciemności. Kiedyś myślałem, że mnie obserwuje. Rozmawiałem z nią. Teraz... jest mi obca. – Zwieszam głowę. – Bardzo wiele z tego to moja wina. Gdybym nie był taki dumny, zawczasu spostrzegłbym oznaki. Fitchner nadal by żył. Lorn nadal by żył.

– Myślisz, że znasz nici przeznaczenia? – Ragnar wyśmiewa moją arogancję. – Nie wiesz, co by się stało, gdyby oni żyli.

– Wiem, że nie mogę być tym, czego ci ludzie potrzebują.

Ragnar marszczy czoło.

– A skąd wiesz, czego oni potrzebują, skoro się ich boisz? Kiedy nawet na nich nie spojrzysz? – Nie znajduję na to odpowiedzi. Ragnar wstaje

nagle i wyciąga do mnie rękę. – Chodź ze mną.

* * *

Szpital urządzono w dawnej stołówce. Rzędy łóżek szpitalnych i prowizorycznych prycz wypełnia ją teraz wśród kaszlu i poważnych szeptów, kiedy Czerwoni, Różowi i Żółci pielęgniarze w żółtych fartuchach suną między pacjentami i sprawdzają ich stan. W głębi sali znajduje się część dla poparzonych, oddzielona od reszty leżących prowizorycznymi plastikowymi ścianami. Po drugiej stronie plastiku jakaś kobieta krzyczy, walczy z pielęgniarzem, który próbuje podać jej zastrzyk. Dwie pielęgniarki biegną, żeby ją unieruchomić.

Sterylny smutek tego miejsca wciąga mnie i połyka. Nie ma tu krwi. Szkarłat nie ścieka na podłogę. To są jednak skutki mojej ucieczki z Attyki. Nawet mając tak świetnego Rzeźbiarza jak Mickey, nie zyskają dość zasobów, żeby pomóc tym ludziom. Ranni wpatrują się w kamienny sufit, zastanawiając się, jakie życie teraz ich czeka. Oto jaki nastrój panuje w tym pomieszczeniu. Wszechobecna trauma. Nie tyle chodzi o cielesne rany, ile o zakłócone życie, zniszczone marzenia.

Wycofałbym się stąd, ale Ragnar pcha mnie do przodu, do łóżka młodego mężczyzny. Patrzył na mnie, odkąd się pojawiłem. Ma krótkie włosy i puciołowatą twarz, niezbyt ładną z powodu ewidentnego przodozgryzu.

– Co jest grane? – zagaduję go, przypominając sobie język kopalni.

Wzrusza ramionami.

– Opieprzam się chwilowo, czaisz, nie?

– Czaję. – Wyciągam rękę. – Darrow... z Lykos.

– Wiemy. – Ma tak drobną dłoń, że nie jest nawet w stanie objąć mojej palcami. Śmieje się z niezręczności tego uścisku. – Vanno z Karos.

– Noc czy dzień?

– Dzień, ciołku. Wyglądam na nocnego kopacza z obwisłą gębą?

– Wiesz, w dzisiejszych czasach to już nic nie wiadomo...

– Fakt. Jestem Omikron. Trzeci wiertacz, drugi w szeregu.

– Więc to przed twoimi śmieciami musiałem uskakiwać na dole.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Piekłonurkowie, zawsze zapatrzeni we własny pępek. – Wykonuje wulgarny gest. – Ktoś musi was nauczyć patrzeć w górę.

Obaj się śmiejemy.

– Bardzo bolało? – pyta, kiwając na mnie głową.

W pierwszej chwili myślę, że pyta o to, co zrobił mi Szakal. A potem dociera do mnie, że ma na myśli Pieczęcie na moich rękach. Te, które próbowałem zasłonić swetrem. Odsłaniam je.

– W pale się nie mieści – dodaje, szturchając je palcem.

Rozglądam się, nagle świadom, że nie tylko Vanno mi się przygląda. Nawet na końcu sali, w części dla poparzonych, Czerwoni podnoszą się na łóżkach, żeby na mnie popatrzeć. Nie potrafią dostrzec ukrytego we mnie strachu. Widzą to, co chcą. Zerkam na Ragnara, ale on rozmawia z ranną kobietą. To Holiday. Kiwa do mnie głową. Na jej twarzy nadal maluje się żaloba z powodu śmierci brata. Trzyma koło łóżka jego pistolet, a jego karabin stoi oparty o ścianę. Synowie Aresa odzyskali ciało Trigga podczas akcji ratunkowej, więc mógł zostać pochowany.

– Czy bardzo bolało? – powtarzam. – Wyobraź sobie, że wpadasz pod świdroSzpon, Vanno. Centymetr za centymetrem. Najpierw idzie skóra. Potem ciało. Potem kość. Bułka z masłem.

Vanno gwizdże z podziwem i spogląda w stronę swojej utraconej nogi. Ma zmęczony, niemal znudzony wyraz twarzy.

– Ja tego nawet nie poczułem. Pancerz wstrzyknął mi tyle chemii, że nawet taki gość jak on by padł. – Ruchem głowy wskazuje Ragnara i wciąga powietrze przez zęby. – Przynajmniej nie straciłem kutasa.

– Zapytaj go – ponagla go leżący obok mężczyzna. – Vanno...

– Zamknij się. – Vanno wzdycha. – Chłopaki się zastanawiali. Ty swojego nie straciłeś?

– Że co?

– No wiesz, swojego małego. – Patrzy na moje krocze. – A może... no wiesz... załatwili ci proporcjonalnego?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie no, nie z powodów osobistych, ale postawiłem na to trochę kasy.

– Taaak... – Pochyliam się do przodu z powagą, tak samo jak Vanno i jego sąsiedzi. – Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to zapytaj swoją matkę.

Vanno wpatruje się we mnie z napięciem, a potem wybucha śmiechem. Jego sąsiedzi też się śmieją i powtarzają żart, aż dotrze na krańce sali. Na jedną chwilę nastrój się nieco zmienia. Przytłaczającą sterylność zastępują rozbawienie i sprośne żarty. Szepty nagle wydają się nie na miejscu. Ta zmiana atmosfery napełnia mnie energią, zdaję sobie sprawę, że to wszystko dzieje się za sprawą jednego wybuchu śmiechu. Zamiast wycofać

się z pokoju, uciec przed spojrzeniami, odsuwam się od Ragnara i jadę między łózkami, żeby pogadać z innymi rannymi, podziękować im, zapytać, skąd są, poznać ich imiona. I wtedy dziękuję niebu za to, że mam dobrą pamięć. Jeśli zapomnisz imię człowieka, on ci to wybaczy. Ale jeśli je zapamiętasz, będzie cię bronił do upadłego.

Większość zwraca się do mnie per „proszę pana” albo „Żniwiarzu”. Chcę ich poprawiać, mówić, żeby nazywali mnie Darrow, ale doceniam ich szacunek, dystans między przywódcą i jego ludźmi. Bo chociaż śmieję się razem z nimi, chociaż pomagają mi wyleczyć to, co zostało we mnie wypa-
czone, nie są moimi przyjaciółmi. Nie są moją rodziną. Na razie. Nie mamy jeszcze takiego luksusu. Na razie są moimi żołnierzami. I potrzebują mnie w równym stopniu, jak ja ich. Jestem ich Żniwiarzem. Potrzebowałem Ragnara, żeby mi o tym przypomnieli. Posyła mi niezgrabny uśmiech, zadowolony z tego, że śmieję się razem z żołnierzami. Nigdy nie byłem człowiekiem radości ani człowiekiem wojny, nigdy nie byłem wyspą pośród sztormu. Nigdy nie miałem w sobie nic z absolutu jak Lorn. Tylko udawa-
łem. Jestem i zawsze byłem człowiekiem, który staje się kompletny dzięki tym, którzy go otaczają. Czuję, jak wzbiera we mnie siła, której nie miałem od bardzo dawna. Nie chodzi tylko o to, że jestem kochany. Oni we mnie wierzą. Nie w maskę, jak moi żołnierze w Instytucie, nie w fałszywego idola, którego stworzyłem na służbie u Augustusa, ale w człowieka kryją-
cego się w środku. Lykos mogło przepaść. Eo mogła ucichnąć. Mustang jest na drugim końcu wszechświata. A Synów Aresa dzieli krok od wyginięcia. Ja jednak czuję, że wlewa się we mnie z powrotem dusza, gdy dociera do mnie, że wreszcie wróciłem do domu.

* * *

Z Ragnarem u boku wracam do sali narad, gdzie Sevro i Dancer pochylają się nad planami. Theodora siedzi w kącie i zajmuje się korespondencją. Odwracają się do mnie, gdy wchodzę, zaskoczeni widokiem uśmiechu na mojej twarzy, a także faktem, że stoję na nogach – nie całkiem o własnych siłach, bo jestem wsparty na Ragnarze. Zostawiłem jednak wózek w szpitalu i kazałem Ragnarowi zaprowadzić się z powrotem do sali narad, z której uciekłem godzinę wcześniej. Czuję się jak nowy człowiek. Możliwe, że nie jestem tym, kim byłem przed ciemnością, ale może to i lepiej. Mam w sobie pokorę, której mi wcześniej brakowało.

– Przepraszam za swoje zachowanie – mówię do przyjaciół. – To było... przytłaczające. Wiem, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Nikt nie spisałby się lepiej w takich okolicznościach. Nie daliście zgasnąć nadziei i uratowaliście mnie. Moją rodzinę też. – Zawieszam głos, żeby się upewnić, że rozumieją, jak wiele to dla mnie znaczy. – Wiem, że nie spodziewaliście się mojego powrotu w takim stanie; miałem wrócić pełen gniewu i ognia. Nie jestem jednak tym, kim byłem dawniej. Po prostu nie jestem – powtarzam, kiedy Sevro próbuje mnie poprawić. – Ufam wam. Ufam waszym planom. Chcę pomóc, jak tylko zdołam, ale w takim stanie nie dam rady. – Podnoszę chude ręce. – Dlatego potrzebuję waszej pomocy w trzech rzeczach.

– Zawsze miałeś talent do dramatyzmu – mówi Sevro. – Czego żądasz, księżniczko?

– Po pierwsze, chcę wysłać emisariusza do Mustang. Wiem, uważacie, że mnie zdradziła, ale chcę, żeby wiedziała, że żyję. Może to coś zmieni. Jest szansa, że nam pomoże. – Słyszając to, Sevro prychnął.

– Już raz daliśmy jej szansę. Prawie zabiła ciebie i Ragnara.

– Ale jednak tego nie zrobiła – zwraca mu uwagę olbrzym. – Warto zaryzykować, jeśli mogłaby nam pomóc. Polecę jako emisariusz, żeby nie wątpiła w nasze intencje.

– Diabła tam polecisz – parska Sevro. – Jesteś jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w Układzie Słonecznym. Złoci zamknęli wszelki nieautoryzowany ruch międzyplanetarny. Nie przetrwałbyś dwóch minut w porcie kosmicznym, nawet z maską na twarzy.

– Wyślemy jednego z moich szpiegów – odzywa się Theodora. – Już nawet wiem kogo. Jest dobra i o całe sto kilogramów mniej rzuca się w oczy niż ty, księżę Wieżyc. W dodatku dziewczyna już jest w mieście portowym.

– Evey? – pyta Dancer.

– W rzeczy samej. – Theodora patrzy w moją stronę. – Evey zrobiła, co mogła, żeby odpokutować przeszłe winy. Nawet te, które nie były jej. Była bardzo pomocna. Zajmę się przygotowaniem do podróży i odpowiednią przykrywką, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Dancer.

– W porządku – odzywa się szybko Sevro, chociaż Theodora czeka, aż to Dancer skinie głową.

– Dziękuję – mówię. – Potrzebuję też, żebyście sprowadzili z powrotem do Tinos Mickeya.

- Po co? – pyta Dancer.
- Musi znowu zamienić mnie w broń.
- Sevro się śmieje.
- To rozumiem. Trzeba ci nałożyć na kości trochę zabójczego mięcha. Skończyć z tym anorektycznym wizerunkiem stracha na wróble.
- Dancer kręci głową.
- Mickey jest pół tysiąca kilometrów stąd w Varos, pracuje nad swoim małym projektem. Jest tam potrzebny. Potrzebujesz kalorii, a nie Rzeźbiarza. W twoim stanie Rzeźbienie mogłoby być niebezpieczne.
- Żniwiarz da radę. Sprowadzimy Mickeya ze sprzętem jeszcze przed czwartkiem – zapowiada Sevro. – Virany i tak konsultowała się z nim w twojej sprawie. Mickey pokraśnieje ze szczęścia na twój widok.
- Dancer patrzy na Sevro. Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.
- A ostatnia prośba?
- Krzywię się.
- Mam przeczucie, że ci się nie spodoba.

12

Julii

Znajduję Victrę w izolatce, której drzwi strzeże kilku Synów Aresa. Leży ze stopami wystającymi poza brzeg szpitalnego łóżka i ogląda stojące w nogach holo. W serwisie informacyjnym Wspólnoty nawijają o odważnym ataku legionu na siły terrorystów, które zniszczyły tamę i zalały dolną część doliny rzeki Mystos. Powódź pozbawiła domów dwa miliony Brązowych farmerów. Szarzy wojskowymi ciężarówkami dostarczają paczki z pomocą humanitarną. Czerwoni mogli spokojnie wysadzić tamę. Równie dobrze może to być robota Szakala. Kto to teraz wie?

Biało-złote włosy Victry są związane w ciasny kucyk. Wszystkie kończyny, nawet sparaliżowane nogi, ma przykute do łóżka. Przedstawicielom jej rodzaju niezbyt się tu ufa. Nie podnosi wzroku, kiedy serwis przeskakuje na informacje na temat Roque'a au Fabii, Poety Dejmosa i najnowszego obiektu westchnień kręgu plotkarskiego. Przeszukują jego przeszłość, przeprowadzają wywiady z matką senatorką, z nauczycielami z czasów poprzedzających Instytut, przedstawiają go jako chłopca w ich wiejskiej posiadłości.

– Roque zawsze uważał świat natury za piękniejszy od miast – mówi do kamery jego matka. – Podziwiał jego idealny porządek, łatwość, z jaką tworzy hierarchię. Myślę, że dlatego tak bardzo kochał Wspólnotę, nawet kiedy...

– Ta kobieta wyglądałaby o wiele lepiej z lufą w ustach – mruczy Victra i wyłącza dźwięk.

– Pewnie wypowiedziała jego imię więcej razy w ostatnim miesiącu niż przez całe jego dzieciństwo – odpowiadam.

– Politycy nigdy nie pozwolą, żeby popularny członek rodziny się zmarnował. Co to kiedyś powiedział Roque na temat Augustusa na przyjęciu? „Sępy gromadzą się wokół potężnych, żeby pożerać trupy, które tamci zostawiają za sobą”. – Patrzy na mnie błyszczącymi, wojowniczymi oczami.

Szaleństwo, które widziałem w nich wcześniej, wycofało się, ale nie zniknęło całkowicie. Trwa w nich, tak samo jak u mnie. – Równie dobrze mógłbyś mówić o tobie.

– Słuszna uwaga.

– Przewodzisz tej bandzie terrorystów?

– Miałem taką szansę. Spaprałem to. Sevro tu rządzi.

– Sevro. – Opada na poduszki. – Naprawdę?

– To zabawne?

– Nie. Tak naprawdę to z jakiegoś powodu wcale nie jestem zaskoczona. Zawsze więcej gryzł niż szczekał. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, kopął Tactusa po tyłku.

Podchodzę.

– Chyba jestem ci winny wyjaśnienie.

– Do diabła. Możemy to sobie darować? To nudne.

– Darować?

Wzdycha ciężko.

– Przeprosiny. Wzajemne oskarżenia. Całe to trywialne gówno, w które ludzie brną, bo brakuje im pewności siebie. Nie jesteś mi niczego winien.

– Jak do tego doszłaś?

– Żyjąc we Wspólnocie, wszyscy zgadzamy się na pewną umowę społeczną. Moi ludzie uciskają twoich. Żyjemy z waszej pracy. Udajemy, że nie istniejecie. A wy się odgryzacie. Zwykle dość kiepsko. Osobiście uważam, że to wasze prawo. Nie ma w tym nic dobrego ani złego. To po prostu uczciwe. Oklaskiwałabym mysz, która zdołałaby zabić orła, a ty nie? Świetna robota, myszko. Absurdem i hipokryzją ze strony Żółtych jest narzekać teraz, bo Czerwoni wreszcie zaczęli dobrze walczyć. – Parska, widząc moje zaskoczenie. – Co, kochanie? Spodziewałeś się, że zacznę krzyczeć, wymyślać ci i nawijać o honorze i zdradzie jak te chodzące rany, Cassius i Roque?

– Trochę tak...

– To dlatego, że jesteś bardziej uczuciowy ode mnie. Ja jestem Julii. W moich żyłach płynie lód. – Przewraca oczami, kiedy chcę zaprzeczyć. – Błagam, nie prosź, żebym była inna, bo potrzebujesz uzasadnienia. To poniżej godności nas obojga.

– Nigdy nie byłaś tak zimna, jak udajesz.

– Istniałam na długo przed tym, jak pojawiłeś się w moim życiu. Co tak naprawdę wiesz na mój temat? Jestem nieodrodną córką swojej matki.

- Jesteś czymś więcej.
- Skoro tak twierdzisz.

Nie ma w niej sztuczności. Nie ma chytrej manipulacji. Mustang to kpina i subtelne zagrywki. Victra wali jak stalowa kula w maszynie burzącej. Złagodniała przed Triumfem. Odsłoniła się. Teraz jednak znowu się chowa i to dzieli nas tak jak na początku, kiedy ją poznałem. Jednak im dłużej rozmawiamy, tym bardziej widzę, że jej włosy nie są po prostu bladozłote, tylko poprzetykane siwizną. Policzki ma zapadnięte, a prawą rękę, która leży dalej od drzwi, zaciska na prześcieradle.

– Wiem, dlaczego mnie okłamywałeś, Darrow. Szanuję to. Nie rozumiem jednak, dlaczego uratowałeś mnie w Attyce. To była litość? Taktyka?

- Bo jesteś moją przyjaciółką.
- Daruj sobie.
- Prędzej bym zginął, próbując cię wydobyć z tamtej celi, niż pozwoliłbym ci tam gnić. Trigg naprawdę zginął, żeby cię stamtąd wyciągnąć.
- Trigg?
- Jeden z Szarych, którzy przyszli ze mną do twojej celi. Drugim była jego siostra.

– Nie prosiłam o ratunek – odpowiada z goryczą. To jej sposób na umycie rąk od śmierci Trigga. Nie patrzy teraz na mnie. – Wiesz, Antonia myślała, że byliśmy kochankami, ty i ja. Pokazała mi nagranie z twojego Rzeźbienia. Szydziła ze mnie. Tak jakby zobaczenie, czym jesteś, miało obudzić we mnie obrzydzenie. Odkrycie, skąd pochodzisz. Świadomość, że zostałam okłamana.

- I co, podziałało?
- Dlaczego miałoby mnie obchodzić, czym byłeś w przeszłości? – prycha. – Liczy się to, co ludzie robią. Liczy się prawda. Gdybyś mi powiedział, nie zrobiłabym ani jednej rzeczy inaczej. Chroniłabym cię. – Wierzę jej. Wierzę w ból w jej oczach. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bałem się.
- Założę się jednak, że powiedziałeś Mustang.
- Tak.
- Dlaczego jej tak, a mnie nie? Przynajmniej na tyle zasłużyłam.
- Nie wiem.
- Bo jesteś kłamcą. Powiedziałeś wcześniej, że nie jestem nikczemna, ale w głębi ducha właśnie za taką mnie uważasz. Nigdy mi nie ufałeś.

– Owszem, nie ufałem ci. To mój błąd. Moi przyjaciele zapłacili za to życiem. Ten... wyrzut sumienia był moim jedynym towarzyszem w maleńkiej celi, w której Szakal trzymał mnie przez dziewięć miesięcy. – Sądząc po wyrazie jej oczu, nie wiedziała, co mi zrobiono. – Teraz jednak dostałem drugą szansę i nie zamierzam jej zmarnować. Chcę ci to wynagrodzić. Jestem ci to winien. I chcę, żebyś do nas dołączyła.

– Do was? – mówi ze śmiechem. – Znaczy, do Synów Aresa?

– Tak.

– Ty mówisz poważnie. – Śmieje się ze mnie. Kolejny mechanizm obronny. – Nie pociąga mnie samobójstwo, kochanie.

– Świat, jaki znasz, przepadł. Twoja siostra ci go skradła. Twoja matka i jej przyjaciele zostali zgładzeni. Twoja rodzina jest teraz twoim wrogiem. Jesteś wyrzutkiem wśród własnych ludzi. Na tym polega problem ze Wspólnotą. Pożera swoich członków. Napuszcza nas na siebie nawzajem. Nie masz dokąd pójść...

– Naprawdę umiesz sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo.

– Chcę ci dać rodzinę, która nie wbije ci noża w plecy. Chcę ci dać życie, które coś znaczy. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, nawet jeśli wyśmiejesz mnie za to, że tak mówię. Wierzę w ciebie. A jednak... to wszystko nie ma znaczenia: w co wierzę, czego chcę. Liczy się to, czego ty chcesz.

Spogląda mi w oczy.

– Czego ja chcę?

– Jeśli chcesz stąd odejść, to możesz to zrobić. Jeżeli wolisz zostać w łóżku, tak samo. Powiedz, czego chcesz, a to dostaniesz. Tyle jestem ci winien.

Victra zastanawia się przez chwilę.

– Nie obchodzi mnie twoja rebelia. Nie obchodzi mnie twoja martwa żona. Ani znalezienie rodziny czy sensu życia. Chcę móc spać bez pompowania się chemią po uszy. Chcę znowu być w stanie śnić. Chcę zapomnieć o strzaskanej głowie mojej matki, jej pustych oczach i drgających palcach. Chcę zapomnieć śmiech Adriusa. I chcę odpłacić jemu i Antonii za ich gościnność. Chcę stanąć nad nimi i tym ścierwem, Roque'em, kiedy będą płakać i błagać o śmierć, wtedy wydłubię im oczy, wleję im stopione złoto do oczodołów, a oni będą wrzeszczeć, wić się, sikać pod siebie i błagać o wybaczenie za to, że pomyśleli kiedykolwiek o wsadzeniu Victry au Julii do przeklętej klatki. – Uśmiecha się drapieżnie. – Chcę zemsty.

– Zemsta jest pusta.

– Więc teraz jestem pustą dziewczyną.

Wiem, że to nieprawda. Wiem, że jest czymś więcej. Wiem jednak, jak mało kto, że rany nie goją się w jeden dzień. Ledwie sam się połatałem, a mam tu całą swoją rodzinę.

– Jeśli tego właśnie chcesz, to jestem ci to winien. Za trzy dni zjawi się tutaj Rzeźbiarz, który zamienił mnie w Złotego. Odtworzy nas takich, jacy byliśmy wcześniej. Naprawi ci kręgosłup. Zwróci ci nogi, jeśli tego chcesz.

Mruży oczy, patrząc na mnie.

– Ufasz mi nadal po tym, wiedząc, ile kosztowało cię takie zaufanie?

Wyjmuję kartę magnetyczną, którą dali mi stojący na zewnątrz Synowie Aresa, i przykładam do jej kajdanek. Jedne po drugich odpadają, uwalniając jej nogi i ręce.

– Jesteś bardziej tępy, niż na to wyglądasz.

– Możesz nie wierzyć w naszą rebelię, ale widziałem, jak Tactus się zmienił, zanim okradziono go z przyszłości. Widziałem, jak Ragnar porzucił więzy i sięgnął po to, czego chce na tym świecie. Widziałem, jak Sevro stał się mężczyzną. Widziałem, jak sam się zmieniłem. Naprawdę wierzę, że wybieramy to, kim chcemy być w tym życiu. To nie jest z góry przesądzone. Ty nauczyłaś mnie lojalności bardziej niż Mustang, bardziej niż Roque. I dlatego teraz ja wierzę w ciebie, Victro. Wcześniej w nikogo tak nie wierzyłem. – Wyciągam rękę. – Bądź moją rodziną, a nigdy cię nie porzucę. Nigdy cię nie okłamię. Będę twoim bratem, dopóki życia mi starczy.

Zaskoczona uczuciem w moim głosie wpatruje się we mnie. Zimna z natury, nagle zapomina o obronnych murach, które stawiała. W innym życiu moglibyśmy być parą. Mógłby nas łączyć ten ogień, który czuję wobec Mustang, wobec Eo. Jednak nie w tym życiu.

Nie mięknie. Nie wybucha płaczem. Nadal szaleje w niej gniew. Wciąż dyszy nienawiścią, jej lodowate serce nadal wypełnione jest poczuciem zdrady, straty i frustracji. Jednakże na chwilę uwalnia się od tego wszystkiego. W tym momencie wyciąga z powagą rękę, żeby uścisnąć mi dłoń. A we mnie zapala się płomynek nadziei.

– Witaj wśród Synów Aresa.

Część II

Wściekłość

Wszystko się pieprzy.

Sevro au Barca

13

Wyjce

– Psiakrew, to naprawdę wkurzające, że nigdy nic mi nie mówią – mruczy Victra, kiedy pomaga mi odwiesić ciężary na ławce do wyciskania.

Dźwięk niesie się echem w kamiennej siłowni. Tutaj jest sama naga skała. Metalowe ciężary. Gumowe opony. Sznury. I miesiące mojego potu.

– Nie wiedzą, kim jesteś? – mówię, siadając.

– Och, zamknij się. Nie ty założyłeś Wyjców? Nie masz nic do powiedzenia na temat tego, jak nas traktują?

Szturcha mnie, żebym zszedł z ławki i pozwolił jej zająć moje miejsce. Opiera kręgosłup na wyściełanej powierzchni i wyciąga ręce, żeby złapać za sztangę. Zdejmuję z gryfu kilka talerzy, ale ona piorunuje mnie wzrokiem, więc zakładam je z powrotem, kiedy poprawia chwyt.

– Właściwie to nie.

– Aha. Ale tak serio: co dziewczyna musi zrobić, żeby dostać wilczą pelerynę? – Potężnymi rękami zdejmuję sztangę ze stojaka. Podnosi ją i opuszcza, nie przerywając rozmowy. To prawie trzysta kilo. – Dwie misje temu strzeliłam legatowi prosto w głowę. Legatowi! Widziałam twoje Wyjce. Poza Ragnarem... są malutcy. Potrzebują... więcej ludzi wagi ciężkiej, jeśli chcą... załatwić Kościarzy Adriusa czy... pretorianów Suwerenki.

Zgrzyta zębami przy ostatnim powtórzeniu i odkłada sztangę na stojak bez mojej pomocy. Wstaje i wskazuje swoje odbicie w lustrze, potężną, zwartą sylwetkę. Ramiona ma szerokie i rozkołysane, gdy wyniośle stawia kroki.

– Jestem okazem fizycznie doskonałym, czy stoję, czy siedzę. Niewykorzystywanie mnie źle świadczy o inteligencji Sevro.

Przewracam oczami.

– Pewnie martwi się twoim brakiem pewności siebie.

Ciska we mnie ręcznikiem.

– Jesteś równie denerwujący jak on. Przysięgam na niebiosy, jeśli raz jeszcze powie coś o „niedostatkach mojego urodzenia”, to obetnę mu ten przeklęty łeb łyżeczką.

Przyglądam jej się przez chwilę, starając się nie roześmiać.

– No co, ty też masz w tej kwestii coś do powiedzenia?

– Nie, moja łaskawa pani – mówię, unosząc ręce w pojednawczym geście. Victra odruchowo zatrzymuje na nich wzrok. – Teraz przysiadaj?

Po Rzeźbieniu u Mickeya nędzna siłownia stała się naszym drugim domem. Victra tygodniami wracała do zdrowia na jego oddziale; jej nerwy przypominały sobie, jak się chodzi, a oboje próbowaliśmy wrócić do dawnej wagi pod okiem doktor Virany. Stadko Czerwonych i jeden Zielony obserwują nas teraz z kąta. Nawet po dwóch miesiącach nie spowszedniało im podziwianie, ile jest w stanie udźwignąć dwójka chemicznie i genetycznie wzmocnionych Niezrównanych Naznaczonych.

Dwa tygodnie temu Ragnar przyszedł nas zawstydzić. Nie odezwał się nawet słowem. Po prostu zaczął nakładać ciężary na gryf sztangi, aż przestały się na niej mieścić, wycisnął ją bez uginania nóg i gestem wskazał, żebyśmy zrobili to samo. Victra nie była nawet w stanie podnieść ciężaru z ziemi. Mnie udało się dźwignąć go na wysokość kolan. A potem musieliśmy słuchać setki idiotów, którzy łazili za Ragnarem i przez godzinę skandowali jego imię. Dowiedziałem się potem, że stryj Narol przyjmował zakłady, o ile kilo Ragnar mnie pobije. Nawet mój własny stryj obstawiał przeciwko mnie. To jednak dobry znak, nawet jeśli inni nie myślą o tym w ten sposób. Złoci nie mogą zawsze wygrywać.

Dzięki Mickeyowi i doktor Virany w końcu odzyskaliśmy z Victrą władzę nad swoimi ciałami. Dłużej zajęło nam oswojenie się na nowo z polem walki. Zaczęliśmy pomalutku. Naszą pierwszą wspólną misją był wypad po zapasy. Towarzyszyli nam Holiday i tuzin ochroniarzy: nie byli potrzebni do misji, mieli po prostu chronić mnie. Wyjce nie brały w tym udziału.

– Musisz zapracować sobie na wejście do drużyny A, Żniwciu. Żebyś na pewno nadążył – powiedział Sevro, poklepując mnie po twarzy. – A Julii musi się najpierw wykazać.

Odepchnęła jego rękę, kiedy i ją próbował pogłaskać.

Dziesięć wypadów po zaopatrzenie, dwa sabotáže i trzy zabójstwa później Sevro wreszcie uznał, że razem z Holiday i Victrą nadajemy się do drużyny B: Żmij Jaskiniowych. Dowodził nimi Narol, który stał się poniekąd kultowym bohaterem wśród tutejszych Czerwonych. Ragnar przypomina

boga, ale mój stryj to prostu twardy staruszek, który za dużo pije, za dużo pali i jest nieprzeciętnie dobry w wojaczce. Jego Żmije to zbieranina twardejeli, którzy specjalizują się w sabotażach i kradzieżach; połowa z nich to byli piekłonurkowie, resztę stanowi mieszanka użytecznych podKolorów. Przeprowadziliśmy wspólnie z nimi trzy misje, niszcząc koszary legionów i kilka instalacji łącznościowych, ale nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, że jesteśmy węzem, który pożera własny ogon. Każdy zamach bombowy zostaje przeinaczony w mediach Wspólnoty. Każda drobniutka szkoda ściąga kolejne legiony z Agei do kopalń i małych miasteczek na Marsie.

Czuję się zaszczuty.

Gorzej: czuję się jak terrorysta. Tylko raz do tej pory czułem się w ten sposób – kiedy z bombą na piersi wszedłem na galę na Lunie.

Dancer i Theodora stale naciskają na Sevro, żeby szukał kolejnych sojuszników, starał się zmniejszyć przepaść ziejącą między Synami Aresa i pozostałymi odłamami. Niechętnie się zgodził. Dlatego wcześniej w tym tygodniu Żmije i ja zostaliśmy wysłani z tuneli na północny kontynent Arabia Terra, gdzie Czerwony Legion umocnił swoje pozycje w portowym mieście Ismenia. Dancer miał nadzieję, że zdołam ich przyciągnąć, czego Sevro nie był w stanie zrobić, może wyrwać ich spod wpływów Harmony. Zamiast jednak znaleźć sprzymierzeńców, zastaliśmy masowy grób: szare, zrównane z ziemią miasto, zbombardowane z orbity. Nadal mam przed oczami bladą masę wzdętych ciał leżących na wybrzeżu, kraby śmigające wśród trupów, ucztujące na zmarłych, podczas gdy samotna wstążka dymu wiała się w górę ku gwiazdom: stare, bezdźwięczne echo wojny.

Prześladuje mnie tamten widok, ale Victra sprawia wrażenie, że już o tym zapomniała, kiedy tak zawzięcie ćwicz. Zepchnęła te sceny do potężnej krypty w głębi umysłu, gdzie upycha i zamyka całe zło, które widziała, cały ból, który czuła. Chciałbym bardziej ją przypominać. Chciałbym mniej czuć i mniej się bać. Kiedy jednak wracam pamięcią do tej smugi dymu, myślę tylko o tym, że to zapowiedź czegoś gorszego. Jakby Wszechświat pokazywał nam przeblysłk końca, ku któremu pędzimy.

Jest późny wieczór i lustra zdążyły zaparować, zanim kończymy ćwiczenia. Myjemy się pod prysznicami, rozmawiając przez plastikowe ścianki.

– Uznaj to za postęp – mówię. – Przynajmniej teraz z tobą rozmawia.

– Nie. Twoja matka mnie nienawidzi. Zawsze będzie mnie nienawidzić.

Nic, do cholery, na to nie poradzę.

– Mogłabyś być bardziej uprzejma.

– Jestem ucieleśnieniem uprzejmości – odpowiada urażona Victra. Wyłącza prysznic i wychodzi z kabiny.

Mam zamknięte oczy z powodu wody, gdy kończę myć szamponem włosy i spodziewam się, że Victra powie coś więcej. Nie odzywa się, więc spłukuję szampon i też wychodzę. Czuję, że coś jest nie tak, zanim jeszcze zobaczę ją leżącą na podłodze, nagą, z rękami i nogami związanymi za plecami. Ma kaptur na głowie. Coś porusza się za mną. Obracam się gwałtownie i zdążam jeszcze zobaczyć pół tuzina widmoPłaszcz w kłębach pary. Potem ktoś nieludzko silny uderza mnie od tyłu i obejmuje, przyszpilając mi ręce do boków. Czuję jego oddech na karku. Ogarnia mnie zgroza. Szakał nas znalazł. Zakradł się tutaj. Ale jak?

– Złoci! – krzyczę. – Złoci!

Jestem śliski po prysznicu. Podłoga też jest śliska. Wykorzystuję to, szarpię się w uścisku napastnika, wijąc się jak piskorz, i uderzam go potylicą w twarz. Słysząc stęknienie. Obracam się znowu, sunąc na podłodze. Przewracam się, walę kolanem w beton. Podnoszę się z trudem. Wyczuwam, że dwóch napastników podbiega z lewej. Mają widmoPłaszcz. Uchylam się przed jednym i uderzam barkiem na wysokości kolan. Przelatuje nad moją głową i przebija się przez plastikową ściankę prysznica za moimi plecami. Drugiego łapię za gardło, bloкую jego cios i ciskam nim o sufit. Kolejny uderza we mnie z boku, łapie mnie za nogę, próbuje wytrącić z równowagi. Nie stawiam oporu, zamiast tego wyskakuję w powietrze i wyginam ciało zgodnie ze sztuką walki *kravat*, przesuwając punkt ciężkości przeciwnika, przez co obaj lądujemy na ziemi, tyle że ja ściskam teraz jego głowę między udami. Wystarczy tylko żebym je obrócił i skręcił mu kark. Wtedy jednak łapią mnie kolejne dwie pary rąk, walą w twarz, w nogi. WidmoPłaszcz migoczą w zaparowanym pomieszczeniu. Wrzeszczę, ciskam się i pluę, ale jest ich zbyt wielu, są zbyt podli, biją w ścięgna podkolanowe, więc nie mogę kopać, i w nerwy ramion, przez co moje ręce stają się ciężkie jak ołów. Zakładają mi kaptur na głowę i wiążą mi ręce za plecami. Leżę nieruchomy, przerażony, zadyszany.

– Podnieście ich na klęczki – warczy elektroniczny głos. – Na parszywe kolana.

Parszywe? Ach, szlag. Kiedy dociera do mnie, kto to, daję się podnieść na kolana. Zdejmują mi kaptur. Światła są pogaszone. Na podłodze stoi kilkadziesiąt świec. Rzucają cienie po całej łazience. Victra klęczy na lewo ode mnie, jest rozwścieczona. Krew płynie jej z przekrzywionego nosa.

Z prawej strony pojawia się Holiday. Jest ubrana, ale podobnie związana. Niosą ją dwie ubrane na czarno postaci, które następnie zmuszają ją do ukłęknięcia. Szeroki uśmiech wypływa jej na usta.

Wokół nas w zaparowanej łazience stoi dziesięć demonów z pomalowanymi na czarno twarzami wyzierającymi spod paszczy wilczych skór, które zwieszają im się od głów do połowy ud. Dwa kolejne opierają się o ścianę, obolałe po mojej szaleńczej obronie. Okryty skórą niedźwiedzia Ragnar góruje nad Sevro. Wyjce przyszły po nowych rekrutów. Są przerażający jak wszyscy diabli.

– Witajcie, paskudne łajdaki – warczy Sevro, usuwając syntezator mowy. Wychodzi z cienia i staje przed nami. – Powiedziano mi, że jesteście nienaturalnie chytrymi, dzikimi i ogólnie rzecz biorąc nikczemnymi istotami utalentowanymi w sztuce morderstwa, siania zamętu i chaosu. Jeśli się mylę, powiedzcie od razu.

– Sevro, śmiertelnie nas przeraziłeś – odzywa się Victra. – Co ci, kurna, odbiło?

– Nie profanuj tej chwili – rzuca groźnie Ragnar.

Victra pluje.

– Złamałeś mi nos, prostaku!

– Ściśle rzecz biorąc, to ja ci go złamałem – odzywa się Sevro. Kiwa głową na szczupłego Wyjca z Czerwonymi Pieczęciami na rękach. – A Śpioch pomógł.

– Ty karzełku...

– Wierciłaś się, kochaniutka – odzywa się Pestka gdzieś z szeregu Wyjców. Nie potrafię powiedzieć, które z nich to ona. Głos odbija się od ścian.

– I jeśli będziesz dalej gadać, to zakneblujemy cię i zaczniemy łaskotać – dodaje złowieszczo Błazen. – Więc... ćśś.

Victra kręci głową, ale już się nie odzywa. Staram się nie śmiać, wymaga tego powaga chwili. Sevro nie przestaje krążyć przed nami.

– Obserwowaliśmy was i teraz was chcemy. Jeśli przyjmiecie zaproszenie do naszego bractwa, musicie złożyć przysięgę wierności naszym braciom i siostram. Musicie przysiąc, że nigdy nie okłamiacie i nigdy nie zdradzicie tych, którzy noszą peleryny. Wszystkie wasze grzechy, wszystkie wasze blizny i wszyscy wasi wrogowie należą teraz do nas. To nasze wspólne brzemie. Wasi ukochani, wasze rodziny staną się naszymi ukochanymi i naszymi drugimi rodzinami, bo naszą pierwszą jesteście wy. Jeśli nie

możecie się do tego zastosować, jeśli nie możecie zgodzić się na taką więź, powiedzcie to teraz i będziecie mogli odejść.

Czeka. Nawet Victra nie odzywa się ani słowem.

– Dobrze. A teraz zgodnie z zasadami zapisanymi w naszym świętym piśmie... – Sevro unosi małą czarną książeczkę z pozaginanymi rogami i łbem wyjącego białego wilka na okładce – ...musicie zostać oczyszczeni z dawnych przysięg i dowieść swojej wartości, zanim złożycie śluby. – Unosi ręce. – Zatem niech rozpocznie się oczyszczenie.

Wyjce odchylają głowy i wyją jak wariaci. To, co następuje później, jest rozmazaną plamą osobliwości. Gdzieś dudni muzyka. My nadal klęczymy. Ręce mamy związane. Wyjce wyskakują naprzód. Przystawiają nam butelki do ust. Pijemy, a oni skandują wokół nas jakąś zapętloną melodię. Przewodzi im Sevro, bezczelny i rubaszny. Ragnar ryczy z satysfakcji, kiedy kończę butelkę. Niewiele brakuje, żebym od razu wszystko zwymiotował. Alkohol pali, płonie mi żywym ogniem w przełyku i żołądku. Obok mnie Victra kaszle. Holiday po prostu pije duszkiem, a Wyjce wiwatują, gdy opróżnia butelkę. Wahamy się, kiedy otaczają Victre i skandują rytmicznie, podczas gdy ona z trudem łapie powietrze i próbuje dopić alkohol. Trunek zalewa jej twarz. Victra znowu kaszle.

– Tylko na tyle cię stać, córko Słońca? – dudni Ragnar. – Pij!

I ryczy z zachwytu, kiedy Victra wreszcie kończy butelkę, kaszląc i przeklinając pod nosem.

– Przynieście węże i karaluchy! – woła Obsydianowy.

Skandują śpiewnie jak modlący się kapłani. Pestka chwiejnie wychodzi naprzód. Trzyma wiadro. Popychają nas tak, żebyśmy je otoczyli. W migoczącym świetle widzę, że na dnie kubła wije się coś żywego. Grube, lśniące karaluchy o włochatych odnóżach i skrzydłach pełzają wokół zmii jaskiniowej. Wzdrygam się i odsuwam, przerażony i pijany, kiedy Wyjce rozcinają nam więzy. Holiday już sięgnęła do kubła i łapie węża. Uderza nim o podłogę, raz po raz, aż gad zdechnie.

Victra się w nią wpatruje.

– Co u...

– Dokończ wiadro albo dostaniesz pudło – mówi Sevro.

– Co to w ogóle znaczy?

– Dokończ wiadro albo dostaniesz pudło! Dokończ wiadro albo dostaniesz pudło! – skandują.

Holiday odgryza kawałek martwego węża.

– Tak! – ryczy Ragnar. – Ona ma duszę Wyjca. Tak!

Jestem tak pijany, że ledwie widzę na oczy. Sięgam do wiadra, drzę, kiedy czuję karaluchy pełzające mi po ręce. Porywam jednego i wpycham do ust. Nadal się rusza. Zmuszam się do żucia. Prawie płaczę. Victra dławi się, patrząc na mnie. Przęłykam robala i łapię ją za rękę, wpychając do wiadra. Victra szarpie się gwałtownie, a ja jestem za wolny, żeby zrozumieć, co to znaczy. Jej wymiociny obryzgują mi ramię. Czuję smród i sam też nie mogę się powstrzymać. Holiday spokojnie żuje. Ragnar wychwala ją pod niebiosą.

Zanim skończymy wiadro, jesteśmy żalosną masą pijanego, pokrytego robalami i rzygowinami śmiecia. Stojący przed nami Sevro coś mówi. Cały czas się kiwa w tył i w przód. A może to ja się kiwam. Coś powiedział? Ktoś za mną potrząsa mnie za ramię. Zasnąłem?

– Oto nasze święte pismo – mówi mój mały przyjaciel. – Będziecie je studiować, a wkrótce poznacie na wylot. Dziś jednak musicie poznać tylko Pierwszą Zasadę Wyjców.

– Nigdy się nie kłaniaj – odzywa się Ragnar.

– Nigdy się nie kłaniaj – powtarzają pozostali.

Błazen wychodzi naprzód. Niesie trzy wilcze peleryny. Tak jak wilcze futra w Instytucie, te również dopasowują się do otoczenia i przybierają ciemniejszy odcień w oświetlonym światłami pomieszczeniu. Jedną skórę Błazen podsuwa Victrze. Rozcinają jej więzy. Victra próbuje wstać, ale nie może. Pestka wyciąga rękę, żeby jej pomóc, ale ta to ignoruje. Próbuje znowu i opada na jedno kolano. Wtedy Sevro klęka obok niej i podaje jej rękę. Patrząc przez mokre od potu włosy, Victra prycha śmiechem, gdy dociera do niej, o co tu chodzi. Łapie go za rękę i dopiero z jego pomocą jest w stanie podejść na tyle pewnie, żeby przyjąć pelerynę. Sevro bierze skórę od Błazna i drapuje ją na jej nagich ramionach. Ich spojrzenia się spotykają, przez chwilę patrzą sobie w oczy, a potem odsuwają się na bok, żeby Pestka mogła pomóc Holiday. Ragnar pomaga mnie, zarzuca mi wilczą skórę na ramiona.

– Witajcie wśród Wyjców, bracie i siostry.

Wszystkie Wyjce zadzierają głowy i wyją potężnie. Dołączam do nich i zaskoczony widzę, że Victra idzie w nasze ślady. W ciemności odchyła głowę w tył, bez najmniejszych oporów.

Nagle zapalają się światła. Skowyt cichnie, a mu rozglądamy się skonsternowani. Do łazienki wchodzi Dancer z Narolem.

– Psiajucha, co tu się dzieje? – pyta mój stryj, przyglądając się karaluchom, resztkom węża i butelkom.

Wyjce patrzą po sobie, skrepowane niedorzecznością sytuacji.

– Przeprowadzamy tajny rytuał okultystyczny – wyjaśnia Sevro. – A ty, mój podwładny, nam przeszkadzasz.

– Jasne – potakuje Narol, nieco zaniepokojony. – Przepraszam, dowódco.

– Jeden z naszych Różowych ukradł terminal Kościarzowi w Agei – mówi do Sevro Dancer, ani trochę nie rozbawiony sytuacją. – Dowiedzieliśmy się, kim on jest.

– Bez jaj! – prycha Sevro. – Miałem rację?

– Co? – pytam pijany. – O kim mówicie?

– O cichym partnerze Szakala – wyjaśnia Dancer. – To Żywe Srebro. Miałeś rację, Sevro. Nasi agenci twierdzą, że przebywa w siedzibie głównej swojej korporacji na Fobosie, ale nie zostanie tam długo. Za dwa dni leci na Lunę. Tam nie zdołamy go dopaść.

– Zatem ruszamy z operacją Czarny Rynek – orzeka Sevro.

– Ruszamy – zgadza się niechętnie Dancer.

Sevro potrząsa uniesioną pięścią.

– Do diabła! Słyszeliście go, Wyjce. Ogarnijcie się. Wytrzeźwiejcie. Najedzcie się. Mamy Srebrnego do porwania i gospodarkę do rozwalenia. – Zerka na mnie z dzikim uśmiechem. – To będzie zajebisty dzień. Zajebisty.

Wampirzy księżyc

Phóbos znaczy „strach”. W mitologii Fobos był synem Afrodyty i Aresa, dzieckiem miłości i wojny. Stosowne imię dla większego z księżyców Marsa.

Powstał na długo przed epoką człowieka, kiedy meteoryt uderzył w tate-Marsa i wyrzucił odłamki skalne na orbitę. Podłużny księżyc unosił się w przestrzeni jak trup na wodzie, martwy i samotny przez miliard lat. Dziś jest to Ul tętniący pasożytniczym życiem, które pompuje krew do żył imperium Żółtych. Roje malutkich, grubiotkich statków towarowych wzbijają się z powierzchni Marsa i kierują do jednego z dwóch ogromnych szarych portów okalających księżyc. Tam przekazują dary Marsa długim na kilometry kosmoFrachtowcom, które przewożą te skarby potężnymi szlakami handlowymi Julii-Agos na Obrzeże albo – co bardziej prawdopodobne – do Rdzenia, gdzie głodna Luna czeka, aż zostanie nakarmiona.

Jałowa skała Fobosa została wydrążona przez człowieka i spowita metalem. Mający zaledwie dwanaście kilometrów promienia w najszerszym miejscu księżyc otoczyły dwa wielkie, prostopadłe pierścienie portów. Są zbudowane z ciemnego metalu pokrytego białymi symbolami i mrugają czerwonymi światłami dla cumujących statków. Suną po nich magnetyczne tramwaje i pojazdy towarowe. Poniżej portów rozpościera się Ul, którego wieże dosięgają niekiedy portowych pierścieni – miasto-układanka zbudowane nie według typowych dla Żółtych neoklasycystycznych ideałów piękna, ale zgodnie z surowymi prawami ekonomii nieograniczonej grawitacją. Sześćset lat budynków dziurawi Fobosa. To największa poduszka na igły, jaką zbudował człowiek. A dysproporcja zamożności między mieszkańcami Igieł (szczytów budynków) i Dziur (wewnątrz księżycy) jest wręcz absurdalna.

– Wygląda na większy, kiedy nie stoisz na mostku dewastatora – rzuca do mnie przeciągle stojąca za moimi plecami Victra. – Pozbawienie praw

obywatelskich jest cholernie uciążliwe.

Rozumiem jej ból. Ostatni raz widziałem Fobosa przed Deszczem Lwa. Wtedy dysponowałem armadą, miałem u swojego boku Mustang i Szakala, no i tysiąc Niezrównanych Naznaczonych pod swoimi rozkazami. Miałem dość siły, żeby cała planeta zadrżała. A teraz czaję się w cieniach na zdezelowanym statku towarowym, tak starym, że nawet nie ma generatora sztucznej grawitacji. Towarzyszy mi tylko Victra, skromna załoga – trzech przewoźników gazu należących do Synów Aresa, oraz mała drużyna Wyjców w ładowni. Tym razem słucham rozkazów, zamiast je wydawać. Przesuwam językiem po kapsułce samobójczej, którą po inicjacji wstawiono mi w ostatni ząb trzonowy po prawej stronie. Teraz wszystkie Wyjce je mają. To lepsze niż dać się wziąć żywcem, powiedział Sevro. Muszę się z nim zgodzić. Mimo wszystko... To dziwne uczucie.

Po mojej ucieczce Szakal natychmiast wstrzymał wszelkie loty poza orbitę Marsa. Podejrzewał, że Synowie Aresa spróbują mnie wywieźć z planety. Na szczęście Sevro nie jest głupi. Gdyby był, pewnie już znajdowałbym się w rękach Szakala. Ostatecznie nawet arcygubernator Marsa nie może wstrzymać handlu w nieskończoność, więc moratorium nie trwało zbyt długo. Spowodowało jednak potężne zakłócenia na rynku i miliardowe straty z każdą minutą przerwy w dostawie helu-3. Sevro uznał, że to inspirowane.

– Ile z tego należy do Żywego Srebra? – pytam.

Victra przesuwając się, żeby znaleźć się obok mnie w nieważkości. Postrzępione włosy unoszą się wokół jej głowy niczym biała korona. Zostały rozjaśnione, a oczy przyciemniono jej szklanymi kontaktowymi. Łatwiej będzie jej poruszać się w przebraniu Obsydianowej niż bez niego w bardziej szemranych okolicach księżyca, a jako jeden z największych Wyjców nie bardzo może udawać inny Kolor.

– Trudno powiedzieć – odpowiada. – Prawa własności Żywego Srebra to zawiślana kwestia. Ten facet ma tak wiele fikcyjnych spółek i tajnych kont bankowych, że wątpię, aby nawet Suwerenka orientowała się, jak ogromne jest jego portfolio.

– I kto do niego należy. Jeśli plotki, że ma w kieszeni Złotych, są prawdziwe...

– Są. – Victra wzrusza ramionami, przez co odchyła się do tyłu. – We wszystkim macza palce. To jeden z bardzo nielicznych ludzi zbyt bogatych, żeby ich zabić, jak twierdziła moja matka.

– Jest bogatszy, niż była ona? Niż ty jesteś?
– Byłam – poprawia mnie i kręci głową. – Na to jest zbyt rozsądny. –
Milknie. – Ale to możliwe.

Szukam wzrokiem logo Żywego Srebra – skrzydlatej stopy – na największej spośród wież Fobosa, długiej na trzy kilometry podwójnej helisy ze stali i szkła zwieńczonej srebrnym półksiężycem. Ilu Złotych patrzy na nią z zazdrością? Ilu z nich Żywe Srebro ma w kieszeni albo przekupuje, żeby chronili go przed resztą? Może tylko jednego. Dla sukcesu Szakala kluczowy był cichy wspólnik, ktoś, kto pomógł mu w tajemnicy zdobyć kontrolę nad mediami i przemysłem telekomunikacyjnym. Przez bardzo długi czas myślałem, że jego partnerem jest Victra albo jej matka, a on domknął tę kwestię w ogrodzie. Jednak wygląda na to, że największy sprzymierzeniec Szakala jest żywy i świetnie prosperuje. Na razie.

– Trzydzieści milionów ludzi – szepczę. – Niewiarygodne.

Czuję na sobie jej spojrzenie.

– Nie zgadzasz się z planem Sevro, co?

Skubię kciukiem kulkę różowej gumy przyklejoną do zardzewiałej grodzi. Porwanie Żywego Srebra dostarczy nam informacji i zapewni dostęp do ogromnych fabryk broni, ale atak Sevro na gospodarkę jest bardziej niepokojący.

– To Sevro utrzymał Synów Aresa przy życiu, a nie ja. Dlatego teraz słucham jego rozkazów.

– Hmm. – Przygląda mi się sceptycznie. – Zastanawiam się, kiedy zacząłeś uważać, że siła charakteru i wizja to jedno i to samo.

– Ej, dupki – rozlega się głos Sevro w odbiorniku w moim uchu. – Jeśli skończyliście już podziwiać widoki, bzykać się czy co tam, kurna, robicie, to czas się zapakować.

* * *

Pół godziny później Victra i ja kulimy się razem z Wyjcami w jednym z pojemników na hel-3 ustawionych na tyłach naszego transportowca. Czujemy, jak statek wibruje, kiedy magnetyczne cumy łączą się z pierścieniem portu. Na zewnątrz Pomarańczowi w zmechanizowanych skafandrach czekają, żeby skierować nieważkie kontenery do magnetycznych tramwajów, które z kolei zabiorą je na pokład kosmoFrachtowców szykujących się do

lotu na Jowisza. Zaopatrzą flotę Roque'a walczącego z Mustang i Władcami Księżyców.

Zanim kontenery zostaną przetransportowane, Miedziani i Szarzy inspektorzy przyjdą je zbadać. Zostaną przekupieni przez naszych Niebieskich, żeby odnotowali tylko czterdzieści dziewięć zamiast pięćdziesięciu. Potem przekupiony przez naszego człowieka Pomarańczowy zgubi kontener, w którym siedzimy: typowa zagrywka, gdy szmugluje się nielegalne narkotyki albo nieopodatkowane towary. Umieści go na niższym poziomie przeznaczonym na części do maszyn, gdzie nasz łącznik spotka się z nami i odprowadzi nas do kryjówki. Przynajmniej taki jest plan. Na razie jednak musimy poczekać.

Wreszcie wraca grawitacja, sygnalizując nam, że znaleźliśmy się w hangarze. Nasz kontener ląduje z hukiem na podłodze. Łapiemy się beczek z helem-3 dla zachowania równowagi. Po drugiej stronie metalowych ścian słychać głosy. Ciągnik z piskiem odczepia nas i wraca poza pole impulsowe, w kosmos. Potem zapada cisza. To mi się nie podoba. Zaciskam dłoń na skórzanej rękojeści brzytwy schowanej w rękawie kurtki. Robię krok w stronę drzwi. Victra rusza za mną. Sevro łapie mnie za ramię.

– Czekamy na łącznika.

– Nawet go nie znamy – mówię.

– Dancer za niego ręczył. – Pstryka palcami, żebym wracał na swoje miejsce. – Czekamy.

Zauważam, że inni nas słuchają, więc kiwam głową i zamykam się. Dziesięć minut później słyszymy samotne kroki na pokładzie. Zamek w drzwiach kontenera obraca się ze szczękiem, słabe światło sączy się do środka, kiedy drzwi uchylają się i ukazują Czerwonego ze schludną kosią bródką i wykałaczką w zębach. Jest o pół głowy niższy od Sevro. Zerka po nas po kolei. Unosi brew na widok Ragnara. A potem drugą, kiedy widzi lufę miotacza Sevro. Jakimś cudem nie cofa się. Facet ma kręgosłup.

– Co nigdy nie umiera? – warczy Sevro ze swoim najlepszym Obsydianowym akcentem.

– Grzyb pod klejnotami Aresa. – Mężczyzna uśmiecha się i ogląda przez ramię. – Raczylbyś opuścić to paskudztwo? Musimy ruszać, i to już. Korzystam z tego miejsca za uprzejmością Syndykatu, tyle że oni nie do końca o tym wiedzą, więc jeśli nie chcecie mieć do czynienia z zawodowymi skurwielami, to trzeba stulić dzioby i ruszyć tyłki. – Klaszcze w dłonie. – Kiedy mówię „już”, to znaczy już.

* * *

Nasz łącznik nazywa się Rollo. Żyłasty i cierpki mężczyzna o błyszczących oczach świetnie radzi sobie z kobietami, chociaż co najmniej dwa razy na minutę wspomina o swojej żonie, najpiękniejszej kobiecie, jaka podobno stąpała po powierzchni Marsa. Nie widział jej od ośmiu lat. Spędził ten czas w Ulu jako spawacz na kosmicznych wieżach. Teoretycznie nie jest niewolnikiem jak Czerwoni w kopalniach, ale on i jego ludzie są pracownikami kontraktowymi: niewolnikami, którzy dostają pensję i pracują czternaście godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu, zawieszeni między przeszywającymi Ul megalitycznymi wieżami. Spawają metal i modlą się, żeby nigdy nie odnieść w pracy żadnych obrażeń. Gdy się zranisz, nie zarabiasz. Gdy nie zarabiasz, nie jesz.

– Strasznie zarozumiały – słyszę, jak Sevro mruczy pod nosem do Victry, gdy idą w środku grupy, którą Rollo prowadzi.

– Mnie się właściwie podoba ta jego bródka – odpowiada Victra.

– Niebiescy nazywają to miejsce Ulem – mówi Rollo.

Idziemy w stronę pomazanego graffiti tramwaju na opuszczonym poziomie technicznym. Śmierdzi tu smarem, rdzą i starymi szczynami. Bezdomni przystrajają podłogi mrocznych metalowych korytarzy: drgające zawiniątka koców i szmat, które Rollo omija, nawet nie patrząc na nie, chociaż ani na chwilę nie odsuwa ręki od zniszczonej plastikowej rękojeści miotacza.

– Dla nich to może i jest Ul. Mają tu szkoły, domy. Małe społeczności pustaków, sekty, ściśle rzecz mówiąc, gdzie uczą się latać i synchronizować z komputerami. Pozwólcie jednak, że powiem wam, czym naprawdę jest to miejsce: maszynką do mięsa. Ludzie wchodzą. Wieże się wznoszą. – Kiwa głową na podłogę. – Mięso wychodzi drugim końcem.

Jedynym śladem życia wśród bezdomnych na podłogach są obłoczki oddechu nad stosami szmat, bijące z nich niczym para ze szczelin na polu lawy. Drzę pod szarą kurtką i poprawiam torbę ze sprzętem na ramieniu. Na tym poziomie jest lodowato zimno, pewnie z powodu starej izolacji. Chmury pary buchają z nozdrzy Pestki, która pcha jeden z naszych wózków ze sprzętem, rozglądając się ze smutkiem po bezdomnych. Mniej współczująca Victra ciągnie wózek za sobą i właśnie szturcha bezdomnego butem, żeby się odsunął. Mężczyzna syczy i zerka w górę na nią, podnosi wzrok bardziej i jeszcze bardziej, aż ujrzy całe dwa metry i dziesięć centymetrów

zirytowanej zabójczyni. Odsuwa się szybko na bok, sapiąc przez zęby. Ani Ragnar, ani Rollo nie zauważają zimna.

Synowie Aresa czekają na nas na podniszczonym peronie tramwajowym, a także w samym tramwaju: głównie Czerwoni, choć nie brakuje też Pomarańczowych, Zielonych i Niebieskich. Są uzbrojeni w najróżniejsze stare miotacze. Niespokojnie zaglądają w głąb innych korytarzy prowadzących na peron. Wbrew sobie zerkają też na nas, zastanawiając się, kim, u diabła, jesteśmy. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd cieszę się z Obsydianowych szkieł kontaktowych i protez.

– Spodziewacie się kłopotów? – pyta Sevro, zerkając na broń w rękach Synów Aresa.

– Od dwóch miesięcy Szarzy przeszukują te okolice, i to nie pustogłowe blaszaki z lokalnego komisariatu, ale twardziele. Legioniści. Nawet parę Trzynastek przemieszanych z Dziesiątkami i Piątkami. – Mężczyzna zniża głos. – Mieliśmy paskudny miesiąc, kiedy naprawdę parszywie nam dopiekli. Zajęli naszą kwaterę w Dziurach, nasłali na nas bandziorów z Syndykatu. Zapłacili im, żeby na nas polowali. Większość naszych musiała się przyczać, ukryć w zapasowych kryjówkach. Oczywiście główna część Synów Aresa pomagała Czerwonym rebeliantom na stacji, ale nasze oddziały specjalne nie kiwnęły palcem aż do dzisiaj. Nie chcieliśmy ryzykować. Wiadomo, nie? Ares powiedział, że macie ważną sprawę...

– Ares to mądrała – rzuca lekceważąco Sevro.

– I uwielbia gwiazdorzyć – dodaje Victra.

W drzwiach tramwaju Ragnar waha się, przyglądając się antyterrorystycznemu plakatowi przyklepionemu do słupa na przystanku. „Widzisz? Reaguj” – brzmi hasło. Przedstawia bladego Czerwonego o złych szkarłatnych oczach i w stereotypowo obszarpanym stroju górnika, który kręci się przy drzwiach z napisem „Wstęp wzbroniony”. Reszty nie widzę, jest pokryta graffiti rebeliantów. Wtedy jednak zdaję sobie sprawę, że Ragnar nie patrzy na plakat, tylko na człowieka, którego nawet nie zauważyłem, leżącego pod słupem. Nosi kaptur na głowie. Zamiast lewej nogi ma starą mechaniczną protezę. Brązowe, zaskorupiałe bandaże pokrywają mu pół twarzy. Słysząc pyknięcie. Uwolniony gaz pod ciśnieniem. Mężczyzna odchyła się od nas z drzeniem, uśmiecha się idealnie czarnymi zębami. Plastikowa kapsułka stukocze o podłogę. Smolny pył.

– Dlaczego nie pomagacie tym ludziom? – pyta Ragnar.

– Jak mamy im pomóc? – odpowiada pytaniem Rollo. Widzi współczucie na twarzy Ragnara i nie wie nawet, jak na to zareagować. – Bracie, ledwie nam starcza dla bliskich. Na nic się nie zda dzielenie się z tymi ludźmi.

– Ale on jest Czerwony. To wasza rodzina...

Rollo marszczy brwi w reakcji na suche fakty.

– Zachowaj litość dla innych, Ragnarze – odzywa się Victra. – Wciąga syndykatową amfę. Większość tych ćpunów poderżnęłaby ci gardło, byle przyćpać. To puste ciała.

– Puste co? – pytam, odwracając się do niej.

Zaskakuje ją mój ostry ton, ale w życiu nie przyznałaby się do błędu. Dlatego odruchowo podbija stawkę.

– Puste ciała, kochanie – powtarza. – Godność to część człowieczeństwa. Oni jej nie mają. Wycieli ją z siebie. To ich własny wybór, nie Złotych. Nawet jeśli łatwo jest winić Złotych za wszystko. Dlaczego więc mam się nad nimi litować?

– Bo nie każdy jest tobą. Nie każdy urodził się tam, gdzie ty.

Nie odpowiada. Rollo odchrząkuje, patrząc teraz na nasze przebranie z powątpiewaniem.

– Pani ma rację w kwestii poderżnięcia gardła. Większość z nich to importowana siła robocza. Tak jak ja. Nie licząc żony, mam jeszcze trójkę bliskich w Nowych Tebach, którym posyłam pieniądze, ale nie mogę wrócić do domu, dopóki nie skończy się mój kontrakt. Zostały mi cztery lata. Te śmieci odpuściły sobie powrót.

– Cztery lata? – pyta z powątpiewaniem Victra. – Powiedziałeś, że spędziłeś tu już osiem.

– Trzeba zapłacić za tranzyt.

Patrzy na niego zdumiona.

– Firma nie pokrywa kosztów. Trzeba czytać to, co napisano drobnym drukiem. Jasne, sam zdecydowałem się tu przylecieć. – Ruchem głowy wskazuje bezdomnych. – Oni też tak wybrali. Ale drugą możliwością była śmierć z głodu. – Wzrusza ramionami, jakbyśmy wszyscy znali odpowiedź. – Ci mieli pecha w pracy. Stracili nogi. Ręce. Firma nie płaci za protezy, a w każdym razie za nic porządnego...

– A co z Rzeźbiarzami? – pytam.

Rollo prychnął.

– A znasz kogoś, kogo stać na Rzeźbienie?

Nawet nie pomyślałem o kosztach. To mi przypomina, jak daleko jestem od ludzi, za których, jak twierdzę, walczę. Oto Czerwony, pi razy oko jeden z moich, a ja nawet nie wiem, jakie jedzenie lubi się w jego kręgach.

– Dla jakiej firmy pracujesz? – pyta Victra.

– Dla Julii Industries, rzecz jasna.

* * *

Patrzę na metalową dżunglę migającą za brudnym oknem z duroSzkła, kiedy tramwaj rusza ze stacji. Victra siada obok mnie z zatroskaną miną. Ja jednak jestem w innym świecie, z dala od niej, od przyjaciół. Zagubiłem się we wspomnieniach. Byłem wcześniej w Ulu z Augustusem i Mustang. Arcygubernator zabrał lansjerów na spotkanie z ministrami gospodarki Wspólnoty, żeby omówić modernizację infrastruktury księżycy. Po spotkaniach wymknęliśmy się z Mustang do tutejszego słynnego akwariów. Wynająłem je za absurdalną cenę i zorganizowałem posiłek z winem przy zbiorniku z orkami. Mustang zawsze bardziej lubiła naturalne stworzenia niż Rzeźbione.

Wymieniłem pięćdziesięcioletnie wina i Różowych służących na bardziej ponury świat o rdzewiejących kościach, wypełniony zbuntowanymi oprychami. To prawdziwy świat. Nie sen, w którym żyją Złoci. Dzisiaj poczułem cichy krzyk cywilizacji, którą deptano przez setki lat.

Nasza droga biegnie obrzeżami Dziur, skrajem centrum księżycy, gdzie slums – kratownica mieszkań wyglądających jak klatki – gnije i rozpada się, pozbawiona grawitacji. Zapuszczenie się na ten teren wiązało się z ryzykiem wladowania się w sam środek ulicznej wojny Syndykatu z Synami Aresa. Z kolej przejście wyżej, na poziom śródKolorów, pociągało za sobą inne niebezpieczeństwo – spotkania z żołnierzami piechoty morskiej Wspólnoty i ich infrastrukturą bezpieczeństwa w postaci kamer i holoSkanerów.

Zamiast tego przejeżdżamy przez peryferie poziomów technicznych pomiędzy Dziurami i Igłami, gdzie Czerwoni i Pomarańczowi utrzymują księżyc na chodzie. Nasz tramwaj, którym kieruje sympatyk Synów Aresa, przelatuje szybko przez kolejne przystanki. Twarze czekających pracowników, rozmazują się w plamę, gdy ich mijamy. Mozaika różnobarwnych oczu. Za to wszystkie twarze są szare. To nie jest kolor metalu, to barwa

zimnego popiołu w ognisku. Popielate twarze. Popielate ubrania. Popielate życie.

Kiedy jednak tunel połyka nasz tramwaj, buchają wokół nas kolory. Graffiti i lata wściekłości wyciekają z żebrowanych, spękanych ścian tego niegdyś szarego gardła. Przekleństwa w piętnastu dialektach. Złoci rozrywani na strzępy na tuzin różnych sposobów. Na prawo od nas miga zgrubny szkic kosy żniwiarza ścinający głowę Octavii au Lune i namalowany cyfrową farbą wizerunek powieszony na szubienicy Eo z płonącymi włosami. I skośny napis „Zerwij okowy”. Jeden płonący kwiat pośród chwastów nienawiści. Gula rośnie mi w gardle.

Pół godziny po tym, jak wyruszyliśmy, nasz tramwaj zatrzymuje się ze zgrzytem przed opuszczonym ośrodkiem przemysłowym podKolorów, gdzie tysiące pracowników, którzy właśnie przyjechali rankiem ze Stosów, powinny rozbiegać się do swoich obowiązków. Teraz jednak jest tu jak na cmentarzysku. Śmieci walają się na metalowych podłogach. HoloPuszki nadal rozbłyskują serwisami informacyjnymi Wspólnoty. Na stoliku w kafejce stoi kubek, napój wciąż paruje. Synowie Aresa uprzątnęli drogę raptem parę minut temu. Widać, jakie mają tu wpływy.

Kiedy stąd znikniemy, życie powróci. A jeśli podłożymy bomby, które ze sobą przywieźliśmy? Gdy zniszczymy fabrykę, czy wszyscy ci ludzie, którym chcemy pomóc, nie zostaną po prostu bezrobotni, jak te biedne istoty z zajezdni tramwajowej? Jeśli praca stanowi sens ich istnienia, co się stanie, gdy ją im odbierzemy? Dzielę się swoimi wątpliwościami z Sevro, ale on dąży do celu jak wystrzelona strzała. Jest równie dogmatyczny jak ja kiedyś. A głośne kwestionowanie jego decyzji byłoby zdradą naszej przyjaźni. Zawsze ślepo mi ufał. Czy jestem więc gorszym przyjacielem, bo w niego wątpię?

Jedziemy kilkoma graWindami prowadzącymi do garaży dla śmieciarek, także należących do Julii Industries. Przyłapuję Victre na tym, że ociera brud z rodzinnego herbu na drzwiach. Przeszyte włócznią słońce jest zniszczone i wyblakłe. Kilkudziesięciu Czerwonych i Pomarańczowych udaje, że nie zauważa naszej grupy, kiedy wchodzimy do jednego z garaży. Tam, obok dwóch ogromnych śmieciarek, znajdujemy małą armię Synów Aresa. Jest ich ponad sześciuset.

To nie są żołnierze. Nie tak jak my. Głównie mężczyźni, ale jest też trochę kobiet, przeważnie młodych Czerwonych i Pomarańczowych, które zostały zmuszone do migracji, żeby wyżywić rodziny na Marsie. Ich broń

jest marna. Niektórzy stoją, inni siedzą, przerywają rozmowy, żeby obejrzeć się na naszą grupę – Obsydianowych zabójców idących po metalowym pokładzie z torbami pełnymi sprzętu i tajemniczymi wózkami. Ogarnia mnie przelotny smutek. Cokolwiek zrobią, dokądkolwiek się udadzą, ich życie zostanie naznaczone przez dzisiejszy dzień. Gdyby to do mnie należał obowiązek przemówienia do nich, ostrzegłbym ich przed brzemieniem, jakie wezmą na siebie, przed złem, które wpuszczają do swojego życia. Powiedziałbym, że milej jest słuchać o chwalebnych zwycięstwach podczas wojny niż być ich świadkiem. Niż poczuć dziwną nierealność leżenia w łóżku rannym ze świadomością, że zabiłeś człowieka i że twój przyjaciel zginął.

Jednak nie odzywam się. Moje miejsce jest teraz obok Ragnara i Victry, za plecami Sevro, który wypłuka gumę do żucia i wychodzi przed małą armię. To jego armia. Mruga do mnie porozumiewawczo i daje mi sółkę w bok. Jest maleńki jak na Obsydianowego, ale pobliźniony, wytatuowany i przerażający dla tej grupki śmieciarzy o drobnych rękach i zgarbionych spawaczy. Pochyla głowę do przodu, oczy mu płoną za czarnymi szklami kontaktowymi. W świetle przemysłowych lamp tatuaż wilka wygląda zło-wrogo na tle jego bladej skóry.

– Witajcie, robole. – Jego głos dudni nisko i brzmi drapieźnie. – Możecie się zastanawiać, dlaczego Ares przysłał grupę takich twardzieli jak my do tego maleńkiego wychodka. – Synowie Aresa spoglądają po sobie nerwowo. – Nie przylecieliśmy tu, żeby się poprzytulać. Nie przylecieliśmy, żeby was zainspirować ani wygłaszać cholernie długie mowy jak parszywa Suwerenka.

Pstryka palcami. Pestka i Błazen podjeżdżają z wózkami i odchylają wieka skrzyni. Oczom zebranych ukazują się kopalniane materiały wybuchowe.

– Przylecieliśmy, żeby co nieco rozpieprzyć. – Sevro podnosi ręce i rechoce. – Jakieś pytania?

Polowanie

Unoszę się z tyłu śmieciarki razem z Wyjcami. Jest ciemno. Dzięki nokto-Wizji widzę w bladozielonych odcieniach orbitujące wokół nas śmieci. Skórki od bananów, opakowania od zabawek. Ziarenka kawy. Słyszę przez system łączności, że Victra dławi się, kiedy kawałek papieru toaletowego przykleja jej się do twarzy skrytej za maską demonoHełmu. Tak samo jak mój hełm jej też jest czarny jak smoła i subtelnie uformowany na kształt krzyczącej demonicznej twarzy. Rok temu Fitchnerowi udało się je ukraść ze zbrojowni Luny dla Synów Aresa. Dzięki nim widzimy w prawie całym spektrum; poza tym wzmacniają dźwięki, śledzą położenie pozostałych, mają dostęp do map i umożliwiają bezgłośnie komunikację. Przyjaciele wokół mnie są ubrani na czarno. Nie nosimy zmechanizowanych zbroi, tylko skarabSkóry, które są w stanie zatrzymać nóż i czasem wystrzelony pocisk. Nie mamy grawiButów ani zbroi impulsowych, niczego, co by nas spowalniało, hałasowało czy dało się wychwycić przez czujniki. Mamy zbiorniki tlenu z zapasem na czterdzieści minut. Kończę poprawiać uprząż na Ragnarze i zerkam na swój terminal. Dwaj Czerwoni, którzy obsługują starą śmieciarkę, głośno odliczają wstecz. Kiedy dochodzą do jedynki, Sevro mówi:

– Włączajcie płaszczyki i dupy w troki.

Aktywuję mój widmoPłaszcz i świat się zniekształca. Jakbym patrzył przez załamującą światło, brudną wodę. Już czuję, jak bateria rozgrzewa się na mojej kości ogonowej. Płaszcz jest dobry na krótkie akcje. Niestety szybko nagrzewa małe baterie, takie jak te, które wzięliśmy, i potrzebuje potem czasu na ochłodzenie i naładowanie. Szukam po omacku rąk Sevro i Victry i w końcu udaje mi się je złapać. Reszta też znajduje swoich partnerów. Nie pamiętam, żebym aż tak bardzo bał się przed Żelaznym Deszczem. Byłem wtedy odważniejszy? Może po prostu bardziej naiwny.

– Trzymajcie się mocno. Bedzie rzucać – mówi Sevro. – Wyskakujemy za trzy... dwa... – łapię go mocniej za rękę – ...jeden.

Drzwi śmieciarki odsuwają się bezgłośnie i zalewa nas bursztynowe światło holoEkranu na najbliższym wieżowcu. Powietrze uderza w nas, cały świat wiruje, kiedy pojazd wyrzuca odpadki z ładowni. Jesteśmy jak plewy wyrzucone w miasto. Wirujemy wraz z resztkami pośród kalejdoskopowego świata wież i reklam. Setki statków suną alejami. Wszystko jest jedną wielką rozbłyskującą, rozmazaną smugą. Nie przestajemy koziołkować, żeby zamaskować nasze sygnatury.

Przez system łączności słyszę psioczącego Niebieskiego kontrolera ruchu, który zirytował się z powodu rozspanych śmieci. Wkrótce włącza się Miedziany z firmy i grozi zwolnieniem niekompetentnych kierowców. Jednak to, czego nie słyszę, sprawia, że się uśmiecham. Na policyjnych kanałach słychać zwyczajne wiadomości, zgłoszenie porwania statku przez Syndykat w Ulu, makabrycznego morderstwa w stareńkim muzeum sztuki w pobliżu Park Plaza, kradzieży z centrum danych w Dystrykcie Bankowym. Nie zauważyli nas wśród śmieci.

Stopniowo spowalniamy koziołkowanie, posługując się małutkimi silnikami manewrowymi w naszych hełmach. Podmuchy powietrza stale nas popychają. Cicho jak w próżni. Widzimy cel. Razem z resztą śmieci zaraz uderzymy w bok stalowej wieży. To musi być czyste lądowanie. Victra przeklina. Zbliżamy się coraz bardziej. Palce mi drżą. Nie odbij się. Nie odbij się.

– Puszczamy – rozkazuje Sevro.

Zabieram ręce z dłoni jego i Victry i cała nasza trójka uderza o stal. Śmieci wokół nas odbijają się od metalu i odlatują, koziołkując pod różnymi kątami. Sevro i Victra przywierają do budynku dzięki magnesom w rękawiczkach, ale jakiś odpadek odbija się przede mną i uderza mnie w udo, zmieniając moją trajektorię. Przechylam się w bok, wymachuję rękami, żeby się złapać, i zaczynam wirować.

Uderzam nogami w metal. Odbijam się w przestrzeń, przeklinając.

– Sevro! – krzyczę.

– Victra. Złap go.

Jej dłoń chwyta mnie za stopę i zatrzymuje szarpnięciem. Patrzę w dół i widzę zniekształconą niewidzialną postać trzymającą mnie za nogę. Victra. Ostrożnie przyciąga moje nieważkie ciało ku ścianie, żebym mógł własnymi magnesami przykleić się do stali. Plamki latają mi przed oczami.

Miasto otacza nas ze wszystkich stron. Jest przerażające w swojej ciszy, kolorach, nieludzkim, metalowym krajobrazie. Bardziej przypomina starożytny obcy statek niż miejsce dla ludzi.

– Zwolnij – trzeszczy głos Victry w moim hełmie. – Darrow. Za szybko oddychasz, zaraz będziesz miał objawy hiperwentylacji. Oddychaj ze mną. Wdech. Wydech. Wdech...

Zmuszam płuca do pracy w rytmie, który mi podaje. Plamki wkrótce znikają. Otwieram oczy. Moja twarz znajduje się kilka cali od stali.

– Srasz w kombinezon, czy co? – pyta Sevro.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – Trochę zardzewiałem.

– Hmm, rozumiem, że to zamierzony żart. – Ragnar i reszta Wyjców ląduje trzydzieści metrów pod nami na ścianie. Pestka do mnie macha. – Mamy trzysta metrów do przejścia. Bierzmy się za wspinaczkę, Piksy.

Światła jarzą się za szkłem wieży Żywego Srebra. Dwie części podwójnej helisy łączy niemal dwieście poziomów biur. Widzę kształty poruszające się przy komputerowych terminalach. Powiększam obraz, korzystając ze swojej optyki, i patrzę, jak brokerzy siedzą w swoich biurach, ich asystenci kręcą się w tę i z powrotem, analitycy nerwowo dają znaki na holograficznych tablicach notowań, które łączą się z rynkami na Lunie. Sami Srebrni. Przypominają mi pracowite pszczoły.

– W takiej chwili brakuje mi chłopaków – mówi Victra.

Mija moment, zanim zdaję sobie sprawę, że nie mówi o Srebrnych. Ostatnim razem, kiedy wykorzystaliśmy podobną taktykę, byli z nami Tac-tus i Roque. Przeniknęliśmy przez próżnię na okręt flagowy Karnusa, kiedy tankował paliwo w bazie na asteroidzie. To było podczas zabawy w wojnę w Akademii. Wycięliśmy dziurę w kadłubie, zamierzając porwać Karnusa i wyeliminować jego drużynę. To była jednak pułapka, ledwie uciekliśmy, a nagrodą za ten manewr była złamana ręka.

Potrzebujemy pięciu minut, żeby wspiąć się z miejsca lądowania na szczyt wieży, gdzie zaczyna się ogromny półksiężyc. Nie musimy posuwać się ręka za ręką, więc powiedzenie, że to wspinaczka, nie jest do końca prawdziwe. Magnesy w naszych rękawiczkach fluktuują, wysyłając na przemian ujemne i dodatnie prądy, więc turlamy się do góry po boku wieży, jakbyśmy mieli kółka u dłoni. Najtrudniejszą częścią tego wchodzenia, schodzenia, czy jak to właściwie nazwać w nieważkości, jest krzywizna półksiężyca na zawrotnej wysokości, znajdująca się na samym szczycie wieży. Musimy ucześcić się wąskiej metalowej belki podporowej, która

wynurza się ze szklanego sufitu jak łodyżka liścia. Pod naszymi brzuchami za szkłem znajduje się słynne muzeum Żywego Srebra. Nad nami, tuż nad szczytem wieży, wisi Mars.

Moja planeta wydaje się większa niż kosmos. Większa niż wszystko, co może zaistnieć. To świat z miliardami dusz, zaprojektowanymi oceanami, górami i większą ilością ziemi nadającej się do nawodnienia, niż kiedykolwiek istniała na Ziemi. W tej części świata panuje noc. Nigdy w życiu człowiek nie domyśliłby się, że miliony kilometrów tuneli wiją się przez kości tej planety; że kiedy jej powierzchnia jarzy się światłami Tysiąca Marsjańskich Miast, w jej trzewiach bije niewidoczne tętno, nadchodzi przypływ. Teraz jednak Mars wygląda spokojnie. Wojna jest odległą, niemożliwą rzeczą. Zastanawiam się, co poeta powiedziałby w takiej chwili. Co Roque szepnąłby w powietrze? Coś o ciszy przed burzą. Albo o biciu serca w głębinach. Wtedy jednak widzę rozbłysk i zamieram zaskoczony. Spazm oślepiająco białego światła, które zamienia się w diabelski neon, kiedy wśród ciemności planety wyrasta grzyb.

– Widzicie to? – pytam przez system łączności.

Mrugam, próbując się pozbyć powidoku, który zostawiła mi w polu widzenia odległa eksplozja. Eter wypełniają przekleństwa, kiedy pozostali odwracają się i patrzą.

– Szlag – mruczy Sevro. – To Nowe Teby?

– Nie – odpowiada Pestka. – Dalej na północ. Półwysep Awentyński. Więc to pewnie Cyprion. Według ostatnich informacji wywiadu Czerwony Legion kierował się ku temu miastu.

Kolejny rozbłysk. Nasza siódemka przykuca i nieruchomieje na szczycie budynku. Patrzymy, jak druga bomba nuklearna wybucha na grubość kciuka od pierwszej.

– Psiajucha. To my czy oni? – pytam. – Sevro!

– Nie wiem – odpowiada zniecierpliwiony.

– Nie wiesz? – dziwi się Victra.

Jak może nie wiedzieć? Mam ochotę krzyczeć. Rozumiem jednak odpowiedź, bo teraz prześladują mnie słowa Dancera. „Sevro nie kieruje tą wojną”, powiedział mi kilka tygodni temu, po kolejnej nieudanej misji Wyjśćców. „Jest po prostu człowiekiem, który dolewa oliwy do ognia”. Nie rozumiałem, jak daleko zaszła ta wojna, jak daleko sięgnął chaos.

Czy mogłem się mylić, ślepo mu ufając? Patrzę na jego pozbawioną wyrazu maskę. Jego skarabSkóra pochłania kolory otaczającego nas miasta,

niczego nie odbija. To bezdenna otchłań dla światła. Sevro odwraca się powoli od wybuchu i zaczyna ponownie się wspinać. Już przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Mówią o tym w holoWiadomościach – odzywa się Pestka. – Nie tracą czasu. Podobno to Czerwony Legion zdetonował bomby jądrowe przeciwko Złotym w Cyprionie. Przynajmniej tak twierdzą.

– Parszywi kłamcy – warczy Błazen. – Kolejny kij i marchewka.

– Skąd Czerwony Legion miałby broń jądrową? – pyta Victra.

Harmony posłużyłaby się nią, gdyby ją zdobyła, ale załóżę się, że to Złoci wykorzystali bomby przeciwko Czerwonemu Legionowi.

– W tej chwili to nie ma dla nas najmniejszego znaczenia. Zapomnijcie o tym – mówi Sevro. – Nadal musimy załatwić to, po co tu przylecieliśmy. Ruszcie tyłki.

Odrętwiali wykonujemy rozkaz. Kiedy docieramy do strefy wejścia na półksiężycu wieńczącym podwójną helisę, górę biorą przeciwiczone manewry. Wyjmuję małą buteleczkę kwasu z plecaka Victry. Sevro wypuszcza nanoKamerę nie większą od mojego paznokcia; unosi się w powietrzu nad szkłem, szukając oznak życia w muzeum. Niczego nie wykrywa. To nic dziwnego o trzeciej nad ranem. Sevro wyjmuje generator pola impulsowego i czeka, aż Pestka skończy pracować na swoim terminalu.

– Co jest grane? – pyta ją niecierpliwie.

– Kod zadziałał. Jestem w systemie. Muszę tylko znaleźć właściwą strefę. Jest. Siatka laserowa została... wyłączona. Kamery na podczerwień... zamrożone. Czujniki tętna... wyłączone. Moje gratulacje. Oficjalnie jesteśmy duchami! Pod warunkiem, że nikt ręcznie nie włączy alarmu.

Sevro aktywuje generator i wokół nas wyrasta ledwie widoczny opalizujący bąbel, dzięki czemu próżnia kosmiczna nie dostanie się do budynku razem z nami. To byłby szybki sposób, żeby dać się wykryć. Umieszczam małą przyssawkę pośrodku szyby, a potem otwieram pojemniczek z kwasem i nakładam pianę na szkło, tworząc kwadrat dwa metry na dwa wokół przyssawki. Kwas pieni się, pożerając szkło, i otwiera nam wejście. Popychana lekko przez powietrze z budynku szyba unosi się w bąblu pola impulsowego. Victra ją łapie, żeby nie poleciała w przestrzeń.

– Rags pierwszy – mówi Sevro.

Od podłogi muzeum dzieli nas sto metrów.

Ragnar zaciska wyciągarke na brzegu szkła i wpina uprząż do magnetycznego kabla. Wyciąga brzytwę, włącza ponownie widmoPłaszcz i zsuwa

się przez dziurę. To niepokojące dla zmysłów tak patrzeć, jak jego niemal niewidzialna postać przyśpiesza, sunąc ku podłodze dzięki wytwarzanej przez linę sztucznej grawitacji, podczas gdy ja wciąż unoszę się nieważki. Wygląda jak miraż demona, który migocze nad pustynią w letni dzień.

– Czysto.

Następny rusza Sevro.

– Połamania nóg – mówi Victra, wypychając mnie za nim w dziurę.

Lecę do przodu, a potem czuję, jak łapie mnie grawitacja, gdy wpadam do pomieszczenia. Zsuwam się po linie, nabierając prędkości. Żołądek mi się szarpie pod wpływem nagłego przypływu ciężkości, cała jego zawartość się burzy. Łąduję twardo, prawie wykręcając sobie kostkę, ale od razu wyciągam miotacz z tłumikiem i szukam potencjalnych celów. Reszta Wyj-ców ląduje za mną. Przykucamy plecami do siebie w wielkiej sali. Posadzka jest z szarego marmuru. Nie sposób ocenić rozmiary pomieszczenia, bo zakrzywia się wewnątrz półksiężyc, a krańce unoszą do góry, zakręcają i znikają z oczu, igrając z grawitacją i wywołując u mnie zawroty głowy. Wokół nas stoją metalowe relikty. Stare rakiety z okresu pionierskiego. Logo Luna Company zdobi kadłub szarej sondy koło Ragnara. Ewidentnie przypomina herb rodu Octavii au Lune.

– Więc tak się czują grubasy – stęka Sevro, podskakując lekko przy dużym ciężeniu. – Obrzydliwość.

– Żywe Srebro pochodzi z Ziemi – wyjaśnia Victra. – Podkręca grawitację nawet bardziej, kiedy negocjuje z kimś, kto pochodzi z miejsca o niskim ciężeniu.

Jest trzy razy większe niż to, do którego przywykłem na Marsie, i osiem razy większe od tego, co preferują mieszkańcy Io i Europy, ale podczas odbudowywania mojego ciała Mickey podkręcił symulatory do dwukrotnej wartości ziemskiej grawitacji. To nieprzyjemne uczucie – ważyć prawie osiemset funtów, ale wyrabia cuda z mięśniami.

Zdejmujemy zbiorniki z tlenem i chowamy je pod krawędzią silnika starego promu kosmicznego z amerykańską flagą poprzedzającą czasy imperium. Zostają nam więc tylko małe plecaki, skarabSkóry, demonoHełmy i broń. Sevro wyjmuje zgrubne plany wnętrza wieży przygotowane przez Victre i pyta Pestkę, czy namierzyła już Żywe Srebro.

– Nie mogę. To dziwne. Na najwyższych dwóch piętrach kamery są wyłączone. To samo dotyczy biometrycznych czytników. Nie mogę go namierzyć, jak to planowaliśmy.

– Wyłączone? – powtarzam.

– Może urządził orgię albo wali konia i nie chce, żeby ochrona to widziała. – Sevro wzrusza ramionami. – Tak czy inaczej, coś ukrywa, więc właśnie tam pójdziemy.

Przełączam się na prywatny kanał, żeby inni nas nie słyszeli.

– Nie możemy kręcić się tutaj i go szukać – mówię do Sevro. – Jeśli nas złapią, a nie będziemy mieli karty przetargowej...

– Nie będziemy się kręcić. – Przerywa połączenie ze mną i zwraca się do Wyjców: – Aktywujemy płaszcze, moje panie. Brzytwy i miotacze z tłumikami. Pięści impulsowe tylko, jeśli zrobi się paskudnie. – Faluje i staje się przezroczysty. – Za mną, Wyjce.

Wymykamy się z muzeum w labirynt korytarzy nie z tego świata. Podłogi są z czarnego marmuru, ściany ze szkła. Sufit na wysokości dziesięć metrów tworzy pole impulsowe, przez które widać akwaria z rafami koralowymi ciągnącymi się jak barwne grzybnie. Gadzie syreny – długie na stopę, z humanoidalnymi twarzami, szarą skórą i czaszkami w kształcie koron – pływają w królestwie wrzącego błękitu i gwałtownego oranżu. Piorunują nas z góry nienawistnymi czarnymi ślepkami, gdy nad nami przepływają.

Wykonane z emoSzkła ściany pulsują subtelnie zmieniającymi się barwami. Teraz tętnią cyklamenem, zaraz potem falują kobaltem i srebrem. Przypomina to sen. Pośród labiryntu umieszczono małe nisze, miniaturowe galerie sztuki prezentujące współczesne dzieła: holograficzny pointyizm albo dwudziestopierwszowieczny ostentacjonizm zamiast powściągliwego neoromanizmu tak modnego wśród Niezrównanych Naznaczonych. Chcąc podładować nasze baterie w widmoPłaszczach, dajemy nura do galerii, gdzie czai się jarmarczny metaliczny pies, w kolorze purpurowym, podobny do zwierzątka zrobionego z balonów.

Victra wzdycha.

– Psiakrew, ten facet ma tyle smaku co tabloidowi celebryci.

Ragnar przekrzywia głowę, patrząc na psa.

– Co to jest?

– Sztuka – odpowiada Victra. – Podobno.

Jej protekcjonalny ton intryguje mnie, podobnie jak sam budynek. Promienieje sztucznością. Sztuka, ściany, syreny – wszystko wygląda dokładnie tak, jak oczekiwałby Niezrównany Naznaczony po Srebrnym nuworyszu. Żywe Srebro musi doskonale znać psychologię Złotych, że pozwolili mu tak bardzo się wzbogacić. Dlatego zastanawiam się, czy ta ekstrawagan-

cja to przejaw jego wielkiej przebiegłości, maska tak oczywista i łatwa do zaakceptowania, że nikt pod nią nie zajrzy. Żywe Srebro – bez względu na całą swoją reputację – nigdy nie został nazwany głupim. Może więc te tandetne wnętrza nie są dla niego. Może są dla jego gości.

Dlatego zaczynam myśleć, że coś tu nie gra, kiedy docieramy do nieoświetlonego atrium z podłogą z niewypolerowanego piaskowca, pośród którego wyrastają różowe jaśminy. Przemykamy w szyku klucza ku dwuskrzydłowym drzwiom do sypialni Żywego Srebra. Wyłączamy płaszcze, żeby lepiej widzieć. Wyciągamy usztywnione brzytwy. Metal zawisa centymetry nad piaskowcem.

To nie jest dom. To scena, stworzona do manipulacji i złowieszcza w swoim wyrachowaniu. To mi się nie podoba. Znowu łączę się z Sevro.

– Coś tu nie gra. Gdzie jest służba? Gdzie straż?

– Może ceni sobie prywatność...

– Myślę, że to pułapka.

– Pułapka? To mówi twoja głowa czy instynkt?

– Instynkt.

Sevro milczy przez chwilę, a ja zastanawiam się, czy rozmawia z kimś na innym kanale. Może mówi do wszystkich.

– Co proponujesz?

– Wycofajmy się. Oceńmy sytuację i...

– Mamy się wycofać? – warczy. – Na ile się orientujemy, mogli właśnie rzucić bomby jądrowe na naszych ludzi. Potrzebujemy tego. – Próbuję mu przerwać, ale on napiera. – Szlag, przeprowadziłem trzynaście akcji, żeby zdobyć informacje o tym Posrebrzanym dupku. Jeśli wycofamy się teraz, wszystko pójdzie psu w dupę. Zorientują się, że tu byliśmy. Nie będzie drugiej szansy. On jest kluczem do Szakala. Musisz mi zaufać, Żniwiarzu. Ufasz mi?

Przełykam przekleństwo i wyłączam się. Nie wiem, czy jestem zły na siebie, czy na niego. A może jestem zły, bo wiem, że Szakal pozbawił mnie iskry, która mnie wyróżniała. Każda moja opinia jest wątła i ulega wpływom innych, bo w głębi ducha wiem, że pod przerażającą skarabSkórą, pod maską demona kryje się niedoświadczony chłopak, który płakał, bo bał się zostać sam w ciemności.

Fioletowe światło zalewa nagle całe pomieszczenie: to luksusowy statek przepływa za przeszkloną ścianą za naszymi plecami. Pośpiesznie ustawiamy się po obu stronach drzwi do apartamentu Żywego Srebra i szyku-

jemy się do wejścia. Przez optykę hełmu patrzę na przelatującą jednostkę. Światło pulsuje na jednym z pokładów, gdzie kilkuset Piksów wije się do etruskich beatów, które są teraz szalenie modne na dalekiej Lunie, jakby na planecie pod tym księżycem wcale nie było wojny; jakbyśmy wcale nie próbowali zniszczyć ich stylu życia. Piją szampana z Ziemi, noszą ubrania z Wenus i latają na statkach zasilanych przez Marsa. Będą się śmiać, jeść i pieprzyć i nie odczują żadnych konsekwencji. Tylu ich jest... Mała szarańcza. Czuję, jak płonie we mnie słuszny gniew Sevro.

Dla nich cierpienie nie istnieje naprawdę. Wojna nie istnieje naprawdę. To tylko dwusylabowe słowo, które widzą w cyfrowych wiadomościach. Strumień nieprzyjemnych obrazków, które przelatują przez ekran. Cała ta broń, wojska, okręty i hierarchie, których nie dostrzegają, istnieją po to tylko, żeby chronić tych głupców przed prawdziwym bólem ludzkiej egzystencji. Wkrótce go poznają.

I na łożu śmierci będą pamiętali tę noc. Z kim wtedy byli. Co robili, kiedy dwusylabowe słowo złapało ich i już nie wypuściło. Ten rejs, ta ohydna dekadencja to jest ostatnie tchnienie Złotej Ery.

I jakże żalosne jest to tchnienie.

– Oczywiście, że ci ufam – zapewniam, ściskając mocniej brzytwę.

Ragnar obserwuje nas, chociaż nie może słyszeć naszej rozmowy. Victra czeka, żeby wyłamać drzwi.

Światło przygasa, statek znika w głębi miasta. Jestem zaskoczony, gdy dociera do mnie, że nie czuję satysfakcji na myśl o tym, co ma się wydarzyć, o tym, że ich epoka się kończy. Nie cieszy mnie też myśl o światłach we wszystkich miastach imperium człowieka, które przygasną, statkach, które zwolnią, ani błyszczących Złotych, którzy zgasną, kiedy ich budynki zardzewieją i zawalą się. Żałuję tylko, że nie wiem, co Mustang powiedziałyby na temat tego planu. Wcześniej brakowało mi jej ust, jej zapachu, ale teraz brakuje mi pociechy, która płynęła ze świadomości, że jej tok myślenia jest zgodny z moim. Kiedy z nią byłem, czułem się mniej samotny. Pewnie zbeształaby nas za to, że skupiamy się na niszczeniu zamiast na budowaniu.

Dlaczego tak się teraz czuję? Otaczają mnie przyjaciele, którzy atakują Złotych, tak jak sam zawsze chciałem zrobić. Coś mnie jednak gryzie w głębi duszy. Jakby ktoś mnie obserwował. Bez względu na to, co twierdzi Sevro, coś jest nie w porządku. Nie tylko w tym budynku, ale w całym tym planie. Jak ja bym to załatwił? Jak Fitchner by się tym zajął? Jeśli nam się

uda, do czego doprowadzimy, kiedy już opadnie pył i hel przestanie płynąć? Nadejdą wieki ciemne? Sevro to nieposkromiona siła. Jego gniew może przenosić góry.

Kiedyś też taki byłem. I patrzcie, dokąd mnie to doprowadziło.

– Zabijcie strażników, ogłuszcacie Różowych, tłuczcie, łapcie i zmykajcie – mówi do Wyjców Sevro.

Zaciskam rękę na ostrzu. Malec daje sygnał i Ragnar razem z Victrą zakradają się do sypialni. Wchodzimy za nimi w ciemność.

Kochanek

Światła są wyłączone. Jest cicho jak w grobie. Pierwszy pokój wydaje się pusty. Żarówiasto zielona meduza pływa w zbiorniku na stoliku, rzucając dziwaczne cienie. Idziemy do sypialni, wpadamy przez zdobione złotym filigranem drzwi. Strzegę ich z Pestką, przyklękam na jednym kolanie, trzymam broń EM z tłumikiem w dłoniach, a brzytwę owijam wokół ręki. Za naszymi plecami na łóżku z kolumnkami śpi mężczyzna. Ragnar łapie go za nogę i wyszarpuje z pościeli. Śpiący ma na sobie drogą piżamę. Spada na podłogę. Budzi się w locie, ale jego krzyk ginie zduszony przez dłoń Ragnar.

– Szlag, to nie on – odzywa się za mną Victra. – To jakiś Różowy.

Zerkam. Ragnar klęczy nad jeńcem, zasłaniając go przede mną.

Sevro uderza w wezglowie, aż je łamie.

– Jest trzecia nad ranem. Gdzie on się, u diabła, podziewa?

– Jest czwarta po południu czasu rynkowego na Lunie – odzywa się Victra. – Może jest w swoim biurze? Zapytaj niewolnika.

– Gdzie twój pan? – Maska Sevro sprawia, że jego głos faluje jak stalowa lina uderzona żelaznym prętem. Nie odrywam oczu od salonu, dopóki jęk Różowego nie sprawia, że się oglądam. Sevro wbił mu kolano w krocze. – Śliczna piżamka, chłoptasiu. Chcesz zobaczyć, jak będzie wyglądać, kiedy zrobi się czerwona?

Wzdragam się, słysząc chłód w jego głosie. Znam ten ton aż za dobrze. Słyszałem go u Szakala, kiedy torturował mnie w Attyce.

– Gdzie twój pan? – Sevro obraca kolano.

Różowy jęczy z bólu, ale nie chce odpowiedzieć. Wyjce patrzą na torturę w milczeniu – pochylone plamy bez twarzy w ciemnym pokoju. Nie ma dyskusji. Żadnych wątpliwości moralnych. Wiem, że już to robili. Czuję się zbrukany, gdy to do mnie dociera i gdy słyszę płacz Różowego. Oto praw-

dziwa twarz wojny – bardziej niż fanfary i statki kosmiczne. Ciche, niepa-miętane chwile okrucieństwa.

– Nie wiem – odpowiada. – Nie wiem.

Ten głos. Pamiętam ten głos z przeszłości. Zrywam się z mojego miejsca przy drzwiach i stoję obok Sevro, odciągając go od Różowego. Bo znam tego mężczyznę i jego delikatne rysy. Długi, kanciasty nos, oczy jak różowy kwarc, skórę jak ciemny miód. W równym stopniu co Mickey przyczynił się do stworzenia mnie tym, czym teraz jestem. To Matteo. Piękny i kruchy, a teraz dyszący na ziemi ze złamaną ręką. Krwawi z ust i trzyma się za krocze, gdzie kopnął go Sevro.

– Co ci odpajczyło, do diabła? – warczy na mnie Sevro.

– Ja go znam!

– Co?

Wykorzystując zamieszanie, którego narobiłem, i nie widząc niczego poza czarnymi demonicznymi obliczami naszych hełmów, Matteo rzuca się po terminal, który leży na nocnym stoliku. Sevro jest szybszy. Z mięsistym łoskotem najwyższa gęstość kości napotyka najniższą. Pięść Sevro roztrząska delikatną szczękę Matteo. Różowy dławi się i pada w konwulsjach na podłogę, oczy uciekają mu w głąb czaszki. Patrząc oszołomiony, przemoc wydaje mi się nierzeczywista, a zarazem potwornie zimna, prymitywna i łatwa. Po prostu mięśnie i kości poruszają się w sposób, w jaki nie powinny się poruszać. Łapię się na tym, że wyciągam ręce do Matteo, padam nad jego drżącym ciałem, odpycham Sevro.

– Nie dotykaj go!

Na całe szczęście Matteo stracił przytomność. Nie wiem, czy doszło do uszkodzenia kręgosłupa albo mózgu. Dotykam delikatnych loków jego ciemnych teraz włosów. Mają niebieskawy połysk. Zaciska rękę jak dziecko, ma cienką srebrną obrączkę na palcu serdecznym. Gdzie się podziewał przez cały ten czas? Co tu robi?

– Znam go – szepczę.

Ragnar pochyla się nad nim opiekuńczo, ale w tej chwili nie możemy nic dla niego zrobić. Błazen rzuca terminal Sevro.

– Sygnał alarmowy.

– Co to znaczy, że go znasz? – pyta Sevro.

– Należy do Synów Aresa – mówię oszołomiony. – A przynajmniej kiedyś należał. Był jednym z moich nauczycieli przed Instytutem. Uczył mnie kultury Aureusów.

– Psiakrew – mruczy Brzydal.

Victra szturcha nogą nadgarstek Matteo, na którym drobne kwiatki zdobią Różowe Pieczęcie.

– Jest Różą z Ogrodu. Jak Theodora. – Zerka na Ragnara. – Kosztuje tyle samo co ty, Splamiony.

– Jesteś pewien, że to ten sam człowiek? – pyta mnie Sevro.

– Psiajucha, oczywiście, że jestem. Nazywa się Matteo.

– To co tu robi? – pyta Ragnar.

– Nie wygląda na więźnia – zauważa Victra. – To droga pizama. Pewnie jest kochankiem. W końcu Żywe Srebro nie słynie z celibatu.

– Musiał zdradzić – rzuca ostro Sevro.

– Albo wypełniał zadanie wyznaczone przez twojego ojca – mówię.

– To czemu się z nami nie skontaktował? Zdradził. A to znaczy, że Żywe Srebro przeniknął w struktury Synów Aresa. – Sevro obraca się do drzwi. – Szlag. Może wiedzieć o Tinos. Mógł wiedzieć o tym napadzie.

Zastanawiam się gorączkowo. Czy to Ares przysłał tu Matteo? Czy może Matteo uciekł z tonącego statku? Może powiedział im o mnie jeszcze przed Harmoni... Ta myśl jest jak nóż w brzuch. Krótko się znaliśmy, ale go polubiłem. Był dobrym człowiekiem, a niewielu takich zostało. A teraz spójrzcie, co mu zrobiliśmy.

– Powinniśmy się stąd wynosić – mówi Błazen.

– Nie bez Żywego Srebra – odpowiada Sevro.

– Nie wiemy, gdzie jest Żywe Srebro – przypominam. – Tu chodzi o coś więcej. Musimy poczekać, aż Matteo odzyska przytomność. Ktoś ma zastrzyk ze stymem?

– Jedna dawka może go zabić – zauważa Victra. – Układ krążenia Różowych nie wytrzyma wojskowej amfy.

– Nie mam czasu na pytania – warczy Sevro. – Nie możemy ryzykować, że nas tu przyszpilą. Wynosimy się stąd. – Chcę się odezwać, ale on mówi dalej, patrząc na Błazna, który posługuje się terminalem Mateo: – Błazen, co tam masz?

– Zamówienie jedzenia w podsekcji kuchennej na wewnętrznym serwerze. Wygląda na to, że ktoś zamówił całe mnóstwo baraniny, kanapek z dżemem i kawy do pokoju C19.

– Żniwiarz, co o tym myślisz? – pyta Ragnar.

– To może być pułapka. Musimy...

Victra parska pogardliwym śmiechem, wchodząc mi w słowo.

– Nawet jeśli to pułapka, to spójrz na nas. Żadne gówno nam nie straszne.

– Psiajucha, Julii ma rację. – Sevro rusza do drzwi. – Brzydal, zabierz Różowego i zabunkruj go gdzieś. Wysuwamy pazury. Ragnar, Victra, idziecie przodem. Poleje się krew.

* * *

Jeden poziom niżej spotykamy pierwszą drużynę ochrony. Pół tuzina lurcherów stoi przed dużymi szklanymi drzwiami. Szkło faluje jak powierzchnia stawu. Mają na sobie czarne garnitury zamiast wojskowych zbroi. Implanty w kształcie srebrnych półksiężycowatych blaszek wystają im ze skóry za lewym uchem. Na tej kondygnacji jest więcej patroli, ale nie ma służby. Paru Szarych w podobnych garniturach zawiozło wózek z kawą kilka minut wcześniej; dziwne, że nie przysłano z nią Różowych albo Brązowych. Ochrona jest bardzo czujna. Ktokolwiek siedzi w biurze Żywego Srebra, musi być ważny. Albo co najmniej cierpi na ciężką paranoję.

– Załatwiamy to błyskawicznie. – Sevro wygląda zza rogu korytarza trzydzieści metrów od grupy Szarych. – Zneutralizujcie tych dupków i szybko wchodźcie.

– Nie wiemy, kto tam jest – mówi Błazen.

– I jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć – warczy Sevro. – Ruchy.

Ragnar i Victra wypadają pierwsi zza rogu, ich widmoPłaszczce uginają światło. Wybiegamy za nimi szaleńczym sprintem. Jeden z Szarych mruży oczy, wpatrując się w korytarz. Implanty optyczne z termowizją w jego tęczęwkach włączają się, pulsują czerwienią i facet widzi ciepło promieniujące z naszych baterii.

– WidmoPłaszczce! – krzyczy.

Sześć par wytrenowanych rąk sięga po miotacze. Zdecydowanie za późno. Ragnar i Victra już roznoszą ich w pył. Ragnar wymachuje brzytwą, odcina jednemu rękę, drugiemu przebija tętnicę szyjną. Krew tryska na szklane ściany. Victra strzela z miotacza z tłumikiem. Napędzane magnetycznie pociski trafiają w dwie głowy. Prześlizguję się do przodu między padającymi ciałami. Przebijam brzytwą klatkę piersiową ochroniarza. Czuję, jak ostrze wchodzi w jego serce. Wycofuję je, zamieniając w bicz, a potem znowu usztywniam w kształt sierpaka, zanim mężczyzna padnie.

Szarzy nie zdołali oddać ani jednego strzału. Jeden z nich przycisnął jednak guzik na swoim terminalu i niski, tętniący dźwięk alarmu niesie się echem w korytarzu. Ściany pulsują czerwienią, sygnalizując zagrożenie. Sevro załatwia ostatniego.

– Włamujcie się do sali. Teraz! – woła.

Coś jest nie tak. Przeczuję to, ale Victra i Sevro napierają. A Ragnar już wykopuje drzwi. Jak zawsze niewolniczo ulegam impetowi chwili i wskakuję za nim.

Sala konferencyjna Żywego Srebra jest mniej ekstrawagancka niż pokoje piętro wyżej. Sufit znajduje się na wysokości dziesięciu metrów. Ściany wykonano z cyfrowego szkła, w którym kłębi się dyskretnie srebrzysty dym. Dwa równoległe rzędy marmurowych filarów ciągną się po obu stronach gigantycznego onyksowego stołu, pośrodku którego wznosi się martwe białe drzewo. Na drugim końcu sali ogromne okno ukazuje przemysłowy krajobraz Ula. Regulus ag Sun, znany od Merkurego po Plutona jako Żywe Srebro, najbogatszy człowiek pod słońcem, stoi przed oknem z kieliszkiem czerwonego wina w mięsistej ręce.

Jest łysy. Ma czoło pomarszczone jak tarka do prania. Usta jak bokser. Zgarbione małpie ramiona schodzą ku palcom rzeźnika, które wystają z rękawów turkusowej wenusjańskiej szaty ze stójką, haftowanej w jabłonie. Jest po sześćdziesiątce. Ma skórę brązową od sięgającej szpiku kości opalenizny. Nosi kozią bródkę i wąsy, które akcentują jego twarz w próżnej próbie nadania jej kształtu. Wydaje się jednak, że przeważnie unikał Rzeźbiarzy. Jest bosy. Jednakże uwagę przyciąga jego troje oczu. Pod ciężkimi powiekami kryje się dwoje Srebrnych; to oczy trzeźwego, skutecznego człowieka. Trzecie oko jest Złote i wstawione w prosty srebrny pierścień, który nosi na środkowym palcu pulchnej, prawej dłoni.

Przeszkodził mi w spotkaniu.

W pokoju tłoczy się blisko trzydziestu Miedzianych i Srebrnych. Tworzą dwie grupy siedzące naprzeciwko siebie przy gigantycznym onyksowym stole usianym kubkami z kawą, karafkami z winem i terminalami. Pośrodku unosi się niebieskie holo jakiegoś dokumentu, które ewidentnie przykuwało uwagę wszystkich, dopóki drzwi nie wpadły do środka. Teraz siedzący odsuwają się od stołu, większość zbyt oszołomiona, żeby się przestraszyć albo choćby nas zauważyć, bo Wyjce wchodzi do środka w widmoPłaszczach. Jednakże nie tylko Miedziani i Srebrni siedzą przy stole.

– O, niech to szlag – prycha Victra.

Pośród Kolorowych pracowników stoi sześciu Złotych rycerzy w pełnych zbrojach impulsowych. Znam ich wszystkich. Po lewej stronie stołu ciemnoskóry starszy mężczyzna nosi całkiem czarny pancerz Rycerza Śmierci. Towarzyszą mu pulchnolica Moira (Furia, siostra Ai) i stary dobry Cassius au Bellona. Po prawej stronie siedzą Kavax au Telemachus, Daxo au Telemachus i dziewczyna, która zostawiła mnie na klęczkach w starych tunelach kopalni na Marsie prawie rok temu.

Mustang.

Zabijanie Żółtych

– Wstrzymać ogień! – krzyczę i spycham w dół lufę Victry, ale Sevro wykrzykuje rozkazy i Victra znowu unosi broń.

Tworzymy chwiejny szereg z pięściami impulsowymi i miotaczami wycelowanymi w Żółtych. Nie strzelamy, bo potrzebujemy Regulusa żywego. Wiem, że Sevro tak samo jak ja oniemiał na widok Mustang, Cassiusa i Telemachusów.

– Na podłogę, bo inaczej was załatwimy! – krzyczy niehumanicznym głosem wzmocnionym przez demonohelm.

Wyjście dołącza do niego, powietrze wypełnia chór rozkazów brzmiących jak wrzaski harpii. Krew ścina mi się lodem. Alarm dźwięczy ponad krzykami. Nie bardzo wiedząc, co robić, celuję z pięści impulsowej w najbardziej niebezpiecznego Żółtego na sali: w Cassiusa. Wiem, co musi dziać się w umyśle Sevro na widok zabójcy jego ojca we własnej osobie. Mój helm synchronizuje się z bronią, oświetla najsłabsze punkty w zbroi Cassiusa, ja jednak wpatruję się w Mustang, która odstawia kubek kawy, jak zawsze pełna wdzięku, i odsuwa się od stołu. Pięść impulsowa wstawiona w lewą rękawicę jej zbroi powoli się otwiera.

Mój umysł i serce walczą ze sobą. Co, u diabła, ona tu robi? Powinna być na Obrzeżu. Ani ona, ani pozostali Żółci nas nie słuchają. Nie wiedzą, kto się kryje pod hełmami. Nie mamy dzisiaj na sobie wilczych peleryn. Cofają się, patrząc uważnie, oceniając sytuację. Brzytwa Cassiusa prześlizguje się po jego prawej ręce. Kavax powoli podnosi się z krzesła, Daxo również. Żywe Srebro wymachuje szaleńczo rękami.

– Stać! – woła. Jego głos prawie ginie w ogólnym zamęciu. – Nie strzelać! To spotkanie dyplomatyczne! Ujawnijcie swoją tożsamość!

Dociera do mnie, że wpakowaliśmy się w środek negocjacji. Mustang się poddaje? Chce zawrzeć przymierze? To ciekawe, że Szakal jest nieobecny. Żywe Srebro go zdradza? Najwyraźniej. Podobnie jak Suwerenka. To dla-

tego jest tu tak pusto. Żadnych służących, minimum ochrony. Żywe Srebro chciał, żeby tylko zaufani ludzie byli obecni w czasie spotkania urzędowego tuż pod nosem jego sojusznika.

Ściska mnie w żołądku na myśl, że reszta obecnych musi uważać nas za Kościarzy. W takim razie wierzą, że zamierzamy ich zabić. To się może skończyć tylko w jeden sposób.

– Na ziemię, psiajucha! – ryczy Victra.

– Co robimy? – pyta przez system łączności Pestka. – Żniwiarz?

– Bellona jest mój – zastrzega Sevro.

– Broń ogłuszająca! – odpowiadam. – To jest Mustang...

– To na nic przy takich zbrojach – przerywa mi Sevro. – Jeśli którykolwiek kutas podniesie broń, zabijajcie. Maksymalne ładunki impulsowe. Nie będę ryzykował życia kogokolwiek z naszej rodziny.

– Sevro, posłuchaj mnie, musimy porozmawiać z...

Moje słowa się rwą, bo Sevro wykorzystuje wbudowane w jego hełm obejście i zagłusza mój sygnał wyjściowy. Słyszę pozostałych, ale oni mnie nie. Przeklinam go bezradnie.

– Bellona, nie ruszaj się! – krzyczy Błazen. – Powiedziałem: nie ruszaj się!

Naprzeciwnie Mustang Cassius bezgłośnie sunie pomiędzy Srebrnymi, wykorzystując ich jak zasłonę, żeby zbliżyć się do nas. Dzieli nas raptem dziesięć metrów. Jest coraz bliżej. Wyczuwam, że za moimi plecami Victra zamiera, pali się do tego, żeby rzucić się na jednego z ludzi, których obwina o śmierć swojej matki. Tyle że cywile oddzielają nas od Żółtych, a Żywe Srebro jest zwierzyną, która nie może się nam wymknąć.

Przyglądam się pulchnym policzkom obecnych tu Srebrnych i Miedzianych. Nie ma tu uciskanych ludzi. Żaden z tych brzuchów nie zaznał głodu. To kolaboranci. Sevro oskalpowałby każdego z nich, gdyby dać mu zardzewiały nóż i parę godzin.

– Żniwiarz... – odzywa się cicho Ragnar, czekając na moje polecenie.

– Trzymaj ręce z dala od brzytwy! – krzyczy Victra na Cassiusa.

On milczy. Prze do przodu niepowstrzymany jak lodowiec. Moira i Rycerz Śmierci idą za nim. Hełm Kavaxa unosi się, żeby zakryć mu głowę. Hełm Mustang już zasłonił jej twarz. Jej pięść impulsowa jest aktywna i wycelowana w ziemię.

Znam śmierć dostatecznie dobrze, żeby słyszeć, jak bierze wdech.

Włączam zewnętrzne głośniki.

– Kavax, Mustang, przestańcie. To ja. To...

– Nie ruszaj się, ty pieprzony gnoju! – warczy Victra.

Cassius uśmiecha się uprzejmie i rzuca do ataku. Na lewo ode mnie Ragnar wykręca dziwnie ciało i jedna z jego dwóch brzytew leci w powietrzu. Ostrze przeszywa czoło Rycerza Śmierci. Srebrni gapią się na słynnego Rycerza Olimpijskiego, który pada na ziemię.

– KAVAX AU TELEMANUS! – ryczy Kavax i razem z Daxo rzucają się do przodu.

Mustang śmiga w bok. Moira atakuje, unosząc pięść impulsową.

– Rozwalić ich – warczy Sevro.

Pokój wybucha. Powietrze jest rozrywane na strzępy przez rozpalone cząsteczki, kiedy Wyjce zaczynają strzelać w zatłoczonym pomieszczeniu. Marmur zamienia się w pył. Krzesła topią się w pokrzywione kawałki metalu, a kopnięte, suną po podłodze. Mięso i kości eksplodują, wypełniając powietrze czerwoną mgiełką, kiedy Srebrni i Miedziani padają w krzyżowym ogniu. Sevro nie trafia Cassiusa, który chowa się za filarem. Kavax obrywa kilkanaście razy, ale nie zwalnia, nawet kiedy jego tarcza się przegrzewa. Już ma wpaść z brzytwą na Sevro i Victre, gdy wtem Ragnar atakuje go z boku i uderza barkiem tak mocno, że mniejszy mężczyzna odrywa się od ziemi. Daxo atakuje Ragnara od tyłu i trzej olbrzymi koziołkują w bok, przy okazji zmiatając dwóch dwa razy niższych Miedzianych, którzy po omacku szukali drogi ucieczki. Teraz leżą na podłodze i wrzeszczą: mają połamane nogi.

Za Kavaxem Mustang obrywa dwa razy w pierś, ale jej tarcza impulsowa wytrzyma. Zatacza się, strzela w nas, trafia w udo Pestkę, która leci do tyłu i uderza w ścianę. Strzał zdruzgotał jej nogę. Krzyczy i łapie się za udo. Błazen i Victra osłaniają ją, strzelając do Mustang. Zaciągają Pestkę za filar. Brzydal i czterech innych Wyjców, którzy pilnowali drzwi i porzuconego za nimi Matteo, otwierają ogień z korytarza.

Zataczam się w bok, zagubiony w chaosie, kiedy marmur, na którym stałem, roztrzaskuje się na kawałki. Srebrni chowają się pod stołem. Inni zrywają się z krzeseł i biegną ku iluzorycznemu schronieniu – za filary na obrzeżach pokoju. Hipersoniczne ładunki przelatują między nimi, nad ich głowami, na wskroś przez nich, odkształcając kolumny. Żywe Srebro biegnie za dwoma Miedzianymi, wykorzystując ich jak żywą tarczę, ale obrywają odłamkami i cała trójka zwała się na ziemię w plątaninie kończyn i krwi.

Moira pędzi, żeby przebić Sevro brzytwą. Zachodzi go od tyłu, gdy ten próbuje ominąć Ragnara walczącego z Telemachusami i dopaść Cassiusa. Strzelam z bliska prosto w jej bok z pięści impulsowej. Jej tarcza absorbuje pierwszych kilka strzałów, spowijając ją falującym niebieskim kokonem. Moira zatacza się w bok. Gdybym teraz przestał strzelać, rankiem miałaby tylko siniaka. Jednak mój środkowy palec zalega ciężko na spuście broni. To ona jest inżynierem ucisku, jednym z największych umysłów wśród Złotych. I próbowała zabić Sevro. Źle to rozegrała.

Strzelam, aż jej tarcza zapada się do środka. Moira osuwa się na jedno kolano, zaczyna dygotać konwulsyjnie i krzyczeć, bo cząsteczki jej skóry i organów rozgrzewają się do czerwoności. Gotująca się krew wypływa jej oczami i nosem. Zbroja i ciało stapiają się ze sobą, a ja czuję wzbierającą we mnie dziką wściekłość, która odcina mnie od strachu, od rozsądku, od współczucia. Oto Żniwiarz, który powalił Cassiusa. Który zabił Karnusa. Którego Złoci nie są w stanie zgładzić.

Pięść impulsowa Moiry strzela na oślep, kiedy ścięgną jej palców kurczą się pod wpływem żaru. Trafia w sufit w trybie automatycznym. Moira obraca się w bok i sieje śmiercią przez salę. Dwóch Srebrnych eksploduje, nie zdążyli się schować za filarem. Szybko na drugim końcu pokoju z widokiem na kosmiczne miasto pęka niebezpiecznie. Wyjce chowają się, dopóki pięść impulsowa nie stopi się w lewej ręce Moiry i lufa nie zapadnie się w głąb siebie z paskudnym sykiem. Z ostatnim westchnieniem wściekłości najmądrzejsza z trzech Furii Suwerenki pada, przypominając zwęglona skorupę.

Żałuję tylko, że to nie Aja.

Odwracam się do wnętrza sali. Czuję, jak kieruje mną zimna dłoń gniewu. Łaknę krwi. Zostali jednak tylko moi przyjaciele. A przynajmniej ludzie, którzy kiedyś nimi byli. Drzę z powodu pustki, kiedy gniew ze mnie uchodzi równie szybko, jak przyszedł. Zastępuje go panika, bo widzę, że moi przyjaciele próbują się wzajemnie pozabijać. Uporządkowane szyki rozpadły się, pogrążając się w technicyzowanej bijatyce. Stopy ślizgają się na szkle. Łopatkami uderzają o ściany. Wśród filarów trwa bitwa na pięści impulsowe. Ręce i kolana przesuwają się po podłodze, broń impulsowa wyje, ostrza szczękają i rąbią.

I dopiero teraz z przerażającą wyrazistością widzę, że wiąże ich tylko jedno. Nie jest to żadna idea. Nie marzenie mojej żony. Nie zaufanie, sojusznicy ani Kolor.

Tylko ja.

To właśnie robiliby beze mnie. To właśnie robił Sevro, gdy mnie zabrakło. Co za nieuniknione marnotrawstwo. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć.

Muszę to powstrzymać.

Pośrodku sali Cassius idzie za Victrą, potykając się między poskręcanyymi krzesłami i strzaskanym szkłem. Podłoga pod nimi jest śliska od krwi. Jej uszkodzony widmoPłaszcz sypie iskrami, a ona to jest duchem, to cieniem – jak niezdecydowany demon. Cassius znowu ją tnie przez udo. Odwraca się, kiedy Błazen do niego strzela. Tnie go w skroń i pochyla się, żeby uniknąć strzału Pestki, która leży na podłodze na drugim końcu sali. Victra koziołkuje pod stołem i ucieka Cassiusowi, tnąc go jeszcze po kostkach. On wskakuje na stół, strzela z pięści impulsowej w onyks, aż blat załamuje się pośrodku i więzi Victrę. Brakuje mu kilku cali, żeby ją zabić, kiedy Sevro strzela mu w plecy. Tarcza Cassiusa absorbuje strzał, ale trafienie odrzuca go na kilka metrów w bok.

Po prawej Ragnar, Daxo i Kavax toczą bój tytanów. Ragnar przyszpila rękę Kavaxa do ściany brzytwą, zostawia broń wbłą, uchyla się i z bliska strzela z pięści impulsowej w Daxo. Tarcza absorbuje strzał, a brzytwą Daxo chybia celu i odcina tylko kawałek ściany. Ragnar uderza Daxo w stawy i już ma mu złamać kark, kiedy Kavax wbija mu brzytwę w ramię, wykrzykując swoje nazwisko rodowe. Pędzę na pomoc Splamionemu przyjacielowi, ale wtedy wyczuwam kogoś z lewej strony.

Odwracam się w samą porę, żeby zobaczyć Mustang, która leci prosto na mnie. Hełm zasłania jej twarz, brzytwą tnie z góry na dół, żeby przeciąć mnie na pół. W ostatniej chwili unoszę własne ostrze. Klingi zderzają się. Czuję wibrację w ręku. Jestem wolniejszy, niż pamiętam, wiele moich odruchów mięśniowych przepadło w ciemności mimo laboratorium Mickeya i treningów z Victrą. Poza tym Mustang stała się szybsza.

Muszę się wycofać. Staram się ją obejść, ale obchodzi się z brzytwą w taki sposób, jakby ostatni rok spędziła na wojnie. Próbuje wymknąć się bokiem, jak uczył mnie Lorn, ale nie ma dla mnie drogi ucieczki. Mustang jest sprytna, wykorzystuje gruz, filary, żeby mnie zagnać w róg. Daję się osaczyć przez rozbłyśkujący metal. Moja obrona nie pęka, ale słabnie przy brzegach, gdy skupiam się na chronieniu centrum.

Ostrze zostawia mi głęboką na cal ranę w lewym ramieniu. Szczypie jak ukąszenie żmii jaskiniowej. Przeklinam, gdy Mustang znowu mnie tnie.

Krzyknąłbym, żeby przestała. Wykrzyknąłbym swoje imię, cokolwiek, gdybym miał chociaż pół sekundy na złapanie oddechu, ale mogę tylko poruszać rękami. Ledwie zdążam się uchylić w tył, kiedy nacina mi płytko szyję przez skarabSkórę. Potem następują trzy szybkie cięcia w ścięgna prawej ręki; niewiele chybiają. Mustang narzuca tempo. Przypiera mnie do ściany. Cięcie. Cięcie. Pchnięcie. Ogień przenika moją skórę. Umrę tu. Wołam przez system łączności o pomoc, ale Sevro nadal mnie zagłusza.

Odgryźliśmy więcej, niż jesteśmy w stanie przełknąć.

Krzyczę bez skutku, gdy brzytwa Mustang przesuwają się po trzech moich żebrach. Obraca broń w dłoni. Bierze zamach, żeby ściąć mi głowę. Udaje mi się zablokować cios własną brzytwą tak, że jej ostrze wbija się w ścianę nad moją głową i teraz jej hełm znajduje się tuż przy mojej masce. Uderzam ją z byka. Jej osłona jest jednak mocniejsza od kompozytowego duroplastiku mojej maski. Mustang zamierza się głową, żeby mnie uderzyć; posługuje się moją własną taktyką. Ból przeszywa mi czaszkę. Prawie mdleję. Robi mi się ciemno przed oczami, ale zaraz odzyskuję wzrok. Nadal stoję. Część mojej maski odpadła i zsunęła mi się z twarzy. Znowu mam złamany nos. Widzę plamy przed oczami. Maska rozpada się ze szczerem, a ja patrzę w martwe oczy hełmu w kształcie końskiego łba, gdy Mustang szykuje się, żeby mnie zabić.

Bierze zamach brzytwą do ostatecznego ciosu. I zamiera z ręką nad głową. Drży na mój widok. Hełm cofa się, odsłaniając jej twarz. Mokre od potu włosy kleją się do czoła, pociemniałe i błyszczące. Pod nimi oczy patrzą dziko, a ja chciałbym powiedzieć, że widzę w nich miłość albo radość, ale nic z tego – jeśli już to strach, może zgrozę, która sprawia, że cała krew odpływa jej z twarzy. Mustang zatacza się do tyłu i oniemiała macha drugą ręką.

– Darrow...?

Ogląda się przez ramię i widzi, że w sali nadal toczy się walka, a nasza chwila spokoju jest samotną bańką pośród sztormu. Cassius ucieka, wymyka się bocznymi drzwiami, zostawiając za sobą trupy Rycerza Śmierci i Moiry. Nasze spojrzenia krzyżują się przelotnie, zanim zniknie. Victra goni za nim, dopóki Sevro jej nie zawróci. Reszta Wyjców zwraca się do Mustang. Robię krok w jej stronę, ale zatrzymuję się, kiedy czubek jej brzytwy muska mi obojczyk.

– Widziałam, jak umierasz. – Cofa się do głównych drzwi, ślizgając się na marmurze, rozgniatając kawałki szkła ze ścian. – Kavax, Daxo! – woła.

Żyła występuje jej z wysiłku na szyi. – Wycofajcie się!

Telemanusowie odsuwają się od Ragnara skonsternowani, zastanawiają się, kim jest mężczyzna, z którym walczą, i dlaczego krwawią w tak wielu miejscach. Próbują dołączyć do Mustang, biegną do niej w pośpiesznym odwrocie, ale kiedy mnie mijają, wiem, że nie mogę po prostu patrzeć, jak ona odchodzi. Dlatego owijam brzytwę wokół szyi Kavaxa. Dławi się i zatacza wprost na mnie. Trzymam mocno; wystarczy, że wcisnę guzik, a odetnę mu głowę. Nie zamierzam jednak go zabić. Kavax pada dopiero, kiedy Ragnar podcina go i przygniata mu kolaniem pierś. Brzydal i pozostali rzucają się na niego, żeby go przyszpilić.

– Nie zabijajcie go! – krzyczę.

Brzydal znał Paxa. Poznał też Telemanusów, więc teraz cofa ostrze i warczy na młodszych stażem Wyjców, żeby zrobili to samo. Daxo chce pędzić ojcu na ratunek, ale Ragnar i ja zagradzamy mu drogę. Patrzy skonsternowany na moją twarz.

– Uciekaj, Virginio! – ryczy z ziemi Kavax. – Uciekaj!

– Mam *Paxa*. Orion żyje – mówi Mustang, patrząc na zakrwawionych Wyjców za moimi plecami. – Nie zabijaj go. Proszę.

A potem zerka ze smutkiem na Kavaxa i wybiega z pokoju.

Otchłań

– Co miała na myśli, mówiąc, że Orion żyje? – pytam Kavaxa.

Jest równie wstrząśnięty jak ja, nerwowo zerka na ubranych na czarno Wyjców obchodzących salę. Nikogo nie straciliśmy, ale jesteśmy w fatalnym stanie.

– Kavax!

– To, co powiedziała – dudni. – Dokładnie to, co powiedziała. *Pax* jest bezpieczny.

– Darrow! – krzyczy Sevro, wracając z Victrą do sali. Wybiegli za Casiusiem przez poczerwiałe drzwi na drugim końcu pomieszczenia, ale wrócili z pustymi rękami. Oboje utykają. – Do mnie!

Chcę zapytać Kavaxa o więcej, ale Victra jest ranna. Podbiegam do niej, widząc, jak opiera się o strzaskany stół z onyksu, garbi się nad głęboką raną w bicepsie. Zdjęła maskę, ma wykrzywioną i spoconą twarz, kiedy wstrzykuje sobie środki przeciwbólowe i te zwiększające krzepliwość krwi, żeby powstrzymać krwotok. Błyska kość.

– Victra...

– Szlag – mówi z ponurym śmiechem. – Twój chłopak jest szybszy niż dawniej. Prawie dopadliśmy go w korytarzu, ale chyba Aja podszkoliła go w twojej Drodze Wierzby.

– Na to wygląda. Dobrze się czujesz?

– Pierwszorzędnie. O mnie się nie martw, kochanie. – Mruga do mnie porozumiewawczo, kiedy Sevro znowu mnie woła.

On i Błazen pochylają się nad dymiącymi szczątkami Moiry. Przywódca terrorystów nie jest przejęty otaczającą nas jatką.

– To jedna z Furii – mówi Błazen. – Świeżo upieczona.

– Dobra robota, Żniwiarz – rzuca przeciągle Sevro. – Chrupka z wierzchu, krwista w środku. Tak jak lubię. Aja się wkurzy...

– Odciałeś mi łączność – przerywam mu wściekły.

– Zachowywałeś się jak fiut. Mąciłeś w głowach moim ludziom.
– Jak fiut? Co ci, do cholery, odbiło? Posługiwałem się głową, zamiast po prostu strzelać do wszystkiego, co się rusza. Mogliśmy się obyć bez wymordowania połowy sali.

Jego oczy są mroczniejsze i okrutniejsze niż oczy przyjaciela, którego pamiętam.

– To jest wojna, młody. Gra w zabijanie. Nie smuć się, że jesteśmy w niej dobrzy.

– To była Mustang! – mówię, podchodząc bliżej. – A gdybyśmy ją zabili?

Wzrusza ramionami. Szturcham go w pierś.

– Wiedziałeś, że tu będzie? Powiedz mi prawdę.

– No co ty... – cedzi słowa. – Nie wiedziałem. A teraz cofnij się, młody.
– Patrzy na mnie zuchwale, jakby miał ochotę mi przywalić. Nie odsuwam się.

– Co tu robiła?

– A skąd, u diabła, mam wiedzieć? – Patrzy na stojącego za mną Ragnara, który popycha Kavaxa ku Wyjcom zbierającym się pośrodku sali.
– Wychrzaniamy stąd. Niech wszyscy się przygotują. Będziemy musieli wyróżnić całą armię, żeby wykaraskać się z tego szamba. Punkt odbioru jest dziesięć pięter wyżej po czarnej stronie.

– Gdzie nasza zdobycz? – pyta Victra, rozglądając się po jatce.

Ciała zaściełają ziemię. Srebrni drżą z bólu. Miedziani z połamanymi nogami pełzają po podłodze.

– Pewnie usmażona – mówię.

– Pewnie tak – przytakuje Błazen, rzucając mi współczujące spojrzenie, kiedy odsuwamy się od Sevro, żeby zacząć grzebać wśród ciał. – Parszywy bajzel.

– Nie wiedziałeś, że Mustang tu będzie? – pytam.

– Nie. Serio, szefie. – Ogląda się na Sevro. – Co masz na myśli, mówiąc, że wyłączył ci łączność?

– Przestańcie jazgotać i znajdźcie tego parszywego Srebrnego – warczy Sevro. – I niech ktoś zgarnie Różowego z korytarza.

Błazen znajduje Żywe Srebro na drugim końcu sali, dalej od drzwi na korytarz, na prawo od okna ze wspaniałym widokiem na Fobosa. Leży nieruchomo pod filarem, który został złamany przy podłodze, przewrócił się i oparł ukosem o ścianę. Cudza krew pokrywa turkusową tunikę Srebrnego.

Kawałki szkła wystają z poranionych kostek rąk. Sprawdzam mu puls. Żyje. Zatem misja nie była kompletną stratą czasu. Ma jednak guza na czole od jakiegoś odłamka. Wołam Ragnara i Victrę, najsilniejszych w naszej grupie, żeby pomogli mi podnieść przygniatający go filar.

Ragnar wsuwa pod filar brzytwę, którą rzucił w głowę Rycerza Śmierci, wykorzystując leżący obok kamień jako punkt podparcia, i już mamy go we dwójkę dźwignąć, kiedy Victra woła, żebyśmy poczekali.

– Patrzcie – mówi.

W miejscu, gdzie koniec filara styka się ze ścianą, widać słaby niebieskawy blask wzdłuż linii, która biegnie od podłogi w górę i tworzy prostokąt na ścianie. Ukryte drzwi. Victra przykładła do nich ucho i mruży oczy.

– Palniki impulsowe – mówi. – Oho! – Śmieje się. – Po drugiej stronie są ochroniarze tego Srebrnego. Musiał ich tu ukryć, na wypadek gdyby zrobiło się gorąco. Rozmawiają w *nagal*.

To język Obsydianowych. Przebijają się przez ścianę. Już byśmy nie żyli, gdyby filar nie przewrócił się i nie zablokował wejścia.

Zwykle szczęście uratowało nam tyłki. Cała nasza trójka to wie. Ta świadomość tylko pogłębia mój gniew na Sevro, za to przygasza nieco dzikość w oczach Victry, która nagle dostrzega, jakie to było lekkomyślne. Nigdy nie powinniśmy byli się tu łądować bez planów budynku. Sevro zrobił to, co ja bym zrobił rok temu. Z takim samym efektem. We trójkę myślimy to samo, zerkając na główne drzwi do sali. Nie zostało nam wiele czasu.

Ragnar i Victra pomagają mi wyciągnąć Żywe Srebro. Połamane nogi wloką się za nieprzytomnym mężczyzną, kiedy Victra ciągnie go na środek pokoju. Tam Sevro z Błaznem i Pestką szykują się do wyjścia z naszymi więźniami, Matteo i Kavaxem, który gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami. Pestka jednak nie może stanąć o własnych siłach. Jesteśmy w naprawdę fatalnym stanie.

– Mamy za dużo więźniów – mówię. – Nie będziemy w stanie szybko się poruszać. I nie możemy tym razem liczyć na impuls EM.

Który zresztą w niczym by nam nie pomógł na stacji kosmicznej, gdzie od próżni oddziela nas tylko gruba na cal ściana i przetworniki powietrza.

– Wobec tego pozbedziemy się tłuszczyku – mówi Sevro, podchodząc do Kavaxa, który siedzi ranny z rękami związanymi za plecami. Celuje mu z pięści impulsowej w twarz. – Nie bierz tego do siebie, wielkoludzie.

Pociąga za spust. Odpycham go w bok. Impuls nie trafia Kavaxa w głowę, ale w podłogę obok nieprzytomnego Matteo, prawie pozbawiając

go nogi. Sevro odwraca się do mnie gwałtownie, mierząc mi w głowę.

– Zabierz to sprzed mojej twarzy – ostrzegam, patrząc w lufę. Żar promieniuje mi prosto w oczy, aż zaczynają mnie piec i muszę odwrócić wzrok.

– Za kogo go uważasz? – warczy Sevro. – Za przyjaciela? Nie jest nim.

– Potrzebujemy go żywego. To karta przetargowa. A Orion może żyć.

– Karta przetargowa? – prychna Sevro. – A co z Moirą? Nie miałeś problemu, żeby ją usmażyć, ale jego oszczędzisz. – Zerka na mnie, opuszcza broń. Krzywi się i szczerzy paskudne zęby. – Och, chodzi o Mustang. Oczywiście.

– To ojciec Paxa.

– A Pax nie żyje. Dlaczego? Bo zostawiłeś przy życiu swoich wrogów. To nie Instytut, młody. To wojna. – Wymachuje mi palcem przed twarzą. – A wojna jest parszywie prosta. Zabijasz wrogów, kiedy możesz i jak tylko możesz, najszybciej jak zdołasz. Albo oni zabiją ciebie i twoich ludzi.

Sevro odwraca się ode mnie, widząc, że inni obserwują nas z coraz większym niepokojem.

– Mylisz się.

– Nie możemy wlec ich ze sobą.

– Korytarze są pełne ludzi, szefie – odzywa się Brzydal, który właśnie wrócił do sali. – Ponad setka ochroniarzy. Mamy przesrane.

– Zdołamy się przebić, jeśli pójdziemy na lekko – odpowiada Sevro.

– Przez stu ludzi? – mówi Błazen. – Szefie...

– Sprawdźcie baterie – poleca Sevro, zerkając na swoją pięść impulsową.

Nie. Nie pozwolę, żeby jego krótkowzroczność nas zniszczyła.

– Walić to – mówię. – Pestka, wezwij Holiday. Powiedz jej, że plan ucieczki się pochrzanił. Podaj jej nasze współrzędne. Ma zaparkować kilometr za szkłem, tyłkiem w naszą stronę.

Pestka nie sięga po terminal. Zerka rozdarta na Sevro, nie wie, kogo ma słuchać.

– Wróciłem – dodaję. – Zrób to.

– Zrób to, Pestka – odzywa się Ragnar.

Victra kiwa leciutko głową. Pestka krzywi się i patrzy na Sevro.

– Wybacz.

Kiwa mi głową, otwiera kanał i wzywa Holiday. Reszta Wyjców patrzy na mnie. Boli mnie świadomość, że zmusiłem ich do wybierania w taki spo-

sób.

– Błazen, weź terminal Moiry, sprawdź, czy jest usmażony, i wyciągnij z niego dane, jeśli dasz radę. Chcę wiedzieć, jaki kontrakt negocjowali – rzucam szybko. – Brzydal, zabierz Śpiocha i osłaniaj korytarz. Ragnar, Kavax jest twój. Jeśli spróbuje uciec, odetnij mu nogi. Victra, została ci jakaś lina wspinaczkowa? – Sprawdza pas i kiwa głową. – Zaczniij nas wiązać. Niech wszyscy ustawią się pośrodku pokoju. Musimy ściśle się związać. – Odwracam się do Sevro. – Ułóż ładunki pod drzwiami. Będziemy mieli towarzystwo.

Nie odzywa się. Nie widzę gniewu w jego oczach. Rozkwitają tam utajone ziarna zwątpienia w siebie i strachu, przesącza się do nich nienawiść. Znam ten wyraz oczu. Sam czułem go u siebie zbyt wiele razy, żeby to zliczyć. Odbieram mu jedyną rzecz, na które mu kiedykolwiek zależało. Jego Wyjców. Po wszystkim, co zrobił, zmuszam ich, żeby wybrali mnie zamiast niego, podczas gdy on wciąż nie wierzy, że jestem gotowy. To krytyka jego dowodzenia, potwierdzenie głębokiego zwątpienia w siebie, które z pewnością czuł po śmieci ojca.

To nie powinno się odbyć w taki sposób. Powiedziałem, że będę go słuchał, i nie dotrzymałem słowa. To moja wina. Jednak to nie jest dobry czas na przytulanki. Próbowałem z nim rozmawiać, próbowałem wykorzystać naszą przyjaźń, żeby przemówić mu do rozsądku, ale odkąd wróciłem, widzę, że reaguje jedynie na przemoc i siłę. Dlatego teraz będę mówił w jego parszywym języku. Robię krok naprzód.

– O ile nie chcecie tu umrzeć, weźcie się w garść i ruszcie tyłki.

Jego drobna, pomarszczona twarz tężeje, kiedy patrzy, jak Wyjce biegają wykonywać moje rozkazy.

– Jeśli przez ciebie zginą, nigdy ci nie wybaczę.

– To jest nas dwóch. A teraz ruszaj.

Odwraca się i podbiega do drzwi, żeby rozmieścić pozostałe ładunki wybuchowe, które ma u pasa. Rozglądam się po zniszczonej sali, wreszcie widząc jakiś ład w tym chaosie, kiedy moi przyjaciele współpracują. W tej chwili wszyscy już odgadli mój plan. Wiedzą, że jest szalony. Jednak przekonanie, z jakim działają, napędza mnie życiem. Ufają mi w sposób, w jaki Sevro zaufać nie potrafił. Mimo to przyłapuję Ragnara na tym, że zerka na okno już trzeci raz. Nasze kombinezony zostały uszkodzone. Żadne z nas nie utrzyma wewnętrznego ciśnienia w próżni. Ja nie mam nawet maski. To, czy przeżyjemy, czy nie, zależy od Holiday. Żałuję, że nie mogę w jakiś

sposób zapanować nad wszystkimi zmiennymi, ale jeśli czas spędzony w ciemności czegoś mnie nauczył, to właśnie tego, że świat jest większy niż to, co mogę chwycić w dłoń. Muszę zaufać innym.

– Włączamy zakłócacze – mówię, majstrując przy swoim pasie.

Nie chcę, żeby kamery na zewnątrz spostrzegły czyjąkolwiek odsłoniętą twarz.

– Holiday jest na pozycji – oznajmia Pestka.

Zerkam za okno i widzę nasz statek unoszący się kilometr za nim. Z tej odległości jest niewiele większy od czubka długopisu.

– Na mój sygnał strzelimy w środek okna – mówię przyjaciołom, starając się, żeby w moim głosie nie było słychać strachu. – Brzydal! Śpioch! Wracajcie tu. Załóżcie swoje maski nieprzytomnym więźniom.

– Och, psiakrew – mruczy Victra. – Miałam nadzieję, że masz lepszy plan.

– Jeśli wstrzymacie oddech, eksplodują wam płuca. Więc wypuście powietrze, jak tylko okno się rozpadnie. Pogódźcie się z tym, że stracie przytomność. Śnijcie słodko i módlcie się, żeby Holiday była równie szybka jak Błazen, kiedy bawi się sam ze sobą.

Śmieją się i zacieśniają szyk. Pozwalają, żeby Victra przeplotła swoją linię przez nasze pasy z amunicją i związała nas razem jak kiść winogron. Sevro kończy podkładanie ładunków pod drzwiami, Śpioch i Brzydal dołączają do nas, machając na niego, żeby się pośpieszył.

– Uwaga! – ryczy głos z ukrytych głośników w ścianach, kiedy Victra łączy mnie z Ragnarem. – Mówi Alec ti Yamato. Szef ochrony Sun Industries. Jesteście otoczeni. Rzućcie broń. Wypuście zakładników. Inaczej będziemy zmuszeni do was strzelać. Macie pięć sekund, żeby zastosować się do poleceń.

W pokoju nie ma nikogo poza nami. Główne drzwi są zamknięte. Sevro kończy instalować ładunki i podbiega do nas.

– Sevro, migiem! – krzyczę.

Nie pokona nawet połowy drogi do nas, kiedy pada na ziemię jak pusta puszką zgnieciona pod butem. Mnie powala ta sama siła. Kolana mi się uginają. Kości, płuca, gardło zostają zmiażdżone przez potężną grawitację. Obraz przed oczami mi się mgli. Krew napływa nieśpiesznie do mojej głowy. Próbuje unieść rękę. Waży ponad trzysta funtów. Ochrona zwiększyła sztuczne ciśnienie w sali. Tylko Ragnar nie padł na brzuch. Osunął się

na jedno kolano, ramiona ma zgarbione z wysiłku jak Atlas, który podtrzymuje świat.

– A to co, u diabła... – udaje się wystękać Victrze, która leży na podłodze i patrzy nade mną w stronę drzwi.

Są otwarte, ale nie wchodzi przez nie Szary, Obsydianowi ani Złoty. Ogromne czarne jajo wielkości niedużego człowieka toczy się bokiem. Jest gładkie i lśniące, jego bok znaczą małe białe cyfry. Robot. Tak samo nielegalny jak generatory impulsów EM. Przedmiot wielkiego lęku Augustusa. Jakby ktoś sięgnął w kałużę rozlanego oleju, metal na czubku jaja przekształca się i ukazuje się małe działko, które celuje w Sevro. Staram się wstać, próbuję wycelować pięść impulsową, ale grawitacja jest zbyt wielka. Nie jestem w stanie nawet unieść ręki, żeby wycelować. Mimo całej swojej siły Victra też nie daje rady. Sevro stęka na podłodze, odczołguje się od maszyny.

– Okno! – udaje mi się powiedzieć. – Ragnar. Strzelaj w okno.

Ma pięść impulsową u boku. Z wysiłkiem zaczyna ją podnosić, walcząc z ogromnym ciężeniem. Ręka mu się trzęsie. Z gardła dobywa się upiorny wojenny zaśpiew, który brzmi jak odległa lawina. Dźwięk narasta w nieziemskim ryku, aż całe ciało mu dygoce z wysiłku, ręka unosi się poziomo i małe gwiazdki rodzą się w jego dłoni, gdy pięść impulsowa zbiera drżący stopiony ładunek.

Mój przyjaciel drży cały, jego palce naciskają spust. Ręka szarpie się do tyłu. Impuls z wrzaskiem uderza w środek szklanej tafli. Gwiazdy falują, kiedy szkło ugina się na zewnątrz i pęknięcia suną po nim w dół.

– *Kadir njar laga...* – ryczy Ragnar.

I szkło pęka. Kosmos wypija całe powietrze z pokoju. Wszystko się ślizga. Jakaś Miedziana przelatuje obok nas z krzykiem. Milknie, kiedy trafia w próżnię. Inni, którzy kryli się w czasie walki, łapią się połamanego stołu pośrodku sali albo obejmują rękami filary. Palce im krwawią, paznokcie pękają. Nogi młócą w powietrzu. Dłonie nie wytrzymują. Trupy, koziołkując, odlatują w kosmos, otchłań pożera łapczywie wszystko, co jest w budynku. Sevro zostaje poderwany w powietrze, oddala się od robota. Jest lżejszy od naszej połączonej grupy. Wyciągam rękę, łapię go za przystrzyżone w irokeza włosy i trzymam, dopóki Victra nie obejmie go nogami i nie przyciągnie ku nam.

Jestem przerażony, kiedy ślizgamy się ku stłuczonemu oknu. Ręce mi się trzęsą. Powątpiewam w swoją decyzję, kiedy teraz muszę jej stawić czoło.

Sevro miał rację, powinniśmy przedrzeć się przez budynek. Zabić Kavaxa albo wykorzystać go jako tarczę. Wszystko, byle nie to zimno. Wszystko, byle nie ciemność Szakala, przed którą dopiero co uciekłem.

Mówię sobie, że to tylko strach. To strach sprawia, że panikuję. A teraz ogarnia też moich przyjaciół. Widzę zgrozę na ich twarzach. Oglądają się na mnie i dostrzegają własny lęk odzwierciedlony w moim. Nie mogę się bać. Zbyt długo się bałem. Zbyt długo pozwalałem, żeby poczucie straty mnie osłabiało. Zbyt długo byłem wszystkim z wyjątkiem tego, czym być powinienem. I bez względu na to, czy jestem Żniwiarzem, czy to tylko jedynie maska, to muszę ją nosić nie tylko dla nich, ale i dla samego siebie.

– *Omnis vir lupus!* – krzyczę.

Zadzieram głowę do skowytu i wypuszczam powietrze z płuc. Obok mnie Ragnar wytrzeszcza oczy w dzikiej ekstazie. Otwiera potężne usta i wyje straszliwie, aż słyszą go nawet jego przodkowie w lodowych kryptach. Zaraz dołącza do nas Pestka, Błazen i nawet królewska Victra. To wściekłość i strach opuszczają nasze ciała, mimo że kosmos wlecze nas po podłodze ku swoim objęciom, a śmierć może po nas przyjść. Ta dziwaczna, krzycząca ludzka masa to moja rodzina. I kiedy udajemy dzielnych, naprawdę się nimi stajemy.

Wszyscy z wyjątkiem Sevro, który milczy, gdy wylatujemy w kosmos.

Ciśnienie

Wylatujemy przez strzaskane okno w próżnię z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Cisza połyka nasze wycie. Szok wstrząsa moim ciałem, jakbym wpadł do zimnej wody. Szarpia mną spazmy. Tlen rozszerza się w mojej krwi, zmusza mnie do łapczywego nabierania powietrza, którego nie ma. Moje płuca – zapadłe włókniste worki – nie rozdymają się. Ciało mi się szarpie, rozpaczliwie potrzebując tlenu. Kiedy jednak sekundy upływają i widzę niehumanoidalny metal wieżowców Łobosa, patrzę na moich powiązanych razem kawałkami liny przyjaciół, którzy trzymają się za ręce w ciemności, ogarnia mnie spokój. Taki sam, jaki przyszedł wśród śniegów, kiedy byłem z Mustang. Albo kiedy razem z Wyjcami siedziałem w kucki w ciasnych jarach Instytutu i piekliśmy koźlinę, słuchając opowieści Quinn. Wracam powoli do innego wspomnienia. Nie z Lykos, nie związanego z Eo czy Mustang, ale z zimnego hangaru Akademii, gdzie Victra, Tactus, Roque i ja po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, od bladego Niebieskiego profesora, co próżnia robi z ludzkim ciałem.

„Ebulizm, czyli tworzenie się pęcherzyków gazu w płynach ustrojowych z powodu niskiego ciśnienia, to największe zagrożenie związane z kontaktem z próżnią. Woda w tkankach paruje, powodując obrzęki, nabrzmięcie...”.

„Mój kochany pustaku, nabrzmięcie to dla mnie żadna nowina. Zapytaj swoją matkę. I ojca. I siostrę”, mówi w moim wspomnieniu Tactus.

Pamiętam śmiech Roque’a. Pamiętam, jak się zarumienił, słysząc ten sprośny dowcip. Zastanawiam się, dlaczego stał tak blisko Tactus. Dlaczego tak bardzo przejmował się nadużywaniem narkotyków przez naszego rubasznego przyjaciela i dlaczego płakał przy jego łóżku, gdy ten leżał martwy. A potem nauczyciel powiedział:

„...wielokrotny wzrost objętości ciała w ciągu dziesięciu sekund, po którym dochodzi do niewydolności układu krążenia...”.

Ogarnia mnie senność. Ciśnienie narasta mi za oczami, wydyma tkankę, zniekształca widzenie. Rośnie też w moich zamarzających palcach, bołą mnie pękające bębny w uszach. Język mam ogromny i zimny jak lodowaty wąż, który wpełza mi ustami do brzucha, kiedy płyny zaczynają parować. Skóra rozciąga się i rozdyma. Moje palce są jak banany. Gaz w brzuchu nadmuchuje mi jelita. Ciemność przychodzi po mnie. Zerkam na Sevro, który leci obok. Ma upiorną twarz, dwa razy większą niż normalnie. Victra, która nadal obejmuje go nogami, wygląda jak potwór. Jest przytomna i gapi się na niego przekrwionymi oczami, wielkimi jak w kreskówce, porusza ustami jak ryba wyjęta z wody. Obejmuję się mocniej rękami.

„Woda i gazy rozpuszczone w krwi formują pęcherzyki w głównych arteriach i płyną przez układ krążenia, zakłócając przepływ krwi i powodując utratę przytomności w piętnaście sekund...”.

Moje ciało słabnie. Sekundy zamieniają się w wieczny zmierzch, wszystko zwalnia, staje się bezcelowe i przejmujące, gdy widzę, jak śmieszna jest ostatecznie nasza ludzka siła. Wyjmijcie nas z naszych bąbli życia i czym jesteśmy? Metalowe wieże wokół nas wyglądają jak wyrzeźbione z lodu. Światła i rozbłyskujące ekrany hP przypominają łuski zamrożonych w ich wnętrzach smoków.

Mars wisi nad naszymi głowami, zachłanny i wszechpotężny. Ponieważ jednak Fobos szybko go okrąża, już zbliżamy się do miejsca, gdzie na planecie nastaje świt i światło wycina sierp w ciemności. Stopione rany nadal jarzą się w miejscach, gdzie zdetonowano dwie bomby nuklearne. Zastanawiam się w tych ostatnich chwilach, czy planeta nie ma nic przeciwko temu, że kaleczymy jej powierzchnię albo ograbiamy ją ze skarbów, bo wie, że my, głupie, ciepłe stworzenia nie trwamy nawet dłużej niż jedno tchnienie w jej kosmicznym życiu. Wyrośliśmy i rozpleniliśmy się, a potem wpadniemy w szal i wymrzemy. A kiedy pozostaną po nas tylko stalowe pomniki i plastikowe idole, wiatry planety będą szeptać, jej piaski będą się przesypywać, a ona będzie się kręcić bez końca i zapomni o aroganckich, bezwłosych małpach, które myślały, że zasługują na nieśmiertelność.

* * *

Jestem ślepy.

Budzę się na metalu. Czuję plastik na twarzy. Słyszę wokół siebie gwałtownie łapane oddechy. Poruszające się ciała. Zimne dudnienie silnika

promu pod pokładem. Moje ciało dygoce i szarpie się konwulsyjnie. Zasy-
sam powietrze. Mam wrażenie, że głowa mi implodowała. Wszędzie czuję
ból. Słabnie z każdym uderzeniem serca. Palce mam normalnych rozmiarów.
Pocieram je o siebie, próbując odzyskać orientację. Trzęsę się, ale
okrywa mnie koc termiczny, beznamiętne ręce rozcierają mnie, żeby poprawić
krążenie. Z lewej słyszę Pestkę wołającą Błazna. Wszyscy będziemy
ślepi przez kilka minut, dopóki nasze nerwy wzrokowe nie wykalibrują się
z powrotem. Błazen odpowiada jej półprzytomnie i Pestka prawie płacze
z ulgi.

– Victra! – bełkoce Sevro. – Obudź się. Obudź się. – Słyszać grzechota-
nie ekwipunku, gdy potrząsa Victrą. – Obudź się! – Policzkuje ją.

Victra odzyskuje przytomność i gwałtownie łapie powietrze w płuca.

– ...do diabła. Czy ty mnie właśnie uderzyłeś?

– Myślałem...

Victra mu oddaje.

– Kto to? – pytam ręce, które rozcierają mi ramiona przez koc.

– Holiday, dowódco. Zebraliśmy was, sople, cztery minuty temu.

– Jak długo... Jak długo tam byliśmy?

– Około dwóch minut i trzydziestu sekund. Zrobił się niezły pierdolnik.
Musieliśmy opróżnić ładownię i kazać pilotowi podlecieć do was na
wstecznym, a potem w locie wyrównać ciśnienie. Te marchewki nie potra-
fią walczyć, ale wiedzą, jak kierować śmieciarką. Mimo wszystko, gdyby-
ście się nie związali, większość z was byłaby już martwa. Teraz w tym sek-
torze lata pełno śmiecia i trupów. I roi się od ekip z hP.

– Ragnar? – pytam z lękiem, bo go jeszcze nie słyszałem.

– Jestem tutaj, przyjacielu. Otchłań jeszcze nas nie zagarnęła. – Zaczyna
się śmiać. – Jeszcze nie.

Sprzeciw

Mamy kłopoty i Sevro o tym wie. Odbiera mi dowodzenie, gdy tylko lądujemy w zdezelowanej przystani w pobliżu kryjówki Synów Aresa, głęboko w sektorze przemysłowym. Rozkazuje przenieść wciąż nieprzytomnych Matteo i Żywe Srebro do izby chorych, gdzie mają zostać obudzeni, a Kavaxa zamknąć w celi. Każe Rollo i Synom przygotować się na atak. Synowie Aresa gapią się na nas oniemiałi. Nasze Obsydianowe przebrania uległy zniszczeniu, zwłaszcza moje. Charakteryzacja odpadła mi z twarzy w trakcie walki. Szkła kontaktowe zostały wysane przez próżnię. Czarna farba na włosach zaczęła spływać wraz z potem. Wciąż jednak mam rękawiczki. Tyle że Synowie Aresa nie patrzą już na bandę Obsydianowych. Gapią się na oddział Złotych z jednym Obsydianowym, jedną Szarą i co najmniej jednym duchem.

– Żniwiarz... – szepcze ktoś.

– Stul dziób – warczy Błazen. – Nikomu ani słowa.

Cokolwiek powie, wkrótce plotka zacznie krążyć. Żniwiarz żyje. Bez względu na to, jaki wywoła to efekt, to nie jest właściwy czas. Możliwe, że uniknęliśmy pościgu policyjnego, ale porwanie tak ważnej osobistości (nie wspominając już o śmierci dwóch wysoko postawionych Niezrównanych) z całą pewnością sprawi, że antyterroryści od Szakala będą starannie analizować pozostawione przez nas poszlaki. Pretorianie i antyterrorystyczni technicy z Securitas już pewnie ślęczą nad nagraniami z ataku. Odkryją, któredy weszliśmy do budynku, jak uciekliśmy i kto nam najprawdopodobniej w tym pomagał. Każda broń, każdy element wyposażenia, każdy statek zostanie prześledzony wstecz aż do miejsca pochodzenia. Odwet Wspólnoty na podKolorach znajdujących się na stacji będzie szybki i brutalny.

A kiedy przeanalizują zapisy wideo z naszej ucieczki w próżnię, zobaczą moją twarz i twarz Sevro. Potem nadejdzie Szakal we własnej osobie albo przyśle Antonię lub Lilath na czele Kościarzy, żeby mnie wytropiły.

Czas ucieka.

Wszystko to przy założeniu, że zdaniem władz tylko Żywe Srebro został porwany. Nie wiem, dlaczego Mustang i Cassius brali udział w spotkaniu, ale muszę zakładać, że Szakał o nim nie wiedział. Dlatego posłużyłem się zakłócającymi – żeby kamery niekontrolowane przez Żywe Srebro nie zidentyfikowały Kavaxa. Gdyby Szakał go tu zobaczył, wiedziałby, że coś nie gra z jego przymierzem z Suwerenką i Żywym Srebrem. Chcę zatrzymać tego asa w rękawie, dopóki nie będę wiedział, jak najlepiej się nim posłużyć, i dopóki nie porozmawiam z Mustang.

Co jednak pomyśli Suwerenka, kiedy Cassius powiadomi ją o śmierci Moiry? Jakie miejsce zajmuje w tym wszystkim Mustang? Jest zbyt wiele pytań. Zbyt wielu rzeczy nie wiem. Kiedy pędzimy metalowymi korytarzami, moi przyjaciele biegną łątać rany, mijamy zbrojownie, gdzie dziesiątki Czerwonych, Brązowych i Pomarańczowych ładują broń i zapinają zbroje, a mnie prześladują słowa, które wypowiedziała Mustang:

„Mam *Paxa*. Orion żyje”.

W jej wypadku to mogło oznaczać tuzin rzeczy i tylko Kavax będzie wiedział, co konkretnie miała na myśli. Muszę go o to zapytać, ale Ragnar już go zaprowadził innym korytarzem do więzienia Synów Aresa, a Sevro przestał wykrzykiwać rozkazy, żeby zwrócić się do mnie.

– Żniwciu, uderzą w nas i to mocno. Znasz procedury wojskowe legionu lepiej ode mnie. Leć do centrum informacyjnego, migiem. Przygotuj mi harmonogram i plan ich ataku. Nie damy rady ich powstrzymać, ale możemy zyskać na czasie.

– Po co?

– Żeby zdetonować bomby i znaleźć drogę ucieczki z tej skały. – Kładzie rękę na moim ramieniu. Obaj jesteśmy świadomi, że Synowie Aresa nas obserwują. – Proszę. Ruszaj.

Odchodzi korytarzem wraz z resztą Wyjców. Zostaję sam z Holiday. Odwracam się do niej.

– Holiday, wiesz, jak działają legiony. Idź do centrum informacyjnego. Przygotuj wszelkie wsparcie taktyczne, jakiego mogą potrzebować Synowie Aresa.

Holiday zerka w korytarz, w którym Sevro zniknął za rogiem.

– Możesz to zrobić? – upewniam się.

– Tak. A ty dokąd idziesz?

Poprawiam rękawiczki.

– Po odpowiedzi.

* * *

– Virginia powiedziała nam, że jesteś Czerwony, po tym jak cię zostawiła. To dlatego nie byliśmy na twoim Triumfie – mówi mi Kavax.

Siedzi na podłodze z rozłożonymi nogami, przywiązany do stalowej rury. Nadal ma na sobie zbroję, jego rudozłota broda wydaje się być ciemna w słabym świetle. Wygląda groźnie, mnie jednak zaskakuje szczerść malująca się na jego twarzy. Brak nienawiści. Ewidentne podekscytowanie widoczne w rozdętych nozdrzach, kiedy opowiada swoją historię mnie i Ragnarowi. Sevro zakazał Synom Aresa zaglądać do Kavaxa, ale najwyraźniej uznali, że zasady nie dotyczą Żniwiarza. I dobrze. Nie mam jeszcze własnego planu, ale wiem, że plan Sevro się nie sprawdza. Nie mam czasu, żeby zajmować się jego uczuciami albo się z nim użerać. Pionki już są w ruchu, a ja potrzebuję informacji.

– Nie wiedziała jeszcze, co robić, więc poradziła się nas, tak jak to robiła jako dziewczynka – opowiada Kavax. – Byliśmy na statku, na *Reynardzie*, jedliśmy z Sofoklesem pieczoną baraninę w sosie ponzu, chociaż jemu akurat sos nie smakował, kiedy wezwało nas dowództwo z Agei. Powiedzieli, że lojaliści Suwerenki zaatakowali Triumf. Virginia nie mogła się skontaktować z tobą ani z ojcem, więc obawiała się zamachu stanu. Dlatego wysłała mnie i Daxo na dół razem z naszymi rycerzami. Sama została ze statkami na orbicie i wreszcie udało jej się skontaktować z Roque'em, kiedy ja i Daxo już wchodziliśmy w atmosferę. Dowiedziała się, że Suwerenka zaatakowała Triumf i poważnie raniła jej ojca. Roque namawiał ją, żeby przyleciała na jeden z jego nowych statków, na który zabierał ciebie, bo na powierzchni nie było już bezpiecznie.

Przypominam sobie, że Roque rozmawiał z kimś na promie, ale nie słyszałem go, kiedy Szakał pochylał się nade mną. Wylądowaliśmy na jakimś statku. Była tam Suwerenka. Wcale nie odleciała z Marsa. Ukrywała się we flocie Roque'a. Tuż pod moim nosem.

– Virginia nie popędziła jednak do ciebie. – Kavax uśmiecha się szeroko, jowialnie. – Zakochany głupiec tak by postąpił, ale Virginia jest sprytna. Przeniknęła fałsz Roque'a. Wiedziała, że Suwerenka nie zaatakowałaby tak po prostu Triumfu. To był plan wewnątrz planu. Wysłała więc wiadomość do Orion i rodu Arcos, że doszło do zamachu stanu i że Roque bierze udział

w spisku. Dlatego kiedy zabójcy uderzyli, chcąc zabić Orion i wiernych dowódców, tamci już byli gotowi. Doszło do walk na mostkach, w prywatnych kajutach. Orion została poważnie postrzelona w rękę, ale przeżyła, a kiedy okręty Roque'a zaatakowały nas i flota zaczęła się rozpadać...

W tym czasie Sevro i Ragnar odkrywali, że Fitchner nie żyje, a baza Synów Aresa została zniszczona. Ja leżałem sparaliżowany na podłodze promu Ai. Wszystko się rozpadało. Nie. Nie wszystko.

– Uratowała życie członkom załogi – mówię.

– Tak – przytakuje Kavax. – Twoja załoga żyje. Ta, którą uwolniłeś razem z Sevro. Podobnie jak wielu członków twojego legionu, których zebraliśmy i zdołaliśmy ewakuować z Marsa, zanim siły Szakala i Suwenrenki przejęły władzę.

– Gdzie uwięziono moich przyjaciół? – pytam. – Na Ganimesesie? Na Io?

– Uwięziono? – Kavax mruży oczy, a potem wybucha śmiechem. – Nie, chłopcze. Nie. Ani jeden człowiek nie opuścił swojego stanowiska. *Pax* działa dokładnie tak, jak go zostawiłeś. Orion nim dowodzi, a reszta jej słucha.

– Nie rozumiem. Mustang zostawiła Niebieską dowódczynię na stanowisku?

– Myślisz, że Virginia zostawiłaby cię przy życiu w tamtym tunelu, kiedy obaj z Ragnarem klęczeliście, gdyby nie wierzyła w twój nowy świat?

Kręcę głową otepiały, nie mam na to odpowiedzi.

– Zabiłaby cię na miejscu, gdyby uznała cię za swojego wroga – ciągnie Kavax. – Kiedy jednak zasiadała przed moim paleniskiem jako dziewczynka obok Paxa i innych moich dzieci, co im czytałem? Czy czytałem im mity Greków? Opowieści o silnych mężczyznach zdobywających chwałę dla siebie? Nie. Opowiadałem im o Arturze, o Nazarejczyku, Wisznu. Historię bohaterów, którzy pragnęli tylko chronić słabych.

I to właśnie robi Mustang. Więcej nawet. Dowiodła, że Eo miała rację. I robi to nie z mojego powodu. Nie z powodu miłości. Robi to, ponieważ to jest słuszne i ponieważ potężny Kavax był bardziej dla niej ojcem niż jej własny. Mam łzy w oczach.

– Miałeś rację, Darrow – odzywa się Ragnar. Kładzie mi rękę na ramieniu. – Nadchodzi czas zmian.

– To co tu dzisiaj robisz? – pytam Kavaxa.

– Przegrywamy. Władcy Księżyców nie przetrwają dwóch miesięcy. Victra wie, co się dzieje na Marsie. Wie o eksterminacji. O okrucieństwie brata. Synowie Aresa są za słabi, żeby wszędzie walczyć. – W jego dużych oczach maluje się ból człowieka, który patrzy, jak płonie jego dom. Mars jest tak samo ich schedą jak moją. – Koszt wojny jest zbyt wielki w przypadku pewnej przegranej. Dlatego kiedy Żywe Srebro zaproponował pokój, posłuchaliśmy.

– I jakie są warunki?

– Virginia i wszyscy jej sprzymierzeńcy zostaliby ułaskawieni przez Suwerenkę. Ona zostałaby arcygubernatorką Marsa, a Adrius i jego frakcja trafiliby do więzienia na dożywocie. Poczyniono by pewne reformy.

– Ale hierarchia by pozostała.

– Tak.

– Jeśli to prawda, musimy z nią porozmawiać – odzywa się z zapalem Ragnar.

– To może być pułapka – mówię, obserwując Kavaxa.

Znam umysł, który pracuje za tą szczerą twarzą. Chcę mu zaufać. Chcę wierzyć, że jego poczucie sprawiedliwości dorównuje miłości, którą do niego czuję, ale wkraczam na głębokie wody i wiem, że przyjaciele potrafią kłamać równie dobrze jak wrogowie. Gdyby Mustang nie stała po mojej stronie, rozegraliby to właśnie w taki sposób. Wystawiłbym się na atak, a nie wątpię, że bez względu na to, w jaki sposób dotarła na stację, zadbała o solidną ochronę.

– Jedna rzecz nie ma sensu, Kavax. Jeśli to wszystko prawda, to czemu nie skontaktowaliście się z Sevro?

Kavax mruga, zaskoczony.

– Skontaktowaliśmy się. Wiele miesięcy temu. Nie powiedział ci?

* * *

Wyjcie już się pakują, kiedy dołączamy do nich z Ragnarem.

– Totalne szambo – mówi Sevro.

Victra opatruje mu rozcięcie na plecach i nakłada regenerant. Kwaśny dym syczy z przyżeganej rany. Sevro ciska terminalem, który ślizga się po podłodze i ląduje w kącie, gdzie podnosi go Brzydal i podaje mu go z powrotem.

– Uziemili wszystkie loty, nawet usługi komunalne.

– Nic nie szkodzi, szefie, znajdziemy jakieś wyjście – odzywa się Błazen.

Wszedłem do pokoju cicho i skinąłem Sevro głową, dając mu znać, że chcę porozmawiać. Zignorował mnie. Jego plan nie trzyma się kupy. Mieliśmy schować się w jednym z frachtowców przewożących hel, który pusty wraca na Marsa. Zniknęlibyśmy, zanim ktokolwiek by się zorientował, że Żywe Srebro został porwany. A potem zdetonowalibyśmy ładunki, już spoza stacji. Teraz jest tak, jak powiedział Sevro: tkwimy w szambie po uszy.

– To jasne, że nie możemy tu zostać – odzywa się Victra, odkładając aplikator regenerantu. – Zostawiliśmy tyle naszego DNA, że wystarczyłoby na sto miejsc zbrodni. Nasze twarze są wszędzie. Adrius przyśle cały legion, kiedy się dowie, że tu jesteśmy.

– Albo wysadzi całego Fobosa w powietrze – mruczy Holiday.

Siedzi na skrzynce ze sprzętem medycznym, razem z Błaznem przeglądają mapy na jej terminalu. Pestka obserwuje ich, siedząc przy stole. Ma nogę w żelGipsie, ale kość nie została złożona. Będziemy potrzebowali Żółtego i porządnego ambulatorium, żeby naprawić to, co Mustang zniszczyła jednym strzałem. Pestka i tak ma szczęście, że miała na sobie skarab-Skórę, która zminimalizowała oparzenia, ale mimo to cierpi. Jej źrenice są rozszerzone, ogromne, tak ją nafaszerowali lekami – które zresztą pozbawiają ją zahamowań, dlatego bez skrępowania gapi się na Błazna, pochylającego się nad Holiday, żeby wskazać coś na mapie.

– Hel-3 to siła napędowa Adriusa – odzywa się Victra. – Nie zaryzykuje uszkodzenia stacji.

– Sevro... – mówię. – Pozwól na chwilę.

– Jestem teraz zajęty – odpowiada, po czym zwraca się do Rollo: – Jest jakaś inna droga ucieczki z tej przeklętej skały?

Czerwony opiera się o szarą ścianę ambulatorium obok obrazka na błyszczącym papierze, przedstawiającego Różową modelkę na jednej z białych piaszczystych plaż na Wenus.

– Tutaj na dole są tylko frachtowce – odpowiada.

Bez komentarza odnotowuje, że przestaliśmy udawać Obsydianowych. Jeśli zaskoczyło go to, jak wielu z nas jest Żłoty, to nie daje tego po sobie poznać. Pewnie od początku się domyślał. Najdłużej jego wzrok zatrzymuje się na mnie.

– Ale wszystkie zostały uziemione. W Igłach mają luksusowe liniowce i prywatne jachty, ale jeśli tam pójdziecie, złapią was w minutę. Najdalej w dwie. Mają kamery z systemem rozpoznawania twarzy w każdych drzwiach tramwaju i skanery siatkówki w holoreklamach. Zresztą nawet gdybyście się dostali na któryś ze statków, musicie potem przebić się przez kordon floty. Nie teleportujecie się po prostu w bezpieczne miejsce.

– To byłoby wygodne – mruczy Błazen.

– Porwiemy prom i przedrzemy się przez kordon – zaperza się Sevro. – Już to robiliśmy.

– Zestrzelą nas – odpowiadam nerwowo. Wkurza mnie, że cały czas ignoruje moje próby wyciągnięcia go z pokoju.

– Ostatnim razem nie zestrzelili.

– Ostatnim razem mieliśmy Lysandra – przypominam mu.

– A teraz mamy Żywe Srebro.

– Szakał poświeci go, żeby nas zabić – odpowiadam. – Możesz na to liczyć.

– Chyba że zanurkujemy pionowo, prosto na powierzchnię – proponuje Sevro. – Synowie Aresa mają ukryte wejścia do tuneli. Spadniemy z orbity i władujemy się prosto pod ziemię.

– Nie zrobię tego – oznajmia Ragnar. – To ryzykanckie. W dodatku porzucimy tych szlachetnych ludzi na pewną rzeź.

– Zgadzam się z Ragsem – odzywa się Holiday. Odsuwa się od Błazna i nadal przegląda terminal, śledzi ruch w eterze na częstotliwościach policyjnych.

– Powiedzmy, że odleciecie. Co będzie z nami? – pyta Rollo. – Szakał dowie się, że Żniwiarz i Ares tu byli, i rozniesie stację na strzępy. Wszyscy Synowie Aresa, którzy tu zostaną, zginą w ciągu tygodnia. Pomyślałeś o tym? – Robi zdegustowaną minę. – Wiem, kim jesteście. Zorientowałem się, ledwie Ragnar wszedł do hangaru. Nie sądziłem jednak, że Wyjce uciekają. I nie sądziłem, że Żniwiarz przyjmuje od kogoś rozkazy.

Sevro robi krok w jego stronę.

– Masz zdanie na jeszcze jakiś temat, dupku? Czy będziesz tak kłapał jadaczką?

– Owszem, mam – odpowiada Rollo. – Zostańcie. Pomóżcie nam przejąć stację.

Wyjce się śmieją.

– Stację? Z jaką armią? – pyta Błazen.

– Z jego armią – mówi, odwracając się do mnie. – Nie wiem dokładnie, jakim cudem żyjesz, Żniwiarzu, ale... Była północ, siedziałem sam i jadłem akurat makaron, kiedy Synowie Aresa wypuścili do holoSieci nagranie z twojego Rzeźbienia. Cyberpolicja Wspólnoty zamknęła stronę po dwóch minutach, ale kiedy nagranie raz ujrzało światło dzienne... Mogłem je znaleźć na milionie innych stron, zanim skończyłem miskę. Nie byli w stanie tego powstrzymać. A potem serwery na Fobosie padły. Wiesz dlaczego?

– Cyberwydział Securitas wyciągnął wtyczkę – odpowiada Victra. – To standardowa procedura.

Rollo kręci głową.

– Serwery padły, bo trzydzieści milionów ludzi próbowało wejść do holoSieci o tej samej porze w środku nocy. Infrastruktura nie poradziła sobie z takim ruchem. Potem Złoci rzeczywiście wyciągnęli wtyczkę. Mówię więc, że jeśli pomaszserujesz do Ula i powiesz podKolorom, że żyjesz, zdołamy przejąć ten księżyc.

– Tak po prostu? – powątpiewa Victra.

– Zgadza się. Jakies dwadzieścia pięć milionów podKolorów tłoczy się tutaj, walcząc o każdy metr kwadratowy, paczkę proteinową, syndykatową herę, o wszystko. Jeśli Żniwiarz pokaże swoją głę, to wszystko przestanie się liczyć. Cała ta walka. Cała ta szarpanina. Oni chcą przywódcy, a jeżeli Żniwiarz z Marsa postanowi zmartwychwstać na Fobosie... To nie będzie po prostu armia, zwali się na ciebie wielka fala przypływu. Czaisz? To zmieni oblicze tej wojny.

Przechodzi mnie dreszcz. Victra nadal ma wątpliwości. Sevro milczy, urażony.

– Wiesz, co potrafi zrobić z tłumem hałastry oddział legionistów Wspólnoty? – pyta Victra. – Broń, którą widziałeś, jest stworzona do zabijania ludzi w zbrojach. Pięści impulsowe. Brzytwy. Kiedy użyją hiperDziałek albo grzechotników przeciwko tłumowi, jeden człowiek może wystrzelić tysiąc pocisków w minutę. To brzmi, jakby ktoś rozdzierał papier. Ludzkie ciało nawet nie wie, że ten dźwięk powinien być przerażający. Mogą zagotować wodę w komórkach ciała za pomocą mikrofal. A to są tylko oddziały prewencyjne Szarych. Co będzie, jeżeli wypuszczą na was Obsydianowych? Albo jeśli Złoci zjawią się osobiście, w zbrojach? Albo odetną wam powietrze? Wodę?

– A jeśli to my odetniemy je im? – pyta Rollo.

Marszczę brwi.

– Możecie to zrobić?

– Daj mi powód. – Patrzy na Victrę. Sądząc po jadzie sączącym się z jego głosu, doskonale zna jej nazwisko. – Oni mogą sobie być żołnierzami, *domina*. Mogą być w stanie nafaszerować mnie metalem tak, że się wykrwawię. Jednak zanim skończyłem dziewięć lat, umiałem rozebrać gra-wiButy na części i złożyć je z powrotem w mniej niż cztery minuty. A teraz mam trzydzieści osiem lat i potrafię zamordować ich na naście sposobów za pomocą śrubokręta i zestawu narzędzi elektrycznych. Mam serdecznie dość rozłąki z rodziną i tego, że na każdym kroku mnie depczą, każą mi płacić za tlen, za wodę, za życie. – Pochyla się do przodu z błyskiem w oku. – A po drugiej stronie tych drzwi jest dwadzieścia pięć milionów takich jak ja.

Victra przewraca oczami, kwitując jego brawurę.

– Jesteś spawaczem z manią wielkości.

Rollo robi krok do przodu i zrzuca ze stołu zestaw kluczy. Spadają z brzękiem, Błazen i Holiday aż podskakują, podnosząc wzrok znad terminala. Rollo wpatruje się z oburzeniem w Victrę. Jest wyższa od niego o więcej niż głowę, ale on patrzy hardo.

– Jestem inżynierem, nie spawaczem.

– Dość tego! – warczy Sevro. – To nie jest żadna parszywa debata. Żywe Srebro wyciągnie nas z tej skały albo zacznę mu obcinać palce. A potem zdetonujemy bomby...

– Sevro... – odzywa się Ragnar.

– To ja jestem Aresem! – warczy Sevro. – Nie ty. – Wbija palec w pierś Ragnara, a potem pokazuje na mnie. – I nie ty. Skończcie pakować ten parszywy sprzęt. Natychmiast.

Wychodzi z pokoju, zostawiając nas w krępującej ciszy.

– Nie porzucę tych ludzi – mówi Ragnar. – Pomogli nam. To nasi ludzie.

– Aresowi odbiło – stwierdza Rollo. – Zwariował. Musicie...

Obracam się gwałtownie do małego człowieczka, podnoszę go jedną ręką i przyszpilam do sufitu.

– Nie waż się odezwać słowem na jego temat. – Rollo przeprasza, a ja odstawiam go na ziemię. Upewniam się, że wszystkie Wyjce słuchają. – Zostańcie tutaj. Zaraz wrócę.

* * *

Doganiam Sevro, kiedy wchodzi do celi Żywego Srebra w wypatroszonym starym garażu, w którym teraz Synowie Aresa trzymają generatory. Sevro i strażnik odwracają się, słysząc, że nadchodzę.

– Nie ufasz mi na tyle, żeby zostawić mnie z nim samego? – rzuca szyderczo. – Pięknie.

– Musimy porozmawiać.

– Jasne. Kiedy tylko on coś powie.

Popycha drzwi. Klnę pod nosem, ale idę za nim. Pomieszczenie ma żałosny odcień rdzy. Niektóre maszyny są starsze od sprzętu, który mieliśmy w Lykos. Jedna terkoce za plecami Żywego Srebra, pokaszując, wytwarza prąd do lamp, które tworzą krąg oślepiający światła wokół niego. Srebrny siedzi na metalowym krześle pośrodku pomieszczenia. Ręce ma skute za plecami. Jego turkusowa tunika jest zakrwawiona i pognieciona, oczy buldoga patrzą cierpliwie i taksująco. Szerokie czoło pokrywa gruba warstwa potu i łoj.

– Kim jesteście? – syczy poirytowany. Nie wydaje się być przestraszony.

Drzwi zamykają się za nami z hukiem. Srebrny sprawia wrażenie podenerwowanego swoją sytuacją. Nie okazuje lekceważenia ani gniewu, ale jak przystało na zawodowca, jest zirytowany naszą nędzną gościnnością i niewygodami, na które go narażamy. Ma światło skierowane w oczy, nie widzi naszych twarzy.

– Zbiry z Syndykatu? Zabójcy nasłani przez Władców Księżyców? – Kiedy nie odpowiadamy, przełyka ślinę. – Adriusie, to ty?

Dreszcz przechodzi mi po plecach. Nie odzywamy się. Dopiero teraz, kiedy powoli podejrzewa, że jesteśmy ludźmi Szakala, Żywe Srebro zaczyna się naprawdę bać. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy wykorzystać ten strach, ale pilnie potrzebujemy informacji.

– Musimy wynieść się z tej skały – rzuca szorstko Sevro. – Załatwisz to, młody, albo zacznę odcinać ci palce.

– Młody? – mruczy Żywe Srebro.

– Wiemy, że masz statek ratunkowy, tak na wszelki wypadek...

– Barca, to ty?

Sevro jest zaskoczony.

– To naprawdę ty – mówi dalej Srebrny. – Niech to szlag, dzieciaku. Śmiertelnie mnie nastraszyłeś. Myślałem, że to przeklęty Szakal.

– Masz dziesięć sekund, żeby powiedzieć coś, czego mogę użyć, albo będę nosił twoje żebra jak gorset – mówi Sevro zaskoczony poufałością

jego tonu.

Zdarzały mu się lepsze pogrożki.

Żywe Srebro kręci głową.

– Musi mnie pan posłuchać, panie Barca, i to uważnie. Zaszło nieporozumienie. Ogromne nieporozumienie. Wiem, że może mi pan nie wierzyć. Wiem, że może pan uznać, że zwariowałem, ale musi mnie pan wysłuchać. Stoję po pańskiej stronie. Jestem jednym z pana ludzi, panie Barca.

Sevro marszczy czoło.

– Jednym z nas? Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? – Żywe Srebro śmieje się szorstko. – Mam dokładnie to na myśli, co mówię, młody człowieku. Ja, Regulus ag Sun, kawaler Zakonu Monety, dyrektor naczelny Sun Industries, jestem także członkiem założycielem Synów Aresa.

Żywe Srebro

– Syn Aresa? – powtarza Sevro i wchodzi w krąg światła, żeby Żywe Srebro widział jego twarz.

Ja zostaję z tyłu. Twierdzenie Żywego Srebra brzmi idiotycznie.

– Od razu lepiej. Tak mi się wydawało, że rozpoznaję twój głos, który bardziej przypomina twego ojca, niż byś pewnie chciał. Ale owszem, jestem Synem Aresa. Tak się składa, że pierworodnym.

– Niech mnie wyruchają jak Różową kurwę! – krzyczy Sevro. – Co za okropne nieporozumienie! – Dostaka do Srebrnego i przykuca obok niego, żeby poprawić mu szatę. – Zaraz cię ogarniemy. I wezwiemy twoich ludzi. Dobrze?

– Tak, dobrze, bo udało ci się tak wszystko pochrzanić...

Sevro uderza go pięścią prosto w mięsiste usta. Osobisty, znajomy akt przemocy, na widok którego aż się wzdrygam. Głowa odskakuje Żywemu Srebru do tyłu i uderza o oparcie krzesła. Mężczyzna próbuje się odsunąć, ale Sevro z łatwością go przyszpila.

– Twoje sztuczki tu nie podziałają, mała, tłusta ropucho.

– To nie jest żadna sztuczka...

Sevro znowu go uderza. Srebrny charczy, krew mu cieknie z rozkwaszonych ust. Mruga, żeby zapanować nad bólem. Pewnie widzi plamy przed oczami. Sevro uderza go po raz trzeci, od niechcienia, a ja myślę, że to było dla mnie, nie dla potentata, bo w tej samej chwili gapi się beczelnie w ciemność, gdzie stoję. Jakby machał moralną przynętą przed moim nosem, żebyśmy znowu mogli się pokłócić. Jego kodeks moralny zawsze był prosty: chroń przyjaciół, a resztę niech diabli wezmą.

Wsuwa mu nóż do ust.

– Wiem, myślisz, że jesteś sprytny, młody – warczy Sevro. – Mówiąc, że jesteś Synem. Myślisz, że jesteś taki cwany; że uda ci się gadaniem wyrwać

z łap tępych brutalni. Ja jednak grałem w tę grę z bystrzejszymi od ciebie. Drogo zapłaciłem za tę naukę. Jasne?

Przesuwa nóż w bok, do policzka, czym zmusza Żywe Srebro do przesunięcia głowy. Mimo to rozcina mu delikatnie kącik ust.

– Więc bez względu na twoje bajeczki nie wyjdiesz z tego zwycięsko, wypierdku. Jesteś szczurem. Kolaborantem. Czas zebrać to, co zasiałeś. Powiesz nam, jak się stąd wydostać. Czy masz ukryty statek. Czy możesz nas przeprowadzić przez kordon marynarki. A potem powiesz nam, jakie plany ma Szakał, jakim sprzętem dysponuje, jaką infrastrukturą. A na koniec wyposażysz naszą armię.

Żywe Srebro zerka to na nóż, to na twarz Sevro.

– Rusz głową, dzikusie – warczy, kiedy Sevro wyjmuję nóż z jego ust. – Skąd Fitchner miałby pieniądze...

– Nie wymawiaj jego imienia. – Sevro wytyka go palcem. – Nie waż się wypowiadać jego imienia.

– Znałem twojego ojca...

– To dlaczego on nigdy o tobie nie wspomniał? Dlaczego Dancer o tobie nie wie? Bo kłamiesz.

– A dlaczego mieliby o mnie wiedzieć? – pyta Żywe Srebro. – Nigdy nie związujesz ze sobą dwóch łodzi podczas sztormu.

Te słowa są jak cios w brzuch. Fitchner powiedział dokładnie to samo, kiedy wyjaśniał, czego nie zdradził mi o Titusie. Synowie Aresa stracili wiele ze swoich technicznych możliwości po jego śmierci. A jeśli ciało tej organizacji składało się z dwóch części? Z podKolorów i nadKolorów, których trzymano osobno, na wypadek gdyby jedna strona została zdekonspirowana? Ja bym tak postąpił. Fitchner obiecał mi lepszych sojuszników, gdybym poleciał na Lunę. Sprzymierzeńców, którzy pomogliby mi zostać Suwerenem. To mógł być jeden z nich. Taki, który uciekł po śmierci Fitchnera. Który odciął się od skażonego ciała Synów Aresa.

– Co robił w twojej sypialni Matteo? – pytam ostrożnie.

Żywe Srebro wpatruje się w ciemność, zastanawiając się, kto się do niego zwraca, ale teraz poza gniewem w jego oczach błyska strach.

– Skąd... skąd wiesz, że był w mojej sypialni?

– Odpowiedz na pytanie! – mówi Sevro i go kopie.

– Skrzywdziliście go? – pyta rozgniewany Żywe Srebro. – Skrzywdziliście go?!

– Odpowiedz na pytanie! – mówi Sevro, wymierzając mu policzek.

Żywe Srebro trzęsie się z gniewu.

– Był w mojej sypialni, bo jest moim mężem. Ty sukinsynu. Jest jednym z nas! Jeśli go skrzywdziliście...

– Od jak dawna jest twoim mężem? – pytam.

– Od dziesięciu lat.

– Gdzie był sześć lat temu? Kiedy pracował z Dancerem?

– Był w Yorkton. To on trenował twojego przyjaciela, Sevro. Trenował Darrowa. Rzeźbiarz stworzył jego ciało. Matteo ukształtował człowieka.

– Mówi prawdę.

Wchodzę w krąg światła, by Żywe Srebro zobaczył moją twarz.

Wpatruje się we mnie zaszokowany.

– Darrow. Ty żyjesz. Ale... Myślałem... To niemożliwe.

Odwracam się do Sevro.

– Jest Synem Aresa.

– Bo zna kilka faktów? – warczy Sevro. – Mówisz poważnie?

– Ty żyjesz – mruczy do siebie Żywe Srebro, próbując ogarnąć to, co się dzieje. – Jak? On cię zabił.

– On mówi prawdę – powtarzam.

– Prawdę? – Sevro porusza ustami, jakby miał tam karalucha. – Co to w ogóle znaczy? Skąd możesz to wiedzieć? Myślisz, że możesz wyciągać prawdę od takiego szemranego rekina jak on. Sypia z połową Niezrównanych Naznaczonych ze Wspólnoty. Nie jest tylko ich narzędziem, ale i przyjacielem. Pogrywa tobą, jak pogrywał tobą Szakal. Jeśli jest Synem Aresa, to dlaczego nas porzucił? Dlaczego nie skontaktował się z tobą po śmierci ojca?

– Bo twój statek tonął – mówi Żywe Srebro. Nadal patrzy na mnie skonsternowany. – Wasze komórki zostały zdekonspirowane. Nie miałem szansy zorientować się, jak daleko sięga skażenie. Nadal nie wiem, jak Szakal cię odkrył, Darrow. Moim jedynym kontaktem z komórkami podKolorów był Fitchner. Tak jak ja byłem jego kontaktem z komórkami wśród nadKolorów. Jak mogłem się skontaktować, jeśli nie wiedziałem, czy to nie Dancer cię zdradził, żeby pozbyć się Fitchnera i zająć jego miejsce?

– Dancer by tego nie zrobił – szydzi Sevro.

– A skąd miałem to wiedzieć? – odpowiada sfrustrowany Żywe Srebro. – Nie znam człowieka.

Sevro kręci głową, przytłoczony absurdalnością tej sytuacji.

– Mam nagrania – dodaje Żywe Srebro. – Z rozmów z twoim ojcem.

– Nie pozwolę ci nawet zbliżyć się do terminala – odpowiada Sevro.
– Sprawdź go – proponuję. – Niech dowiedzie prawdy.
– Poznałem twoją matkę, Sevro – odzywa się szybko Żywe Srebro. – Nazywała się Bryn. Była Czerwona. Gdybym nie był Synem, skąd bym to wiedział?

– Mogłeś się tego dowiedzieć na tuzin sposobów. To gówno, nie żaden dowód – żacha się Sevro.

– Mam pomysł – odzywam się. – Jeśli jesteś Synem Aresa, będziesz to wiedział. Gdybyś należał do Szakala, posłużyłbyś się tą informacją. Gdzie jest Tinos?

Żywe Srebro uśmiecha się szeroko.

– Pięćset kilometrów na południe od Morza Termicznego. Trzy kilometry pod starym węzłem górniczym, stacją Vengo. W porzuconej kolonii górniczej, o której zapiski zostały usunięte z wewnętrznych serwerów Wspólnoty przez moich własnych hakerów. Stalaktyty wydrążono za pomocą wiertel laserowych typu Acharon-19 pochodzących z moich fabryk. Korytaryze są spiralne, żeby nie zniszczyć ich integralności strukturalnej. Ataliański hydrogenerator został zbudowany według planów przygotowanych przez moich inżynierów. Tinos może i jest miastem Aresa, ale to ja je zaprojektowałem. I zapłaciłem za nie. I je wybudowałem.

Oniemiały Sevro chwieje się na nogach.

– Twój ojciec pracował dla mnie, Sevro – kontynuuje Żywe Srebro. – Najpierw w konsorcjum terraformującym na Trytonie, gdzie poznał twoją matkę. A potem... w sposób mniej oficjalny. Wtedy jednak nie byłem tym, czym jestem dzisiaj. Potrzebowałem Złotego, pragmatycznego Niezrównanego Naznaczonego i całej ochrony prawnej, którą zapewniał. Złotego, który miałby u mnie dług i był gotowy ostro pograć z moimi rywalami. Nieoficjalnie, rzecz jasna.

– Twierdzisz więc, że mój ojciec bawił się w najemnika. Dla ciebie?

– Twierdzę, że bawił się w zabójcę. Rozrastałem się, a rynek stawiał opór mojemu rozwojowi. Dlatego rynek musiał znaleźć dla mnie miejsce. Myślicie, że wszyscy Srebrni grają bezpiecznie i legalnie? – Żywe Srebro się śmieje. – Niektórzy może tak. Jednak prowadzenie biznesu w rządzącym się znajomościami kapitalizmie to zajęcie dla rekinów. Jeśli przestaniesz płynąć, pozostali zabiorą ci jedzenie i pożywią się twoim ciałem. Dałem pieniądze twojemu ojcu. On wynajął ekipę. Pracował dyskretnie. Załatwiał to, czego od niego potrzebowałem. Dopóki nie odkryłem, że

wykorzystuje moje zasoby w swoim prywatnym przedsięwzięciu. Synowie Aresa.

Wypowiada te słowa z kpiną.

– I nie wydałeś go? – pytam z powątpiewaniem.

– Złoci traktują nawoływanie do buntu jak raka. Mnie też by wycięli. Wpadłem więc w pułapkę. Fitchner jednak nie chciał trzymać mnie w potrzasku. Chciał mieć we mnie współkonspiratora. Po pewnym czasie mnie przekonał. I tak znaleźliśmy się tutaj.

Sevro odchodzi kilka kroków, próbując to zrozumieć.

– Ale... my... padaliśmy jak muchy. A ty siedziałeś na górze i... bzykałeś swoich Różowych. Bratałeś się z wrogiem. Gdybyś był jednym z nas...

Żywe Srebro zadziera nos, odzyskuje zimną krew, którą stracił podczas bicia.

– Wtedy co bym zrobił, panie Barca? Proszę powiedzieć. Na podstawie swojego rozległego doświadczenia w konspiracji. Co bym zrobił?

– Walczyłbyś razem z nami.

– Czym? Hmm?

Srebrny czeka na odpowiedź, która nie pada. Sevro zabrakło słów.

– Mam prywatną ochronę w liczbie trzydziestu tysięcy ludzi, służących mnie i moim firmom, tyle że jest rozproszona od Merkurego po Plutona. Ci ludzie nie są moją własnością, to Szarzy na kontraktach. Tylko ułamek z nich to kupieni Obsydianowi. Mam broń, ale nie mam ludzi do walki z Niezrównanymi Naznaczonymi. Oszalałeś? Posługuję się miękką siłą. Nie twardą. Tym zajmował się twój ojciec. Nawet pomniejszy ród zniszczyłby mnie w bezpośrednim konflikcie.

– Masz największą firmę software’ową w Układzie Słonecznym – przypomina Sevro. – To oznacza hakerów. Masz fabryki broni. Rozwijasz technikę wojskową. Mogłeś szpiegować dla nas Szakala. Dać nam broń. Mogłeś zrobić tysiąc rzeczy.

– Mogę mówić otwarcie?

Krzywię się.

– Trudno chyba o lepszą chwilę...

Żywe Srebro odchyła się, żeby spojrzeć na Sevro z wyższością.

– Współpracuję z Synami Aresa od ponad dwudziestu lat. To wymaga cierpliwości. Długofalowego planowania. Pan jest Synem Aresa od niecałego roku. I co się stało? Pan, panie Barca, to kiepska inwestycja.

– Kiepska... inwestycja?

Idiotyczne słowa w ustach człowieka przykutego do metalowego krzesła, któremu krew cieknie z ust, ale coś w spojrzeniu Żywego Srebra sprawia, że brzmią przekonująco. Nie jest ofiarą. To tytan działający na innym poziomie. Mistrz w swojej dziedzinie. Wygląda na to, że dorównywał Fitchnerowi geniuszem. Skomplikowana osobowość, o wiele bardziej złożony człowiek, niż bym się spodziewał. Powściągam jednak wszelką sympatię dla niego. Przetrwał dwadzieścia lat, kłamiąc na każdym kroku. Cały czas gra, może nawet tu i teraz.

Kim jest prawdziwy człowiek, kryjacy się za tą twarzą buldoga?

Co nim kieruje? Czego chce?

– Obserwowałem. Czekalem, żeby się przekonać, co zrobisz – tłumaczy mojemu przyjacielowi. – Żeby zobaczyć, czy jesteś taki jak ojciec. Potem jednak stracili Darrowa... – zerka na mnie, nadal skonsternowany – ...albo odegrali teatrzyk, a ty zachowałeś się jak dzieciak. Zacząłeś wojnę, której nie mogłeś wygrać, z niedostateczną infrastrukturą, zasobami, systemami organizacji, liniami zaopatrzenia. Wypuściłeś propagandę w postaci zapisów z Rzeźbienia Darrowa w świat, do kopalń, mając nadzieję... na co właściwie? Chwalebne powstanie proletariatu? – prychnął pogardliwie. – Myślałem, że rozumiesz wojnę. Bez względu na wszystkie swoje wady twój ojciec był wizjonerem. Obiecał mi coś lepszego. A co w zamian dał nam jego syn? Czystki etniczne. Wojnę nuklearną. Egzekucje. Pogromy. Całe miasta rozdarte przez różne frakcje Czerwonych rebeliantów i akcje odwetowe Żółtych. Rozłam. Innymi słowy: chaos. A ja, panie Barca, nie inwestowałem w chaos. Chaos szkodzi interesom, a to, co jest złe dla interesów, jest złe dla Człowieka.

Sevro przełyka powoli ślinę, czując wagę tych słów.

– Zrobiłem to, co musiałem – odpowiada. Brzmi słabiutko. – To, czego nikt inny nie mógł zrobić.

– Doprawdy? – Żywe Srebro pochyla się do przodu z paskudną miną. – Czy może zrobił pan to, co chciał? Bo się pan poczuł zraniony? Bo chciał pan odreagować?

Oczy Sevro są szkliste. Jego milczenie mnie rani. Chcę go bronić, ale musi to usłyszeć.

– Myśli pan, że nie walczyłem – mówi dalej Żywe Srebro. – Wprost przeciwnie. Opinia Suwerenki na temat Szakala ostatnio się popsuła.

– Dlaczego? – pytam.

– Nie potrafiłem wcześniej tego odgadnąć, ale teraz założę się o wszystko, że to z powodu twojej ucieczki z więzienia Szakala. W każdym razie spostrzegłem okazję. Sprowadziłem Virginie au Augustus i przedstawili Suwerenki tutaj, żeby doprowadzić do zawarcia pokoju, który zapewniłby Virginii arcygubernatorstwo na Marsie, a Szakala odsunąłby od władzy i umieścił go na resztę życia w więzieniu. To nie taki koniec, jakiego chciałem, ale jeśli to, co widzimy na Marsie, stanowi jakąkolwiek wskazówkę, to Szakal jest zwyczajnie największym zagrożeniem dla światów i dla naszych długofalowych celów.

– A ty pomogłeś mu skonsolidować władzę – zauważam.

Żywe Srebro wzdycha.

– Wtedy myślałem, że stanowi mniejsze zagrożenie niż jego ojciec. Myliłem się. Tak samo jak ty. Trzeba go usunąć.

Zatem Szakal został zdradzony przez dwóch swoich sojuszników.

– Tyle że twoje plany przymierza poszły się teraz walić.

– Owszem. Ale nie opłakuję straconych okazji. Żyjesz, Darrow, a to znaczy, że rebelia żyje. To znaczy, że marzenie Fitchnera, marzenie twojej żony jeszcze nie przepadło.

– Dlaczego? – pyta Sevro. – Dlaczego, psiajucha, miałbyś chcieć wojny? Jesteś najbogatszym człowiekiem w Układzie. Nie jesteś anarchistą.

– Nie, nie jestem anarchistą, komunistą, faszystą, plutokratą ani nawet demokratą, skoro już o tym mowa. Chłopcy, nie wiercie w to, czego uczą was w szkołach. Rząd nigdy nie jest odpowiedzią, ale prawie zawsze stanowi problem. Jestem kapitalistą. Wierzę w wysiłek i rozwój, w pomysłowość naszego gatunku. W ciągłą ewolucję i postęp naszego rodzaju oparty na uczciwej konkurencji. Prawda jest taka, że Złoci nie chcą, żeby rodzaj ludzki ewoluował. Od czasów podboju stale dławią postęp, żeby utrzymać swój raj. Otaczają się mitem. Wypełniają swoje ogromne oceany potworami, na które można polować. Uprawiają prywatne Mroczne Puszcze i budują własne Olimpy. Noszą zbroje, które czynią z nich latających bogów. Utrzymują tę idiotyczną bajkę przy życiu, zamrażając ludzkość w czasie. Ograniczając inwencję, ciekawość, mobilność społeczną. A zmiana temu zagraża. Spójrzcie, gdzie jesteśmy. W kosmosie. Nad planetą, którą ukształtowaliśmy. A mimo to żyjemy we Wspólnocie uformowanej na wzór marzeń pedofili z epoki brązu. Żyjemy mitologią, jakby tego syfu nie wymyślił przy ognisku jakiś wieśniak z Attyki przygnębiony tym, że życie jest paskudne, brutalne i krótkie. Złoci wmawiają Obsydianowym,

że są bogami. Nie są nimi. Bogowie tworzą. Jeśli Złoci są czymkolwiek, to prędzej królami-wampirami. Pasożytami pijącymi z naszej tętnicy szyjnej. Chcę Wspólnoty wolnej od tej faszystowskiej piramidy. Chcę wyzwolić wolny rynek dobrobytu i idei. Dlaczego ludzie mają się mozolić w kopalniach, kiedy możemy budować roboty, żeby dla nas pracowały? Dlaczego mielibyśmy pozostać w tym Układzie Słonecznym? Zaslugujemy na więcej niż to, co nam dano. Najpierw jednak Złoci muszą upaść, a Suwerenka i Szakal umrzeć. I myślę, że jest pan znakiem, na który czekałem, panie Andromedus.

Kiwa głową na moje ręce w rękawiczkach.

– Zapłaciłem za twoje Pieczęcie. Zapłaciłem za twoje kości, twoje oczy, twoje ciało. Jesteś wytworem umysłu mojego przyjaciela. Uczniem mojego męża. Ucieleśnieniem idei Synów Aresa. Zatem moje imperium jest do twojej dyspozycji. Moi hakerzy. Moja ochrona. Moje środki transportu. Moje firmy. Wszystko jest twoje. Bez ograniczeń. Bez zobowiązań. Bez zabezpieczeń. – Zerka na Sevro. – Innymi słowy, panowie, wchodzę w to na całego.

– Pięknie. – Sevro klaszcze, kpiąc z Żywego Srebra. – Darrow, on próbuje cię przekupić, żeby móc uciec.

– Możliwe – odpowiadam – ale nie możemy już zdetonować tych ładunków.

– Ładunków? – powtarza Żywe Srebro. – O czym wy mówicie?

– Podłożyliśmy materiały wybuchowe pod rafinerie i porty – wyjaśniam.

– To jest wasz plan? – Patrzy ma nas, jakbyśmy oszaleli. – Nie możecie tego zrobić. Macie pojęcie, do czego to by doprowadziło?

– Do załamania gospodarki – mówię. – Do takich symptomów jak dewaluacja aktywów, zamrożenie akcji kredytowej, run na lokalne banki i ostatecznie stagflacja. A także do załamania porządku społecznego. Okaż nam trochę szacunku, gdy do nas mówisz. Nie jesteśmy dyletantami ani dziećmi. I to był nasz plan.

– Był? – pyta Sevro, odsuwając się ode mnie. – Teraz więc pozwalasz, żeby on nam dyktował, co zrobimy.

– Sytuacja się zmieniła, Sevro. Musimy przemyśleć strategię. Zyskaliśmy nowe atuty.

Wpatruje się we mnie, jakby nie poznawał mojej twarzy.

– Nowe atuty? Jego?

– Nie tylko jego. Orion. Nie powiedziałeś mi, że Mustang się z tobą skontaktowała.

– Bo wtedy pozwoliłbyś, żeby tobą manipulowała – odpowiada bez śladu skruchy. – Tak jak pozwalałeś na to wcześniej. I jak pozwalasz teraz jemu. – Przygląda mi się, wytykając mnie palcem. Myśli, że wszystko rozgryzł. – Boisz się, co? Boisz się pociągnąć za spust. Boisz się popełnić błąd. Wreszcie mamy szansę zadać ranę Złotym, a ty chcesz przemyśleć sprawę. Chcesz dać sobie czas na analizę możliwości. – Wyciąga detonator z kieszeni. – To jest wojna. Nie mamy czasu. Możemy zabrać tego łajdaka z nami, ale nie możemy przegapić tej szansy.

– Przestań się zachowywać jak terrorysta – warczę. – Stać nas na więcej.

Patrzę na niego wściekły. To powinna być moja najprostsza, najmocniejsza przyjaźń. A z powodu straty wszystko się między nami zdeformowało. Nawet w jego wypadku jest wiele warstw bólu, tyle poziomów strachu, wzajemnych oskarżeń i wyrzutów sumienia, że wystarczy dla nas obu. Kiedyś nazywano Sevro moim cieniem. Już nim nie jest. I myślę, że byłem na niego zły w tych ostatnich godzinach, bo stanowiły tego dowód. Jest samodzielnym człowiekiem, sam obiera kierunek. Tak samo myślę, że on jest zły na mnie, bo nie wróciłem jako Żniwiarz. Od powrotu jestem człowiekiem, którego nie poznaje. A teraz, kiedy próbuję być siłą, której chciał, siłą, która podejmuje decyzje, wątpi we mnie, bo wyczuwa słabość, a to go zawsze przerażało.

– Sevro, daj mi detonator – mówię chłodno.

– Nic z tego.

Otwiera pierwszą osłonę detonatora, odsłaniając czerwony przycisk pod kolejną. Jeśli go naciśnie, na całym Fobosie eksploduje tysiąc kilogramów wysokowydajnych materiałów wybuchowych. Nie zniszczą księżyca, ale unicestwią całą jego infrastrukturę gospodarczą. Hel nie popłynie przez długie miesiące. Lata. I wszystkie obawy Żywego Srebra się spełnią. Wspólnota ucierpi, ale my także.

– Sevro...

– Przez ciebie zginął mój ojciec – mówi. – Przez ciebie zginęła Quinn i Pax, i Chwast, i Harpia, i Lea, bo uważałeś, że jesteś najsprytniejszy ze wszystkich. Nie zabiłeś Szakala, kiedy mogłeś to zrobić. Nie zabiłeś Casiusa, kiedy mogłeś to zrobić. Ja jednak, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam oporów.

Brzemień Aresa

Kciuk Sevro przesuwają się ku przyciskowi, zanim jednak zdąży go dotknąć, włączam zakłócaacz przy pasie i blokuję sygnał detonatora, żeby nie wyszedł poza ściany celi.

– Ty sukinsynu – warczy Sevro i rzuca się do drzwi, żeby wydostać się poza pole zakłócające.

Próbuję go złapać. Przemyka się pod moimi rękami. Zakłócaacz nie należy do silnych, więc Sevro nie musi daleko ode mnie uciekać. Rzuca się w głąb korytarza. Wypadam za nim.

– Sevro, stój! – wołam w biegu.

Jest już dziesięć metrów przede mną, pędzi pełną parą, żeby znaleźć się poza zasięgiem pola tłumiącego sygnał. W tych wąskich przejściach jest szybszy ode mnie. Ucieknie mi. Wyciągam pięść impulsową, celuję ponad jego głowę i strzelam. Źle przymierzyłem, i prawie urywam mu głowę. Jego irokez skwierczy i dymi. Sevro zamiera w pół kroku i odwraca się z morderczą miną.

– Sevro... Nie chciałem...

Wyjając z wściekłości, rzuca się na mnie. Zaskakuje mnie, cofam się chwiejnie przed tym wariatem. Dopada mnie błyskawicznie. Blokuję pierwszy cios, ale trafia mnie hakiem w szczękę, aż mi zęby dzwonią. Zataczam się. Przygryzam sobie język. Czuję smak krwi i prawie się przewracam. Gdyby Mickey nie zrobił mi kości jak należy, Sevro mógłby strzaskać mi zuchwę. A tak tylko przeklina i łapie się za obolałą pięść.

Walę hakiem od dołu i kopię lewą nogą. Trafiam go w żebra tak mocno, że leci w bok na ścianę i zostawia wgniecenie w metalu. Wymierzam mu prawy prosty. Sevro robi unik, trafiam w duroStal. Ból przeszywa mi całą rękę. Stękam. On przelatuje mi pod lewym łokciem, gdy zamierzam się w jego głowę, i raz po raz wali mnie w brzuch. Celuje w jądra. Wykręcam

się, udaje mi się złapać go za rękę i obrócić z całej siły. Wali twarzą w ścianę i pada na podłogę.

– Gdzie detonator? – wołam, obszukując go. – Sevro...

Uderza nogami, krzyżuje je, podcina mnie i obala na ziemię. Mocujemy się, zamiast wymierzać ciosy. Jest lepszy w zapasach ode mnie. Mogę tylko nie dać mu się przydusić od tyłu, kiedy obejmuje mnie nogami, krzyżuje stopy przed moją twarzą i z obu stron napiera udami i łydkami na moją szyję. Wstaję razem z nim, ale nie jestem w stanie się uwolnić. Wisi na mnie do góry nogami, kręgosłup przy kręgosłupie, z piętami nadal przy mojej twarzy i próbuje łokciem od tyłu przywalić mi w klejnoty. Nie mogę go dosięgnąć. Nie mogę oddychać. Łapię go więc za łydki, które mam przy szyi, i obracam się w miejscu. Uderza w metal. Raz. Drugi. Wreszcie puszcza i zsuwa się. W okamgnieniu ląduję na nim i wymierzam mu zwięzłą serię ciosów łokciem w twarz zgodnie ze sztuką walki *kravat*. Przypadkiem uderza mnie ciemieniem w podbródek.

– Ty tępy... sukinsynu... – mruczę, cofając się chwiejnie.

On łapie się za obitą głowę.

– Ty durny chudy kutasie...

Wymierza kopniak w mój tors. Przyjmuję go, blokuje jego nogę pod lewą pachą i prawą ręką z całej siły wymierzam sierpowy w jego głowę. Pada jak po uderzeniu młota, który wbija gwóźdź w podłogę. Próbuje wstać, ale popycham go z powrotem i przyciskam butem. Leży i dyszy ciężko. Kręci mi się w głowie, też jestem zasapany. Moje ciało nienawidzi mnie za to, do czego je zmuszam.

– Skończyłeś? – pytam.

Kiwa głową. Zabieram but i wyciągam rękę, żeby pomóc mu wstać. Obraca się na plecy, łapie mnie za rękę, a potem lewą nogą wali mnie prosto w krocze. Padam obok niego, szarpie mną odruch wymiotny. Mdłości wzbierają, wędrują z krzyża jednocześnie ku jądro i żołądkowi. Obok mnie Sevro dyszy jak pies. W pierwszej chwili myślę, że się śmieje, ale kiedy podnoszę wzrok, wstrząśnięty dostrzegam łzy w jego oczach. Leży na plecach. Potężny szloch wstrząsa jego piersią. Odwraca się, próbuje schować się przede mną, powstrzymać płynące łzy, ale tylko pogarsza sprawę.

– Sevro...

Siadam, rozdarty tym widokiem. Nie obejmuję go, ale kładę mu rękę na głowie. A on zaskakuje mnie tym, że nie wzdraga się, ale przysuwa się, żeby położyć mi głowę na kolanie. Kładę drugą rękę na jego ramieniu.

Z czasem szloch słabnie i Sevro wydmuchuje smarki z nosa. Ale nie odsuwa się. To jest jak chwila po burzy. Powietrze jest żywe, wibruje. Po kilku minutach odchrząkuje i siada pośrodku korytarza, krzyżując nogi. Oczy ma podpuchnięte, zawstydzone. Bawi się rękami, a przez tatuaż i irokeza na głowie wygląda jak wyjęty żywcem z jakiejś wyjątkowo popapranej książki dla dzieci.

– Jeśli powiesz komukolwiek, że płakałem, znajdę zdechłą rybę, włożę do skarpetki i schowam ją w twoim pokoju, żeby się tam zepsuła.

– W porządku.

Detonator leży z boku. Dość blisko, żeby każdy z nas po niego sięgnął. Żaden tego nie robi.

– Nie cierpię tego – mówi słabo. – Takich ludzi. – Zerka na mnie. – Nie chcę, żeby był Synem Aresa. Nie chcę być taki jak Żywe Srebro.

– Nie jesteś.

Nie wierzy w to.

– W Instytucie budziłem się co rano i myślałem, że wciąż śnię, a potem czułem zimno. I powoli zaczynałem sobie przypominać, gdzie jestem. Miałem brud i krew pod paznokciami. I chciałem tylko z powrotem zasnąć. Żeby było mi ciepło. Wiedziałem jednak, że muszę wstać i stawić czoło światu, który ma to w dupie. – Krzywi się. – Tak samo czuję się teraz każdego ranka. Przez cały czas się boję. Nie chcę nikogo stracić. Nie chcę ich zawieść.

– Nikogo nie zawiodłeś. Jeśli już, to ja zawiodłem ciebie – mówię, choć próbuje mi przerwać. – Miałeś rację. Obaj to wiemy. To przeze mnie twój ojciec nie żyje. Przeze mnie doszło do tamtej nocy.

– Mimo to zachowałem się jak dupek, że to powiedziałem. – Uderza kostkami rąk w ziemię. – Zawsze mam niewyparzoną gębę.

– Cieszę się, że to powiedziałeś.

– Dlaczego?

– Bo obaj zapomnieliśmy, że nie dotarliśmy tu w pojedynkę. My dwaj powinniśmy być w stanie powiedzieć sobie wszystko. Tak to działa. Tak my działamy. Nie owijamy w bawełnę. Rozmawiamy ze sobą. Mówimy nawet to, czego przykro słuchać.

Widzę, jak samotny się czuje. Jakie brzemię nosił. Tak się czułem, kiedy Cassius mnie dźgnął i zostawił na pewną śmierć w Instytucie. Musi podzielić się tym ciężarem. Nie wiem, jak inaczej mu to powiedzieć. Ten upór, to

nieprzejednanie z zewnątrz wygląda jak szaleństwo, ale wiem, że Sevro czuje się dokładnie tak jak ja, kiedy Roque we mnie zwątpił.

– Wiesz, dlaczego pomogłem ci w Instytucie, kiedy ty i Cassius mieliście utonąć w jeziorze? – pyta. – Z powodu tego, jak na ciebie patrzyli. Nie chodziło o to, że uważałem cię za dobrego Prymusa. Miałeś tyle sprytu, co torba mokrych pierdów. Ale widziałem tamtych. Pestkę. Błazna. Quinn... Roque'a. – Przy ostatnim imieniu prawie się jąka. – Obserwowałem cię przy ogniskach w wąwozach, kiedy Titus siedział w zamku. Widziałem, jak uczyłeś Leę poderżnąć kozie gardło, kiedy bała się to zrobić. Ja też chciałem to zrobić. Dołączyć.

– To czemu tego nie zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Bałem się, że mnie nie zechcesz.

– Teraz patrzą tak na ciebie – mówię. – Nie widzisz tego?

Prycha.

– Wcale tak nie patrzą. Przez cały czas próbowałem być tobą. Próbowałem być moim ojcem. Nie wyszło. Widziałem, że każdy żałuje, że to nie mnie Szakal złapał. Zamiast ciebie.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Prawda – upiera się, pochylając się do przodu. – Jesteś lepszy ode mnie. Widziałem cię. Kiedy spojrzaleś na Tinos. Widziałem twoje oczy. Widziałem w nich miłość. Chęć chronienia tych ludzi. Też próbowałem to poczuć. Ale za każdym razem, kiedy patrzyłem na uchodźców, zwyczajnie ich nienawidziłem. Za ich słabość. Za to, że się wzajemnie ranią. Za to, że są głupi i nie wiedzą, przez co przeszliśmy, żeby im pomóc. – Przełyka ślinę i zaczyna skubać skórki przy paznokciach na krótkich palcach. – Wiem, że to paskudne, ale takie są fakty.

Wydaje się taki bezbronny w tym korytarzu, kiedy w walce uszła z nas cała złość. Nie oczekuje kazania. Dowodzenie go znużyło, oddzieliło od Wyjców. W tej chwili chce poczuć, że nie jest taki jak Żywe Srebro, Szakal ani jakikolwiek Złoty, z którymi walczymy. Błędnie uznał, że jestem lepszy od niego. Po części to moja wina.

– Ja też ich nie cierpię – przyznaję.

Kręci głową.

– Nie...

– Naprawdę. A przynajmniej nie cierpię tego, że przypominają mi to, czym byłem albo mogłem być wcześniej. Szlag, byłem małym idiotą. Nie-

nawidziłbyś mnie. Byłem zadufany, arogancki i egoistyczny, chociaż na klęczkach. Podobało mi się, że jestem ślepy na wszystko, bo byłem zakochany. Z jakiegoś powodu uważałem, że życie dla miłości to najodważniejsza rzecz na świecie. Nawet w myślach zamieniłem Eo w coś, czym nie była. Stworzyłem romantyczną wizję jej samej i naszego wspólnego życia. Pewnie dlatego, że widziałem, jak mój ojciec zginął z tego samego powodu. Widziałem, co zostawił za sobą, i próbowałem trzymać się życia, które on porzucił. – Przesuwam palcem po liniach mojej dłoni. – Czuje się mały, gdy pomyślę, że zacząłem to dla niej. Była dla mnie wszystkim, ale ja pozostawałem jedynie fragmentem jej życia. Kiedy Szakał mnie więził, tylko o tym potrafiłem myśleć. Że nie wystarczałem. Że nasze dziecko nie wystarczało. Po części nienawidzę jej za to. Nie wiedziała, że dojdzie do tego wszystkiego, nie była świadoma tego, że światy zostały terraformowane. Mogła jedynie uważać, że da do myślenia paru tysiącom ludzi w Lykos. I za to było warto umrzeć? Zabić nasze dziecko? – Wskazuję w głąb korytarza. – A teraz oni uważają, że była święta czy coś w tym guście. Idealna męczennica. A to była zwykła dziewczyna: dzielna, ale głupia, egoistyczna i bezinteresowna zarazem. Romantyczna. Umarła, zanim mogła stać się czymś więcej. Pomyśl, ile mogła zrobić ze swoim życiem. Może moglibyśmy robić to razem. – Śmieję się gorzko i opieram głowę o ścianę. – Myślę, że najpaskudniejszą rzeczą w starzeniu się jest to, że teraz stałem się dość mądry, by widzieć skazy we wszystkim.

– Mamy po dwadzieścia trzy lata, dupku.

– Czuje się, jakbym miał osiemdziesiąt.

– I wyglądasz na tyle. – Pokazuję mu krzyżyk, wywołując uśmiech. – Myślisz... – Prawie nie kończy. – Myślisz, że patrzy na ciebie? Z Doliny? Ona albo twój ojciec?

Już mam powiedzieć, że nie wiem, kiedy dostrzegam intensywność jego spojrzenia. Nie pyta o moją rodzinę, ale o swoją, może nawet o Quinn, którą zawsze kochał, ale nigdy nie miał odwagi jej tego wyznać. Przy całej jego dzikości trudno pamiętać, jaki jest bezbronny. Zagubiony. Oderwany od Czerwonych i Żółtych. Nie ma domu. Nie ma rodziny. Nie ma wizji świata po wojnie. W tej chwili powiedziałbym mu wszystko, byle tylko poczuł się kochany.

– Tak, wierzę, że na mnie patrzy – odpowiadam z większym przekonaniem, niż to czuję. – I mój ojciec. I twój też.

– Czyli w Dolinie mają piwo.

– To świętokradcze słowa – besztam go i kopię w stopę. – Tylko whisky. Strumienie whisky, jak okiem sięgnąć.

Jego śmiech składa kolejne kawałki mnie w całość. Częstka za częstką czuję, jak moi przyjaciele wracają do mnie. A może ja do nich? Pewnie w gruncie rzeczy to jedno i to samo. Zawsze mówiłem Victrze, żeby dopuściła do siebie ludzi. Sam nie potrafiłem skorzystać z własnej rady, bo wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał ich zdradzić, ponieważ fundament naszej przyjaźni jest kłamstwem. Teraz przebywam z ludźmi, którzy wiedzą, kim jestem, i boję się dopuścić ich do siebie, bo nie chcę ich stracić, rozczarować. Jednak więź, która nas łączy z Sevro, czyni nas silniejszymi, niż byliśmy wcześniej. Mamy coś, czego brakuje Szakalowi.

– Wiesz, co się stanie potem? – pytam. – Jeśli zabijemy Octavię, Szakala? Jeśli jakimś cudem zwyciężymy?

– Nie – odpowiada Sevro.

– I na tym polega problem. Ja też nie znam odpowiedzi. Nie będę udawał, że znam. Ale nie pozwolę, żeby Augustus miał rację. Nie ściagnę chaosu na ten świat, nie mając choćby pomysłu na coś lepszego. Do tego potrzebujemy takich sprzymierzeńców jak Żywe Srebro. Musimy przestać bawić się w terrorystów. I potrzebujemy prawdziwej armii.

Sevro podnosi detonator i łamie go na pół.

– Jakie są twoje rozkazy, Żniwiarzu?

Przyptyw

Sevro i ja wracamy do pokoju, gdzie spakowane Wyjce czekają gotowe do opuszczenia stacji. Rollo i tuzin jego ludzi patrzą na nas z napięciem ze swojej części pomieszczenia. Wiedzą, że zaraz zostaną porzuceni. Żywe Srebro wjeżdża za nami na wózku, kajdanki zostały w celi. Zgodził się na nasz plan... z paroma poprawkami.

– No patrzcie tylko... – mówi Victra na widok naszych siniaków i zakrwawionych knykcii. – Wreszcie sobie pogadaliście. – Zerka na Ragnara. – Widzisz?

– Coś sobie wyjaśniliśmy – odpowiada Sevro.

– A bogacz? – pyta zaciekawiony Ragnar. – Nie ma kajdan.

– Ponieważ jest Synem Aresa – wyjaśnia Sevro. – Nie wiedziałeś?

– Żywe Srebro jest Synem Aresa? – Victra wybucha śmiechem. – A ja jestem tak naprawdę piekłonurkiem. – Patrzy po naszych twarzach. – Czekajcie... Wy mówicie poważnie. Macie dowód?

– Przykro mi z powodu twojej matki, Victro – odzywa się zachrypłym głosem Żywe Srebro – ale naprawdę cieszę się widząc, że chodzisz. Należę do Synów Aresa od ponad dwudziestu lat. Mam setki godzin rozmów z Fitchnerem jako dowód.

– Tak, jest Synem Aresa – potwierdza Sevro. – Możemy kontynuować?

– Niech mnie szlag. – Victra kręci głową. – Matka miała rację co do ciebie. Zawsze mówiła, że skrywasz sekrety. Myślałam, że chodzi o jakieś seksualne upodobania, że lubisz konie albo coś w tym guście...

Skrepowany Sevro przestępuje z nogi na nogę.

– To znajdziesz nam drogę ucieczki z tej skały, bogaczu? – pyta Holiday.

– Nie całkiem – odpowiada Żywe Srebro. – Darrow...

– Nie odlatujemy – oznajmiam.

Rollo i jego ludzie wiercą się w swoim kącie. Wyjce patrzą na mnie skonsternowane.

– Może powiesz nam, co jest grane? – pyta szorstko Brzydal. – Zaczynijmy od tego, kto dowodzi. Ty?

– Wyjec numer Jeden – mówi Sevro, szturchając mnie w ramię.

– Wyjec numer Dwa – odpowiadam, poklepując z kolei jego bark.

– Jasne? – pyta Sevro.

Wyjce zgodnie kiwają głowami.

– Pierwsza sprawa: zmiana zasad – mówię. – Kto ma cęgi?

Rozglądam się i czekam, w końcu Holiday wyjmuję swoje cęgi z zestawu do montażu bomb i mi je rzuca. Otwieram usta i wkładam narzędzie tam, gdzie wstawiono mi trzonowiec z achlysem-9. Ze stęknieniem wyrywam go i odkładam na stół.

– Już raz dałem się złapać. Drugi raz na to nie pozwolę, więc to coś jest mi niepotrzebne. Nie zamierzam umierać, ale jeśli to mi się zdarzy, umrę wśród przyjaciół. Nie w celi. Nie na podwyższeniu. Razem z wami.

Podaję cęgi Sevro. On też wyrwa sobie ząb. Pluje krwią na stół.

– Umrę wśród przyjaciół.

Ragnar nie czeka na cęgi. Wrywa sobie ząb gołymi rękami. Oczy ma szeroko otwarte z zachwyty, kiedy odkłada zakrwawiony trzonowiec na stół.

– Umrę wśród przyjaciół.

Przekazujemy sobie kolejno cęgi, jedno po drugim wyrywamy sobie zęby i rzucamy je na stół. Żywe Srebro patrzy na nas przez cały czas jak na bandę szalonych chuliganów, bez wątpienia zastanawiając się, w co się wpakował. Potrzebuję jednak, żeby moi ludzie zrzucili to ciężkie brzemie, które dźwigali. Nosząc w ustach truciznę, czuli, że ich wyrok śmierci już został odczytany i tylko czekają na kata, aż zapuka do ich drzwi. Walić to. Śmierć będzie musiała zapracować na swoją nagrodę. Chcę, żeby w to uwierzyli. Żeby uwierzyli w siebie nawzajem i w to, że naprawdę możemy wygrać i przeżyć.

Po raz pierwszy sam w to wierzę.

* * *

Kiedy już przekazałem instrukcje swoim ludziom, a oni wyszli, żeby wykonać rozkazy, wracam z Sevro do centrum dowodzenia Synów Aresa i proszę o bezpośrednie połączenie.

– Z Cytadelą w Agei. – Synowie Aresa patrzą na mnie, jakby źle usłyszeli. – Tylko się pośpieszcie, przyjaciele. Nie mamy całego dnia.

Stoimy z Sevro przed holoKamerą.

– Myślisz, że już wiedzą, że tu jesteśmy? – pyta.

– Pewnie jeszcze nie.

– Myślisz, że się posika?

– Miejmy nadzieję. Pamiętaj: ani słowa o tym, że Mustang i Cassius tu byli. Zatrzymamy tego asa w rękawie.

Nawiązujemy bezpośredni kontakt przez holoŁączy. Twarz bladej, młodej Miedzianej administratorki patrzy na nas sennie.

– Główne centrum komunikacyjne Cytadeli – recytuje machinalnie. – Dokąd mam przekierować pańską...

Nagle mruga oczami na nasz widok. Przeciera zaspane oczy. I odejmuje jej mowę.

– Chciałbym porozmawiać z arcygubernatorem – mówię.

– I... kogo mam... zapowiedzieć?

– To parszywy Żniwiarz z Marsa – warczy Sevro.

– Chwileczkę, proszę.

Twarz Miedzianej zostaje zastąpiona przez piramidę Wspólnoty. Rozbrzmiewa potwornie przewidywalny kawałek Vivaldiego, kiedy czekamy na połączenie. Sevro puka się palcami w nogę i mruczy pod nosem piose-neczkę:

– „Gdy serce wali ci jak młot i mocz ci spływa wzdłuż nóg, znaczy to, że przyszedł Żniwiarz, aby odebrać swój dług”.

Kilka minut później pojawia się przed nami blada twarz Szakala. Ma na sobie marynarkę z białą stójką. Włosy nosi uczesane z przedziałkiem na boku. Nie łypie na nas złowrogo – co najwyżej sprawia wrażenie rozbawionego. Je właśnie śniadanie.

– Żniwiarz oraz Ares – mówi półgłosem, przeciągając słowa w parodii grzeczności. Ociera usta serwetką. – Ostatnim razem wyszedłeś tak szybko, że nie zdążyłem się pożegnać. Muszę przyznać, że wyglądasz promiennie, Darrow. Victra jest z tobą?

– Adriusie – zaczynam beznamiętnie – jak niewątpliwie wiesz, doszło do wybuchu w Sun Industries, a twój cichy wspólnik Żywe Srebro zaginął. Wiem, że to straszny bałagan pod względem prawnym i porządkowanie dowodów będzie trwało jeszcze przez wiele godzin, może nawet dni. Dla-

tego chciałem odezwać się osobiście i wyjaśnić sytuację. My, Synowie Aresa, porwaliśmy Żywe Srebro.

Szakał odkłada łyżkę, żeby wypić łyżeczek kawy z mlekiem.

– Rozumiem. W jakim celu?

– Będziemy go przetrzymywać dla okupu, dopóki nie wypuścisz z więzień wszystkich więźniów politycznych oraz wszystkich podKolorów przetrzymywanych w obozach dla internowanych. Dodatkowo chcemy, żebyś wziął na siebie odpowiedzialność za zamordowanie swojego ojca. Publicznie.

– To wszystko? – pyta Szakał, nie okazując żadnych emocji, chociaż wiem, że zastanawia się, jak odkryliśmy, że Żywe Srebro jest jego sprzymierzeńcem.

– Będziesz także musiał osobiście ucałować mój pryszczaty tyłek – dodaje Sevro.

– Cudownie. – Szakał zerka na kogoś poza kadrem. – Moi agenci mówią mi, że dziesięć minut po ataku na Sun Industries zawieszono wszelkie loty i statek, który uciekł z miejsca przestępstwa, zniknął w Dziurach. Mam zakładać, że nadal przebywacie na Fobosie?

Waham się, jakby mnie tym zaskoczył.

– Jeśli nie spełnisz naszych warunków, Żywe Srebro zostanie pozbawiony życia.

– Niestety nie negocjuję z terrorystami. Zwłaszcza takimi, którzy mogą nagrywać moją rozmowę, żeby potem nagłośnić ją dla swoich korzyści politycznych. – Szakał znowu popija kawę. – Wysłuchałem twojej propozycji, a teraz ty posłuchaj mojej. Uciekaj. Natychmiast. Póki możesz. Wiedz jednak, że bez względu na to, gdzie uciekniesz, gdzie się ukryjesz, nie zdołasz ochronić swoich przyjaciół. Zabiję ich wszystkich, a ciebie zamknę z powrotem w ciemności z ich odciętymi głowami dla towarzystwa. Nie ma drogi ucieczki, Darrow. Obiecuję ci.

Przerywa połączenie.

– Myślisz, że wyśle Kościarzy przed legionami? – pyta Sevro.

– Miejmy nadzieję. Ruszajmy, czas ucieka.

* * *

Dziury to miasto klatek. Rzędy i kolumny zardzewiałych domów połączonych ze sobą ciągną się w sercu Fobosa, w zerowym ciążeniu, jak okiem

sięgnąć. Każda klatka to życie w miniaturze. Ubrania unoszą się na haczykach. Na małych przenośnych grillach termalnych skwierczy jedzenie z setek różnych rejonów Marsa. Papierowe obrazki przyklepione do ścian kawałkami taśmy przedstawiają odległe jeziora, góry, zebrane razem rodziny. Wszystko tutaj jest nijakie i szare. Metal klatek. Obwisłe ubrania. Nawet zmęczone i wymizerowane twarze uwięzionych w tym miejscu tysiące kilometrów od domu Pomarańczowych i Czerwonych. Iskry koloru tańczą na terminalach i holoWizorach, które świecą w całym mieście – ogryzki marzeń rozrzucone pośród poskręcane go złomu. Mężczyźni i kobiety siedzą zgarbieni jak pokutnicy nad małymi ekranami i oglądają małe programy; zapominają, gdzie są, na rzecz tego, gdzie chcieliby być. Wielu oblepia ściany papierem albo kocami, żeby zapewnić sobie coś na kształt odrobiny prywatności. Jednak przed zapachami i dźwiękami nie da się uciec. Chrapliwy, nieustający brzęk zatraskiwanych drzwi do klatek. Szczęk zamków. Śmiech i kaszel ludzi. Szum generatorów. Szczekanie i ujadanie publicznych holoPuszek w tym psim języku, który służy odwracaniu uwagi. Wszystko wymieszane i zagotowane razem w gęstą zupe hałasu i przyćmionego światła.

Rollo mieszkał kiedyś na południowym końcu podziemnego miasta. Teraz to miejsce leży głęboko na terenach Syndykatu. Synowie Aresa zostali stamtąd wypędzeni ponad dwa miesiące temu. Lecę wzdłuż plastikowego sznura, który wije się kanionem między klatkami, mijając pracowników portów i wież, którzy wspinają się z powrotem do swoich małych mieszkań. Odwracają głowy, słysząc gardłowy warkot nowych grawiButów. To dla nich obcy dźwięk. Słyszeli go tylko na holoWizualach albo doświadczali w wirtualnej rzeczywistości, którą Zieloni z półświatka handlują po pięćdziesiąt kredytów za minutę. Większość nigdy nie widziała Niezrównanego Naznaczonego na żywo. Już nie mówiąc o takim w pełnej zbroi. Stanowię przerażający widok.

Siedem godzin temu moi przybocznicy i ja zebraliśmy się w sali odpraw Synów Aresa, gdzie przedstawiłem im oraz Dancerowi w Tinos mój plan. Sześć godzin temu dowiedziałem się o ucieczce Kavaxa – ktoś go wypuścił. Pięć godzin temu Victra odstawiła Żywe Srebro i Matteo z powrotem do ich wieży, gdzie ten pierwszy przez resztę nocy zajmował się aktywowaniem swoich komórek i kontaktów w Niebieskim Ulu, przygotowując się na tę chwilę. Cztery godziny upłynęły, odkąd połączył swoje oddziały ochrony z Synami Aresa i dał im dostęp do zbrojowni oraz składów broni, a my

otrzymaliśmy informację, że dwa niszczyciele Augustusa zbliżają się, opuściwszy port na orbicie. Trzy godziny temu Ragnar i Rollo zabrali tysiąc Synów Aresa do hangarów dla śmieciarek na poziomie 43C, żeby przygotować ich skify. Dwie godziny temu jeden z prywatnych jachtów Żywego Srebra został przygotowany do startu. Godzinę temu niszczyciele Wspólnoty wystrzeliły cztery transportowce, które zacumowały w Międzyplanetarnym Porcie Kosmicznym Skyresh. Godzinę temu wyszła też świeża warstwa czerwonej jak krew farby na mojej zbroi, którą potem założyłem, żeby ruszyć na wojnę.

Wszystko jest gotowe.

Teraz zostawiam za sobą ślad w postaci strefy ciszy, lecąc do serca Dziur. Białą jak kość brzytwę trzymam w ręce. U mojego boku leci Sevro, z dumą nosząc wielgachny kolczasty hełm Aresa. Przywiózł go tu ze sobą, ale resztę zbroi pożyczył od Żywego Srebra. To wytwór najnowocześniejszej techniki, lepszy nawet od pancerzy, które nosiliśmy na służbie u Augustusa. Za nami leci Holiday razem z setką Synów Aresa.

Synowie poruszają się niezręcznie w grawiButach. Niektórzy niosą brzytwy. Inni pięści impulsowe. Jednak zgodnie z moim rozkazem żaden nie nosi hełmu. Chcę, żeby podKolory ze Stosów widziały naszą zdradę, żeby widok Czerwonych, Pomarańczowych i Obsydianowych w zbrojach swoich panów dodał im odwagi.

Twarze są jak rozmazane plamy. Setki tysięcy zerkają z domów ze wszystkich stron. Blade, skonsternowane, w większości poniżej czterdziestki. Czerwoni i Pomarańczowi ściągnięci tu fałszywymi obietnicami tak jak Rollo, z rodzinami zostawionymi na Marsie – również tak jak Rollo.

Sąsiedzi wskazują mnie palcami. Widzę moje imię na ich ustach. Gdzieś pewnie czujki Syndykatu już łączą się ze swoimi szefami, donoszą policji albo antyterrorystycznemu aparatowi Securitas, że Żniwiarz żyje i jest na Fobosie.

Wabię bestie.

Kiedy zniżam się do centrum miasta, modłę się w duchu do Eo, żeby dodała mi sił. Tam jak pulsujący elektroniczny idol, otoczony przez metalowe kolczaste zasieki, holograficzny ekran na sto metrów długi i na pięćdziesiąt szeroki wyświetla komediowy program Wspólnoty. Krąg klatek wokół niego jest skąpany w przyprawiającym o mdłości neonowym świetle. Głośniki śmieją się na sygnał. Niebieskie światło migocze na mojej zbroi.

Szczękają otwierane zamki i drzwi klatek uchylają się, żeby ich mieszkańcy mogli usiąść na krawędzi, zwiesić nogi i patrzeć na mnie bez przeszkody w postaci prętów.

Zieloni Żywego Srebra ogniskują na mnie kamery w swoich hełmach. Synowie Aresa ustawiają się wokół mnie, ich oczy jarzą się na widok pod-Kolorów. Moja gwardia honorowa. Ich rude włosy unoszą się jak setka wściekłych płomieni pochodni. Holiday i Ares zajmują miejsca po moich obu bokach. Unosimy się na wysokości dwustu metrów. Otoczeni przez klatki. Cisza dławi miasto, jeśli nie liczyć śmiechu rodem z komedii: chorego i dziwaczного rechotu z głośników. Kiwam głową do Zielonych Żywego Srebra, którzy ucinają hałas. Gdzieś w jego wieży drużyna zebranych przez niego hakerów włamuje się do wszystkich programów nadawanych na księżycu i wysyła polecenia do pomocniczych węzłów komunikacyjnych na Ziemi, Lunie, w Pasie Asteroid, na Merkurym i na księżycach Jowisza, żeby moja wiadomość poniosła się płomieniem przez czern kosmosu, przejmując sieć informacyjną, która łączy rodzaj ludzki. Tą transmisją Żywe Srebro potwierdza swoją lojalność. Wykorzystuje sieć, którą pomógł stworzyć Szakalowi. To nie jest jak wideo ze śmierci Eo – błyskawicznie rozprzestrzeniające się nagranie, które trzeba wygrzebywać z ukrytych zakamarków holoSieci. Tym razem to szeroka aleja biegnąca przez całą Wspólnotę, przekaz nadawany na dziesięciu miliardach holo dla osiemnastu miliardów ludzi.

Dali nam te ekrany, żeby nas nimi spętać jak okowami. Dzisiaj zamienimy je w młoty.

Karnus au Bellona miał swoje wady, ale miał też rację, kiedy powiedział, że wszystko, co mamy w tym życiu, to krzyk na wietrze. Wykrzyczał własne imię, a ja zrozumiałem głupotę tego aktu. Zanim jednak zacznę wojnę, która pochłonie mnie w taki czy inny sposób, też krzyknę. I będzie to coś dużo większego niż moje własne imię, o wiele większego niż ryk wyrażający rodową dumę. To marzenie, które noszę w sobie i o które troszczę się od szesnastego roku życia.

Na hologramie za moimi plecami pojawia się Eo, zastępując komedię.

Dziewczyna, którą znałem, jako widmowy gigant. Jej twarz jest cicha, blada i bardziej gniewna niż ta w moich snach. Włosy ma matowe i w strąkach. Ubranie bure i obszarpane. Ale jej oczy płoną na tle szarego otoczenia żywo jak krew na jej okaleczonych plecach, kiedy podnosi wzrok znad metalowej skrzyni do chłosty. Ma się wrażenie, że ledwie rozchyła usta,

ledwie szczelina pojawia się między jej wargami, ale wycieka z niej pieśń. Jej głos jest słaby i kruchy jak wiosenny sen.

*Synu, ach, mój synu,
wspomnij czas niewoli,
erę rządów Złotych, kajdan i niedoli.
Burzyliśmy się, grzmieli,
by naszą dolinę
wyszarpać; by zdobyć
lepszyc snów krainę.*

Pieśń niesie się echem przez metalowe miasto, głośniejsz niż niosła się w odległym, utraconym mieście z kamienia. Światło Eo migocze na bladych twarzach patrzących z klatek Pomarańczowych i Czerwonych, którzy nigdy nie poznali jej za życia, ale poznali ją w śmierci. Są cisi i smutni, kiedy Eo idzie na szubienicę. Słyszę swoje nadaremne krzyki. Widzę, jak wiotczęję w rękach Szarych. Czuję, że znowu tam jestem. Czuję ubitą ziemię pod kolanami, kiedy świat wokół mnie się rozpada. Augustus rozmawia z Pliniuszem i Leto, gdy wystrzępiony konopiany sznur otacza pętlą szyję Eo. Nienawiść promieniuje z twarzy mieszkańców Stosów. Wtedy nie mogłem powstrzymać śmierci Eo, tak samo jak nie mogę tego zrobić teraz. Jakby zawsze tak było. Moja żona spada. Wzdragam się, słysząc szelest jej ubrania. Skrzypienie sznura. Patrę w dół na hologram, zmuszam się do oglądania, jak chłopiec wychodzi chwiejnie naprzód, żeby objąć rękami z Czerwonymi Pieczęciami jej wierzgające nogi. Patrę, jak całuje ją w kostkę i ciągnie z całych swoich miernych sił. Jej hemantus spada, a ja przemawiam:

– Wolałbym żyć w pokoju, ale moi wrogowie przynieśli mi wojnę. Nazywam się Darrow z Lykos. Znaście moją historię. To za ledwie echo waszej historii. Przyszli do mojego domu i zabili moją żonę nie za to, że zaśpiewała piosenkę, ale za to, że śmiała kwestionować ich rządy. Za to, że ośmieliła się mieć głos. Przez wieki miliony ludzi pod powierzchnią Marsa karmiono kłamstwami od kołyski aż po grób. Te kłamstwa zostały ujawnione. Teraz weszli do świata, który wy znacie, i cierpią tak jak wy. Człowiek rodzi się wolny, ale od brzegów oceanów po kraterowe miasta Merkurego, lodowe pustkowia Plutona i kopalnie Marsa tkwi w okowach. W okowach stworzonych z obowiązku, głodu i strachu. W łańcuchach przykutych

do naszych szyi przez rasę, którą wydzwignęliśmy. Rasę, którą umocniliśmy. Nie po to, by rządziła, by władała, ale żeby wyprowadziła nas ze świata rozerwanego przez wojnę i chciwość. A zamiast tego oni zesłali nas w ciemność. Wykorzystali system zapewniający porządek i dobrobyt dla własnych korzyści. Oczekują waszego posłuszeństwa, ignorują wasze ofiary, gromadzą bogactwa tworzone przez wasze ręce. Aby trzymać nas pewnie w garści, zabraniają nam marzyć. Mówią, że wartość człowieka zależy od Koloru jego oczu, jego Pieczęci.

Zdejmuję rękawiczki i zaciskam prawą pięść w powietrzu, tak samo jak Eo przed śmiercią. Jednak w przeciwieństwie do ręki Eo, na mojej nie ma żadnych Pieczęci. Usunął je Mickey, kiedy rzeźbił mnie w Tinos. Jestem pierwszą osobą od setek lat, która obywa się bez nich. Cisza, jaka zalega w Dziurach, wkrótce ustępuje okrzykom wstrząsu i strachu.

– Teraz jednak stoję przed wami jako człowiek wyzwolony. Staję przed wami, moi bracia i siostry, żeby poprosić was, abyście do mnie dołączyli. Rzucili się w tryby maszyny. Zjednoczyli się z Synami Aresa. Odzyskali swoje miasta, należny wam dobrobyt. Abyście ośmieli się marzyć o lepszym świecie niż ten. Niewolnictwo to nie jest pokój. Wolność to pokój. Dopóki nie będziemy jej mieli, naszym obowiązkiem jest walczyć. To nie jest zezwolenie na barbarzyństwo czy ludobójstwo. Jeśli człowiek gwałci, zabijcie go na miejscu. Jeśli morduje cywilów, wysoko czy nisko postawionych, zabijcie go na miejscu. To jest wojna, ale wy stoicie po stronie dobra, a to się wiąże z ciężkim brzemieniem. Nie powstajemy w nienawiści, nie dla zemsty, ale dla sprawiedliwości. Dla naszych dzieci. Dla ich przyszłości. A teraz przemawiam do Złotych, do Aureusów, którzy rządzą. Chadzałem waszymi korytarzami, niszczyłem wasze szkoły, jadałem przy waszych stołach i znosiłem wasze szubienice. Próbowaliście mnie zabić. Nie zdołaliście. Znam waszą siłę. Znam waszą dumę. Widziałem, jak upadniecie. Przez siedemset lat rządziliście ludzkością i tylko tyle nam daliście. To nie wystarczy. Dzisiaj ogłaszam koniec waszych rządów. Wasze miasta nie są wasze. Wasze statki nie są wasze. Wasze planety nie są wasze. Zostały stworzone dla nas. Należą do nas, to nasze wspólne dziedzictwo. Teraz je odbierzemy. Nieważne, jaką ciemność szerzycie, jaką noc możecie przywołać, będziemy się przeciw niej buntować. Będziemy wyć i walczyć do ostatniego tchu, nie tylko w kopalniach Marsa, ale na brzegach Wenus, na wydmach siarkowych mórz Io, w lodowych dolinach Plutona. Będziemy walczyć w wieżach Ganimedesa i w gettach na Lunie, na targanych sztor-

mami morzach Europy. A jeśli zginiemy, inni zajmą nasze miejsce, bo jesteśmy przypływowem. Jesteśmy jutrzeńką.

Wtedy Sevro uderza się pięścią w pierś. Raz. Drugi. Rytmicznie. Powtarza to jak echo dwustu Synów Aresa. Wałą pięściami w piersi. A potem Wyjce robią to samo.

W stalowych siatkach swoich klatek mężczyźni i kobiety uderzają pięściami w ściany, aż dźwięk jak bicie serca niesie się przez trzewia wampirzego księżyca. W górę, ku Ulom, gdzie Niebiescy piją kawę i studiują matematykę grawitacji w ciepłym świetle swoich intelektualnych Wspólnot. Przez koszary Szarych w każdym dystrykcie. Między Srebrnymi handlowcami siedzącymi przy biurkach. Pośród Złotych w dworach i na jachtach.

Niesie się poprzez atramentową czern, która oddziela nasze małe banieczki życia, a potem spada gwałtownie, ku salom samotnej fortecy w Attyce, gdzie Szakal siedzi na swoim zimowym tronie otoczony przez morze ugiętych karków. Tam nasz dźwięk tłucze się w jego uszach. Tam Szakal słyszy bicie serca mojej żony i nie może go powstrzymać, gdy spływa w dół, coraz niżej, do kopalni Marsa, i niesie się z ekranów. Czerwoni wałą pięściami w stoły, a Miedzianych zarządców ogarnia strach, gdy górnicy patrzą z nienawiścią przez więżące ich duroSzkło.

Jej serce bije buntowniczo na rojnych nadmorskich promenadach archipelagów Wenus, gdzie żaglówki wpływają dumnie do portu, a torby z zakupami zwieszają się w rękach przestraszonych Złotych, którzy zerkają na swoich kierowców, ogrodników, ludzi napędzających ich miasta. Biję nad blaszanymi dachami kantyn wśród pszenicznych i sojowych latyfundiów pokrywających Wielkie Równiny Ziemi, gdzie Czerwoni używają maszyn, harując pod ogromnym słońcem, żeby wykarmić ludzi, których nigdy nie poznają, w miejscach, do których nigdy nie trafiają. Biję wzdłuż kręgosłupa imperium, szaleje wśród kolczastego krajobrazu miasta Luny, przepływa przez Suwerenkę w jej wysokim szklanym azylu, żeby grzmieć i spływać po wijących się przewodach elektrycznych i sznurach do prania w Straconym Mieście, gdzie Różowa dziewczyna robi śniadanie po długiej nocy niewdzięcznej pracy; gdzie Brązowy kucharz odchyła się od pieca, żeby usłyszeć, jak tłuszcz pryska na jego fartuch, a Szary wygląda przez okno patrolowego skifu na Fioletową dziewczynę, która wyłamuje frontowe drzwi poczty, a jego terminal wzywa go z powrotem do komisariatu z powodu wdrożenia kryzysowych protokołów prewencji.

Bije też we mnie – ta straszliwa nadzieja. Wiem, że zaczął się koniec i wreszcie się przebudziłem.

– Zerwijcie okowy! – ryczę.

Moi ludzie odpowiadają rykiem.

– Ragnar – mówię przez system łączności. – Zaczynaj.

Zieloni przełączają transmisję. Wokół nas uderzają pięści i kołaczą klatki, a my widzimy odległe ujęcie wojskowej iglicy Wspólnoty na Fobosie. To architektoniczny goliat z pomostami cumowniczymi i przepastnymi zbrojowniami, praktyczny i paskudny jak krab. To stamtąd wyciąga się pięść, w której Szakał trzyma księżyc. To tam w bladym świetle Szarzy i Obsydianowi będą zakładać zbroje, pędzić metalowymi korytarzami w ciasnych rzędach, obwieszać pasy bronią, całować zdjęcia ukochanych, żeby potem zejść do Dziur i zatrzymać bicie tego serca. Jednak nigdy tu nie dotrą.

Bo kiedy pięści uderzają coraz mocniej w klatki, światła w wojskowej wieży gasną. Zasilanie zostało odłączone przez Rollo i jego ludzi, którym Żywe Srebro dostarczył karty dostępowe.

Moglibyśmy zbombardować budynek, ale chciałem śmiałego triumfu, dokonania, nie zniszczenia. Potrzebujemy bohaterów, nie kolejnego spopielonego miasta.

Dlatego w kadr wpływa mała eskadra skifów technicznych. Jest ich tuzin. To płaskie, paskudne pojazdy latające zaprojektowane do przewożenia Czerwonych i Pomarańczowych, takich jak Rollo, na place budów na wieżach. Pobrużdżone ogończe pokryte pąklami. Tyle że to nie pąkle do nich przywarły. Inna kamera pokazuje zbliżenie i widzimy, że każdy skif jest pokryty setkami ludzi: Czerwoni i Pomarańczowi w niezgrabnych skafandrach kosmicznych, prawie połowa Synów Aresa z Fobosa. Butami opierają się o pokład, uprząże wczepili do zewnętrznych klamer statku. Mają ze sobą sprzęt do spawania i broń od Żywego Srebra przyczepioną do nóg taśmami magnetycznymi.

Pośród nich stoi ich generał, Ragnar Volarus: dwie stopy wyższy od pozostałych, w zbroi świeżo pomalowanej na kościsty odcień bieli, z czerwonym sierpakiem na piersi i na plecach.

Skify zbliżają się do wojskowej wieży i rozpraszają się po całej jej długości. Synowie Aresa wystrzeliwiają magnetyczne harpuny w stal, żeby przycumować. A potem ruszają po linach z łatwością, jaką daje wieloletnia praktyka, lecą z niemożliwą wręcz szybkością, kiedy silniczki na klamrach

przyciągają ich jednego po drugim w stronę budynku. Jakbym oglądał Czerwonych w kopalni. Wdzięk i zwinność nawet w niezgrabnych kombinazonach olśniewa.

Ponad tysiąc spawaczy wlewa się do rozległych budynków tak jak wcześniej dostaliśmy się do wieży Żywego Srebra, ale oni nie silą się na dyskrecję i lepiej radzą sobie w nieważkości niż my. Magnetyczne buty przywierają do metalowych dźwigarów i Czerwoni śmigają po budynku, topiąc szyby i wchodząc do środka z ogromną ostrożnością. Dziesiątki z nich zostają rozerwane na strzępy, kiedy Szarzy strzelają z wnętrza przez szkło z broni elektromagnetycznej, ale Synowie Aresa odpowiadają ostrzałem i suną naprzód. Myśliwiec patrolowy skręca w stronę budynku i leci wzdłuż niego. Ostrzeliwuje dwa skify z broni maszynowej. Ludzie zamieniają się w mgiełkę.

Jeden z Synów wystrzeliwuje w myśliwiec rakietę. Ogień bucha i znika, a statek pęka na pół w strumieniu purpurowych płomieni.

Kamera obserwuje Ragnara, który wchodzi przez okno do korytarza i wpada rozpędzony na trzech Złotych rycerzy. Jednego rozpoznaję – to kuzyn Priama, którego Sevro zabił podczas Próby i którego matka ma akt własności Fobosa. Ragnar po prostu przechodzi przez młodego rycerza, nawet nie zwalniając. Wymachuje obiema brzytwami jak nożycami, wydając z siebie wojenny okrzyk swoich ludzi, a za nim pędzi stado ciężko uzbrojonych spawaczy i robotników. Powiedziałem mu, że chcę zająć tę wieżę. Nie powiedziałem mu, jak ma tego dokonać. Odszedł z Rollo, obejmując go ramieniem.

A teraz światy patrzą, jak niewolnik zostaje bohaterem.

– Ten księżyc należy do was! – ryczy Sevro do wzburzonego miasta klatek. – Powstańcie i weźcie go sobie! Powstańcie, mężczyźni Marsa! Powstańcie, kobiety Marsa! Parszywe łajdaki, powstańcie!

Mężczyźni i kobiety wychodzą z domów. Zakładają buty i kurtki. Przepychają się ku nam. Pełzną po zewnętrznych powierzchniach klatek. Tysiącami korkują powietrzne szlaki.

Przypływ wzbiera. Ogarnia mnie głęboka zgroza, gdy zastanawiam się, z jakim hukiem opadnie.

– Gwałt i mord na niewinnych będzie karany śmiercią. To jest wojna, ale wy stoicie po stronie dobra. Pamiętajcie o tym, wypierdki! Chrońcie swoich braci! Chrońcie swoje siostry! Wszyscy mieszkańcy sekcji 1a-4c: macie

zająć zbrojownię na poziomie 14. Mieszkańcy sekcji 5c-3f: zajmijcie centrum oczyszczania wody na...

Sevro przejmuje kontrolę nad bitwą, a Wyjce i Synowie Aresa rozpierchają się, żeby zorganizować tłum. To nie jest armia, tylko taran. Wielu zginie. A kiedy zginą, kolejni powstaną, żeby zająć ich miejsce. To tylko jedno z miast Fobosa. Synowie Aresa dostarczą broń, ale nie wystarczy jej dla wszystkich. Siła tych ludzi kryje się w ich liczbie. Sevro ich poprowadzi i wykorzysta, Victra w wieży Żywego Srebra będzie nimi kierować, księżyc ulegnie rebelii.

Mnie jednak tu nie będzie, żeby to oglądać.

Hic sunt leones

Fobos pogrąża się w chaosie. Wybuchy wstrząsają nim, kiedy Holiday i ja biegniemy korytarzami. Złoci i Srebrni ewakuują się z Igieł w swoich kosztownych luksusowych jachtach. Wiele kilometrów niżej w Dziurach roi się od podKolorów uzbrojonych w palniki spawalnicze, obcinaki termiczne, rury, czarnorynkowe miotacze i staroświeckie pistolety. Tłumy zalały sieć tramwajów i przejść, żeby dotrzeć do śródSektora i Igieł, podczas gdy garnizony wojskowe Wspólnoty zaskoczone napaścią na ich kwaterę główną ruszyły, żeby powstrzymać tę migrację w górę. Legiony mają po swojej stronie organizację i trening. My mamy przewagę liczebną i element zaskoczenia.

Nie wspominając już o furii.

Bez względu na to, ile posterunków Szarzy zablokują, ile tramwajów zniszczą, podKolory przesączą się przez szczeliny, bo dzięki Żywemu Srebru mamy sprzymierzeńców w szeregach śródKolorów. Otworzyli nieużywane już tunele transportowe, porwali statki towarowe z sektorów przemysłowych, wypełnili je ludźmi i skierowali ku luksusowym hangarom w Igłach, a nawet do publicznego Międzyplanetarnego Portu Kosmicznego Skyresh, gdzie właśnie ewakuanci wsiadają na wycieczkowce i statki pasażerskie.

Jestem zdalnie podpięty do sieci ochrony Żywego Srebra i obserwuję, jak nadKolory traturują się w panice. Niosą bagaże, precjoza i dzieci. Myśliwce i szturmowce marsjańskiej floty śmigają między wieżami, ostrzegają statki rebelianckie lecące z Dziur ku Igłom. Szczątki zniszczonych skifów podKolorów spadają na szklane kopuły i stalowe sklepienie terminalu Skyresh, zabijając cywilów i niszcząc wszelkie iluzje, jakie mogłem żywić w kwestii, że ta wojna będzie czysta.

Unikając tłumów podKolorów, Holiday i ja docieramy do opuszczonego hangaru wśród garaży dla starych frachtowców, nieużywanych od czasów

Augustusa. Panuje tu cisza. To zapomniane miejsce. Stare wejście dla pieszych zaspawano. Znaki ostrzegające przed promieniowaniem odstraszały potencjalnych amatorów grzebania w śmieciach. Jednak drzwi otwierają się dla nas z niskim jękiem, kiedy wbudowany w metal nowoczesny skaner siatkówki sprawdza moje oko. Tak jak zapowiedział Żywe Srebro.

Rozległy prostokąt hangaru jest pokryty kurzem i obwieszony pajęczynami. Pośrodku stoi srebrzysty, długi na siedemdziesiąt metrów luksusowy jacht przypominający wróbla w locie. To model zbudowany na zamówienie w Stocznjach Wenusjańskich, ostentacyjny, szybki, idealny dla obrzydliwie bogatego uchodźcy. Żywe Srebro wybrał go ze swojej floty, żeby pomóc nam wtopić się w tłum imigrantów z wyższej klasy. Tylne rampa załadunkowa jest opuszczona, wewnątrz wypełnione po brzegi czarnymi skrzynkami ostemplowanymi skrzydlatą stopą Sun Industries. W środku znajduje się warta miliardy kredytów najnowocześniejsza broń i inne wyposażenie.

Holiday aż gwiżdże przez zęby.

– Nie sposób nie kochać tak głębokich kieszeni. Samo paliwo kosztowałoby tyle, co moje roczne zarobki. Dwa razy tyle.

Przechodzimy przez hangar, żeby poznać pilota Żywego Srebra. Schludna, młoda Niebieska czeka u stóp rampy. Nie ma brwi i jest łysa. Kręte niebieskie linie pulsują pod jej skórą, subdermalne łączy synaptyczne synchronizują ją zdalnie ze statkiem. Staje na baczność, wytrzeszczając oczy.

– Jestem porucznik Vesta, dowódco. Będę dzisiaj pana pilotem. I muszę powiedzieć, że to zaszczyt gościć pana na pokładzie.

Jacht ma trzy poziomy: górny i dolny na użytek Złotych, środkowy dla kucharzy, służby i załogi. Są tu cztery prywatne kabiny, sauna i obite kremową skórą fotele w kabinie pasażerskiej z tyłu, za kokpitem. Na podłogach pieczołowicie ułożono filigranowe czekoladki i serwetki. Chowałam jedną czekoladkę do kieszeni. A potem jeszcze kilka.

Kiedy Holiday i Vesta przygotowują statek, zdejmuję zbroję impulsową w kabinie pasażerskiej i wypakowuję zimowy sprzęt z jednego z pudełek. Zakładam przylegającą do skóry nanotkaninę, która bardzo przypomina skarabSkórę. Różni się tym, że nie jest czarna, tylko kamuflażowa w różnych odcieniach bieli i wydaje się oleista – z wyjątkiem łokci, rękawiczek, pośladków i kolan, gdzie ma fakturę zapewniającą większą przyczepność. Została stworzona do polarnych temperatur i zanurzenia w wodzie. Jest też sto funtów lżejsza od zbroi impulsowej, odporna na awarie komponentów

cyfrowych i na dodatek nie wymaga baterii. Chociaż naprawdę lubię korzystać z techniki za czterysta milionów kredytów, to czasem ciepłe gatki są więcej warte. W dodatku zawsze można założyć zbroję impulsową, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Uderza mnie cisza w ładowni, kiedy kończę sznurować buty. Według zegarka na terminalu nadal mam jeszcze piętnaście minut, więc siadam na brzegu rampy, zwieszając nogi, i czekam na Ragnara. Wyjmuję czekoladkę z kieszeni i powoli odwijam ze sreberka. Odgryzam połowę, czekam, aż roztopi się powoli na języku. I jak zawsze tracę cierpliwość i zjadam drugą połówkę, jeszcze zanim się stopi pierwsza. Eo potrafiła cieszyć się batonikiem całymi dniami, jeśli mieliśmy dość szczęścia, żeby go zdobyć.

Odkładałem terminal na ziemię i patrzę na obraz z kamer na hełmach moich przyjaciół, którzy prowadzą moją wojnę na Fobosie. Ich rozmowy płyną z drżeniem z głośników terminala, niosą się echem w rozległym metalowym pomieszczeniu. Sevro jest w swoim żywiole, pędzi z setką Synów Aresa przez centrum sterowania wentylacją, ładują się do szybów. Mam wyrzuty sumienia, że siedzę i patrzę, ale wszyscy mamy swoje role do odegrania.

Drzwi, którymi weszliśmy, otwierają się z jękiem i do środka wchodzi Ragnar z dwoma Obsydianowymi Wyjcam. Świeżo po walce biała zbroja Ragnara jest powgniatana i poplamiona.

– Grzecznie się bawiłeś z głupcami, mój łaskawy panie? – wołam z rampy z bardzo mocnym akcentem typowym dla wysokiej mowy.

W odpowiedzi Ragnar rzuca mi poskręcane złote berło, oznakę władzy najwyższych rangą oficerów wojskowych. Zdobi je wrzeszcząca banshee i szkarłatny rozbryzg.

– Wieża upadła – oznajmia Ragnar. – Rollo i Synowe Aresa kończą moje zadanie. To są plamy po podgubernatorce Priscilli au Caan.

– Dobra robota, przyjacielu – mówię, biorąc w ręce berło.

Wyrzeźbiono na nim dokonania rodu Caan, który posiadał dwa księżyce Marsa i kiedyś sprzymierzył się z Belloną podczas wojny. Wśród wielkich wojowników i mężów stanu rozpoznaję młodego człowieka stojącego obok konia.

– Coś nie tak?

– Nie. Po prostu znałem jej syna. Priama. Sprawiał wrażenie względnie przyzwoitego.

– Przyzwoity to za mało – odpowiada ze smutkiem Ragnar. – Nie w ich świecie.

Stękając, wyginam berło na kolanie i odrzucam mu z powrotem, wyrażając tym moją zgodę z jego zdaniem.

– Daj je swojej siostrze. Czas lecieć.

Rozgląda się po hangarze, marszczy brwi, sprawdza swój terminal i mijając mnie, wchodzi do ładowni. Próbuję zetrzeć z nogawki mojego białego stroju krew, która skapała z berła. Tylko rozmazuje się na oleistej tkaninie i zostawia mi czerwony pasek na udzie. Zamykam za sobą rampę. W środku pomagam Ragnarowi zdjąć zbroję impulsową, daję mu przebrać się w strój zimowy, a sam idę do Holiday i Vesty, które zaczynają procedurę startową.

– Pamiętaj, jesteśmy uchodźcami. Celuj w największy konwój, który stąd wylatuje, i trzymaj się go.

Vesta kiwa głową.

To stary hangar, więc nie ma pola impulsowego. Od kosmosu oddzielają nas tylko wysokie na pięć pięter stalowe drzwi. Rozlega się łoskot, gdy ich połówki zaczynają się chować w sufit i podłogę.

– Stój! – mówię.

Vesta sekundę po mnie dostrzega, co zwróciło moją uwagę, i jej ręka błyskawicznie sięga do panelu sterującego, żeby zatrzymać drzwi, zanim otworzą hangar na próżnię.

– Niech mnie szlag – mówi Holiday, zerkając z kokpitu na małą postać, która blokuje nam ścieżkę w kosmos. – To lew.

* * *

Mustang stoi przed statkiem oświetlona naszymi przednimi światłami. Jej włosy wydają się białe w oślepiającym blasku. Mruga, kiedy Holiday w kokpicie wyłącza reflektory, a ja idę do niej przez półmrok hangaru. Jej żywe oczy rozbierają mnie na części, gdy się zbliżam. Patrzą na pozbawione Pieczęci ręce i na bliznę, którą zachowałem na twarzy. Co właściwie widzi?

Czy widzi moją determinację? Mój strach?

Ja w niej dostrzegam tak wiele. Dziewczyna, w której się zakochałem pośród śniegów, przepadła i zastąpiła ją w ciągu ostatnich piętnastu miesięcy kobieta. Chuda, zasadnicza przywódczyni o wielkiej, nieugiętej sile

i niepokojącym intelekcie. Ruchliwe oczy, podkrążone ze zmęczenia, uwięzione w twarzy pobladłej z powodu długich dni na ziemiach bez słońca i w metalowych korytarzach. Wszystko, czym jest, mieszka za tymi oczami. Ma umysł swojego ojca. Twarz swojej matki. I chłodną, złowrobną inteligencję, która może dać człowiekowi skrzydła albo zmiażdżyć go o ziemię.

A tuż przy jej biodrze wisi widmo Płaszcz z jednostką chłodzącą.

Obserwowała nas, odkąd przybyliśmy.

Jak się dostała do hangaru?

– Heja, Żniwiarz – rzuca żartobliwie, kiedy przystaję.

– Heja, Mustang. – Rozglądam się po hangarze. – Jak mnie znalazłaś?

Marszczy brwi skonsternowana.

– Myślałam, że chcesz, żebym przyszła. Ragnar powiedział Kavaxowi, gdzie cię znajdę... – Urywa. – Hmm. Nie wiedziałeś.

– Nie. – Oglądam się na lustrzane okna kokpitu.

Ragnar na pewno stoi tam i mnie obserwuje. Zagalopował się. Kiedy ja przygotowywałam wojnę, on działał za moimi plecami i zagroził mojej misji. Teraz dokładnie wiem, jak poczuł się Sevro.

– Gdzie byłeś? – pyta Mustang.

– U twojego brata.

– Czyli egzekucja była podstępem, byśmy przestali cię szukać.

Jest znacznie więcej do powiedzenia, wiele pytań i oskarżeń mogłoby się posypać między nami. Jednak nie chciałem się z nią zobaczyć, bo nie wiem, od czego zacząć. Co powiedzieć. O co prosić.

– Nie mam czasu na towarzyskie pogaduszki. Wiem, że przyleciałaś na Fobosa, żeby poddać się Suwerence. Dlaczego teraz rozmawiasz ze mną?

– Nie traktuj mnie z góry – odpowiada ostro. – Nie kapitulowałam, tylko zawierałam pokój. Nie ty jeden masz ludzi, których chcesz chronić. Mój ojciec rządził Marsem przez dziesięciolecia. Jego mieszkańcy są w równym stopniu częścią mnie, co ciebie.

– Zostawiłaś Marsa na łasce swojego brata.

– Zostawiłam Marsa, żeby go ocalić – poprawia mnie. – Wiesz, że wszystko jest kompromisem. A poza tym wiesz także, że nie chodzi o Marsa. Jesteś zły, bo zostawiłam ciebie.

– Musisz zejść mi z drogi, Mustang. Tu nie chodzi o nas. A ja nie mam czasu na sprzeczki. Wylatuję. Więc albo się odsuniesz, albo otworzymy drzwi i przelecimy przez ciebie.

– Przeze mnie? – Śmieje się. – Wiesz, że nie musiałam przyjść sama. Mogłam wziąć ochronę. Mogłam przygotować zasadzkę. Albo donieść na ciebie Suwerence, żeby ratować szansę na pokój, którą zniszczyłeś. Niczego takiego nie zrobiłam. Możesz zatrzymać się na jedną chwilę, żeby zastanowić się dlaczego? – Robi krok do przodu. – Powiedziałeś mi w tamtym tunelu, że chcesz lepszego świata. Nie widzisz, że cię słuchałam? Że dołączyłam do Władców Księżyców, ponieważ wierzę w coś lepszego?

– A mimo to skapitulowałam.

– Bo nie mogłam dłużej patrzeć na rządy terroru mojego brata. Chciałam zawrzeć pokój.

– To nie jest czas na pokój.

– Psiakrew, jesteś tępą, wiem. Dlaczego twoim zdaniem tu jestem? Jak myślisz, dlaczego pracowałam z Orion i zostawiłam twoich żołnierzy na posterunkach?

Przyglądam się jej.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Jestem tu, bo chcę w ciebie uwierzyć, Darrow. Chcę wierzyć w to, co powiedziałeś w tamtym tunelu. Uciekłam przed tobą, bo nie chciałam zaakceptować tego, że jedyną odpowiedzią jest miecz. Jednak świat, w którym żyjemy, spiskował, żeby odebrać mi wszystko, co kochałam. Matkę, ojca, braci. Nie pozwolę mu odebrać przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali. Nie pozwolę, żeby odebrał mi ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mówię, że nie spuszczę cię z oka. Lecę z tobą.

Teraz to moja kolej, żeby się roześmiać.

– Nawet nie wiesz, dokąd się udaję.

– Masz na sobie fokoSkórę. Na pokładzie jest Ragnar. Ogłosiłeś otwartą rebelię. A teraz wylatujesz podczas największej bitwy, jaką to powstanie widziało. Naprawdę, Darrow, nie trzeba geniusza, by wydedukować, że wykorzystasz ten statek, żeby uciec, udając Złotego uchodźcę, polecieć do Wieżyc Walkirii i tam błagać matkę Ragnara, żeby dała ci armię.

Szlag. Staram się nie zdradzać zaskoczenia.

Dlatego właśnie nie chciałem wciągać w to Mustang. Zaproszenie jej do grupy oznacza dołożenie dodatkowego wymiaru, nad którym nie mam kontroli. Może zniszczyć mój plan zwyczajnie kontaktując się z bratem albo Suwerenką i mówiąc im, dokąd lecę. A cała rzecz w tym, żeby odwrócić ich

uwagę. Wrogowie mają sądzić, że jestem na Fobosie. Mustang wie, co myślę. Nie mogę pozwolić jej opuścić tego hangaru.

– Telemanusowie też wiedzą – uprzedza, znając moje myśli – ale mam dość obmyśliwania zabezpieczeń w związku z tobą. Mam dość gier. Ty i ja odpychaliśmy się wzajemnie z powodu zawiedzionego zaufania. Nie masz tego dość? Nie masz dość sekretów między nami? Poczucia winy?

– Wiesz, że tak. Wyjawiłem ci swoje tajemnice w tunelach w Lykos.

– Więc niech to będzie nasza druga szansa. Dla ciebie. Dla mnie. Dla naszych ludzi po obu stronach. Chcę tego co i ty. Czy kiedykolwiek przegraliśmy, gdy byliśmy sprzymierzeni? Razem możemy coś wybudować, Darrow.

– Sugerujesz sojusz... – mówię cicho.

– Tak. – Jej oczy płoną. – Potężne rody Augustus, Telemanus i Arcos sprzymierzą się z Powstaniem. Ze Żniwiarzem. Z Orion i wszystkimi jej okrętami. Wspólnota zdradzi.

– Miliony zginą w tej wojnie – przypominam. – Wiesz o tym. Niezrównani Naznaczeni będą walczyć do ostatniego Złotego. Przełkniesz to? Możesz na to patrzeć?

– Żeby budować, musimy niszczyć. Słuchałam.

Mimo to kręcę głową. Zbyt dużo trzeba przezwyciężyć między nami i między naszymi ludźmi. To byłoby połowiczne zwycięstwo, na jej warunkach.

– Jak mogę prosić moich ludzi, żeby zaufali armii Złotych? Jak mógłbym zaufać tobie?

– Nie możesz. Dlatego lecę z tobą. Żeby ci dowieść, że wierzę w marzenie twojej żony. Musisz jednak dowieść też czegoś mnie: że jesteś godny mojego zaufania. Wiem, że potrafisz niszczyć. Teraz muszę zobaczyć, że potrafisz także budować. Muszę zobaczyć, co wybudujesz. Czy krew, którą przelejemy, czemuś posłuży. Dowiedź tego, a będziesz miał mój miecz. Zawieź, a każde z nas pójdzie w swoją stronę. – Przekrzywia głowę, patrząc na mnie. – Co więc powiesz, piekłonurku? Chcesz spróbować raz jeszcze?

Exodus

Pomagam Mustang rozpiąć zbroję impulsową w ładowni.

– Sprzęt zimowy jest tutaj. – Wskazuję wielkie plastikowe pudło. – Buty znajdziesz tu.

– Żywe Srebro dał ci klucze do swojej zbrojowni? – pyta, przyglądając się skrzydlatej stopie na pudłach. – Ile palców za to stracił?

– Ani jednego. Jest Synem Aresa.

– Co takiego?

Szczerzę zęby w uśmiechu. To pocieszająca świadomość, że świat nie jest dla niej otwartą księgą. Silniki dudnią, kiedy statek podnosi się pod nami.

– Ubierz się i dołącz do nas w kabinie.

Zostawiam ją, żeby przebrała się w spokoju. Byłem bardziej szorstki, niż chciałem. Jednak uśmiechanie się w jej obecności wydawało mi się dziwne. Znajduję Ragnara rozpartego w fotelu w kabinie pasażerskiej i zjadającego czekoladki. Opiera białe buty na sąsiednim podłokietniku.

– Bez urazy, ale co ty, u diabła, wyprawiasz? – pyta mnie Holiday. Stoi z rękami skrzyżowanymi na piersi między kokpitem a kabiną pasażerską. – Dowódco – dodaje po chwili.

– Podejmuję ryzyko. Wiem, że to może wydawać ci się dziwne, Holiday, ale łączy mnie z Mustang długa historia.

– Ona jest ucieleśnieniem elity. Gorzej nawet niż Victra. Jej ojciec...

– Zabił moją żonę – przypominam. – Jeśli więc ja mogę to przełknąć, to ty także.

Holiday ze świstem wypuszcza powietrze z płuc i wraca do kokpitu, niezadowolona z naszego nowego sojusznika.

– Zatem Mustang dołączyła do naszej misji – odzywa się Ragnar.

– Ubiera się – odpowiadam. – Nie miałeś prawa wypuścić Kavaxa. Już nie wspomnę o mówieniu mu, gdzie będziemy. A gdyby nas zdradzili?

Gdyby urządzili zasadzkę? Więcej nie zobaczyłbyś swojego domu. Jeśli się dowiedzą, że tam jesteśmy, nigdy nie pozwolą twoim ludziom opuścić powierzchni Marsa. Zabiją wszystkich. Pomyślałeś o tym?

Zjada kolejną czekoladkę.

– Człowiek myśli, że potrafi latać, ale boi się skoczyć. Zły przyjaciel go wypycha. – Patrzy na mnie. – Dobry przyjaciel skacze razem z nim.

– Czytałeś *Kamiennobrzuchego*, co?

Kiwa głową.

– Theodora dała mi tę książkę. Lorn au Arcos był wielkim człowiekiem.

– Ucieszyłby się, że tak myślisz, ale przyjmuj wszystko to z odrobiną rezerwy. Biograf pozwolił sobie na pewną swobodę. Zwłaszcza w opisie początków jego życia.

– Lorn powiedziałby ci, dlaczego jej potrzebujemy. Teraz, podczas wojny. I potem, w czasie pokoju. Jeśli nie ściągniemy jej do naszej sprawy, nie wygramy, dopóki wszyscy Złoci nie zginą. A nie po to walczę.

Wstaje, żeby powitać Mustang, która do nas dołącza. Ostatnim razem, gdy stali twarzą w twarz, ona celowała z broni w jego głowę.

– Ragnarze, nie marnowałeś czasu, odkąd ostatnio cię widziałam. Nie ma Złotego, który nie znałby twojego imienia i nie czuł strachu. Dziękuję za uwolnienie Kavaxa.

– Rodzina jest droga sercu – mówi Ragnar – ale ostrzegam cię. Lecimy na moje ziemie. Jesteś pod moją ochroną. Jeśli będziesz posługiwała się swoimi sztuczkami, prowadziła gierki, utracisz tę ochronę. A nawet ty nie przetrwasz na lodzie beze mnie, córko lwa. Rozumiesz?

Mustang pochyła głowę z szacunkiem.

– Rozumiem. I odpłacę ci za twoją wiarę, Ragnarze. Obiecuję.

– Dość pogawędek. Czas zapiąć pasy – warczy z kokpitu Holiday.

Vesta zsynchronizowała się ze statkiem i powoli wysuwa się z hangaru. Znajdujemy sobie miejsca. Mamy dwadzieścia do wyboru, ale Mustang siada obok mnie na fotelu z lewej strony. Niechący muska ręką moje biodro, kiedy sięga po uprząż bezpieczeństwa.

Nasz statek wylatuje z hangaru i w ciszy szybuje w próżnię mrocznego, podskórnego przemysłowego świata Fobosa. Rury, lądowiska i wysypiska śmieci ciągną się jak okiem sięgnąć. Odcięte od gwiazd i światła słońca. Niewiele statków tak pięknych jak nasz kiedykolwiek zapięło się tak głęboko pod powierzchnię Fobosa. Słowo „podSektor” wymalowano białą farbą na przemysłowym węźle transportowym, gdzie ludzie wlewają się na

pokład statków, które mozolnie oddalają od tego mrocznego świata ku bramie sektora wyłamanej przez Synów Aresa.

Nasz smukły jacht mija mieszaninę pojazdów – powolnych śmieciarek i frachtowców. W ich pozbawionych okien wnętrzach, w brudnych stalowych komorach przycupnęli razem w milczeniu mężczyźni i kobiety. Pot zalewa im plecy. Dłonie się trzęsą, gdy trzymają nieznajome przedmioty: broń. Modlą się, żeby okazali się równie dzielni, jak zawsze sobie wyobrażali, że są. Potem wylądują w hangarze jakiegoś Złotego. Synowie Aresa będą wykrzykiwali rozkazy. Drzwi otworzą się i ludzie wyjdą wojnie na spotkanie.

Modłę się w duchu za nich, zaciskając dłonie, kiedy wyglądam przez okno. Czuję, że Mustang mnie obserwuje. Sonduje targające mną ukryte nurty.

Wkrótce opuścimy przemysłowy sektor Stosów, mroczne zakamarki zamienimy na neonowe reklamy, które zalewają kosmiczne bulwary śródSektora. Stworzone ludzką ręką kaniony ze stali. Tramwaje. Windy. Apartamenty. Każdy połączony z siecią ekran został przejęty przez hakerów Żywego Srebra i pokazuje Sevro i Synów Aresa pokonujących bramki ochrony i posterunki, malujących kosy na ścianach.

Wokół nas wrze trzydziestomilionowe miasto. Kosmiczne statki pasażerskie wyprzedzają małe cywilne taksówki i jednostki przeznaczone do lotów między budynkami. Frachtowce wznoszą się z Dziur przez śródSektor ku Igłom. Grupa myśliwców poluje na ulicach nad nami. Wstrzymuję oddech. Jeden ruch palca na spuście mógłby roznieść nas na strzępy. Oni jednak nie atakują. Odbierają nadKolorowy kod identyfikacyjny statku, wywołują nas i proponują, że odeskortują nas ze strefy walk do strumienia jachtów i skifów, które bezgłośnie oddalają się od księżycy w blasku swoich silników.

– Poruszająca przemowa – mruczy przez głośniki statku Victra, kiedy odbieram rozmowę z wieży Żywego Srebra. Jej znudzony ton kłóci się z toczącym wojnę światem wokół nas. – Błazen i Brzydał właśnie zajęli główne terminale Skyresh. Ludzie Rollo przejęli zbiorniki wody dla śródSektora. Sieć Żywego Srebra przekazuje relacje aż na Lunę. Wszędzie pojawiają się kosy. Doszło do rozruchów w Agei, Koryncie, wszędzie na Marsie. To samo słyhać z Ziemi i Luny. Budynki municypalne padają. Komisarjaty policji płoną. Przebudziłeś motłoch.

– Wkrótce przyjdzie kontruderzenie.

– Tak jak powiedziałeś, kochanie. Zmasakrowaliśmy pierwsze siły przysłane przez Szakala. Złapaliśmy paru Kościarzy, tak jak chcieliśmy. Niestety nie mamy ani Lilath, ani Oset.

– Szlag. Ale warto było spróbować.

– Flota Marsjańska leci z Dejmosa. Legiony nadchodzą, a my jesteśmy w trakcie ostatnich przygotowań.

– Świetnie. Świetnie, Victra. Musisz powiadomić Sevro, że dołączyliśmy jeszcze jedną osobę do naszej ekspedycji. Mustang jest z nami.

Zapada cisza.

– Jestem na prywatnej linii? – pyta Victra.

Holiday rzuca mi z kokpitu słuchawki. Zakładam je.

– Teraz już tak – odpowiadam. – Nie popierasz tego.

– Powiem ci, co myślę. – Gorycz w głosie Victry jest przenikliwa. – Nie możesz jej ufać. Spójrz na jej brata. Na jej ojca. Chciwość płynie w jej krwi. Oczywiście, że się z nami sprzymierzy. To odpowiada jej celom. – Obserwuję Mustang, kiedy Victra mówi dalej. – Potrzebuje nas, bo przegrywa wojnę. Ale co się stanie, kiedy damy jej to, czego potrzebuje? Co będzie, kiedy staniemy jej na drodze? Będziesz w stanie ją załatwić? Będziesz w stanie pociągnąć za spust?

– Tak.

* * *

Słowa Victry dźwięczą mi w uszach, kiedy mijamy gigantyczne szklane wieże Fobosa. Nasz kokpit sunie kilkanaście metrów nad szybami budynków. Wewnątrz kotłują się małe światy szaleństwa. Powstanie dotarło do Igieł w tej części miasta. Niepowstrzymane podKolory napierają korytarzami. Szarzy i Srebrni barykadują drzwi. Różowi z nożami w rękach stoją w sypialni nad starym krwawiącym Złotym i jego żoną. Trójka Srebrnych dzieci ogląda Aresa na holo wielkości ściany, a ich rodzice rozmawiają w bibliotece. I wreszcie Złota kobieta w chabrowej jak niebo koktajlowej sukience stoi przy oknie, kiedy Synowie Aresa rozbiegają się po budynku, wiele poziomów poniżej jej penthouse'u. Pograżona we własnym dramacie przystawia sobie miotacz do głowy. Ciało ma sztywne w imaginowanym majestacie. Zaciska palec na spuście.

A my przelatujemy dalej, zostawiamy jej życie i chaos za sobą, żeby dołączyć do nurtu jachtów i statków wycieczkowych, które uciekają z bitwy

ku bezpiecznym przystaniom innych planet. Większość uchodźców ma dom na Marsie. Ich statki, w przeciwieństwie do naszego, nie są przystosowane do lotów w głębokim kosmosie. Teraz rozsypują się nad atmosferą planety jak płonące ziarna, większość opada prosto do portu kosmicznego w Koryncie pod nami, pośrodku Morza Termicznego. Inne suną chaotycznie przed siebie, nie zważając na wyznaczone szlaki tranzytowe, mijają pośpiesznie ustawione przez Szakala blokady i poziom satelitów, lecąc w stronę domów na drugiej półkuli. Myśliwce i osy z wojskowych fregat rozbłyskują za nimi, próbując zagonić je na wyznaczone szlaki. Jednak poczucie uprzywilejowania i chaos to kiepska mieszanka. Szaleństwo ogarnia uciekających Żółtych.

– *Dydona* – mruczy do siebie Mustang, przyglądając się szklanemu statkowi w kształcie żaglówki za naszą sterburtą. – Statek Drusilli au Ran. Uczyła mnie malować akwarelami, gdy byłam mała.

Ja jednak patrzę dalej, na paskudne okręty, które nie mają kosztownych kadłubów ani wymyślnych sylwetek luksusowych jednostek. Pędzą ku Fobosowi. To ponad połowa marsjańskiej floty obronnej. Fregaty, dewastatory, niszczyciele. Są nawet dwa drednoty. Zastanawiam się, czy Szakal jest na mostku któregoś z nich. Raczej nie. To pewnie Lilath dowodzi oddziałem albo jakiś inny pretor mianowany niedawno za czasów jego reżimu. Antonię wysłano do pomocy Roque'owi na Obrzeżu. Te okręty będą pełne zawodowych żołnierzy, ludzi równie twardych jak my. Wielu z nich brało udział w moim Żelaznym Deszczu. Przejdą przez tłum, który wezwałem pod swoje sztandary we wnętrzu Fobosa, jak przez papier. Będą wściekli i pewni siebie.

Im więcej ich, tym lepiej.

– To pułapka, prawda? – pyta cicho Mustang. – Nigdy nie zamierzałeś utrzymać Fobosa.

– Wiesz, jak plemiona Inuitów zabijały wilki? – pytam. Nie wie. – Jako wolniejsi i słabsi od wilków, ostrzyli noże tak, że były ostre jak brzytwy, mazali je we krwi i wbijali ostrzem do góry w lód. Potem wilki przychodziły i zlizywały krew. Wygłodniały wilk liże coraz szybciej i nie zdaje sobie sprawy, że pije własną krew, dopóki nie jest za późno. – Ruchem głowy wskazuję mijający nas okręt. – Nie mogą znieść myśli, że byłem jednym z nich. Jak myślisz, ilu najlepszych żołnierzy wyślą na Fobosa, żeby zabić mnie: największą hańbę kalającą ich chwałę? Pycha znowu doprowadzi do upadku twojego Koloru.

– Ty chcesz, żeby trafili na stację – mówi. Już rozumie. – Bo nie potrzebujesz Fobosa.

– Tak jak powiedziałaś, lecę do Wieżyc Walkirii po armię. Nawet jeśli ty i Orion macie resztki mojej floty, będę potrzebował więcej okrętów. Sevro czeka w centrum wentylacyjnym hangarów. Kiedy desant wyląduje, żeby odbić wieżę wojskową i Igły, zostawią w hangarach swoje promy. Wtedy Sevro wyjdzie z kryjówki, porwie je i wróci do domu na ich okrętach wypełnionych wszystkimi Synami, jacy nam zostali.

– Naprawdę myślisz, że zapanujesz nad Obsydianowymi?

– Nie ja. On. – Kiwam głową na Ragnara. – Żyją w strachu przed swoimi „Bogami” w Komisji Kontroli Jakości na stacji Asgard. Przed Złotymi w zbrojach bawiącymi się w Odyna i Freję. Tak jak ja żyłem w strachu przed Szarymi w Garncu. Tak jak my baliśmy się rewizorów. Ragnar pokaże im, jak śmiertelni są naprawdę ich Bogowie.

– W jaki sposób?

– Zabijemy ich – odpowiada Ragnar. – Wysłałem przodem przyjaciół, wiele miesięcy temu, żeby głosili prawdę. Wrócimy do mojej matki i siostry jako bohaterowie i osobiście powiem im, że ich bogowie są fałszywi. Pokażę im, jak się lata. Dam im broń i ten statek zabierze ich do Asgardu, który podbijemy, tak jak Darrow podbił Olimp. A potem wyzwolimy inne plemiona i zabierzemy je z tej ziemi na statkach Żywego Srebra.

– I po to jest ci potrzebna ta przeklęta zbrojownia, którą wieziemy – domyśla się Mustang.

– Co o tym myślisz? Da się to zrobić?

– To szaleństwo – odpowiada, chociaż jest pod wrażeniem śmiałości planu. – Ale wykonalne. O ile Ragnar rzeczywiście jest w stanie nad nimi zapanować.

– Nie będę panować. Będę dowodzić – zapowiada z cichym przekonaniem Ragnar.

Mustang przez chwilę go podziwia.

– Wierzę.

Patrzą na niego, gdy wygląda przez okno. Co się dzieje za tymi ciemnymi oczami? Pierwszy raz mam wrażenie, że czegoś mi nie mówi. Już raz mnie zwiódł, kiedy uwolnił Kavaxa. Co jeszcze planuje?

Słuchamy w napięciu fal radiowych wypełnionych prośbami kapitanów jachtów o zezwolenie na lądowanie na wojskowych frachtowcach zamiast na planecie. Wykorzystują znajomości. Proponują łapówki. Pociągają za

sznurki. Płaczą i błagają. Cywile odkrywają, że ich miejsce na tym świecie jest mniejsze, niż sobie wyobrażali. Nie liczą się. Podczas wojny ludzie tracą to, co czyniło ich wielkimi. Swoją kreatywność. Mądrość. Radość. I pozostaje z nich tylko ich użyteczność. Wojna nie jest potworna dlatego, że zamienia ludzi w trupy, ale dlatego, że zamienia ich w maszyny do robienia trupów. I biada tym, którzy nie nadają się w wojnie do niczego poza karmieniem tych maszyn.

Nieźrównani Naznaczeni znają tę zimną prawdę. Trenowali od wieków do tej nowej epoki wojny. Zabijali podczas Próby. Zmagali się z ubóstwem w Instytucie, żeby mieć swoją wartość, kiedy nadejdzie wojna. Nastał czas, żeby Piksy o zasobnych kieszeniach i kosztownych gustach poznały realia życia: nie liczysz się, o ile nie umiesz zabijać.

Rachunek, jak często mawiał Lorn, przychodzi na końcu. I teraz Piksy płacą.

Głos Złotej pretorki rozbrzmiewa w głośnikach naszego statku: rozkazuje jednostkom uchodźców powrócić na wyznaczone szlaki tranzytowe i trzymać się z dala od okrętów wojennych floty, bo inaczej zostaną ostrzelane. Pretorka nie może pozwolić, żeby nieautoryzowane jednostki znalazły się w promieniu stu kilometrów od jej okrętu. Mogą mieć bomby na pokładzie. Mogą wieść Synów Aresa. Dwa jachty ignorują ostrzeżenia i zostają rozniesione na strzępy, kiedy jeden z krążowników strzela z dział EM w ich kadłuby. Pretorka powtarza rozkaz. Tym razem zostaje wypełniony. Zerkam na Mustang i zastanawiam się, co o tym myśli. Co myśli o mnie. Żałuję, że nie jesteśmy w jakimś spokojniejszym miejscu, gdzie nie angażowałoby nas tysiąc różnych rzeczy. Gdzie mógłbym zapytać ją o jej sprawy, a nie o wojnę.

– Mam wrażenie, że to koniec świata – odzywa się.

– Nie. – Kręcę głową. – To początek nowego. Muszę w to wierzyć.

Planeta pod nami jest niebieska i usiana bielą, kiedy udajemy, że lecimy zgodnie z wyznaczonymi współrzędnymi wzdłuż równika na zachodniej półkuli. Maleńkie zielone wysepki okolone złotymi plażami mrugają do nas z indygowych wód Morza Termalnego. W dole statki ciskają się i płoną, uderzając w atmosferę przed nami. Jak fosforowe petardy, którymi bawiłem się z Eo jako dziecko, szarpią się spazmatycznie i jarzą na pomarańczowo, a potem na niebiesko, gdy żar spowodowany tarciem narasta na ich tarczach. Nasza Niebieska odwraca nas od nich, leci za grupą statków, które oderwały się od głównego nurtu, żeby skierować się do swoich domów.

Wkrótce Fobos znajduje się pół planety za nami. W dole przepływają kontynenty. Jeden po drugim statki opadają, aż zostajemy sami w swojej podróży na niecywilizowany biegun. Przelatujemy obok kilku tuzinów satelitów Wspólnoty, które monitorują najbardziej południowy kontynent. One również zostały zhakowane i teraz przesyłają w kółko informacje sprzed trzech lat. Na razie jesteśmy niewidzialni – nie tylko dla naszych wrogów, ale także dla przyjaciół. Mustang wychyla się z fotela, zerkając w stronę kokpitu.

– Co to? – Wskazuje ekran czujników.

Za nami leci pojedyncza kropka.

– Kolejny statek uchodźców z Fobosa – odpowiada pilotka. – Cywilny. Nieuzbrojony.

Jednak zbliża się szybko. Leci dwieście kilometrów za nami.

– Jeśli to jednostka cywilna, to czemu nie pojawiła się po prostu na naszych sensorach? – pyta Mustang.

– Może ma osłonę. Absorbery – odpowiada znużonym tonem Holiday.

Statek zbliża się na czterdzieści kilometrów. Coś tu nie gra.

– Cywilne maszyny nie mają takiego przyśpieszenia – zauważa Mustang.

– Nurkuj – mówię. – Wprowadź nas w atmosferę. Holiday, do broni.

Niebieska przełącza się na protokoły defensywne, zwiększa naszą prędkość, wzmacnia tarcze rufowe. Uderzamy w atmosferę. Żeby mi grzechoczą. Elektroniczny głos sugeruje pasażerom, żeby usiedli na swoich miejscach. Holiday wstaje chwiejnie i mija nas pośpiesznie, żeby usiąść przy działku rufowym. A potem rozlegają się syreny alarmowe, kiedy statek za nami zmienia się na ekranie radarowym i ostre kontury ukrytej broni pojawiają się na wcześniej gładkim kadłubie. Wchodzi za nami w atmosferę i strzela.

Nasza pilotka wykręca chude ręce w żeloSterach. Żołądek mi się szarpie. Hipersoniczne pociski ze zubożonym uranem rozdzierają płótno chmur i lodową powierzchnię planety, rozgrzewając się do czerwoności w locie. Nasz statek szarpie się, kiedy uderzamy w atmosferę. Pilotka kontynuuje uniki, porusza palcami w elektrożelu ze spokojną twarzą, skupiona na tańcu, który prowadzi ze ścigającym nas statkiem. Jej wzrok błądzi teraz daleko od ciała. Jedna kropelka potu perli się na jej prawej skroni i spływa ku zuchwie. A potem rozmazana szara plama – Vesta – wpada do kokpitu i eksploduje fontanną mięsa. Obryzguje krwią iluminatory i moją twarz.

Pocisk z uranem pozbawia ją górnej połowy ciała, a potem przebija podłogę i znika. Drugi pocisk, wielkości głowy dziecka, z wyciem przerzyna się przez statek pomiędzy mną i Mustang. Wybija dziury w podłodze i suficie. Wiatr zawodzi przeraźliwie. Maski tlenowe spadają nam na kolana. Syreny alarmowe wyją, kiedy powietrze ucieka ze statku, szarpiąc nas za włosy. Widzę czernię oceanu przez dziurę w podłodze i gwiazdy przez otwór w suficie, którędy ucieka nasz tlen. Nasz prześladowca nie przestaje ostrzeliwać naszego umierającego jachtu. Kulę się przerażony, osłaniając głowę rękami, zaciskając zęby. Wszystko, co we mnie ludzkie, wrzeszczy.

Złowrogi i nieludzki śmiech dudni tak głośno, że biorę go za dźwięk szalejącego wiatru. To jednak Ragnar, który odchyła głowę do tyłu i śmieje się do swoich bogów:

– Odyn wie, że nadchodzimy, aby go zabić. Nawet fałszywi bogowie nie umierają łatwo!

Podrywa się z siedzenia i biegnie korytarzem, śmiejąc się jak szaleniec. Nie słucha, kiedy wołam, żeby siadał. Pociski mijają go z szeptem.

– Nadchodzę, Odynie! Idę po ciebie!

Mustang zakłada maskę tlenową i odpina uprząż bezpieczeństwa, zanim zdążę zebrać myśli. Statek szarpie się i Mustang uderza w sufit i w podłogę z taką siłą, że roztrzaskałby sobie czaszkę, gdy nie była Aureusem. Krew leje jej się z czoła, z rozcięcia przy linii włosów. Łapie się podłogi, czeka, aż statek obróci się znowu, żeby wykorzystać grawitację i spaść na fotel drugiego pilota. Łąduje niezręcznie, wpada na podłokietnik, ale udaje jej się usiąść i zapiąć pasy. Kolejne światła ostrzegawcze pulsują na złanej krwi konsoli. Wyglądam na korytarz i widzę, że Holiday i Ragnar nadal żyją, ale w tej samej chwili trzy pociski niszczą pomieszczenie za nami. Zęby mi dzwonią w czaszce, żołądek wibruje razem z kieliszkami do szampana, które stoją w szafce na lewo ode mnie. Nie mogę nic zrobić poza tym, że trzymam się podłokietników, kiedy Mustang próbuje powstrzymać nasz upadek z orbity. Żelowa uprząż fotela zaciska się mocniej na mojej klatce piersiowej. Czuję, jak miażdży mnie przyśpieszenie. Czas zwalnia, kiedy świat pod nami nabrzmiewa. Przebiliśmy się przez chmury. Na czujnikach widzę, jak coś małego wylatuje z naszego jachtu i zderza się ze statkiem, który nas śledzi. Bucha światło. Śnieg, góry i kry lodowe rosną, aż nie widzę niczego poza nimi przez zniszczone okno kokpitu. Wiatr wyje, przeraźliwie mroźny na mojej twarzy.

– Przygotujcie się na zderzenie! – woła Mustang, przekrzykując wicher. – Za pięć...

Spadamy ku krom dryfującym na środku morza. Na horyzoncie krwawa wstęga przepasuje niebo o zmierzchu nad poszarpanym wulkanicznym wybrzeżem. Na skale stoi olbrzym, czarny i ogromny na tle czerwonego światła. Mrugam, zastanawiając się, czy umysł płata mi figle; czy przed śmiercią widzę Fitchnera. Jego usta są rozwartą ciemną otchłanią, z której nie ucieka światło.

– Darrow, skul się! – krzyczy Mustang.

Chowam głowę między kolana, obejmuję ją rękami.

– Trzy... dwa... jeden.

Nasz statek przebija lód.

Otacza nas ciemność i zimno, gdy toniemy w morzu. Woda wpada przez zniszczoną rufę i z bulgotem wdziera się przez tuzin dziur w kokpicie. Już jesteśmy pod falami, ostatnie resztki powietrza uciekają w mrok. Uprząż zacisnęła się ciasno wokół mojego ciała w chwili zderzenia, nadeła się, żeby chronić moje kości, a teraz mnie zabija, ciągnąc w dół razem z tonącym statkiem. Woda jest jak mrożące igły wbijające się w twarz. FokoSkóra chroni jednak moje ciało, więc rozcinam uprząż brzytwą. Ciśnienie narasta mi w uszach, kiedy rozglądam się szaleńczo za Mustang.

Żyje i już próbuje uciec. Światło w jej dłoni przecina ciemność, która zalała kokpit. Wyjęła brzytwę. Tnie uprząż bezpieczeństwa, tak jak ja. Przeciskam się przez zalaną kabinę w jej kierunku. Straciliśmy rufę, całe trzy poziomy zostały oderwane i toną gdzie indziej razem z Ragnarem i Holiday. Mam obolały kark z powodu nagłego szarpnięcia przy zderzeniu. Wciągam tlen przez maskę, która zasłania mi nos i usta.

Porozumiewamy się z Mustang bez słów, za pomocą sygnałów, jakimi posługują się Szarzy lurcherzy. Ludzki instynkt popycha do jak najszybszej ucieczki z miejsca wypadku, ale trening każe nam odliczać oddechy. Myśleć racjonalnie. Są tu rzeczy, których możemy potrzebować. Mustang szuka w kokpicie standardowej apteczki, a ja rozglądam się za swoją torbą ze sprzętem. Przepadła w ładowni razem z resztą ekwipunku, który wieźliśmy, żeby Obsydianowi mogli zająć Asgard. Mustang dołącza do mnie, niosąc wielkie jak jej tułów plastikowe pudło z wyposażeniem ratunkowym. Wyciągnęła je z szafki za fotelem pilota.

Bierzemy ostatni wdech i zostawiamy tlen za sobą.

Płyniemy do brzegu rozdarcia w kadłubie, gdzie statek się kończy, a zaczyna ocean. To otchłań. Mustang wyłącza światło, ja związuję nasze pasy kawałkiem uprząży, który odciąłem od swojego fotela. Tutejsze Rzeźbione stworzenia zostały zaprojektowane, żeby więzić Obsydianowych na

ich lodowym kontynencie. Są ludojadami. Widziałem obrazki tych stworów. Półprzezroczyste. Mają ogromne kły. Wybałuszone ślepia. Błądą skórę pokrytą niebieskimi żyłkami. Przyciągają je światło i ciepło. Wypłynięcie na otwarte wody z latarką ściągnęłoby potwory z głębin. Nawet Ragnar nie ośmieliłby się tego zrobić.

Nie widząc dalej niż na szerokość dłoni, odpychamy się od trupa jachtu wprost w czarną toń. Walczymy o każdy metr w męczarniach. Nie widzę Mustang obok siebie. Poruszamy się powolnie w zimnej wodzie, nasze członki płoną, ręce i nogi drapią ciemność. Mój umysł jednak jest skupiony i pewny. Nie umrzemy w tym oceanie. Nie utoniemy. Powtarzam to raz za razem, nienawidząc wody.

Mustang kopie mnie w nogę, czym zakłóca mój rytm. Staram się go odzyskać. Gdzie jest powierzchnia? Nie ma słońca, które by nas powitało, powiedziało, że jesteśmy blisko. To piekielnie dezorientujące. Mustang znowu mnie kopie. Tyle że tym razem czuję ruch pod nami: coś ogromnego, szybkiego i zimnego sunie przez głębinę.

Tnę na oślep brzytwą, ale w nic nie trafiam. Nie umiem zwalczyć paniki. Płynę w ciemności, pode mną ciągną się dwa kilometry oceanu. Wymachuję nogami tak rozpaczliwie, że uderzam w lód na powierzchni i prawie się ogłuszam. Czuję rękę Mustang na plecach. Przytrzymuje mnie. Lód jest matowoszara skórą, która rozciąga się nad nami. Wbijam w niego brzytwę. Słyszę, że Mustang obok mnie robi to samo. Jest za gruby, żeby przebić się na wylot. Łapię ją za ramię i rysuję kółko, żeby zasygnalizować mój plan. Odwracam się do niej plecami. Razem niemal ślepi i bez tlenu wycinamy koło w lodzie. Nie przestaję, dopóki nie poczuję, że zaczyna ustępować. Lodowy krąg jest za ciężki, żeby go wypchnąć, nie mając oparcia dla rąk, i zarazem za lekki, żeby wciągnąć go pod wodę tylko siłą naszych ramion. Odpływam więc na bok, żeby Mustang mogła posiekać brzytwą cylinder, który razem wycięliśmy. Siecze lód, aż w końcu udaje jej się wypchnąć na wierzch pudło. Potem przeciska się sama i podaje mi rękę. Tnę na oślep ciemność pod sobą i wspinam się na górę.

Padamy na twardą jak skała powierzchnię lodu.

Wiatr zawodzi nad naszymi drżącymi ciałami.

Znajdujemy się na brzegu lodowca szelfowego między dzikim wybrzeżem a początkiem zimnego, czarnego oceanu. Niebo pulsuje głębokim, metalicznym błękitem, biegun południowy tkwi w trwającym dwa miesiące zmierzchu, kiedy nadciąga zima. Górzyste wybrzeże – ciemna, powykrzy-

wiana linia – znajduje się może ze trzy kilometry od nas. Przez całą drogę do niego ciągnie się lód poprzębijany lodowymi górami. Szczątki statku płoną w górach na brzegu. Wiatr wieje znad otwartej wody, zwiastując nadchodzący sztorm, pędzi fale, aż sól i wodna mgła syczą na lodzie jak piasek przemiatany po pustyni.

Woda tryska pięćdziesiąt metrów bliżej lądu: ktoś strzela z pięści impulsowej pod lodem. Odrętwiali i zamarznięci pędzimy do Holiday, która wydobywa się spod powierzchni. Mustang z pudłem zostaje trochę z tyłu.

– Gdzie jest Ragnar? – krzyczę.

Holiday patrzy na mnie skrzywiona i blada. Krew płynie jej z nogi, odłamek wbił jej się w udo. FokoSkóra uchroniła ją przed najgorszym zimnem, ale nie było czasu, żeby założyć kaptur i rękawiczki. Poprawia opaskę uciсковą na nodze i zagląda w głąb dziury wybitej w lodzie.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Wyciągam błyskawicznie brzytwę i chwiejnie podchodzę do otworu.

Holiday mnie wyprzedza.

– Tam coś jest! Ragnar odciągnął to ode mnie.

– Wskakuję.

– Co? – warczy Holiday. – Tam jest ciemno, że oko wykol. Nigdy go nie znajdziesz.

– Nie wiesz tego.

– Umrzesz – upiera się.

– Nie pozwolę mu zginąć.

– Darrow, przestań. – Odrzuca pięść impulsową i wyciąga pistolet Trigga z kabury na nodze. Strzela mi pod nogi. – Stój.

– Co ty wyprawiasz? – przekrzykuję wiatr.

– Prędzej ci strzelę w nogę, niż dam ci się zabić. Bo zabijesz się, jeśli tam skoczysz.

– Pozwolisz mu umrzeć.

– On nie jest moją misją.

Patrzy nieugięta. Pozbawiona sentymentów i logiczna. Taka inna ode mnie w walce. Wiem, że pociągnęłaby za spust, żeby ratować mi życie. Już mam się na nią rzucić, kiedy Mustang przebiega na lewo ode mnie. Za szybka, żebym cokolwiek powiedział albo żeby Holiday jej zagroziła, skacze w dziurę z brzytwą w prawej ręce i płonącą jasno flarą w lewej.

Zatoka śmiechu

Dopadam do otworu. Woda chlupocze spokojnie przy krawędzi. Łód jest za gruby, żebym widział płynącą pod powierzchnią Mustang, ale flara jarzy się łagodnie i niebiesko przez metry brudnego lodu. Podąża w stronę lądu. Idę za nią. Holiday próbuje powlec się za mną. Krzyczę, żeby została i skorzystała z apteczki.

Idę za światłem Mustang. Brzytwa sunie po lodzie, znacząc drogę światła przez kilka minut, dopóki blask nie znieruchomieje. Upłynęło za mało czasu, żeby Mustang skończyło się powietrze, ale nie rusza się przez dziesięć sekund. A potem światło zaczyna przygasać. Łód i woda ciemnieją, flara się zanurza. Muszę wyciągnąć Mustang. Wbijam brzytwę w lód, odcinam jego kawał. Ryczę, wbijając palce w szczelinę i odsłaniam wodę wzburzoną bladymi ciałami i krwią. Mustang wyskakuje na powierzchnię, krzycząc z bólu. Obok niej jest Ragnar, siny i nieruchomy tkwi pod jej lewą pachą. Prawą ręką Mustang siecze jakiś jasny kształt w wodzie.

Wbijam brzytwę w lód za sobą i łapię się rękojeści. Mustang sięga po moją rękę. Pomagam jej wygramolić się na górę, a potem wyciągamy Ragnara, aż stękając z wysiłku. Mustang wbija paznokcie w lód i pada obok Obsydianowego. Nie jest sama. Białe, podobne do larwy stworzenie wielkości małego człowieka uczepliło się jej pleców. Jest kształtu ślimaka w galopie, tyle że ma również twardy grzbiet i włochate półprzezroczyste ciało pokryte tuzinem małych wrzeszczących paszcz okolonych zębami jak igiełki, które wgryzają się w ciało Mustang. Pożerają ją żywcem. Drugie, podobne stworzenie wielkości dużego psa przywarło do pleców Ragnara.

– Zdejmij to! – warczy Mustang, wymachując na oślep brzytwą. – Zdejmij to ze mnie!

Stworzenie jest silniejsze, niż powinno być. Pełźnie z powrotem ku przełębowi, próbując zawlec Mustang do swojego domu. Rozlega się strzał, stwór się szarpie: wystrzelony przez Holiday pocisk trafia go prosto w bok.

Wypływa czarna krew. Stwór wrzeszczy i zwalnia na tyle, że zdążam podbiec do Mustang i odciął go od jej pleców. Kopniakiem odrzucam go w bok, gdzie zdycha, wstrząsany spazmami. Przecinam tego na Ragnarze na pół, odrywam części od pleców przyjaciela i ciskam w dal.

– Jest ich więcej. I coś jeszcze większego – mówi Mustang, próbując wstać.

Krzywi się na widok Ragnar. Podbiegam do niego. Nie oddycha.

– Obserwuj dziurę – polecam Mustang.

Mój potężny przyjaciel wygląda na łodzie jak dziecko. Zaczynam go reanimować. Stracił lewy but. Skarpetkę ma do połowy ściągniętą, stopa uderza o lód, kiedy uciskam mu pierś. Holiday podchodzi do nas chwiejnie. Ma źrenice wielkie od środków przeciwbólowych. Opatrzyła nogę regenerantem z apteczki. Pada na lód obok Ragnar. Zakłada mu z powrotem skarpetkę na nogę, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Wracaj – słyszę własne słowa. Ślina zamarza mi na ustach. Na powiekach mam kryształki łez. Nawet nie wiedziałem, że płyną. – Wracaj. Jeszcze nie skoczyłeś swojej pracy. – Tatuaż Wyjca ciemnieje na jego bladej skórze. Runy ochronne przypominają łyzy na białej twarzy. – Twoi ludzie cię potrzebują.

Holiday trzyma go za rękę. Obie jej dłonie nie dorównują wielkością jego jednej sześciopalczastej łapie.

– Chcesz, żeby wygrali? – pyta Holiday. – Obudź się, Ragnarze. Obudź się.

Szarpie się pod moimi rękami. Jego pierś unosi się, serce zaczyna bić. Woda wypływa mu z ust. Skonsternowany przesuwa rękami po łodzie. Kaszle. Nabiera powietrza. Ogromna pierś faluje. Ragnar patrzy w niebo. Wykrzywia pobliźnione usta w kpiącym uśmiechu.

– Jeszcze nie, Wszechmatko. Jeszcze nie.

* * *

– Mamy przesrane – mówi Holiday, kiedy przeglądamy szczupłe zapasy, które Mustang zdołała ocalić z naszego statku.

Trzęsiemy się z zimna w wąwozie, gdzie schowaliśmy się na chwilę przed wiatrem. Niewiele mamy. Kulimy się wokół marnego ciepłka dwóch termalnych flar po tym, jak z trudem pokonaliśmy lodowy szelf przy pędzącym osiemdziesiąt kilometrów na godzinę wietrze wbijającym w nas swoje

zęby. Sztorm mrocznieje nad wodą za naszymi plecami. Ragnar obserwuje go czujnie, reszta przegląda zapasy. Mamy transponder GPS, kilka batoników proteinowych, dwie latarki, liofilizaty, Kuchenkę i koc termiczny, którym zdołaliby okryć się jedno z nas. Owijamy nim Holiday, bo ma najbardziej uszkodzony strój. Mamy też pistolet do flar, aplikator regenerantu i cyfrowy przewodnik survivalowy wielkości kciuka.

– Ona ma rację – mówi Mustang. – Musimy się stąd wynieść, bo będzie po nas.

Nasze skrzynie z bronią przepadły. Nasze zbroje, grawiButy i zapasy wylądowały na dnie morza. Wszystko, co Obsydianowym pozwoliłoby zniszczyć ich Bogów. Wszystko, co nam pozwoliłoby skontaktować się z przyjaciółmi na orbicie. Satelity są ślepe. Nikt nie patrzy. Nikt poza ludźmi, którzy zestrzelili nas z nieba. Na szczęście oni także się rozbili. Widzieliśmy ich ognisko głębiej w górach, kiedy szliśmy po lodzie. Jeśli jednak przeżyli, jeżeli mają sprzęt, to będą na nas polować, a my mamy do obrony tylko cztery brzytwy, karabin i prawie rozładowaną pięść impulsową. Nasze fokoSkóry są pocięte i uszkodzone. Zresztą odwodnienie załatwi nas na długo przed zimnem. Czarna skała i lód sięgają po horyzont. Niestety, jeśli będziemy jeść lód, za bardzo obniżymy sobie wewnętrzną temperaturę i wtedy załatwi nas zimno.

– Musimy znaleźć prawdziwe schronienie. – Mustang chucha w dłonie w rękawiczkach, drży. – Kiedy widziałam mapy w kokpicie, znajdowaliśmy się dwieście kilometrów od wieżyc.

– Równie dobrze mogłoby być i tysiąc – burczy szorstko Holiday. Zagryza pękniętą wargę, wpatrując się w zapasy, jakby te mogły się nagle rozmnożyć.

Ragnar ze znużeniem obserwuje naszą dyskusję. Zna swoją ziemię. Wie, że tu nie przeżyjemy. I chociaż nie powie tego, wie także, że będzie patrzył, jak umieramy jedno po drugim i w żaden sposób nie będzie mógł temu zapobiec. Holiday zginie pierwsza. Potem Mustang. Ma rozdartą fokoSkórę w miejscu, gdzie stwór się wgryzł i wlała się tamtędy woda. Potem ja umrę, a Ragnar przeżyje. Jak aroganccy musieliśmy się wydawać, myśląc, że możemy przylecieć i uwolnić Obsydianowych w jedną noc.

– Nie ma tu nomadów? – pyta Ragnar Holiday. – Zawsze krążyły historie o porzuconych legionistach...

– Nie ma żadnych historii – odpowiada Ragnar. – Klany rzadko zapuszczają się na lód po odejściu jesieni. To sezon Pożeraczy.

- Nie wspominałeś o nich – mówię.
- Myślałem, że przelecimy nad ich ziemiami. Przykro mi.
- Co to są Pożeracze? – pyta Holiday. – Moja antropologia arktyczna jest głównie warta.
- Ludożercy – wyjaśnia Ragnar. – Okryci hańbą wyrzutkowie klanów.
- Psiajucha.
- Darrow, musi istnieć jakiś sposób, żeby skontaktować się z twoimi ludźmi i wezwać pomoc – mówi Mustang, która rozpaczliwie próbuje znaleźć wyjście.
- Nie ma. System zakłócający Asgardu pokrywa cały kontent białym szumem. Jedyne wytwory techniki znajdują się tysiące kilometrów stąd. Chyba że jest coś na drugim statku.
- Kto nim leciał? – pyta Ragnar.
- Nie wiem. To nie może być Szakał – odpowiadam. – Gdyby wiedział, kim jesteśmy, posłałby za nami całą flotę, a nie jeden okręt w ramach tajnej operacji.
- To Cassius – mówi Mustang. – Przypuszczam, że przyleciał w ukrytym statku, tak jak ja. Powinien być na Lunie. To była jedna z dobrych stron negocjowania tutaj. Gdyby przyłapano ich, jak działają za plecami mojego brata, skończyłoby się to dla nich tak samo źle jak dla mnie. Może nawet gorzej.
- Skąd wiedział, który statek jest nasz? – pytam.
- Mustang wzrusza ramionami.
- Musiał coś zwęszyć. Może śledził nas po drodze z Dziur. Nie wiem. Nie jest głupi. W czasie Deszczu też cię złapał, kiedy przechodziłeś pod murem.
- Albo ktoś mu powiedział – wtrąca Holiday, patrząc na nią ponuro.
- Dlaczego miałabym mu mówić, kiedy sama siedziałam na tym przeklętym statku?
- Miejmy nadzieję, że to Cassius – mówię. – To oznacza, że nie wskoczą po prostu w grawiButy, żeby polecieć po pomoc do Asgardu, bo musieliby wytłumaczyć Szakałowi, dlaczego w ogóle znaleźli się na Fobosie. Czym właściwie oberwali? Wyglądało to jak pocisk z rufy naszego statku. Ale my nie mamy pocisków.
- Były w skrzynkach – odpowiada Ragnar. – Wystrzeliłem sarisę z ładowni, z ręcznej wyrzutni.

– Wystrzeliłeś pocisk, kiedy spadaliśmy? – pyta z niedowierzaniem Mustang.

– Tak. I próbowałem zabrać grawiButy. Nie udało mi się.

– Myślę, że całkiem nieźle sobie poradziłeś. – Nagle Mustang wybucha śmiechem.

Śmiech jest zaraźliwy, nawet Holiday rechoce. Ragnar nie rozumie naszej wesołości. Szybko poważnieję, gdy Holiday kaszle i naciąga ciasniej kaptur.

Patrzę na czarne chmury nad morzem.

– Ragnarze, kiedy ten sztorm uderzy?

– Może za dwie godziny. Szybko się przesuwa.

– Temperatura spadnie do minus sześćdziesięciu stopni – odzywa się Mustang. – Nie przeżyjemy, mając sprzęt w takim stanie.

Wiatr wyje w wąwozie i wśród ponurych gór wokół nas.

– Jest tylko jedno rozwiązanie – stwierdzam. – Musimy zebrać się i ruszyć przez góry, znaleźć zestrzelony statek. Jeśli Cassius tam jest, będzie miał co najmniej oddział agentów specjalnych z trzynastego legionu.

– To nie jest dobra wiadomość – odpowiada ostrożnie Mustang. – Ci Szarzy są lepiej wyszkoleni do walki w zimowych warunkach niż my.

– Lepiej niż wy – poprawia ją Holiday, odciągając fokoSkórę, żeby Mustang zobaczyła tatuaż trzynastki na jej szyi. – Ale nie lepiej ode mnie.

– Jesteś smokiem? – pyta Mustang. Nie potrafi ukryć zaskoczenia.

– Byłam. Rzecz w tym, że PRP, pretoriański regulamin polowy, nakazuje zebranie takiej ilości sprzętu survivalowego na misje dalekiego zasięgu, żeby oddział przetrwał miesiąc w każdych warunkach. Będą mieli wodę, jedzenie, ogrzewanie, grawiButy.

– A jeśli przeżyli katastrofę? – pyta Mustang, patrząc na zranioną nogę Holiday i nasze wątłe zapasy.

– To nie przeżyją spotkania z nami – orzeka Ragnar.

– W takim razie lepiej, żebyśmy zaatakowali ich, dopóki sami się jeszcze nie ogarnęli – oznajmiam. – Jeśli ruszymy teraz, najszybciej jak się da, możemy dotrzeć tam przed burzą. To nasza jedyna szansa.

Ragnar i Holiday zabierają się do pracy. Obsydianowy gromadzi nasz sprzęt, Szara sprawdza amunicję w karabinie. Mustang jednak się waha. Jest coś jeszcze, czego nam nie powiedziała.

– Co jest? – pytam.

– Chodzi o Cassiusa – odpowiada powoli. – Nie mam pewności... A jeśli nie jest sam? Jeśli jest z nim Aja?

Uczta

Burza nadciąga, kiedy wspinamy się po skalistej grani. Wkrótce nie widzimy niczego poza swoją grupką. Stalowoszary śnieg wgryza się w nas, przesłania niebo, lód, góry na kontynencie. Pochylamy głowy, mrużymy oczy w kominiarkach. Buty drapią o lód. Wiatr huczy głośno jak wodospad. Garbię się, walcząc z nim, stawiam jedną nogę za drugą, połączony z Mustang i Holiday liną zgodnie z obyczajem Obsydianowych, żebyśmy nie pogubili się w śnieżycy. Ragnar idzie przodem, prowadzi zwiad. Nie pojmuję, jakim cudem znajduje drogę.

Wraca właśnie, z łatwością przeskakując głazy. Daje znać, żebyśmy szli za nim.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Nasz świat jest małeńki i wściekły. Góry majaczą w bieli. Ich przygarbione ramiona to jedyna osłona przed wiatrem. Brniemy przez surowe czarne skały, które rozcinają nam rękawiczki, podczas gdy wiatr próbuje cisnąć nas w wąwozy i bezdenne szczeliny. Wysiłek utrzymuje nas przy życiu. Ani Holiday, ani Mustang nie zwalniają i po ponad godzinie potwornej wędrówki Ragnar wyprowadza nas na przełęcz. Burza przycicha. Przed nami leży nabity na skałę grani statek, który nas zestrzelił z nieba.

Współczuję mu. Opływowy kontur jak u rekina i szeroki, gwiaździsty ogon wskazują, że kiedyś był długim, eleganckim pojazdem wyścigowym ze słynnych stoczni Ganimedesa. Kochające ręce pomalowały go w dumne i śmiałe odcienie szkarłatu i srebra. Teraz to popękany i poczerniały trup nabity do góry nogami na surowe skały górskiego grzbietu. Cassius, czy ktokolwiek w nim przebywał, zaliczył paskudne lądowanie. Tylna jedna trzecia statku leży pół kilometra poniżej głównej części. Oba fragmenty wyglądają na porzucone. Holiday przygląda się wrakowi przez celownik w karabinie. Nigdzie nie widać śladu życia ani ruchu na zewnątrz.

– Coś mi tu śmierdzi – mówi Mustang, kucając obok mnie. Oblicze jej ojca patrzy na mnie z brzytwy, którą ma na ręku.

– Wiatr nam nie sprzyja – mówi Ragnar. – Nie czuję żadnych zapachów.

Rozgląda się po otaczających nas szczytach, przesuwając wzrok od skały do skały, wypatrując zagrożenia.

– Nie możemy ryzykować, że przyszpilą nas ostrzałem z karabinów – mówię, czując, jak wiatr za nami przybiera na sile. – Musimy szybko pokonać dystans. Holiday, będziesz nas osłaniać.

Holiday wykopuje sobie mały rów w śniegu i okrywa się kocem termicznym. Przysypujemy ją śniegiem, żeby tylko karabin wystawał. Ragnar zsuwa się po stoku, żeby sprawdzić tylną połowę statku, podczas gdy Mustang i ja pędzimy do głównej części.

Przemykamy z Mustang przykucnięci, osłonięci przez wiatr, który uderzył z nowym wigorem. Nie widzimy statku, dopóki nie znajduje się piętnaście metrów przed nami. Resztę odległości pokonujemy, czołgając się na brzuchach. Znajdujemy wyszarpaną pociskiem Ragnara dziurę w rufie. Po części spodziewam się zobaczyć obóz wojennych Kolorów i Złotych przygotowujących się do polowania na nas. Zamiast tego widzę epileptycznego trupa statku, którego zasilanie włącza się i wyłącza. Wnętrze jest puste, przestronne i niemal za ciemne, żeby cokolwiek w nim zobaczyć, gdy światła gasną. Coś kapie w ciemności, gdy idziemy ku środkowi statku. Wyczuwam krew, zanim ją zobaczę. W części pasażerskiej prawie tuzin Szarych leży martwych, zmiażdżonych o podłogę – znajdującą się teraz nad naszymi głowami – przez skały, które przebiły ściany przy lądowaniu. Mustang kłeka koło ciała pokiereszowanego Szarego i sprawdza jego ubiór.

– Darrow.

Odciąga kołnierz i wskazuje tatuaż. Cyfrowy atrament nadal się porusza, chociaż ciało jest już martwe. *Legio XIII*. Zatem to jest ochrona Cassiusa. Poruszam przyciskiem na brzytwie, kreśląc kciukiem nowo zaprojektowany kształt. Wciskam guzik. Brzytwa wiję się, porzuca kształt sierpaka i zamienia się w krótsze, szersze ostrze, którym łatwiej się dźga w ciasnym wnętrzu.

Nigdzie nie ma oznak życia, gdy idziemy naprzód, tym bardziej nigdzie nie widać Cassiusa. Tylko wiatr jęczy w trzewiach statku. Ogarnia mnie dziwne wrażenie zawrotów głowy, gdy idę po suficie i patrzę w górę na podłogę kabiny. Siedzenia i pasy zwieszają się jak wnętrzności. Statek ożywa konwulsyjnie, oświetlając morze zniszczonych terminali, potłuczo-

nych naczyń i opakowań od gumy pod naszymi nogami. Nieczystości sączą się przez szczelinę w metalowej ścianie. Statek znowu umiera. Mustang puka mnie w ramię i wskazuje strzaskane okno, za którym widać jakby ślady wleczenia czegoś na śniegu. Rozmazaną krew, czarną w słabym świetle. Pyta na migi: niedźwiedź? Kiwam głową. BrzytwaGrzbiety musiały znaleźć wrak i zaczęły żerować na trupach misji dyplomatycznej. Drzę, myśląc o szlachetnym Cassiusie, którego spotkał taki los.

Makabryczny odgłos ssania dociera do nas z głębi statku. Idziemy dalej i ogarnia nas zgroza, zanim jeszcze wejdziemy do przedniej kajuty pasażerskiej. W Instytucie nauczyliśmy się rozpoznawać odgłos zębów żujących surowe mięso. Mimo to widok jest przerażający nawet dla mnie. Złoci zwieszają się z sufitu do góry nogami, uwięzieni w uprzężach bezpieczeństwa, z nogami przyszpilonymi przez wygięte płyty okładziny. Pod nimi garbi się pięć koszmarów. Futro mają uwalane i pozlepiane, kiedyś białe, ale teraz skołunione od wyschniętej krwi i brudu. Ogryzają zwłoki. Mają głowy jak wielkie niedźwiedzie, ale spoglądające z oczodołów tych głów ślepią są czarne i błyszczą zimną inteligencją. Stając na dwóch nogach zamiast na czterech, największy ze stada odwraca się do nas. Światła znowu się zapalają. Jasne umięśnione ręce, śliskie od foczego tłuszczu chroniącego od zimna i ciemne od krwi po skórowaniu Złotych, wysuwają się spod niedźwiedzich futer.

Obsydianowy jest wyższy ode mnie. Ma wszyte w dłoń zakrzywione żelazne ostrze. Nawleczone na wysuszone ścięgno ludzkie kości pełnią funkcję napierśnika. Gorący oddech bucha spod pyska niedźwiedziej czaszki, którą nosi jako hełm. Zza czarnych zębów wydobywa się powolne, miarowe, basowe zawrodożenie złowrogiej pieśni bojowej. Widzą nasze oczy i wykrzykują coś niezrozumiałego.

Statek jęczy i światła gasną.

Pierwszy kanibal rzuca się na nas przez zagracony korytarz, reszta rusza za nim. Cienie w ciemności. Moja jasna brzytwa uderza w przód, przecina żelazny nóż, napierśnik i obojczyk i sięga prosto do serca. Obracam się w bok, żeby trup na mnie nie padł. Niesiony impetem leci na Mustang, która robi krok w bok i odcina mu głowę. Jego ciało pada na podłogę w drgawkach.

Rozlega się stęknienie i z ręki jednego z pozostałych kanibali wylatuje włócznia z wyszczerbionym grotem. Pochylam się, żeby minęła mnie górą, i zbijam ją lewą ręką tak, żeby wbiła się w sufit tuż nad głową Mustang.

A kiedy się prostuję, następny Obsydianowy wpada na mnie. Jest równie wysoki jak ja. Silniejszy. Bardziej zwierzę niż człowiek. Obezwładnia mnie szaleństwem zagubionego umysłu, przygniata do ściany i kłapie na mnie czarnymi, spiłowanymi na ostro zębami. Rozbłysk światła na statku oświetla rany wokół jego ust. Przyszpila mi ręce do boków. Chce mnie ugryźć w nos, ale odwracam twarz, zanim zdąży mi go odgryźć. Jego zęby wbijają mi się w mięśnie żuchwy. Wrzeszczę z bólu. Krew płynie mi po szyi. Znowu gryzie mnie w twarz. Zjada mnie żywcem, kiedy światła znów gasną. Prawą ręką próbuje mnie dźgnąć nożem, przebić fokoSkórę, trafić między żebra i dźgnąć w serce. Tkanina wytrzymuje.

A potem kanibal wiotczeje, szarpie się spazmatycznie i jego ciało osuwa się na ziemię, gdy stojąca za nim Mustang przecina mu rdzeń kręgowy.

Czarny pocisk przelatuje obok mojej twarzy i trafia Mustang. Ścina ją z nóg. Pierzasta strzała wystaje jej z lewego ramienia. Mustang stęka, podnosi się. Odskakuję od niej ku trzem pozostałym Obsydianowym. Jeden zakłada następną strzałę na cięciwę, drugi trzyma potężny topór, a trzeci unosi wielki rzeźbiony róg, który przykłada do ust pod hełmem z niedźwiedziej czaszki.

Z zewnątrz statku dobiega straszliwy skowyt.

Światła gasną.

W ciemności porusza się czwarty kształt. Mroczne sylwetki rzucają się na siebie. Metal tnie ciało. A kiedy światło powraca, Ragnar stoi, trzymając głowę jednego Obsydianowego w ręku i wyciąga brzytwę z piersi drugiego. Trzeci – kobieta z łukiem przeciętym na pół – wyciąga nóż i rzuca się jak szalona na Ragnara. A on obcina jej rękę. Ona nadal atakuje, oszalała, niewrażliwa na ból. On idzie za nią, zrywa jej hełm. Pod nim kryje się młoda twarz pomalowana na białe i rozcięte nozdrza, które upodabniają kobietę do węża. Rytualne blizny tworzą serię pasm pod oczami. Nie może mieć więcej niż osiemnaście lat. Mamrocze coś niezrozumiale, patrząc na ogromnego Ragnara, potężnego nawet jak na swoją rasę. A potem wytrzeszcza oczy na widok tatuaży na jego twarzy.

– *Vjrnak* – chrypi nie ze strachu, ale z szaleńczej radości. – *Tnak ruhr. Ljarfor aesir!*

Zamyka oczy i Ragnar obcina jej głowę.

– Wszystko w porządku? – pytam Mustang, podbiegając do niej.

Już wstała. Strzała wystaje jej spod obojczyka.

– Co ona powiedziała? – pyta, nie patrząc na mnie. – Mówisz w *nagal* lepiej ode mnie.

– Nie zrozumiałem tego dialektu.

Był zbyt gardłowy. Ragnar zna ten język.

– Splamiony syn. Zabij mnie. Powstanę jako Złota. – tłumaczy Ragnar. – Jedzą, co znajdują. – Kiwa głową na Złoty. – Ale jeśli zjesz ciało Złotego, zmartwychwstajesz nieśmiertelny. Nadejdą kolejni.

– Mimo burzy? – pytam. – Ich gryfy mogą wtedy latać?

Ragnar krzywi usta z niesmakiem.

– Te bestie nie latają na gryfach. Ale nie. Będą szukać schronienia.

– A co z drugim wrakiem? – pyta Mustang. – Zapasy? Ludzie?

Kręci głową.

– Ciała. Amunicja okrętowa.

Wysyłam go po Holiday, która czuwa na posterunku. Mustang i ja zostajemy, zamierzając poszukać wyposażenia na pokładzie. Stoję jednak nieruchomo w kostnicy kanibali, kiedy Ragnar wychodzi w śnieżycę. Złoci może i byli wrogami, ale ta zgroza sprawia, że życie wydaje się potwornie tanie. Kryje się w tym miejscu ponura ironia. Jest przerażające i nikczemne, ale nie istniałoby, gdyby Złoci nie stworzyli go po to, by wzbudzać strach i żeby rządzić żelazną ręką. Te biedne łajdaki zostały pożarte przez własne potwory.

Mustang wstaje po tym, jak obejrzała jednego z Obsydianowych. Krzywi się z powodu strzały, która nadal tkwi w jej ramieniu.

– Dobrze się czujesz? – pyta, zauważając moje milczenie.

Wskazuję na połamane paznokcie jednego ze Złotych.

– Nie byli martwi, kiedy ci zaczęli ich skórować. Tylko uwięzieni.

Kiwa głową ze smutkiem i wyciąga na dłoni coś, co znalazła przy ciele Obsydianowego. Sześć pierścieni wychowanków Instytutu: dwa cyprysy Plutona, sowa Minerwy, błyskawica Jowisza, jeleni Diany i jeden, który biorę z jej ręki: z głową wilka Marsa.

– Powinniśmy go poszukać – mówi.

Sięgam do sufitu, żeby przyjrzeć się Złotym, którzy wiszą do góry nogami w fotelach. Nie mają oczu i języków, ale mimo pokiereszowania widzę, że żaden z nich nie jest moim starym przyjacielem. Przeszukujemy resztę obróconego do góry nogami statku i znajdujemy kilka małych sypialni. W komodzie w jednej z nich Mustang znajduje ozdobne skórzane

etui z paroma zegarkami i małymi perłowymi kolczykami osadzonymi w srebrze.

– Cassius tu był – mówi.

– To jego zegarki?

– To moje kolczyki.

Pomagam jej wyjąć strzałę z jej ramienia w sypialni Cassiusa, z dala od krwi. Nie wydaje żadnego dźwięku, kiedy odłamuję grot, popycham ją na ścianę i łapiąc za brzechwę, wyciągam strzałę z rany. Zwija się w kłębek i z bólu aż przykuca. Siadam na brzegu materaca, który spadł z sufitu. Patrzę, jak Mustang się kuli. Nie lubi, kiedy się ją dotyka, gdy jest ranna.

– Dokończ to – mówi, wstając.

Aplikatorem regenerantu nakładam błyszczącą łątę na otwory z przodu i z tyłu, tuż pod obojczykiem. To zatrzyma krwawienie i pomoże tkance się naprawić, ale rana będzie Mustang dokuczać i spowolni ją na kilka dni. Naciągam fokoSkórę z powrotem na jej nagie ramię. Mustang sama zapina przód, zanim zajmie się raną na mojej szczęce. Jej oddech wypełnia powietrze. Podchodzi tak blisko, że czuję zapach wilgotnego śniegu, który topi się na jej włosach. Przyciska aplikator do mojej szczęki i maluje cienką warstwę mikroorganizmów na ranie. Wejdą do porów i uszczelnia ubytek, żeby stworzyć przeciwbakteryjne, ciałopodobne okrycie. Jej dłoń zatrzymuje się dłużej na tyle mojej głowy, palce wplatają się w pasma moich włosów, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie znajduje słów. Nie znajduje ich do momentu powrotu Holiday i Ragnara. Słyszając, że Holiday mnie woła, ściskam zdrowe ramię Mustang i zostawiam ją w sypialni.

Większość sprzętu ze statku przepadła. Kilka kompletów optyki zniknęło z etui. Nie ocalało nic ze zbrojowni – zawartość rozsypała się w górach, kiedy statek pękł i otworzyła się ładownia. Czego nie zniszczył upadek, zniszczyli Obsydianowi. W transponderze i słuchawkach łapię tylko biały szum.

Ragnar wytropił, że Cassius i reszta jego ludzi – około piętnastu osób – wyszli kilka godzin przed tym, jak dotarliśmy do statku, ogołociwszy go z zapasów. Pożeracze najpewniej pojawili się zaraz po lądowaniu, bo inaczej Cassius nie zostawiłby tych Złotych na pożarcie kanibalom. Mustang dla poparcia jego podejrzeń wskazuje kilka ciał Pożeraczy bliżej kokpitu – to znaczy, że Cassius i jego ludzie zostali zaatakowani, kiedy wychodzili. Śnieg prawie już pokrył trupy. Wykładamy świeże ciała na zewnątrz, na wypadek gdyby gorsze drapieżniki niż Pożeracze przyszły z wizytą.

Po przeszukaniu statku każę Mustang i Holiday zamknąć nas w kambuzie. Spawają wejścia palnikami, które znaleźliśmy w szafce ze sprzętem naprawczym. Co prawda całą broń i sprzęt polarny zabrano, ale cysterna na statku jest pełna, a woda w środku nie zamarzła. No i kambuz jest zaopatrzony w jedzenie.

W naszym schronieniu okazuje się względnie przytulnie. Izolacja zatrzymuje nasze ciepło w środku. Dwie bursztynowe lampy awaryjne zalewają pomieszczenie łagodnym pomarańczowym blaskiem. Holiday wykorzystuje powracające czasem zasilanie, żeby przygotować na elektrycznej kuchence ucztę w postaci makaronu z sosem marinara i kiełbaskami, podczas gdy ja i Ragnar obmyślamy kurs do Wieżyc, a Mustang przegląda zapasy jedzenia i napełnia wojskowe plecaki, które znalazła w magazynie.

Parzę sobie język, kiedy Holiday przynosi mnie i Ragnarowi kopiaste porcje makaronu. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaki jestem głodny. Ragnar szturcha mnie i patrzę w milczeniu tam, gdzie on – Holiday przynosi miskę Mustang i podaje jej z lekkim skinieniem głowy. Mustang uśmiecha się do siebie. Cała nasza czwórka je w ciszy. Słuchamy brzęku widelców o miski. Wiatr zawodzi na zewnątrz. Nity jęczą. Stalowoszary śnieg zbiera się w małych, okrągłych okienkach, ale wcześniej widzimy jeszcze dziwne kształty wśród bieli: odciągają trupy, które zostawiliśmy na zewnątrz.

– Jak to było dorastać tutaj? – pyta Ragnar Mustang.

Siedzi po turecku, opierając się plecami o ścianę. Leżę po sąsiedzku na jednym z materacy, które Ragnar przywlekl do kambuza, żeby wyłożyć nimi podłogę. Zajadam trzecią dokładkę makaronu. Między mną a Mustang leży plecak.

– To był dom. Nie znałem niczego innego.

– A teraz, kiedy znasz?

Ragnar uśmiecha się łagodnie.

– To był plac zabaw. Świat poza nim jest ogromny, ale taki mały. Ludzie chowają się w pudełkach. Siedzą za biurkami. Jeżdżą samochodami. Latają statkami. Tutaj świat jest mały, ale nie ma końca.

Zaczyna opowiadać historie. Początkowo niechętnie, ale teraz wygląda na to, że upaja się tym, że go słuchamy. Że nas to obchodzi. Opowiada, jak pływał wśród kier jako chłopiec. Że był niezgrabny jako dziecko. Za wolny. Kości rosły mu szybciej niż reszta ciała. Kiedy został pobity przez innego chłopca, matka zabrała go po raz pierwszy w niebo na swoim gryfie. Kazała

mu się objąć w pasie od tyłu. Nauczyła go, że to jego własne ręce ocalą go przed upadkiem. Jego wola.

– Leciała coraz wyżej i wyżej, aż powietrze stało się rzadkie i czułem zimno w kościach. Czekala, aż puszcze, aż osłabnę. Nie wiedziała jednak, że związałem sobie nadgarstki. Nigdy w życiu nie byłem równie bliski Wszechmatki śmierci.

Jego matka, Alia Volarus, Śnieżna Wróblca, jest legendą wśród swojego ludu z powodu jej szacunku dla bogów. Jako córka wędrowca została wojowniczką Wieżyc i zyskiwała coraz wyższą pozycję, prowadząc najazdy na inne klany. Tak bardzo była oddana bogom, że kiedy zdobyła władzę, oddała czwórkę swoich dzieci, żeby im służyły. Zachowała dla siebie tylko jedno, Sefi.

– Przypomina mojego ojca – odzywa się cicho Mustang.

– Biedactwa – mruczy Holiday. – Moja matka piekła mi ciasteczka i uczyła mnie, jak rozebrać na części lotocykl.

– A ojciec? – pytam.

– To był drań. – Holiday wzrusza ramionami. – Ale nawet draniem był beznadziejnym. W każdym porcie inna rodzina. Typowy legionista. Mam po nim oczy. Trigg miał po mamie.

– Ja nigdy nie poznałem mojego pierwszego ojca – mówi Ragnar, mając na myśli ojca biologicznego. Obsydianowe kobiety są poligamistkami. Mogą mieć siedmioro dzieci z siedmioma różnymi ojcami. A ich mężczyźni są zobowiązani do chronienia jej pozostałych dzieci. – Odszedł i został niewolnikiem, zanim się urodziłem. Matka nigdy nie wymawiała jego imienia. Nie wiem nawet, czy nadal żyje.

– Możemy się tego dowiedzieć – proponuje Mustang. – Trzeba by przeszukać rejestr Komisji Kontroli Jakości. To będzie niełatwe, ale możemy go znaleźć. Dowiedzieć się, co się z nim stało. O ile chcesz wiedzieć.

Oszołomiony tym pomysłem Ragnar kiwa powoli głową.

– Tak. Chciałbym.

Holiday zupełnie inaczej patrzy na Mustang niż jeszcze kilka godzin temu, kiedy opuszczaliśmy Fobosa. Jestem wstrząśnięty tym, jak naturalne się to wydaje, gdy nasza czwórka siedzi razem ściśnięta w kambuzie.

– Wszyscy znamy twojego ojca – odzywa się Holiday. – Ale jaka jest twoja matka? Sprawia wrażenie oziębłej, przynajmniej z tego, co widziałam na hP, wiesz?

– To moja macocha. Zupełnie jej nie obchodzę. Zresztą tak samo jak Adrius. Moja prawdziwa matka zmarła, kiedy byłam mała. Była dobra. Psotna. I bardzo smutna.

– Dlaczego?

– Holiday... – zaczynam.

Matka Mustang to temat, którego nigdy nie drążyłem. Niechętnie mi o niej mówiła. Małe, zamknięte pudełeczko w jej duszy, którego zawartością nigdy się nie dzieli. Poza dzisiejszym wieczorem, najwyraźniej.

– W porządku – mówi. Podciąga nogi, obejmuje je ramionami i opowiada dalej. – Kiedy miałam sześć lat, moja matka była w ciąży. Z córką. Doktor powiedział, że będą komplikacje przy porodzie i rekomendował interwencję medyczną. Jednak mój ojciec powiedział, że jeśli dziecko nie zdoła przeżyć porodu, to nie zasługuje na to, żeby żyć. Potrafimy latać między gwiazdami. Kształtować planety. A mój ojciec pozwolił, żeby moja siostra umarła w łonie matki.

– Ki diabeł? – mruzczy Holiday. – Czemu nie zafundowaliście jej terapii komórkowej? Mieliście pieniądze.

– Chodzi o czystość produktu – odpowiada Mustang.

– To chore.

– To moja rodzina. Matka nigdy nie doszła po tym do siebie. Słyszałam, jak płakała w ciągu dnia. Widziałam, jak wyglądała przez okno. A potem pewnej nocy poszła na spacer w Caragmore. To posiadłość, którą mój ojciec dał jej w prezencie ślubnym. On pracował wtedy w Agei. Matka nie wróciła do domu. Znaleźli ją na skałach u stóp nadmorskiego klifu. Ojciec powiedział, że się poślizgnęła. Gdyby żył, wciąż twierdziłby, że się poślizgnęła. Wątpię, żeby potrafił żyć z inną świadomością.

– Przykro mi – mówi Holiday.

– Mnie także.

– Dlatego właśnie tu jestem, bo przecież nad tym się zastanawialiście – mówi Mustang. – Mój ojciec był tytanem. Ale mylił się. Był okrutny. I jeśli ja mogę być czymś innym... – patrzy mi w oczy – ... to będę.

Myśliwi

Zanim się obudzimy, burza mija. Owijamy się izolacją zerwaną ze ścian statku i wyruszamy w mrok. Ani jedna chmura nie kała podobnego do marmuru niebiesko-czarnego nieba. Idziemy w kierunku słońca, które plami horyzont chłodnym odcieniem stopionego żelaza. Zostało jeszcze kilka dni jesieni. Ruszamy w stronę Wieżyc. Zamierzamy zapalać po drodze ogniska w nadziei, że ściągnie to uwagę nielicznych zwiadowców Walkirii aktywnych w okolicy. Niestety dym ściągnie także Pożeraczy.

Rozglądamy się po górach, uważając na plemiona kanibali i fakt, że gdzieś przed nami Cassius – a być może także Aja – brną przez śnieg z oddziałem agentów specjalnych.

Przed nadejściem południa natrafiamy na ślady ich przejścia: zdeptany śnieg przed skalną niszą, dostatecznie dużą, żeby przespało się w niej kilkadziesiąt osób. Obozowali tam, żeby przeczekać burzę. Koło obozu wznosi się kopiec z kamieni. Na jednym z nich wycięto brzytwą słowa: *per aspera ad astra*.

– To charakter pisma Cassiusa – mówi Mustang.

Po zdjęciu kamieni odkrywamy trupy dwóch Niebieskich i Srebrnego. Zamarzli nocą, bo mieli słabsze ciała. Nawet tu Cassius miał dość przyzwyczajenia, żeby ich pochować. Odkładamy kamienie na miejsce, a Ragnar idzie przodem po śladach z szybkością, której nie potrafimy dorównać. Wkrótce ruszamy za nim. Godzinę później grzmot, który jest dziełem człowieka, nie się z oddali. Towarzyszy mu samotny wrzask pięści impulsowej. Ragnar wraca niedługo potem, oczy mu błyszczą podnieceniem.

– Poszedłem tropem.

– No i? – pyta Mustang.

– To Aja i Cassius z oddziałem Szarych i trójką Niezrównanych.

– Aja tu jest? – upewniam się.

– Tak. Uciekają pieszo przez przełęcz górską w kierunku Asgardu. Dręczą ich plemię Pożeraczy. Ciała zaśmiecają drogę. Dziesiątki. Przygotowali zasadzkę i zawiedli. Nadejdą następni.

– Ile sprzętu mają? – pyta Mustang.

– Nie mają grawiButów. Tylko skarabSkóry. Mają jednak plecaki. Zostawili broję impulsową dwa kilometry stąd na północ. Rozładowała się.

Holiday patrzy na horyzont i dotyka pistoletu Trigga na biodrze.

– Zdołamy ich dogonić?

– Niosą dużo zapasów. Wodę. Jedzenie. Mają też teraz rannych ludzi. Tak. Możemy ich dogonić.

– Po co tu jesteśmy? – wtrąca się Mustang. – Nie po to, żeby polować na Aję i Cassiusa. Jedyne, co się liczy, to doprowadzić Ragnara do Wieżyc.

– Aja zabiła mojego brata – mówi Holiday.

To zaskakuje Mustang.

– Trigga? Tego, o którym wspominałaś? Nie wiedziałam. Mimo wszystko nie możemy dać się zwieść pokusie zemsty. Nie możemy walczyć z dwoma tuzinami ludzi.

– A jeśli dotrą do Asgardu, zanim my dotrzemy do Wieżyc? – pyta Holiday. – Wtedy będziemy ugotowani.

Mustang nie jest przekonana.

– Zdołasz zabić Aję? – pytam Ragnar.

– Tak.

– To jest dobra okazja – zwracam się do Mustang. – Kiedy będą równie odsłonięci? Bez swoich legionów? Bez stada Złotych, którzy by ich chronili? To są czempioni. Tak jak powiedział Sevro: „Kiedy masz okazję załazić wroga, zrób to”. Ten jeden raz w pełni się zgadzam z tym wściekłym furiatem. Możemy zdjąć ich z szachownicy i Suwerenka straci dwie Furie w tydzień. A Cassius jest ogniwem łączącym Octavię z Marsem i tamtejszymi wielkimi rodami. Jeśli ujawnimy przed nim jej negocjacje z tobą, rozbijemy ten sojusz. Odetniemy Marsa od Wspólnoty.

– Podzielony wróg... – Mustang cedzi słowa. – To mi się podoba.

– Mają za co nam zapłacić – dodaje Ragnar. – Za Lorna, Quinn, Trigga. Przylecieli tu, żeby na nas zapolować. Teraz my zapolujemy na nich.

* * *

Trop jest wyraźny. Trupy zaściełają śnieg. Dziesiątki Pożeraczy. Ciała nadal dymią od ognia impulsowego w pobliżu wąskiej górskiej przełęczy, gdzie Obsydianowi przygotowali zasadzkę na Złoty. Nie pojmowali, jaką siłą ognia mogą dysponować Złoci. Ogromne kratery szpecą urwiste zbocza. Głębsze ślady w śniegu znaczą przejście turów – Obsydianowi dosiadają tych wielkich, podobnych do wołów zwierząt o kudłatych futrach.

Przełęcz rozszerza się, przechodząc w rzadki alpejski las, który pokrywa rozległe, falujące wzgórza. Stopniowo kraterów ubywa i zaczynamy widzieć porzucone pięści impulsowe i parę Szarych ciał z wbitymi strzałami albo toporami. Trupy Obsydianowych leżą teraz bliżej szlaku Złoty i mają rany od brzytwy. Kilkudziesięciu straciło kończyny albo głowy po czystym cięciu. Grupie Cassiusa kończy się amunicja i teraz Rycerze Olimpijscy walczą wręcz. Jednak na wietrze nadal niesie się huk strzałów przed nami.

Mijamy jęczącego Obsydianowego Pożeracza, który umiera od ran postrzałowych, ale Ragnar zatrzymuje się tylko nad rannym Szarym. Mężczyzna nadal żyje, ale ledwie. Ma żelazny topór wbity w brzuch. Rzęzi pod obcym niebem. Ragnar kuca nad nim. Szary go rozpoznaje, kiedy widzi odsłoniętą twarz Splamionego.

– Zamknij oczy – poleca mu Ragnar, wciskając mu pustą strzelbę w rękę. – Myśl o domu.

Mężczyzna zamyka oczy. Ragnar jednym ruchem łamie mu kark i delikatnie opuszcza jego głowę z powrotem na śnieg. Przenikliwy dźwięk rogu niesie się nad pasmem górskim.

– Odwołuję polowanie – mówi Ragnar. – Nieśmiertelność nie jest warta dzisiejszej ceny.

Przyśpieszamy. Wiele kilometrów na prawo od nas Pożeracze jadą na turach obrzeżami lasu, kierując się do obozów wysoko w górach. Nie widzą nas, gdy idziemy przez sosnową tajgę. Holiday patrzy przez celownik karabinu, jak myśliwi znikają za wzgórzem.

– Wieźli dwóch Złoty – mówi. – Nie rozpoznałam ich. Nie byli jeszcze martwi.

Wszystkim nam robi się zimno.

Godzinę później widzimy naszą zwierzynę poniżej nas na nierównym śnieżnym polu pociętymi lodowymi szczelinami. Aja i Cassius wybrali odsłonięty szlak, zamiast iść dalej zdradliwym lasem, gdzie stracili wielu Szarych. Zostało im czterech ludzi: trzech Złoty i jeden Szary. Noszą

czarne skarabSkóry okryte futrami i dodatkowymi warstwami zdjętymi z martwych kanibali. Pędzą na złamanie karku po tym, jak reszta ich grupy została zmasakrowana w głębi lasu. Nie potrafimy zorientować się, które z nich to Aja, a które Cassius: mają maski, a sylwetki pod pelerynami wyglądają podobnie.

Początkowo chcę poczekać w zasadzce, żeby wziąć ich przez zaskoczenie, ale przypominam sobie o optyce taktycznej, którą ktoś zabrał ze statku. Domyślam się, że Aja i Cassius ją noszą. Jeżeli mają termowizję, zobaczą, jak chowamy się pod śniegiem. Mogliby nas nawet dostrzec, gdybyśmy schowali się w brzuchach martwych turów albo fok. Dlatego zamiast tego proszę, żeby Ragnar zaprowadził mnie na ścieżkę, którą znalazł. To pozwoli nam przeciąć im drogę na zejściu z przełęczy, przez którą muszą przejść, i zablokować ją, żeby zwrócić ich uwagę.

Dyszę za Ragnarem, wykasłując zimno z obolałych płuc, kiedy nasza czwórka dociera na wybrane miejsce. Tamci biegną wzdłuż krawędzi szczeliny w zaimprovizowanych rakietach śnieżnych, zgarbieni pod ciężarem jedzenia i sprzętu survivalowego, które ciągną za sobą na prowizorycznych sankach. Podręcznikowe umiejętności survivalowe legionistów wyniesione z wojskowych akademii na Polach Marsowych. Cała czwórka nosi czarną optykę z soczewkami z przydymionym szkłem. Dlatego robią upiorne wrażenie, kiedy nas widzą. Optyka i maski na twarzach skrywają emocje. Chyba się spodziewali, że będziemy czekać na krawędzi śnieżnego pola, blokując im przejście.

Patrzę po nich. Cassiusa łatwo rozpoznać dzięki wzrostowi. Ale które z tej czwórki to Aja? Jestem rozdarty między dwójką zwalistych Żółtych niższych od Cassiusa. A potem widzę broń mojego dawnego mistrza szermierki, która zwiesza się jej u pasa.

– Aja! – wołam, zdejmując kominiarkę fokoSkóry.

Cassius zdejmuje maskę. Włosy ma spocone, twarz zaczerwienioną. On jeden ma pięść impulsową, ale wiem, że ładunek musi mu się kończyć, patrząc po rozrzucie ciał martwych kanibali, który za sobą zostawili. Jego brzytwa rozwija się, podobnie jak klingi pozostałych. Wyglądają jak długie czerwone jęzory, bo krew przymarzła do ostrzy.

– Darrow... – mruczy Cassius, zdumiony naszym widokiem. – Widziałem, jak toniesz...

– Pływam równie dobrze jak ty, zapomniałeś? – Patrzę za jego plecy. – Aju, pozwolisz, żeby Cassius mówił za ciebie?

Wreszcie Aja wychodzi spoza pozostałych i staje obok wysokiego rycerza, odwiązując linę w pasie, na której ciągnęła prowizoryczne sanie. Zdejmuje maskę skarabSkóry, odsłaniając ciemną twarz i łysą głowę. Para się kłębi. Aja rozgląda się po szczelinach, które przecinają im drogę przez śnieg, po skałach i drzewach, po zamkniętej przestrzeni śnieżnego pola, zastanawiając się, skąd nadejdzie moja zasadzka. Dostatecznie dobrze pamięta Europę, ale nie może wiedzieć, kto był w mojej załodze ani ilu z nich przeżyło.

– Ohyda i wściekły pies – mruczy, zatrzymując spojrzenie na Ragnarze, zanim popatrzy na mnie. SkarabSkóra, którą ma na sobie, jest nietknięta. Naprawdę mogła nie otrzymać ani jednej rany z rąk Obsydianowych? – Widzę, że Rzeźbiarz znowu poskładał cię do kupy, Rdzawy.

– Wystarczająco dobrze, żeby zabić twoją siostrę – odpowiadam, nie potrafiąc powstrzymać jadu w swoim głosie. – Szkoda, że to nie byłaś ty.

Nie reaguje. Ile razy widziałem we wspomnieniach, jak zabijała Quinn? Ile razy widziałem, jak okrada Lorna z jego brzytwy, kiedy leżał zabity przez ostrza Szakala i Lilath? Wskazuję jej broń.

– To nie należy do ciebie.

– Urodziłeś się, żeby służyć, a nie mówić, ohydo. Nie odzywaj się do mnie. – Zerka w górę, gdzie na wschodnim horyzoncie błyszczy Fobos. Czerwone i białe światła rozbłyskują wokół niego. Trwa walka w kosmosie, co znaczy, że Sevro zajął statki. Ale ile? Aja marszczy brwi, zaniepokojeni patrzą po sobie z Cassiusem.

– Długo czekałem na tę chwilę, Aju.

– Ach, ulubiony pupil mojego ojca. – Aja przygląda się Ragnarowi. – Splamiony przekonał cię, że jest oswojony? Zastanawiam się, czy ci mówił, jaką nagrodę lubił dostawać po walce w Circadzie. Kiedy oklaski cichły, a on zmył krew z rąk, ojciec przysyłał mu młode Różowe, żeby zaspokoili jego zwierzęcą żądzę. Jakże chciwie je zagarniał. Jak bardzo się go bały. – Mówi beznamiętnym głosem, znudzonym lodem i tą rozmową. Chce tylko tego, co musimy jej dać: chce wyzwania. Zostawiła tyle Obsydianowych trupów za sobą, a wciąż nie ma dość krwi. – Widziałeś Obsydianowego w rui? – mówi dalej. – Wtedy byś dwa razy zastanowił się, zanim zdejmiesz im obrożę, Rdzawy. Nawet nie wyobrażasz sobie ich apetytów.

Ragnar robi krok do przodu, trzymając brzytwy w obu rękach. Rozwiązuje białe futro, które zabrał Pożeraczom, i pozwala, żeby spadło za nim na ziemię. To dziwne uczucie, znaleźć się wśród wiatru i lodu. Bez armii, bez

floty. Jedyne, co chroni nasze życie, to małe zwoje metalu. Ogrom Antarktyki śmieje się z naszych rozmiarów i poczucia własnej ważności, myśląc, jak łatwo może zgasić żar w naszych malutkich piersiach. Jednakże nasze życia znaczą znacznie więcej niż kruche ciała, w których się tlą.

Krok Ragnara do przodu to sygnał dla Mustang i Holiday ukrytych wśród drzew.

Celuj dobrze, Holiday.

– Twój ojciec mnie kupił, Aju. Upokorzył. Zamienił w diabła. W rzecz. Dziecko we mnie uciekło. Nadzieja zniknęła. Nie byłem już Ragnarem. – Dotyka swojej piersi. – Ale dzisiaj, jutro i już na zawsze jestem Ragnarem. Jestem synem Wieżyc, bratem Sefi Milczącej, bratem Darrowa z Lykos i Sevro au Barca. Jestem Tarczą Tinos. Idę za głosem serca. A kiedy twoje serce już nie będzie bić, parszywy rycerzu, wyrwę je z twojej piersi i nakarmię nim gryfa z...

Cassius rozgląda się po urwistych skałach i karłowatych drzewach, które okalają śnieżne pole na lewo od niego. Mruży oczy, kiedy jego wzrok pada na stos połamanych gałęzi u podnóża formacji skalnej. I wtedy bez ostrzeżenia popycha Aję do przodu. Ona zatacza się i tuż za nią, w miejscu gdzie stała, głowa ostatniego Szarego wybucha. Krew obryzguje śnieg, a echo strzału z karabinu Holiday niesie się wśród gór. Kolejne pociski uderzają w śnieg wokół Cassiusa i Ai. Furia chowa się za trzecim Złotym, wykorzystując go jak tarczę. Dwie kule wbijają się w jego skarabSkórę i przechodzą przez wytrzymały polimer. Cassius koziołkuje przez ramię i wykorzystuje większość ładunku, który ma w pięści impulsowej. Zbocze wybucha. Skały się jarzą. Ekspłodują. Śnieg paruje.

Pod tym hałasem słychać dźwięk zwalnianej cięciwy. Aja też to słyszy. Porusza się szybko. Pędzi, gdy strzała wystrzelona przez Mustang w lesie zmierza ku jej głowie. Pocisk mija cel o kilka centymetrów. Cassius strzela w pozycję Mustang na wzgórzu, rozrywając drzewa i rozgrzewając do czerwoności skały.

Nie wiem, czy w nią trafił. Nie mogę poświęcić sekundy na spojrzenie, bo wykorzystaliśmy z Ragnarem atak, który odwrócił uwagę przeciwnika, żeby sami zaatakować. Pole widzenia zawęży mi się, brzytwa przybiera kształt sierpaka. Przemierzam dzielącą nas odległość. Cassius odwraca się do mnie z jarzącą się pięścią impulsową. Strzela. Ładunek jest słaby, uchylam się, koziołkuję po śniegu jak akrobata z Lykos. On znowu strzela. Pięść impulsowa gaśnie – wyczerpał baterię, strzelając wcześniej we wzgórze.

Ragnar ciska jedną z brzytw w Aję jak wielkim nożem. Brzytwa koziółkuje w powietrzu. Aja nie rusza się i trafiona leci do tyłu. Przez chwilę myślę, że Ragnar ją zabił. Ale wtedy Aja odwraca się do nas, trzymając brzytwę za rękojeść w prawej ręce.

Złapała ją.

Czarny strach zalewa mnie, gdy przypominam sobie raptownie wszystkie ostrzeżenia Lorna na temat Ai. „Nigdy nie walcz z rzeką, nigdy nie walcz z Ają”.

Zderzamy się całą czwórką. Beładna plątanina strzelających biczów i dźwięczących kling. Obrotów, uników i przepychanek. Nasze brzytwy są szybsze, niż jest w stanie je śledzić wzrok. Aja tnie mnie ukosem przez nogi, gdy ja atakuję jej. Ragnar i Cassius celują nawzajem w swoje szyje szybkimi dźgnięciami na oślep. Wszyscy stosujemy identyczne strategie. Wychodzi tak niezręcznie, że prawie zabijamy się nawzajem w pierwszej połowie sekundy. Wszyscy chybiamy ledwie o włos.

Rozdzielamy się. Cofamy się chwiejnie. Pozbawione wesołości uśmiechy wypływają na nasze twarze – dziwaczne braterstwo, kiedy przypominamy sobie, że wszyscy mówimy w tym samym języku walki. Ta nienawistna ludzka rasa, o której wspominał mi Dancer, zanim zostałem Wyrzeźbiony; pośród której Lorn żył i którą przez cały czas pogardzał.

Pierwszy łamię to dziwaczne, przelotne zawieszenie broni. Ruszam do przodu, wykonując ciasną serię dźgnięć w prawy bok Cassiusa. Odsuwam go od Ai, żeby Ragnar mógł się nią zająć w pojedynkę. Za Cassiusem Mustang podnosi się z gruzowiska. Biegnie przez śnieg z ogromnym łukiem Obsydianowych w ręce. Jest pięćdziesiąt metrów od nas. Dwa razy uderzam biczem w nogi Cassiusa i zamieniam brzytwę z powrotem w ostrze, kiedy on bierze ukośny zamach, mierząc w moją głowę. Jego cios czuję w całej ręce, gdy blokuje go w połowie długości klingi. Cassius jest silniejszy ode mnie. Szybszy niż był ostatnim razem, gdy walczyliśmy. I ma teraz za sobą trening z zakrzywionym ostrzem. Bez wątpienia ćwiczył z Ają. Zmusza mnie do cofania się. Potykam się, upadam, a między jego nogami widzę, że Furia i Splamiony roznoszą się na strzępy. Ona dźga go w lewe udo.

Kolejna strzała szepcze w powietrzu. Trafia Cassiusa w plecy. Jego skarabSkóra wytrzymuje. Traci równowagę, ale znowu atakuje zwartą, szybką kombinacją ośmiu ruchów. Rzucam się do tyłu, kiedy jego brzytwa przecina z sykiem powietrze w miejscu, gdzie była moja głowa. Rozciągam się

na śniegu, centymetry od krawędzi ogromnej szczeliny lodowej. Zrywam się na nogi, kiedy Cassius rzuca się na mnie. Blokuję kolejne cięcie z góry, stojąc chwiejnie na krawędzi. Cofam się i wybijam ze skraju szczeliny najmocniej jak tylko mogę. Ładuję spokojnie po drugiej stronie, wykorzystując swoją zręczność, żeby uniknąć ataku. Za plecami Cassiusa Aja kręci piruet pod ostrzem Ragnara i przecina mu ścięgna podkolanowe. Rozkłada go na części.

Cassius mnie ściga. Przeskakuje szczelinę i bierze zamach z góry. Blokuję cios. Trafienie rozplątałoby mnie od ramienia po przeciwległe biodro. Ciskam kamieniem w jego twarz. Wstaję. On znowu uderza z góry w fincie, obraca nadgarstek i mierzy w moje kolana. Odskakuję chwiejnie w bok, ledwie unikając trafienia. Zmienia brzytwę w bicz, uderza w nogi i podcina mnie. Upadam. Kopie mnie w pierś. Powietrze ze mnie uchodzi. Staje mi na nadgarstku, przyszpilając moją brzytwę do ziemi i już ma wbić klingę w moje serce. Jego twarz jest maską determinacji.

– Stój! – woła Mustang. Jest dwadzieścia metrów od nas, celuje z łuku w Cassiusa. Ręka jej drży z wysiłku. – Zabiję cię.

– Nie – mówi. – Ty...

Rozlega się brzęk cięciwy. Cassius unosi brzytwę, żeby odbić strzałę. Pudłuje, jest wolniejszy od Ai. Ząbkowany żelazny grot wbija mu się w gardło i wychodzi przez kark, brzechwa drapie go w podbródek z dołączkiem. Krew nie tryska. Słyszać tylko mięsiste, wilgotne charczenie. Cassius pada na plecy. Ma twarde lądowanie. Krztusi się. Charczy ohydnie. Kopie w ziemię, ściskając strzałę. Z sykiem łapie powietrze, jego oczy są o kilka cali od moich. Mustang podbiega do mnie. Wstaję, odsuwam się od Cassiusa, podnoszę brzytwę ze śniegu i wskazuję jego ciało szarpane przez spazmy.

– Nic mi nie jest – zapewniam Mustang, odrywając wzrok od starego przyjaciela, kiedy krew rozlewa się pod nim, a on walczy o życie. – Pomóż Ragnarowi.

Ponad ciałem Cassiusa widzimy, że Splamiony i Aja wirują wokół siebie przy krawędzi szczeliny. Krew, która wypływa tylko z Ragnara, maluje śnieg wokół nich. Mimo to Obsydianowy napiera. Zaciekła pieśń wypływa z jego gardła. Zasypuje Aję ciosami. Obezwładnia dwustoma pięćdziesięcioma kilogramami swojej masy. Iskry sypią się z ostrzy. Aja zaczyna mu ustępować, nie jest w stanie dorównać gniewowi wygnanego księcia z Wie-

życ. Pięty ślizgają jej się po śniegu. Ręka drży. Odchyła się od Ragnar. Odogina się jak wierzba. Jego pieśń przybiera na sile.

– Nie – mruczę. – Zastrzel ją – rozkazuję Mustang.

– Są za blisko...

– Nie obchodzi mnie to!

Strzela. Strzała przelatuje kilka cali od głowy Furii. To jednak nie ma znaczenia. Ragnar już wpadł w pułapkę Ai, a Mustang wciąż tego nie widzi. Zobaczy. To jedna z wielu rzeczy, których nauczył mnie Lorn, a której Ragnar nigdy się nie nauczył, ponieważ nie miał nauczyciela szermierki. Miał tylko gniew i lata walki twardą bronią, a nie biczem. Mustang zakłada kolejną strzałę na cięciwę. I kiedy Ragnar bierze zamach, żeby uderzyć z góry jak kowal, Aja unosi sztywne ostrze i włącza funkcję bicia. Jej klinga wiotczeje. Spodziewając się oporu twardego polimerowego włókna, Ragnar wkłada całą swoją masę w cios, który napotyka powietrze. Jest na tyle wysportowany, żeby spowolnić ruch i nie pozwolić, by ostrze uderzyło w ziemię. Gdyby miał do czynienia z gorszym przeciwnikiem, z łatwością otrząsnąłby się, ale Aja była najlepszą uczennicą Lorna au Arcosa. Już obraca się w bok, zamienia bicz w ostrze i wykorzystuje impet, żeby ciąć Ragnar z boku, gdy ten kończy obrót. Ruch jest prosty, oszczędny. Jakby była baleriną wykonującą *fouetté*, jedną z tych, które Mustang i Roque oglądali w operze w Agei, kiedy ja uczyłem się u Lorna. Gdybym nie widział krwi na jej ostrzu i rozbryzgu malującego łuk na śniegu, byłbym przekonany, że spudłowała.

Aja nie pudłuje.

Ragnar próbuje odwrócić się do niej, ale nogi go zdradzają. Uginają się pod nim. Ziejąca rana wygląda jak krwawy uśmiech na tle białej foki. Aja przecina mu krzyż, rdzeń kręgowy, aż ostrze wychodzi mu przez brzuch na wysokości pępka. Ragnar pada przy brzegu szczeliny. Jego brzytwa prześlizguje się po śniegu. Wyję z wściekłości, nie wierzę własnym oczom, i rzucam się na Aję, kiedy Mustang strzela, biegnąc razem ze mną. Aja uskakuje przed strzałami Mustang i dźga jeszcze dwa razy w brzuch Ragnar, który leży i ściska ranę. Wstrząsają nim spazmy. Ostrze wchodzi i wychodzi. Aja staje, przygotowując się do obrony przede mną, gdy wtem wytrzeszcza oczy. Cofa się zdumiona czymś, co widzi na niebie nad moją głową. Mustang strzela szybko dwa razy. Aja szarpie głową. Odwraca się od nas w stronę krawędzi szczeliny. Łód łamie się pod nią, okruchy sypią się w otchłań. Wymachuje rękami, ale nie może odzyskać równowagi. Jesz-

cze zdąży spojrzeć mi w oczy, zanim spadnie głową naprzód prosto w ciemność.

Milcząca

Aja przepadła. Sięgające głęboko, wąskie brzegi szczeliny prowadzą w ciemność. Pędzę do Ragnara. Mustang wpatruje się we wzgórze i chmury, trzymając napięty łuk. Zostały jej tylko trzy strzały.

– Niczego nie widzę – mówi.

– Żniwiarz – mruczy Ragnar z ziemi.

Pierś mu faluje. Ciężko dyszy. Ciemna krew wypływa z otwartego brzucha. Aja mogła go szybko zabić dwoma pchnięciami, kiedy leżał na ziemi, ale wolą dźgnąć go w dolną część brzucha, żeby cierpiał, umierając. Uciśkam pierwszą ranę, czerwony po łokcie, ale wypływa tak dużo krwi, że nie wiem, co robić. Regenerant nie naprawi tego, co zrobiła Aja. Nie zdoła nawet zasklepić rany. Łzy szczypią mnie w oczy. Ledwie cokolwiek widzę. Para bucha z rany. Ragnar blednie na widok krwi, jest zakłopotany, przeprasza szeptem.

– To mogli być kanibale – mówi Mustang, zastanawiając się, co odwróciło uwagę Ai. – Da radę iść?

– Nie – odpowiadam słabo.

Mustang zerka na niego, bardziej stoicka niż ja.

– Nie możemy tu zostać.

Udaję, że jej nie słyszę. Widziałem śmierć zbyt wielu przyjaciół, żeby pozwolić Ragnarowi odejść. To ja doprowadziłem do jego walki z Ają. Przekonałem go, żeby wrócił do domu. Nie dam mu się wysliznąć mi z rąk. Chociaż tyle jestem mu winien. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, której dokonam, będę go bronił; nieważne, czy to rozsądne, czy nie. Znajdę sposób, żeby go uratować, doprowadzić do jakiegoś Żółtego. Nawet jeśli przyjdą kanibale. Nawet za cenę własnego życia, nie zostawię go. Jednak takie myślenie nie sprawi, że to stanie się prawdą. Nie daje mi magicznych zdolności. Cokolwiek zaplanuję, wygląda na to, że świat upiera się, żeby to zniszczyć.

- Żniwiarz... – udaje się powtórzyć Ragnarowi.
- Oszczędzaj siły, przyjacielu. Będziesz potrzebował wszystkich, żebyśmy cię stąd zabrali.
- Była szybka. Bardzo szybka.
- Już nie żyje – uspokajam go, chociaż nie mogę mieć pewności.
- Zawsze marzyłem o dobrej śmierci. – Dygoce, kiedy znowu zdaje sobie sprawę, że umiera. – Ta nie wydaje się dobra.
- Te słowa wydobywają szloch z mojej piersi do krtani.
- Nie szkodzi – mówię przez zaciskające się gardło. – Wszystko będzie dobrze. Gdy już cię opatrzymy. Mickey naprawi cię, jak należy. Zabierzemy cię do Wieżyc. Wezwiemy pomoc.
- Darrow... – odzywa się Mustang.
- Ragnar mruga mocno powiekami patrząc na mnie, próbuje skupić wzrok. Wyciąga rękę w niebo.
- Sefi...
- Nie, to ja, Ragnar. To ja, Darrow.
- Darrow... – powtarza ostrym tonem Mustang.
- Czego?
- Sefi... – Ragnar pokazuje.

Patrzę w niebo tam, gdzie wskazuje palcem. Niczego nie widzę. Tylko ledwie widoczne chmury przesuwające się na wietrze znad morza. Słyszę jedynie kaszel Cassiusa, skrzypienie łuku Mustang i Holiday kulejącą w naszą stronę przez śnieg. I nagle widzę, dlaczego Aja uciekła – spostrzegam trzytonowego skrzydlatego drapieżnika przeszywającego chmury. Ma ciało lwa. Skrzydła, przednie nogi i głowę orła. Białe pióra. Zakrzywiony czarny dziób. Głowę wielkości dorosłego Czerwonego. Gryf jest ogromny. Na spodzie jego skrzydeł wymalowano krzyczące twarze demonów niebieskich jak niebo. Mają rozpiętość dziesięciu metrów. Gdy zwierzę ląduje przede mną na śniegu, ziemia drży. Ma bładoniebieskie oczy. Wzdłuż czarnego dzioba wymalowano mu białe symbole i znaki ochronne. Na jego grzbiecie siedzi szczupła, straszliwa istota ludzka, która dmie smutno w biały róg.

Kolejne rogi odpowiadają echem z chmur i dwanaście gryfów spada na przełęcz; niektóre czepiają się ostrych skalnych ścian nad nami, inne lądują w śniegu. Pierwszy jeździec na gryfie – ten który zadał w róg – jest odziany od stóp do głów w wybrudzone białe futro i nosi kościany hełm ozdobiony

pojedynczym grzebieniem z niebieskich piór, który schodzi aż na kark. Żaden z jeźdźców nie ma mniej niż dwa metry wzrostu.

– Zrodzony ze Słońca – woła jeden z nich w tutejszym ospałym dialekcie; to kobieta. Podbiega do boku milczącego przywódcy. Zdejmuje hełm i odsłania prymitywną twarz pokrytą bliznami i piercingiem. Opada na kolano i dotyka czoła dłonią w rękawicy w geście szacunku. Ma niebieski odcisk dłoni na twarzy. – Widzieliśmy płomień na niebie... – Głos jej się załamuje na widok mojego sierpaka.

Pozostali także zdejmują hełmy i zsiadają pośpiesznie na widok naszych włosów i oczu. Ani jeden jeździec nie jest mężczyzną. Na kobiecych twarzach są namalowane chabrowe jak niebo odciski dłoni z małym okiem pośrodku. Białe włosy spływają długimi warkoczami na plecy. Czarne oczy patrzą spod ciężkich powiek. Żelazny i kościany piercing zdobi grzbiety nosa, usta i ponacinane uszy. Tylko ich przywódczyni nie zdjęła wciąż hełmu i nie uklękła. Idzie ku nam jak w transie.

– Siostra – mówi z trudem Ragnar. – Moja siostra.

– Sefi? – dziwi się Mustang.

Przygląda się czarnym ludzkim językom na haku z trofeami przy lewym biodrze Obsydianowej. Kobieta nie nosi rękawic. Na grzbietach dłoni ma wytatuowane znaki.

– Poznajesz mnie? – chrypi Ragnar. Nieśmiały uśmiech drży na jego ustach, kiedy wojownicza podchodzi. – Na pewno tak. – Kobieta przygląda się zza maski jego bliznom. Ma ciemne i duże oczy. – Ja cię poznaję. Poznałbym cię nawet, gdyby świat pociemniał, a my bylibyśmy starzy i zwiędli. – Drży z bólu. – Gdyby lód się stopił i wiatr ucichł. – Kobieta podchodzi krok za krokiem. – Nauczyłem cię czterdziestu dziewięciu imion lodu... trzydziestu czterech oddechów wiatru. – Uśmiecha się. – Chociaż ty zawsze pamiętałaś tylko trzydzieści dwa.

Ona w ogóle nie reaguje, ale pozostali jeźdźcy już szepczą jego imię i patrzą na nas, jakby widząc, że mu towarzyszę i mam zakrzywione ostrze, zorientowali się, kim jestem. Ragnar mówi dalej ostatkami sił:

– Pięć razy niosłem cię na ramionach na pęknięcie lodów. I pozwalałem ci wplatać mi wstążki we włosy. Bawiłem się lalkami, które robiłaś z foczej skóry, i rzucaliśmy kulkami lodu w starego Proudfoota. Jestem twoim bratem. Kiedy ludzie Płaczącego Słońca zabrali mnie i naszych ludzi do Krain Łańcuchów, pamiętasz, co ci powiedziałem?

Mimo ran promienieje siłą. To jego ziemia. To jego dom. I jest tu równie potężny, jak ja byłem na swoim świdroSzponie. Jego grawitacja przyciąga Sefi, która pada na kolana i zdejmuje kościany hełm.

Sefi Milcząca, słynna córka Alii Śnieżnej Wróblicy, jest surowa i majestatyczna. Ma srogą twarz o ostrych, ptasich rysach. Oczy za małe, zbyt blisko siebie osadzone. Usta wąskie, sine z zimna i stale ściągnięte. Białe włosy zgoliła z lewej strony, a z prawej nosi zaplecione w warkocze sięgające pasa. Skrzydlaty tatuaż okolony astralnymi runami maluje się sino na lewej stronie jej bladej czaszki. Jednak tym, co ją wyróżnia wśród Obsydianowych i czyni przedmiotem ich uwielbienia, jest jej skóra: gładka, pozbawiona blizn od walki czy choroby. Jedyna ozdoba, którą nosi, to pojedynczy metalowy pręt w nosie. Kiedy mrugając spuszcza wzrok na ranę Ragnarara, przeszywa mnie spojrzenie niebieskich oczu wyatutowanych na jej powiekach.

Wyciąga rękę do brata, ale nie po to, żeby go dotknąć. Chce poczuć parę buchającą mu z ust i nosa. To nie wystarcza Ragnarowi. Łapie jej dłoń i przyciska zawzięcie do piersi, żeby poczuła słabnące bicie jego serca. Łzy radości wypełniają mu oczy. Kiedy łzy wypływają również z oczu Sefi i żłobią ślady w niebieskiej farbie barw wojennych, Ragnar mówi łamiącym się głosem:

– Powiedziałem ci, że wrócę.

Sefi odrywa od niego wzrok i patrzy na ślady Ai prowadzące do szczeliny. Cmoka i cztery Walkirie spuszczaają liny w śnieg i zjeżdżają w ciemność, żeby poszukać Furii. Reszta obstawy pilnuje swojej przywódczyni i obserwuje wzgórze, trzymając w pogotowiu smukłe łuki refleksyjne.

– Musimy zabrać go do Wieżyc – mówię w ich języku. – Do waszego szamana.

Sefi nie patrzy na mnie.

– Za późno. – Śnieg zbiera się na białej brodzie Ragnarara. – Pozwólcie mi umrzeć tutaj. Na lodzie. Pod otwartym niebem.

– Nie – mamrocę. – Możemy cię uratować.

Słowa wydają się bardzo odległe i nieważne. Krew nadal z niego wypływa, ale nie ma już w nim smutku. Sefi go przegnała.

– To nic wielkiego umrzeć – mówi do mnie i wiem, że sam chciałby bardziej w to wierzyć. – Nie, kiedy człowiek naprawdę żył. – Uśmiecha się, nawet w takiej chwili próbując mnie pocieszyć. Jednak na jego twarzy maluje się niesprawiedliwość życia, jakie przyszło mu wieść, i niesprawie-

dliwość śmierci. – Zawdzięczam to tobie. Ale... wiele rzeczy zostało jeszcze do zrobienia. Sefi. – Przemyka ślinę, język ma ociężały i suchy. – Czy moi ludzie was znaleźli? – Sefi kiwa głową, nadal garbiąc się nad bratem. Jej białe włosy unoszą się na wietrze. Ragnar patrzy na mnie. – Darrow, wiem, że uważasz, że słowa wystarczą – mówi w języku Aureusów, żeby Sefi nie rozumiała. – Nie wystarczą. Nie w wypadku mojej matki.

Oto czego mi nie powiedział. To dlatego był taki milczący na promie, dlatego ciążył mu niepokój. Wracał do domu, żeby zabić swoją matkę. I teraz daje mi pozwolenie na zrobienie tego. Zerkam na Mustang. Ona też to słyszała i na jej twarzy maluje się ból – w równym stopniu z racji mojego strzaskanego marzenia głupca o lepszym świecie, co z powodu mojego umierającego przyjaciela. Ragnar drży z bólu i Sefi wyjmuję nóż z buta, nie chcąc patrzeć dłużej, jak się męczy. Ragnar kręci głową i kiwa na mnie. Chce, żebym ja to zrobił. Potrząsam głową, jakbym mógł przebudzić się z tego koszmaru. Sefi patrzy na mnie drapieźnie, jakby rzucała mi wyzwanie, abym sprzeciwił się ostatniemu życzeniu jej umierającego brata.

– Umrę wśród przyjaciół – mówi Ragnar.

Odrętwiały pozwalam, żeby brzytwa ześlizgnęła mi się do ręki i unoszę ją nad jego piersią. Wreszcie w wilgotnych oczach Ragnarą pojawia się spokój. Jedyne, co mogę zrobić, to być dzielny przez wzgląd na niego.

– Przekażę Eo pozdrowienia od ciebie. Przygotuję ci dom w Dolinie twoich ojców. Będzie stał obok mojego. Dołącz do mnie, kiedy umrzesz. – Uśmiecha się szeroko. – Ale żaden ze mnie budowniczy, więc się nie śpiesz. Poczekamy.

Kiwam głową, jakbym nadal wierzył w Dolinę. Jakbym wciąż myślał, że czeka na mnie i na niego.

– Twoi ludzie będą wolni – obiecuję. – Przysięgam na moje życie. Wkrótce się zobaczymy.

Ragnar uśmiecha się, patrząc w niebo. Sefi gorączkowo wsuwa mu do ręki swój topór, żeby mógł umrzeć jak wojownik i z bronią w dłoni zapewnił sobie miejsce w Walhalli.

– Nie, Sefi – odpowiada. Wypuszcza topór i nabiera do lewej garści śnieg, a prawą trzyma ją za rękę. – Znajdź w życiu coś więcej.

Kiwa do mnie głową.

Wiatr dmie.

Śnieg pada.

Ragnar patrzy w niebo, gdzie błyszczą zimne światła Fobosa, kiedy ja w milczeniu wbijam mu metal w serce. Śmierć przychodzi o zmierzchu, ale nie potrafię powiedzieć, kiedy światło go opuszcza, kiedy jego serce przestaje bić, a oczy widzieć. Ja jednak wiem, że odszedł. Czuję to w chłodzie, który mnie ogarnia. W dźwięku samotnego, zachłannego wiatru i w przerażającej ciszy w czarnych oczach Sefi Milczącej.

Mój przyjaciel, mój obrońca, Ragnar Volarus opuścił ten świat.

Bladolica królowa

Jestem odrętwiały z żalu. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, jak Sevro zareaguje na wieść o śmierci Ragnara. O tym, że dzieci mojego brata i siostry nigdy więcej nie wplotą już żadnej wstążki we włosy Przyjaznego Olbrzyna. Część mojej duszy odeszła i nigdy nie wróci. Był moim obrońcą. Dał mi tak wiele siły. A teraz, bez niego, przywieram do pleców Walkirii, kiedy jej gryf unosi się z zakrwawionego śniegu. Chociaż szybujemy wśród chmur na potężnych skrzydłach i po raz pierwszy widzę Wieżyce Walkirii, nie czuję trwożnego podziwu. Nie czuję nic.

Wieżyce są poskręcany, przyprawiając o zawrót głowy grzbietem górskim o szczytach tak absurdalnych w swojej nagłej wysokości na arktycznych równinach, że tylko szalony Złoty przy przyciskach kontrolnych silnika Lovelocka, dysponujący pięćdziesięcioma latami manipulacji tektonicznych i zasobami całego układu planetarnego, mógł przyczynić się do ich powstania. Pewnie zrobił to tylko po to, żeby się przekonać, czy to możliwe. Dziesiątki skalnych iglic splatają się jak mściwi kochankowie. Otacza je mgła. Gryfy budują sobie gniazda na ich szczytach, wrony i orły niżej. Na wysokiej skalnej ścianie wisi siedem szkieletów zakutych w łańcuchy. Łód jest splamiony krwią i zwierzęcymi odchodami. To dom jedynej rasy, jaka kiedykolwiek zagroziła Złotym. A my zjawiamy się splamieni krwią ich wygnanego księcia.

Sefi i jej wojowniczkę przeszukały szczelinę, do której spadła Aja. Znalazły tylko odciski butów. Żadnego ciała. Żadnej krwi. Niczego, co uśmierzyłoby wściekłość płonącą w Sefi. Myślę, że zostałyby przy ciele brata jeszcze przez wiele godzin, gdyby z oddali nie dobiegł dźwięk bicia w bębny. Pożeracze zebrali większe siły i postanowili rzucić wyzwanie Walkiriom, żeby odebrać im upadłych bogów.

Wściekłość plamiła jej twarz, kiedy stanęła nad Cassiusem z toporem w ręce. To jeden z pierwszych Złotych, jakich kiedykolwiek widziała bez

zbroi. Może z wyjątkiem Mustang. Myślę, że złana krwią brata zabiłaby go na miejscu, tam na śniegu. Wiem, że pozwoliłbym jej na to, podobnie jak Mustang. Jednak ustąpiła, słysząc ponaglenia swoich Walkirii. Zaczekała na nie, schowała topór i dała im znać, że mają dosiadać gryfów. Teraz Cassius jest przywiązany do siodła Walkirii lecącej na prawo ode mnie. Strzała nie trafiła go w żyłę szyjną, ale śmierć może go dopaść nawet i bez pomocy topora Sefi.

Lądujemy w wysokiej niszy wykutej na najwyższym poziomie skróconej jak korkociąg iglicy. Niewolnicy z wrogich Obsydianowych klanów z wypalonymi oczami zajmują się naszymi gryfami. Mają twarze pomalowane na żółto, symbol tchórzostwa. Żelazne drzwi zamykają się z jękiem, odcinając nas od wiatru. Walkirie zeskakują z siodeł, zanim dobrze wylądujemy, żeby pomóc przenieść Ragnara w głąb skalnego miasta.

Robi się zamieszanie, kiedy kilkudziesięciu uzbrojonych wojowników wpycha się do stajni gryfów i wypytuje Sefi. Gestykują wściekle, wskazując na nas. Mówią z mocniejszym akcentem niż *nagal*, jakiego uczyłem się z transferów Mickeya i podczas studiów w Akademii, ale rozumiem dość, żeby zorientować się, że zdaniem nowej grupy pokrzykujących wojowników powinniśmy być zakuci w łańcuchy. Mówią coś o heretykach. Kobiety Sefi odkrzykują, że jesteśmy przyjaciółmi Ragnara, a potem gorączkowo wskazują nasze Złote włosy. Nie wiedzą, jak traktować nas ani jak traktować Cassiusa, którego paru wojowników odciąga, jak odciąga się psy walczące o ochłap mięsa. Nadal ma strzałę w szyi. Wybałuszone oczy z ogromnymi białkami. Wyciąga do mnie z przerażeniem rękę, kiedy Obsydianowi wleką go po podłodze. Łapie mnie za dłoń, trzyma przez chwilę, a potem znika w oświetlonym pochodniami korytarzu, porwany przez pół tuzina olbrzymów. Reszta tłoczy się wokół nas z potężną, żelazną bronią w rękach. Mocny smród ich futer przyprawia o mdłości. Milkną dopiero wtedy, kiedy stara, tęga kobieta z tatuażem przedstawiającym dłoń na czole przepycha się przez ich szeregi, żeby porozmawiać z Sefi. To jedna z wodzów jej matki. Szerokim gestem wskazuje w górę.

– Co ona mówi? – pyta Holiday.

– Rozmawiają o Fobosie. Widzieli światła bitwy. Myślą, że Bogowie walczą. Uważają, że powinniśmy być ich więźniami, a nie gośćmi – odpowiada Mustang. – Pozwólcie, że zabiorą waszą broń.

– Niech się gonia. – Holiday cofa się z karabinem w rękach.

Łapię za lufę i zmuszam ją do puszczenia broni. Sam oddaję im swoją brzytwę.

– Pięknie, kurwa, pięknie – mamrocze.

Zakuwają nam ręce i nogi w wielgachne żelazne okowy, starając się nie dotknąć naszej skóry ani włosów, a potem szarpnięciem kierują nas tunelem obok strażników Wieżyc, z dala od Walkirii Sefi. Widzimy jednak, że ona patrzy za nami, a jej biała twarz przybiera dziwny wyraz, zdradzający wewnętrzne rozdarcie.

* * *

Po tym jak powleczono nas przez kilka słabo oświetlonych klatek schodowych, zostajemy wepchnięci do pozbawionej okien celi wykutej w żywej skale, gdzie powietrze jest duszne i zadymione. Foczy tłuszczy się w żelaznych koksownikach i dym szczypie nas w oczy, potykam się na nierównym kamieniu, padam na podłogę. Walę kajdanami w kamień. Czuję gniew. Bezradność. Wszystko rozgrywa się tak szybko, szarpiąc mną w różne strony, że już sam nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mam jednak dość czasu, żeby dotarła do mnie daremność moich działań, moich planów. Mustang i Holiday obserwują mnie w ciężkim milczeniu. Pierwszy dzień mojego wspaniałego planu i Ragnar już nie żyje.

– Nic ci nie jest? – odzywa się cicho Mustang.

– A jak myślisz? – pytam gorzko.

Nie odpowiada. Nie jest jedną z tych kruchych osób, które obrażają się i jęczą, że chciały tylko pomóc. Dostatecznie dobrze zna ból straty.

– Musimy wymyślić plan – dodaję machinalnie, starając się przegnać z myśli Ragnara.

– Ragnar był naszym planem – mówi Holiday. – Był całym naszym pieprzonym planem.

– Ciągle możemy coś z niego ocalić.

– A jak, u diabła, spodziewasz się to zrobić? – pyta Holiday. – Nie mamy już broni. Ci ludzie nie wyglądają na zachwyconych naszym widokiem. Pewnie nas zjedzą.

– Ci nie są kanibalami – zwraca jej uwagę Mustang.

– A jesteś gotowa założyć się o swoją nogę?

– Alia jest kluczem – mówię. – Wciąż możemy ją przekonać. Będzie to trudne bez Ragnara, ale to jedyny sposób. Musimy przekonać ją, że zginął,

próbując przynieść jej ludziom prawdę.

– Nie słyszałeś go? Powiedział, że słowa nie podziałają.

– Nadal mogą podziałać.

– Darrow, daj sobie chwilę – przekonuje mnie Mustang.

– Chwilę? Moi ludzie umierają na orbicie. Sevro toczy wojnę i polega na nas, na tym, że sprowadzimy mu armię. „Chwila” to byłby parszywy luksus, którego nie mamy.

– Darrow... – Mustang próbuje mi wejść w słowo.

Ja nadal nawijam, metodycznie przeglądając nasze opcje; mówię, że musimy wytropić Aję, połączyć się z Synami Aresa...

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Darrow. Przestań.

Głos mi się łamie. Gubię się, nie wiem, przy czym byłem, tracę oparcie w logice i wpadam prosto w emocje. Mam krew Ragnara pod paznokciami. On chciał tylko wrócić do domu i wyprowadzić swoich ludzi z ciemności, tak jak uważał, że ja wyprowadziłem jego. Pozbawiłem go tej możliwości, prowadząc go do ataku na Aję. Nie płaczę. Nie ma na to czasu, ale siedzę z głową ukrytą w dłoniach.

Mustang dotyka mojego ramienia.

– Uśmiechał się pod koniec – odzywa się cicho. – Wiesz dlaczego? Bo wiedział, że postępował słusznie. Walczył o miłość. Stworzyłeś rodzinę ze swoich przyjaciół. Zawsze tak robiłeś. Ragnar stał się lepszym człowiekiem, odkąd cię poznał. Nie ściągnąłeś na niego śmierci. Pomogłeś mu zacząć żyć. A teraz ty musisz żyć. – Siada obok mnie. – Wiem, że chcesz wierzyć w to, co najlepsze w ludziach. Pomyśl jednak, ile czasu potrzebowaleś, żeby dotrzeć do Ragnara. Żeby podbić serce Tactusu albo moje. Co możesz zdziałać w jeden dzień? W tydzień? To miejsce... to nie jest nasz świat. Ich nie obchodzą zasady ani nasza moralność. Umrzemy tutaj, jeśli nie uciekniemy.

– Wątpisz, że Alia mnie posłucha.

– Dlaczego miałyby cię posłuchać? Obsydianowi cenią tylko siłę. A gdzie jest nasza siła? Ragnar myślał, że będzie musiał zabić swoją matkę. Ona nie będzie słuchać. Znasz słowo oznaczające kapitulację w *nagal*? *Rjoga*. A podporządkowanie? *Rjoga*. A jak brzmi słowo oznaczające niewolnictwo? *Rjoga*. Bez Ragnara, który by ich poprowadził, jak myślisz, co się stanie, kiedy napuścisz ich na Wspólnotę? Alia Śnieżna Wróblica to tyranka. A reszta wodzów nie jest od niej lepsza. Możliwe, że nawet się nas

spodziewała. Nieważne, że zhakowaliśmy system monitoringu Żółtych, oni wiedzą, że Alia jest matką Ragnara i mogli ją uprzedzić, że ma się go spodziewać. Możliwe, że właśnie melduje im o naszym przybyciu.

Kiedy jako dziecko patrzyłem na mojego ojca, myślałem, że bycie mężczyzną oznacza sprawowanie kontroli. Bycie panem i władcą swojego losu. Jakim cudem mały chłopiec mógłby wiedzieć, że w chwili, kiedy zostajesz mężczyzną, tracisz wszelką wolność? Różne rzeczy zaczynają się liczyć. Naciskać. Kurczyć się wokół ciebie powoli i w sposób nieunikniony, tworząc klatkę niedogodności, obowiązków i terminów, zawalonych planów i utraconych przyjaciół. Mam dość tego, że ludzie wątpią. Tego, że wolą uważać, że wiedzą, co jest możliwe, w oparciu o to, co wydarzyło się wcześniej.

– Ucieczka nie będzie taka łatwa – mruczy Holiday.

– Krok pierwszy. – Mustang zrzuca kajdany. Posłużyła się małym odłamkiem kości, żeby otworzyć zamek.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – pyta Holiday.

– Myślisz, że Instytut to była moja pierwsza szkoła? Twoja kolej. – Mustang sięga po moje okowy. – Moim zdaniem możemy rzucić się na nich, kiedy otworzą... Co jest?

Zabrałem ręce.

– Nie ucieknę.

– Darrow...

– Ragnar był moim przyjacielem. Powiedziałem mu, że pomogę jego ludziom. Nie ucieknę, żeby ratować własną skórę. Nie pozwolę, żeby zginął na darmo. Jedyne wyjście to doprowadzić to do końca.

– Obsydianowi...

– Są potrzebni – wchodzi Mustang w słowo. – Bez nich nie mamy szansy w walce z legionami Żółtych. Nawet z twoją pomocą.

– W porządku – zgadza się. Nie chce dłużej roztrząsać tej kwestii. – Zatem jak zamierzasz przekonać Alię?

– Myślę, że będę do tego potrzebował twojej pomocy.

* * *

Wiele godzin później zostajemy zaprowadzeni do ogromnej sali tronowej zbudowanej dla olbrzymów. Jest oświetlona przez kinkiety zasilane foczym tłuszczem, które buchają czarnym dymem na ściany. Żelazne drzwi zatrza-

skuja się za nami z hukiem i zostajemy sami przed tronem, na którym siedzi największa istota ludzka, jaką kiedykolwiek widziałem. Obserwuje nas z drugiego końca sali. Bardziej przypomina posąg niż żywą kobietę. Podchodzimy niezręcznie w łańcuchach, stukamy butami o gładką czarną posadzkę, aż zatrzymujemy się przed Alią Śnieżną Wróblcią, królową Wal-kirii.

Na jej kolanach leży ciało jej martwego syna.

Alia piorunuje nas wzrokiem. Jest równie kolosalna jak Ragnar, ale wiekowa i groźna, jak najstarsze drzewo w jakiejś prastarej puszczy – drzewo z rodzaju tych, co osuszają glebę i odcinają od słońca mniejsze drzewka, patrząc, jak one więdną, żółkną i umierają, same zaś tylko sięgają konarami coraz wyżej, a korzeniami coraz głębiej. Wiatr opancerzył jej twarz martwą skórą i odciskami. Włosy ma długie, w strąkach, koloru brudnego śniegu. Siedzi na poduszce z futer ułożonych wewnątrz klatki piersiowej szkieletu największego gryfa, jakiego kiedykolwiek Wyrzeźbiono. Łeb zwierzęcia wrzeszczy na nas bezdźwięcznie znad jej głowy. Skrzydła rozciągające się na kamiennej ścianie mają rozpiętość dziesięciu metrów. Na głowie Alii widnieje korona z czarnego szkła. U jej stóp stoi legendarny wojenny kufer, który w czasach pokoju pozostaje zamknięty za pomocą ogromnego żelaznego mechanizmu. Jej żylaste ręce są pokryte krwią.

To prymitywna kraina. Wiedziałbym, co powiedzieć królowej, która zasiada na tronie, ale nie mam parszywego pojęcia, co powiedzieć matce, która siedzi z martwym synem na kolanach i patrzy na mnie jak na robaka, który właśnie wypełzł z tajgi.

Wygląda na to, że niespecjalnie przejmuje się tym, że właśnie zapomniałem języka w ustach. Jej własny jest dostatecznie ostry.

– Na naszych ziemiach krąży wielka herezja wymierzona przeciwko bogom, którzy władają tysiącem gwiazd Otchłani.

Jej głos dudni jak u starego krokodyla. Nie mówi jednak w swoim języku, tylko w naszym. To wysoka mowa Aureusów. Święty język znany przez nielicznych na tych ziemiach, głównie przez szamanów, którzy obcuja z bogami. Inaczej mówiąc: szpiegów. Biegłość Alii zaskakuje Mustang, ale nie mnie. Wiem, jak to się dzieje, że ludzie z nizin wybijają się pod władzę możnych i to tylko potwierdza żywione przeze mnie od dawna podejrzenia. Parszywe Gammy nie są jedynymi faworyzowanymi niewolnikami na świecie.

– Herezja nikczemnych proroków, którym przeświecają nikczemne cele, przez lato i przez zimę szerzyła się wśród nas. Zatruchiła moich ludzi i ludzi ze Smoczego Grzbietu, z Krwawych Namiotów i Grzechoczących Jaskiń. Zatruchiła ich kłamstwami, które są jak splunięcie w twarz naszego ludu. – Pochyliła się na tronie. Ma ogromne czarne zaskórniki na nosie. Zmarszczki jak głębokie wąwozy wokół smolistych oczu. – Kłamstwa, że Splamiony syn powróci i sprowadzi człowieka, który wyprowadzi nas z tych ziem. Gwiazdę Zaranną świecącą w ciemności. Odnajdywałam tych heretyków, żeby posłuchać ich szeptów, przekonać się, czy przemawiają przez nich bogowie. Nie przemawiali. Zło przez nich przemawiało. Dlatego na nich polowałam. Łamałam im kości własnymi rękami. Obdzierałam ich z ciała i wieszałam na skale Wieżyc jako padlinę dla lodowego ptactwa.

Siedem ciał, które wisały na zewnątrz na łańcuchach. Przyjaciele Ragnara.

– Robię to dla mojego ludu. Robię to, ponieważ kocham swój lud. Ponieważ dzieci mego łona są nieliczne, a ludzi bliskich memu sercu jest wielu. Ponieważ wiedziałam, że ta herezja jest kłamstwem. Ragnar, krew z mojej krwi, nie wróci. Jego powrót oznaczałby złamanie przysięgi złożonej mnie, jego ludziom i bogom, którzy czuwają nad nami z wysokiego Asgardu. – Patrzy na martwego syna. – A potem obudziłam się i powitałam mnie ten koszmar. – Zamyka oczy. Bierze głęboki wdech i otwiera je ponownie. – Kim jesteście, żeby przynosić trupa mojego najlepszego potomka do mej wieży?

– Nazywam się Darrow z Lykos – odpowiadam. – A to Virginia au Augustus i Holiday ti Nakamura.

Spojrzenie Alii ignoruje Holiday i przeskakuje na Mustang, która mimo prawie dwóch metrów wzrostu wygląda jak dziecko w tej ogromnej sali.

– Przybyliśmy z Ragnarem z misją dyplomatyczną w imieniu Powstania.

– Powstanie. – Alii nie podoba się smak tego obcego słowa. – A kim jesteś dla mojego syna? – Przygląda się moim włosom z większą pogardą, niż śmiertelnik powinien okazywać bogu. Tu się toczy jakaś bardziej skomplikowana gra. – Jesteś panem Ragnara?

– Jestem jego bratem – poprawiam ją.

– Jego bratem? – powtarza drwiąco.

– Twój syn przysiągł mi służyć, kiedy odebrałem go Złotemu. Ofiarował mi swoje Plamy, a ja ofiarowałem mu wolność. Od tamtego czasu był moim bratem.

– On... – Głos jej się łamie. – Umarł wolny?

Sposób, w jaki to wymawia, zdradza głębsze zrozumienie. Mustang też to dostrzega.

– Tak. Jego ludzie, ci, których kazałaś powiesić na murach, powiedzieliby ci, że dowodzę rebelią przeciwko Złotym, którzy wami władają i którzy odebrali ci Ragnara i inne twoje dzieci. I powiedzieliby ci, tak samo jak wszyscy twoi ludzie, że Rag-nar był największym z moich generałów. Był dobrym człowiekiem. Był...

– Znam mojego syna – przerywa mi. – Pływałam z nim wśród kry lodowej, kiedy był chłopcem. Uczyłam go nazw śniegu i burz, zabrałam go na swoim gryfie, żeby pokazać mu kręgosłup świata. Trzymał się moich włosów i śpiewał z radości, kiedy wzbijaliśmy się w chmury. Mój syn nie znał strachu. – Zapamiętała ten dzień zupełnie inaczej niż Ragnar. – Znam mojego syna. I nie potrzebuję, żeby obcy opowiadał mi o jego duchu.

– Zatem powinnaś zadać sobie pytanie, królowo, co mogło sprawić, że tu wrócił – odzywa się Mustang. – Co kazałoby mu przysłać tu swoich ludzi? Przybyć tu osobiście, chociaż wiedział, że złamie wtedy przysięgę złożoną tobie i swoim ludziom?

Alia nie odpowiada, ale przygląda się Mustang tymi zachłannymi oczami.

– Brat. – Znowu kpi z tego słowa, przenosząc wzrok na mnie. – Zastanawiam się, czy posłużyłbyś się swoimi braćmi, tak jak posłużyłeś się moim synem? Sprowadzając go tutaj. Jakby był kluczem, który wyzwoli lodowe olbrzymy. – Rozgląda się po sali, żebym popatrzył po uczynkach, które upamiętniono w kamieniu ciągnącym się na wysokość piętnastu ludzi w górę. Nigdy nie poznałam żadnego Obsydianowego rzemieślnika. Przyśylają nam tylko wojowników. – Jakbyś mógł wykorzystać miłość matki przeciwko niej samej. Tacy są mężczyźni. Wyczuwam smrodek twojej ambicji. Twoich planów. Nie znam Otchłani, wojowniku bywały w świecie, ale znam lód. Znam węże, które pełzają w ludzkich sercach. Osobiście przesłuchiwałam heretyków. Wiem, czym jesteś. Wiem, że pochodzisz od niższej istoty. Jesteś Czerwony. Widziałam Czerwonych. Są jak dzieci. Małe elfy, które żyją w kościach świata. Ale ukradłeś ciało Asa, Zrodzonego ze Słońca. Nazywasz siebie tym, który zrywa okowy, ale ty je tworzysz. Chcesz nas przykuć do siebie. Posłużyć się naszą siłą, żeby zdobyć wielkość. Jak każdy mężczyzna.

Pochyla się nad moim martwym przyjacielem, żeby łypnąć na mnie złowrogo, a ja widzę już, co budzi jej szacunek, dlaczego Ragnar uważał, że będę musiał ją zabić i zagarnąć jej tron i dlaczego Mustang chciała uciekać. Szanuje siłę. I zastanawia się, gdzie leży moja.

– Dużo o nim wiesz – odzywa się Mustang – ale nic nie wiesz o mnie. A mimo to mnie obrażasz.

Alia marszczy brwi. Ewidentnie nie ma pojęcia, kim jest Mustang, i nie chce rozniewać prawdziwego Złotego, o ile Mustang rzeczywiście nim jest. Jej pewność siebie odrobinę maleje.

– Nie powiedziałam niczego przeciwko tobie, Zrodzona ze Słońca.

– Przeciwnie. Sugerując, że on ma złe zamiary wobec twoich ludzi, sugerujesz zarazem, że jestem z nim w zмовie. Że ja, jako jego towarzyszka, także zjawiłam się tutaj z tymi samymi złymi intencjami.

– Zatem jakie są twoje intencje? Dlaczego towarzyszysz tej istocie?

– Aby przekonać się, czy warto za nim podążać.

– I warto?

– Jeszcze nie wiem. Wiem jednak, że miliony pójdą za nim. Znasz tę liczbę? Potrafisz ją ogarnąć umysłem, Alio?

– Znam.

– Pytałaś o moje zamiary – ciągnie Mustang. – Przedstawię je jasno. Jestem wojowniczką i królową tak jak ty. Moje królestwo jest większe niż to, co potrafisz ogarnąć. Mam metalowe statki w Otchłani, które przewożą więcej ludzi, niż kiedykolwiek widziałaś. Mogą przepołowić największą górę. I przybyłam tu, żeby ci powiedzieć, że nie jestem bogiem. Ci mężczyźni i kobiety w Asgardzie nie są bogami. Są z krwi i kości. Tak jak ty. Tak jak ja.

Alia podnosi się powoli, z łatwością dźwigając na rękach ogromnego syna i niesie go na kamienny ołtarz, na którym go kładzie. Wylewa olej z małego naczynia na materiał i układa go na twarzy Ragnara. A potem całuje ten materiał. Nie odrywa wzroku od Ragnara.

Mustang naciska:

– Te ziemie nie mogą przyjąć ziarna. Włada tu wiatr, lód i jałowa skała. A jednak ty przetrwałaś. Kanibale grasują wśród wzgórz. Wrogie klany pragną twoich ziem. Ale ty przetrwałaś. Sprzedajesz swoich synów, swoje córki tym „bogom”, sama jednak trwasz. Powiedz mi, Alio, dlaczego? Po co żyć, skoro wszyscy żyjecie, żeby służyć? Żeby patrzeć, jak wasza rodzina wygasa? Ja patrzyłam, jak mój ród się rozpada. Po kolei skradziono

mi wszystkich bliskich. Mój świat jest okaleczony. Podobnie jak twój. Jeśli jednak połączysz się ze mną, z Darrowem, tak jak chciał Ragnar... możemy stworzyć nowy świat.

Znekana Alia odwraca się do nas. Podchodzi ku nam powolnym, miarowym krokiem.

– Czego obawiałabyś się bardziej, Virginio au Augustus: boga czy śmiertelnika obdarzonego mocą boga? – Pytanie zawisa między nimi, tworząc rozziw, którego słowa nie naprawia. – Bóg nie może umrzeć. Więc bóg nie zna strachu. Zaś śmiertelnicy... – Cmoka, odsłaniając przebarwione zęby. –

Jakże się boją, że nadejdzie ciemność. I jak zaciekle będą walczyć, żeby pozostać w świetle.

Jej przesiąknięty zepsuciem głos sprawia, że krew ścina mi się lodem w żyłach.

Ona wie.

Oboje z Mustang zdajemy sobie z tego sprawę w tej samej straszliwej chwili. Alia wie, że jej bogowie są śmiertelni. Nowy strach wydobywa się z najgłębszych otchłani mojej osoby. Jestem głupcem. Przebyliśmy taką odległość, żeby pomóc jej przejrzeć na oczy, ale ona już wcześniej poznała prawdę. Jakimś cudem. Jakimś sposobem. Czy Złoci zwrócili się do niej, bo jest królową? Sama to odkryła? Zanim sprzedała Ragnara? Później? To nie ma znaczenia. Ona już pogodziła się z tym światem. Z kłamstwem.

– Istnieje inna droga – tłumaczę desperacko, wiedząc, że Alia podjęła nieprzychylną nam decyzję, zanim jeszcze tu weszliśmy. – Ragnar to spostrzegł. Widział świat, w którym twoi ludzie mogliby opuścić lód. Wybierać własne przeznaczenie. Dołącz do mnie, a ten świat stanie się możliwy. Dam ci środki do zdobycia tego, co pozwoli ci przemierzać gwiazdy, tak jak to robili wasi przodkowie; stawać się niewidzialnym, latać w powietrzu z pomocą butów. Moglibyście żyć na ziemiach, które sami wybieriecie. Tam, gdzie wiatr jest ciepły, a ziemia zielona, nie biała. Musisz tylko walczyć u mego boku, tak jak robił to Ragnar.

– Nie, mały człowieczku. Nie można walczyć z niebem. Nie można walczyć z rzeką, morzem ani górami. Nie można walczyć ze Złotymi – odpowiada Alia. – Dlatego wypełnię swój obowiązek. Będę chronić mój lud. Wyślę was do Asgardu w łańcuchach. Niech Złoci zdecydują o waszym losie. Moi ludzie będą żyć dalej. Sefi odziedziczy mój tron. A ja pochowam swojego syna w lodzie, na którym się urodził.

Ziemia niczyja

Niebo ma kolor krwi pod martwym paznokciem, kiedy odlatujemy z Wieżyc. Tym razem jesteśmy więźniami, przytwierdzonymi łańcuchami brzuchem do dołu za cuchnącymi siodłami z futer – jak bagaż. Oczy mi łzawią, kiedy siecze w nie wiatr dolnej troposfery. Przechylamy się podczas skrętu i widzę, że jeźdźcy unoszą zasłonięte maskami twarze w niebo, żeby spojrzeć na słabe światła Fobosa. Drobnie rozbłyski, białe i żółte, szpecą niebo, kiedy statki nad nami walczą. Modłę się w duchu o bezpieczeństwo Sevro, a także Victry i reszty Wyjców.

Zgodnie z przewidywaniami Mustang słowa zawiodły w przypadku Alii. I teraz lecimy do Asgardu jako dar dla bogów, który zapewni przyszłość ludowi Śnieżnej Wróblicy. To właśnie powiedziała swojej milczącej córce. Sefi wzięła moje łańcuchy i z pomocą osobistych strażników Alii wywlekła mnie, Mustang i Holiday do hangaru, gdzie czekały jej Walkirie.

Teraz, wiele godzin później, przelatujemy nad ziemią stworzoną przez gniewnych bogów w ich młodości. Dramatyczna i brutalna Antarktyka została zaprojektowana jako kara i próba dla przodków Obsydianowych, którzy ośmielili się powstać przeciwko Złotym po dwustu latach ich rządów. Miejsce tak okrutne, że zgodnie z danymi Komisji Kontroli Jakości dorosłość tu osiąga mniej niż sześćdziesiąt procent Obsydianowych.

Desperacka walka o przeżycie okrada tych ludzi z szansy na stworzenie kultury i społeczny rozwój, podobnie jak były ich pozbawione koczownicze plemiona w pierwszych wiekach ciemnych. Rolnicy tworzą kulturę. Nomadzi wojują.

Subtelne oznaki życia oprószają punktowo pustkowia. Włóczące się stada turów. Ognie na górskich grzbietach jarzące się przez szczeliny w potężnych bramach miast, które Obsydianowi wykuli w skałach, żeby gromadzić tam zapasy i tłoczyć się za murami w przededniu długiej i ciemnej zimy. Lecimy całymi godzinami. Przysypiam i budzę się; moje ciało jest

wyczerpane. Nie zamknąłem oczu, odkąd jedliśmy makaron razem z Ragnarem w naszej przytulnej dziurze w brzuchu martwego statku. Jak to możliwe, że tak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie?

Budzi mnie dźwięk rogu. Ragnar nie żyje. To pierwsza myśl w mojej głowie.

Nie jest mi obce budzenie się w żałobie.

Inny róg odpowiada, jeźdźcy Sefi ścieśniają szyk w locie. Wznosimy się pośród morza popielatoszarych chmur. Przede mną Sefi pochyla się nad wodzami gryfa. Ponagla rumaka, by wleciał w skłębioną ciemność. Wyfruwamy spomiędzy chmur i widzimy wiszący pośród zmierzchu Asgard. To czarna góra oderwana od ziemi przez bogów i zawieszona w połowie drogi między lodowym światem w dole i Otchłanią w górze. Siedziba Asów. O ile Olimp był świetlistą pochwałą zmysłów, o tyle to jest złowieszcza groźba wisząca nad podbitą rasą.

Kamienne schody – niebezpieczne i na pozór w żaden sposób niczym nie podparte – wznoszą się wśród gór i cumują Asgard do świata na dole. To Droga Splamionych, ścieżka, którą wszyscy młodzi Obsydianowi muszą przebyć, jeśli chcą zdobyć przychylność bogów i zapewnić zaszczyty i dary swoim plemionom, zostając sługami Wszechmatki Śmierci. Ciała zaściełają Dolinę Upadłych poniżej. Zamarznięte stosy mężczyzn i kobiet na ziemi, gdzie padlina nigdy nie gnije i tylko pracowite wrony mogą zamienić ich w szkielety. To samotny szlak. Musimy go przemierzyć, jeśli Obsydianowi mają zbliżyć się do góry.

To dlatego Obsydianowi się boją. Wyczuwam teraz ten strach w Sefi. Nigdy nie pokonała tej ścieżki. Żaden Splamiony nie może pozostać wśród ludzi z Wieżyc ani z innych plemion. Wszyscy zostają wybrani przez bogów do służby. Matka nigdy nie pozwoliłaby jej przejść tej próby. Potrzebowała córki. Potrzebowała następczyni, która zostanie przy niej.

W przeciwieństwie do Olimpu Asgard jest zabezpieczony na różne sposoby. Elektroniczne emiterzy wysokich częstotliwości sprawiają, że gryfy krwawią z uszu, jeśli zbliżą się do góry na dwa kilometry. Mające krótszy zasięg tarcze impulsowe o wysokim ładunku wprawiałyby w hiperoscylację strukturę molekularną każdego człowieka i każdej innej żywej istoty, zgotowując wodę w skórze i organach wewnętrznych. Dla Obsydianowych to czarna magia. Dziś jednak czujniki są martwe dzięki Żywemu Srebru i jego hakerom, a kamery i drony, które powinny monitorować nasze nadejście, nie widzą nas. Zamiast tego pokazują nagrania sprzed trzech lat, podobnie

jak satelity. Istnieje tylko jeden sposób, żeby ubiegać się o audiencję u bogów: Droga Splamionych prowadząca przez Świątynię Mrocznych Ust.

Łądujemy na złowrogim szczycie górskim pod Asgardem, gdzie Droga Splamionych jest umocowana do ziemi. Czarna świątynia przykucnęła nad schodami jak zaborcza starucha. Ma skórę zniszczoną przez czas i twarz zerodowaną wiatrem.

Zostaję zwleczony z siodła, padam na lód, bo nogi mi zdrętwiały po długim locie. Walkirie czekają, aż wstanę z pomocą Mustang.

– Myślę, że już czas – mówi.

Kiwam głową i daję się Walkiriom popchnąć w ślad za Sefi w stronę czarnej świątyni. Wiatr przepływa przez usta trzystu trzydziestu trzech kamiennych twarzy, które krzyczą na fasadzie świątyni, uwięzione w czarnej skale. Oczy mają oszalałe z desperackiego pragnienia wyrwania się. Przechodzimy do wnętrza pod czarnym łukiem. Śnieg przewala się po podłodze.

– Sefi – odzywam się.

Odwraca się powoli, żeby na mnie spojrzeć. Nie zmyła krwi brata z włosów.

– Czy mogę z tobą porozmawiać? Sam na sam?

Walkirie czekają, aż ich milcząca przywódczyni skinie głową, a potem odciągają Mustang i Holiday na bok. Sefi idzie w głąb świątyni. Podążam za nią najszybciej, jak potrafię w moich łańcuchach, na mały dziedziniec pod gołym niebem. Trzęsę się z zimna. Sefi przygląda mi się w dziwnym fioletowym świetle, czekając cierpliwie, aż się odezwę. Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że jest równie ciekawa mnie, co ja jej. To także dodaje mi pewności siebie. Te małe ciemne oczka są dociekliwe. Wszędzie dostrzegają szczeliny: w ludziach, zbrojach, kłamstwach. Mustang miała rację co do Alii. Ona nigdy by mnie nie posłuchała. Podejrzywałem to, zanim weszliśmy do jej sali tronowej, ale musiałem spróbować i dać z siebie wszystko. Nawet gdyby nas wysłuchała, Mustang nigdy nie zaufała Alii na tyle, żeby pozwolić jej kierować Obsydianowymi podczas naszej wojny. Zyskałbym jednego sprzymierzeńca za cenę utraty drugiego. Za to Sefi... Sefi jest moją ostatnią nadzieją.

– Dokąd się udają? – pytam ją teraz. – Zastanawiałaś się kiedykolwiek? Mężczyźni i kobiety, których twój klan oddaje bogom. Dokąd trafiają? Wątpię, żebyś wierzyła w to, co ci mówią. Że zostają wyniesieni jako wojownicy. Że otrzymują nieopisane bogactwa za swoją służbę u nieśmiertelnych.

Czekam na jej odpowiedź. Oczywiście milczy. Jeśli nie przekonam jej teraz, na dobrą sprawę już jesteście martwi. Jednakże Mustang podobnie jak ja uważa, że mamy z nią szansę – w każdym razie większą, niż mieliśmy z Alią.

– Gdybyś wierzyła w bogów, nie złożyłabyś ślubów milczenia po odejściu Ragnara. Inni wiwatowali, a ty go opłakiwałaś. Ponieważ wiesz... prawda? – Podchodzę do niej. Jest nieco ode mnie wyższa. Bardziej muskularna od Victry. Jej blada twarz ma prawie taki sam odcień jak jej włosy. –

W głębi serca przeczuwasz mroczną prawdę. Wszyscy, którzy opuszczają lód, zostają niewolnikami.

Marszczy czoło. Staram się nie stracić impetu.

– Twój brat był Splamionym. Synem Wieżyc. Tytanem. I odszedł, aby służyć bogom, którzy jednak traktowali go nie lepiej niż rasowego psa. Kazali mu walczyć na arenach, Sefi. Urządzali sobie zakłady, narażając jego życie. Twój brat, ten, który nauczył cię imion lodu i wiatru, największy syn Wieżyc w swoim pokoleniu, był własnością innego człowieka.

Podnosi wzrok na niebo, gdzie gwiazdy mrugają pośród czarnofioletowego zmierzchu. Przez ile nocy patrzyła w górę i zastanawiała się, co się stało z jej starszym bratem? Ile kłamstw wmawiała sobie, żeby zasnąć? Teraz, kiedy wie, jakie okropieństwa musiał znosić, wszystkie te razy, gdy patrzyła na gwiazdy, stają się znacznie gorsze.

– To twoja matka go sprzedała – ciągnę, korzystając z okazji. – Sprzedała twoje siostry, twoich braci, twojego ojca. Każdy, kto kiedykolwiek stąd odszedł, trafiał do niewoli. Tak samo jak moi ludzie. Wiesz, co mówili prorocy, których przysłał twój brat. Byłem niewolnikiem, ale powstałem przeciwko swoim panom. Twój brat powstał razem ze mną. Ragnar wrócił tutaj, żebyście do nas dołączyli. Chciał wyprowadzić twoich ludzi z niewoli. I umarł za to. Za ciebie. Ufasz mu na tyle, żeby uwierzyć w jego ostatnie słowa? Kochasz go na tyle?

Patrzy na mnie. Białka oczu ma czerwone z gniewu, który najwyraźniej od dawna w niej drzemał. Jakby od lat wiedziała o dwulicowości swojej matki. Ciekaw jestem, co słyszała, gdy słuchała jej przez dwa i pół dziesięciolecia. Zastanawiam się, czy matka wyjawiała jej prawdę. Sefi ma zostać królową. Może to część rytuału przejścia – przekazanie wiedzy o ich prawdziwym położeniu. Może nawet Sefi słuchała naszej audiencji u Alii. Coś w sposobie, w jaki na mnie patrzy, każe mi w to wierzyć.

– Sefi, jeśli oddasz mnie Złotym, ich rządy będą trwały, a ofiara twojego brata pójdzie na marne. Jeżeli odpowiada ci taki świat, nie rób nic. Jeśli jednak jest zły, jeśli jest niesprawiedliwy, zaryzykuj. Pozwól, że ci pokażę sekrety, które ukrywała przed tobą matka. Pozwól, że pokażę ci, jak śmiertelni są twoi bogowie. Pozwól mi pomóc ci uczcić pamięć brata.

Patrzy na śnieg przesypujący się po podłodze, pogrążona w myślach. A potem kiwa spokojnie głową, spod jeździeckiej peleryny wyjmując żelazny klucz i podchodzi do mnie.

* * *

Na Drodze Splamionych jest lodowato i wietrznie. Schody wiją się diabelnymi zakosami, prowadząc w niebo przez chmury. Jednak to tylko schody. Wspinamy się nimi bez łańcuchów przebrani za Walkirie – mamy kościane maski jeździeckie pomalowane na niebiesko, peleryny, buty za duże na moje stopy. Wszystko to pożyczyły nam trzy kobiety, które zostały na dole, żeby strzec gryfów u podnóża świątyni. Prowadzi nas Sefi, osiem innych Walkirii idzie za nami. Nogi mi się trzęsą z wysiłku, zanim dotrzemy na szczyt. Widzę zbudowany z czarnego szkła ośrodek Złotych, który wieńczy latającą górę. Jest tam w sumie osiem wież, każda należy do jednego boga. Otaczają centralną piramidę z ciemnego szkła, połączone z nią cienkimi mostami jak szprychy koła dwadzieścia metrów nad nierównym, ośnieżonym gruntem. Między nami a siedzibą Złotych stoi druga świątynia w kształcie ogromnej wrzeszczącej twarzy, wielka jak zamek Marsa. Przed nią rozciąga się mały kwadratowy park, pośrodku którego stoi czarne, sękatte drzewo. Płomienie pełgają po jego konarach. Między płomykami rosną białe kwiaty, nietknięte przez żar. Walkirie szepczą między sobą, obawiają się tej magii.

Sefi ostrożnie próbuje zerwać kwiat z drzewa. Płomienie przypalają skórzane rękawice, ale udaje jej się zerwać mały biały kwiatek w kształcie łezki. Dotknięty rozwija się i ciemnieje, przybierając barwę krwi, a potem zamienia się w popiół. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. I mam w dupie te kuglarskie sztuczki. Za zimno tu na to. Przed nami na śniegu pojawia się krwawoczerwony odcisk stopy. Sefi i jej Walkirie zamierają z wyciągniętymi rękami i palcami wygiętymi w geście obrony przed złymi duchami.

– To po prostu krew ukryta w kamieniu – mówi Mustang. – To nie jest prawdziwe.

Mimo to Walkirie są pod wrażeniem, kiedy kolejne ślady pojawiają się znikąd, wiodąc do ust boga. Patrzą po sobie przestraszone. Nawet Sefi osuwa się na kolana, gdy dochodzimy do schodów u podnóża wejścia do świątyni. Naśladujemy ją, przyciskając nosy do kamienia. Paszcza otwiera się i z wnętrza wychodzi zwiędły starzec. Siwa broda. Fioletowe oczy pokryte bielmem ze starości.

– Oszaleliście! – zawodzi. – Całkiem postradaliście zmysły, żeby pokonać schody w przededniu zimy! – Uderza kosturem przy każdym kroku, gdy schodzi do nas. Wyciska ze skąpych kwestii, ile się da. – Zostaną z was kości i zamarznęta krew! Przyszlście prosić o próbę Plam?

– Nie – warczę w swoim najlepszym *nagal*.

Próba Plam nic by nam nie dała. Zobaczylibyśmy bogów dopiero podczas tatuowania twarzy. Zresztą nawet Ragnar uważał, że nie jestem gotowy na tę próbę. Istnieje jeszcze tylko jeden sposób, żeby ściągnąć do nas bogów. Przynęta.

– Nie? – pyta skonsternowany Fioletowy.

– Przyszlśmy prosić o audiencję u bogów.

W każdej chwili któraś z Walkirii mogłaby nas zdradzić. Wystarczyłoby jedno słowo. Napięcie rozlewa się po moim ciele, spina mi ramiona. Jedyna rzecz, dzięki której nie wariuję, to świadomość, że Mustang akceptuje ten plan na tyle, by przykleknąć obok mnie na szczycie tej cholernej góry. To musi znaczyć, że jeszcze nie całkiem mi odbiło. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Zatem naprawdę oszaleliście – mówi Fioletowy, który zaczyna się nami nudzić. – Bogowie przychodzą i odchodzą. Do otchłani, do morza w dole. Nie udzielają jednak audiencji śmiertelnikom. Czymże bowiem jest czas dla takich istot jak oni? Tylko Splamieni są warci ich miłości. Tylko Splamieni mogą znieść żar ich wzroku. Tylko dzieci lodu i najciemniejszej nocy.

To zaczyna być naprawdę wkurzające.

– Statek z żelaza i gwiazdy spadł z Otchłani – mówię. – Ciągnął za sobą ogon ognia. Uderzył między szczyty w pobliżu Wieżyc Walkirii. Płonął na niebie jak krew.

– Statek? – powtarza Fioletowy, autentycznie zainteresowany.

Tak jak tego oczekiwaliśmy.

- Z żelaza i gwiazdy – powtarzam.
- Skąd wiesz, że to nie była wizja? – pyta chytrze.
- Dotknęliśmy żelaza własnymi rękami.

Milknie, za jego szalonymi oczami wirują błyskawicznie zębaki umysłu. Obstawiam się, że wie, że ich systemy łączności padły i jego panowie będą chcieli usłyszeć o statku, który spadł. Ostatnie, co mógł wiedzieć, to pewnie była moja przemowa, zanim Żywe Srebro wszystko odciął. Teraz ten prosty Fioletowy, ten gorliwy aktor wygnany na pustkowie, żeby odgrywać farsę na użytek barbarzyńskich prostaków, wie coś, o czym jego panowie nie mają pojęcia. Coś cennego wpadło mu w ręce. Mruży chciwie oczy, kiedy zdaje sobie z tego sprawę. Teraz nadszedł dla niego moment, żeby przejąć inicjatywę i zaskarbić sobie przychyłność swoich panów.

Jakie to smutne, że zawsze można polegać na chciwości, która ogłupi ludzi.

– Macie dowody? – dopytuje się żywo. – Każdy człowiek może powiedzieć, że widział spadający statek bogów.

Z wahaniem, w obawie z powodu oszustwa, jakiego się dopuszczałem, ale pogardzając kapłanami, Sefi wyjmuję z torby moją brzytwę. Jest zawinięta w foczą skórę. Sefi kładzie ją na ziemi w postaci bicza. Fioletowy uśmiecha się, ogromnie zadowolony. Chce ją podnieść przez szmatkę wyjętą z kieszeni, ale Sefi zawija ją z powrotem.

– To dla bogów – warczę. – Nie dla ich piesków.

Bogowie i ludzie

Kapłan przeprowadza nas przez wejście do świątyni, gdzie czekamy, klęcząc w przedsionku wyrytym w czarnej skale góry. Kamienne usta zamykają się za nami ze zgrzytem. Płomienie tańczą pośrodku sali, skaczą ku onyksowemu sklepieniu słupem ognia.

Po przepaścistej świątyni wędrują akolici, śpiewając cicho, odziani w czarne kaptury z włosienicy.

– Dzieci Lodu – rozlega się wreszcie boski szept w ciemności.

Syntezytor, jak te wbudowane w demonoHełmy, nakłada głos warstwami, aż sprawia wrażenie, jakby zszyto ich razem tuzin. Niewidzialna Złota kobieta nie zawraca sobie nawet głowy akcentem. Mówi w ich języku równie biegle jak ja, ale pogardza ludźmi, do których przemawia, i brzydzi ją sam fakt rozmowy z nimi.

– Przynosicie wieści.

– Tak, Zrodzona ze Słońca.

– Powiedz nam o statku, który widziałeś – odzywa się inny głos, męski. Mniej wyniosły, bardziej swawolny. – Możesz spojrzeć mi w twarz, dziecko.

Nie wstając z kolan, zerkamy ukradkowo na dwójkę Złotych w zbrojach, którzy wyłączają widmoPłaszcz. Stoją blisko nas w ciemnym pomieszczeniu. Płomienie świątynne tańczą na metalicznych boskich twarzach. Mężczyzna nosi pelerynę. Kobieta pewnie nie miała czasu, żeby założyć swoją, tak się śpieszyła, żeby się nami zająć.

Ona odgrywa Freję, on jest przebrany za Lokiego. Jego metalowa twarz przedstawia wilka. Zwierzęta potrafią zwęszyć strach, ludzie zaś nie. Jednak ci, którzy zabijali dostatecznie dużo, umieją wyczuć vibracje w tej ciszy. Wyczuwam je teraz w Sefi. Myśli, że bogowie są prawdziwi. Że Ragnar się mylił. Że my się mylimy. Jednak nie odzywa się ani słowem.

– Krwawił ogniem na niebie – mruczę, nie podnosząc głowy. – Ryczał potężnie i rozbił się na górze.

– Co ty nie powiesz... – mruczy Loki. – Jest w jednym kawałku czy zostało z niego mnóstwo małych kawałeczków, dziecię?

To ryzykowne, powiedzieć, że widzieliśmy upadek statku. Wiedziałem jednak, że żaden inny podstęp nie odciągnie Złotych od ich holoEkranów podczas rebelii, poza ich systemy ochronne i z dala od garnizonu Szarych, żeby zeszli na spotkanie ze mną. To Niezrównani Naznaczeni, którzy ugrzęźli na pograniczu, podczas gdy ich świat za tymi murami się zmienia. Kiedyś ten posterunek uznano by za prestiżowy, teraz to swego rodzaju wygnanie. Zastanawiam się, jakie przewiny czy niedoskonałości sprawiły, że kazano tym Niezrównanym Naznaczonym robić za niańki na pustkowiu.

– Kości statku walają się po całej górze, Zrodzony ze Słońca – wyjaśniam, wpatrując się w ziemię, żeby nie nalegali na zdjęcie maski jeźdźca, która zasłania mi twarz. Im bardziej się płaszczę, tym mniej interesujący jestem. – Potrzaskany jak rybacka łódka przełamana przez grzywacz. Odłamki żelaza, odłamki ludzi na śniegu.

Myślę, że taką metaforą posłużyłby się Obsydianowy. Zdaje egzamin.

– Odłamki ludzi? – powtarza Loki.

– Tak, ludzi. Ale o miękkich twarzach. Jak focza skóra w świetle ognia. – Za wiele tych porównań. – A oczy jak rozżarzone węgle. – Nie potrafię przestać. Jak mówiłby Ragnar? – Włosy jak złoto waszych twarzy.

Maski pozostają nieruchome, Złoci porozumiewają się przez system łączności wbudowany w hełmy.

– Nasz kapłan twierdzi, że masz broń bogów – przypomina znacząco Freja.

Sefi znowu wyjmuję zawiniątko. Ciało ma napięte. Zastanawia się, kiedy rozwieję magię bogów, tak jak jej obiecałem. Ręce jej drżą. Złoci przysuwają się, delikatne falowanie tarcz impulsowych jest ewidentne. Jeśli ich dotknę, usmażę się. Nie boją się. Nie tu, na swojej górze. Bliżej. Bliżej, tępe fiuty.

– Dlaczego nie zanieśliście tego do przywódcy swojego klanu? – pyta Loki.

– Albo do szamana? – dodaje podejrzliwie Freja. – Droga Splamionych jest długa i trudna. Wspiąć się tak daleko tylko po to, żeby nam to przynieść...

– Jesteśmy wędrowcami – odzywa się Mustang, kiedy Freja pochyla się, żeby obejrzeć ostrze. – Nie mamy plemienia. Nie mamy szamana.

– Doprawdy, małeńka? – pyta stojący nad Sefi Loki, a jego głos staje się surowszy. – To dlaczego ta ma niebieskie tatuaże Walkirii na kostkach? – Jego ręka sięga po brzytwę u biodra.

– Została wyrzucona ze swojego plemienia – mówię. – Za złamanie przysięgi.

– Ma herb rodu? – pyta Freję Loki.

Kobieta sięga po rękojeść leżącą przede mną broni, kiedy Mustang śmieje się gorzko, przyciągając jej uwagę.

– Na rękojeści, moja łaskawa pani – odzywa się w mowie Aureusów Mustang, nie wstając z kolan, po czym zdejmuję maskę i odrzuca ją na ziemię – znajdziesz Pegaza w locie. Herb rodu Andromedus.

– Augustus? – bełkocze Loki, rozpoznając jej twarz.

Wykorzystuję ich zaskoczenie i przesuwam się do przodu. Zanim odwrócą się z powrotem do mnie, porywam brzytwę spod ręki Frei i aktywuję przełącznik, żeby przybrała kształt znaku zapytania, który płonął na wzgórzach, był wycinany na czołach i zabił wielu, bardzo wielu Złotych. Ten sam kształt, który widzieli na holoEkranach, kiedy przemawiałem.

– Żniwiarz... – udaje się wykrztusić Frei. Wyciąga pięść impulsową.

Odcinam jej rękę na wysokości barku, a potem głowę na wysokości zuchwy, zanim wbiję ostrze w pierś Lokiego. Klinga zwalnia, kiedy natrafia na tarczę impulsową, zamiera w powietrzu na pół sekundy, bo tarcza stawia opór, wreszcie się przebija. Niestety jest spowolniona i pancerz pod spodem wytrzymuje cięcie. Brzytwa wbija się w płytę zbroi impulsowej, nie czyniąc Lokiemu żadnej krzywdy – dopóki Mustang nie zrobi kroku naprzód i nie uderzy w rękojeść kopnięciem z półobrotu. Wtedy ostrze przebija zbroję i przeszywa go na wylot.

Oboje bogowie padają: Freja na plecy, Loki na kolana.

– Zdejmij maskę – warczy Mustang, kiedy Loki obejmuje rękami ostrze wystające z piersi. Uderzeniem odsuwa mu dłonie od terminala. – Żadnej łączności.

Holiday zabiera mu broń. Tarcza impulsowa gaśnie, kiedy następuje w niej zwarcie. Ja zabieram brzytwę Frei.

– Natychmiast.

Sefi i jej Walkirie – cały czas na klęczkach – wytrzeszczają oczy na krew, która zbiera się pod Freją. Zdejmuję Złotej hełm i ukazuje nam się zniszczona twarz Niezrównanej Naznaczonej w średnim wieku, o ciemnej skórze i oczach w kształcie migdałów.

– To ci wygląda na boga, Sefi? – pytam.

Mustang prycha ponuro, kiedy Loki zdejmuje maskę.

– Darrow, zobacz, kto to. Rewizor Merkury!

Pulchny, pucułowaty jak cherubinek Niezrównany Naznaczony, który próbował mnie zwerbować do swojego domu w Instytucie, zanim Fitchner go uprzedził. Kiedy ostatnim razem widzieliśmy się pięć lat temu, moje Wyjce zdobywały Olimp, a on próbował się ze mną pojedynkować. Strzeliłem mu w pierś z pięści impulsowej. Przez cały czas się uśmiechał. Teraz się nie uśmiecha, gdy patrzy na metal tkwiący mu w piersi. Robi mi się go trochę żal.

– Rewizorze Merkury – mówię. – Musisz być najbardziej pechowym Złotym, jakiego poznałem. Straciłeś dwie góry na rzecz Czerwonego.

– Żniwiarz. Jaja sobie robisz. – Drży z bólu, kiedy śmieje się z własnego zaskoczenia. – Przecież ty jesteś na Fobosie.

– Niezupełnie, mój łaskawy panie. Jest tam mój drobny psychotyczny wspólnik.

– Psiakrew, psiakrew. – Zerka na ostrze w piersi, stęka, przysiadając w kucki i sapie. – Jak... nie widzieliśmy cię...

– Żywe Srebro włamał się do waszego systemu.

– Przyleciałeś tu... po...

Urywa i patrzy na Walkirie. Wstają, żeby zebrać się wokół martwej bogini. Sefi pochyla się nad Freją. Przesuwa palcami po jej twarzy. Holiday zdejmuje Złotej zbroję.

– Po nich – kończę. – Zgadza się, psiajucha.

– O, psiakrew. Augustus. – Nasz dawny rewizor odwraca się do Mustang z gorzkim śmiechem. – Nie możesz brać w tym udziału... To szaleństwo. To potwory! Nie możesz ich wypuścić! Wiesz, co się stanie? Nie otwieraj puszki Pandory.

– Jeśli oni są potworami, to powinniśmy zapytać siebie, kto ich takimi uczynił – odpowiada Mustang w języku Obsydianowych, żeby Sefi ją rozumiała. – A teraz podaj nam kody do zbrojowni Asgardu.

Merkury spluwa.

– Będziesz musiała ładniej poprosić, zdrajczyni.

Mustang patrzy na niego lodowato.

– Zdrada to kwestia daty, rewizorze. Muszę się powtarzać? Czy mam zacząć przycinać ci uszy?

Stojąca obok ciała Frei Sefi zanurza palec we krwi i sprawdza jej smak.

– Zwykła krew – tłumaczę jej, kucając przy Złotej. – To nie ichor. To nie bóg. To człowiek.

Podsuwam jej brzytwę Frei. Wzdraga się na samą myśl, że miałaby ją wziąć, ale zmusza się do zaciśnięcia palców na rękojeści. Ręka jej drży. Spodziewa się, że trafi ją grom albo zostanie porażona prądem jak ludzie, którzy dotknęli gołymi rękami tarczy impulsowej.

– Ten przycisk cofa bicz. Ten kontroluje kształt.

Trzyma broń z nabożną czcią i patrzy na mnie, a jej gniewne oczy pytają, jaki kształt powinna przywołać. Kiwam głową na moją brzytwę, próbując wykuć między nami więź. I udaje mi się, nawet jeśli tylko na poziomie pola walki. Powoli jej brzytwa przyjmuje kształt sierpaka. Dostaję gęsiej skórki na rękach, kiedy Walkirie śmieją się między sobą. Buzują podnieceniem. Wyjmują topory i długie noże, patrząc na mnie i Mustang.

– Zostało pięciu bogów – mówi Mustang. – Czy szanowne panie miałyby ochotę ich spotkać?

Bogobójcy

Wleczeni za sobą ciała siedmiu bogów: dwóch martwych i pięciu złapanych. Mam na sobie zbroję Odyna. Sefi nosi pancerz Tyra, Mustang Frei. Wszystko to zrabowaliśmy ze zbrojowni Asgardu. Krew maże się na kamiennej posadzce korytarza. Stopy ślizgają się i potykają, Sefi ciągnie jednego z żywych Złotych za włosy. Jej Walkirie wleką pozostałych.

Wracamy do Wieżyc skradzionym z Asgardu promem. Przez Asgard przemknęliśmy cichaczem, posługując się kodami dostępowymi Lokiego, żeby wejść do zbrojowni i przywdziać pyszny wojenny rynsztunek, zanim poszliśmy szukać pozostałych bogów. Dwóch znaleźliśmy w centrum operacyjnym Asgardu wraz z zespołem Zielonych: próbowali pozbyć się hakerów Żywego Srebra z systemu. Sefi ze swoją nową brzytwą odebrała jednemu rękę i pobiła do nieprzytomności drugiego, przerażając tym Zielonych, z których dwóch uniosło do mnie pięści w niemym geście poparcia dla Powstania. Z ich pomocą zamknęliśmy pozostałych w magazynie, a potem dwóch Zielonych sympatyków połączyło mnie bezpośrednio z centralą Żywego Srebra.

Nie skontaktowaliśmy się z nim samym, ale Victra przekazała wiadomość, że podstęp Sevro wypalił. Nieco ponad jedna trzecia marsjańskiej floty obronnej znalazła się pod kontrolą Synów Aresa i Niebieskich Żywego Srebra. Tysiące najlepszych żołnierzy Wspólnoty zostało uwięzionych na Fobosie, ale Szakał bierze srogi odwet. Przejął osobiście dowodzenie nad pozostałymi okrętami i wezwał posiłki z Pasa Kuipera, żeby wzmocnić swoją osłabioną flotę.

Resztę Złotych zlokalizowaliśmy na niższych poziomach dzięki mapie czujników biometrycznych. Jedno z nich – kobieta – ćwiczyła walkę brzytwą w sali treningowej. Na widok mojej twarzy wypuściła broń z ręki i się poddała. Czasem reputacja to świetna rzecz. Pozostałą dwójkę znaleźliśmy

w sali monitoringu, gdzie kręcili się między kamerami. Właśnie odkryli, że oglądają stare nagranie sprzed trzech lat.

Teraz wszyscy nasi Złoci jeńcy noszą magnetyczne kajdany i są związani razem długimi kawałkami liny zabranymi z grzbietu gryfa Sefi. Wszyscy zostali zakneblowani i wszyscy zerkają teraz w stronę Wieżyc, jakbyśmy ich wlekli w paszczę samego piekła.

Obsydianowi z Wieżyc tłoczą się wokół nas w korytarzach. Nadbiegają z niższych kondygnacji, żeby zobaczyć dziwowisko. Większość widziała swoich bogów tylko z daleka – rozbłyśki złota ponad wiosennymi śniegiem pędzące z prędkością trzech machów. Teraz znajdujemy się wśród nich, nasze impulsowe tarcze powodują drżenie i falowanie powietrza, działa impulsowe naszego promu topią ogromne żelazne drzwi chroniące przed zimnem stajnię gryfów. Drzwi zapadają się do środka jak tamte na *Paksie*, kiedy Ragnar zaproponował mi swoje Plamy.

Nie w taki sposób zamierzałem ściągnąć do swojej sprawy Obsydianowych. Chciałem się posłużyć słowami, przyjść w pokorze, w foczej skórze, nie w zbroi, zdać się na łaskę Obsydianowych, aby dowieść Alii, że cenię sobie jej ludzi, poważam ich osąd i jestem gotowy dla nich narazić własne bezpieczeństwo. Chciałem to zrobić tak, jak sam nauczałem. Jednak nawet Ragnar wiedział, że to mrzonki. A teraz nie mam czasu na walkę z nieprzejednaniem i przesadami. Jeśli Alia nie pójdzie za mną na wojnę, to ją tam zawlekę, choćby kopała i wrzeszczała, tak jak wcześniej zrobiłem to z Lornem. Żeby Obsydianowi mnie usłyszeli, muszę mówić w jedynym języku, który rozumieją.

W języku siły.

Sefi strzela z pięści impulsowej ponad moją głowę w drzwi prowadzące do sanktuarium jej matki. Wiekowe żelazo ugina się. Pokrzywione zawiasy jęczą. Przechodzimy obok armii wyciągających się plackiem na ziemi olbrzymów, którzy wypełniają przepaściste sale po obu stronach. Kiedyś, gdy byli silniejsi, próbowali pokonać morze. Budowali potężne knary, które poniosły odkrywców w poszukiwaniu nowych lądów. Stworzone przez Rzeźbiarzy potwory, którymi Złoci zaludnili morza, zniszczyły wszystkie łodzie, których nie stopili sami Złoci. Ostatnia wypłynęła ponad dwieście lat temu.

Znajdujemy Alię na naradzie ze swoją słynną siedemdziesiątką siódmką wodzów. Odwracają się do nas pośród ogromnych, dymiących koksowników: olbrzymi wojownicy o białych włosach, z wielkimi toporami na ple-

cach. Czarne oczy i pierścienie z cennych metali lśnią w słabym świetle. Są jednak zbyt oszołomieni widokiem trzystuletnich żelaznych drzwi, które nagle jarzą się oranżem i topią, żeby odezwać się czy uklęknąć. Stają przed nimi, nadal ciągnąc za sobą trupy Złotych.

Mustang i Sefi popychają przed siebie złapanych Złotych i podcinają ich od tyłu. Jeńcy przewracają się na ziemię, po czym chwiejnie próbują wstać, wbrew wszelkiej logice starając się zachować godność pośród dzikich olbrzymów w zadymionej sali.

– Czy to są bogowie? – ryczę spod hełmu.

Nikt nie odpowiada. Alia idzie powoli przez szeregi rozstępujących się wodzów.

– Czy ja jestem bogiem? – warczę i tym razem zdejmuję hełm.

Mustang i Sefi zdejmują swoje. Alia widzi córkę w zbroi jej bogów, wzdryga się i cofa. Trwożne szepty uchodzą z jej ust. Przystaje obok piątki związanych i zakneblowanych Złotych, którym wreszcie udaje się stanąć na nogi. Mają ponad dwa metry wzrostu. Jednak nawet zgarbiona i stara Alia jest o głowę ode mnie wyższa. Patrzy z góry na mężczyzn i kobiety, którzy kiedyś byli jej bogami, zanim spojrzy na córkę.

– Dziecko, coś ty zrobiła?

Sefi nie odpowiada, ale pełzająca jej po ręce brzytwa przyciąga spojrzenia wszystkich Obsydianowych. Jedna z ich najpotężniejszych córek nosi broń bogów.

– Królowo Walkirii – mówię, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali.

– Nazywam się Darrow z Lykos. Jestem bratem krwi Ragnara Volarusa. Jestem przywódcą Powstania, które walczy z fałszywymi Złotymi bogami. Wszyscy widzieliście ogień szalejący wokół księżyca. To dzieło mojej armii. Poza tą ziemią w otchłani trwa wojna między niewolnikami i panami. Przybyłem tutaj z największym z synów Wieżyc, żeby przedstawić waszym ludziom prawdę. – Wskazuję Złotych, którzy patrzą na mnie z nienawiścią całej swojej rasy. – Zabili go, zanim zdążył wam powiedzieć, że jesteście niewolnikami. Prorocy, których przysłał, mówili prawdę. Wasi bogowie są fałszywi.

– Kłamca! – ktoś krzyczy. To szaman o krzywych kolanach i zgarbionych plecach. Mamrocze coś jeszcze, ale Sefi go ucisza.

– Kłamca? – warczy Mustang. – Byłam w Asgardzie. Widziałam, gdzie śpią wasi nieśmiertelni. Gdzie wasi nieśmiertelni parzą się, jedzą i srają. – Obraca w dłoni pięść impulsową. – To nie jest magia. – Aktywuje grawi-

Buty i unosi się w powietrzu. Obsydianowi patrzą na nią zdumieni. – To nie jest magia. To narzędzie.

Alia widzi, czego dokonałem, co pokazałem jej córce i co przyniosłem teraz jej ludziom, czy tego chciała, czy też nie. Oboje jesteśmy okrutnymi ludźmi. Wmawiałem sobie, że będę lepszy. Nie dałem rady. Może innego dnia przyjdzie czas na szlachetną próżność, ale trwa wojna i dziś tylko zwycięstwo jest szlachetne. Myślę, że tego właśnie szukała Mustang wśród Obsydianowych. Obawiała się, że pozwolę swojemu idealizmowi uwolnić coś, nad czym nie zapanuję. Widzi jednak, na jaki kompromis jestem gotowy pójść; nacisk, jaki jestem gotowy wyrzucić. Szuka tego w sojuszniku w równym stopniu, jak pragnie znaleźć budowniczego. Szuka kogoś dostatecznie mądrego, żeby umiał się adaptować.

A Alia? Widzi, jak jej ludzie na mnie patrzą. Jak patrzą na moje ostrze, nadal splamione krwią bogów, jakby to była święta relikwia. I wie także, że mógłbym uczynić ją współwinną zbrodni Złotych. Mógłbym oskarżyć ją przed jej ludźmi. Zamiast tego jednak oferuję jej szansę: może udawać, że właśnie dowiedziała się o wszystkim po raz pierwszy.

Niestety matka mojego przyjaciela nie przyjmuje mojej oferty. Podchodzi do Sefi.

– Nosilaś cię, urodziłam, wykarmiłam, a ty tak mi się odpłacasz? Zdradą? Błuznierstwem? Żadna z ciebie Walkiria. – Patrzy na swoich ludzi. – To są kłamstwa. Uwolnijcie naszych bogów od uzurpatorów. Zabijcie bluźnierców. Zabijcie ich wszystkich!

Zanim pierwszy wódz zdąży choćby dobyć broń, Sefi robi krok naprzód, unosi brzytwę, którą jej dałem, i ścina matce głowę. Ta spada na podłogę z nadal otwartymi oczami. Ogromne ciało jeszcze przez chwilę stoi, w końcu powoli przechyla się do tyłu i wali się z hukiem na ziemię. Sefi staje nad powaloną królową i pluje na jej ciało. Odwraca się do swoich ludzi i po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat przemawia:

– Ona wiedziała.

Jej głos jest cichy, niewiele głośniejszy od szeptu, ale brzmi groźnie i zagarnia uwagę wszystkich równie pewnie, jak zrobiłby to donośny ryk. A potem wysoka Sefi odwraca się od Złotych i przechodzi wśród zgromadzonych wodzów do gryfowego tronu, gdzie słynny kufer wojenny jej matki pozostaje zamknięty od dziesięciu lat. Pochyla się, bierze kłódkę w ręce i rycząc gardłowo jak zwierzę, ciągnie za zardzewiałe żelazo, aż palce jej krwawią i metal się rozpada. Rzuca starą kłódkę na ziemię

i otwiera skrzynię, żeby wyjąć starą czarną skarabSkórę, którą nosiła jej matka, kiedy podbijała Białe Wybrzeże. Wyjmuje pelerynę z czerwonych łusek smoka, którego jej matka zabiła w młodości. I bierze do ręki potężny czarny topór wojenny z podwójnym ostrzem, zwany Throgmir. Światło faluje na duroStali i odbija się od niej. Sefi wraca do Złotych, ciągnąc topór za sobą po podłodze.

Daje znać Holiday, która wyjmuje im kneble.

– Jesteś bogiem? – pyta Sefi zupełnie innym tonem, niż mówił jej brat. Bezpośrednim i zimnym jak śnieżyca.

– Spłoniesz, śmiertelniczko – odpowiada mężczyzna. – Jeśli nas nie wypuścisz, Asowie przyjdą z nieba i zaleją waszą ziemię ognistym deszczem. Sama to wiesz. Zmieciemy wasze nasienie ze światów. Stopimy lód. Jesteśmy potężni. Jesteśmy Niezrównani Naznaczeni. A to tysiąclecie należy do...

Sefi zabija go potężnym ciosem, rozcinając prawie na dwoje. Krew obryzguje mi twarz. Nie wzdragam się. Wiedziałem, co się stanie, jeśli ich tu sprowadzę. Wiedziałem też, że nie ma szansy, bym ich zatrzymał jako więźniów. Złoci stworzyli ten mit, który teraz musi umrzeć. Mustang przy-suwa się do mnie, dając mi w ten sposób znać, że się na to godzi. Nie odrywa jednak oczu od Złotych. Będzie pamiętała tę rzeź przez resztę życia. Jej i moim obowiązkiem jest sprawić, że ta śmierć będzie miała sens.

Cząstka mnie oplakuje tych Złotych. Nawet kiedy umierają, górujący nad nimi inni śmiertelnicy wydają się mniejsi. Stoją wyprostowani, dumni. Nie drżą podczas swoich ostatnich chwil w tej zadymionej sali, daleko od swoich posiadłości, gdzie jeździli konno jako dzieci, uczyli się poezji Keatsa i zachwycali Beethovenem lub Volmerem. Złota w średnim wieku patrzy na Mustang.

– Pozwolisz im, żeby nam to zrobili? Walczyłam dla twojego ojca. Poznałam cię, gdy byłaś dziewczynką. I spadłam w jego Deszczu.

Piorunuje mnie wzrokiem i zaczyna recytować głośno i wyraźnie wiersz Ajschylosa, który czasem Niezrównani Naznaczeni wykorzystują jako okrzyk wojenny:

*Dalej-że, siostry, w krąg,
Straszny zanućmy chór,
Co naszą powinność obwieści:
Zsyłamy grozę mąk*

*Na wszelki ludzki twór,
Jeżeli dla praw nie ma cześci.
Nie pada nigdy nasz gniew,
Gdzie czystą widzimy dłoń,
Niewinny nie zazna boleści* ².

Jedno po drugim padają pod toporem Sefi, aż zostaje tylko ta jedna kobieta. Unosi wysoko głowę, jej słowa rozbrzmiewają dźwięcznie. Patrzy mi w oczy, jakby była równie mocno przekonana o swojej racji jak ja.

– Ofiara. Posłuszeństwo. Dobrobyt.

Topór Sefi przecina powietrze i ostatnie bóstwo Asgardu pada na kamienną podłogę. Nad jej ciałem stoi zbryzgana krwią księżniczka Walkirii, straszliwa i pradawna w swojej sprawiedliwości. Pochyliła się i odcina język Złotej zakrzywionym nożem. Mustang obok mnie wierci się skrepowana.

Sefi uśmiecha się, widząc jej reakcję, i odchodzi od nas w stronę swojej martwej matki. Bierze jej koronę i wchodzi po stopniach prowadzących do tronu z zakrwawionym toporem w jednej ręce i szklaną koroną w drugiej. Siada wewnątrz klatki piersiowej gryfa i zakłada sobie koronę na głowę.

– Dzieci Wieżyc, Żniwiarz wezwał nas, abyśmy razem z nim stanęli do walki z fałszywymi bogami. Czy Walkirie odpowiedzą?

W odpowiedzi ludzie unoszą nad głowy topory przybrane niebieskimi piórami i rozlega się gardłowa pieśń śmierci Obsydianowych. Nawet wodzowie zabitej Alii do nich dołączają. Ma się wrażenie, że sam ocean rozbija się w kamiennych korytarzach Wieżyc. Czuję dudnienie wojennych bębnow, które mrozi mi krew w żyłach.

– Zatem ruszajcie, Hjelda, Tharul, Veni, Hroga. Faldir, Wrona i Bolga, ruszajcie do plemion Krwawego Wybrzeża, na Ponure Wrzosowiska, Strzaskany Grzbiet i Wiedźmią Przełęcz. Jedźcie do sojuszników i do wrogów i powiedzcie im, że Sefi przemówiła. Powiedzcie im, że prorocy Ragnara mówili prawdę. Asgard upadł. Bogowie nie żyją. Stare przysięgi złamano. I powiedzcie wszystkim, którzy będą słuchać: Walkirie ruszają na wojnę.

Świat wiruje wokół nas, ekstaza walki wypełnia powietrze, a Mustang i ja patrzymy po sobie pociemniałymi oczami, zastanawiając się, co właśnie uwolniliśmy.

Część III

Chwała

*Wszystko, co mamy, to ten krzyk na wietrze.
To, jak żyjemy. Jak trwamy.
Jak stoimy przed upadkiem.*

Karnus au Bellona

Światło

Przez siedem dni po śmierci Ragnara wędruję z Sefi po lodzie, rozmawiając z plemionami mężczyzn ze Strzaskanego Grzbietu, z Krwawymi Wojownikami z Północnego Wybrzeża, z kobietami, które noszą baranie rogi i czuwają nad Wiedźmią Przełęczą. Lecąc w grawiButach obok Walkirii, nie siemy wieść o upadku Asgardu.

To... dramatyczne.

Sefi i dwudziestka jej Walkirii zaczęły ćwiczyć z Holiday i ze mną latawanie w grawiButach i posługiwanie się bronią impulsową. Początkowo są niezręczne. Jedna uderzyła w zbocze z prędkością dwóch machów. Jednak kiedy trzy dziesiątki lądują z impetem w swoich przybraniach na głowach, z lewą połową twarzy pokrytą niebieskim odciskiem dłoni Sefi i sierpakiem Żniwiarza na prawej połówce, to ludzie są skłonni słuchać.

Zabieramy lwią część Obsydianowych przywódców na podbitą górę i pozwalamy im pochodzić po korytarzach, gdzie jadali i spalili ich bogowie, pokazujemy im zimne, zakonserwowane ciała zabitych Złotych. Większość na widok martwych bogów – nawet ci, którzy po cichu zdawali sobie sprawę ze swojej prawdziwej pozycji niewolników – przyjmują naszą gałązkę oliwną. Ci zaś, którzy nas potępiają, zostają obaleni przez własnych ludzi. Dwóch wodzów rzuciło się w przepaść ze wstydu. Jedna z przywódczyni poderżnęła sobie żyły sztyletem i wykrwawiła się na podłogę ciepłarni.

Inna z kobiet, drobna i wybitnie szurnięta, patrzyła z nadzwyczajną wrogością, kiedy zabraliśmy ją do węzła komunikacyjnego Asgardu, gdzie trójka Zielonych poinformowała ją, że jej ludzie zaplanowali zamach stanu, i pokazała jej nagrania z udziałem spiskowców. Pożyczyliśmy jej brzytwę, odstawiliśmy ją z powrotem do domu, a dwa dni później dodała dwadzieścia tysięcy wojowników do mojej sprawy.

Czasem natykam się na legendę Ragnar. Rozniosła się wśród plemion. Nazywają go Mówcą. Ten, który powrócił z prawdą, sprowadził proroków i poświęcił życie za swój lud. Jednakże wraz z legendą mojego przyjaciela rozrasta się także moja własna. Mój symbol – sierpak – płonie na zboczach na powitanie moje i Walkirii, kiedy lecimy na spotkanie z nowymi plemionami. Nazywają mnie Gwiazdą Zaranną. To według niej nawigują jeźdźcy gryfów i podróżni na pustkowiach podczas ciemnych miesięcy zimy. To ona ostatnia znika, kiedy wiosną powraca światło słoneczne.

To moja legenda zaczyna ich wiązać. Nie poczucie wzajemnej bliskości. Te klany walczyły ze sobą od pokoleń. Ja jednak nie mam tu paskudnej historii. W przeciwieństwie do Sefi i innych wielkich Obsydianowych wodzów jestem teraz ich nietkniętą połącią śniegu. Czystą tablicą, na którą mogą projektować wszelkie swoje marzenia. Jak mówi Mustang, jestem czymś nowym, a w tym starym świecie legend, przodków i minionych czasów nowa rzecz okazuje się czymś bardzo nadzwyczajnym.

Jednakże mimo postępów w jednoczeniu klanów napotykamy potężne trudności. Nie dość, że musimy pilnować, by podzieleni Obsydianowi nie pozabijali się wzajemnie w honorowych pojedynkach, to jeszcze wiele klanów przyjęło moje zaproszenie do zmiany miejsca zamieszkania. Setki tysięcy ludzi trzeba wyprowadzić z domów na Antarktyce do tuneli Czerwonych, żeby znaleźli się poza zasięgiem nalotów, które zaczną się, gdy tylko Złoci odkryją, co tu się wydarzyło. A przez cały ten czas muszę dbać, aby Szakał pozostał głuchy i ślepy na nasze poczynania. Mustang z Asgardu kieruje kontrwywiadem. Z pomocą hakerów Żywego Srebra stara się zamaskować naszą obecność tutaj i wysyła raporty spójne z tymi złożonymi w poprzednich tygodniach do kwatery głównej Komisji Kontroli Jakości w Agei.

Ponieważ nie sposób niepostrzeżenie przemieścić taką masę ludzi, Mustang, Złota arystokratka, obmyśliła najśmielszy plan w historii Synów Aresa. Jedna potężna akcja z udziałem tysięcy promów i fregat z floty handlowej Żywego Srebra i marynarki Synów Aresa ma w dwanaście godzin przenieść populację bieguna. Tysiąc statków zasilanych helem ma przemknąć nad Morzem Południowym i usiąść na lodzie przed miastami Obsydianowych i opuścić trapy dla setek i tysięcy olbrzymów w futrach i żelazie, którzy napełnią ich kadłuby starcami, chorymi, wojownikami, dziećmi i ohydny zwierzęcym odorem. Potem pod osłoną floty Synów Aresa cała ta populacja rozpiezchnie się pod ziemią, a wielu wojowników trafi na

nasze okręty wojenne na orbicie. Nie sędzę, żebym znał drugą osobę na świecie, która zdołałaby zorganizować coś takiego równie szybko.

* * *

Ósmego dnia po upadku Asgardu wylatuję z Sefi, Mustang, Holiday i Casiusiem, żeby spotkać się z Sevro i nadzorować ostatnie przygotowania przed migracją. Walkirie zabierają z nami Ragnara. Zawinęły zamrożone ciało w samodział i ściskają je mocno, ciężko przerażone, gdy nasz statek sunie z prędkością tylko nieco mniejszą od prędkości dźwięku pięć metrów nad powierzchnią morza. Patrzą z nabożną trwogą, jak wkraczamy do tuneli Marsa przez jedno z licznych wejść Synów Aresa. To akurat jest stara kolonia górnicza w południowym paśmie górskim. Obserwatorzy Synów w grubych zimowych kurtkach i kominiarkach salutują nam pięściami, kiedy przelatujemy tunelem.

Pół dnia podziemnego lotu później docieramy do Tinos. Panuje tam wielki ruch. Setki statków stoją w portach wśród stalaktytów albo dopiero kołują. Wydaje się, że całe miasto obserwuje nasz prom, kiedy lecimy, żeby wylądować w hangarze, bo ludzie wiedzą, że na pokładzie jestem nie tylko ja i nasi nowi Obsydianowi sprzymierzeńcy, ale też pęknięta Tarcza Tinos. Ich zapłakane twarze rozmazują się w plamę. Plotki już krążą wśród uchodźców. Obsydianowi nadchodzą. Nie tylko żeby walczyć, ale żeby zamieszkać w Tinos. Jeść ich jedzenie. Dzielić ich już i tak zatłoczone ulice. Dancer mówi, że to beczka z prochem, która zaraz wybuchnie. Nie mogę powiedzieć, że się z nim nie zgadzam.

Nastrój wśród Synów Aresa jest ponury. Zbierają się w milczeniu, kiedy opada rampa mojego statku. Schodzę pierwszy. Sevro czeka obok Dancera i Mickeya. Obejmuje mnie mocno. Na jego stoickiej twarzy malują się zaczątki koziej bródki. Prostuje się i pręży, na ile zdoła, jakby jego kościste ramiona mogły podtrzymać nadzieję tysięcy Synów Aresa, którzy zebrali się w hangarze, żeby zobaczyć Tarczę Tinos sprowadzoną z powrotem do przybranej ojczyzny.

– Gdzie on jest? – pyta przez zaciśnięte gardło.

Oglądam się na prom. Sefi i jej Walkirie znoszą Ragnara po rampie. Wyjce pierwsze ich witają. Błazen mówi coś z szacunkiem do Sefi, a Sevro wymija mnie, żeby przed nią stanąć.

– Witaj w Tinos – mówi do niej w *nagal*. – Jestem Sevro au Barca, brat krwi Ragnara Volarusa. A to jego pozostali bracia i siostry. – Wskazuje Wyjców, którzy noszą wilcze peleryny. Wyjmuje niedźwiedzią pelerynę Ragnara. – Zakładał ją do walki. Jeśli pozwolisz, chciałbym, żeby miał ją teraz na sobie.

– Byłeś bratem Ragnara. Teraz jesteś moim bratem – odpowiada Sefi. Cmoka i jej Walkirie przekazują Sevro opiekę nad ciałem Ragnara.

Mustang zerka w moją stronę. Szczodrość Sefi wydaje mi się dobrym znakiem. Gdyby była chciwą istotą, zatrzymałaby ciało i przygotowała bratu stos pogrzebowy w stylu Obsydianowych, a potem pochowałaby jego prochy w lodzie. Ona zaś powiedziała, że wie, gdzie jest jego prawdziwy dom: pośród tych, którzy walczyli u jego boku i pomogli mu wrócić do jego ludu.

Mustang przysuwa się do mnie, kiedy Wyjce drapują pelerynę na ciele Ragnara i niosą go przez tłum. Synowie Aresa rozstępują się przed nimi, wyciągają ręce, żeby dotknąć zwłok.

– Spójrz – mówi.

Skinieniem głowy wskazuje wąskie czarne wstążeczki, które Synowe Aresa wplekli w brody i włosy. Jej dłoń znajduje mój mały palec. Delikatne uściśnięcie sprawia, że wracam do lasu, w którym uratowała mi życie. Robi mi się ciepło, chociaż patrzę, jak Sevro wychodzi z hangaru z ciałem Ragnara.

– Idź. – Szturcha mnie w jego stronę. – Ja mam z Dancerem zaplanowaną konferencję z Żywym Srebrem i Victrą.

– Ona potrzebuje obstawy – zwracam się do Dancera. – Wybierz Synów Aresa, którym ufasz.

– Nic mi nie będzie. – Mustang przewraca oczami. – Przeżyłam wśród Obsydianowych.

– Dostanie Żmije Jaskiniowe – odpowiada Dancer, który przygląda jej się bez zyczliwości, jaką przywykłem widzieć w jego oczach. Śmierć Ragnara zabiła w nim dzisiaj ducha. Wydaje się starszy, kiedy gestem przywołuje Narola i kiwa głową w stronę promu. – Bellona jest na pokładzie?

– Holiday trzyma go w kabinie pasażerskiej. Nadal ma rozprutą szyję, więc Virany będzie musiała go obejrzyć. Załatwcie to dyskretnie. Dajcie mu osobny pokój.

– Osobny? Darrow, tu choćby szpilki nie wciśniesz. Nawet kapitanowie nie mają własnych pokoi.

– On ma informacje. Chcesz, żeby ktoś go zastrzelił, zanim zdąży je nam przekazać?

– To dlatego zachowałeś go przy życiu?

Dancer patrzy z powątpiewaniem na Mustang, jakby ona już wpływała na moje decyzje. Nie ma pojęcia, że prędzej niż ja pozwoliłaby umrzeć Cassiusowi.

Wzdycha, kiedy widzi, że nie ustąpię.

– Będzie bezpieczny. Daję słowo.

– Znajdź mnie później – prosi Mustang, zanim odejdę.

* * *

Znajduję Sevro zgarbionego nad Ragnarem w laboratorium Mickeya. Usłyszeć o śmierci przyjaciela to jedno, a zobaczyć cień, który po nim został, to całkiem co innego. Po śmierci ojca nie mogłem znieść widoku jego starych rękawic górniczych. Matka była zbyt praktyczna z natury, żeby je wyrzucić, powiedziała, że nas na to nie stać. Dlatego pewnego dnia sam to zrobiłem. Oberwałem za to od niej po uszach, a potem kazała mi przynieść rękawice z powrotem.

Od Ragnara bije coraz silniejszy odór śmierci.

Zimno konserwowało jego ciało na ojczystej ziemi, ale w Tinos mają kłopoty z zasilaniem, a agregaty chłodzące są mniej ważne od systemu oczyszczania wody i powietrza dla miasta. Wkrótce Mickey zabalsamuje zwłoki i zacznie przygotowania do pogrzebu, jakiego życzył sobie Ragnar.

Siedzę w milczeniu przez pół godziny, czekając, aż Sevro się odezwie. Nie chcę tu być. Nie chcę widzieć Ragnara martwego. Nie chcę trwać w smutku. Jednak zostaję ze względu na niego.

Śmierdzi mi pod pachami. Jestem zmęczony. Przyniesiona przez Dio uboga taca z jedzeniem stoi nietknięta – z wyjątkiem suchara, który przeżuwam, odrętwiały, i myślę, jak idiotycznie wygląda Ragnar na stole. Jest na niego za duży, stopy mu zwisają poza krawędź.

Mimo przykrej woni sprawia wrażenie spokojnego. W białą brodę ma wplecione wstążki czerwone jak zimowe jagody. Dwie brzytwy spoczywają w skrzyżowanych na piersi dłoniach. Tatuaze pokrywające jego ręce, pierś i szyję wydają się ciemniejsze po śmierci. Czaszka – taka sama, jaką zafundował też mnie i Sevro – wydaje się strasznie smutna. Opowiada swoją historię, chociaż ten, który ją nosi, już nie żyje. Wszystko wydaje się bar-

dziej wyraziste – z wyjątkiem rany wzdłuż jego boku, niewinnej i cieniutkiej jak uśmiech węża. Dziury, które zrobiła mu w brzuchu Aja, wydają się takie małe... Jak coś tak małego mogło zabrać tak wielką duszę z tego świata?

Żałuję, że go tu nie ma.

Ludzie potrzebują go jak nigdy dotąd.

Sevro ma szkliste oczy, kiedy przesuwa palcami po tatuażach na białej twarzy Ragnara.

– Chciał polecić na Wenus, wiesz? – mruczy głosem delikatnym jak u dziecka. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby mówił tak łagodnie. – Pokazałem mu jeden z holoWizuali z tamtejszym katamaranem. Kiedy tylko założył gogle, uśmiechnął się. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś się tak uśmiechał. Jakby znalazł raj i zdał sobie sprawę, że nie musi umierać, żeby do niego trafić. Zakradał się i pożyczał mój sprzęt holo w środku nocy, aż pewnego dnia podarowałem mu to cholerstwo. Dziadostwo kosztuje czterysta kredytów maks. A wiesz, jak on mi się odpłacił? – Nie wiem. Sevro podnosi prawą rękę, pokazuje mi swój tatuaż czaszki. – Uczynił mnie swoim bratem. – Wymierza Ragnarowi czoły, spowolniony cios pięścią w żuchwę. – A potem wielgachny, gruby idiota musiał się rzucić na Aję, zamiast przed nią uciekać.

Walkirie nadal bezskutecznie przeszukują pustkowia, wypatrując Ai. Jej ślady prowadziły w głąb szczeliny, zanim zostały pokryte zamarznąłą czarną krwią jakiegoś stworzenia. Mam nadzieję, że coś ją znalazło, zaciągnęło do swojej jaskini w lodzie i powoli zabiło. Ale w to wątpię. Taka kobieta nie umiera tak po prostu. Bez względu na to, jaki spotkał ją los, jeśli żyje, to na pewno znajdzie sposób, żeby skontaktować się z Suwerenką albo Szakalem.

– To moja wina – mówię. – To był mój gówniany plan, żeby załatwić Aję.

– Zabiła Quinn. Pomogła zabić mojego ojca – mruczy Sevro. – Zabiła dziesiątki naszych, kiedy siedziałeś w zamknięciu. To nie twoja wina. Mnie też byś stracił, gdybym tam był. Nawet Ragnar nie powstrzymałby mnie przed próbą załatwienia jej. – Przesuwa kostkami dłoni po brzegu stołu i zostają mu białe linie na skórze. – Zawsze starał się nas chronić.

– Tarcza Tinos.

– Tarcza Tinos – powtarza łamiącym się głosem. – Uwielbiał ten przydomek.

– Wiem.

– Myśle, że zawsze uważał się za ostrze, zanim nas spotkał. My pozwiliśmy mu stać się tym, kim chciał. Obrońcą. – Sevro ociera oczy i odsuwa się od Ragnara. – No dobra. Rozumiem, że książętko wciąż żyje.

Kiwam głową.

– Przywieźliśmy go promem.

– Szkoda. Dwa milimetry.

Sevro zsuwa palce, pokazując, o jak niewiele strzała Mustang ominęła żyłą szyjną. Kiedy Sefi wysłała jeźdźców do innych plemion, zabrałem ją i wielu z jej wodzów do Asgardu na pokładzie promu, żeby zobaczyli tamtejszą fortecę. Zabrałem też Cassiusa i Żółci z Asgardu uratowali mu życie.

– Dlaczego go trzymasz przy życiu, Darrow? Jeśli myślisz, że podziękuje ci za twoją hojność, to srogo się zdziwisz.

– Nie mogłem pozwolić mu umrzeć.

– Zabił mojego ojca.

– Wiem.

– Podaj mi jeden powód.

– Może uważam, że świat z żywym Cassiusem byłby lepszym miejscem – odpowiadam ostrożnie. – Wielu ludzi go wykorzystało, okłamało, zdradziło. To wszystko go zdefiniowało. To nie w porządku. Chcę, żeby miał szansę sam zdecydować, jakim człowiekiem chce być.

– Nikt z nas nie ma szansy być tym, kim chce – mruczy Sevro. – W każdym razie nie na zbyt długo.

– Nie o to właśnie walczymy? Nie to właśnie powiedziałeś o Ragnarze? Był ostrzem, ale my daliśmy mu szansę stać się tarczą. Cassius zasługuje na taką samą szansę.

– Dupek. – Sevro przewraca oczami. – Tylko dlatego, że masz rację, nie znaczy, że masz rację. Poza tym orły są równie znienawidzone jak lwy. Ktoś tutaj i tak spróbuje go załatwić. Twoją dziewczynę także.

– Pilnują jej Żmije Jaskiniowe. I nie jest moją dziewczyną.

– Jak sobie chcesz. – Pada na jeden ze skradzionych skórzanych foteli Mickeya i przesuwając ręką po irokezie na głowie. – Szkoda, że nie zabrała ze sobą Telemanusów. Wtedy naprawdę przywalilibyście Ai. – Zamyka oczy i odchyła głowę w tył. – Czekaj – przypomina sobie nagle – załatwiłem ci parę statków.

– Widziałem. Dziękuję.

– Nareszcie. – Parska śmiechem. – Widać, że coś zmieniamy. Dwadzieścia dewastatorów, dziesięć fregat, cztery niszczyciele, drednot. Żałuj, że tego nie widziałeś. Marsjańska flota napompuwała Fobosa legionistami, opróżniła swoje statki, a my ukradliśmy im promy szturmowe, poleciliśmy nimi zaopatrzeni w odpowiednie kody i wylądowaliśmy w ich hangarach. Mój oddział nie oddał ani jednego strzału. Chłopaki Żywego Srebra zhakowały systemy nagłośnienia na okrętach. Wszyscy słyszeli twoją przemowę. Na dobrą sprawę bunt zaczął się, zanim jeszcze weszliśmy na pokład. Czerwoni, Pomarańczowi, Niebiescy, nawet Szarzy. Drugi raz ten numer z nagłośnieniem nie przejdzie. Złoci nauczą się odcinać od sieci, żebyśmy w przyszłości się do nich nie włamali, ale w tym tygodniu zdrowo im dowlaliśmy. Kiedy połączymy się z *Paxem* i statkami Orion, będziemy mieli prawdziwą siłę, żeby przywalić Piksom.

W takich chwilach czuję, że nie jestem sam. Chrzanić świat, dopóki mam tego parchatego małego anioła stróża. Gdybym tylko był równie dobry w strzeżeniu jego, jak on mnie. Po raz kolejny zrobił wszystko, o co mogłem prosić, a nawet więcej. Kiedy ja kierowałem Obsydianowymi, on wyrwał ziejącą dziurę we flocie obronnej Szakala. Okulawił jedną czwartą jego sił, a resztę zmusił do odwrotu ku zewnętrznemu księżycowi, Dejmosowi, gdzie przegrupują się z rezerwami i poczekają na posiłki z Ceres i Puszeki.

Przez jedną krótką godzinę flota Sevro rządziła w kosmosie nad całą południową półkulą Marsa. Król Goblin. Potem został zmuszony do odwrotu w kierunku Fobosa, gdzie jego ludzie wyeliminowali uwięzionych lojalistów z piechoty morskiej. Wykorzystali do tego oddziały Rollo, które odcięły im powietrze i wyrzuciły w kosmos. Nie mam złudzeń. Szakal nie pozwoli nam zatrzymać księżyca. Może nie przejmować się jego mieszkańcami, ale nie zniszczy rafinerii helu na tutejszej stacji. Zatem wkrótce dojdzie do następnego ataku. To nie wpłynie na moje wysiłki wojenne, ale Szakal ugrzęźnie w starciach ze zbuntowaną populacją, które wyczerpią jego zasoby, nie ograniczając mnie. Dla niego to najgorszy możliwy układ.

– O czym myślisz? – pytam Sevro.

Wpatruje się w sufit.

– Zastanawiam się, ile minie czasu, zanim my też wylądujemy na tym stole. Zastanawiam się, dlaczego to my musimy nadstawiać tyłki. Oglądasz wizuale, słyszysz historie i myślisz o zwykłych ludziach. Takich, co mają

szansę pożyc na Ganimesedzie, na Ziemi albo Lunie. I wbrew wszystkiemu im zazdrościsz.

– Nie uważasz, że miałeś szansę pożyc?

– Nie tak naprawdę.

– A co to znaczy „tak naprawdę”?

Krzyżuje ręce na piersi jak dzieciak w forcie z poduszek, który patrzy na prawdziwy świat i zastanawia się, dlaczego ten nie jest równie czarodziejski jak on sam.

– Nie wiem. Coś dalekiego od bycia Niezrównanym Naznaczonym. Może życie Piksa albo nawet szczęśliwego śródKoloru. Chcę po prostu móc na coś spojrzeć i powiedzieć: to jest bezpieczne, to jest moje, nikt nie spróbuje mi tego odebrać. Dom. Dzieciaki.

– Dzieciaki?

– Sam nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem, dopóki tata nie zginął. Dopóki nie zabrali ciebie.

– Masz na myśli Victre... – domyślam się i mrugam porozumiewawczo.

– Ładna bródka, nawiasem mówiąc.

– Przymknij się.

– Czy wy dwoje...

Wchodzi mi w słowo i zmienia temat:

– Miło byłoby być po prostu Sevro. Mieć ojca. Znać matkę. – Śmieje się z siebie. Ostrzej niż powinien. – Czasem myślę o powrocie do początku i zastanawiam się, co by się stało, gdyby ojciec wiedział, że zjawi się Komisja. Gdyby uciekł z moją matką i ze mną.

Kiwam głową.

– Zawsze myślę o tym, jak inaczej wyglądałoby życie, gdyby Eo nie zginęła. O dzieciach, które mógłbym mieć. O tym, jak dałbym im na imię. –

Uśmiecham się w zadumie. – Zestarzałbym się. Patrzyłbym, jak Eo się starzeje. Kochałbym ją bardziej z każdą nową blizną, z każdym nowym rokiem, kiedy ona uczyłaby się pogardzać naszym skromnym życiem. Pożegnałbym się z matką, może z bratem, siostrą. I gdybym miał szczęście, pewnego dnia włosy Eo posiwiwałyby, zanim zaczęłyby jej wypadać, zaczęłyby kaszleć, a ja usłyszałbym na świdroSzponie skały przemieszczające się nad moją głową i to byłby koniec. Wysłałaby mnie do spalarni, rozsypałaby moje prochy, a potem to samo zrobiłyby nasze dzieci. Klany powiedziałyby, że byliśmy szczęśliwymi i dobrymi ludźmi, że wychowaliśmy porządne dzieci. Po ich śmierci wspomnienie o nas przygasłoby, a po śmierci ich

dzieci zostałyby zdmuchnięte w głąb korytarzy jak pył, którym się staliśmy. To byłoby małe życie. – Wzruszam ramionami – Małe, ale mnie by się podobało. I codziennie zadaję sobie pytanie, czy gdybym mógł wrócić i znowu być ślepym, to czy bym wybrał taki los?

– I jaka jest odpowiedź?

– Przez cały ten czas myślałem, że robię to dla Eo. Leciałem prosto jak strzała, bo miałem jedną idealną myśl w głowie. Ona tego chciała. Kochałem ją. Więc urzeczywistnię jej marzenie. Ale to bzdura. Żyłem parszywym pół-życiem. Zamieniłem kobietę w idola, w męczennicę, w coś zamiast kogoś. Udawałem, że była idealna. – Przeczesuję ręką przetłuszczone włosy. – Ona by tego nie chciała. A kiedy spojrzałem na Dziury, po prostu wiedziałem, znaczy, wtedy chyba dotarło do mnie, że w sprawiedliwości nie chodzi o naprawę przeszłości, lecz przyszłości. Nie walczymy dla martwych. Walczymy dla żywych. I dla tych, którzy się jeszcze nie urodzili. Walczymy o szansę na posiadanie dzieci. O to, co ma nadejść potem. Bo inaczej jaki to wszystko ma sens?

Sevro w milczeniu przetrawia moje słowa.

– Ty i ja szukaliśmy światełka w ciemności, spodziewając się, że się pojawi. Ale ono już tu jest. – Dotykam jego ramienia. – My nim jesteśmy, młody. Poranieni, popękani i głupi, jesteśmy światłem i jest nas coraz więcej.

Gorzała

Wpadam na Victrę na korytarzu po tym, jak zostawiam Sevro samego z Ragnarem. Jest późno. Minęła północ, a ona dopiero co przyleciała, żeby w ramach ostatnich przygotowań pomóc skoordynować wysiłki ochrony Żywego Srebra, Synów Aresa i naszej floty, nad którą przekazałem jej dowodzenie, dopóki nie połączymy się ponownie z Orion. To kolejna decyzja, która złości Dancera. Przeraża go, że przekazuję za dużo władzy Złotym, którymi mogą kierować ukryte motywy. Obecność Mustang może być ostatnią kroplą, która przepełni kielich gorzkości.

– Jak on się trzyma? – pyta Victra. Ma na myśli Sevro.

– Lepiej. Ale i tak ucieszy się na twój widok.

Uśmiecha się na to wbrew sobie i mam wrażenie, że się rumieni. To dla niej coś nowego.

– Dokąd idziesz? – pyta.

– Upewnić się, że Mustang i Dancer nie urwali sobie jeszcze nawzajem głów.

– Szlachetny zamiar, ale spóźniony.

– Co się stało? Wszystko w porządku?

– To chyba rzecz względna. Dancer jest w sali narad i głądzi coś o kompleksie wyższości Złotych, ich arogancji i tak dalej. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby tak dużo przeklinał. Nie zostałam długo, a on niewiele poza tym mówił. Wiesz, że za mną nie przepada.

– Tak jak ty nie przepadasz za Mustang.

– Nie mam nic przeciwko niej, przypomina mi dom. Zwłaszcza przez kontrast z nowymi sprzymierzeńcami, których sprowadziłeś. Po prostu uważam, że jest dwulicową młodą klaczką. To wszystko. Ale najlepsze są te konie, które od razu cię zrzucą, nie uważasz?

Śmieję się.

– Nie jestem pewien, czy to była insynuacja, czy nie.

- Była.
- Wiesz, gdzie ją znajdę?
Victra robi smutną minę.
- Wbrew powszechniej opinii nie wiem wszystkiego, kochanie. – Przechodzi obok mnie, żeby dołączyć do Sevro, poklepując mnie w przelocie po głowie. – Ale na twoim miejscu sprawdziłabym kantinę na trzecim poziomie.
- A dokąd ty się wybierasz?
Uśmiecha się szelmowsko.
- Nie twój interes.

* * *

Znajduję Mustang w kantine zgarbioną nad metalową butelką. Siedzi ze stryjem Narolem, Kavaxem i Daxo. Tuzin Żmij Jaskiniowych rozsiadł się przy innych stolikach; palą szlugi i uważnie podsłuchują Mustang, która siedzi z butami na blacie, oparta plecami o Daxo, i opowiada siedzącym przy stole kolejnym dwóm osobom historię z Instytutu. Nie zauważyłem ich zaraz po wejściu, bo zasłaniały ich potężne sylwetki Telemarusów, ale to mój brat i matka.

- ...więc oczywiście zawałam Paxa...
- To mój syn – przypomina mojej matce Kavax.
- ...a on wychodzi zza wzgórza na czele kolumny członków mojego domu. Darrow i Cassius czują, jak ziemia się trzęsie, i z wrzaskiem uciekają do jeziora, gdzie siedzą godzinami, roztrzęsieni i siniejący z zimna.
- Siniejący z zimna! – powtarza Kavax. Śmieje się głośno jak dzieciak i podsłuchujący ich Synowie Aresa przy sąsiednich stolikach nie są w stanie zachować powagi. Nawet jeśli jest Złoty, nie sposób nie lubić Kavaxa au Telemarusa. – Sini jak jagódki, Sofoklesie. Zgadza się? Daj mu jeszcze jedną, Deanno.

Moja matka turla żelkę po stole w stronę Sofoklesa, który czeka obok butelki, żeby z entuzjazmem pożreć smakołyk.

- Co tu się dzieje? – pytam, przyglądając się flaszcze, z której mój brat polewa Złotym do kubków.

– Dziewczyna opowiada, a my słuchamy – burczy w odpowiedzi Narol spowity chmurą dymu ze szluga. – Wypij kapkę.

Mustang marszczy nos z powodu dymu.

– Paskudny nałóg, Narolu – mówi do niego.
– Od lat im to powtarzam. – Kieran patrzy znacząco na matkę. – Obojgu.
– Cześć, Darrow – odzywa się Daxo i wstaje, żeby uściskać mi dłoń. – Miło zobaczyć cię tym razem bez brzytwy w ręce. – Szturcha mnie w ramię długim palcem.

– Daxo. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Chyba jestem twoim dłużnikiem za to, że zająłeś się moimi ludźmi.

– Orion odwaliła większość roboty – odpowiada z błyskiem w oku.

Z wdziękiem siada z powrotem. Mój brat pozostaje urzeczony nim i aniołami wytatuowanymi na jego głowie. Jakżeby inaczej? Daxo jest dwa razy cięższy od niego, nieskazitelny i lepiej wychowany nawet od takiej Róży jak Matteo, który podobno dochodzi do siebie na jednym ze statków Żywego Srebra. Ponoć ucieszył się na wieść, że żyję.

– Co się stało z Dancerem? – pytam Mustang.

Rumieni się i śmieje.

– Chyba nie przepada za mną. Ale nie martw się, zmieni zdanie.

– Jesteś pijana? – pytam ze śmiechem.

– Trochę. Nadganiaj zaległości. – Zdejmuje nogi za stołu, żeby zrobić mi miejsce na ławce obok siebie. – Właśnie dochodziłam do momentu, kiedy siłowałam się z Paxem w błocie.

Matka przygląda mi się w milczeniu z uśmieszkiem na ustach, bo wie, jaka panika właśnie mnie ogarnia. Siadam, zaniepokojony i wstrząśnięty widokiem dwóch połówek mojego życia, które zderzyły się bez mojego nadzoru, i słucham, jak Mustang kończy swoją opowieść. Przy tym wszystkim, co się wydarzyło, zapomniałem, jaka potrafi być czarująca, jak bardzo naturalna i swobodna w sposobie bycia. Dostrzega innych, przyciąga ich, powtarza ich imiona. Przy niej czują się ważni. Oczarowała mojego stryja i brata, a uwielbienie Telemanusów dla niej tylko pogłębia to wrażenie. Staram się nie rumienić, kiedy matka przyłapuje mnie na tym, że patrzę na Mustang z podziwem.

– Ale dość o Instytucie. – Dziewczyna kończy szczegółową relację z mojego pojedynku z Paxem przed jej zamkiem. – Deanno, obiecałaś mi opowiedzieć, jaki był Darrow jako dziecko.

– Może opowiedz o bąblu gazowym – odzywa się Narol. – Gdyby tylko był tu Loran...

– Nie, nie to – wchodzi mu w słowo Kieran. – Może o...

– Wiem – przerywa im obu moja matka. Zaczyna powoli, słowa płyną opornie. Lekko sepleni. – Kiedy Darrow był mały, miał ze trzy, może cztery latka, ojciec dał mu stary zegarek, pamiątkę po swoim ojcu. Mosiężny drobiazg z okrągłą tarczą zamiast cyfrowego wyświetlacza. Pamiętasz go? –

Kiwam głową. – Był piękny. Twój ulubiony drobiazg osobisty. Wiele lat później, już po śmierci ojca, Kieran zachorował na kaszel. W kopalniach zawsze brakowało leków. Trzeba było załatwiać je od Gamm albo Szarych, ale to miało swoją cenę. Nie wiedziałam, czym zapłacić. Aż tu pewnego dnia Darrow wraca do domu z lekarstwem i nie chce powiedzieć, jak je zdobył. Kilka tygodni później zobaczyłam, jak jeden z Szarych sprawdza godzinę na tym starym zegarku.

Spuszczam wzrok na swoje ręce, czując na sobie spojrzenie Mustang.

– Chyba czas się położyć – dodaje matka.

Narol i Kieran protestują, ale ona odkaśluje i wstaje od stołu. Całuje mnie w głowę, zatrzymując się dłużej niż zwykle, potem dotyka ramienia Mustang i wychodzi, kulejąc, wsparta na moim bracie. Ludzie Narola wychodzą razem z nimi.

– Imponująca kobieta – odzywa się Kavax. – I bardzo cię kocha.

– Cieszę się, że poznaliście się w taki sposób – mówię do niego, a potem zwracam się do Mustang: – Zwłaszcza ty.

– Co masz na myśli?

– Bez mojego nadzoru, jak to było ostatnim razem.

– Tak, trzeba przyznać, że wyszło to raczej katastrofalnie – stwierdza Daxo.

– A tym razem wypadło naturalnie – mówię.

– Zgadza się. – Mustang się uśmiecha. – Żałuję, że nie mogłam cię przedstawić mojej matce. Polubiłbyś ją bardziej niż ojca.

Odwzajemniam uśmiech, zastanawiając się, co się dzieje między nami. Boję się to definiować. Czuję się swobodnie w jej towarzystwie, ale boję się ją zapytać, co myśli. Boję się poruszyć ten temat, żeby nie zniszczyć iluzji spokoju. Kavax odchrząkuje, skrzepowany, i nastrój chwili pryska.

– Czyli spotkanie z Dancerem nie wypadło dobrze? – pytam.

– Niestety nie – przyznaje Daxo. – Jego uraza sięga głęboko. Theodora była bardziej otwarta, ale Dancer... okazał się nieprzejeđnany. Niemal wojowniczy w tym nieprzejeđnaniu.

– To człowiek-zagadka – dodaje Mustang. Wypija kolejny łyk i wzdryga się z powodu jakości trunku. – Ukrywa przed nami informacje. Nie chciał

powiedzieć nic, czego już bym nie wiedziała.

– Wątpię, żebyś sama była bardzo otwarta.

Krzywi się.

– Ale przywykłam do tego, że inni mówią za dwoje. Jest bystry. Trudno go będzie przekonać, że chcę, aby nasz sojusz wypalił.

– Zatem chcesz tego.

– Dzięki twojej rodzinie, owszem. Chcesz zbudować świat dla nich, dla matki, dla dzieci Kierana. Rozumiem to. Kiedy... zdecydowałam się negocjować z Suverenką, próbowałam osiągnąć to samo. Chronić tych, których kocham. – Telemanusowie patrzą po sobie. Mustang przesuwając palcem po stole. – Nie potrafiłam dostrzec świata bez wojny, o ile nie skapitulujemy. –

Patrzy na moje pozbawione Pieczęci ręce, przygląda się nagiej skórze, jakby krył się tam sekret naszej przyszłości. I może tak właśnie jest. – Teraz jednak go widzę.

– Mówisz serio? Wszyscy tak myślicie?

– Liczy się tylko rodzina – mówi Kavax. – A ty jesteś rodziną.

Daxo kładzie elegancką dłoń na moim ramieniu. Nawet Sofokles rozumie powagę chwili i opiera mordkę na mojej stopie pod stołem.

– Prawda? – pyta Kavax.

– Tak. – Kiwam głową z wdzięcznością. – Jestem.

Mustang uśmiecha się powściągliwie i wyciąga z kieszeni kartkę papieru.

– To częstotliwość Orion. Nie wiem, gdzie są jej statki, pewnie w Pasie. Wydałam im proste polecenie: naróbcie zamieszania. I sądząc po tym, co słyszałam w komunikatach Żółtych, dokładnie to robią. Potrzebujemy Orion i jej floty, jeśli mamy obalić Octavię.

– Dziękuję – zwracam się do wszystkich. – Nie sądziłem, że będziemy jeszcze mieli drugą szansę.

– My też nie – odpowiada Daxo. – Ale powiem ci szczerze, Darrow, jest pewna niepokojąca sprawa. Twój plan. Twój pomysł z użyciem świdroSzponów, żeby Obsydianowi mogli wtargnąć do kluczowych miast Marsa... Uważamy, że to błąd.

– Serio? Dlaczego? Musimy odebrać Szakalowi centra władzy, zdobyć poparcie ludności.

– Nie wierzymy z ojcem w Obsydianowych w takim stopniu jak ty – wyjaśnia ostrożnie Daxo. – Twoje intencje będą mało ważne, jeśli napuścisz ich na ludność Marsa.

– Barbarzyńcy – mówi Kavax. – To są barbarzyńcy.

– Siostra Ragnara...

– Nie jest Ragnarem – przerywa mi Daxo. – Jest obca. Po tym, jak usłyszeliśmy, co zrobiła z pojmanymi Złotymi... Nie możemy z czystym sumieniem dołączyć do planu, w którym Obsydianowi zaatakują marsjańskie miasta. Kobiety z domu Arcos też tego nie poprą.

– Rozumiem.

– Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego uważamy, że ten plan jest niedoskonały – odzywa się Mustang. – Nie uwzględnia w należyтым stopniu mojego brata. Docień go trochę. Jest bystrzejszy od ciebie. Bystrzejszy ode mnie. – Nawet Kavax temu nie zaprzecza. – Patrz, czego dokonał. Potrafi grać w tę grę, a jeśli zna zmienne, to siedzi w kącie całymi dniami i obmyśla wszelkie możliwe ruchy, kontry, czynniki zewnętrzne i potencjalne rezultaty. Tak rozumie dobrą zabawę. Przed śmiercią Claudiusa, zanim zostaliśmy odesłani do różnych domów, przesiadywał w pokoju, obojętne, czy akurat padał deszcz, czy świeciło słońce, układał puzzle i tworzył labirynty na papierze, i błagał mnie bez ustanku, żeby spróbowała dotrzeć do ich środka, kiedy wracałam z przejażdżki z ojcem albo z wędkowania z Claudiusiem i Paxem. A kiedy mi się udawało, śmiał się i nazywał mnie swoją bystrą siostrą. Nie myślałam o tym za wiele, dopóki pewnego dnia nie zobaczyłam go samego w pokoju. Myślał, że nikt go nie widzi. Wrzeszczał i bił się po twarzy, karząc się za to, że ze mną przegrał. Kiedy następnym razem poprosił mnie, żebym pokonała jego labirynt, udawałam, że nie potrafię, ale nie dał się oszukać. Jakby wiedział, że widziałam go wtedy w pokoju: nie introwertycznego, lecz miłego, kruchego chłopca, za którego wszyscy go brali, tylko jego prawdziwą twarz. – Bierze wdech i ze wzruszeniem ramion odsuwa tę myśl. – Zmusił mnie do ukończenia przejścia przez labirynt. A kiedy mi się udało, uśmiechnął się, powiedział, że jestem bardzo bystra, i odszedł. Kiedy następnym razem narysował labirynt, nie potrafiłam znaleźć środka. Bez względu na to, jak bardzo się starałam. – Wierci się skrzepowana. – Po prostu siedział wśród swoich ołówków i patrzył, jak próbuję. Jak stary, zły duch w porcelanowej lalce. Takim go pamiętam. I takiego go teraz widzę, kiedy myślę o tym, że zabił ojca.

Telemanusowie słuchają w ponurym milczeniu. Obawiają się Szakala tak samo jak ja.

– Darrow, on nigdy nie wybaczy ci lania, które spuściłeś mu w Instytucie. Tego, że zmusiłeś go do obcięcia sobie ręki. Tak jak mnie nigdy nie

wybaczy, że go rozebrałam do naga i dostarczyłam tobie. Jesteśmy jego obsesją, tak samo jak Octavia i tak samo jak był ojciec. Jeśli więc myślisz, że po prostu zapomni, jak Sevro wparował do jego cytadeli ze świdroSzponem i ukradł cię mu sprzed nosa, to zginie przez ciebie mnóstwo ludzi. Twój plan zajęcia miast nie sprawdzi się. Szakał zwęszy go z odległości wielu kilometrów. A nawet jeśli nie, nawet jeżeli zajmiemy Marsa, ta wojna potrwa lata. Musimy uderzyć prosto w żyłę szyjną.

– Co więcej – odzywa się Daxo – potrzebujemy zapewnienia, że nie zamierzasz ustanowić dyktatury ani prawdziwej demokracji, jeśli wygrasz.

– Dyktatury? – pytam z uśmiechem. – Naprawdę myślisz, że chcę rządzić?

Daxo wzrusza ramionami.

– Ktoś musi.

Jakaś kobieta staje w progu kantyny i odchrząkuje. Obracamy się i widzimy Holiday z kciukami zahaczonymi o szlufki paska.

– Przepraszam, że przeszkadzam, dowódco, ale Bellona dopytuje się o ciebie. To wygląda na coś ważnego.

Ostatni orzeł

Cassius leży przykuty do poręczy wzmocnionego łóżka szpitalnego pośrodku izby chorych Synów Aresa – w tym samym miejscu, w którym patrzyłem, jak moi ludzie umierają od ran, które odnieśli, próbując wyrwać mnie z jego łap. Rzędy łóżek z rannymi buntownikami z Fobosa i operacji na Morzu Termicznym wypełniają przestrzeń. Wentylatory szumią i popiskują, ludzie kaszlą. Jednak najbardziej odczuwam ciężar spojrzeń. Ręce wyciągają się do mnie, kiedy idę między pryczami i siennikami ułożonymi na podłodze. Usta szepczą moje imię. Ci ludzie chcą mnie dotknąć, dotknąć człowieka bez Pieczęci, bez piętna swoich panów. Pozwalam im na to, ale nie mam czasu na obejście całej sali.

Poprosiłem Dancera, żeby dał Cassiusowi osobny pokój. Zamiast tego umieszczono go na samym środku głównej izby chorych pośród ludzi po amputacjach, obok wielkiego plastikowego namiotu z oddziałem dla poparzonych. Może patrzeć na podKolory i być przez nich obserwowany, poczuć ciężar wojny tak samo jak oni. Wyczuwam w tym rękę Dancera. Zapewnił Cassiusowi godziwą opiekę, bez okrucieństwa, ale i bez przywilejów, taką samą jak innym. Czuję, że jestem winien staremu socjaliście kielicha.

Chłopaki od Narola – Szary i dwóch ogorzałych byłych pieklonurków – garbią się na metalowych krzesłach obok łóżka Cassiusa i grają w karty. Na plecach mają ciężkie miotacze. Zrywają się na nogi i salutują na mój widok.

– Słyszałem, że o mnie pytał – mówię.

– Przez większość nocy – odpowiada niechętnie niski Czerwony, zerkając na towarzyszącą mi Holiday. – Nie zawracalibyśmy ci głowy, ale... to parszywy Rycerz Olimpijski. Uznaliśmy, że należy to przekazać wyżej. – Pochyla się tak blisko, że czuję mentol sztucznego tytoniu między jego przebarwionymi zębami. – Dupek twierdzi, że ma jakieś informacje, dowódco.

- Jest w stanie mówić?
- Mhm – warczy żołnierz. – Niewiele, ale grot nie trafił w krtań.
- Muszę porozmawiać z nim na osobności.
- To się da załatwić, dowódco.

* * *

Lekarz i strażnicy wyprowadzają łóżko na kółkach z Cassiusem na koniec sali, do części aptecznej, która jest zamknięta na klucz i strzeżona. Zostajemy z Cassiusem sami wśród rzędów plastikowych pudeł z lekami. Przygląda mi się z łóżka. Ma białe bandaże wokół szyi, ledwie widoczna czerwona plamka rozlewa się między jabłkiem Adama a żyłą po prawej stronie gardła.

- To cud, że żyjesz – mówię.

Wzrusza ramionami. Nie ma wenflonu ani bransoletki morfonowej.

- Nie dali ci niczego przeciwbólowego?

– Nie za karę. Głosowali – odpowiada powoli, starają się nie rozerwać szwów na szyi. – Nie mają dość morfonu. Brakuje leków. Podobno w zeszłym tygodniu pacjenci zagłosowali, by zostawić mocne leki dla poparzonych i tych po amputacji. Uznałbym to za szlachetny gest, gdyby nie jęczeli całą noc z bólu jak samotne szczeniaki. – Urywa. – Zawsze zastanawiałem się, czy matki słyszą, jak ich dzieci płaczą za nimi.

- A twoja słyszy?

– Nie płakałem. I wątpię, żeby moją matkę obchodziło cokolwiek poza zemstą. Cokolwiek to znaczy na tym etapie.

– Twierdzisz, że masz jakieś informacje – przechodzę do rzeczy, bo nie wiem, co innego powiedzieć.

Czuję żelazną więź z tym człowiekiem. Sevro zapytał, dlaczego uratowałem Cassiusa, a ja odwołałem się do idei męstwa i honoru, ale tak naprawdę to desperacko pragnę, żeby znowu był moim przyjacielem. Łaknę jego aprobaty. Czy to znaczy, że jestem głupcem? Człowiekiem nielojalnym? Czy przemawia przeze mnie poczucie winy? Ulegam jego urokowi? Czy może odzywa się próżna częśćka mojej osoby, która chce być kochana przez ludzi, których szanuję? Bo szanuję Cassiusa. Ma swój honor, wypaczony, niemniej prawdziwy.

- To ona czy ty? – pyta ostrożnie.
- Co masz na myśli?

– Kto powstrzymał Obsydianowych przed ugotowaniem moich oczu i odcięciem mi języka? Ty czy Virginia?

– Oboje.

– Kłamiesz. Nie sądziłem, że strzeli, prawdę mówiąc. – Chce dotknąć szyi, ale kajdanki powstrzymują go nagłym szarpnięciem i przypomina sobie, gdzie jest. – Pewnie nie możesz ich zdjąć? To potworna rzecz, kiedy zaswędzi.

– Przeżyjesz.

Śmieje się, jakby chciał powiedzieć, że musiał spróbować.

– To jest ten moment, kiedy okażesz mi swoją moralną wyższość? Że jesteś bardziej cywilizowany niż Złoty?

– Może zacznę cię torturować, żeby wyrwać z ciebie informacje.

– To nie do końca honorowe.

– Tak samo jak trzymanie mnie w kamiennym pudle przez dziewięć miesięcy po trzech miesiącach tortur. A poza tym, skąd, u diabła, pomyśl, że honor cokolwiek dla mnie znaczy?

– Fakt. – Marszczy czoło i wygląda oszałamiająco, jak posąg, który mógłby wyrzeźbić Michał Anioł. – Jeśli myślisz, że przehandlujesz mnie za coś Suwerence, to się mylisz. Nie poświęci ani jednej rzeczy, żeby mnie uratować.

– To dlaczego jej służysz?

– Z obowiązku.

Wypowiada słowa, ale ja zastanawiam się, czy wciąż w nie wierzy.

W jego oczach dostrzegam samotność, tęsknotę za życiem, które powinien mieć, przeblysł człowieka, którym chce być, przezierający spod człowieka, którym – jak sądzi – musi być.

– Na jedno wychodzi – mówię. – Myślę, że zadaliśmy sobie nawzajem dość bólu. Nie będę cię torturował. Masz jakieś informacje czy będziemy wokół tego tańczyć przez następne dziesięć minut?

– Zastanawiałeś się, dlaczego Suwerenka zabiega o pokój, Darrow? Na pewno musiało ci to przejść przez myśl. Nie jest z tych, którzy zmniejszają karę, o ile nie muszą tego zrobić. Dlaczego miałyby okazać wyrozumiałość Virginii? Albo Obrzeżu? Ma trzy razy większą flotę niż zbuntowani Władcy Księżyców. Rdzeń jest lepiej zaopatrzony. Romulus nie dorównuje Roque'owi. Sam wiesz, jaki Roque jest świetny. Dlaczego więc Suwerenka wysłała nas na negocjacje? Po co te kompromisy?

– Wiem już, że chciała zastąpić kimś Szakala. I nie może pozwolić sobie na rebelię na pełną skalę na Obrzeżu, kiedy będzie jednocześnie próbowała natrzeć Szakalowi uszu i zwalczyć Synów Aresa. Stara się zmniejszyć liczbę frontów, żeby skupić się z całą mocą na jednym problemie naraz. To nie jest skomplikowana strategia.

– Ale wiesz, dlaczego chciała go zastąpić?

– Z powodu mojej ucieczki, obozów, przerw w dostawie helu... Mógłbym wymienić setkę powodów, dla których umieszczenie psychopaty na urzędzie arcygubernatora mogło się okazać uciążliwe.

– To wszystko racja – przerywa mi Cassius. – To wręcz przekonujące. I te właśnie powody podsunęliśmy Virginii.

Odsuwam się od niego, słysząc sugestię w jego głosie.

– Czego jej nie powiedzieliście?

Waha się, zastanawiając się nawet teraz, czy powinien mi powiedzieć. Wreszcie mówi:

– Wcześniej w tym roku nasz wywiad wykrył rozbieżność między kwartalną produkcją helu zgłoszoną Departamentowi Energii i Zarządowi Kopalń a raportami z produkcji od naszych agentów w koloniach górniczych. Natrafiliśmy na co najmniej sto dwadzieścia pięć przypadków, kiedy Szakal niezgodnie z prawdą zgłosił straty spowodowane zamachami Synów Aresa. Zamachami, do których w ogóle nie doszło. Twierdził także, że czternaście kopalń zostało zniszczonych w atakach przeprowadzonych przez Synów Aresa. Atakach, które nigdy nie miały miejsca.

– Czyli podbiera śmietankę – mówię, wzruszając ramionami. – To nie pierwszy skorumpowany arcygubernator w Układzie.

– Ale on nie sprzedaje nadwyżki. On tworzy niedobory, samemu gromadząc zapasy.

– Zapasy? Ile tego zebrał do tej pory? – pytam niespokojnie.

– Z nadwyżką z czternastu kopalń i Marsjańskimi Rezerwami? W tym tempie w dwa lata będzie miał więcej, niż wynoszą Imperialne Rezerwy na Lunie, Wenus i Wojenne Rezerwy na Ce-res razem wzięte.

– To może oznaczać setkę różnych rzeczy – zniżam głos, gdy dociera do mnie, ile to paliwa. Trzy czwarte najcenniejszej substancji na świecie. Wszystko pod kontrolą jednego człowieka. – Chce zostać Suwerenem. Kupuje senatorów?

– Na razie ma czterdziestu – przyznaje Cassius. – Więcej, niż oczekiwaliśmy. On jednak robi coś jeszcze. – Próbuje osiąść prościej, ale kajdanki na

rękach utrzymują go w przygarbionej pozycji. – Zadam ci jedno pytanie i potrzebuję, żebyś powiedział mi prawdę. – Wyśmiałbym go, gdybym nie widział, jaki jest poważny. – Czy Synowie Aresa okradli magazyn na asteroidzie w marcu, kilka dni po twojej ucieczce? Jakież cztery miesiące temu?

– Mów konkretniej.

– Mała asteroida z rodziny planetoidy Karin. S-1988. Krzemowy śmieć. Prawie zerowy potencjał górniczy. Dostatecznie konkretnie?

Przeglądałem wszystkie operacje taktyczne Sevro, kiedy dochodziłem do siebie pod opieką Mickeya. Przeprowadzono kilka ataków na bazy wojskowe legionów w obrębie Pasa Asteroid, ale nie było tam niczego, co odpowiadałoby słowom Cassiusa.

– Nie. Nie wiem o żadnej operacji na S-1988.

– Psiakrew – mruczy pod nosem. – Więc dobrze się domyśliliśmy.

– Co było w magazynie? Cassiusie...

– Pięćset głowic nuklearnych – odpowiada ponuro.

Plama krwi na jego bandżu jest wielkości rozdziawionych ust.

– Pięćset – powtarzam głucho. – Jakiej mocy?

– Trzydzieści megaton każda.

– Zabójcy światów... Cassiusie, dlaczego one w ogóle istnieją?

– Na wypadek gdyby Pan Popiołów musiał kiedyś jeszcze urządzić powtórkę z Rei. Skład znajduje się między Rdzeniem a Obrzeżem.

– Powtórkę z Rei... I ty jej służysz? – pytam. – Kobiecie, która na wszelki wypadek magazynuje dość głowic jądrowych, żeby zniszczyć planetę?

Ignoruje mój ton.

– Wszystkie dowody wskazywały Aresa, ale Suwerenka uznała, że to za dobrze świadczy o Sevro. Kazała Moirze zbadać tę sprawę osobiście. Moira namierzyła lokalizatory statku złodziei i trafiła ich tropem do zlikwidowanej firmy przewozowej, która w przeszłości należała do Julii Industries. Jeśli Synowie naprawdę nie ukradli broni, to ma ją Szakał. Nie wiemy tylko, co z nią robi.

Stoję jak odrętwiały. Gorączkowo składam w myślach poszlaki, żeby zgadnąć, jak Szakał może wykorzystać taką ilość broni atomowej. Zgodnie z Porozumieniem marsjańskie wojsko może mieć w swoim arsenale tylko dwadzieścia głowic przeznaczonych do walki w kosmosie, między okrętami. Wszystkie poniżej pięciu megaton.

– Jeśli to prawda, to dlaczego mi to mówisz?

– Bo Mars jest też moim domem. Moja rodzina żyła tu równie długo jak twoja. Moja matka nadal przebywa w naszym domu. Bez względu na długoterminową strategię Szakala, Suwerenka uważa, że posłuży się tą bronią tutaj, jeśli zostanie przyparty do muru.

– Boicie się, że możemy wygrać – dociera do mnie.

– Nie baliśmy się, dopóki to była wojna Sevro. Synowie Aresa byli skazani na porażkę. Jednak teraz? Spójrz, co się dzieje. – Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów. – Straciliśmy panowanie na sytuacją. Octavia nie wie, gdzie jestem. Nie wie, czy Aja żyje. Jest jak ślepa. A Szakal może wiedzieć, że próbowała go zdradzić, dogadać się z jego siostrą. To dziki pies. Jeśli go sprowokujesz, ugryzie. – Zniża głos. – Ty może to przetrwasz, ale czy przetrwa to Mars?

Rachunek

– Pięćset głowic nuklearnych? – szepcze Sevro. – A niech to szlag, w mordę, psiajucha. Powiedz mi, że żartujesz. Śmiało.

Dancer siedzi przy stole w sali narad i w milczeniu uciska sobie skronie.

– To bzdura – warczy spod ściany Holiday. – Gdyby je miał, już by ich użył.

– Zostawmy dedukcję ludziom, którzy osobiście poznali tego człowieka, dobrze? – odzywa się Victra. – Adrius nie działa jak normalna istota ludzka.

– To jedno jest pewne – zgadza się Sevro.

– Niemniej to istotne pytanie – odzywa się Dancer poirytowany obecnością tak wielu Złotych, zwłaszcza Mustang, która stoi obok mnie. – Jeśli je ma, to czemu się nimi nie posłużył?

– Bo tego typu eskalacja uderzy w niego równie mocno jak w nas – odpowiadam. – A jeśli ich użyje, Suwerenka będzie miała wszelkie powody, żeby go usunąć.

– Albo wcale ich nie ma – zbywa sprawę Żywe Srebro. Unosi się przed nami, niebieskie holoPiksele migoczą na ekranie. – To spisek. Bellona wie, na czym ci zależy, Darrow. Trąca czułe struny, strasząc zniszczeniem. To bzdura. Moi technicy zauważyliby coś, gdy Szakał transportował pociski. Słyszałbym też o wzbogacaniu plutonu, gdyby Suwerenka zleciła ich produkcję.

– Chyba że to są stare pociski – zauważam. – Mnóstwo takich reliktyw się wszędzie wala.

– A to duży Układ Słoneczny – dodaje beznamietnie Mustang.

– A ja mam duże uszy – odpowiada Żywe Srebro.

– Miałeś – wtrąca Victra. – Kurczą się z każdą chwilą, gdy rozmawiamy.

Przywódcy rebelii siedzą w półkolu przed holoProjektorem, który pokazuje obraz S-1988. Jałowa skała należy do rodziny planetoidy Karin, która z kolei jest częścią rodziny planetoidy Koronis w głównym Pasie Asteroid

między Marsem i Jowiszem. Asteroidy Koronis są bazą ciężkiego przemysłu wydobywczego pewnego konsorcjum energetycznego z Ziemi. Znajduje się tam także kilka cieszących się złą sławą stacji kosmicznych dla przemytników i piratów, w szczególności (208) Lacrimosa, gdzie Sevro tankował w drodze z Plutona na Marsa. Miejscowi nazywają port przemytników Matką Boską Bolesną. Życie jest tam mniej warte niż kilo zamrożonego helu i gram diabelskiego pyłu, przynajmniej tak twierdzi Sevro. Jest nietypowo powściągliwy, gdy chodzi o to miejsce i czas, który tam spędził.

Na naradach wojennych Złoci siadają w kręgach albo wokół prostokątnych stołów, bo ludzie siedzący twarzą w twarz szybciej angażują się w intelektualne konflikty niż ludzie siedzący obok siebie. Złoci się w tym lubują. Ja próbuję innej taktyki, każąc przyjaciółom stawiać czoło problemowi – dlatego usadziłem ich przed holoProjektorem. Jeśli chcą się ze sobą kłócić, muszą wykręcać szyje.

– Szkoda, że nie mamy wyroczni Suwerenki – mówi Mustang. – Przyczepilibyśmy taką do nadgarstka Cassiusa i przekonali się, jaki jest rozmowny.

– Przykro mi, że nie dysponujemy zasobami, do jakich przywykłaś, *domina* – odpowiada Dancer.

– Nie to miałam na myśli.

– Moglibyśmy go torturować – odzywa się Sevro.

Siedzi pośrodku długości stołu i obcina paznokcie ostrzem. Victra opiera się o ścianę za jego plecami i wzdraga się z rozdrażnieniem za każdym razem, gdy kawałek paznokcia spada na blat. Dancer siedzi na lewo od niego. Wysoki na metr hologram Żywego Srebra jarzy się po jego prawej stronie, a mojej lewej. Ogłosiwszy Fobosa wolnym miastem w imieniu Powstania, Żywe Srebro pełni funkcję jego gubernatora. Teraz garbi się nad stosikiem sercowatych ostryg wielkości kciuka z platynowym nożykiem w ręce i układa skorupki w pięć równych kupek. Jeśli denerwuje się z powodu odwetu Szakala na jego stacji, to w żaden sposób tego nie okazuje. Sefi poci się pod futrami, krążąc wzdłuż stołu jak uwięzione zwierzę, czym denerwuje Dancera.

– Chcecie znać prawdę? – pyta Sevro. – Dajcie mi siedemnaście minut i śrubokręt.

– Naprawdę powinniśmy rozmawiać o tym przy niej? – pyta Victra, mając na myśli Mustang.

– Jest po naszej stronie – odpowiadam.

- Na pewno? – powątpiewa Dancer.
- Odegrała kluczową rolę w zwerbowaniu Obsydianowych. Połączyła nas z Orion.

Nawiązałem z Orion kontakt po rozmowie z Cassiusem. Pędzi mi na spotkanie z *Paxem* i znaczącą pozostałością mojej starej floty. Wydawało się, że to niemożliwe, bym zobaczył jeszcze kiedyś kostyczną Niebieską albo *Paxa*, który stał się dla mnie pierwszym domem po porzuceniu Lykos.

- Dzięki Mustang będziemy mieli flotę z prawdziwego zdarzenia. Została moich dowódców. Nie odebrała Orion dowodzenia. Czy zrobiłaby to, gdyby nie miała takich samych celów jak my?

- A mianowicie? – pyta Dancer.
- Pokonanie Lune i Szakala.
- To zaledwie wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o nasze cele.
- Współpracuje z nami.
- Na razie – żacha się Victra. – To cwana dziewczyna. Może chce się nami posłużyć, żeby wyeliminować swoich wrogów? Zająć mocną pozycję? Może chce zagarnąć Marsa? Może chce czegoś więcej?

Mam wrażenie, że nie dalej jak wczoraj moja rada Złotych zastanawiała się, czy Victra jest godna zaufania. Roque wstawił się za nią, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić. Teraz ona najwyraźniej nie dostrzega ironii tej sytuacji. A może pamięta, jak Mustang powątpiewała w jej intencje rok temu i postanowiła odplacić jej pięknym za nadobne.

- Niechętnie zgadzam się z Julii – odzywa się Dancer – ale ma rację. Ród Augustus to wytrawni gracze. Jeszcze się nie urodził taki, który by nim nie był.

Najwyraźniej wcześniejsza powściągliwość Mustang nie zrobiła na nim dobrego wrażenia. Spodziewała się tego. Więcej: pragnęła nawet zostać w swoim pokoju i nie uczestniczyć w naradzie, bo nie chciała zaszkodzić mojemu planowi. Jeśli jednak to ma zadziałać, jeśli ostatecznie wszystko ma się poskładać w całość, musimy współpracować.

- Oczekują, że będę bronił Mustang, co tylko świadczy o tym, jak mało ją znają.

- Zachowujecie się dość nielogicznie – odzywa się. – Nie chcę was obrażać, po prostu stwierdzam fakt. Gdybym źle wam życzyła, wezwałabym Suwerenkę albo brata, ukryłabym lokalizator na swoim statku. Dobrze wiecie, ile wysiłku włożyłaby Suwerenka w odnalezienie Tinos. – Moi przyjaciele patrzą po sobie zaniepokojeni. – Nie zrobiłam tego. Wiem, że

mi nie zaufacie. Ufacie jednak Darrowowi, on zaś ufa mnie, a ponieważ zna mnie lepiej niż ktokolwiek z was, myślę, że najprędzej może podjąć decyzję co do mojej osoby. Przestańcie więc jojczyć jak marudne dzieci i weźmy się do roboty, dobrze?

– Jeśli macie piłę tarczową, wystarczyłyby mi trzy minuty... – odzywa się Sevro.

– Zamkniesz się wreszcie? – warczy na niego Dancer. Pierwszy raz widzę, żeby stracił nad sobą panowanie. – Człowiek będzie kłamał jak najęty, powie wszystko, co chcesz usłyszeć, kiedy zaczniesz mu zrywać paznokcie u stóp. To nie działa.

Sam był torturowany przez Szakala. Tak samo jak Evey i Harmony.

Sevro krzyżuje ręce na piersi.

– To niesprawiedliwa i zdecydowanie nadmierna generalizacja, Zrędo.

– My nie torturujemy – orzeka Dancer. – Koniec, kropka.

– Aaa, fakt, my jesteśmy ci dobrzy. A dobrzy nigdy nie torturują. I zawsze wygrywają. Ale ilu dobrych facetów kończy z głowami w pudełkach? Ilu patrzy, jak kręgosłupy ich przyjaciół zostają przecięte na pół?

Dancer szuka u mnie pomocy.

– Darrow...

Żywe Srebro otwiera ostrygę.

– Prawidłowo przeprowadzona tortura może być skuteczna w przypadku informacji, które da się potwierdzić. Ale jak każde narzędzie, nie jest to żadne panaceum. Trzeba umieć się nim posługiwać. Osobiście uważam, że nie mamy luksusu rysowania nieprzekraczalnych linii moralnych na piasku. Nie dzisiaj. Niech Barca spróbuje. Niech zerwie parę paznokci. Wyłupi kilkoro oczu, jeśli trzeba.

– Zgadzam się – odzywa się Theodora ku ogólnemu zaskoczeniu.

– A co z Matteo? – pytam Żywe Srebro. – Sevro potrzaskał mu twarz.

Nóż Żywego Srebra ześlizguje się z ostrygi i wbija mu się w dłoń. Mężczyzna krzywi się i ssie ranę.

– I gdyby nie zemdlął, powiedziałby wam, gdzie jestem. Z własnego doświadczenia mówię, że ból jest najlepszym negocjatorem.

– Zgadzam się z nimi, Darrow – odzywa się Mustang. – Musimy być pewni, że Cassius mówi prawdę. W przeciwnym wypadku pozwolimy mu dyktować nam strategię. To z jego strony klasyczne zagranie kontrwywiadowcze. Ty zrobiłbyś to samo.

I próbowałem to robić, dopóki Szakał nie zaczął mnie torturować.

Victra, która do tej pory nie odzywała się na ten temat, obchodzi nagle stół i wchodzi w hologram, czarny kosmos i gwiazdy kładą się na jej skórze. Nierówno przycięte niemal białe włosy opadają jej na wykrzywioną wściekłością twarz, kiedy zdejmuje szarą koszulę. Pod nią ma umięśnione i gibkie ciało, nosi też kompresujący stanik. Pół tuzina trzycalowych blizn od brzytwy rozciąga się ukośnie na jej płaskim brzuchu. Na prawej ręce ma ich jeszcze więcej. Podobnie jak na twarzy, szyi, obojczykach.

– Z niektórych jestem dumna – mówi o bliznach – z innych nie.

Odwraca się, żeby pokazać nam krzyż. W miejscu, gdzie jej siostra wytrawiła jej pamiątkę kwasem, widnieje pas ciała stopionego niczym wosk. Odwraca się do nas i unosi wyzywająco podbródek.

– Trafiłam do was, bo nie miałam wyboru. Zostałam, kiedy go miałam. Nie każcie mi tego żałować.

To, jak się odsłoniła, jest zaskakujące. Wątpię, żeby Mustang kiedykolwiek publicznie tak się odkryła. Sevro wpatruje się w nią intensywnie, a ona zakłada z powrotem koszulę i odwraca się do hologramu. Wyciąga obie ręce i powiększa obraz asteroidy.

– Możemy uzyskać lepszą rozdzielczość? – pyta, jakby sprawa została przesądzona.

– Zdjęcia zrobił dron Biura Spisu Powszechnego – odpowiadam. – Prawie siedemdziesiąt lat temu. Nie mamy dostępu do aktualnych danych wojсковych.

– Moi ludzie już nad tym pracują – wtrąca Żywe Srebro – ale nie są optymistami. Odpieramy całą masę kontrataków Wspólnoty. Rozpętało się przeklęte tornado.

– W takich chwilach warto byłoby mieć pod ręką twojego ojca – mówi Sevro do Mustang.

– Nigdy nie mówił mi o czymś takim.

– Moja matka kiedyś coś wspomniała – odzywa się z zadumą Victra. – W rozmowie ze mną i Antonią. Coś o paskudnych zapasach na czarną godzinę, które imperatorzy mogliby błyskawicznie zgarnąć, gdyby Obrzeże przestało być posłuszne.

– To pasuje do tego, co powiedział Cassius.

Victra odwraca się do nas.

– Dlatego myślę, że mówi prawdę.

– Ja też – przyznaję. – A torturowanie go niczego nie rozwiąże. Co będzie, jeśli obetniecie mu jeden palec po drugim, a on nadal będzie twier-

dził, że to prawda? Będziecie ciąć tak długo, aż powie, że to kłamstwo? Tak czy inaczej, to ryzyko.

Kilka osób kiwa niechętnie głowami, a ja z ulgą przyjmuję, że przynajmniej jedną bitwę wygrałem, chociaż niepokoi mnie trochę, ile dzikości pojawiło się w moich przyjaciółkach.

– Co zasugerował, że powinniśmy zrobić? – pyta Dancer. – Na pewno miał jakąś propozycję.

– Chce, żebym odbył holokonferencję z Suwerenką – odpowiadam.

– Po co?

– Żeby omówić sojusz przeciwko Szakalowi. Oni dadzą nam informacje, a my go zabijemy, zanim zdąży zdetonować głowice. Oto plan Cassiusa.

Sevro chichocze.

– Wybacz, ale to byłby przezabawny widok. – Podnosi lewą rękę i udaje, że to gadające usta. – „Cześć, stara zardzewiała suko, pamiętasz, jak porwałem twojego wnuka?” – Podnosi prawą rękę. – „Ależ oczywiście, mój łaskawy panie. Zaraz po tym, jak zniewoliłam całą twoją rasę”. – Kręci głową. – Nie ma sensu rozmawiać z tą Piksą, dopóki nie zapukamy do jej drzwi z flotą za plecami. Powinienesz wysłać mnie i Wyjców przeciwko staremu dobremu Szakalowi. Bez głowy nie będzie mógł wcisnąć guzika.

– Walkirie wezmą udział w tej misji razem z Wyjcami – zapowiada Sefi.

– Nie. Szakał będzie się spodziewał próby zamachu. – Zerkam na Mustang, która już mnie przestrzegła przed tym pomysłem. – Za dobrze nas zna, żeby dać się zaskoczyć czymś, co już kiedyś zrobiliśmy. Nie będę ryzykował życia ludzi, ignorując to, jak dobrze zna nasze silne strony.

– Masz kogoś blisko niego, Regulus? – pyta Dancer.

Co dziwne, panowie raczej się polubili.

– Miałem – potakuje Żywe Srebro – dopóki twoi Szarzy nie wyrwali Darrowa. Adrius kazał szefowi swojego wywiadu zrobić czystkę w najbliższym kręgu. Wszyscy moi ludzie są martwi, uwięzieni albo śmiertelnie przerażeni.

– Co myślisz, Augustus? – Dancer zwraca się do Mustang.

Wszyscy patrzą na nią. Nie odpowiada od razu.

– Moim zdaniem przeżyliście tak długo dzięki temu, że Złoci są bez reszty pochłonięci swoimi ego i zapomnieli, jak podbili Ziemię. Każdy z nich uważa, że może rządzić. Biorąc pod uwagę powrót Orion i zdobycze Sevro, waszym największym atutem są teraz flota i armia Obsydianowych. Nie pomagajcie Suwerence. Ona nadal jest najgroźniejszym wrogiem. Jeśli

jej pomożecie, skupi się na was. Posieje między wami więcej ziaren niezgody.

Dancer kiwa głową.

– Ale czy jesteście pewni, że Szakał naprawdę zrzuci bomby?

– Mój brat pragnął tylko jednej rzeczy: aprobaty ze strony ojca. Nie dostał jej, więc go zabił. Teraz chce Marsa. Jak myślisz, co zrobi, jeśli go nie dostanie?

Złowroga cisza zalega na sali.

– Mam plan – odzywam się.

– No ja myślę, psiajucha – mruczy Sevro do Victry. – Będę mógł się w czymś schować?

– Na pewno coś dla ciebie znajdziemy, kochanie – odpowiada Victra.

Kiwam głową.

Sevro macha ręką.

– No to nawijaj, Żniwiarz.

– Założmy, że zajmujemy połowę miast na Marsie – mówię, wstając i przywołując obraz, na którym czerwona fala zalewa Marsa i jego miasta oraz wypiera Żłoty. – Powiedzmy, że niszczymy flotę Szakała na orbicie, kiedy Orion do nas dołącza, chociaż przeciwnik ma dwukrotną przewagę liczebną. Przypuśćmy, że miażdżymy jego armię. Z pomocą Walkirii odrywamy Obsydianowych od legionów i przeciągamy ich na swoją stronę. Ludność zaczyna nas popierać. Przemysł na Marsie staje. Odpieramy ataki nieprzeliczonych posiłków przysyłanych przez Wspólnotę, mamy powstanie na każdej ulicy i po wielu latach wojny przyparliśmy Szakała do muru. Bo to zajmie wiele lat. Co się wtedy stanie?

– Poza Marsem przemysł będzie hulał jak dawniej – zauważa Victra. – Nie przestaną pompować tu ludzi i wyposażenia wojskowego.

– Albo... – podsuwam.

– Szakał zrzuci bomby – odzywa się Dancer.

– I wierzę, że posłuży się nimi także przeciwko Obsydianowym i naszemu wojsku, jeśli ruszymy z operacją Czerwony Przypływ.

– Przygotowywaliśmy ją od miesięcy – protestuje Dancer. – Dzięki Obsydianowym może nam się udać. A ty chcesz tak po prostu wyrzucić cały plan na śmietnik?

– Tak. Ta planeta to powód naszej walki. Siłą rebelianckich wojsk zawsze było to, że miały mniej rzeczy do broni. Mogą się przemieszczać i nie sposób je przyszpilić. My mamy tu wiele do stracenia. Wiele rze-

czy chcemy ochronić. Nie wygramy tej wojny w kilka dni ani tygodni. To nam zajmie dziesięciolecie. Mars będzie krwawił. Zadajcie sobie pytanie, co odziedziczymy na koniec? Trupa naszego dawnego domu. Musimy walczyć w tej wojnie, ale nie będziemy walczyć tutaj. Proponuję opuścić Marsa.

Żywe Srebro kaszle.

– Opuścić Marsa?

Sefi wychodzi z cienia w kamiennej sali.

– Powiedziałeś, że będziesz chronił moich ludzi.

– Nasza siła tkwi tutaj, w tunelach – mówi Dancer. – W naszych ludziach. To nasza odpowiedzialność. – Zerka na Mustang, nie kryjąc się z podejrzeniami, ale mówi dalej do mnie. – Nie zapominaj, skąd pochodzisz. Dlaczego to robisz.

– Nie zapomniałem.

– Jesteś pewien? To wojna o Marsa.

– To wojna o coś więcej.

– O podKolory. – Dancer podnosi głos. – Wygraj tutaj, a potem walcz z resztą Wspólnoty. Tu jest hel. Tu bije serce Wspólnoty, serce Czerwonych. Wygraj tu, a walka rozleje się wszędzie. Taki był zamiar Aresa.

– Walczymy o wszystkich – poprawia go Mustang.

– Nie – upiera się Dancer. – To nasza wojna, Złota. Walczyłem w niej, kiedy ty nadal uczyłaś się, jak zniewalać istoty ludzkiej w swojej...

Sevro patrzy na mnie poirytowany, kiedy nasi przyjaciele zaczynają się kłócić. Kiwam do niego lekko głową, na co wyciąga brzytwę i wbija ją w stół. Ostrze wchodzi do połowy i zatrzymuje się z drżeniem.

– Żniwiarz próbuje coś powiedzieć, gównojady. Poza tym wasz koloryzm mnie nudzi. – Rozgląda się, okrutnie zadowolony z ciszy, która zapadła. Kiwa głową i teatralnie macha ręką. – Żniwiarzu, kontynuuj, proszę. Teraz będzie najciekawsze.

– Dziękuję, Sevro. Nie wpadnę w pułapkę Szakala. Najprostszy sposób przegrania wojny to pozwolić, żeby wróg dyktował ci warunki walki. Musimy zrobić to, czego Szakal i Suwerenka najmniej się spodziewają. Stworzyć nowy, własny paradygmat, żeby to oni grali w naszą grę; żeby reagowali na nasze decyzje. Musimy działać śmiało. W tej chwili rozpaliliśmy ogień. Bunt wybuchł niemal na wszystkich terytoriach Wspólnoty. Jeśli tu zostaniemy, to znaczy, że nad nami zapanowali, powstrzymali nas. A ja nie dam się powstrzymać.

Przesyłam obraz z mojego terminala na stół i w powietrzu pojawia się hologram Jowisza. Sześćdziesiąt trzy małe księżycy roją się na peryferiach, ale na orbicie dominują cztery największe: Ganimedes, Kallisto, Io i Europa, które razem nazywa się Ilionem. Wokół tych księżyców zgromadziły się dwie największe floty w Układzie Słonecznym: flota Władców Księżyców i armada Miecz.

Sevro jest taki zadowolony, że bliski omdlenia. Daję mu wojnę, o jakiej nawet nie wiedział, że jej pragnie.

– Wojna domowa między rodami Bellona i Augustus ujawniła poważniejszy rozłam pomiędzy Rdzeniem i Obrzeżem. Główna flota Octavii, armada Miecz, znajduje się setki milionów kilometrów od jakiegokolwiek wsparcia. Pomijając rozmieszczoną wokół Luny armadę Berło, to najpotężniejsza broń w arsenale Octavii. Suwerenka wysłała naszego dobrego przyjaciela Roque’a au Fabii, żeby przywołał do porządku Władców Księżyców. Roque zniszczył każdą flotę, jaką mu przeciwstawiono, i zmusił Obrzeże do uległości, chociaż miało wsparcie Mustang, Telemarusów i Arcosów. Na pokładach jego okrętów są ponad dwa miliony ludzi. Ponad dziesięć tysięcy Obsydianowych. Dwieście tysięcy Szarych. Trzy tysiące najgroźniejszych zabójców w historii: Niezrównanych Naznaczonych. Pretorzy, legaci, rycerze, dowódcy. Najlepsi Złoci w swoich rocznikach w Instytucie. Tę flotę wzmocniła Antonia au Severus-Julii. To narzędzie strachu, za pomocą którego Suwerenka nagina planety do swojej woli. Ta flota, podobnie jak jej dowódca, nigdy nie została pokonana.

Milknę i czekam, aż moje słowa dotrą do wszystkich, żeby zrozumieli powagę mojej propozycji.

– Za czterdzieści dni zniszczymy armadę Miecz i wyrwiemy bijące serce maszyny wojennej Wspólnoty. – Wyciągam brzytwę ze stołu i odrzucam ją Sevro. – A teraz mogę posłuchać waszych pytań.

Serce

Dancer znajduje mnie zajętego ostatnimi przygotowaniami przed tym, jak z Sevro i Mustang wsiądziemy na prom, który zabierze nas do floty na orbicie. W Tinos panuje wielki ruch. Setki promów i innych środków transportu zebranych przez Dancera i jego dowództwo Synów Aresa wylatują potężnymi tunelami i migrują na biegun południowy, skąd będą dalej przewozić młodych i starych Obsydianowych do bezpiecznych kopalń. Obsydianowi wojownicy trafią natomiast na orbitę, żeby dołączyć do mojej floty. Przez dwadzieścia cztery godziny statki przeniosą osiemset tysięcy ludzi – to największa akcja w historii Synów Aresa. Aż się uśmiecham na myśl, o ile szczęśliwszy byłby Fitchner, gdyby wiedział, że największe przedsięwzięcie jego spuścizny polega na ratowaniu życia zamiast jego odbieraniu.

Kiedy już nie będę musiał osłaniać ewakuacji, ruszę z kopyta w kierunku Jowisza. Dancer i Żywe Srebro zostaną tutaj, żeby kontynuować to, co zaczęli, i utrzymać Szakala na Marsie, dopóki nie przejdziemy do kolejnego etapu planu.

– Niesamowity widok, prawda? – mówi Dancer.

Patrzy na morze niebieskich rozbłysków silników statków przelatujących wśród stalaktytów ku wielkiemu tunelowi w sklepieniu Tinos. Victra stoi obok Sevro na krawędzi otwartego hangaru: dwie ciemne sylwetki przyglądające się, jak nadzieja dwóch ludów odlatuje w ciemność.

– Czerwona Armada rusza na wojnę – wzdycha. – Nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

– Szkoda, że nie ma tu Fitchnera – odpowiadam.

– Fakt, szkoda. – Dancer się krzywi. – Tego chyba najbardziej żałuję: że nie dożył chwili, w której jego syn założył jego hełm. I nie zobaczył, jak stajesz się człowiekiem, którym zawsze miałeś się stać.

– Mianowicie?

Czerwony Wyjec podskakuje dwa razy w grawiButach i startuje z krawędzi hangaru, celując w otwarty właz ładowni przelatującego transportowca.

– Takim, który wierzy w ludzi – odpowiada ostrożnie Dancer.

Odwracam się do niego, zadowolony, że odszukał mnie w tych ostatnich chwilach tutaj, pośród moich ludzi. Nie wiem, czy wrócę. A jeśli tak, to boję się, że będę innym człowiekiem. Człowiekiem, który zdradził jego, naszych ludzi, marzenie Eo. Byłem już w podobnym miejscu. Żegnaliśmy się na lądowisku. Wtedy towarzyszyli mu Harmony i Mickey. To było pożegnanie na iglicy w Yorkton. Czemu z taką melancholią wspominam okropną przeszłość? Może taka już nasza natura: zawsze marzymy o rzeczach, które były albo mogły być, zamiast o takich, które są albo być mogą.

Nadzieja wymaga więcej siły niż pamięć.

– Myślisz, że Władcy Księżyców naprawdę nam pomogą? – pyta Dancer.

– Nie. Cała sztuka polega na tym, żeby pomyśleli, że pomagają sobie. A potem musimy się wynieść, zanim zwrócą się przeciwko nam.

– To ryzykowne, chłopcze, ale ty to lubisz, prawda?

Wzruszam ramionami.

– To także jedyna szansa, jaką mamy.

Za moimi plecami na metalowym pokładzie rozlegają się kroki: Holiday wchodzi po rampie z torbą sprzętu i paroma nowymi Wyjcami. Życie płynie i unosi mnie ze sobą. Minęło prawie siedem lat, odkąd Dancer i ja poznaliśmy się, a ma się wrażenie, że w jego wypadku upłynęło trzydzieści. Ile dekad wojny ma za sobą? Ilu pożegnał przyjaciół, których nigdy nie poznałem i o których nigdy nie napomykał? Ludzi, których kochał tak, jak ja kocham Sevro i Ragnara? Miał kiedyś rodzinę, ale rzadko teraz o niej wspomina.

Wszyscy coś kiedyś mieliśmy. Wszyscy zostaliśmy obrabowani, złamani na swój sposób. Dlatego właśnie Fitchner stworzył tę armię. Nie po to, żeby nas połączyć, ale żeby ratować się przed otchłanią, jaką śmierć żony otworzyła w jego duszy. Potrzebował światła, więc je stworzył. Miłość była jego krzykiem na wietrze. Ze mną jest tak samo.

– Lorn powiedział mi kiedyś, że gdyby był moim ojcem, wychowałby mnie na dobrego człowieka. „Wielcy ludzie nie zaznają spokoju”, powiedział. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Powinienem być go zapytać, kto jego zdaniem zapewnia spokój tym dobrym ludziom.

– Jesteś dobrym człowiekiem – mówi z naciskiem Dancer.

Moje ręce są całe w bliznach. Kiedy zaciskam pięści, knykcie przybierają znajomy odcień bieli.

– Tak? – Szczęzę zęby w uśmiechu. – To dlaczego tak bardzo chcę robić złe rzeczy?

Dancer reaguje śmiechem. Zaskakuję go, biorąc go w objęcia. Obejmuje mnie zdrową ręką na wysokości bioder. Głowę ledwie sięga mi do piersi.

– Sevro może i nosi hełm, ale ty jesteś sercem tego wszystkiego – mówię mu. – Zawsze byłeś. Skromność nie pozwala ci tego dostrzec, ale jesteś równie wielki jak sam Ares. I jakimś cudem nadal jesteś dobrym człowiekiem. W przeciwieństwie do tego parszywego szurzego łajdaka. – Odsuwam się i uderzam go w pierś. – Kocham cię. Żebyś nie miał wątpliwości.

– Psiajucha – mruczy. Łzy napływają mu do oczu. – Myślałem, że jesteś zabójcą. Zaczynasz mi tu mięknąć?

– Nigdy w życiu – odpowiadam i mrugam porozumiewawczo.

Odpycha mnie.

– Idź pożegnać się z matką, zanim odleczysz.

* * *

Zostawiam go, żeby pokrzyczał na grupę Synów Aresa, i zanurzam się w ciżbę. Po drodze przybijam żółwika z Pestką, którą Brzydał pcha na wózku inwalidzkim po rampie, wymieniam saluty ze znajomymi Synami Aresa, odkrzykuję jakieś bzdury do stryja Narola, który prowadzi oddział Żmij Jaskiniowych. Ich zadaniem jest sabotaż wymierzony przeciwko antenom komunikacyjnym Szakala w głębokim kosmosie. Moja matka i Mustang przerywają nagle rozmowę, kiedy się przy nich zjawiam. Obie sprawiają wrażenie nieszczęśliwych.

– Co się stało?

– Tylko się żegnałam – mówi Mustang.

Matka podchodzi do mnie.

– Dio przywiozła to z Lykos. – Otwiera małe plastikowe pudełko i pokazuje mi ziemię w środku. Uśmiecha się do mnie. – Polecisz w noc, a kiedy wokół zapadnie ciemność, będziesz pamiętał, kim jesteś. Będziesz pamiętał, że nigdy nie jesteś sam. Są z tobą nadzieje i marzenia naszych ludzi. Pamiętaj o domu. – Pociąga mnie w dół, żeby ucałować w czoło. – Pamiętaj, że jesteś kochany.

Obejmuję ją mocno, a kiedy się odzywam, widzę łzy w jej oczach:

– Nic mi nie będzie, mamó.

– Wiem. Wiem, że myślisz, że nie zasługujesz na szczęście – mówi. – Ale zasługujesz, synu. Zasługujesz bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Rób więc to, co musisz, a potem wracaj do domu. – Bierze za rękę mnie i Mustang. – Oboje wracajcie. A potem zacznijcie żyć.

Odchodzę, skonsternowany i poruszony.

– Co tam się stało? – pytam Mustang.

Ona patrzy na mnie, jakbym powinien wiedzieć.

– Boi się.

– Dlaczego?

– Jest twoją matką.

Wchodzimy po rampie razem z Sevro i Victrą, którzy dołączają do nas po drodze.

– Piekłonurku...! – woła Dancer, zanim dojdziemy do końca.

Odwracam się i widzę, jak sękaty mężczyzna unosi pięść w powietrze. Za nim patrzą wszyscy w stalaktytowym hangarze, setki pracowników w zmechanizowanych wagonikach załadunkowych, piloci, Niebiescy, Czerwoni i Zieloni na rampach swoich statków i na drabinach dostawionych do kokpitów, z hełmami w rękach, plutony Szarych, Czerwonych i Obsydianowych stojących ramię w ramię w rynsztunku bojowym, z zapasami jedzenia, z symbolem sierpaka wymalowanym na twarzach albo przyszytym do mundurów, wsiadających do promów, które zabiorą ich do mojej floty. Wszystko to mieszkańcy Marsa, walczący o coś większego niż oni sami. Walczący w obronie swojej planety. Swoich ludzi. Czuję ciężar ich miłości. Czuję nadzieję tych wszystkich zniewolonych ludzi, którzy patrzyli, jak Synowie Aresa powstali i zajęli Fobosa. Obiecaliśmy im coś i teraz musimy dotrzymać obietnicy. Jeden po drugim ludzie z mojej armii unoszą pięści, tak jak Eo, która najpierw trzymała w dłoni hemantus, a potem padła przed Augustusem. Morze zaciśniętych pięści.

Przebiega mnie dreszcz, kiedy Sevro, Victra, Mustang i nawet moja matka unoszą zgodnie ręce.

– Zerwij okowy! – ryczy Dancer.

Unoszę własną pobliźnioną pięść i bez słowa wchodzę do promu, żeby dołączyć do Czerwonej Armady, która pożegluje na wojnę.

Morze Żółte

Morze Żółte na Io chlupocze wokół moich butów. Potężne wydmy wymieszanego z siarką piasku przetykane ostrymi jak brzytwy grzbietami krzemianowych skał ciągną się, jak okiem sięgnąć. Na stalowoniebieskim niebie faluje marmurowa powierzchnia Jowisza. Ma sto trzydzieści razy większą średnicę niż Luna widziana z Ziemi; przypomina ogromną głowę złowrogiego marmurowego boga. Wojna ogarnęła sześćdziesiąt siedem księżyców. Miasta kryją się pod tarczami impulsowymi. Poczerniałe skorupy ludzi w astroPancerzach zaśmiecają księżyc, a eskadry myśliwców walczą między sobą i polują na żołnierzy i transporty zaopatrzeniowe wśród delikatnych lodowych pierścieni okalających głowę gazowego olbrzyma.

To imponujący widok.

Stoję na wydmie obok Sefi, otoczony przez pięć Walkirii w czarnych zbrojach impulsowych, i czekam na prom Władcy Księżyca. Obok stoi nasz okręt szturmowy, jego silniki pracują na jałowym biegu. Ma kształt rekina-młota. Jest ciemnoszary. Walkirie i Czerwoni dokerzy pomalowali mu dziób podczas lotu z Marsa – zafundowali mu dwa wybałuszone niebieskie ślepia i rozwartą paszczę z zakrwawionymi zębiskami. Między jego oczami leży wyciągnięta Holiday z karabinem snajperskim i przepatruje skały na południu.

– Macie coś? – pytam głosem trzeszczącym spod maski tlenowej.

– Nic – odpowiada przez system łączności Sevro.

On i Błazen przeprowadzają zwiad w dwóch osiedlach dwa kilometry dalej, korzystając z grawiButów. Nie widzę ich gołym okiem. Bawię się nerwowo sierpakiem.

– Przylecą – mówię. – Mustang ustaliła miejsce i czas.

Io to dziwny księżyc, minimalnie większy od Luny, choć zarazem najmniejszy i krążący najbliżej planety z całej Galileuszowej czwórki. Nigdy nie była jej przeznaczona całkowita transformacja przy pomocy maszynierii

Złotych. To piekło, z którego Dante byłby dumny, najsuchszy obiekt w całym Układzie Słonecznym, wstrząsany gwałtownymi aktywnościami wulkanicznymi, obfitujący w siarkowe złogi, prażony grzaniem pływowym. Jej powierzchnię stanowią żółte i pomarańczowe równiny poprzecinane potężnymi uskokami wywoływanymi przez ruchy skorupy. Dramatyczne pionowe urwiska wznoszą się z siarkowych wydm pod niebo.

Potężne plamy koncentrycznej zieleni upstrzyły jej równikowe regiony. Ponieważ trudno tak daleko od słońca hodować rośliny i zwierzęta, Korporacja Inżynierska Wspólnoty pokryła miliony akrów powierzchni Io polem impulsowym, przez trzy pokolenia zwoziła kosmofrachtownicami ziemię i wodę, pogrubiała atmosferę, żeby osłonić księżyc przed potężnym promieniowaniem Jowisza, i wykorzystwała grzanie pływowe do zasilania potężnych generatorów. Dzięki temu uprawianej na Io żywności wystarcza dla wszystkich satelitów Jowisza, na eksport do Rdzenia, a także, co ważniejsze, na eksport na Obrzeże. Księżyc – z przyjemnym ciężeniem i tanią ziemią – stał się wielką farmą i największym spichlerzem pomiędzy Marsem i Uranem.

Zgadnijcie, kto odwalił tu całą czarną robotę.

Po drugiej stronie pól impulsowych od bieguna do bieguna ciągnie się Morze Siarkowe, przerywane tylko wulkanami i jeziorami magmy.

Może mi się nie podobać Io, ale szanuję tutejszych mieszkańców. Nie przypominają ludzi z Ziemi, Luny, Merkurego czy Wenus. Są twardsi, bardziej gibcy, mają bladą skórę i nieco większe oczy, żeby absorbować słabe światło z odległego o sześćset milionów kilometrów słońca. Są także wyżsi i bardziej odporni na wyższe dawki promieniowania. Uważają się za najbardziej podobnych do Żelaznych Złotych, którzy podbili Ziemię i po raz pierwszy w jej historii zaprowadzili pokój.

Nie powinienem był ubierać się dziś na czarno: rękawiczki, peleryna, kurtka pod spodem. Myślałem, że wyląduję na dalszej od Jowisza stronie Io, gdzie powierzchnię pokrywają pola śniegu z dwutlenku siarki. Jednakże grupa operacyjna Władcy Księżyca w ostatniej chwili zażądała nowego miejsca spotkania i tak oto wylądowaliśmy na brzegu Morza Siarkowego. Temperatura wynosi 120 stopni Celsjusza.

Sefi podchodzi i staje obok mnie, przepatrując żółty horyzont optyką. Ona i jej Walkirie szybko zaznajomiły się z nowym sprzętem wojskowym, dniem i nocą uczyły się i trenowały z Holiday podczas trwającej półtora

miesiąca podróży na Jowisza. Ćwiczyły abordaż i taktykę stosowania broni energetycznej, a także język gestów wykorzystywany przez Szarych.

– Jak znosisz upał? – pytam.

– Dziwne uczucie – odpowiada. Czuje ciepło tylko na twarzy. Reszta ciała korzysta z systemu chłodzącego zbroi. – Dlaczego ludzie chcieliby tu mieszkać?

– Mieszkamy wszędzie, gdzie tylko się da.

– Ale Złoci mogą wybierać, prawda?

– Prawda.

– Wystrzegajabym się ludzi, którzy wybierają sobie taki dom. Tutejsze duchy są okrutne.

Piach wzbija się na wietrze przy niskiej grawitacji i opada falującymi kolumnami. Mustang uważa, że to na Sefi powinienem uważać. Podczas podróży na Jowisza olbrzymka obejrzała setki holoWizuali. Studiowała naszą historię. Monitoruję aktywność na jej terminalu. Mustang nie martwi to, że Sefi ma słabość do filmów i holoDoświadczeń z lasów deszczowych, tylko to, że niezliczone godziny poświęciła oglądaniu nagrań z wojen, zwłaszcza ze zniszczenia Rei bombami atomowymi. Zastanawiam się, co na ten temat myśli.

– Słuszna uwaga, Sefi – odpowiadam. – Słuszna uwaga.

Sevro ląduje przed nami teatralnie, obsypując nas piaskiem. Wyłącza widmoPłaszcz.

– Parszywa dziura.

Poirytowany otrzepuję twarz. Przez całą podróż Sevro zachowywał się niepoprawnie. Śmiał się, robił kawały, wymykał się do pokoju Victry, kiedy tylko myślał, że nikt nie patrzy. Mała paskuda jest zakochana. I wygląda na to, że z wzajemnością.

– Co myślisz? – pytam.

– Wszędzie tu cuchnie pierdami.

– To twoja zawodowa ocena? – pyta przez system łączności Holiday.

– Owszem. Za tym grzbietem jest osiedle Waygarów. – Wiatr tarmosi wilczą pelerynę Sevro i podzwania małymi łańcuszkami, które łączą ją ze zbroją. – Banda garbatych Czerwonych z wytrzeszczem instaluje destylarnię.

– Przeskanowałeś piach?

– To nie mój pierwszy raz, szefie. Nie podoba mi się to spotkanie twarzą w twarz, ale teren wygląda na czysty. – Zerka na swój terminal. – Podobno

Księżyki są punktualne. A te kutasy spóźniają się już pół godziny.

– Pewnie są ostrożni. Widocznie myślą, że mamy osłonę z powietrza.

– Jasne, bo musielibyśmy mieć gówno zamiast mózgów, żeby zjawić się bez niej.

– Potwierdzam – odzywa się przez radio Holiday.

– Po co mi osłona z powietrza, kiedy mam ciebie? – mówię, wskazując Sevro w grawiButach.

Za nim na ziemi stoi plastikowa szara skrzynka. Wewnątrz leży w piance wyrzutnia rakiet typu sarisa, ta sama, którą Ragnar zestrzelił statek Cassiusa. W razie potrzeby mam na podorędziu psychopatyczny myśliwiec odrzutowy wielkości goblina.

– Mustang powiedziała, że przylecą – przypominam.

– „Mustang powiedziała, że przylecą” – przedrzeźnia mnie Sevro dziecinnym głosem. – No mam nadzieję, bo flota nie może za długo czaić się tutaj niezauważona.

Moja flota pod dowództwem Orion czeka na orbicie, odkąd Mustang poleciała promem do Nessosa, stolicy Io. Pięćdziesiąt dewastatorów i niszczycieli z wyłączonymi tarczami i silnikami kryje się na jałowym księżycu Sinope, podczas gdy większe floty Złotych suną przez kosmos, zbliżając się do księżyców Galileuszowych. Jeśli zbliżą się jeszcze bardziej, ich czujniki nas wychwycą. Dopóki zaś moja flota się ukrywa, jest narażona na atak. Wystarczy jeden przelot nędznej eskadry myśliwców, żeby ją zniszczyć.

– Przylecą – upieram się.

Ale wcale nie jestem tego pewien.

Jowiszowi Złoci to zimni, dumni i skryci ludzie. Około ośmiu tysięcy Niezrównanych Naznaczonych wywodzi się z księżyców Galileuszowych. Wszędzie tu mają swoje Instytuty. I tylko służba dla Wspólnoty albo – w przypadku najbogatszych – wakacje mogą ich zawieść do Rdzenia. Luna może i jest siedzibą ich przodków, ale dla nich to obce miejsce. Metropolitalny Ganimedes jest centrum ich świata.

Suwerenka wie, jakim zagrożeniem byłoby niezależne Obrzeże. Mówiła mi, jak trudno jest narzucić swoją wolę światom odległym o miliardy kilometrów. Nigdy tak naprawdę nie obawiała się tego, że rody Augustus i Bellona zniszczą się wzajemnie, ale strachem napawała ją perspektywa buntu Obrzeża, które przecięłoby Wspólnotę na pół. Sześćdziesiąt lat temu, na początku swoich rządów, wysłała Pana Popiołów, żeby zbombardował księ-

życ Saturna, Reę, kiedy jej władca nie zechciał uznać władzy Octavii. Ten przykład trzymał ludzi w ryzach przez sześć dekad.

Jednakże dziewięć dni po moim Triumfie dzieci Władców Księżyców, przetrzymywane na dworze Suwerenki jako gwarancja politycznej współpracy ich rodziców, uciekły. Pomogli im szpiedzy, których Mustang zostawiła za sobą w Cytadeli. Dwa dni później następcy arcygubernatora Revusa au Raa, który został zabity podczas mojego Triumfu, ukradli – a czego nie zdołali ukraść, to zniszczyli – cały garnizon Floty Wspólnoty, która cumowała na Kallisto. Ogłosili niepodległość Io i skłonili ludniejsze i potężniejsze księżyce, żeby do nich dołączyły.

Niedługo po tym słynący z charyzmy Romulus au Raa został wybrany na Suwerena Obrzeża. Saturn i Uran wkrótce dołączyły i tak zaczęła się Druga Rebelia Księżycowa, sześćdziesiąt lat i dwieście jedenaście dni po pierwszej.

Władcy Księżyców ewidentnie spodziewali się, że Suwerenka uwikła się w problemy na Marsie na całą dekadę, może dłużej. Jeżeli dodać do tego nieuniknioną rebelię podKolorów w Rdzeniu, łatwo się zorientować, dlaczego zakładali, że nie zdoła zebrać dostatecznych zasobów, by wysłać stosownie dużą flotę sześćset milionów kilometrów od Luny i zdławić rodzący się bunt. Mylili się.

– Ktoś się zbliża – melduje Pestka ze swojego posterunku przy czujnikach promu. – Trzy jednostki. Dwa i dziewięć dziesiątych kilometra od nas.

– Nareszcie – mruczy Sevro. – Parszywe Księżyki.

Trzy okręty wojenne wyłaniają się z drżącego od upału powietrza na horyzoncie. Dwa myśliwce klasy Sarpedon z namalowanym czterogłowym białym smokiem rodu Raa ściskającym w szponach błyskawicę Jowisza eskortują zwalisty, beżowy prom klasy Priam. Statki lądują przed nami. Pył wiruje, rampa się rozkłada. Siedem gibkich postaci, wyższych i smuklejszych ode mnie, schodzi na piasek. Sami Złoci. Noszą *kryll*, organiczne maski tlenowe tworzone przez Rzeźbiarzy: nakłada się je na nos i usta, a wyglądają jak wylinka szarańczy, której nogi sięgają w bok ku uszom. Płowe stroje bojowe są lżejsze od zbroi noszonych w Rdzeniu i wzbogacone kolorowymi chustami. Na plecach przybysze mają długolufowe karabiny EM z robionymi na indywidualne zamówienie kolbami z kości słoniowej. U bioder noszą brzytwy. Pomarańczowa optyka zasłania im oczy. Na nogach mają sprinty – lekkie buty, które wykorzystują sprężone powietrze, żeby ułatwić poruszanie się. Dzięki temu suną po ziemi jak kaczki pusz-

czane na jeziorze. Sprinty nie uniosą większego ciężaru, ale można poruszać się w nich z prędkością niemal sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wąż jakąś jedną czwartą tego co moje buty, a zasilają je baterie, które wytrzymują rok. Poza tym są kompletnie zimne i niewidoczne dla termowizji.

To zabójcy, a nie rycerze. Holiday rozpoznaje ten inny rodzaj zagrożenia.

– Nie ma jej z nimi – mówi przez radio. – Widzisz któregoś z Telemanusów?

– Nie – odpowiadam. – Czekaj, widzę ją.

Mustang wysiada z pojazdu, dołączając do znacznie wyższych Iończyków. Jest ubrana tak jak oni, tyle że nie nosi karabinu. Kiedy wchodzi do nas na wydmnę, towarzyszy jej mieszkanka Io o ramionach przygarbionych jak u geparda. Reszta Iończyków zostaje w pobliżu statku. To nie groźba, to tylko obstawa.

– Darrow – odzywa się Mustang – przepraszam za spóźnienie.

– Gdzie Romulus?

– Nie przyleci.

– Niech to szlag – warczy Sevro. – Mówiłem ci, Żniwiarz.

– Sevro, wszystko w porządku – uspokaja go Mustang. – To jest jego siostra, Vela.

Wysoka kobieta patrzy na nas z góry. Ma spłaszczony po złamaniu nos, jasną skórę i ciało przystosowane do niskiego ciężenia. Trudno przyjrzeć się jej twarzy z powodu maski i gogli, ale wygląda, jakby była nieco po pięćdziesiątce. Głos ma zupełnie monotony.

– Przekazuję słowa powitania i pozdrowienia od mojego brata, Darrowie z Marsa. Jestem legatka Vela au Raa.

Sefi okrąża nas chyłkiem, przyglądając się obcej Złotej i jej dziwnemu rynsztunkowi. Lubię sposób, w jaki ludzie mówią, kiedy Sefi wokół nich krąży. Sprawiają wrażenie nieco bardziej szczerych.

– Miło cię spotkać, *legatus*. – Kiwam życzliwie głową. – Będiesz mówić w imieniu brata? Miałem nadzieję osobiście przedstawić mu swoją sprawę.

Skóra z boków gogli się marszczy.

– Nikt nie mówi w imieniu mojego brata, nawet ja. Zaprasza cię do swojego prywatnego domu na Pustkowie Karrack.

– Chce nas zwabić w pułapkę? – pyta Sevro. – Mam lepszy pomysł. Może powiesz swojemu sukinbratu, żeby dotrzymywał danego słowa, zanim wezmę ten karabin i wepchnę ci go w tyłek tak głęboko, że będziesz wyglądać jak wychudzony szaszłyk z Piksa?

– Sevro, przestań – mówi Mustang. – Nie tutaj, nie z tymi ludźmi.

Vela patrzy na krążącą wokół niej Sefi. Zauważa brzytwę na biodrze potężnej Obsydianowej.

– Mam serdecznie w dupie to, kim ona jest. Wie, kim my jesteśmy. I jeśli nie sika po nogach, stojąc twarzą w twarz ze Żniwiarzem z Marsa, to ma mniej rozumu niż kłaczek między półdupkami.

– On nie może z nami lecieć – mówi Vela. Ma na myśli Sevro.

– To zrozumiałe – odpowiadam.

Sevro wykonuje groteskowy gest.

– Co to? – pyta Vela, kiwając głową na Sefi.

– To królowa – odpowiadam. – Siostra Ragnar Volarusa.

Vela patrzy nieufnie na Sefi. Całkiem słusznie. Ragnar to znane imię.

– Ona także nie może nam towarzyszyć, ale mówiłam o tym żelastwie, którym tu przylecieliście. To ma być statek? – Prycha i zadziera nos. – Widać, że zbudowano go na Wenus.

– Pożyczony – odpowiadam. – Jeśli jednak chcesz się wymienić...

Vela zaskakuje mnie śmiechem, zanim znowu poważnieje.

– Jeżeli chcecie wystąpić przed Władcami Księżyców jako posłańcy dyplomatyczni, to musicie okazać szacunek mojemu bratu. I zaufać jego honorowi jako gospodarza.

– Widziałem dość mężczyzn i kobiet, którzy zapominali o honorze, kiedy tak było wygodniej – odpowiadam, badając teren.

– W Rdzeniu to możliwe, ale to jest Obrzeże. My pamiętamy naszych przodków. Pamiętamy, jacy powinni być Żelaźni Złoci. Nie mordujemy gości jak ta suka z Luny. Albo jak Szakał z Marsa.

– Mimo wszystko.

Wzrusza ramionami.

– Musisz sam dokonać wyboru, Żniwiarzu. Masz sześćdziesiąt sekund na decyzję.

Odsuwa się, żebym mógł się naradzić z Mustang i Sevro.

– Jakież uwagi?

– Romulus prędzej umrze, niż zabije gościa – twierdzi Mustang. – Wiem, że nie masz powodu, żeby ufać tym ludziom, ale dla nich honor

naprawdę coś znaczy. To co innego niż rodzina Bellona, która tylko lubiała szastać tym słowem na prawo i lewo. Tutaj słowo dane przez Złotego znaczy tyle, co jego własna krew.

– Wiesz, gdzie jest jego rezydencja?

Kręci głową.

– Gdybym wiedziała, sama bym cię tam zawiozła. Mają na pokładzie sprzęt do wyszukiwania lokalizatorów elektronicznych i promieniotwórczych. Sprawdzili was. Będziemy zdani na siebie.

– Cudownie.

To jednak nie chodzi o wybiegi. To nie jest krótkoterminowa rozgrywka. Przylatując na Obrzeże, cały swój plan oparłem na fakcie, że dysponuję czymś, czego nie ma Suwerenka, a co mogę wykorzystać jako punkt naciśku. To lepsza gwarancja zachowania głowy na karku niż czyjkolwiek honor. Jednakże zdarzało mi się już mylić, więc teraz wolę mieć pewność. Słucham.

– Czy zasady dotyczące traktowania gości dotyczą także Czerwonych? – pyta Sevro. – Czy tylko Złotych? Tego się musimy dowiedzieć.

Zerkam na Velę.

– Słuszna uwaga.

– Jeśli Romulus zabije ciebie, zabije i mnie – mówi Mustang. – Nie odstąpię cię na krok. A jeżeli to zrobi, moi ludzie zwrócą się przeciwko niemu. Telemanusowie zwrócą się przeciwko niemu. Nawet synowe Lorna. To prawie jedna trzecia jego floty. Nie stać go na taką krwawą waśń.

– Sefi, co o tym sądzisz?

Zamyka oczy, żeby jej niebieskie tatuaże dostrzegły duchy tego pustkowi.

– Leć.

– Daj nam sześć godzin, Sevro. Jeśli nie wrócimy przez ten czas...

– Mam iść walić konia w krzakach?

– Obróć wszystko w perzynę.

– Załatwione. – Przybija ze mną żółwika i mruga porozumiewawczo. – Udanych negocjacji, dzieciaki. – Podsuwa Mustang pięść. – Tobie też życzę powodzenia, konisiu. Razem siedzimy w tym gównie, nie?

Mustang ochoczo przybija żółwika.

– Jasne, psiajucha.

Władca Księżyca

Dom najpotężniejszego człowieka na księżycach Galileuszowych jest ascetycznie urządzonym labiryntem małych ogrodów i cichych zakątków. Stoi w cieniu uszpiętego wulkanu i rozciąga się z niego widok na żółtą równinę, która sięga po horyzont, gdzie kolejny wulkan tli się i magma wypływa z niego na zachód. Lądujemy w małym osłoniętym hangarze wykutym w skalnej ścianie. Znajduje się w nim jeszcze tylko jeden inny statek – czarna, elegancka maszyna wyścigowa – Orion dałaby się pokroić, żeby móc się nią przelecieć. Stoi obok rzędu kilku pokrytych pyłem lotocykli. Nikt nie przychodzi, żeby zająć się naszym statkiem, kiedy wysiadamy, i długim chodnikiem z białego kamienia ułożonym na siarkowym pyłe ruszamy w stronę domu. Chodnik zakręca ku bocznej ścianie budynku. Całą niewielką posiadłość osłania dyskretna kopuła pola impulsowego.

Nasza obstawa odpręża się na terenie rezydencji. Wchodzi przed nami przez żelazną furtkę na trawiasty dziedziniec i dalej, w kierunku domu. Wszyscy zdejmują oblepione pyłem sprinty i odstawiają je przed wejściem obok pary czarnych wojskowych butów. Mustang i ja patrzymy po sobie i robimy to samo. Ja potrzebuję najwięcej czasu, muszę ściągnąć masywne grawiButy, z których każdy waży prawie dziewięć kilo i ma trzy równoległe zatrzaski trzymające nogę w środku. To niesłychanie kojące – poczuć trawę pod palcami. Zauważam, że stopy mi śmierzdzą. Wygląda to przedziwnie: buty tuzina wrogów ustawione przy drzwiach. Jakbym wtargnął na jakieś niezwykle prywatne spotkanie.

– Poczekaj tu, proszę – mówi do mnie Vela. – Virginio, Romulus chce najpierw porozmawiać z tobą na osobności.

– Będę krzyczeć, jeśli zagrozi mi niebezpieczeństwo – mówię z szerokim uśmiechem.

Mustang się waha, ale w końcu mruga do mnie i odchodzi za Velą, która zauważa subtelność naszego zachowania. Mam wrażenie, że niewiele

umyka jej uwadze, a jeszcze mniej nie podlega jej ocenie. Zostaje sam w ogrodzie w towarzystwie melodii dzwonek wietrznych wiszących na drzewie. Dziedziniec stanowi idealny prostokąt. Ma ze trzydzieści kroków długości i jakieś dziesięć szerokości, licząc od furki wejściowej do drobnych białych schodków przed głównym wejściem do domu. Otynkowane na biało ściany są gładkie i pokryte cienkimi pnączami, które zapuszczają się do wnętrza. Wyrastające z nich drobne pomarańczowe kwiaty napełniają powietrze intensywnym leśnym zapachem.

Dom jest bardzo rozległy, pokoje i ogrody otwierają się jeden za drugim. Nie ma dachu, ale też go nie potrzebuje: kopuła impulsowa odgradza rezydencję od kaprysów pogody. Mieszkańcy sami robią sobie deszcz. Drobne zraszacze ociekają wodą po porannym podlewaniu małych cytrusowych drzewek, których korzenie strzaskały dno białej kamiennej fontanny pośrodku ogrodu.

Jedno spojrzenie na miejsce podobne do tego sprawiło, że moja żona trafiła na szubienicę.

Ta podróż musiałaby jej się wydać nadzwyczaj osobliwa. A zarazem cudowna.

– Możesz zjeść mandarynkę, jeśli masz ochotę – rozlega się głosik za moimi plecami. – Ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu.

Odwracam się do dziewczynki stojącej przy kolejnej furcie prowadzącej z głównego dziedzińca na ścieżkę, która wiję się na lewo od domu. Wygląda na jakieś osiem lat. Trzyma w ręku małą łopatkę, kolana jej spodni są brudne od ziemi. Włosy ma krótko obcięte i potargane, twarz bladą, oczy o jedną trzecią większe niż jakakolwiek dziewczynka na Marsie. Widać delikatność jej długich kości – jak u świeżo narodzonego żrebaka. Jest w niej dzikość. Nie poznałem wielu Żółtych dzieci. Rodziny Niezrównanych w Rdzeniu często chronią je przed okiem publicznym z obawy przed próbą zamachu na ich życie; trzymają je w prywatnych rezydencjach lub szkołach. Słyszałem, że Obrzeże jest inne. Tu nie zabija się dzieci.

Tyle że wszyscy lubią udawać, że nie zabijają dzieci.

– Cześć – mówię uprzejmie niezręcznym, kruchym tonem, jakiego nie używałem, odkąd widziałem potomstwo mojego brata i siostry. Kocham dzieci, ale ostatnimi czasy czuję, że jestem im zupełnie obcy.

– Jesteś Marsjaninem, prawda? – pyta dziewczynka. Pozostaje wyraźnie pod wrażeniem.

– Nazywam się Darrow – odpowiadam, kiwając głową. – A jak ty masz na imię?

– Jestem Sera au Raa – mówi z dumą. – Naprawdę byłeś Czerwonym? Słyszałam, że ojciec tak mówił – wyjaśnia. – Myślę, że tylko dlatego, że nie mam tego... – przesuwam palcem po policzku, kreśląc wyimaginowaną bliznę – ...nie mam też uszu. – Kiwa głową na pokryte pnączami ściany i uśmiecha się szelmowsko. – Czasem się wspinam.

– Nadal jestem Czerwonym. Nie przestałem nim być.

– Aha. Nie wyglądasz jak Czerwony.

Musi nie oglądać hP, skoro nie wie, kim jestem.

– Może nie chodzi o to, jak wyglądam – sugeruję. – Może raczej o to, co robię.

Czy to za mądre słowa dla sześciolatki? Do diabła, nie mam pojęcia. Krzywi się zde gustowana i obawiam się, że popełniłem błąd.

– Poznałaś wielu Czerwonych, Sero?

Kręci głową.

– Widziałam ich tylko podczas nauki. Ojciec mówi, że nie należy się z nimi zadawać.

– Nie masz służących?

Chichocze, zanim orientuje się, że pytam poważnie.

– Służących? Ale ja jeszcze nie zapracowałam na służących. – Znowu dotyka twarzy. – Na razie.

Chmurzę się na myśl o tej dziewczynce uciekającej na złamanie karku przez las, żeby przeżyć w Instytucie. A może to ona będzie kogoś goniła?

– I nigdy na nich nie zapracujesz, jeśli nie zostawisz naszego gościa w spokoju, Seraphino – dobiega niski, chropawy głos od strony głównego wejścia.

Romulus au Raa opiera się o framugę drzwi. To człowiek pogodny i zarazem wojowniczy. Mojego wzrostu, ale chudszy. Dwa razy złamano mu nos. Prawe oko, o jedną trzecią większe od mojego, jest osadzone w wąskiej, gniewnej twarzy. Na lewej powiece widnieje blizna. Z tego oczodołu patrzy na mnie gładka kula czarnoniebieskiego marmuru. Pełne usta ma ściągnięte, na górnej wardze widać trzy kolejne blizny. Długie ciemnozłote włosy wiąże w kucyk. Jeśli pominąć stare blizny, jego skóra jest idealnie gładka, jak porcelana. Jednakże tego człowieka określa nie tyle sam wygląd, co raczej wrażenie, jakie wywiera. Wyczuwam jego opanowanie. Spokojną pewność siebie, jakby zawsze stał w tych drzwiach. Jakby od

zawsze mnie znał. To zdumiewające, jak bardziej go lubię od chwili, kiedy mruga porozumiewawczo do córki. I jak bardzo chcę, żeby polubił mnie, chociaż słyszałem, że jest tyranem.

– Co więc myślisz o naszym Marsjaninie? – pyta córkę.

– Jest zwalisty – mówi Seraphina. – Większy od ciebie.

– Ale nie tak wielki jak Telemachus.

Sera krzyżuje ręce na piersi.

– Nikt nie jest tak wielki jak Telemachus.

Śmieję się.

– Gdyby tylko to była prawda. Znałem mężczyznę, który był prawie tak wielki dla mnie, jak ja jestem dla ciebie.

– Nie! – sapie dziewczynka, wytrzeszczając oczy. – Obsydianowy?

Kiwam głową.

– Nazywał się Ragnar Volarus. Był Splamionym i księciem plemienia Obsydianowych z południowego bieguna Marsa. Tamtejsi ludzie nazywają siebie Walkiriami. Władają nimi kobiety, które latają na gryfach. – Patrzę na Romulusa. – Jego siostra jest ze mną.

– Latają na gryfach? – Ta myśl oszałamia dziewczynkę. Jeszcze nie doszła do tego podczas nauki. – Gdzie on jest teraz?

– Umarł i wystrzeliliśmy jego prochy w słońce, kiedy lecieliśmy z wizytą do twojego taty.

– Rety, przykro mi... – mówi z nieskrywaną życzliwością, którą chyba tylko dzieci zdołały zachować. – To dlatego wydajesz się taki smutny?

Wzdragam się; nie miałem pojęcia, że to tak oczywiste. Romulus zauważył to i oszczędza mi dalszych wyjaśnień.

– Seraphino, wujek cię szuka. Pomidory się same nie zasadzą. Prawda?

Dziewczynka pochyła głowę i macha mi na pożegnanie, zanim odejdzie ścieżką. Patrzę, jak znika, i ponieważ dociera do mnie, że moje dziecko byłoby teraz w jej wieku.

– Zaaranżowałeś to? – pytam Romulusa.

Wchodzi do ogrodu.

– A uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że nie?

– Ostatnio nieszczególnie wierzę ludziom.

– To ci pozwoli zachować życie, chociaż nie będzie ono szczęśliwe – odpowiada z powagą.

Jego głos to oschłe *staccato* człowieka, który wychowywał się w akademiach gladiatorских. Nie ma w nim żadnej afektacji, wymrukiwanych

zniewag ani gierek. Taka bezpośredniość to miła odmiana, nawet jeśli jest nieco odstręczająca.

– To było schronienie mojego ojca, a wcześniej jego ojca – mówi dalej, wskazując gestem, żebym usiadł na jednej z kamiennych ławek. – Uznałem je za stosowne miejsce do rozmowy o przyszłości mojej rodziny. – Zrywa mandarynkę z drzewa i siada na ławce naprzeciwko. – I twojej także.

– Można mieć wątpliwości, czy to było warte aż tak dużego wysiłku.

– Co masz na myśli?

– Drzewa, ziemia, trawa, woda... To nie jest miejsce dla żadnej z tych rzeczy.

– Człowiekowi nigdy nie było przeznaczone ujarzmienie ognia. I w tym tkwi całe jego piękno – odpowiada wyzywająco. – Ten księżyc to mały, nienawistny potwór. A jednak dzięki naszej pomysłowości, dzięki sile woli należy dziś do nas.

– A może tylko zagościliśmy tu przelotnie?

Grozi mi palcem.

– Nigdy nie przypisywano ci mądrości.

– To nie mądrość – poprawiam go. – Nauczono mnie pokory. To otrzeźwiający doświadczenie.

– Cela naprawdę istniała? – pyta Romulus. – W ubiegłym miesiącu doszły nas plotki.

– Istniała.

– Zachowanie godne pożałowania – mówi z pogardą – ale mówi wiele o twoim wrogu.

Jego córka zostawiła małe ślady z błota na kamiennej ścieżce.

– Nie wiedziała, kim jestem.

Romulus skupia się na obieraniu mandarynki. Skórka tworzy delikatne wstążeczki. Jest zadowolony, że zwróciłem uwagę na jego córkę.

– Żadne dziecko w mojej rodzinie nie ogląda hP przed dwunastym rokiem życia. Każdego z nas kształtuje natura i wychowanie. Może poznać opinie innych, kiedy wyrobi sobie własne, nie wcześniej. Nie jesteśmy istotami cyfrowymi. Jesteśmy bytami z krwi i kości. Lepiej, żeby się tego nauczyła, zanim świat ją odnajdzie.

– Dlaczego nie ma tu służby?

– Mamy służących, ale wolę, żeby nie widzieli cię tu dzisiaj. I nie należą do niej. Jaki rodzic chciałby, żeby jego dziecko miało służących? – pyta zniesmaczony tym pomysłem. – Gdy tylko dziecko uzna, że coś mu się

należy, zaczyna myśleć, że zasługuje na wszystko. Jak myślisz, dlaczego Rdzeń to taki Babilon? Bo tam nigdy nie słyszeli słowa „nie”. Spójrz na Instytut, do którego wstąpiłeś. Zniewolenie seksualne, morderstwo, kanibalizm na Złotych towarzyszach? – Kręci głową. – Barbarzyństwo. Nie tego chcieli nasi przodkowie. Jednakże mieszkańcy Rdzenia tak się znieczulili na przemoc, że zapomnieli, iż ma ona swój cel. Przemoc to narzędzie. Ma szokować. Zmieniać. A oni czynią ją czymś normalnym i ją wysławiają. Tworzą kulturę opartą na wyzysku, w której ich zdaniem seks i władza do tego stopnia im się należą, że gdy ktoś im odmówi, wyciągają miecz i robią, co zechcą.

– I to samo zrobili z twoimi ludźmi.

– I to samo zrobili z moimi ludźmi – powtarza. – I to samo my robimy z twoimi. – Kończy obierać mandarynkę, chociaż teraz mam wrażenie, że raczej ją skalpuje. Rozrywa ją makabrycznie na dwoje i rzuca mi połówkę. – Nie będę idealizować tego, czym jestem. Ani usprawiedliwiać tyranizowania twoich ludzi. To, co im robimy, jest okrutne, ale konieczne.

Mustang powiedziała mi w drodze, że Romulus podkłada pod głowę kamień z Forum Romanum zamiast poduszki. To nie jest życzliwy człowiek, w każdym razie nie dla swoich wrogów, którym jestem bez względu na jego gościnność.

– Trudno mi rozmawiać z tobą, jakbyś nie był tyranem – przyznaję. – Siedzisz tu i uważasz, że jesteś bardziej cywilizowany niż Luna, bo przestrzegasz swoich honorowych zasad. Bo okazujesz powściągliwość. – Wskazuję ascetyczny dom. – Ale wcale nie jesteś bardziej cywilizowany. Jesteś po prostu bardziej zdyscyplinowany.

– A czy nie tym właśnie jest cywilizacja? Porządkiem? Odrzuceniem zwierzęcych impulsów na rzecz stabilności?

Zjada owoc miarowymi kęsami. Ja odkładam swoją połówkę na kamień.

– Nie. Ale nie przyleciałem tutaj, żeby dyskutować o filozofii albo polityce.

– Dzięki niech będą niebiosom. Wątpię, żebyśmy zgodzili się w wielu kwestiach. – Przygląda mi się uważnie.

– Jestem tu, żeby porozmawiać o czymś, co obaj znamy najlepiej: o wojnie.

– Nasza stara paskudna przyjaciółka. – Zerka znowu na drzwi domu, upewnia się, że jesteśmy sami. – Zanim jednak przejdziemy do tego tematu, czy mogę zapytać o coś bardziej osobistego?

– Skoro musisz.
– Masz świadomość, że mój ojciec i córka zginęli podczas twojego Triumfu na Marsie?

– Tak.

– W pewnym sensie od tego wszystko się zaczęło. Widziałeś ich śmierć?

– Tak.

– Czy wyglądała tak, jak ludzie mówią?

– Nie odważę się zgadywać, kim są ci ludzie i co mówią.

– Mówią, że Antonia au Severus-Julii deptała głowę mojej córki, aż zmiażdżyła jej czaszkę. Chcielibyśmy wiedzieć z żoną, czy to prawda. Powiedziała nam to jedna z nielicznych osób, które zdołały uciec.

– Tak – potwierdzam. – To prawda.

Sok skapuje z mandarynki znajdującej się w jego dłoniach, o której nagle całkiem zapomniał.

– Cierpiała?

Ledwie pamiętam, żebym widział wtedy tę dziewczynę, ale ta noc śniła mi się setki razy, wystarczająco często, bym zaczął żałować, że nie mam słabszej pamięci. Niezbyt ładna, miała na sobie szarą sukienkę z broszką przedstawiającą smoka z błyskawicą. Próbowала uciekać, obiegając fontannę, ale przechodzący obok Vixus podciął jej ścięgna podkolanowe. Czołgała się po ziemi i płakała, dopóki Antonia jej nie dobiła.

– Cierpiała. Przez kilka minut.

– Płakała?

– Tak. Ale nie błagała o litość.

Romulus wygląda przez żelazną furtkę na małe wiry siarkowego pyłu tańczące na jałowej równinie poza jego cichym domem. Znam jego ból, potworny, miazdzący smutek, kiedy kochasz coś delikatnego, co zostaje rozerwane na strzępy przez brutalny świat. Jego córka dorastała tu, kochana, chroniona, a potem wyruszyła po przygodę i nauczyła się strachu.

– Prawda potrafi być okrutna – mówi – ale to jedyna naprawdę cenna rzecz. Dziękuję ci za nią. I sam mam dla ciebie prawdę. Wątpię, żeby ci się spodobała...

– Masz jeszcze drugiego gościa – odzywam się. Jest zaskoczony. – Przy drzwiach stoją buty. Wypolerowane z myślą o statku, nie planecie. Przez to pył naprawdę potwornie do nich przywiera. Nie uraziłeś mnie. Na poły spodziewałem się tego, kiedy nie spotkałeś się ze mną na pustyni.

– Rozumiesz, dlaczego nie podejmę decyzji na ślepo ani bez namysłu.

– Owszem.

– Dwa miesiące temu nie zgodziłem się z przedstawionym przez Virginię planem negocjacji pokojowych. Poleciała sama, wsparta przez tych, którzy bali się przegranej. Wierzę w wojnę o tyle, o ile stanowi skuteczne narzędzie polityczne. Nie uważałem, żebyśmy uzyskali dostatecznie silną pozycję, żeby zyskać cokolwiek z tej wojny bez uprzedniego jednego albo dwóch zwycięstw. Pokój to innymi słowy podporządkowanie. Moja logika była solidna, nasza pozycja nie. Ani razu nie zwyciężyliśmy. Imperator Fabii jest... skuteczny. A Rdzeń, nawet jeśli pogardzam jego kulturą, produkuje bardzo dobrych zabójców z doskonałym wsparciem logistycznym. Walczymy z gorszej pozycji z olbrzymem. A teraz ty zjawiasz się tutaj. Mogę zyskać na pokoju coś, czego nie zdołałem uzyskać za pomocą wojny. Muszę rozważyć swoje opcje.

Ma na myśli to, że może wykorzystać moją obecność, żeby wymóc na Suwerence lepsze warunki niż te, które zaproponowałyby w przypadku kontynuacji wojny. To śmiałe i wyrachowane. Wiedziałem, że istnieje takie ryzyko, kiedy obrałem ten kurs, ale miałem nadzieję, że Romulus będzie bardziej porywczy po roku wojny z tą kobietą i będzie chciał jej odpłacić. Najwyraźniej w jego żyłach płynie wyjątkowo zimna krew.

– Kogo przysłała Suwerenka? – pytam.

Odchyła się do tyłu na oparcie ławki

– A jak myślisz? – pyta rozbawiony.

Poeta

Roque au Fabii siedzi przy kamiennym stole w sadzie ciągnącym się wzdłuż bocznej ściany domu i kończy deser – sernik z jagodami dzikiego bzu, popijany kawą. Dym z ponurego karłowatego wulkanu unosi się nad wieczornym horyzontem z tą samą gnuśnością co para z jego porcelanowego spodka. Roque odwraca się od obserwowanego dymu, żeby spojrzeć, jak wchodzimy. Wygląda olśniewająco w czarno-złotym mundurze – smukły jak źdźbło złotej letniej pszenicy; ma wydatne kości policzkowe i ciepłe oczy, ale jego twarz wydaje się chłodna i nieustępliwa. Do tej pory mógłby obwiesić pierś tuzinem orderów, ale jest tak próżny, że uważa afektację za oznakę prostackiej dekadencji. Na obu jego ramionach widnieje piramida Wspólnoty unosząca się na imperatorskich skrzydłach. Pierś zdobi złota czaszka w koronie: herb Pana Popiołów.

Roque odstawia ostrożnie spodek, ociera usta rożkiem serwetki i wstaje. Jest boso.

– Darrow, minęły wieki.

Mówi z taką wystudiowaną uprzejmością, że prawie mógłbym sobie wmówić, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, którzy ponownie spotykają się po długiej przerwie. Ja jednak nie pozwolę sobie na żadne uczucia dla tego człowieka. Nie mogę mu wybaczyć. Victra prawie przez niego zginęła. Fitchner nie żyje z jego winy. I Lorn. Ilu jeszcze ludzi zginęłoby, gdybym nie pozwolił Sevro wyjść z przyjęcia wcześniej, żeby poszukał ojca?

– Imperatorze Fabii – odpowiadam beznamietnie, ale moja rezerwa skrywa zbolące serce.

Zaś na jego twarzy nie ma najdrobniejszej sugestii smutku. A chciałbym, żeby była. I kiedy uświadamiam to sobie, wiem, że nadal czuję coś do tego człowieka. Jest żołnierzem swoich ludzi. Ja jestem żołnierzem swoich. Nie uważa się za złego. Jest bohaterem, który zdemaskował Żniwiarza, w noc po pojmaniu mnie zmiażdżył połączoną flotę rodów Augustus i Telemachus

w bitwie pod Dejmosem. Nie robi tego wszystkiego dla siebie. Ma równie szlachetny cel w życiu jak ja. Robi to dla swoich ludzi. Jego jedynym grzechem jest to, że na swój sposób za bardzo ich kocha.

Mustang przygląda mi się zmartwiona; wie, co muszę czuć. Pytała mnie o niego w drodze z Marsa. Powiedziałem jej, że nic dla mnie nie znaczy, ale oboje wiemy, że to nieprawda. Jest teraz ze mną. Jest moją kotwicą wśród tych drapieżników. Bez niej stawiałbym czoło moim wrogom, ale utraciłbym wiele ze swojej natury. Byłbym mroczniejszy. Bardziej gniewny. Doceniam fakt, że mam takich ludzi jak ona, którzy pomagają mi pozostać sobą, bo obawiam się, że bez nich straciłbym duszę.

– Nie mogę powiedzieć, że miło cię ponownie widzieć, Roque – mówi teraz, odciągając uwagę ode mnie. – Chociaż jestem zaskoczona, że Suwerenka nie przysłała politikosa, żeby z nami negocjował.

– Przysłała – odpowiada Roque. – Zwróciliście Moirę martwą. To do głębi zraniło Suwerenkę. Wierzy jednak w mój oręż i mój osąd. Tak jak ja wierzę w gościnność Romulusa. Nawiasem mówiąc, dziękuję za posiłek – zwraca się do naszego gospodarza. – Nasza kantyna jest rozpaczliwie... wojskowa, jak pewnie się domyślasz.

– Takie korzyści płyną z posiadania własnych spichlerzy – odpowiada Romulus. – Wtedy nigdy nie głoduje się podczas oblężenia.

Daje nam znać, żebyśmy spoczęli. Mustang i ja siadamy naprzeciwko Roque'a, Romulus zasiada u szczytu stołu. Miejsca po jego bokach zajmują arcygubernator Tytana i stara, zgarbiona kobieta, której nie znam. Nosi skrzydła imperatora.

Roque mnie obserwuje.

– Cieszy mnie fakt, że wreszcie bierzesz udział w wojnie, którą zacząłeś.

– To nie Darrow odpowiada za tę wojnę, ale Suwerenka – ripostuje Mustang.

– Bo zaprowadza porządek? – pyta Roque. – Bo przestrzega Porozumienia?

– Dobrze sobie. Znam ją trochę lepiej niż ty, poeto. Ta starucha to paskudna, chciwa kreatura. Myślisz, że to Aja zabiła Quinn? – Czekaj na jego reakcję. Bezskutecznie. – To robota Octavii. To ona wydała rozkaz.

– Quinn zginęła przez Darrowa – odpowiada Roque – i przez nikogo innego.

– Szakał przechwalał mi się, że zabił Quinn – odzywam się. – Wiedziałeś o tym? – Moje słowa nie robią na nim wrażenia. – Gdyby zostawił ją

w spokoju, przeżyłaby. Zabił ją na tyłach statku, kiedy reszta z nas walczyła o przeżycie.

– Kłamiesz.

Kręcę głową.

– Wybacz, ale to, co teraz czujesz w swoim chudym brzuchu, to poczucie winy. I ono tam pozostanie. Bo to jest prawda.

– Przez ciebie zostałem masowym mordercą walczącym z moimi własnymi ludźmi – mówi Roque. – Mój dług wobec Suwerenki i Wspólnoty za udział, jaki wziąłem w Wojnie rodów Augustus i Bellona, jeszcze nie został spłacony. Miliony zginęły podczas oblężenia Marsa. Miliony, które nie musiałyby umrzeć, gdybym przeniknął twój podstęp i wypełnił swój obowiązek wobec moich ludzi.

Głos mu drży. Rozpoznaję w jego oczach poczucie zagubienia. Widziałem je w swoim własnym spojrzeniu, gdy obudzony z koszmaru patrzyłem na siebie w bladym świetle w łazience tej samej kajuty na Lunie. Wszystkie te miliony krzyczą do niego w ciemności, dopytując się, dlaczego tak musiało się stać.

– To, czego nie mogę zrozumieć, Virginio – podejmuje – to powód, dla którego porzuciłaś rokowania na Fobosie. Rokowania, które uleczyłyby rany dzielące Złotych i pozwoliłyby nam skupić się na prawdziwym wrogu. – Patrzy na mnie znacząco. – Ten człowiek chciał śmierci twojego ojca. Nie pragnie niczego poza zniszczeniem naszych ludzi. Pax zginął z powodu tego kłamstwa. Twój ojciec zginął z powodu jego intryg. Wykorzystuje przeciwko tobie twoje własne serce.

– Daruj sobie – prycha pogardliwie Mustang.

– Próbuję...

– Nie traktuj mnie z góry, poeto. To ty jesteś sentymentalnym mazgajem. Nie ja. Tu nie chodzi o miłość. Tu chodzi o to, co słuszne. I nie ma to nic wspólnego z uczuciami. Tu chodzi o sprawiedliwość, która opiera się na faktach. – Władcy Księżyców wiercą się skrupowani, gdy mowa o sprawiedliwości. Mustang kiwa głową w ich kierunku. – Wiedzą, że wierzę w niepodległość Obrzeża. Wiedzą, że jestem Reformatorką. I wiedzą, że jestem dostatecznie inteligentna, by nie łączyć tych dwu rzeczy ani nie mylić uczuć z przekonaniami. W przeciwieństwie do ciebie. Ponieważ twoje retoryczne gierki nie znajdują tutaj posłuchu, oszczędź sobie poniżenia w postaci słownych potyczek i przedstaw swoją propozycję, żebyśmy mogli wreszcie zakończyć tę wojnę w taki czy inny sposób.

Roque piorunuje ją wzrokiem.

Romulus uśmiecha się leciutko.

– Masz coś do dodania, Darrow?

– Uważam, że Mustang wyraziła już wszystko.

– Doskonale – mówi Romulus. – Zatem powiem to, co ja mam do powiedzenia, i oddam ci głos. Obaj jesteście moimi wrogami. Jeden z was gnębił mnie strajkami pracowników. Antyrządową propagandą. Insurekcją. Drugi wojną i oblężeniem. Jednakże tutaj, na obrzeżach ciemności, z dala od źródła swojej siły, obaj potrzebujecie mnie, moich okrętów, moich legionów. Dostrzegacie ironię sytuacji. Moje jedyne pytanie brzmi: kto da mi więcej w zamian za moje wsparcie? – Patrzy najpierw na Roque'a. – Proszę zaczynać, imperatorze.

– Szanowni lordowie, moja Suwerenka opłakuje konflikt między naszymi ludźmi, tak samo jak ja. Narodził się z nasion posianych podczas wcześniejszych sporów, ale może zakończyć się w tej chwili, kiedy Obrzeże i Rdzeń przypomną sobie, że istnieje większe, bardziej zgubne zło niż spory polityczne czy niejasności w kwestiach podatków i przedstawicielstw. Tym złem jest demokracja. To szlachetne kłamstwo, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równi. Widzieliście, jak rozdziera Marsa. Adrius au Augustus prowadzi tam szlachetną walkę w imieniu Suwerenki.

– Szlachetną? – powtarza Romulus.

– Skuteczną. Mimo to zaraza się szerzy. Teraz mamy największą szansę na jej zniszczenie, zanim osiągnie zwycięstwo, po którym możemy się już nie otrząsnąć. Mimo dzielących nas różnic wszyscy nasi przodkowie spadli na Ziemię podczas Podboju. Dla uczczenia tego Suwerenka jest gotowa zaprzestać wszelkich wrogich działań. Prosi o pomoc w postaci twoich legionów i armady w unicestwieniu Czerwonej zmory, która pragnie zniszczyć zarówno Obrzeże, jak i Rdzeń. W zamian za to wycofa garnizony Wspólnoty z Jowisza, chociaż nie z Saturna i Urana.

Arcygubernator Tytana parska pogardliwie.

– Suwerenka rozpocznie w dobrej wierze rozmowy dotyczące zmniejszenia podatków i taryf eksportowych dla Obrzeża. Zagwarantuje wam takie same licencje górnicze w Pasie, jakie obecnie mają przedsiębiorstwa z Rdzenia. Przyjmie wasze propozycje równej reprezentacji w senacie.

– A reforma procesu elekcji Suwerena? – pyta Romulus. – Octavia nigdy nie miała zostać cesarzową. Jej urząd jest obieralny.

– Rozważy ponownie procedurę wyborczą, kiedy już zostaną wyznaczeni nowi senatorowie. Dodatkowo, tak jak prosiliście, Rycerze Olimpijscy będą wybierani w głosowaniu arcygubernatorów, a nie mianowani z rozkazu Suwerenki.

Mustang odchyła głowę w tył i parska śmiechem.

– Wybacz. Możesz mnie uznać za sceptyczkę, ale twoje słowa, Roque, sprowadzają się do tego, że Suwerenka powie „tak” na wszystko, czego Romulus może chcieć, dopóki znowu nie znajdzie się w dogodnej pozycji, żeby powiedzieć „nie”. – Prycha komicznie przez nos. – Wierzcie mi, przyjaciele, moja rodzina poczuła żądło obietnic Suwerenki.

– A co z Antonią au Julii? – pyta Romulus, świadomy wątpliwości Mustang. – Czy oddacie ją w ręce naszej sprawiedliwości, żeby odpowiedziała za śmierć mojej córki i ojca?

– Tak.

Romulus jest zadowolony z tych warunków i poruszony komentarzami Roque’a na temat Czerwonej zmory. Tym bardziej że jego zapowiedzi brzmią bardzo prawdopodobnie: nie obiecuje ani za dużo, ani za mało. Jedyne sposoby, żeby je przebić, to pogodzić się z faktem, że proponuję im mrzonkę i to w dodatku niebezpieczną.

Romulus patrzy na mnie wyczekująco.

– Pomijając Kolor, łączy nas obu jedna rzecz – zaczynam. – Suwerenka jest politykiem, ja człowiekiem miecza. Metal i cięcia miecza to moja specjalność. Podobnie jak twoja. To mój żywioł. Cały sens mojego istnienia. Spójrz, jak daleko zaszedłem w waszych szeregach, nie będąc jednym z was. Przypomnij sobie, jak zająłem Marsa. Najbardziej udany Żelazny Deszcz od wieków. – Pochyliam się do przodu. – Lordowie, ja wam dam niepodległość, na którą zasługujecie. Nie półśrodki. Nie stan przejściowy. Trwałą niezależność od Luny. Bez podatków. Bez dwudziestu lat obowiązkowej służby w Rdzeniu dla waszych Szarych i Obsydianowych. Żadnych rozkazów od Babilonu, jakim stał się Rdzeń.

– Śmiała obietnica – podsumowuje Romulus. Okazuje głębię swojego charakteru, kiedy ze spokojem znosi zniewagę, jaką musi być fakt, że Czerwony oferuje mu niepodległość.

– Raczej osobliwa – prostuje Roque. – Darrow jest tym, kim jest, tylko dzięki ludziom, którzy go otaczają.

– Zgadza się – wtrąca radośnie Mustang.

– Wciąż mam wokół siebie ludzi, Roque. A kogo ty masz?

– Nikogo – odpowiada za niego Mustang. – Tylko starą dobrą Antonię, która kolaboruje z moim bratem.

Te słowa trafiają w dziesiątkę zarówno w przypadku Romulusa, jak i Roque’a. Ponownie zwracam się do Władców Księżyców.

– Posiadacie największe stocznie pośród wszystkich światów, ale za szybko zaczęliście wojnę, nie mając dość okrętów, nie mając dość paliwa. Myśląc, że Suwerenka nie zdoła tak szybko wysłać floty, myliliście się. Jednak Suwerenka także popełniła błąd: cała jej pozostała flota znajduje się w Rdzeniu, gdzie broni księżyców i planet przed okrętami Orion. Tyle że Orion nie ma w Rdzeniu, bo jest ze mną. Połączyła swoje siły ze statkami, które ukradłem Szakalowi, żeby stworzyć armadę, która zmiecie z nieba armadę Miecz.

– Macie za małe siły – mówi Roque.

– Nie wiesz, co mam. I nie wiesz, gdzie to ukryłem.

– Ile on ma okrętów? – zwraca się Romulus do Mustang.

– Dostatecznie dużo.

– Roque chciałby, żebyście uznali mnie za rozszałą żywioł. Czy ja wyglądam na szalonego? – Na pewno nie dzisiaj. – Romulusie, nie interesuje cię Rdzeń, tak jak mnie nie interesuje Obrzeże. To nie jest mój dom. Nie jesteśmy wrogami. Nie walczę z waszą rasą, ale przeciwko władcom w moim domu. Pomóż nam zniszczyć armadę Miecz, a zyskasz swoją niepodległość. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Nawet jeśli nie pokonam Suwerenki w Rdzeniu, nawet jeśli przegram w ciągu roku, to kiedy pokonamy obecnego tu Poetę, narobimy dość szkód, żeby minęło całe jedno życie, zanim Octavia zdoła zebrać dość okrętów, pieniędzy, ludzi, dowódców i ponownie przebyć miliardy kilometrów mroku.

Władcy Księżyców skłaniają się ku tym słowom. Może jeszcze ich przekonam.

Roque prychnął.

– Naprawdę myślicie, że ten samozwańczy wyzwoliciel porzuci podKolory na Obrzeżu? Na samych Księżycach Galileuszowych jest ponad sto pięćdziesiąt milionów „niewolników”.

– Gdybym mógł ich wyzwolić, zrobiłbym to – przyznaję. – Ale nie mogę. Dostrzegam to i serce mi pęka, ponieważ to są moi ludzie. Ale każdy przywódca musi być gotowy na poświęcenie.

Na te słowa Złoci kiwają głowami. Nawet jeśli jestem wrogiem, potrafią uszanować moją lojalność wobec własnych ludzi, a co za tym idzie ból,

który muszę czuć. To dziwne widzieć taki szacunek w oczach nieprzyjaciół. Nie przywykłem do tego.

Roque także dostrzega, że kiwają mi głowami.

– Znam tego człowieka lepiej niż ktokolwiek z was – upiera się. – Znam go jak brata. To kłamca. Powie wszystko, byle zerwać łączące nas więzy.

– W przeciwieństwie do Suwerenki, która nigdy nie kłamie – odpowiadam beztrząsco, wywołując śmiechy.

– Suwerenka dotrzyma ustaleń – obstaje przy swoim Roque.

– Tak jak dotrzymała obietnic złożonych mojemu ojcu? – rzuca zgryźliwie Mustang. – Kiedy planowała zabić go podczas gali w zeszłym roku? Byłam jej lansjerem, a ona to zaplanowała tuż pod moim nosem. A dlaczego? Bo nie zgadzał się z jej polityką. Wyobraź sobie, co z robi z ludźmi, którzy stanęli z nią do walki.

– Słuszne słowa – odzywa się arcygubernator Tytana, stukając kostkami dłoni w stół.

– Zamiast tego zaufacie terroryście i zdrajcy? – pyta Roque. – Przez sześć lat spiskował, żeby zniszczyć Wspólnotę. Całe jego życie to oszustwo. Jak możecie mu teraz uwierzyć? Jak możecie myśleć, że Czerwonemu bardziej zależy na was niż Złotemu? – Kręci smutno głową. – My jesteśmy Aureusowie, bracia i siostry. Jesteśmy porządkiem, który chroni rodzaj ludzki. Zanim nastał nasz czas, rasa ludzka zamierzała zniszczyć jedyny dom, jaki miała. My zaprowadziliśmy pokój. Nie pozwólcie, żeby Darrow wami manipulował i wprowadził was z powrotem w wieki ciemne. Zniszczą wszystkie cuda, które stworzyliśmy, żeby napełnić brzuchy i nasycić żądze. Mamy szansę go powstrzymać, tu i teraz. Mamy szansę ponownie się zjednoczyć, tak jak zawsze było nam to pisane. Dla naszych dzieci. Jaki świat chcecie, żeby odziedziczyły? – Kładzie rękę na sercu. – Jestem Człowiekiem z Marsa. Tak jak wy, nie kocham Rdzenia. Apetyty Luny plądrowały moją planetę na długo przed moim urodzeniem. To się musi zmienić. I zmieni się. Ale nie za sprawą jego miecza. On spali dom, żeby naprawić stłuczone okno. Nie, przyjaciele, nie tędy droga. Żeby zmienić coś na lepsze, musimy spojrzeć dalej, poza politykę dnia dzisiejszego, i pamiętać o duchu Złotej Ery. Aureusowie, zjednoczcie się.

Im dłużej to potrwa, tym bardziej prawdopodobne, że Roque skutecznie odwoła się do ich patriotyzmu. Oboje z Mustang to wiemy, tak jak wiedziałem, że będę musiał coś poświęcić, kiedy tu przylecę. Miałem nadzieję, że nie będzie to to, co za chwilę im zaoferuję, ale po wyrazie oczu Władców

Księżyców widzę, że słowa Roque'a trafiły do nich. Boją się powstania. Boją się mnie.

To wielki lęk przed Synami Aresa, wielki błąd, jaki popełnił Sevro, kiedy ujawnił nagranie z mojego Rzeźbienia i poprowadził Synów Aresa do prawdziwej wojny. Dopóki pozostawaliśmy w cieniu, mogliśmy pozwolić im pozabijać się wzajemnie. Byliśmy tylko ideą. Roque kazał mi jednak pomyśleć o tym, co jednoczyło wszystkich panów w dziejach świata: co będzie, jeśli niewolnicy odbiorą mi moją własność?

Kiedy stryj dał mi sierpak, powiedział, że ocali mi życie za cenę kończyny. Mówi się to każdemu górnikowi, żeby od pierwszego dnia w kopalni wiedział, że to poświęcenie jest warte swojej ceny. Składałem teraz ofiarę, która być może nigdy nie zostanie mi wybaczona.

– Dam wam Synów Aresa – mówię cicho. Poza Mustang nikt mnie nie słyszy, bo Roque nadal peroruje. – Dam wam Synów Aresa – powtarzam głośniej.

Wokół stołu zapada cisza.

Krzesło Romulusa skrzypi, kiedy on pochyla się na nim do przodu.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałem wam, że nie interesuje mnie Obrzeże. Teraz tego dowiodę. Na waszych terytoriach jest ponad trzysta pięćdziesiąt komórek Synów Aresa. To my stoimy za strajkami w waszych stocznich. To my stoimy za sabotażami instalacji sanitarnych i to przez nas ulice Nessosa są pełne gówna. Nawet jeśli oddacie mnie dzisiaj Suwerence, Synowie Aresa będą was wykrwawiać przez tysiąc lat. Ja oddam wam każdą komórkę Synów Aresa na Obrzeżu, porzucę tutejsze podKolory i wyruszę ze swoją krucjatą do Rdzenia, żeby za swojego życia nigdy nie wrócić poza Pas Asteroid, jeśli tylko pomożecie mi zgładzić jego parszywą flotę.

Wytykam palcem Roque'a, który patrzy na mnie przerażony.

– To szaleństwo – mówi, widząc, jaki efekt mają moje słowa. – On kłamie.

Tyle że ja nie kłamie. Wydałem rozkaz komórkom Synów Aresa, żeby ewakuowały się z Obrzeża. Niewielu zdoła uciec. Tysiące zostaną pojmane, poddane torturom, zabite. To jest wojna, takie są konsekwencje dowodzenia.

– Lordowie, imperator chce, żebyście się pokłonili – odpowiadam. – Nie macie już tego dość? Płaszczona się przed tronem stojącym sześćset milionów kilometrów od waszego domu? – Kiwają głowami. – Suwerenka

mówi, że jestem dla was zagrożeniem. Ale kto bombarduje wasze miasta? Kto zamordował milion waszych ludzi? Kto trzymał wasze dzieci na Lunie w charakterze zakładników? Zabił waszego ojca i córkę na Marsie? Kto spalił cały wasz księżyc? Ja? Moi ludzie? Nie. Waszym największym wrogiem jest chciwość Rdzenia. Zachłanność niszczycieli Rei.

– To były inne czasy – protestuje Roque.

– To była ta sama kobieta – warczę i patrzę na Złotego z Saturna, który siedzi na lewo od Romulusa i słucha mnie jak urzeczony. – Kto spalił Reę? Suwerenka już o tym zapomniała, bo jej tron stoi odwrócony tyłem do Obrzeża. Ale wy co noc widzicie szklatego trupa na swoim niebie.

– Rea była błędem – mówi Roque, wpadając w pułapkę, którą Mustang pomogła mi przygotować – który nigdy nie może się powtórzyć.

– Nigdy? – pyta Mustang i pułapka się zatrzaskuje. Odwraca się do Veli, która razem z kilkoma innymi Iończykami śledzi rozmowę ze schodów prowadzących do domu. – Velo, moja droga przyjaciółko, czy mogę prosić o swój terminal?

– Nie dajcie się wciągnąć w jej gierki – mówi Roque.

– Moje gierki? – pyta z fałszywą skromnością Mustang. – Moja gra to fakty, imperatorze. Fakty nie są tu mile widziane, dopuszczacie tylko krasomówcze popisy? Osobiście nie ufam żadnemu człowiekowi, który boi się faktów. – Patrzy znowu na Velę, rozbawiona własnymi docinkami. – Możesz sama go obsłużyć za mnie. Hasło to L17L6363.

Uśmiecha się szeroko, widząc moje zaskoczenie.

Vela patrzy na brata.

– Może wysłać wiadomość do Sevro au Barca.

– Wyłącz połączenia wychodzące – odpowiada na to Mustang. Romulus kiwa głową do siostry, która dezaktywuje połączenia. – Wejdz do folderów z danymi, zajrzyj pod numer trzeci, proszę.

Vela to robi. Najpierw w milczeniu mruży oczy, skonsternowana tym, co widzi, a potem czyta, krzywi się, a na rękach wyskakuje jej gęsia skórka. Reszta naszego małego zgromadzenia obserwuje jej reakcję z rosnącym niepokojem.

– Oświecające, prawda?

– O co chodzi? – dopytuje się Romulus. – Pokaż nam.

Vela piorunuje nienawistnym wzrokiem Roque'a, który jest równie skonsternowany jak pozostali, i podchodzi z terminalem do brata. Jemu udaje się zachować beznamiętny wyraz twarzy, gdy przegląda dane, przesu-

wajac palcem po ekranie. Wykorzystałem informację od Cassiusa przeciwko jego pani, zamieniłem jego dar w strzałę wymierzoną w jej serce. Mustang i ja uznaliśmy jednak, że lepiej będzie, jeśli to ona przedstawi sytuację. Jej przyjaźń z Romulusem przyda wiarygodności kłamstwu.

– Wyświetl to – mówi Romulus i rzuca terminal Veli.

– O co chodzi? – pyta gniewnie Roque. – Romulusie...

Głos mu się łamie na widok asteroidy S-1988, która rozkwita w powietrzu. Należy do rodziny planetoidy Karin, będącej z kolei częścią rodziny planetoidy Koronis w głównym Pasie Asteroid między Marsem i Jowiszem. Wiruje powoli nad stołem. Zielony strumień danych pod spodem przypieczętowane koniec Suwerenki. To seria sfalszowanych komunikatów Wspólnoty na temat dostaw zapasów na pozbawioną bazy asteroidę. Strumień danych ukazuje szczegóły wytycznych płynących z wysokich szczebli Wspólnoty, a związanych z „dostawami” na S-1988. Potem wyświetla się nagranie statku, który odesłałem z naszej głównej floty, żeby zbadał asteroidę, kiedy reszta z nas leciała na Jowisza. Czerwoni fruną przez ciemny magazyn. Małe silniczki odrzutowe w ich kombinezonach działają bezgłośnie w próżni, za to podpięte do hełmów liczniki Geigera trzeszczą z powodu silnego promieniowania, znacznie mocniejszego niż towarzyszące legalnym pięciomegatonowym głowicom używanym do walk w kosmosie.

Romulus wpatruje się w Roque’a.

– Jeśli Rea ma się nigdy nie powtórzyć, to dlaczego twoja flota opróżniła skład broni nuklearnej przed wejściem na naszą orbitę?

– Nie odwiedzaliśmy tego magazynu – mówi Roque, starając się ogarnąć, co właśnie widział i co to znaczy. Dowody są przekonujące. Wszystkie kłamstwa lepiej działają obficie podlane prawdą. – Synowie Aresa okradli go wiele miesięcy temu. Te dane są sfalszowane.

Dysponuje nieprawdziwymi informacjami, co znaczy, że Suwerenka nie ujawniła mu zdrady Szakala. Teraz Octavia zapłaci za to, że ufa tak nielicznym. Roque nie jest przygotowany na ten argument i doskonale to widać.

– Zatem ten magazyn istnieje? – upewnia się Romulus. Do Roque’a dociera, jak druzgocące było jego potwierdzenie. Romulus marszczy brwi i mówi dalej: – Imperatorze Fabii, dlaczego między Obrzeżem a Luną umieszczono tajny skład broni?

– To ściśle tajne informacje.

– Nie wątpię.

- Flota Wspólnoty odpowiada za bezpieczeństwo...
- Skoro chodzi o bezpieczeństwo, to dlaczego skład nie znajduje się bliżej bazy? Ten jest położony przy krawędzi Pasa Asteroid, na drodze, którą leciałaby flota z Luny na Jowisza, kiedy planeta znajduje się na odcinku orbity najbliższej słońca. Jakby to był magazyn przeznaczony dla imperatora, który leci do mnie do domu...
- Romulusie, zdaję sobie sprawę, jak to wygląda...
- Tak, młodzieńcze? Bo wygląda na to, że brałeś pod uwagę anihilację ludzi, których nazywasz braćmi i siostrami.
- Ta informacja ewidentnie została sfalszowana...
- Poza faktem, że skład istnieje...
- Tak – przyznaje Roque – istnieje.
- Podobnie jak te głowice nuklearne, emitujące tak duże promieniowanie?
- Są dla bezpieczeństwa.
- Ale reszta to kłamstwo?
- Tak.
- Zatem wcale nie przylecieliście do mojego domu z taką ilością broni nuklearnej, żeby zamieniać księżycy w szkło?
- Nie przylecieliśmy. Jedyne głowice, które mamy na pokładzie, służą do walki z innymi okrętami w przestrzeni kosmicznej. Mają maksymalną moc pięciu megaton. Romulusie, przysięgam na mój honor...
- Ten sam honor, który miałeś, kiedy zdradziłeś swojego przyjaciela... – Romulus wskazuje na mnie. – Kiedy zdradziłeś czcigodnego Lorna. Mojego sprzymierzeńca Augustusa. Mojego ojca Revusa. Ten sam honor, który miałeś, gdy patrzyłeś, jak socjopatyczna matkobójczyni przyjmująca rozkazy od socjopatycznego ojcobójcy miażdży czaszkę mojej córki?
- Romulusie...
- Nie, imperatorze Fabii. Nie uważam, żebyś dłużej zasługiwał na to, żeby zwracać się do mnie tak poufale, po imieniu. Możesz nazywać Darrowa dzikusiem i kłamcą, ale zjawił się tutaj, nie skrywając swoich uczuć. Ty przynosisz kłamstwa, maskując je dobrymi manierami i pochodzeniem...
- Arcygubernatorze Raa, musisz mnie posłuchać. Wyjaśnienie istnieje, jeśli tylko...
- Dość tego! – krzyczy Romulus. Podrywa się na równe nogi i uderza wielką dłonią w stół. – Dość hipokryzji, dość intryg. Dość kłamstw, ty bia-

dolący Rdzeniowy lizusie. – Wreszcie trzęsie się z wściekłości. – Gdybyś nie był moim gościem, rzuciłbym ci rękawicę i odciął ci męskość w Krwawym Kręgu. Twoje stracone pokolenie zapomniało, co to znaczy być Złotym. Zapomnieliście o swoim dziedzictwie. Przyssałeś się do cycka władzy i po co? Po to? Dla tych skrzydeł na ramionach? Imperator. – Prycha przy tym słowie. – Ty młokosie. Współczuję światu, w którym decydujesz o tym, czy człowiek taki jak Lord au Arcos ma żyć, czy umrzeć. Rodzice niczego cię nie nauczyli? – Nie nauczyli. Roque’a wychowywali nauczyciele i książki. – Czym jest duma bez honoru? Czym jest honor bez prawdy? Honor to nie jest to, co mówisz. To nie to, co czytasz. – Romulus uderza się w pierś. – Honor to twoje czyny.

– Więc nie rób tego... – zaczyna Roque.

– Twoja pani to zrobiła – odpowiada obojętnym tonem Romulus. – Gdyby nie zdołała zmusić nas do ukorzenia się, spaliłaby nas na popiół. Po raz drugi.

Mustang próbuje powstrzymać uśmiech na widok Roque’a, który patrzy, jak Władcy Księżyców wymykają mu się przez palce – ale jej się nie udaje.

W głosie Roque’a pojawia się mrok, który rwie moje serce na strzępy. Pomyśleć, że kiedyś ten głos mnie bronił. A teraz strzeże czegoś zdecydowanie mniej kochającego. Wspólnoty, której jest najzupełniej obojętny.

Zawsze się zastanawiałem, dlaczego Fitchner wybrał Roque’a do Domu Marsa. Do chwili jego zdrady widziałem w nim tylko łagodną duszę. Teraz jednak imperator ujawnia swój gniew.

– Arcygubernatorze Raa, proszę mnie uważnie posłuchać. Myli się pan, uważając, że przybyliśmy tutaj, żeby was zniszczyć. Przybyliśmy, aby ratować Wspólnotę. Niech pan nie ulega manipulacjom Darrowa. Stać pana na więcej. Niech pan przyjmie warunki Suwerenki, a możemy żyć w pokoju przez kolejne tysiąc lat. Jeśli jednak wybierze pan drugą ścieżkę, jeśli zerwie pan nasze zawieszenie broni, nie będzie litości. Pańska flota goni resztkami sił. Cokolwiek ukrywa Darrow, nie może to być nic więcej jak tylko zbieranina dezertarów na pożyczonych statkach. My zaś mamy armadę Miecz. Jesteśmy żelazną ręką legionu i furią Wspólnoty. Nasze okręty przyćmią słońca na waszych światach. Wie pan, co potrafię. Nie ma pan dowódcy, który mi dorówna. Kiedy wasze jednostki spłoną, rycerze Rdzenia wleją się do waszych miast na czele latających kolumn i wypełnią powietrze popiołem, którym uduszą się wasze dzieci. Jeśli zdradzi pan swój Kolor, Porozumienie, Wspólnotę, bo tym właśnie to będzie, zdradą, Ilion

spłonie. Pokażę panu, co naprawdę znaczy zniszczenie. Odnajdę każdą osobę, którą kiedykolwiek pan znał, i usunę ich nasienie ze wszystkich światów. Zrobię to z ciężkim sercem, ale jestem człowiekiem Marsa. Człowiekiem wojny. Niech pan zatem wie, że mojemu gniewowi nie będzie końca. – Wyciąga rękę. Pysk wygłodniałego wilka Domu Marsa jest otwarty w niemym wyciu. – Niech pan przyjmie moją dłoń w przyjaźni przez wzgląd na swoich ludzi i dobro Złotych. Bo jeśli nie, to posłużę się nią, by na zgłiszczach pańskiego domu rozpocząć erę pokoju.

Romulus obchodzi stół, żeby stanąć twarzą w twarz z Roque'em. Sięga po brzytwę owiniętą na biodrze. Broń ze zgrzytem sztywnieje. Na ostrzu przedstawiono scenę z Podboju. Jego rodzina jest równie stara jak ród Mustang, jak dom Octavii. Rozcina ostrzem dłoń, zasysa krew z rany i spluwa nią w twarz Roque'a.

– To jest krwawa waśń. Jeśli kiedykolwiek ponownie się spotkamy, ty jesteś mój, a ja jestem twój, Fabii. Jeżeli jeszcze kiedyś nabierzemy powietrza w płuca w tym samym pomieszczeniu, jeden z nas przestanie później oddychać.

To formalna, chłodna deklaracja, która wymaga od Roque'a jednej rzeczy. Roque kiwa głową.

– Velo – dodaje Romulus – odprowadź imperatora do jego promu. Musi przygotować flotę do walki.

– Romulusie, nie możesz pozwolić mu odejść – odzywa się Mustang. – Jest zbyt niebezpieczny.

– Zgadzam się – wtrącam się, ale z innego powodu. Wolałbym oszczędzić Roque'owi tej bitwy. Nie chcę mieć jego krwi na rękach. – Zatrzymaj go jako więźnia do czasu walki, a potem wypuść nietkniętego.

– To mój dom – odpowiada Romulus – a my tak właśnie załatwiamy takie rzeczy. Obiecałem mu bezpieczny przejazd i dokładnie to dostanie.

Roque ociera krew i ślinę tą samą serwetką, którą otarł usta po serniku, i w ślad za Velą rusza w stronę schodów przy wejściu. Zatrzymuje się, żeby jeszcze raz na nas spojrzeć. Nie wiem, czy mówi do mnie, czy do zebranych Złotych, ale kiedy recytuje swoje ostatnie słowa, wiem, że mają przetrwać wieki:

*Bracia, siostry, w jakże wielkiej
Pogrążacie mnie żałobie.*

*Płakał będę na cmentarzu,
Bo sam was złożyłem w grobie.*

Kłania się lekko.

– Dziękuję za gościnę, arcygubernatorze. Zobaczymy się wkrótce.

Wychodzi.

Romulus poleca Veli zatrzymać go, dopóki ja nie opuszczę bezpiecznie Io.

– Wezwij moich imperatorów i pretorów – mówi do jednego ze swoich lansjerów. – Chcę ich mieć na łączu holo za dwadzieścia minut. Musimy zaplanować bitwę. Darrow, jeśli chcesz się skontaktować ze swoimi preto-rami...

Ja jednak jestem myślami przy Roque'u. Mogę go już nigdy więcej nie zobaczyć, nie mieć okazji do powiedzenia mu tego wszystkiego, co kłębi się w mojej piersi. Jednakże wiem również, co może znaczyć dla moich ludzi puszczenie go wolno.

– Idź – mówi Mustang, wyczytując wszystko z moich oczu.

Wstaję gwałtownie, przepraszam zgromadzonych i udaje mi się dogonić Roque'a, który właśnie skończył wiązać buty w ogrodzie. Vela i parę innych osób odprowadzają go do żelaznej furtki.

– Roque.

Waha się. Coś w moim głosie sprawia, że odwraca się i patrzy, jak podchodzę.

– Kiedy cię straciłem?

– Kiedy zginęła Quinn.

– Zamierzałeś mnie zabić, nawet kiedy myślałeś, że jestem Złoty?

– Złoty. Czerwony. To bez znaczenia. Twoja dusza jest czarna. Quinn była dobra. Lea była dobra. A ty je wykorzystałeś. Jesteś zniszczeniem, Darrow. Wysysasz życie z przyjaciół i zostawiasz ich pustych i zużytych za sobą, przekonany, że każda śmierć jest tego warta; że każda śmierć przybliża cię do sprawiedliwości. Jednak historia okazuje się pełna ludzi takich jak ty. Wspólnota nie jest idealna, ale hierarchia... Ten świat to najlepsze, na co stać człowieka.

– A ty masz prawo, żeby o tym decydować?

– Tak. Mam. Pokonaj mnie w kosmosie, a ty je zyskasz.

Znowu

Krew ścieka z dłoni Mustang.

Głosy dzieci niosą się w powietrzu.

– Mój synu, moja córko, teraz, kiedy krwawisz, nie będziesz znać strachu. – Młoda dziewczina o białych włosach i bosych stopach na zimnym metalowym pokładzie idzie wśród szeregów klęczących olbrzymów. Niesie żelazny sztylet, który ocieka krwią Aureusów. – Ani porażki.

Złota zbroja zdobiona czynami przodków. Peleryna chłopca nieskalana jak śnieg.

– Jedynie zwycięstwo.

Rozcina już zranioną rękę Romulusa au Raa, który ma zamknięte oczy; jego smocza zbroja jest biała i gładka jak kość słoniowa. W drugiej ręce trzyma dłoń najstarszego syna. Chłopiec nie ma więcej niż siedemnaście lat, dopiero co okazał się najlepszy w swoim roczniku w Instytucie na Ganimedesie. Oczy błyszczą mu dziko na myśl o najbliższych godzinach. Ach, gdyby tylko jego młoda nieustraszona dusza wiedziała, co go czeka na końcu tego dnia... Jego starsza kuzynka klęczy obok niego z dłonią na jego kolanie. Obok niej klęczy jej brat. Rodzina tworzy łańcuch ciągnący się przez cały mostek.

– Tchórzostwo uchodzi z ciebie. – Za dziewczyną kroczą wśród zebranych kolejne dzieci, niosą sztandary Złotych: berło, miecz, zwój zwieńczony wawrzynem. – Twój gniew płonie jasno. – Dziewczyna unosi ociekający sztylet przed Kavaxem au Telemachus i jego najmłodszą córką Thraxą, przysadziłą, piegowatą dziewczyną o niesfornych włosach, śmiechu ojca i prostej życzliwości Paxa. – Powstańcie, dzieci Ilionu, Złoci wojownicy, i niech towarzyszy wam moc waszego Koloru.

Dwustu Złotych pretorów i legatów wstaje z kolan. Mustang i Romulus stoją na ich czele, otoczeni przez Telemachusów i ród Arcos. Mustang podnosi rękę i rozmazuje sobie krew na twarzy. Dwustu pozostałych robi to

samo, ale nie ja. Patrzę z kąta razem z Sefi, jak połączony korpus oficerski moich Złotych sprzymierzeńców czci pamięć swoich przodków. Marsjańscy Reformatorzy, tytani z Obrzeża, starzy przyjaciele i starzy wrogowie wypełniają mostek okrętu flagowego Mustang, dwustuletniego drednota *Dejah Thoris*.

– Dzisiejsza bitwa zdecyduje o losach naszej Wspólnoty, o tym, czy będziemy żyć pod rządami tyrana, czy może sami zdecydujemy o swoim przeznaczeniu. – Mustang wymienia listę wrogów na dzisiejsze polowanie: – Roque au Fabii, Scipia au Falthe, Antonia au Severus-Julii, Cyriana au Tanus. – To Oset. – Tych chcemy zabić.

Już tu byłem, byłem świadkiem tego błogosławieństwa i wbrew sobie czuję, że znowu się tu znajdę. Chwila nie straciła nic ze swojego blasku, nic ze swojej wielkości, która otacza tych nadzwyczajnych ludzi. Pójdą na śmierć nie dla Doliny, nie dla miłości, lecz dla chwały. Nigdy nie widzieliśmy takiej rasy jak oni i nigdy więcej nie ujrzymy. Po miesiącach w otoczeniu Synów Aresa widzę w tych Złotych nie tyle demony, co upadłe anioły. Cenne, płonące jasno na niebie, zanim znikną za horyzontem.

Jednak na ile jeszcze takich dni jak ten mogą sobie pozwolić?

W salach naszych wrogów Roque będzie recytował nasze imiona i imiona moich przyjaciół. Tego, kto zabije Żniwiarza, czeka nieskończona chwała, nagrody i sława. Będą na mnie polować młode bestie o szerokich ramionach i gniewnych oczach prosto ze szkół w Rdzeniu, gotowe, żeby uwiecznić swoje imię.

Tak samo jak będą na mnie polować starzy Szarzy legionieści, którzy widzą w mojej rebelii wielkie zagrożenie dla ich matki-Wspólnoty, dla tej jedności, którą kochają i za którą walczyli przez całe życie. I będą mnie szukać także Obsydianowi, kierowani przez panów, którzy obiecali im Różowych w zamian za moją głowę. Będą polować na moich przyjaciół. Będą wypowiadać imiona Sevro, Mustang i Ragnara, bo jeszcze nie wiedzą, że od nas odszedł. Będą polować na Telemanusów, Victre, Orion i moje Wyjce. Ale ich nie dostaną. Nie dzisiaj.

Dzisiaj to ja będę polował.

Stoję i patrzę na moich Złotych sprzymierzeńców. Jestem zamknięty w bojowym metalu. Dwa metry i dziesięć centymetrów, sto sześćdziesiąt kilogramów śmierci odziane w zbroję impulsową w kolorze krwi. Sierpak owija mi się wokół prawego zarękawia tuż nad nadgarstkiem. Na lewej ręce mam grawiPięść. Dzisiaj moje wyposażenie nie zapewnia mi szybkości, ale

siłę przebicia podczas konfrontacji w korytarzach. Sefi – w pancerzu brata – wygląda równie monstrualnie jak ja. Nienawiść płonie w jej oczach na widok zastępów wrogów.

Moi sprzymierzeńcy musieli ją zobaczyć. Musieli zobaczyć mnie. Żeby wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że Żniwiarz żyje. Wielu Marsjan spadło w Deszczu razem ze mną. Niektórzy patrzą na mnie z nienawiścią. Inni z ciekawością. Niektórzy, bardzo nieliczni, salutują mi. Jednak ze strony większości płynie pogarda, której nic nie zmyje. Dlatego przyprowadziłem Sefi. Szczypta strachu świetnie się sprawdzi przy braku miłości.

Na wieść, że flota Roque'a zaczęła podróż z Europy, żegnam się z Romulusem i jego koterią pretorów, którzy pomogli obmyślić nasz plan bitwy. Jego uścisk ręki jest pewny. Łączy nas szacunek, ale nie miłość. W hangarze żegnam się z Mustang i Telemamusami. Podłoga wibruje, promy przewożą setki Niezrównanych z powrotem na ich okręty.

– Wygląda na to, że ciągle się żegnamy – mówię do Kavaxa, kiedy ten pożegna się już z Mustang, unosząc ją z łatwością jak lalkę i całując w czoło.

– Żegnamy? To nie pożegnanie – dudni, uśmiechając się szeroko. – Wygraj dzisiaj, a to będzie po prostu długie powitanie. Myślę, że obu nam zostało jeszcze dużo życia.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Za co? – pyta, jak zwykle skonsternowany.

– Za dobroć... – Nie wiem, jak to inaczej ująć. – Za czuwanie nad moimi przyjaciółmi, kiedy nawet nie jestem jednym z was.

– Jednym z nas? – Na jego rumianą twarz wypływa znaczący uśmieszek. – Głupiec. Mówisz jak głupiec. Mój syn uczynił cię jednym z nas. – Patrzy przez hangar na Mustang, która rozmawia z jedną z synowych Lorna koło statku. – Ona czyni cię jednym z nas. – Z trudem powstrzymuję łzy. – I jeśli przekreślimy to wszystko, to ja mówię, że jesteś jednym z nas. Więc jesteś.

Sofokles zeskakuje susem z jego ramienia na podłogę, zatacza kółko, wskazuje mi na nogę i wyjmuję coś ze złącza zbroi. Żelkę. Stojąca za ojcem Thraxa kładzie palec na ustach. Oczy wielkoluda rozbłyskują.

– Cóż to za świeżutka pychotka, Sofoklesie? Ach, to twoja ulubiona! Arbuzowa! – Lis wraca mu na ramię. – Widzisz! Jak zwykle masz jego błogosławieństwo.

– Dziękuję, Sofoklesie – mówię i drapię zwierzaka za uszami.

Kavax ściska mnie mocno przed odejściem.

– Uważaj na siebie, Żniwiarzu. – Człapie ciężko po rampie. – Wędkowanie? – woła tubalnie, zanim przejdzie dziesięć metrów.

– Co?

– Czy Czerwoni wędkują?

– Ja nigdy nie miałem okazji.

– Przez moją posiadłość na Marsie płynie rzeka. Wybierzemy się na ryby, my dwaj, kiedy już będzie po wszystkim. Siądziemy na brzegu, zarzucimy wędki i nauczę cię, jak odróżnić szczupaka od pstrąga.

– Wezmę ze sobą whisky.

Wskazuje mnie palcem.

– Tak! Obaj się upijemy. Tak!

Znika w głębi statku, obejmując ramieniem Thraxę. Gromkim głosem relacjonuje innej córce cud, który właśnie widział.

– Myślę, że jest najszcześliwszy z nas – mówię, gdy Mustang podchodzi do mnie, żeby popatrzeć na odlatujący statek Telemarusów.

– Czy to będzie idiotyczne, jeśli poproszę, żebyś na siebie uważał?

– Obiecuję, że nie zrobię niczego pochopnego. – Mrugam porozumiewawczo. – Będę miał przy sobie Walkirię. Wątpię, żeby ktokolwiek chciał z nami dłużej walczyć.

Mustang ogląda się przez ramię na Sefi: czeka przy moim promie, podziwiając silniki innego statku, który właśnie odlatuje. Mustang ma taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie znajduje słów.

– Ona nie jest niezwykła. – Dotyka mojej piersi. – Niektórzy z nas chcieliby, żebyś był wśród nas po tym wszystkim. W końcu jaki to wszystko będzie miało sens, jeśli mi tu teraz umrzesz? Słyszysz?

– Słyszę.

– Naprawdę? – Patrzy mi w oczy. – Nie chcę znowu zostać sama. Dlatego wróć.

Puka kostkami dłoni w moją zbroję i odwraca się, żeby odejść na swój statek.

– Mustang!

Biegnę za nią, łapię ją za rękę i przyciągam do siebie. Zanim cokolwiek powie, całuję ją pośród metalu i ryczących silników. Nie jest to delikatny pocałunek, lecz mocny, łapczywy. Przyciągam jej głowę i pod otulającym ją brzemieniem obowiązku wyczuwam kobietę. Przywiera do mnie całym ciałem. Nasze usta rozchylają się i zanurzam się w niej, kołysząc się, wdychając zapach jej włosów. Ściska mnie w piersi. Zatyka mnie.

– Zobaczymy się niedługo.

Szczęściarze

Krążę po mostku jak zamknięty w klatce wilk, który widzi posiłek tuż, tuż, po drugiej stronie prętów. Dobroć we mnie znowu skrywa się za okrutną twarzą Żniwiarza.

– Virga, czy Wyjce są na pozycji? – pytam.

Niżej, za moimi plecami, zredukowana do minimum załoga Niebieskich rozmawia między sobą przy swoich sterylnych stanowiskach. Twarze mają oświetlone przez holoEkran. Podskórne implanty pulsują, kiedy synchronizują się ze statkiem. Kapitan Pelus, wychudzony jegomość, który był porucznikiem na *Paksie*, kiedy go zajmowałem, czeka na rozkazy.

– Tak jest, dowódco – mówi Virga ze swojego stanowiska. – Pierwsze jednostki wroga znajdują się w zasięgu dział dalekosiężnych za cztery minuty.

Arogancka siła Złotych rozstawia się w czarnym kosmosie. Nieskończone morze białych odłamków. Dałbym wszystko, byle móc sięgnąć i je roztrzaskać. Moje okręty wojenne ścieśniły się w trzy grupy wokół naszych potężnych drednotów nad północnym biegunem Io. Mustang i Romulus zgromadzili swoje siły wokół bieguna południowego. Razem – chociaż rozdzieleni ośmioma tysiącami kilometrów przestrzeni – patrzymy, jak flota Roque’a przekracza pustkę między Europą a Io, żeby zacząć z nami walkę.

– Krążowniki nieprzyjaciela w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów – informuje Niebieska.

Moja flota nie stosuje żadnych wstępów, nie mamy żadnych błogosławieństw, rytuałów, które odprawialibyśmy przed walką jak Złoci. Mimo wszystkich naszych słusznych roszczeń wydajemy się nijacy i prości w porównaniu z nimi. Jednak na moim statku łączy nas więź. Widziałem ją w maszynowni, na stanowiskach bojowych, na mostku. To marzenie, które nas wiąże i dodaje nam odwagi.

– Dajcie mi Orion – mówię, nie odwracając się.

Holo otylej, kostycznej Niebieskiej pojawia się przede mną. Ona sama znajduje się pięćdziesiąt kilometrów stąd, w samym sercu *Skowytu Persefony*, jednego z moich pozostałych czterech drednotów. Siedzi w fotelu dowódcy, zsynchronizowana ze wszystkimi kapitanami mojej floty z wyjątkiem tych wchodzących w skład grupy uderzeniowej. Dzisiejszy dzień w dużym stopniu opiera się na niej i pirackiej flocie, jaką zgromadziła w ciągu tych miesięcy, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania. Napadała na szlaki handlowe w Rdzeniu. Przeciągała Niebieskich na swoją stronę. Zebrała ich dość, żeby pomóc Synom Aresa obsadzić lojalnymi ludźmi statki, które ukradliśmy Szakalowi.

– Duża flota – mówi o naszym wrogu Orion. Jest pod wrażeniem. – Wiedziałaś, że nie powinnam była odpowiadać na twoje wezwanie. Podobało mi się życie pirata.

– Widzę. Twoja prywatna kajuta jest tak jarmarczna, że Srebrny by się zarumienił.

Przez ostatnie półtora roku *Pax* był jej domem. Przejęła moją dawną kabinę i wypełniła ją łupami z napadów. Dywany z Wenus. Obrazy z prywatnych kolekcji Złotych. Znalazłem nawet Tycjana upchniętego za regał na książki.

– Cóż mam rzec? Lubię ładne rzeczy.

– No dobra, jeśli się dzisiaj spiszesz, znajdę dla ciebie papugę. Co powiesz na to?

– Ach! Pelus powiedział ci, że szukam papugi. Dobry człowiek, ten Pelus. – Za moimi plecami wymizerowany kapitan kłania się wytwornie. – Cholernie trudno znaleźć papugę, kiedy nie można wylądować na żadnej planecie. Znaleźliśmy sokoła, gołębicę, sowę. Ale żadnej papugi. Jeśli znajdziesz czerwoną, to osobiście wybiję dziurę w mostku Antonii au Severus-Julii.

– Zatem czerwona papuga, umowa stoi.

– Świetnie. Świetnie. Pewnie teraz powinnam zająć się bitwą. – Śmieje się do siebie i bierze herbatę od służącego. – Chciałam ci tylko podziękować, Darrow. Za to, że we mnie wierzyłeś. Że mi to dałeś. Po dzisiejszym dniu Niebiescy nie będą mieli pana. Szerokich szlaków, chłopcze.

– Szerokich szlaków, pani admirał.

Orion znika. Zerkam z powrotem na centralny ekran czujników. Odczyty taktyczne unoszą się na tle okien, nałożone na odwzorowany w skali układ Jowisza. Cztery malutkie wewnętrzne księżycy orbitują bliżej planety niż

czwórka Galileuszowych. Skupiam wzrok na Tebe, najbardziej zewnętrznym z nich i zarazem najbliższym Io. To mały obiekt. Niewiele większy od Fobosa. Dawno temu wydobyto z niego cenne minerały i teraz jest siedzibą bazy wojskowej. Na samym początku wojny baza została zniszczona.

– Sześćdziesiąt sekund do wyłączenia systemu łączności Wyjców – informuje Virga ze swojego stanowiska.

Victra wchodzi na mostek w grubej złotej zbroi z wymalowanym czerwonym sierpakiem na piersi i plecach.

– Co tu, u diabła, robisz? – pytam.

– Ty tu jesteś – odpowiada z miną niewiniątka.

– Powinnaś być na *Krzyku Mykos*.

– A to nie jest *Mykos*? – Zagryza usta. – Chyba zabłądziłam. Będę teraz chodzić za tobą, żeby to się więcej nie powtórzyło. Dobra?

– Sevro cię przysłał. Mam rację?

– Jego serce jest małe i czarne, ale można je złamać. Zadbam o to, żeby nie pękło, pilnując, żeby było ci miło i przytulnie. Aha, i chciałam pozdrowić Roque’a.

– A co z twoją siostrą?

– Najpierw Roque. Potem ona. – Szturcha mnie łokciem. – Ja też potrafię grać zespołowo.

Uśmiecham się szeroko i odwracam do stanowisk załogi.

– Virga, połącz mnie przez hełm z Wyjcami.

– Tak jest, dowódco.

Trzaski w słuchawce. Aktywuję hełm. Przezroczysty wyświetlacz pokazuje mi identyfikatory mojej załogi, rangi, imiona, wszystko, co zostało wprowadzone do centralnego spisu okrętu. Włączam funkcję holo i na tle mostku pojawia się półprzezroczysty kolaż z twarzy moich przyjaciół.

– Co jest, szefie? – pyta Sevro z twarzą pomalowaną czerwonymi barwami wojennymi i skąpaną w niebieskim świetle wyświetlacza hełmowego. – Chcesz całusa na pożegnanie czy coś w tym guście?

– Sprawdzam tylko, czy usadowiliście się wygodnie na swoich miejscach.

– Twoja rodzinka mogła wykroić dla nas trochę więcej przestrzeni – mruczy Sevro. – Mamy stopy i dupy na wysokości twarzy.

– Czyli Tactusowi by się spodobało? – pyta Victra.

Podłączyła się, więc słyszę też i jej głos. Śmieję się.

– A było coś, co mu się nie podobało?

– Ubrania, zasadniczo – odpowiada Mustang ze swojego mostka. Ona też nosi zbroję bojową. Złotą, z czerwonym lwem ryczącym na piersi.

– I trzeźwość – dodaje Victra.

– Ten księżyc wali głównem – mamrocze Błazen ze swojego astroPancerza. – Cuchnie gorzej niż w zdechłym koniu.

– Siedzisz w pancerzu i w próżni – rzuca Holiday, przeciągając zgłoski. Słyszę w tle jej głosu szczęk i pokrzykiwanie ludzi w hangarze mojego statku. Ma na twarzy niebieski odcisk dłoni. Prezent od któregoś z Obsydianowych. – Więc to raczej nie księżyc cuchnie.

– Ehm... Czyli to moja robota? – mówi Błazen. – Tak, zgadza się, to ja.

– Mówiłam, żebyś wziął prysznic – mamrocze Pestka.

– Siedemnasta zasada Wyjca: tylko Piksy biorą prysznic przed walką – odzywa się Sevro. – Lubię, kiedy moi żołnierze są dzicy, cuchnący i seksowni. Jestem z ciebie dumny, Błazen.

– Dziękuję, dowódco.

– Threka! Natychmiast zabezpiecz broń! – krzyczy Holiday. – Wybacz. Ci parszywi Obsydianowi stale łożą z palcem na cynglu. To jest przerażające.

– Dlaczego śmiejemy się i gadamy jak dzieci? – dudni Sefi przez system łączności, aż mi bębenki w uszach dygocą.

– W mordę jeża, kurza twoja mać! – krzyczy Sevro.

Tubalny głos Sefi wywołuje chór przekleństw.

– Zmniejsz wyjściową głośność nadajnika! – warczy na nią Błazen.

– Nie rozumiem...

– Wyjściową...

– Co to znaczy „wyjściowa”?

– Przydomek „milcząca” jest trochę mylący, co? – pyta Victra.

Mustang parska śmiechem.

– Sefi, pochyl się – warczy Holiday. – Nie sięgam. Pochyl się.

Holiday znalazła Sefi w hangarze i pomaga jej zmniejszyć głośność. Obsydianowa królowa nawet w nocy nie rozstaje się ze swoją nową pięścią impulsową, ale ma braki w rozumieniu działania sprzętu łącznościowego.

– Zatem, jak zapytała duża dziewczynka, jest jakiś powód dla tego *tête-à-tête*? – pyta Holiday.

– To tradycja, Holi – odpowiada Sevro, naśladując jej nosowy sposób mówienia. – Żniwiarz jest sentymentalny. Pewnie walnie nam mówkę.

– Żadnej mowy – obiecuję.

Moja mała dziwaczna rodzina jęczy i gwizdże.

– Nie każesz nam buntować się, buntować się, gdy światło się mroczy ³?
– pyta Sevro.

Jednak żart brzmi dziwnie, gdy pomyślę, że tak właśnie mógłby powiedzieć Roque. Znowu ściska mnie w piersi. Tak bardzo kocham tę bandę odmieńców i wiarołomców. Tak bardzo się o nich boję. Chciałbym ich przed tym uchronić. Znaleźć jakiś sposób, żeby oszczędzić im nadchodzącego piekła.

– Cokolwiek się stanie, pamiętajcie, że to my jesteśmy szczęściarzami – mówię. – To my możemy coś dzisiaj zmienić. Jesteście jednak moją rodziną. Bądźcie więc dzielni. Chronicie siebie nawzajem. I wróćcie do domu.

– Ty też, szefie – mówi Sevro.

– Zerwijcie okowy – odzywa się Mustang.

– Zerwijcie okowy – powtarzają moi przyjaciele.

Sevro wykrzywia twarz, gdy ryczy:

– Wyjcie, a teraz...

– Aaaaauuuuu!

Wyją jak idioci i śmieją się. Jeden po drugim ich obrazy gasną i zostaję sam w swoim hełmie. Biorę wdech i wypowiadam w myślach modlitwę do kogokolwiek, kto słucha. Zachowaj ich od złego.

Mój hełm cofa się w głąb pancerza. Niebiescy patrzą na mnie znad ekranów. Mała grupka Czerwonych i Szarych żołnierzy stoi przy drzwiach: czekają, żeby odeskortować mnie do hangaru. Tak wiele nici żywota krzyżuje się w tej chwili wokół mnie, z tak wielu różnych światów... Ile z nich się wystrzępi? Ile zostanie dziś przerwanych? Victra uśmiecha się do mnie i mam wrażenie, że już jesteśmy zbyt wielkimi szczęściarzami, by ten dzień zakończył się radośnie. Nie powinno jej tu być. Powinna znajdować się na drugim krańcu pustki przy sterze wrogiego krążownika. A jednak jest tutaj, z nami, szuka odkupienia, choć myślała już, że nigdy go nie znajdzie.

– Raz jeszcze skoczmy w wyłom, przyjaciele ⁴ – mówi.

– Raz jeszcze – powtarzam i zwracam się do załogi. – Jak się czujecie?

Odpowiada mi zakłopotane milczenie. Patrzą po sobie. Nie bardzo wiedzą, jak odpowiedzieć. Aż wreszcie młoda łyśa Niebieska wyrywa się ze swojego stanowiska:

– Jesteśmy gotowi zabić paru parszywych Żółtych... dowódco.

Wybuchają śmiechem, uchodzi z nich całe napięcie.

– Ktoś jeszcze? – woła Victra.

Ryczą w odpowiedzi. Żołnierze – niektórzy ledwie osiemnastoletni, inni równie starzy jak byłby teraz Lorn – przytupują podbitymi stałą butami o pokład.

– Połącz mnie z flotą – rozkazuję. – Prześlij to na otwartej częstotliwości do Żywego Srebra. Niech Złoci na pewno mnie słyszą, żeby wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Virga kiwa głową. Nadaję na żywo.

– Przyjaciele, mówi Żniwiarz.

Mój głos niesie się przez główny system łączności na wszystkich stu dwunastu okrętach wojennych mojej floty, w tysiącach myśliwców, w pijawkach i maszynowniach, w izbach chorych, gdzie lekarze i świeżo mianowane pielęgniarki spacerują wśród pustych łóżek z wykrochmaloną białą pościelą, czekając na potop. Za trzydzieści osiem minut Żywe Srebro i Synowie Aresa na Marsie usłyszą te słowa i wzmocnią sygnał, żeby dotarł do Rdzenia. To, czy nadal będziemy wtedy żyli, zależy od mojego tańca z Roque'em.

– W kopalniach, w kosmosie, w mieście i na niebie wiedliśmy swoje życie w strachu. W strachu przed śmiercią. W strachu przed bólem. Dzisiaj obawiamy się tylko tego, że zawiedziemy. Nie możemy zawieść. Stoimy na krawędzi ciemności, trzymając ostatnią pochodnię, jaka została człowiekowi. Ta pochodnia nie zgaśnie. Nie zgaśnie, dopóki oddycham. Dopóki nasze serca biją w piersi. Dopóki nasze statki nadal są groźbą. Niech inni marzą. Niech inni śpiewają. My, nieliczni, jesteśmy ogniem naszych ludzi. – Uderzam się w pierś. – Nie jesteśmy Czerwoni, Niebiescy, Złoci ani Szarzy czy Obsydianowi. Jesteśmy ludzkością. Jesteśmy przypływem. Dzisiaj odzyskamy życie, które nam skradziono. Wybudujemy przyszłość, jaką obiecaliśmy. Strzeżcie swych serc. Strzeżcie przyjaciół. Przejdźcie za mną przez tę złą noc, a obiecuję wam, że po drugiej stronie czeka poranek. A do tej chwili zrywajcie okowy! – Zdejmuję brzytwę z ręki i nadaję jej kształt sierpaka. – Wszystkie jednostki, przygotować się do walki.

Bitwa o Ilion

W trzewiach jednego z moich statków, *Wieczornego Przypływu*, rozbrzmiewają czerwone bębny plemienne, z głośników dudni wojskowa wersja Zakazanej Pieśni, niezachwiana melodia sprzeciwu. Suniemy na spotkanie armady Miecz. Nigdy nie widziałem równie licznej floty. Nawet kiedy szturmowaliśmy Marsa. Wtedy to były tylko dwa rywalizujące rody, które wezwały sojuszników. A to jest konflikt ludów. Zatem siły są stosownie wielkie.

Niestety Roque i ja nauczyliśmy się u tych samych nauczycieli. Zna bitwy Aleksandra, wojsk Hanów, Trafalgar. Wie, że największym zagrożeniem dla przytłaczającej siły jest brak komunikacji, chaos. Dlatego nie przecenia potęgi swojej floty. Dzieli ją na dwadzieścia mniejszych mobilnych oddziałów, dając każdemu pretorowi względną autonomię, żeby uzyskać szybkość i elastyczność. Nie stajemy przed jednym potężnym młotem, ale przed rojem brzytw.

– To koszmar – mruczy Victra.

Spodziewałem się, że Roque to zrobi, ale mimo to przeklinam na ten widok. Podczas każdej walki w kosmosie musisz zdecydować, czy zniszczysz statek wroga, czy go przejmiesz. On najwyraźniej jest zdecydowany na abordaż. Nie możemy więc uderzyć w nich z całą mocą i mieć nadziei, że się nam uda. Nie możemy też od razu zwabić jego floty do mojej pułapki. Przeszliby przez nią czystą, brutalną siłą i zabiliby Wyjców. Wszystko zależy od jedynej przewagi, którą dysponujemy – i nie są nią nasze statki. Nie jest nią sto tysięcy Obsydianowych, których upchałem na pijawkach. Liczę na to, że Roque uważa, że mnie zna, więc cała jego strategia będzie opierać się na przewidywaniach dotyczących mojego zachowania.

Zdecydowałem więc przebić jego ocenę mojego szaleństwa i pokazać mu, jak słabo rozumie psychologię Czerwonych. Dzisiaj poprowadzę *Paxa*

w misję samobójczą, prosto w serce jego floty. Jednak to nie ja zaczę bitwę, lecz Orion, lecąca przede mną na *Skowycie Persefony* z trzema czwartymi moich sił. Jednostki zbierają się w kule. Najmniejsze z korwet mają po czterysta metrów długości, ale większość stanowią długie na pół kilometra destruktory. Jest też parę niszczycieli i cztery ogromne drednoty. Obie strony odpalają pociski dalekiego zasięgu. Obie strony wystrzeliwiają komputerowo sterowane miniaturowe środki defensywne. A potem Roque rusza błyskawicznie, czarna przestrzeń między dwoma flotami wybucha ogniem zaporowym, pociskami, ładunkami z dział EM. W kilka sekund zostaje zużyta amunicja warta miliardy kredytów.

Orion zmniejsza dystans do floty Roque'a, podczas gdy okręty Mustang i Romulusa mkną ponad biegunem Io ku południowej krawędzi wrogiego szyku, zamierzając uderzyć w jedyne słabe punkty: silniki. Jednakże flota Roque'a jest zwinna i dziesięć eskadr oddziela się od reszty. Ustawiają się najeżonymi bronią burtami na spotkanie okrętów Władcy Księżyca, które wylatują zza południowego bieguna Io, i zalewają je ogniem z broni elektromagnetycznej. Sto tysięcy dział strzela jednocześnie.

Metal rozrywa metal. Statki buchają tlenem i ludźmi.

Ale okręty wojenne zostały stworzone do tego, żeby zbierać cięgi. Potężne metalowe kadłuby są podzielone na zazębające się przedziały niczym w plastrze miodu, co pozwala odciąć miejsca, gdzie powłoka została uszkodzona. Dzięki temu jedno trafienie nie sprawi, że statek straci całe powietrze. Z tych latających fortec wylatuje strumień tysięcy maleńkich, jednoosobowych myśliwców. Roją się w małych eskadrach w przestrzeni niczyjej pomiędzy naszą flotą i jednostkami Roque'a. Niektóre są wypełnione miniaturowymi bombami nuklearnymi zdolnymi zniszczyć okręt wojenny. Piekłonurkowie i wiertacze, szkoleni dzień i noc w symulatorach przez Synów Aresa, towarzyszą zsynchronizowanym ze statkami Niebieskim i przeryniają się przez roje zaprawionych w bojach pilotów, którym przewodzą Złoci w myśliwcach.

Siły Romulusa odrywają się od okrętów Mustang, żeby połączyć się z Orion. Sama Mustang nadal sunie ku sercu formacji wroga, przygotowując drogę dla mojego ciosu.

Zbliżamy się na trzysta kilometrów i teraz odzywają się działa średniego zasięgu. Potężne salwy dwudziestokilogramowej amunicji lecą przez kosmos z prędkością ośmiu machów. Osłony przeciwrakietowe rozkwitają

wzdłuż całej formacji Złotych. Bliżej kadłubów tarcze impulsowe migoczą opalizującym błękitem, kiedy pociski uderzają w nie i odbijają się w pustkę.

Moja grupa uderzeniowa nie wchodzi do głównego starcia. Wkrótce zacznie się walka grup abordażowych. Pijawki wylatują setkami. Agresywni pretorzy opróżnią swoje okręty z żołnierzy i Obsydianowych, żeby zająć wrogie jednostki, które zgodnie z prawem po walce staną się ich własnością. Ci konserwatywni będą trzymali ludzi przy sobie, żeby bronić się przed grupami abordażowymi i wykorzystać swoje statki jako główne narzędzie walki.

– Orion dała sygnał – odzywa się mój kapitan.

– Ustaw kurs na *Kolosa*. Prędkość taranowania. – Statek dudni mi pod nogami. – Pelusie, celownik jest twój. Nie zważaj na destruktory. Dziś w menu są niszczyciele i większe jednostki. – Statek jęczy, kiedy wyskakujemy do przodu zza floty Orion. – Ciasna eskorta. Dostosować prędkość.

Wyprzedzamy okręty artyleryjskie, a potem długi na cztery kilometry *Skowyt Persefony*. Wynurzamy się przed flotyllę Orion jak ukryta włócznia, pędząc przez pięćdziesiąt kilometrów przestrzeni niczyjej i celując prosto w serce wroga. Flotylla wystrzeliwuje chmury dipoli maskujących, torując nam drogę i osłaniając naszą szaleńczą szarżę. Roque widzi już, co zamierzam. Jego okręt flagowy odsuwa się, zapraszając mnie w środek jego ogromnej formacji i zasypując gradem ognia moją grupę uderzeniową.

Nasze tarcze migoczą niebiesko. Pociski wroga przeemykają przez osłony i karzą nas. Odplacamy się. W przelocie ogniem salwy burtowej omiotamy jeden z niszczycieli. Traci moc. Pijawki wysypują się z niego, próbują prześlizgnąć się przez naszą osłonę, ale moja eskorta roznosi małe stateczki na strzępy. Niemniej jednak obrywamy z dział kilkunastu okrętów. Nasze tarcze jarzą się czerwienią i zaczynają padać, gdy generatory na sterburcie wysiadają z powodu zwarcia. Natychmiast nasz kadłub zostaje przebity w paru miejscach. Włącza się system grodzi, odcinając uszkodzone poziomy od reszty statku. Tracę destruktora: salwa elektromagnetyczna ze znajdującego się pół kilometra dalej drednota Antonii, *Pandory*, uderza w niego od dziobu po rufę.

– Wygląda na to, że mojej siostrze spodobał się mój statek – mówi Victra.

Ciała wypadają z mostku destruktora, ale Antonia nadal ostrzeliwuje zdecydowanie mniejszą jednostkę, aż implodują rdzenie jądrowe jej silników. Dwa białe impulsy świetlne pożerają tylną połowę statku. Fala uderze-

niowa spycha nasz okręt w bok. Nasze tarcze impulsowe wytrzymują, światła tylko przez chwilę mrugają. Coś ogromnego uderza w gruby na dziesięć metrów kadłub za mostkiem. Ściana po mojej prawej stronie wygina się do środka. Kształt pocisku z działa EM rozciąga metal do środka jak obce dziecko brzuch matki. Salwa z osiemdziesięciu dział EM wymierzonych prosto w mostek rozrywa na strzępy półtorakilometrowy niszczyciel, który do nas strzelił. Dwustu ludzi zginęło. Na tym etapie nie bierzemy jeńców. *Pax* jest zdolny do porażającej przemocy. I nie mniej porażająca jest jego wytrzymałość.

Antonia unicestwia kolejny okręt z mojej grupy.

– Straciliśmy *Nadzieję Tinos* – mówi cicho mój Niebieski oficer od sensorów. – *Okrzyk Teb* zaraz wybuchnie.

– Powiedz sternikom *Tinos* i *Teb*, żeby wykonali zwrot o czterdzieści pięć stopni i porzucili statki – warczę.

Tamci wykonują polecenie i zmieniają kurs, żeby staranować okręt flagowy Antonii. Ona odwraca ciąg silników i moje umierające okręty suną przez przestrzeń, nikomu nie robiąc krzywdy. Na jednym z nich dochodzi do wybuchu jądrowego.

Teraz, kiedy znaleźliśmy się w sercu wrogiego szyku, przeciwnik ma przewagę liczby i uzbrojenia. Jesteśmy uwięzieni. Bez szansy ucieczki. Kula formuje się wokół nas. Pozostały mi tylko cztery destruktory. Właściwie trzy.

– Pożary na wielu pokładach – mówi oficer.

– Wybuch amunicji na pokładzie siedemnastym.

– Silniki od pierwszego do szóstego padły. Siódmy i ósmy mają czterdzieści procent mocy.

Pax umiera.

Przed nami majaczy Niszczyciel Księżyców Roque’a. Jest dwa razy dłuższy od mojego statku, ma trzy razy większą średnicę. To latający port wojkowy długi na osiem kilometrów. Ma ogromny półksiężycowaty dziób, przez co przypomina rekina z otwartą paszczą, płynącego bokiem. Odsuwa się od nas w tym samym tempie, w jakim my lecimy. Pilnuje, żebyśmy go nie staranowali, i przez cały czas ostrzeliwuje nas z lepszej broni niż nasza. Roque myślał, że załatwię to w stylu Karnusa – spróbuję staranować jego okręt flagowy. Teraz to niemożliwe. Nasze silniki już prawie wysiadły. Mamy uszkodzony kadłub.

– Wycelować wszystkie dziobowe działa w ich działka EM i wyrzucić rakiet na górnym pokładzie. Osłońcie nas.

Wywołuję hologram statku i zakreślam obszar ostrzału palcem, kierując ogniem. Victra wydaje rozkazy grupom myśliwców, które utrzymaliśmy aż do teraz. Wylatują z rykiem w przestrzeń. *Pax* zwraca główne działa na *Kolosa* i oddaje salwę burtową.

Na tym etapie nie ma znaczenia, co zrobimy. Jesteśmy wilkiem, którego niedźwiedź przyszpilił do ziemi i miażdży nam jedną łapę za drugą, wrywa uszy, oczy, zęby, ale pilnuje, żeby brzuszek pozostał cały i gotowy na rozoranie. Statek dygoce wokół mnie. Niebiescy tracą synchronizację, wymiotują przy stanowiskach, cyfrowe nerwy, do których są podłączeni, umierają jeden po drugim. Mój sternik, Arnus, dostaje ataku drgawek, kiedy silniki zostają zniszczone.

– Straciliśmy *Dancera z Faran* – oznajmia kapitan Pelus. – Nie wykryliśmy żadnych kapsuł ratunkowych.

Mieli tam tylko minimalną załogę, ale to i tak czterdzieści ofiar. Lepsze to niż tysiąc. Zostały mi tylko dwa destruktory z początkowych szesnastu. Za naszymi plecami uganiają się za Antonią, ale jej *Pandora* to czarny, zwalisty potwór. Rozrywa szybkie statki na kawałki, aż zostaje z nich martwy metal. Kiedy kapsuły ratunkowe wylatują z milczących okrętów, Antonia do nich strzela. Victra patrzy w milczeniu na ten mord. Dopisuje go siostrze do rachunku.

Roque prowokuje nas do wystrzelenia pijawek, zbliżając się *Kolosem* do mojego martwego statku. Jest teraz kilometr od nas. Przyjmuje jego zaproszenie.

– Wystrzelić wszystkie pijawki na powierzchnię Niszczyciela Księżyców – mówię. – Teraz. Uruchomić wyrzutnie.

Setki pustych panczerzy zostaje wystrzelonych z wyrzutni, jakby to był Żelazny Deszcz. Dwieście pijawek wylatuje z czterech hangarów. Sunie strumień paskudnego metalu, każda jego cząstka mogłaby nieść pięćdziesięciu moich ludzi prosto w trzewia *Kolosa*. Są sterowane zdalnie przez pilotów na pokładzie *Skowytu Persefony* i pędzą najszybciej, jak to możliwe, żeby pokonać niebezpieczną przestrzeń dzielącą dwa okręty flagowe. Zostają zmiecione, zanim pokonają połowę dystansu, gdy Roque uderza serią małych głowic jądrowych.

Przewidział mój ruch.

Z moich pijawek zostały jedynie szczątki dryfujące między dwoma okrętami. Światła alarmowe rozbłyskują na suficie mostku. Nasze czujniki dalekiego zasięgu wysiadły. Nasze działa zostały zniszczone. Kadłub został rozdarty na wielu pokładach.

– Trzymaj się – mruczę. – Wytrzymaj, *Pax*.

– Mamy transmisję – mówi Virga.

Roque pojawia się w powietrzu przede mną.

– Darrow. – Widzi Victrę. – Victro. To koniec. Wasz okręt został unieruchomiony. Każcie waszej flocie się poddać, a was oszczędzę.

Myśli, że może zakończyć tę rebelię, nie posyłając nas do grobu. Jego arogancja mną wstrząsa. Obaj wiemy, że potrzebuje mojego ciała, by pokazać je światu. Jeśli zniszczy mój statek i mnie zabije, nie znajdzie mnie we wraku. Patrzę na Victrę. Ona splota wyzywająco na pokład.

– Co odpowiecie? – naciska Roque.

Zakrzywiam ordynarnie palce.

– Pierdol się.

Roque patrzy poza kadr.

– Legacie Drusus, proszę wystrzelić wszystkie pijawki. Niech Rycerz Chmur sprowadzi mi Żniwiarza. Żywego albo martwego. Byle tylko dało się go rozpoznać.

Piekłonurek

Patrzę na Niebieskich na stanowiskach. Większość była tu, kiedy zająłem *Paxa*. Kiedy go przemianowałem. Zostali piratami razem z Orion, buntownikami razem ze mną.

– Słyszeliście – mówię. – Dobra robota. *Pax* jest z was dumny. A teraz pożegnajcie się, idźcie do promu i wkrótce się zobaczymy. Nie ma czego się wstydzić.

Salutują i kapitan Pelis otwiera włazy w podłodze przy stanowiskach. Niebiescy zaczynają ześlizgiwać się wąskimi szybami w miejsce, gdzie powinny znajdować się kapsuły ratunkowe, ale my zastąpiliśmy je ciężko opancerzonymi promami. Moja własna jest wbudowana w bok mostku, jednak my z Victrą nie uciekamy. Nie dzisiaj.

– Czas się zbierać, chłopcze – mówi do mnie.

Poklepuję framugę wejścia na mostek.

– Dziękuję, *Pax* – szepczę.

Jeszcze jeden przyjaciel stracony dla sprawy. Biegnę pustym korytarzem za Victrą i żołnierzami. Czerwone światło pulsuje. Syreny wyją. Kadłub wibruje pod uderzeniami. Pijawki Roque’a oblepiają właśnie *Paxa*, wytapiają dziury w jego burtach i pompują Szarych i Obsydianowych, którymi dowodzą Złoci rycerze. Zamiast mnie znajdą porzucony okręt. W ścianie korytarza obok graWindy, do której wsiadamy, jarzy się topniejący krąg. Oranż jaśnieje, aż przybiera barwę słońca. Z głośników nadal niesie się łoskot bębnow. Bach, bach, bach.

Victra zostawia za nami minę, prezent dla grupy abordażowej.

Słyszymy jej wybuch dziesięć poziomów nad nami, kiedy graWinda wypuszcza nas do hangaru rezerwowego na poziomie minus trzecim. Tutaj czeka moja prawdziwa grupa uderzeniowa: trzydzieści ciężkich promów szturmowych stoi z opuszczonymi rampami. W kokpitach Niebiescy przygotowują się do lotu. Pomarańczowi mechanicy pracują wściekle przy silni-

kach, tankują paliwo. Na każdym statku jest setka Walkirii w pełnych zbrojach. Towarzyszą im Czerwoni i Szarzy do zadań specjalnych. Obsydianowi łomocą o ziemię toporami impulsowymi i brzytwami, kiedy przebiegam obok nich. Niesie się ogłuszający okrzyk – moje imię. Pośrodku hangaru znajduję Holiday z Sefi i grupą Walkirii, która będzie moim osobistym oddziałem. Razem z nimi modli się nieduża grupka piekłonurków, o którą poprosiłem Dancera. Są ponad dwa razy niżsi od Obsydianowych.

– Weszli na pokład – rzucam do Holiday. Skinieniem głowy daje znać oddziałowi Czerwonych, którzy biegną, żeby osłonić nam tyły. – Dystans wynosi mniej niż kilometr.

– No nie... – Holiday śmieje się radośnie. – Aż tak blisko!

– Wiem – odpowiadam podekscytowany. – Chcą się zbliżyć, żebyśmy nie mogli zestrzelić ich pijawek.

– Więc teraz damy im całusa – mruczy do Holiday Victra. – Z języczkiem.

Holiday kiwa głową i potrząsa włosami jak popiół.

– Koniec gadania.

Sefi wyjmuję z woreczka garść suszonych grzybów.

– Trochę bożego chleba? Zobaczycie smoki.

– Wojna i bez tego jest straszna, kochanie – odpowiada Victra. A na boku dodaje: – Raz spróbowaliśmy tego gówna z Cassiusem nad Morzem Termicznym, przez tydzień miałam odlot. – Zauważa moje spojrzenie. – To było, zanim poznałam ciebie. Poza tym widziałeś go kiedyś bez koszuli? Tylko nie mów nic Sevro.

Holiday i ja też wymawiamy się od grzybków. W korytarzu odchodzącym od hangaru słychać strzały z broni automatycznej.

– Czas na nas! – wołam do trzech tysięcy Obsydianowych zgromadzonych w promach szturmowych. – Ostrzcie topory! Pamiętajcie szkolenie! *Hyrge la*, Ragnar!

– *Hyrge la*, Ragnar! – ryczą.

To znaczy „Ragnar żyje”. Królowa Walkirii salutuje mi brzytwą i z jej gardła dobywa się pieśń bojowa, która niesie się po czarnym opancerzonym promie: straszliwy, przerażający dźwięk, ale tym razem rozbrzmiewa po mojej stronie. Zabrałem Walkirie do nieba i teraz puszczyć je wolno.

– Victro, wszystko w porządku? – pytam.

Martwi mnie bliskość Antonii. Czy obecność siostry jej nie rozproszy?

– Jest pierwszorzędnie, chłopcze. Pilnuj tego swojego ślicznego tyłeczka. – Klepie mnie w pośladek, a potem cofa się, posyłając mi bezwstydnego całusa, i odbiega do swojego promu. – Będę tuż za tobą.

Zostaję sam z piekłonurkami. Palą szlugi, patrząc na mnie złymi czerwonymi oczami.

– Pierwszy, który się przebiję, dostanie parszywy wawrzyn – zapowiadam. – Zakładajcie hełmy.

Niewiele trzeba mówić takim ludziom. Kiwają głowami i uśmiechają się szeroko. Rozchodzimy się. Podlatuję na grawiButach trzydzieści metrów w górę i ląduję na jednym z czterech świdroSzponów, które skonfiskowaliśmy z kopalni platyny w wewnętrznym Pasie Asteroid. Stoją rzędem na pokładzie hangaru, rozstawione co pięćdziesiąt metrów. Przypominają chwytające powietrze ręce z kokpitami w miejscu łokci, tuzin świdrów opartych o pokład udaje palce. Każdy został wyposażony przez Rollo w silniki manewrowe z tyłu i grube pancerne płyty po bokach. Wślizguję się do kokpitu powiększonego ze względu na moją posturę i zbroję. Wsuwam dłoń w cyfrowy pryzmat sterowniczy.

– Odpalać.

Znajomy szum energii przenika świder, szkło wibruje wokół mnie. Szczere zęby jak wariat. Może rzeczywiście zwariowałem. Wiedziałem jednak, że nie wygram tej bitwy, jeśli nie zmienię paradygmatu. Wiedziałem, że Roque nigdy nie dałby się zwabić w pułapkę ani w Pas Asteroid z obawy przed zasadzką. Zostało mi więc tylko jedno wyjście: ukryć moją pułapkę w słabości jego charakteru. Zawsze pouczał mnie, żebym się wycofał, odnalazł w sobie spokój. Oczywiście wydawało mu się, że wie, jak mnie pokonać. Ja jednak nie walczę dzisiaj jak człowiek, którego znał. Nie walczę jak Złoty.

Jestem parszywym piekłonurkiem, któremu towarzyszy armia z lekka szurniętych olbrzymek i flota najnowocześniejszych okrętów wojennych obsadzonych przez wkurzonych piratów, inżynierów, techników i byłych niewolników. Czy on naprawdę myśli, że wie, jak ze mną walczyć? Śmieję się, kiedy świdroSzpon wstrząsa moim fotelem, wypełnia mnie uśpioną, szaleńczą mocą.

Wroga grupa abordażowa wpada do hangaru tą samą graWindą, którą zjechaliśmy my. Patrzą na ogromne świdry i wyparowują, kiedy prom Victry strzela do nich z bliska z działa elektromagnetycznego.

– Pamiętajcie słowa naszej Złotej przywódczyni – zwracam się do piekłonurków. – Ofiara. Posłuszeństwo. Dobrobyt. To najlepsze aspekty ludzkości.

– Niech się wali – odzywa się jeden z nich przez system łączności. – Już ja jej pokażę mój lepszy aspekt ludzkości.

– Rozgrzać świdry – rozkazuję. Słyszę ich potwierdzenia. – Założyć hełmy. I dajcie czadu.

Przesuwam dźwigienkę rotacji zgodnie z ruchem wskazówek zegara. ŚwidroSzpon wibruje pode mną. Rzeczywistość drży. Zęby mi dzwonią. Metalowy pokład pode mną ugina się. Odpadają stopione płyty metalu. Spadam dziesięć metrów w głąb statku. Wycinam sobie drogę przez pokład w pięć sekund. I przez kolejny. Zapadam się całkowicie i znikam z hangaru. Przeżarty metal otacza mój kokpit. Kolejny pokład ustępuje, i następny. Żar narasta wokół świdra, a ja przelatuję przez statek, zostawiając za sobą Walirie. Zwolnij, a świder się zatnie; zwolnij, a zginiesz. Ta prędkość to puls krwi mojego ludu. Impet zwiększa impet.

ŚwidroSzpon rozkręca się szaleńczo. Przebija się przez kolejne pokłady. Morduje metal zębami z węgla wolframu. Dostrzegam w przelocie inne świdroSzpony przedzierające się przez trzewia statku, lecimy akurat słabo oświetlonymi koszarami. Każdy świder płonie żarem i wali w kolejny pokład. Wspaniały widok. I zarazem straszny. Przebijamy się przez kabinę. Przez zbiornik na wodę, przez korytarz, gdzie grupa abordażowa cofa się przed odłamkami i patrzy ma megalityczny świder przeszywający statek niczym rozżarzone ręce jakiegoś wesołego stalowego boga.

– Nie zwalniać! – ryczę.

Całe ciało dygoce mi w konwulsjach. Nie panuję nad maszyną, za szybko pędzę, świder jest za gorący. A potem... pustka. Przebiłem się przez brzuch *Paxa*. Zagarnia mnie cisza kosmosu. Nieważkość. Szybuję jak włócznie tnąca wodę ku potężnemu *Kolosowi*. Pijawki skierowane na *Paxa* przelatują obok mnie, jedna jest tak blisko, że widzę wytrzeszczone oczy kapitana w kokpicie. Kolejna wpada prosto w rozgrzaną paszczę mojego świdra i w sekundy zostaje rozniesiona na strzępy. Ludzie i szczątki rozpryskują się na boki. Kolejny świder wynurza się z innego miejsca w brzuchu *Paxa*, wypada w kosmos i nurkuje w stronę Niszczyciela Księżyców. Wokół nas szaleje bitwa. Niebieskie eksplozje, potężne zapory ogniowe. Grupa Mustang pędzi wzdłuż obrzeży formacji Roque'a i sypie salwami z burt. Sevro nadal czeka, wciąż się ukrywa.

Wyczuwam konsternację artylerzystów wroga. Znajduję się w samym centrum szyku pijawek. Nie mogą strzelać. Ich komputery w ogóle nas nie rejestrują, nie jesteśmy statkami wroga. Wyglądamy jak potężne szczątki w kształcie ręki od łokcia w dół. Wątpię, żeby na mostku zorientowali się, co widzą, dopóki nie ujrzą nas gołym okiem.

– Odpalić silniki – rozkazuję.

Silniki wstawione do świdroSzponów włączają się za moimi plecami i ciskają mnie na czarną powierzchnię *Kolosa*. Myśliwce rozpoznają zagrożenie i zasypują mnie pociskami z broni maszynowej. Kule wielkości kciuka uderzają bezgłośnie w świder. Mój pancerz wytrzymuje, ale pancerz świdroSzponu obok już nie. Kiedy pocisk z pięciometrowego działa EM na wieżycze Niszczyciela Księżyców przebija kokpit, mordując piekłonurka, świder rozpada się na kawałki. Jeden z odłamków trafia w mój kokpit, szyba pęka. Tuzin kolejnych pocisków rozrywa pijawkę obok mnie. Roque może i nie wie, czym są trzydziestometrowe pociski, które wyleciały z mojego statku, ale jest gotowy zabić własnych ludzi, byle je zatrzymać.

W moją stronę leci rozmazana plama szarego metalu. Pocisk z działa EM wystrzelony przez *Kolosa* przebija się przez trzy pijawki, zanim trafi w dolną część mojego świdroSzponu, w okolice „nadgarstka”. Rozpruwa świder, przebija od dołu podłogę kokpitu pomiędzy moimi nogami, kilka cali od moich jąder, ociera się o pierś i prawie odrywa mi głowę. Uchylam się gwałtownie. Pocisk trafia w metalową podporę. Roztrzaskuje szkło, wygina pręt na zewnątrz, jakby topił metalową słomkę. Łapię gwałtownie powietrze, ogłuszony tym przeniesieniem energii kinetycznej.

Białe plamy rozbłyskują mi przed oczami.

Otrząsam się. Staram się odzyskać zmysły.

Zboczyłem z kursu. Ten sprzęt nie został stworzony z myślą o nawigacji. Zaraz przywalę w pokład Niszczyciela Księżyców.

To nie instynkt mnie ratuje, lecz moi przyjaciele. Silniki świdroSzponu są podpięte do grupy Niebieskich na statku Orion. Któryś z nich w ostatniej chwili odwraca ciąg, więc się nie rozbijam. Przeciężenie wgniata mnie w fotel, gdy świdroSzpon zwalnia, a potem ląduje delikatnie na *Kolosie*. Szarpię się w fotelu i śmieję się ze strachu.

– Psiajucha! – wołam do mojego odległego zbawcy, kimkolwiek jest. – Dzięki!

Jednakże sam świdroSzpon muszę już obsługiwać własnoręcznie. Niebiescy nie potrafią operować palcami, tak jak ja nie obliczyłbym procy gra-

witacyjnej wokół planety. Moje ręce tańczą na sterach, wchodzę w znajomy tryb pracy. Ponownie włączam świder, posługuję się silnikami, żeby wpychały mnie jak gwóźdź w powierzchnię statku. Metal świszczy. Śruby dygocą. Zaczynam przegryzać się przez górną warstwę pancerza, której podobno nie przebije żadna pijawka.

Ciśnienie syczy wokół świdroSzponu. Zwiększam obroty, moje ręce tańczą na sterach, odsuwają przegrzane świdry, wymieniają je na chłodniejsze. Kosmos znika. Wgryzam się w okręt wojenny. Nie idę prostą linią, ale zmierzam ku dziobowi. Jeden pokład. Drugi. Przecinam się przez korytarze i koszary, generatory i szyby gazowe. Nigdy przedtem nie dopuściłem się takiej ohydy, takiego barbarzyństwa. Modłę się tylko, żebym nie natrafił na skład amunicji. Mężczyźni, kobiety i kawałki statku wylatują w przestrzeń jak jesienne liście, wysysani z kolejnych poziomów, które przebijam. Grodzie odetną ranę, ale ci pochwyceni pomiędzy moim tunelem a nimi są na dobrą sprawę martwi.

Po trzystu metrach świdroSzpon się psuje. Świdry się stopiły, silnik się przegrzał. Sięgam do drzwiczek, chcę otworzyć kokpit i porzucić świdroSzpon, ale ręka mi się ślizga na dźwigni. Jest cała we krwi. Oglądam nerwowo swoje ciało. Zbroję mam całą. To nie moja krew. Spływa z prawej ściany kokpitu, z pocisku, który przebił trzy pijawki, zanim wbił się w podporę świdroSzponu. W krzepnącej krwi widzę trochę włosów i kawałek kości.

Porzucam świdroSzpon na pastwę próżni w tunelu, który wyryłem. Powietrze już nie ucieka ze statku. Zapanował spokój, ciśnienie się wyrównało, grodzie awaryjne odcięły uszkodzoną część okrętu. Generatory grawitacji w tej części *Kolosa* musiały oberwać, bo włosy unoszą mi się bezwładnie we wnętrzu hełmu.

Patrzę w górę. Na końcu tunelu, gdzie przebiełem się przez kadłub, widzę dziurkę jak od klucza wychodzącą na gwiazdy. Martwy człowiek dryfuje tuż za nią, kreśląc powolną spiralę. Pada na niego cień, kiedy flagowy okręt Antonii przepływa za nim, zasłaniając światło odbite od powierzchni Jowisza. Podobnie jak tamtego człowieka, mnie również ogarnia ciemność. Sam w brzuchu *Kolosa*. Z systemu łączności dobiega gwar komunikatów i rozkazów. Victra startuje z hangaru. Orion i Władcy Księżyców walczą, zepchnięci z biegunów Io w stronę Jowisza. Okręt flagowy Mustang jest teraz atakowany przez statek Roque'a, podczas gdy Antonia prowadzi resztę floty, po tym jak rody Telemachus i Raa się wycofały.

Sevro nadal czeka.

Trzydzieści metrów nade mną coś się porusza, wysuwa z jednego z przebitych poziomów i zerką w szeroki na dwadzieścia metrów tunel. Mój hełm identyfikuje aktywną broń. Podlatuję do góry, włączając tarczę impulsową, i znajduję młodego Szarego, który patrzy na mnie przez plastikową przyłbicę maski tlenowej. Unosi się w próżni, jedną ręką trzymając się poszarpanej metalowej ściany. Jest zalany krwią, ale nie swoją: obok unosi się ciało jednego z jego przyjaciół. Cały się trzęsie. Mój świder musiał przejść przez cały jego pluton, a potem próżnia wyssała ciała i został sam. W jego oczach, na mój widok, uwidacznia się przerażenie. Podnosi miotacz, a ja reaguję odruchowo. Wbijam mu brzytwę w serce, zamieniam go w trupa. Umiera młodo, z wytrzeszczonymi oczami, i trwa w pionie, dopóki nie oprę nogi na jego piersi, żeby wyciągnąć ostrze. Odlatujemy od siebie. Małe kropelki krwi tańczą wokół mojego ostrza w nieważkości.

Potem generatory grawitacji ponownie się włączają i uderzam stopami o podłogę. Ochlapuje je krew. Ciało chłopaka upada. Światło zza moich pleców zalewa tunel. Odsuwam się od trupa i zerkam w głąb. Widzę prom pędzący przez kosmos. Za nim lecą następne, cała kawalkada okrętów szturmowych prowadzona przez Victrę. Ścigają je myśliwce, ale działa naszych szturmowców ostrzeliwują je wysokoenergetycznymi pociskami wielkości pięści. Roznoszą myśliwce na strzępy. Nadlecą kolejne. Będą ich setki. Musimy działać szybko. Szybkość i agresja to teraz nasza jedyna przewaga.

Okręt Victry zwalnia gwałtownie w tunelu tuż nad świdroSzponem. Wal-kirie wypadają z niego, żeby do mnie dołączyć. Kolejne statki wylądowują wojsko na wyższych poziomach. Holiday i kilku Czerwonych w zbrojach bojowych idą z Obsydianowymi, niosąc sprzęt abordażowy przez pozba-wione powietrza pomieszczenie ku grodzi, która odcina nas od reszty okrętu. Walą wiertłem termicznym w metal, który zaczyna się jarzyć na czerwono. Włączają bąbel tarczy impulsowej wokół otworu, żeby nie uruchomić kolejnych grodzi awaryjnych, kiedy się przebijemy.

– Przejście za piętnaście sekund – mówi Holiday.

Victra stoi z boku, nasłuchując rozmów radiowych wroga.

– Zbliżają się oddziały szybkiego reagowania. Ponad dwa tysiące ludzi, siły mieszane.

Podłączyła się też do systemów dowodzenia Orion, więc zbiera dane z bitwy za pośrednictwem wielkich anten umieszczonych na okręcie flago-

wym. Wygląda na to, że Roque wystrzelił w pijawkach ponad piętnaście tysięcy ludzi. Większość jest teraz na *Paksie*. Będą się przebijać przez poziomy i pokłady, żeby mnie znaleźć. Durne sukinsyny. Roque zaryzykował i źle obstawił. Ja właśnie przyprowadziłem ze sobą trzy tysiące oszalałych Obsydianowych berserków na prawie pusty okręt wojenny.

Poeta się wkurzy.

– Dziesięć – mówi Holiday.

– Walkirie, do mnie! – ryczę, unosząc ręce w geście wskazującym formację trójkąta.

Setka Obsydianowych przestępuje nad szczątkami kantyny i staje za mną, tak jak to trenowaliśmy w drodze na Jowisza. Sefi zajmuje miejsce po mojej lewej stronie, Victra po prawej, Holiday za moimi plecami. Rozgrzane metalowe drzwi uginają się. Czerwoni i Szarzy się cofają. Wszędzie w tunelu na wszystkich dziesięciu poziomach, które przeciąłem, podobne drużyny będą przygotowywać się tak jak my do wejścia w głąb okrętu. Jeszcze dwóm innym świdroSzponom udało się przebić. Tam także do abordażu przystąpią dwa tysiące Obsydianowych. Szarzy, Czerwoni i nieliczni Złoci sympatycy poprowadzą ich przeciwko obrońcom, którzy kolejną i graWindami będą się przemieszczali na nową linię frontu – wewnątrz swojej jednostki.

Rozpęta się prawdziwa burza ognia. Walka wręcz. Dym. Krzyki. Wszystko to, co najgorsze w wojnie.

– Tarcze na pełną moc – mówię w *nagal*, odwróciwszy się twarzą do Walkirii. W ich zbrojach pojawia się niebieskawa opalizacja. – Zabijacie wszystko, co trzyma broń. Nie krzywdzicie nikogo, kto jej nie ma. Bez względu na Kolor. Pamiętajcie o naszym celu. Oczyszćcie mi drogę. *Hyrq la*, Ragnar!

– *Hyrq la*, Ragnar! – odpowiadają gromko, uderzając się w piersi, i pogrążają się w szaleństwie wojny.

Większość z nich wzięła na promie grzybki wprowadzające w bojowy szal. Nie poczują bólu. Przestępują z nogi na nogę, paląc się do walki. Victra wibruje obok mnie. Przypominam sobie, jak siedziałem z nią w laboratorium Mickeya, a ona mi opowiadała, jak kocha zapach bitwy. Starego potu na rękawicach. Smaru broni. Ból mięśni i drżenie rąk po wszystkim. Dociera do mnie, że chodzi o uczciwość tego doświadczenia – to właśnie uwielbia Victra. Walka nigdy nie kłamie.

– Victro, trzymaj się mnie – polecam jej. – Jeśli napotkamy Złotych, ustawiamy się w hydrę.

– *Njar la tagag...* – odzywa się za mną Sefi.

– ...*syn tjr rjyka!*

– Nie ma bólu, jest tylko radość – skandują Obsydianowi, pogrążeni głęboko w objęciach bożego chleba.

Sefi intonuje okrzyk wojenny. Ma wyższy głos niż Ragnar. Dołączają do niej dwie skrzydłowe, potem dwie dalsze i tak dalej, aż całe dziesiątki wypełniają eter swoją pieśnią. Wywołują we mnie wspaniałe wrażenie, chociaż ciało podpowiada mi, żeby uciekać. Dlatego właśnie Obsydianowi śpiewają i skandują. Nie po to, żeby siać zgrozę, ale żeby czuć odwagę i więź zamiast samotności i strachu.

Pot spływa mi po kręgosłupie.

Strach tak naprawdę nie istnieje.

Holiday odbezpiecza broń.

– *Njar la tagag...*

Moja brzytwa sztywnieje.

Broń impulsowa dygoce, jęczy, uzbraja się.

Ciała drżą. Usta napęniają się popiołem. Załóż maskę, ukryj człowieka. Nie czuj nic. Dostrzegaj wszystko. Poruszaj się i zabijaj. Poruszaj się i zabijaj. Nie jestem człowiekiem. Oni nie są ludźmi.

Pieśń narasta.

– *Syn tjr rjyka!*

Strach tak naprawdę nie istnieje.

Jeśli patrzysz na mnie, Eo, to teraz zamknij oczy.

Żniwiarz nadszedł. I przyprowadził ze sobą piekło.

Piekło

– Przejście! – woła Holiday.

Drzwi wypadają. Wbiegam do bańki pola impulsowego otaczającej wyłom. Wszystko się zagęszcza. Widoki, dźwięki, ruchy mojego ciała. Otacza je mgiełka. Holiday rzuca ładunek błyskowy w dwumetrowy otwór w grodzi, światło smaży odsłonięte nerwy wzrokowe po drugiej stronie. Wybucha granat fuzyjny. Wskakuję przez dziurę w dym, na prawo. Victra depcze mi po piętach. Sefi rzuca się w lewo. Ostrzał wroga rozpoczyna się natychmiast. Moja tarcza trzeszczy, jakby grad tłukł w ocynkowany dach. Drugi koniec korytarza jest chaosem rozbłysków z luf i ognia impulsowego. Niemiłosiernie rozgrzane pociski tną dym.

Strzelam z pięści impulsowej, ręka szarpie mi się spazmatycznie. Pochyłam się i odsuwam na bok, żeby nie blokować przejścia. Coś we mnie uderza. Lecę w lewo na ścianę, rozpalone cząsteczki z wyciem wylatują z mojej pięści. Tarcza trzeszczy od pocisków z hiperDziałek: trafiają w barierę energetyczną i spadają rozpląszone na podłogę pod moimi nogami. Kolejni Obsydianowi wypełniają korytarz za mną. Poruszają się niewiarygodnie szybko. Wybucha kakofonia. Mój taktyczny umysł podsuwa mi fakty. Przyszpilili nas. Ludzie umierają w wyłomie. Musimy ruszyć do przodu.

Coś przelatuje z jękiem obok mojej głowy i wybucha w wejściu za moimi plecami. Członki i części pancerzy sypią się na podłogę. Hełm wytłumia potężny hałas, ratując mi bębenki uszne. Ruszam chwiejnie do przodu, żeby opuścić strefę śmierci. Kolejny granat wybucha tuż po tym, jak Obsydianowy rzuca się na niego. Kolejne mięso przepuszczone przez maszynkę. Musimy skrócić dystans. Niczego przed sobą nie widzę. Za dużo dymu. Ogień.

Do diabła z tym.

Z rykiem frustracji aktywuję grawiButy i lecę wąskim korytarzem z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, strzelając w locie. Sunę metr nad podłogą. Victra leci tuż za mną. Naprzeciw nas stoi cały oddział: dwudziestu Szarych, którymi dowodzi Złoty legat w błyszczącej srebrnej zbroi. Wpadam na niego z wyciągniętą brzytwą, przebijam jego tarczę i przeszywam mu mózg. Spadam na podłogę. Przygniatam sobie rękę. Szarzy się rozstępują, zostawiając mnie w środku, kiedy się podnoszę. Jeden strzela mi ładunkiem jonowym w plecy. Niebieska błyskawica migo-cze spazmatycznie na mojej tarczy i przeciąża ją. Dźgam jednego Szarego brzytwą w szyję. Dwóch innych strzela mi w pierś. Mam wgniecenia w napierśniku od kilkunastu pocisków. Zataczam się do tyłu. Ktoś mierzy w moją głowę z ciężkiej broni załadowanej pociskiem przebijającym. Pochylam się i uskakuję w bok, ślizgając się na krwi. Upadam. Broń strzela i robi w podłodze dziurę wielkości ludzkiej czaszki.

A potem Victra wpada na Szarych. Skacze na boki w grawiButach jak rozwścieczona kula rozbiórkowa. Miażdży kości pomiędzy ścianami i swoim ciężko opancerzonym ciałem. Po niej wśród Szarych pojawiają się Obsydianowi i tną ich impulsowymi toporami na kawałki. Szarzy wrzeszczą, wycofują się za róg, gdzie mają wsparcie ogniowe. Sefi odcina jednemu z nich nogi. Szary pada, strzela na oślep w ścianę. Sefi odrywa mu głowę.

To horror.

Dym. Drgające ciała, parująca krew gotująca się w zwęglonych ranach. Uryna umierającego człowieka zbiera się wokół mojej zbroi, sycząc na rozgrzanej lufie pięści impulsowej. Victra pomaga mi wstać.

– Dzięki.

Kiwa głową w przerażającym ptasim hełmie pozbawionym wszelkiego wyrazu.

Reszta mojego plutonu wpada kolejno przez wyłom, a ja ruszam do przodu za róg, gdzie uciekło paru Szarych. Kolejny oddział szybkiego reagowania rozstawia tam pośpiesznie ciężką broń osadzoną na latającej grawiPlatformie jakieś trzydzieści metrów bliżej wejścia do graWindy. Kiedy strzelają z działka, jedna czwarta ściany się topi. Rozkazuję Holiday zająć moje miejsce przy rogu z ambiKarabinem Trigga.

– Cztery Blaszkaki, jeden Złoty – mówię. – Mają QR-13. Rozwal ich.

Przestawia lufę wielofunkcyjnego karabinu.

– Tak jest!

Przy naszym wyłomie leży sześć Walkirii. Hełm potężnej kobiety chowa się w kołnierzu zbroi, a ona wymiotuje krwią. Połowa jej piersi się dymi, stopiona zbroja nadal rozpuszcza jej ciało. Próbuje wstać, śmiejąc się z bólu, naszprycowana bożym chlebem. To jest jednak nowy rodzaj wojny dla tych kobiet i nowy rodzaj ran. Nie mogąc ustać na nogach, Obsydianowa opiera się na siostrze. Ta wzywa Sefi. Młoda królowa patrzy na rany i widzi, jak Victra kręci głową. Sefi uczy się szybciej od pozostałych i dobrze wiedziała, jaką ceną za tę wojnę zapłacą jej ludzie. Jednakże stać czemuś takiemu czoło – to zupełnie co innego. Mówi coś o domu, coś o niebie i piórach w letnim zmierzchu. Ostrze, którym dobija ranną, wbijając je w podstawę jej czaszki, dostrzegam dopiero wtedy, kiedy je wyciąga.

Hologram twarzy Mustang rozbłyskuje w kącie mojego ekranu. Otwieram połączenie.

– Darrow, wszedłeś?

– Tak, razem z ekipą. Napieramy w stronę mostku. Co jest grane?

– Musicie się pośpieszyć. Mój okręt jest pod ciężkim ostrzałem.

– Weszliśmy, powinnaś się wycofać. Obierz kurs na Teby.

– Roque odpalił impuls EM. – Jej głos zdradza napięcie. – Tarcze nas chronią, ale połowa mojej floty ma schrzanione silniki. Siedzimy unieruchomieni, jedynie wymieniamy ciosy. Kiedy tylko twój świdroSzpon uderzył, *Kolos* zaczął strzelać, żeby zabić. Roznoszą nas w drobny mak. Mają przewagę, i to znaczną. Naszym głównym bateriom artyleryjskim została tylko połowa energii.

Robi mi się niedobrze. Roque widzi nas przez kamery rozmieszczone na statku. Wie, jaką siłę ma moja grupa abordażowa. To tylko kwestia czasu, kiedy dotrę na mostek. Wkrótce oznajmi mi przez system łączności, że albo się poddam, albo on zabije Mustang.

– Dotrzyj na ten przeklęty mostek i załatw go, jasne? – prosi Mustang.

– Jasne. – Odwracam się do moich żołnierzy. – Musimy ruszać. Victra, przejmij dowodzenie. Przechodzę na wyświetlacz cyfrowy. Sefi, idziesz przodem.

– Holiday, daj znać kiedy – mówi Victra. Kręci się w korytarzu w tę i z powrotem. – Mała lwica potrzebuje naszej pomocy. No już! Już!

– Zluzuj cycki – mruczy Holiday.

Nastawia karabin, przełączając go na strzał zza rogu. Łączniki lufy przesuwają się w taki sposób, że karabin wygląda teraz zza rogu i przesyła obraz bezpośrednio do bionicznego oka Holiday. Cztery szybkie serie,

każda po trzydzieści pocisków z magazynków na jej plecach, rozrywają działło.

– Już.

Wypadamy z Victrą zza zakrętu, pokonujemy kolejne metry. Jakiś Szary próbuje zająć miejsce zabitego towarzysza przy działku. Załatwiam go pięścią impulsową, a Victra wymienia cztery ciosy *kravat* ze Złotym, zanim przebija mu pierś. Dobijam go ciosem w gardło. Holiday każe swoim komandosom zabrać QR-13; nadążają za nami mimo naszych długich nóg tylko dzięki temu, że nosimy ciężkie zbroje.

Napieramy na mostek galopem. Reszta mojego zespołu kieruje się do innych kluczowych części okrętu z nowo nabytą szaleńczą prędkością. To błyskawiczny atak. Szarzy nie są w stanie poruszać się tak szybko, bo polegają na manewrach, taktyce żabich skoków, ostrzałach zza rogu i technicznych sztuczkach. A Obsydianowi to zwyczajne tarany. Kusi mnie, żeby po prostu gnać przed siebie i skupić się na mostku, ale nie mogę porzucić planu. Moje plutony potrzebują, żebym poprowadził je według map wojсковych, które widzę na moim wewnętrznym wyświetlaczu. Łączę się z Czerwonymi i Szarymi plutonowymi i koordynuję ich ruchy. Victra prowadzi nas przez labirynt metalowych korytarzy i zasadzek. Kiedy moi ludzie zostają przyszpileni, wykorzystuję łączność, żeby przekierować inne oddziały do graWind i korytarzy tak, żeby zaszli z boków zaangażowanych w ostrzał obrońców. To skomplikowany taniec. Nie dość, że ścigamy się z czasem, żeby zapobiec zniszczeniu okrętu Mustang, to jeszcze musimy zdążyć przed powrotem pijawek.

I Roque o tym wie. Dlatego w niecałe trzy minuty po naszym wejściu na okręcie zostaje uruchomiony protokół izolacyjny. Wszystkie graWindy, kolejki i przejścia w grodziach zostają wyłączone, tworząc labirynt przeszkód dzielących statek. Za jednym skokiem możemy pokonać najwyżej pięćdziesiąt metrów. Diabelski system skutecznie blokuje grupy abordażowe, podczas gdy obrona porusza się swobodnie, korzystając z kluczy cyfrowych, zachodząc przeciwnika z boków, tworząc śmiertelnie niebezpieczne zasadzki i biorąc wroga w ogień krzyżowy, który może roznieść na strzępy nawet taki oddział jak mój. Nie da się z tym walczyć. Oto esencja wojny. Bez względu na nowinki techniczne wszystko sprowadza się do tych straszliwych chwil, kiedy kucasz za rogiem, w ustach masz sucho jak pieprz, przyjaciel osłania cię ogniem, a ty starasz się nie potknąć o superno-woczesny sprzęt, który masz na sobie, i nisko pochylony gnasz przed sie-

bie. To nie odwaga, ale strach, że ośmieszysz się przed przyjaciółmi, sprawia, że się nie zatrzymujesz.

Kiedy przetapiamy się przez jedną gródź po drugiej, Walkirie Sefi robią za mięso armatnie. Zasadzki spadają na nas ze wszystkich stron. Widziałem, jak niektórzy z naszych najlepszych wojowników padają z dymiącą dziurą w tyle hełmu zastrzeleni przez Szarego snajpera. Jak topią się pod ostrzałem z pięści impulsowych. Jak padają od ciosów Złotego rycerza otoczonego przez siódemkę Obsydianowych, dopóki Victra, Sefi i ja nie załatwiamy ich brzytwami.

Wszystko po to, żeby dotrzeć na mostek, do człowieka, którego raptem dzień wcześniej mogłem dotknąć. Jeśli taka jest cena honoru, to wolę haniebne morderstwo. Gdybym dźgnął wtedy Roque'a w gardło, Walkirie nie zaścielałyby teraz podłogi.

– Mężczyźni i kobiety z floty Wspólnoty, mówi Żniwiarz. Na wasz okręt wkroczyli Synowie Aresa...

Słyszę własny głos dobiegający z pokładowych głośników. Jeden z moich plutonów dotarł do centrum łączności w drugiej połówce statku. Każda grupa abordażowa w mojej flocie ma kopię przemowy, którą nagrałem z Mustang, żeby ją odtworzyć po wejściu na wrogi okręt. Nawołuję podKolory do wsparcia moich żołnierzy, wyłączenia protokołu izolacyjnego, jeśli będzie to możliwe, albo do otwierania drzwi ręcznie i szturmowania zbrojowni. Większość członków załogi stanowią weterani. Nie można się spodziewać, że zmienią stronę jak załoga *Paxa*, ale każda pomoc się przyda.

Przemówienie trochę nam pomaga na *Kolosie*. Daje nam odrobinę cennego czasu, kiedy omijamy kilkoro drzwi w parę sekund zamiast w parę minut, które byłyby potrzebne, żeby je stopić. Roque z kolei wyłącza sztuczną grawitację, bo patrzy i widzi, że moi Obsydianowi nie mają bojowego doświadczenia w nieważkości.

Wspólnotowi Szarzy napierają korytarzami jak foki sunące pod wodą, mszcząc się na moich szybujących, pozbawionych nadzwyczajnej szybkości Obsydianowych, którzy zmasakrowali wielu z ich przyjaciół. W końcu jedna z moich drużyn włącza z powrotem grawitację. Kazałem im zmniejszyć ją do jednej szóstej ziemskiego ciężenia, żeby moi ludzie nie byli spalniani przez ciężkie zbroje. To błogosławieństwo dla płuc i nóg.

Po przebicciu się przez kolejny oddział Szarych wreszcie docieramy do mostku, poobijani i zakrwawieni. Przykucam zadyszany, podkręcam obieg

tlenu w zbroi. Spływam potem. Aktywuję zastrzyk stymu, żeby nie czuć rozcięcia na bicepsie, gdzie trafiła mnie brzytwa Złotego. Igła wbija mi się w udo. Od innych plutonów przychodzą meldunki, że stracili kontakt z wrogiem, co oznacza, że Roque konsoliduje siły i gdzieś je przekierowuje, najpewniej na nas. Stojąc plecami do drzwi prowadzących na mostek, patrzę na okrągły otwarty przedsionek i przypominam sobie, jak instruktor w Akademii zademonstrował nam geometryczną śmiertelnością pułapkę, którą staje się ta przestrzeń dla każdego, kto oblega mostek na planie gwiazdy. Trzy korytarze z trzech kierunków prowadzą do okrągłego pomieszczenia, pośrodku którego znajduje się graWinda. Tego miejsca nie da się bronić. A żołnierze Roque'a już nadchodzą.

– Roque, kochanie! – woła Victra do kamer w suficie, kiedy Holiday i jej ludzie ustawiają świder przy drzwiach. – Tęsknię za tobą od czasu ogrodu. Jesteś tam? – Wzdycha. – Zakładam, że tak. Słuchaj, rozumiem. Myślisz, że musimy być rozgniewani na ciebie za zamordowanie mojej matki, zabicie naszych przyjaciół, za strzał w kręgosłup, za truciznę, za rok tortur dla naszego kochanego Żniwiarza i dla mnie, ale to nieprawda. Chcemy tylko wsadzić cię do skrzynki. Może do paru skrzynek. Nie chciałbyś? To bardzo poetyckie.

Pozostała trójka komandosów Holiday przytwierdza magnetyczne zaciiski do drzwi i pozycjonuje świder termalny. Holiday wprowadza kilka poleceń i wiertło zaczyna się obracać.

Sefi wraca ze zwiadu. Jej hełm chowa się w kołnierzu zbroi.

– Wrogowie w tunelu. – Wskazuje środkowy korytarz. – Zabiłam przywódcę, ale nadchodzą kolejni Złoci.

Nie tylko zabiła przywódcę, lecz także przyniosła jego głowę. Poza tym kuleje i krwawi z lewej ręki.

– Do diabła, to Flagilus – mówi Victra, przyglądając się jej trofeum. – Był w moim domu w szkole. W gruncie rzeczy słodki facet. Fantastyczny kucharz.

– Ilu, Sefi?

– Wystarczy, żeby dać nam dobrą śmierć.

– Niech to szlag. Szlag, szlag, szlag. – Holiday wali w drzwi za moimi plecami.

– Co, za grube? – pytam.

– Tak. – Zdejmuje hełm szturmowy. Irokez przekrzywił jej się na bok. Napięta twarz ocieka potem. – Drzwi nie są zgodne ze specyfikacjami

reszty statku, pochodzą z zakładów na Ganimesesie. Robota na zamówienie. Co najmniej dwa razy grubsze.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się przebić? – pytam.

– Przy maksymalnej temperaturze? Ze czternaście minut?

– Czternaście?! – powtarza Victra.

– Może więcej.

Odwracam się, sycząc z gniewu. Kobiety wiedzą równie dobrze jak ja, że nie mamy nawet pięciu. Wywołuję Mustang. Nie odpowiada. Jej okręt pewnie właśnie dogorywa. Psiajucha. Nie umieraj. Po prostu nie umieraj, Mustang. Dlaczego w ogóle spuściłem ją z oczu?

– Rzućmy się na nich – mówi Victra. – Prosto w korytarz. Może uciekną jak lisy przed ogarami.

– Tak – zgadza się Sefi. Znalazła w Victrze pokrewną duszę bardziej, niż którakolwiek z nich mogła się spodziewać, zanim razem przelały krew. – Pójdę za tobą, córko słońca. Ku chwale.

– Szczuć na chwałę – odpowiada Holiday. – Niech świder robi swoje.

– A my będziemy siedzieć tu i zdychać jak Piksy? – pyta Victra.

Zanim zdążę odezwać się choć słowem, rozlega się metaliczny szczęk mechanizmu hydraulicznego w ścianie i drzwi się otwierają.

Imperator

Wpadamy na mostek, spodziewając się zasadzki. A tam panuje spokój. Jest czysto, światła są przyćmione, tak jak to lubi Roque. Beethoven płynie z ukrytych głośników. Wszyscy siedzą przy swoich stanowiskach: wymizowane twarze oświetlone bladym światłem. Dwóch Żółtych idzie szeroką metalową ścieżką ponad zagłębionymi stanowiskami ku przodowi mostka, skąd Roque kieruje bitwą przed szerokim na trzydzieści metrów hologramem. Statki tańczą wśród wskazań czujników. Otoczony ogniem przewija obrazy, wydaje rozkazy jak wielki dyrygent wydobywający z orkiestry całą pasję. Jego umysł to piękna i straszliwa broń. Niszczy naszą flotę. Z *Dejah Thoris* Mustang ogień wypływa razem z zapasami tlenu, kiedy *Kolos* i trzy niszczyciele w jego eskorcie walą w nią z dział EM. Ludzie i szczątki statku unoszą się w kosmosie. A to tylko jeden fragment większej bitwy. Ogromna część sił Roque'a, w tym Antonia, ściga Romulusa, Orion i Telemanusów lecących w stronę Jowisza.

Na lewo od nas, w odległości dwudziestu metrów, blisko zbrojowni, oddział taktyczny złożony z Obsydianowych i Szarych zabezpiecza broń i słucha uważnie Żółtych dowódców, przygotowując się do obrony mostka przede mną.

A po prawej, tuż obok nas, przy panelu sterowniczym otwartych teraz drzwi niewidziana i przez nikogo innego na mostku niezauważona trzęsie się drobniutka Różowa w białym mundurku służącej. Pod jej dłońmi ekran zamka jarzy się zielenią. Jej chuda postać wygląda krucho na tle wojny. Patrzy jednak wyzywająco, jej palce opierają się na guziku otwierającym wejście. Na jej usta wypływa przerozkoszny uśmiezek, kiedy zamyka drzwi za nami.

Wszystko to rozegrało się w trzy sekundy. Dostrzega nas Żółty dowódca piechoty.

Wilki, chociaż są tak cudowne, kiedy wyją, najlepiej zabijają w ciszy. Dlatego wskazuję w lewo i Obsydianowi rzucają się na słuchających Złotego żołnierzy. Ten krzyczy, żeby się odwrócili, ale Sefi dopada ich, zanim zdążą unieść broń. Tańczy pośród nich, ostrza śmigają w powietrzu, trafiają w twarze i kolana. Jej Walkirie atakują pozostałych. Padają tylko dwa strzały, zanim ciało Złotego zsuwa się z brzytwy Sefi i z głuchym łoskotem pada na podłogę.

Szarzy strzelają do nas z drugiego końca mostku. Holiday i jej komandosi zdejmują ich. Zsuwam hełm.

– Roque – warczę. Moi ludzie nadal zabijają.

Tymczasem on odwrócił się w moja stronę. Cała jego szlachetność, cały chłód imperatora topi się i zostaje tylko zdumiony, oszołomiony człowiek. Idziemy z Victrą przez mostek, pod nami po obu stronach Niebiescy patrzą na nas skonsternowani i przestraszeni, chociaż ich statek nadal toczy walkę. Dwoje pretorianów Roque'a podchodzi do nas w milczeniu. Obaj noszą czarno-fioletowe zbroje ozdobione srebrnym sierpem księżycy domu Lune. Stajemy na metalowym pomoście w szyku hydra. Victra po prawej, ja po lewej. Moja pretorianka jest niższa ode mnie. Nie ma hełmu, włosy nosi spięte w ciasny koczek, gotowa jest zagarnąć wspaniały wawrzyn dla swojej rodziny.

– Nazywam się Felicia au...

Wykonuję fintę i siekę ją biczem w twarz. Kiedy podnosi ostrze do zasłony, Victra uderza po skosie i przebija jej pępek. Dobijam ją gładkim ścięciem głowy.

– Pa, Felicio. – Victra spluwa i odwraca się do ostatniego pretorianina. – Same mięczaki ostatnimi czasy. Ty jesteś zrobiony z tej samej gliny?

Mężczyzna wypuszcza brzytwę z rąk, pada na kolana, mówi coś o tym, że się poddaje. Victra już ma ściąć mu głowę, kiedy zauważa mnie kątem oka. Niechętnie przyjmuje kapitulację, kopie go twarz i przekazuje naszym Obsydianowym, którzy zabezpieczają mostek.

– Podobają ci się świdroSzpony? – pyta Victra, podchodząc do Roque'a z lewej strony. Pali się do zabijania. – Oto poetycka sprawiedliwość dla ciebie, ty zdradziecka suko.

Niebiescy wciąż tylko patrzą, nie bardzo wiedząc, co mają robić. Oddział, który miał nas przechwycić, zajmuje naszą wcześniejszą pozycję w korytarzu, przed wejściem na mostek. Zostawiliśmy tam świder, ale będą potrzebowali co najmniej dziesięciu minut, żeby pokonać drzwi.

Przez słuchawkę w uchu Roque'a napływają pytania o rozkazy. Eskadry, które wysłał do ataku, dryfują bezwolne i bezbronne. Dowódcy, którzy przywykli, że kieruje nimi niewidzialna ręka, muszą teraz walczyć na ślepo, nie znając całego obrazu pola bitwy. To słabość strategii Roque'a. Indywidualna inicjatywa powoduje teraz chaos, bo centralne kierownictwo zamilkło.

– Roque, każ swojej flocie się wycofać – żądam. Jestem zlany potem. Mam naciągnięte ścięgna podkolanowe. Ręka mi drży z wyczerpania. Robię ciężki krok naprzód. Moje buty dudnią na stali. – Natychmiast.

Patrzy obok mnie na Różową, która wpuściła nas na mostek, i przemawia głosem przeziąkniętym uczuciem zdrady jak kochanek, a nie jak pan:

– Amatheo... ty też?

Młoda kobieta nie jest zawstydzona jego smutkiem. Prostuje ramiona, staje pewnie na nogach. Zdejmuje z kołnierzyka odznakę róży, która oznacza, że jest własnością *gens Fabii*. Rzuca ją na podłogę.

Mojego przyjaciela przechodzi dreszcz.

– Ty cikliwy bufonie. – Victra się śmieje.

Zbliżam się do Roque'a. Moje buty zostawiają krwawy ślad na szarej stali pokładu. Na ekranie za nim wskazuję umierający okręt Mustang. Gwiazdy świecą przez dziury w kadłubie, a mimo to niszczyciele nadal go masakrują. Znajdują się nieco w bok od dziobu *Paxa*, trzydzieści kilometrów bliżej niż jej okręt.

– Każ im przestać strzelać! – mówię, unosząc brzytwę do ciosu. Jego brzytwa wisi przy jego biodrze. Wie, że nie ma sensu sięgać po nią przeciwko mnie. – W tej chwili.

– Nie.

– To Mustang!

– Sama wybrała swój los.

– Ilu ludzi posłałeś? – pytam chłodno. – Ilu ludzi posłałeś na *Paxa*, żeby mnie tu sprowadzili? Piętnaście tysięcy? Ilu jest na tych niszczycielach?

Odsuwam osłonę z terminala na lewym przedramieniu i sprawdzam diagnostykę reaktora na *Paksie*. Pulsuje czerwienią. Odwróciliśmy obieg chłodziwa, żeby reaktor się przegrzał. Wystarczy zwiększyć nieco pobór mocy i wybuchnie.

– Każ im przerwać ostrzał, albo zginą.

Unosi delikatny podbródek.

– Nie mogę wydać takiego rozkazu w zgodzie ze swoim sumieniem.

Wiem, co to znaczy.

– Zatem obaj będziemy go mieli na sumieniu.

Odwraca się do Niebieskiego łącznościowca.

– Cyrusie, każ niszczycielom wykonać manewr wymijający.

– Za późno – mówi Victra.

Każę generatorom pobrać większą moc. Zalewa nas szkarłatna poświata ostrzeżenia jarzącego się na moim terminalu. Na hologramie za plecami Roque’a *Pax* zaczyna buchać niebieskimi strugami ognia. Reagując nerwowo na rozkazy imperatora, niszczyciele przestają strzelać i próbują się oddalić, ale jasne światło imploduje wewnątrz *Paxa*, pochłania metalowe pokłady i zgniata kadłub, aż energia bucha na zewnątrz. Fala uderzeniowa osiąga niszczycieli, miażdży je, spycha je na siebie nawzajem. *Kolos* dygoce i też zostaje odepchnięty, ale tarcze wytrzymują. *Dejah Thoris* dryfuje bez świateł. Oddala się. Mogę się tylko modlić, żeby Mustang żyła. Zagryzam wnętrze policzka, żeby się skupić.

– Dlaczego po prostu nie posłużyłeś się naszymi działami? – pyta Roque, wstrząśnięty utratą ludzi, niszczycieli, tym, że został przechytrzony. – Mogłeś je osłabić...

– Oszczędzam je.

– Ciebie nie ocala. – Odwraca się do mnie. – Moja flota rozproszyła twoją. Zdziesiątkuje jej niedobitki i wróci tutaj, żeby odbić *Kolosa*. Przekonamy się wtedy, jak ci się uda utrzymać mostek.

– Głupi Poeta. Nie zastanawiałeś się, gdzie jest Sevro? – pyta Victra. – Nie mów mi, że go zgubiłeś w tym całym bałaganie. – Kiwa głową na ekran, gdzie flota Roque’a ściga siły Władców Księżyców i Orion, które obrały kurs na Jowisza. – Zaraz wkroczy na scenę.

Kiedy bitwa się zaczęła, najbardziej oddalony z czterech wewnętrznych księżyców Jowisza – Tebe – znajdował się w najdalszym punkcie swojej orbity. Jednakże w miarę upływu czasu zbliżał się coraz bardziej, a jego orbita przecina trasę mojej wycofującej się teraz floty w odległości mniej niż dwudziestu kilometrów od Io. Prowadzona przez okręt flagowy Antonii flota Roque’a ściga moje siły, zgodnie z logiką, żeby dopełnić ich zniszczenia. Nie przewidzieli jednak, że moje statki od początku zamierzały ściągnąć ich na Tebe, do tego przysłowiowego martwego konia.

Kiedy negocjowałem z Romulusem, drużyny pieklonurków wytapiały jaskinie w jałowej skale Tebe. Teraz, kiedy krążowniki i destruktory Roque’a mijają księżyc, z jaskiń wynurzają się Sevro i sześć tysięcy żołnie-

rzy w astroPancerzach. Zaś z drugiej strony wypadają dwa tysiące pijawek z pięćdziesięcioma tysiącami Obsydianowych i czterdziestoma tysiącami wrzeszczących Czerwonych na pokładzie. Działa elektromagnetyczne sieją zniszczenie. Osłony przeciwrakietowe reagują w ostatniej chwili. Moje siły otaczają wroga, przyklejają się do ich kadłubów jak chmura rynsztokowych komarów z Luny, żeby wejść do ich trzewi i przejąć statki od środka.

Nawet moje zwycięstwo zbrukane jest zdradą. Romulus ma własne pijawki ze Złotymi przygotowane do wystrzelenia z powierzchni księżyca, żeby on także mógł zająć część statków i zrównoważyć moje zyski. Ja jednak bardziej ich potrzebuję niż on. Moi Czerwoni zawalają ujścia z tuneli w tym samym czasie, kiedy Sevro startuje. Zanim Romulus zda sobie sprawę z tego sabotażu, moja flota zyska już przewagę liczebną.

– Nie mogłem cię zwabić w pole asteroid, więc ściągnąłem pole do ciebie – wyjaśniam Roque'owi, który obserwuje przebieg bitwy.

– Dobrze rozegrane – szepcze.

Obaj wiemy, że plan zadziała tylko dzięki temu, że ja mam sto tysięcy Obsydianowych, a on nie. W całej jego flocie jest ich najwyżej dziesięć tysięcy. Pewnie bliżej siedmiu. Co gorsza, skąd mógł wiedzieć, że mam ich tak wielu, kiedy każdy inny atak Synów Aresa bazował na Czerwonych? Bitwy wygrywa się, zanim się je zacznie. Nigdy nie miałem dość statków, żeby go pokonać. Teraz jednak moje okręty będą uciekać, wymykać się jego działom, podczas gdy moi ludzie będą roznosić jego jednostki od środka. Powoli jego flota stanie się moją i zacznie strzelać do wszystkich pozostałych jednostek w formacji. Roque nie zdoła się przed tym obronić. Może rozhermetyzować statki, ale moi ludzie będą mieli buty magnetyczne, maski tlenowe. Zabije tylko własnych żołnierzy.

– Przegrałeś – mówię do chudego imperatora. – Nadal jednak możesz ocalić życie wielu ludziom. Każ flocie się poddać.

Kręci głową.

– Zagnaliśmy cię w kozi róg, poeto – odzywa się Victra. – Nie ma stąd wyjścia. Czas zrobić to, co słuszne. Wiem, że dawno tego nie robiłeś.

– I zniszczyć resztki mojego honoru? – pyta cicho Roque, kiedy grupa dwudziestu mężczyzn w astroPancerzach wchodzi do rufowego hangaru pobliskiego niszczyciela. – Nie sądzę.

– Honoru?! – parska Victra. – A jaki honor wyobrażasz sobie, że masz? Byliśmy twoimi przyjaciółmi, a ty nas wydałeś, i to nie po prostu na śmierć,

ale po to, żeby wsadzono nas do pudełek. Razono prądem. Przypalano. Przez rok torturowano dniem i nocą.

Kiedy stoi tu w zbroi, trudno wyobrazić sobie tę jasnowłosą wojowniczkę jako ofiarę. Jednak w jej oczach jest ten szczególny smutek, który pojawia się, gdy człowiek ujrzy pustkę. Gdy poczuje się odcięty od reszty ludzkości. Głos ma nabrzmiały emocjami.

– Byliśmy twoimi przyjaciółmi.

– Przysięgałem chronić Wspólnotę. Wy dwoje złożyliście tę samą przysięgę w dniu, kiedy staliśmy przed lepszymi od nas i przyjmowaliśmy bliźnę. Przysięgaliśmy chronić cywilizację, która dała człowiekowi porządek. I patrzcie, co zrobiliście.

Roque zerka z niesmakiem na stojące za nami Walkirie.

– Nie mieszkasz w bajeczce na dobranoc, skamlący mazgaju – warczy Victra. – Myślisz, że któremukolwiek z nich na tobie zależy? Antonii? Szakalowi? Suwerence?

– Nie – odpowiada cicho. – Nie mam takich złudzeń. Ale nie chodzi o nich. Nie chodzi o mnie. Nie każde życie ma być ciepłe. Czasem chłód jest naszym obowiązkiem. Nawet jeśli odciąga nas od tego, co kochamy. – Patrzy na nią z litością. – Nigdy nie będziesz tym, czego Darrow chce. Musisz to wiedzieć.

– Myślisz, że jestem tu dla niego?

Roque marszczy brwi.

– Więc chodzi o zemstę?

– Nie – odpowiada gniewnie Victra. – Chodzi o coś więcej.

– Kogo próbujesz oszukać? – pyta Roque, kiwając głową na mnie. – Jego czy siebie?

To ją zaskakuje.

– Roque, pomyśl o swoich ludziach – odzywam się. – Ilu jeszcze musi zginąć?

– Jeśli tak ci zależy na ich losie, to każ swoim przestać strzelać – odpowiada. – Powiedz im, żeby wrócili na swoje miejsce i zrozumieli, że życie ma swoją cenę. Wymaga ofiary. Jeśli wszyscy będą brali to, co chcą, ile czasu potrzeba, żeby nic nie zostało?

Serce mi pęka, gdy słyszę, jak to mówi.

Mój przyjaciel zawsze na wszystko patrzył w specyficzny, osobisty sposób. Kierowały nim własne przypyły i odpływy. Nienawiść nie leżała w jego naturze. Podobnie jak w mojej. Świat uczynił nas takimi, jakimi

jesteśmy, i cały ból, który znosimy, ma naprawić głupotę tych, którzy byli tu przed nami, którzy ukształtowali świat na swoje podobieństwo i zostawili nam ruinę swoich uczt. W tęczęwkach jego oczu odbijają się eksplodujące statki.

– To wszystko... – szepcze, przeczuwając nadchodzący koniec. – Była aż tak cudowna?

– Tak. Była taka jak ty. Była marzycielką.

Jest za młody, żeby wyglądać tak staro. Gdyby nie zmarszczki na jego twarzy i dzielący nas świat, wydawałoby się, że raptem wczoraj kucał przede mną, gdy dygotałem na podłodze w zamku Marsa po zabiciu Juliana, i mówił mi, że kiedy zostaniesz rzucony na głębiny, nie masz wyboru. Musisz płynąć albo utoniesz. Powinienem być go bardziej kochać. Zrobiłbym wszystko, żeby zatrzymać go po swojej stronie i okazać mu miłość, na jaką zasługuje.

Niestety życie to teraźniejszość i przyszłość, a nie przeszłość.

Jakbyśmy patrzyli na siebie z odległych brzegów, a rzeka między nami poszerza się, woda przetacza się z rykiem i ciemnieje, aż nasze twarze są bladymi odłamkami księżyca w głębokiej nocy. Bardziej podobni do chłopców, którymi byliśmy, niż mężczyźni, którymi się staliśmy. Widzę na jego twarzy, że podejmuje decyzję. Determinacja odrywa go od tego życia.

– Nie musisz umrzeć.

– Straciłem niezwykłą armadę – mówi, cofając się i zaciskając rękę na brzytwie. Za nim na ekranie pułapka Sevro niszczy główną część jego floty. – Jak mógłbym żyć dalej? Jakby zniósłbym taki wstyd?

– Wiem, co to wstyd. Patrzyłem na śmierć mojej żony. A potem się zabiłem. Pozwoliłem, żeby mnie powiesili. Aby uciec przed bólem. Od tamtego dnia nieustannie dręczą mnie wyrzuty sumienia. To nie jest wyjście.

– Serce mi pęka, gdy pomyślę, kim byłeś; chłopcem, który patrzył na śmierć żony. Serce mi pękło w tamtym ogrodzie. I pęka mi teraz, gdy wiem, ile wycierpieliście. Ale jedyną pociechą był dla mnie obowiązek, a teraz i on został mi odebrany. Próbowałem wyrównać rachunki... ale teraz już nic z tego. Kocham Wspólnotę. Kocham moich ludzi. Nie widzisz tego? – dodaje łagodniej.

– Widzę.

– A ty kochasz swoich. – Nie osądza mnie ani mi nie wybacza. Po prostu uśmiecha się. – Nie mogę patrzeć, jak gasną. Nie mogę patrzeć, jak wszystko płonie.

– Nie spłonie.

– Spłonie. Nasza epoka się kończy. Czuję, że dni stają się krótsze. Światło przygasa nad królestwem człowieka.

– Roque...

– Pozwól mu – odzywa się za moimi plecami Victra. – Sam wybiera swoje przeznaczenie.

Nienawidzę jej za to, że jest taka zimna w tej chwili. Jak może nie dostrzegać, że mimo wszystkich uczynków Roque jest dobrym człowiekiem? To nadal nasz przyjaciel, mimo tego, co nam zrobił.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało, Victro. Wspominaj mnie ciepło.

– W żadnym razie.

Uśmiecha się do niej smutno, zdejmuje odznakę imperatora z lewego ramienia i ściska ją w ręce, czerpiąc z tego siłę. Ale potem rzuca ją na ziemię. Ma łzy w oczach, kiedy zdejmuje drugą.

– Nie zasługuję na nie, ale dziś okryje mnie chwała przegranej, większa niż okryje ciebie z powodu twojego podłego zwycięstwa.

– Roque, posłuchaj mnie, to jeszcze nie koniec. To dopiero początek. Możemy naprawić to, co zepsute. Świat potrzebuje Roque’a au Fabii. – Waham się. – Ja cię potrzebuję.

– Nie ma dla mnie miejsca w twoim świecie. Byliśmy braćmi, ale zabiłbym cię, gdybym tylko mógł.

To jest jak sen – nie mogę wpłynąć na siły, które działają wokół mnie. Nie mogę powstrzymać piasku przed przesypywaniem się między moimi palcami. Uruchomiłem to, ale nie mam serca, siły, sprytu czy co tam, u diabła, jest potrzebne, żeby to powstrzymać. Bez względu na to, co powiem czy zrobię, straciłem Roque’a, gdy tylko odkrył, czym jestem.

Podchodzę do niego, myśląc, że uda mi się wyrwać mu brzytwę, nie zabijając go, ale on wie, co chcę zrobić, więc unosi rękę w błagalnym geście. Jakby chciał mnie pocieszyć i błagać, żebym pozwolił mu umrzeć tak, jak żył.

– Nie ruszaj się. Już noc nad mymi zawisła oczyma ⁵. – Patrzy na mnie oczami pełnymi łez.

– Nie przestawaj płynąć, przyjacielu – mówię mu.

Z lekkim skinieniem głowy owija sobie brzytwę wokół gardła i sztywnieje.

– Jestem Roque au Fabii z *gens* Fabii. Moi przodkowie stąpali po czerwonym Marsie. Spadli na Starą Ziemię. Straciłem ten dzień, ale nie straciłem siebie. Nie będę jeńcem. – Zamyka oczy. Ręka mu drży. – Jestem gwiazdą pośród nocy, jestem ostrzem o zmierzchu. Jestem bogiem, jestem chwałą. – Nabiera powietrza w płuca. Drży. Boi się. – Jestem Złotym.

I tam, na mostku swojego niezwyciężonego okrętu, kiedy za jego plecami jego sławna flota ulega zagładzie, Poeta Dejmosa odbiera sobie życie. Gdzieś wyje wiatr i ciemność szepcze, że zaczyna mi brakować przyjaciół; że kończy mi się światło. Krew spływa ku moim butom. Odłamek mojego odbicia więźnie w jej czerwonych palcach.

Kolos

Victra jest mniej wstrząśnięta niż ja. Przejmuje dowodzenie, gdy stoję nad trupem Roque'a. Jego puste spojrzenie jest utkwione w ziemię. Krew dudni mi w uszach. Wojna jednak trwa. Victra staje nad stanowiskami Niebieskich ze ściągniętą, pełną determinacji twarzą.

– Czy ktoś kwestionuje fakt, że ten statek należy teraz do Powstania? – Nikt się nie odzywa. – Dobrze. Wypełniajcie rozkazy, to zachowacie swoje stanowiska. Jeśli nie chcecie słuchać rozkazów, wstańcie teraz, a zostaniecie jeńcami wojennymi. Jeżeli powiecie, że możecie wypełniać rozkazy, ale tego nie zrobicie, strzelimy wam w głowę. Wybór należy do was.

Siedmioro Niebieskich wstaje. Holiday ich wyprowadza.

– Witajcie wśród Powstania – mówi Victra do pozostałych. – Bitwie jeszcze daleko do końca. Połączcie mnie bezpośrednio ze *Skowytem Persefony* i *Reynardem*. Na główny ekran.

– Czekaj – wtrącam się. – Victro, połącz się przez swój terminal. Nie chcę na razie obwieszczać, że zająłem statek.

Kiwa głową i kilka razy stuka w terminal. Pojawiają się holo Orion i Daxo. Śniada kobieta odzywa się pierwsza:

– Victra, gdzie Darrow?

– Tutaj – odpowiada szybko. – Jaki jest wasz status? Mielicie wieści od Virginii?

– Jedna trzecia wrogiej floty została zajęta. Virginia jest na pokładzie kapsuły ratunkowej, którą zaraz zgarnie *Echo Ismenii*. Sevro jest w korytarzach ich drugiego okrętu flagowego. Sporadyczne meldunki. Posuwa się do przodu. Telemanusowie i Raa biorą w kleszcze...

– To wyrównana walka – odzywa się Daxo. – Będziemy potrzebowali *Kolosa*, żeby przechylił szalę. Ojciec i siostry weszli na pokład *Pandory*. Zaatakowali Antonię...

Mam wrażenie, że ich słowa płyną z innego świata.

Poprzez smutek wyczuwam, że podchodzi do mnie Sefi. Klęka obok Roque'a.

– Był twoim przyjacielem – mówi.

Kiwam głową, odrętwiały.

– Nie odszedł. Jest tutaj. – Dotyka swojego serca. – Jest tam. – Wskazuje gwiazdy na holo.

Patrzę na nią zaskoczony głębią, jaką przede mną odkrywa. Szacunek, który okazuje Roque'owi, nie leczy moich ran, ale sprawia, że czuję mniejszą pustkę z ich powodu.

– Pozwól mu widzieć – dodaje, wskazując jego oczy.

Najczystsze złoto wpatruje się teraz w ziemię. Dlatego zdejmuję pancerną rękawicę i palcami zamykam mu powieki. Sefi uśmiecha się, a ja staję obok niej.

– *Pandora* przemieszcza się do sektora D-6 – mówi Orion o statku Antonii.

Na ekranie okręty Severus-Julii oddzielają się od armady Miecz i ostrze-liwują się, próbując pozbyć się pijawek, które je oblepiły. Przekierowują moc z tarcz na silniki i oddalają się z pola walki.

– A teraz D-7 – dodaje Orion.

– Porzuca ich – mówi osłupiała Victra. – Ten gnój ratuje własną skórę.

Pretorzy Wspólnoty nie mogą uwierzyć własnym oczom. Nawet gdybym skierował przeciwko nim *Kolosa*, siły pozostałyby zrównoważone. Bitwa mogłaby trwać kolejne dwanaście godzin i wyczerpać obie strony. A teraz wszystko się rozpada.

Czy z powodu tchórzostwa, czy zwykłej zdrady Antonia właśnie podała nam zwycięstwo na srebrnej tacy.

– Zostawiła nam szczelinę – mówi Orion.

Patrząc w dal, synchronizuje się z kapitanami swoich statków oraz własną jednostką, przesuując potężny okręt w miejsce, które wcześniej zajmowała Antonia, dzięki czemu oskrzydli główne siły wroga.

– Nie pozwólcie jej uciec! – warczy Victra.

Jednak ani Daxo, ani Orion nie mają wolnych statków, żeby ścigać Antonię. Są zbyt zajęci wykorzystywaniem przewagi, którą dało im jej zniknięcie.

– Możemy ją złapać – mówi do siebie Victra. – Silniki, sześćdziesiąt procent mocy i przygotować się do zwiększenia o kolejne dziesięć procent w ciągu pięciu minut. Sternik, kurs na *Pandorę*.

Oceniam szybko sytuację. Pośród naszej małej bitwy na tyłach strefy wojny jesteśmy jedynym okrętem gotowym do ataku. Reszta to dryfujące wraki. Ale *Kolos* nie podjął jeszcze żadnego działania, nie zadeklarował niczego, co zdradzałoby, że Powstanie przejęło mostek. To dla nas szansa.

– Wstrzymać rozkaz – warczę.

– Co? – Victra obraca się do mnie gwałtownie. – Darrow, musimy ją złapać.

– Trzeba najpierw zrobić coś innego.

– Ona ucieknie!

– Znajdziemy ją.

– Nie, jeśli zyska odpowiednio dużą przewagę. Będziemy tu uwięzani przez wiele godzin. Obiecałeś mi siostrę.

– I spełnię tę obietnicę. Myśl o czymś więcej niż o samej sobie – odpowiadam. – Mostek, opuścić tarcze.

Ignoruję jej gniewne spojrzenie i przechodzę obok ciała Roque’a, żeby zerknąć w ciemność kosmosu. Metalowe tarcze za szklanymi iluminatorami wsuwają się w ściany. W oddali statki migoczą i rozbłyskują na marmurowym tle Jowisza. Io znajduje się pod nami, a daleko na lewo od nas miastoksiężyc, Ganimedes, jarzy się wielki jak śliwka.

– Holiday, przywołaj wszystkich dostępnych żołnierzy do ochrony mostka i zabezpiecz okręt. Sefi, przypilnuj, żeby nikt tu nie wszedł. Sternik, kurs na Ganimedesa. Nie zdradzaj żadnym statkom Wspólnoty, że *Kolos* został przejęty. Czy wyrażam się jasno? Żadnych przekazów.

Niebiescy wypełniają rozkazy.

– Na Ganimedesa? – pyta Victra, patrząc na statek siostry. – Ale Antonia, bitwa...

– Bitwę już wygraliśmy. Twoja siostra o to zadbała.

– Co w takim razie robimy?

Silniki naszego statku dudnią, kiedy wylatujemy spomiędzy wraków *Paxa* i zniszczonej grupy uderzeniowej *Mustang*.

– Wygramy następną wojnę. Wybacz.

Wcieram krew ze zbroi na kolanie w twarz i nasuwam hełm na głowę. Wewnętrzny wyświetlacz w hełmie się rozszerza. Czekam.

Tak jak się spodziewałem, przychodzi połączenie od Romulusa. Sygnał rozbłyskuje po lewej stronie ekranu. Zmieniam rytm oddechu, żeby robić wrażenie, jakbym biegł. Przyjmuję połączenie. Twarz Romulusa wypełnia

jedną ósmą wyświetlacza po lewej stronie. Walczy, ale widzę równie niewiele co on – właściwie tylko jego twarz w hełmie.

– Darrow, gdzie jesteś?

– Gdzieś w korytarzu. – Dyszę i przykucam, jakbym odpoczywał. – Idziemy na mostek *Kolosa*.

– Jeszcze cię tam nie ma?

– Roque uruchomił protokół izolacyjny. Wolno się posuwamy.

– Darrow, posłuchaj mnie uważnie. *Kolos* zmienił trajektorię i kieruje się na Ganimedesa.

– Port – szepczę w udawanym napięciu. – Kieruje się do stoczni. Czy jakkolwiek statek może go przechwycić?

– Nie! Są za daleko. Skoro Octavia nie może wygrać, zamierza nas zniszczyć. Te stocznie to przyszłość moich ludzi. Musisz przejąć mostek za wszelką cenę.

– Dobrze, ale... Romulusie... On ma na pokładzie broń jądrową. A jeśli nie chodzi mu tylko o stocznię?

Romulus błędnie.

– Powstrzymaj go, proszę. Twoi ludzie też są tam na dole.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję. Powodzenia. Pierwsza kohorta, do mnie...

Połączenie się kończy. Zdejmuję hełm. Ludzie patrzą na mnie. Nie słyszeli rozmowy, ale wiedzą, co robię.

– Zniszczysz stocznię Romulusa wokół Ganimedesa – mówi Victra.

– Jasny gwint – mruczy Holiday. – Jasny gwint.

– Niczego nie zniszczę – odpowiadam. – Właśnie przedzieram się przez statek. Próbuję dotrzeć na mostek. Roque wydał ten rozkaz, jego ostatni akt przemocy, zanim przejmę dowodzenie.

Victrze rozbłyskują oczy, ale nawet ona ma opory.

– Jeśli Romulus się dowie, jeśli choćby nabierze podejrzeń, zaatakuje nasze siły i wszystko, co dziś wygraliśmy, obróci się w popiół.

– A kto mu powie? – Rozglądam się po mostku. – Kto mu powie? – Patrzę na Holiday. – Jeśli ktokolwiek wyśle sygnał, strzel mu w głowę. Wyczyść zapisy wideo z całego statku.

Jeśli zniszczę stocznię Ganimedesa, Obrzeże nie zdoła nam zagrozić przez następne pięćdziesiąt lat. Romulus może i jest dzisiaj sprzymierzeńcem, ale wiem, że stanie się zagrożeniem dla Rdzenia, jeśli Powstanie zwycięży. Skoro muszę oddać za to zwycięstwo Roque'a i Synów Aresa z tutej-

szych księżyców, to wezmę coś w zamian. Patrę w dół. Zostawiam czerwone ślady. Nie zdawałem sobie sprawy, że wdepnąłem w krew poety.

Wycinamy sobie drogę przez szczątki floty Mustang i mojej, odrywamy się od Jowisza i lecimy w stronę Ganimedesa. Wyczuwam desperację, kiedy Władcy Księżyców wysyłają swoje najszybsze statki, żeby nas przechwycić. Zestrzeliwujemy je. Cała duma i nadzieja ludzi Romulusa kryje się w taśmach produkcyjnych, warsztatach elektrycznych i nitownicach znajdujących się na tych matowoszarych metalowych pierścieniach. Wszystkie obietnice siły i przyszłej niepodległości znalazły się na mojej łasce.

Kiedy docieram do błyszczącego klejnotu Ganimedesa, ustawiam *Kolosa* równolegle do monumentalnych zakładów przemysłowych, które zbudowano wokół księżyca na wysokości jego równika. Walkirie zbierają się za nami przy iluminatorze. Sefi patrzy z podziwem na majestat i triumf woli Złotych. Dwieście kilometrów portów, doków i stoczni. Setki frachtowców. Miejsce narodzin największych statków Układu Słonecznego, w tym samego *Kolosa*. Jak w każdym porządnym micie o potworze, córka musi pożreć matkę, zanim będzie mogła wypełnić swoje prawdziwe przeznaczenie. A jej przeznaczeniem jest atak na Rdzeń.

– Ludzie to zbudowali? – pyta Sefi z nabożnym szacunkiem.

Wiele jej Walkirii przyklęknęło i patrzy ze zdumieniem.

– Moi ludzie – potwierdzam z naciskiem. – Czerwoni.

– Potrzebowali na to dwustu pięćdziesięciu lat... Tyle mają najstarsze tutejsze doki – dodaje stojąca obok mnie Victra.

Setki kapsuł ratunkowych wylewają się z metalowej skorupy stoczni. Wiedzą, że tu jesteśmy. Ewakuują starszych rangą administratorów, nadzorców. Nie łudzę się. Wiem, kto zginie w tym ostrzale.

– Wciąż pozostaną tam tysiące Czerwonych – odzywa się cicho do mnie Holiday. – Pomarańczowi, Niebiescy... Szarzy.

– On to wie – odzywa się Victra.

Holiday nie odstępował ode mnie.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, dowódco?

– Czy chcę? – pytam głucho. – Od kiedy cokolwiek z tego miało coś wspólnego z moimi pragnieniami?

Odwracam się do sternika i już mam wydać rozkaz, kiedy Victra kładzie mi rękę na ramieniu.

– Podziel się tym brzemieniem, mój drogi. Niech to pójdzie na mnie. – Jej głos Aureuski rozbrzmiewa wyraźnie i głośno. – Sternik, salwa burtowa

z lewej. Wyrzutnie od dwudziestej pierwszej do pięćdziesiątej niech celują w linię centralną pierścienia.

Stoimy ramię w ramię i patrzymy, jak nasz okręt niszczy bezbronne porty i stocznie. Sefi patrzy z nabożnym podziwem. Oglądała holo z walk floty, ale aż do tej pory jej wojna sprowadzała się do wąskich korytarzy, ludzi i strzelanin. Teraz pierwszy raz widzi, czego może dokonać okręt wojenny. A ja pierwszy raz widzę jej strach.

To zbrodnia, że taki cud ma zginąć w taki sposób. Bez pieśni. Tylko cisza i nieruchomy wzrok gwiazd obwieszczą koniec jednego z wielkich pomników Złotej Ery. W głębi umysłu słyszę szept odwiecznej prawdy ciemności.

Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć...

Ta chwila jest smutniejsza, niż tego chciałem. Odwracam się do Sefi. Doki walą się w gruzy. Ich potrzaskane fragmenty spadają, by wylądować w morzu albo w miastach Ganimesesa.

– Statek musi zostać przemianowany – mówię. – Chciałbym, żebyś to ty wybrała mu nowe imię.

Jej twarz jest zalana białym światem.

– *Tyr Morga* – oznajmia bez wahania.

– Co to znaczy? – pyta Holiday.

Znów wyglądam przez iluminator, kiedy eksplozja rozrywa stocznię i kapsuły ratunkowe rozbłyskują na tle Ganimesesa.

– Gwiazda Zaranna.

Część IV

Gwiazdy

*Synu, ach, mój synu,
wspomnij czas niewoli,
erę rządów Złotych, kajdan i niedoli.
Burzyliśmy się, grzmieli,
by naszą dolinę
wyszarpać; by zdobyć
lepszyc snów krainę.*

Eo z Lykos

Grom i błyskawica

Armada Miecz została pokonana. Ponad połowę jej statków zniszczono. Jedna czwarta została przejęta przez moje siły. Niedobitki uciekły albo z Antonią, albo w małych, udreńczonych grupkach, zbierając się wokół ocalałych pretorów, żeby czmychnąć do Rdzenia. Wysłałam Thraxę i jej siostry na szybkich korwetach pod dowództwem Victry, żeby dopadły Antonię i odzyskały Kavaxa, który został pochwycony przez jej ludzi, kiedy próbował wejść na pokład *Pandory*. Poprosiłem Sevro, żeby towarzyszył Victrze, bo nie chciałem ich rozdzielać, ale poleciał na jej statek, a potem wrócił na pół godziny przed odlotem, wściekły i milczący. Nie chciał powiedzieć, co się stało.

Mustang z kolei wychodzi z siebie, zamartwiając się o Kavaxa, chociaż stara się być dzielna. Sama poprowadziłaby misję ratunkową, gdyby nie była potrzebna w głównej flocie. Naprawiamy to, co się da, żeby statki nadawały się do podróży. Torpedujemy te, których nie da się uratować, i szukamy wśród wraków ludzi, którzy przeżyli. Między Powstaniem i Obrzeżem utrzymuje się kruchy sojusz, który nie przetrwa zbyt długo.

Bitwa miała miejsce dwa dni temu. Nie spałem od tego czasu – chyba podobnie jak Romulus. Oczy ma pochmurne z gniewu i wyczerpania. Stracił wtedy syna i rękę, ale zarazem stracił dużo więcej. Żaden z nas nie mógł ryzykować osobistego spotkania, więc została nam tylko ta holokonferencja.

– Zgodnie z obietnicą masz swoją niepodległość – mówię.

– A ty swoje statki. – Za jego plecami wznoszą się marmurowe kolumny zdobione ptolemejskimi wizerunkami. Przebywa w Wiszącym Pałacu na Ganimesie. To serce ich cywilizacji. – Ale nie wystarczą do pokonania Rdzenia. Pan Popiołów będzie na ciebie czekał.

– Oby. Mam plany wobec jego pani.

– Polecicie na Marsa?

– Być może.

Zapada pełna zadumy cisza.

– Jedna rzecz ciekawi mnie odnośnie do bitwy. Na żadnym ze statków, na które weszli moi ludzie, nie było broni nuklearnej o większej mocy niż pięć megaton. Mimo twoich twierdzeń. Mimo twoich... dowodów.

– Moi ludzie znaleźli ich aż nadto – kłamię. – Zapraszam na pokład, jeśli wątpisz. Nie ma nic dziwnego w tym, że trzymał je na *Kolosie*. Chciał je mieć na oku. Mamy szczęście, że zdołałem zająć mostek w ostatniej chwili. Stocznie można odbudować. Życia nie.

– Naprawdę je mieli? – dopytuje się Romulus.

– Czy ryzykowałbym przyszłością swoich ludzi dla kłamstwa? – Uśmiecham się ponuro. – Twoje księżyce są bezpieczne. Sam teraz definiujesz swoją przyszłość, Romulusie. Nie zaglądamy darowanemu koniowi w zęby.

– W rzeczy samej – mówi, chociaż teraz już przejrzał moje kłamstwo.

Wie, że nim manipulowałem. Musi jednak sprzedać me słowa swoim ludziom, jeśli chce pokoju. Nie stać ich teraz na wojnę ze mną, a tego wymagałby od nich honor, gdyby wiedzieli, co zrobiłem. A ja i tak najprawdopodobniej bym wygrał, mam teraz więcej okrętów. Chociaż zraniliby mnie dostatecznie poważnie, żeby przekreślić moją szansę na wojnę z Rdzeniem. Dlatego Romulus przełyka moje kłamstwa. A ja przełykam poczucie winy po tym, jak pozostawiłem w niewoli setki milionów ludzi i osobiście skazałem tysiące Synów Aresa na śmierć z rąk policji Romulusa. Ostrzegłem ich, ale nie wszyscy uciekną.

– Chciałbym, żeby twoja flota odleciała przed upływem dnia – mówi Romulus.

– Potrzeba trzech dni na przeszukanie wraków. Potem odleciemy.

– Dobrze więc. Moje statki odeskortują was do granicy, co do której się zgodziliśmy. Po tym, jak twój okręt flagowy wleci w pas asteroid, nie będzie ci tu wolno wrócić. Jeśli choćby jeden statek pod twoim dowództwem przekroczy tę granicę, znajdziemy się w stanie wojny.

– Pamiętam warunki.

– Dopilnuj tego. Pozdrów ode mnie Rdzeń. Ja z pewnością pozdrowię od ciebie Synów Aresa, których tu porzucasz.

Tak kończy naszą rozmowę.

* * *

Odlatujemy trzy dni po mojej konferencji z Romulusem, dokonując dodatkowych napraw w czasie podróży. Spawacze i mechanicy oblażą kadłuby jak życzliwe pąkle. Straciliśmy w bitwie ponad dwadzieścia pięć dużych okrętów, ale zdobyliśmy ponad siedemdziesiąt. Zwycięstwa są jednak zdecydowanie mniej romantyczne, kiedy musisz zmywać swoich przyjaciół z podłogi.

Łatwo jest być śmiałym w jednej konkretnej chwili, bo masz tylko to, co możesz podczas niej przetworzyć: widok, zapach, smak, odczucia. A to bardzo drobna część rzeczywistości. Potem jednak, kiedy wszystko ulega dekompresji i rozwija się po trochu, dociera do ciebie zgroza tego, co zrobiłeś i co się stało z twoimi przyjaciółmi. To przytłaczające. To przekleństwo walki we flocie. Walczysz, a potem miesiącami czekasz, zajęty tylko nużącą rutyną. A potem znowu walczysz.

Nie powiedziałem jeszcze moim ludziom, dokąd żeglujemy. Nie pytają. W przeciwieństwie do oficerów. I znowu udzielam im tej samej odpowiedzi:

– Lecimy tam, dokąd musimy.

Trzon mojej armii stanowią Synowie Aresa, a oni już sporo przeszli. Organizują tańce i spotkania, wmuszają w siebie radość mimo zmęczenia wojną. To się chyba udziela też innym. Ludzie pogwizdują w korytarzach, kiedy oddalamy się od Jowisza. Przyszywają odznaki oddziałów do mundurów, malują astroPancerze w dzikie kolory. Panuje żywa atmosfera, jakże różna od chłodnej precyzji Floty Wspólnoty. Nadal trzymają się raczej w obrębie swoich Kolorów, łącząc się z innymi tylko wtedy, kiedy wymaga tego wyznaczone zadanie. Nie jest tak harmonijnie, jak myślałem, że będzie, ale zawsze to jakiś początek. Czuję się oderwany od tego wszystkiego, nawet kiedy uśmiecham się i dowodzę najlepiej, jak potrafię. Na korytarzach zabiłem dziesięciu ludzi. Kiedy zniszczyliśmy stocznie, zabiłem trzynaście tysięcy swoich. Ich twarze mnie nie prześladową. Trudno jednak wyzbyć się uczucia zgrozy.

Nie zdołaliśmy na razie skontaktować się z Synami Aresa. Nie ma łączności na żadnym kanale. A to znaczy, że Narolowi udało się zniszczyć anteny, tak jak obiecał. Złoci i Czerwoni są teraz równie ślepi.

Urządzam Roque'owi pogrzeb, jakiego by sobie życzył. Nie w ziemi jakiegoś obcego księżycy, ale w słońcu. Ma trumnę z metalu: to torpeda z włazem, przez który wsuwam z Mustang jego ciało. Wyjce wykradli go z przepełnionej kostnicy, żebyśmy mogli w tajemnicy się z nim pożegnać.

Po tym, jak tylu moich ludzi zginęło, nie wypada, żeby widziano mnie, jak oddaję tak wielką cześć wrogowi.

Niewielu opłakuje śmierć mojego przyjaciela. Roque, jeśli zostanie zapamiętany przez swoich ludzi, to na zawsze jako Ten, Który Stracił Flotę. Współczesny Gajusz Terencjusz Warron, głupiec, który pozwolił się otoczyć Hannibalowi pod Kannami. Albo Alfred Jones, amerykański generał, który podczas Podboju oszalał i stracił przerażającą dywizję zmechanizowaną. Dla moich ludzi to po prostu jeszcze jeden Złoty, który uważał się za nieśmiertelnego, dopóki Żniwiarz nie dowiódł mu, że jest inaczej.

To wielka oznaka samotności: nieść martwe ciało kogoś, kogo się kochało. Jak wazon, o którym wiesz, że nigdy już nie będzie w nim kwiatów. Żałuję, że nie wierzył w życie pozagrobowe równie mocno jak kiedyś ja, jak Ragnar. Nie jestem pewien, kiedy straciłem wiarę. To chyba nie wydarza się nagle. Może zostałem jej pozbawiony po trochu, udawałem, że wierzę w Dolinę, bo to łatwiejsze od alternatywy. Chciałbym, żeby Roque wierzył, że idzie do lepszego świata. On jednak zginął, wierząc tylko w Złoty, a nic, co wierzy tylko w siebie, nie odchodzi radośnie w noc.

Kiedy przychodzi moja kolej, żeby się pożegnać, gapię się na jego twarz i widzę tylko wspomnienia. Myślę o nim, jak leżał na łóżku i czytał przed galą, zanim go dźgnąłem środkiem usypiającym. Widzę go w garniturze, jak prosi, żebym wybrał się razem z nim i Mustang do opery w Agei, mówiąc, że spodoba mi się niedola Orfeusza. Widzę go śmiejącego się przy ognisku w jej posiadłości po bitwie o Marsa. Widzę, jak obejmuje mnie i płacze po tym, jak wróciłem do Domu Marsa, gdy byliśmy ledwie chłopcami.

Teraz jest zimny. Ma podkrążone oczy. Cała obietnica młodości ulotniła się. Wszelka możliwość rodziny, dzieci, radości, wspólnego starzenia się i odnajdywania mądrości zniknęły przeze mnie. Przypomina mi się Tactus i łzy napływają mi do oczu.

Moim przyjaciółom, zwłaszcza Wyjcom, szczególnie podoba się to, że pozwoliłem Cassiusowi przyjść na pogrzeb. Nie mogłem jednak znieść myśli o posłaniu Roque'a w słońce bez pożegnalnego pocałunku Bellony. Nogi ma skute, ręce w magnetycznych kajdankach unieruchomione za plecami. Uwalniam je, żeby mógł właściwie się pożegnać. Co rzeczywiście robi. Pochyla się i całuje Roque'a w czoło.

Sevro, nawet teraz bezlitosny, zatrzaskuje metalową pokrywę, ledwie Cassius skończy. Podobnie jak Mustang, przyszedł tu dla mnie, na wypadek

gdybym go potrzebował. Nie kochał tego człowieka, nie miał serca dla kogoś, kto zdradził mnie i Victrę. Lojalność jest dla niego wszystkim, a jego zdaniem Roque nie miał jej ani krztyny. Podobnie uważa Mustang. Roque zdradził ją równie ochoczo jak mnie. Za cenę życia jej ojca. I chociaż rozumie, że Augustus nie był najlepszym z ludzi, to jednak był jej ojcem.

Przyjaciele czekają, aż wykonam jakiś gest. Nie mam jednak do powiedzenia niczego, co by ich nie rozzłościło. Dlatego tak jak zaproponowała mi Mustang, oszczędzam im zniewagi w postaci słuchania pochwał pod adresem człowieka, który podpisał na nich wyrok śmierci i zamiast tego recytuję najbardziej stosowne linijki z jednego z jego ulubionych wierszy.

*Już cię nie strwożą pożogi słońca
Ni zimy ostre podmuchy;
Wziąłeś zapłatę u prac twych końca,
Poszedłeś spocząć w dom głuchy.
Jasna dziewczica, kominiarz czarny,
Wszystko się w popiół obróci marny ⁶.*

– *Per aspera ad astra* – szepczą moi Złoci przyjaciele, wszyscy, nawet Sevro.

Przyciskam guzik i Roque znika z naszego życia. Wyrusza w swoją ostatnią podróż, żeby dołączyć do Ragnara i wielu pokoleń wojowników, którzy skończyli w słońcu. Ja zostaję. Pozostali wychodzą. Mustang jest przy mnie, patrzy za wyprowadzanym pod eskortą Cassiusem.

– Jakie masz plany wobec niego? – pyta, kiedy zostajemy sami.

– Nie wiem – odpowiadam zły, że zadaje to pytanie w takiej chwili.

– Darrow, dobrze się czujesz?

– Świetnie. Potrzebuje teraz zostać sam.

– W porządku. – Nie odchodzi. Zamiast tego zbliża się. – To nie twoja wina.

– Powiedziałem, że chcę zostać sam.

– To nie twoja wina.

Patrzę na nią, wściekły, że nie odchodzi, ale kiedy widzę, jak łagodnie na mnie patrzy, jak szczerze, czuję, że napięcie w mojej piersi maleje. Łzy przychodzą nieproszone. Płyną mi po policzkach.

– To nie twoja wina – powtarza, przyciągając mnie do siebie, a z mojej piersi wyrywa się pierwszy szloch. Mustang obejmuje mnie w pasie i opiera czoło na moim torsie. – To nie twoja wina.

* * *

Później tego wieczoru jem z przyjaciółmi kolację w prywatnej kajucie, którą odziedziczyłem po Roque’u. Nawet Sevro ma niewiele do powiedzenia. Jest milczący, odkąd Victra odleciała, najwyraźniej coś go gryzie. Trauma ostatnich dni ciąży nam wszystkim. Jednak ci ludzie wiedzą, dokąd lecimy i ta świadomość jeszcze bardziej zwiększa brzemię, przebijając to, co dźwigają zwykli żołnierze.

Mustang chce ze mną zostać, ale nie życzę sobie tego. Potrzebuję czasu do namysłu. Dlatego zatrzaskuję za nią cicho drzwi. Zostaję sam. Nie tylko przy stole w kajucie, ale sam ze swoją żalobą. Przyjaciele przyszli na pogrzeb Roque’a dla mnie, nie dla niego. Tylko Sefi życzliwie odniosła się do mojej żaloby, bo podczas podróży na Jowisza dowiedziała się o męstwie Roque’a i szanowała go w czysty sposób, w jaki inni nie potrafią. Ze wszystkich moich przyjaciół tylko ja kochałem go pod koniec tak, jak na to zasługiwał.

Prywatna kajuta imperatora nadal nim pachnie. Kartkuję jego stare książki. Kawałek poczerniałego metalu ze statku unosi się w powietrzu w gablotce. Kilka innych trofeów wisi na ścianie. Podarunki od Suwerenki „Za bohaterstwo okazane podczas bitwy pod Dejmosem” i od arcygubernatora Marsa „Za obronę Wspólnoty Aureusów”. Na nocnym stoliku leży otwarty cykl tebański Sofoklesa. Nie obróciłem strony. Niczego nie zmieniłem. Jakbym zachowując wygląd kabiny, mógł go zachować przy życiu. Duch człowieka zaklęty w bursztynie.

Kładę się do snu, ale zamiast spać, tylko gapię się w sufit. Dlatego wstaję i nalewam sobie na trzy palce szkockiej z jego karafki i oglądam holoWizję w salonie. Sieć padła na skutek wojny hakerów. To upiorne wrażenie – odcięcie od reszty ludzkości. Szukam więc na komputerze pokładowym starych programów, przelatuję przez wizuale o kosmicznych piratach, szlachetnych Złoty rycerzach, Obsydianowych łowcach nagród, zatroskanym Fioletowym muzyku z Wenus, aż znajduję spis ostatnio odtwarzanych nagrań. Najświeższa data to wieczór przed bitwą.

Serce łomocze mi w piersi, kiedy przeglądam wizuale. Oglądam się przez ramię, jakbym grzebał w czyimś pamiętniku. Znajduję parę ageańskich wersji ulubionej opery Roque'a, „Tristana i Izoldy”, ale głównie są tu nagrania z naszych czasów w Instytucie. Siedzę z uniesioną ręką i już mam włączyć odtwarzanie, ale z jakiegoś powodu czekam.

Wzywam Holiday przez system łączności.

- Nie śpisz?
- Teraz już nie.
- Potrzebuję, żeby coś dla mnie zrobiła.
- Jak zwykle.

* * *

Dwadzieścia minut później Cassius ze skutymi rękami i nogami wchodzi do kajuty. Odprowadza go Holiday i trzech Synów Aresa. Odsyłam ich. Kiwam Holiday głową w podzięcie.

- Poradzę sobie.
- Proszę o wybaczenie, dowódco, ale to nie jest takie oczywiste.
- Holiday.
- Będziemy czekać na zewnątrz.
- Możecie się położyć.
- Proszę krzyczeć, gdyby pan czegoś potrzebował.
- Widzę, że panuje tu żelazna dyscyplina – mówi zażenowany Cassius, kiedy Holiday wychodzi. Stoi w marmurowym kolistym atrium, przyglądając się rzeźbom. – Roque zawsze upiększał swoje kwatery. Niestety miał gust dziewięćdziesięcioletniego pierwszego skrzypka w orkiestrze.
- Urodził się trzy tysiąclecia za późno?
- Myślę, że nie cierpiałby rzymskich tog. Naprawdę niepokojący trend w modzie. Próbowali je przywrócić za czasów mojego ojca. Zwłaszcza w czasie pijackich uczt i w paru klubach śniadaniowych, które wtedy mieli. Widziałem zdjęcia. – Wzdryga się. – Potworność.
- Pewnego dnia to samo powiedzą o naszych stójkach – sugeruję, dotykając kołnierzyka.
- Zerka na szkocką w moim ręku.
- To towarzyskie spotkanie?
- Nie całkiem.

Prowadzę go do salonu. Porusza się powoli i głośno w czterdziestokilogramowych butach więziennych, w których zamknięto mu stopy, ale mimo to czuje się w tym pokoju bardziej jak u siebie niż ja. Nalewam mu szkockiej, kiedy siada na kanapie, wciąż spodziewając się pułapki. Unosi brwi, patrząc na szklaneczkę.

– Naprawdę, Darrow? Trucizna nie jest w twoim stylu.

– To zapas whisky Lagavulin. Prezent od Lorna dla Roque’a po oblężeniu Marsa.

Cassius odchrząkuje.

– Nigdy nie byłem fanem ironii. Ale jeśli idzie o whisky... Nigdy nie było konfliktu, którego byśmy razem nie rozwikłali. – Patrzy przez szklanekę na wskroś. – Doskonała rzecz.

– Przypomina mi mojego ojca – mówię, słuchając cichego szumu szybów wentylacyjnych w górze. – Chociaż to, co on pił, nadawało się tylko do czyszczenia przekładni i zabijania komórek mózgowych.

– Ile miałeś lat, kiedy zmarł?

– Chyba sześć.

– Sześć. – Przechyla szklaneczkę w zadumie. – Mój ojciec nie lubił pić w samotności, ale czasem znajdowałem go na jego ulubionej ławce. Przy takiej upiornej ścieżynce na grzbiecie Mons. Popijał tego rodzaju whisky. – Zagryza wewnątrz policzka. – To były moje ulubione chwile w jego towarzystwie. Nikogo więcej w pobliżu. Tylko orły krążące w oddali. Opowiadał mi, jakie drzewa rosną na zboczu. Uwielbiał drzewa. Gadał bez końca o tym, co gdzie rośnie i dlaczego, jakie ptaki lubią się tam gnieździć. Zwłaszcza zimą. Poruszało go coś w ich wyglądzie na mrozie. Nigdy go nie słuchałem. Żałuję teraz.

Pije. On doceni głębię trunku. Nuty torfu, grejpfruta, szkockiej skały. Ja czuję tylko dym.

– Czy to zamek Marsa? – pyta, ruchem głowy wskazując hologram nad konsolą Roque’a. – Wielkie nieba. Wydaje się taki mały.

– Nie dorównuje wielkością nawet blokowi silników na destruktorze – potakuję.

– W głowie się nie mieści, jak wykładniczo rosną oczekiwania w życiu. Śmieję się.

– Kiedyś myślałem, że Szarzy są wysocy.

– No wiesz... – Uśmiecha się szelmowsko. – Jeśli wziąć do porównania Sevro... – Rechoce, zanim spoważnieje. – Chciałem ci podziękować... za

zaproszenie na pogrzeb. To było... zaskakująco przyzwoite z twojej strony.

– Ty zrobiłbyś to samo.

– Hmm. – Nie jest tego pewien. – To była konsola Roque’a?

– Tak. Przeglądałem jego wizuale. Większość z nich obejrzał dziesiątki razy. Nie strategie czy bitwy innych rodów. Tylko ciche chwile. No wiesz.

– Oglądałeś je?

– Chciałem poczekać na ciebie.

Jest tym zaskoczony. Nabiera podejrzeń.

Dlatego włączam odtwarzanie i stajemy się chłopcami, jakimi byliśmy w Instytucie. Początkowo jest to krępujące, ale wkrótce whisky rozprasza zawstydzenie i śmiech przychodzi łatwiej, cisza sięga głębiej. Oglądamy noc, kiedy nasze plemię gotowało jagnięcinę w północnym jarze. Kiedy przeprowadzaliśmy zwiad na pogórzu, słuchaliśmy historii Quinn przy ognisku.

– Całowaliśmy się tej nocy – mówi Cassius, kiedy Quinn kończy opowiadać o tym, jak jej babka po raz czwarty podjęła próbę wybudowania domu w górskiej dolinie setki kilometrów od cywilizacji. Bez architekta. – Wchodziła właśnie do śpiwora. Powiedziałem jej, że słyszałem jakiś hałas. Poszliśmy to sprawdzić. Kiedy zorientowała się, że po prostu rzucałem kamieniami w ciemność, żeby zostać z nią sam na sam, wiedziała, czego chcę. Ten uśmiech. – Śmieje się. – Te nogi. Z rodzaju tych, które powinny się wokół kogoś owijać, wiesz, co mam na myśli? – Śmieje się. – Ale dama zaprotestowała. Położyła rękę na mojej twarzy, odepchnęła mnie.

– Nie była łatwa.

– Nie, ale obudziła mnie następnego ranka i pocałowała raz i drugi. Na swoich warunkach, rzecz jasna.

– To pierwszy raz, kiedy rzucanie kamieniami podziałało na kobietę.

– Zdziwiłbyś się.

Są tam chwile, o których istnieniu nie wiedziałem. Roque i Cassius próbują załapać rybę, a Quinn popycha Cassiusa od tyłu. Cassius sączy whisky obok mnie, kiedy jego młodsza wersja tapla się w wodzie i próbuje wciągnąć za sobą Quinn. Oglądamy prywatne momenty, kiedy Roque zakochał się w Lei podczas nocnych zwiadów na wyżynach. Ich ręce ocierają się o siebie niewinnie, gdy zatrzymują się po wodę. Fitchner obserwował ich z zagajnika, notując coś na terminalu. Patrzymy, jak pierwszy raz zasypiają przytuleni pod tym samym kocem w przedbramiu, a potem Roque zabiera ją na wyżyny i kradnie pierwszy pocałunek – tylko po to, żeby usłyszeć

kroki na skałach i zobaczyć Antonię i Vixusa wynurzających się z mgły z oczami wspomaganych wojskową optyką.

Zabrali Leę, a kiedy Roque stawiał opór, zrzucili go z urwiska. Złamał rękę i dał się porwać rzece. Zanim wrócił po trzech dniach pieszo, ja miałem już rzekomo zginać z ręki Szakala. Roque mnie opłakiwał. Odwiedził kopiec, który wybudowałem dla Lei, i stwierdził, że wilki go rozkopały i wykradły ciało. Płakał tam samotnie. Cassius poważnie na ten widok, przypomina mi się jego niepokój, kiedy wrócił z Sevro i odkrył, co się stało z Leą i Roque'em. Może ma wyrzuty sumienia, że sprzymierzył się z Antonią.

Jest więcej nagrań, odkrywam kolejne drobne fakty. To, które według konsoli było odtwarzane najczęściej, przedstawia moment, w którym Cassius mówi, że znalazł dwóch nowych braci i proponuje nam pozycje lansjerów w domu Bellona. Miał w sobie wtedy tyle nadziei. Był taki szczęśliwy, że żyje. Jak my wszyscy, nawet ja, mimo tego, co czułem. Moja zdrada wydaje się jeszcze bardziej monstrualna, gdy spojrzeć na to z daleka.

Dolewam mu whisky. Milczy w blasku hologramu. Roque odjeżdża od nas na swojej jabłkowitej klaczy, patrząc w zadumie na wodze.

– Zabiliśmy go – mówi po chwili Cassius. – To była nasza wojna.

– Czyżby? Nie my stworzyliśmy ten świat. Nie walczymy nawet dla siebie. Tak samo jak Roque. On walczył dla Octavii. Dla Wspólnoty, która nawet nie zauważy jego ofiary. Rozegrają politycznie jego śmierć. Obwinia go. Zginął dla nich, a będzie tylko puentą.

Cassius wyczuwa niesmak, któremu daję wyraz. To jest jego wielki lęk: że nikt się nie przejmie, kiedy on odejdzie. Szlachetna idea honoru, dobrej śmierci... To miało sens w starym świecie. Nie w obecnym.

– Jak myślisz, ile to potrwa? – pyta w zadumie. – Ta wojna.

– Między nami, czy w ogóle?

– Między nami.

– Aż nasze serca przestaną bić. Nie tak powiedziałeś?

– Pamiętasz. – Odchrząkuje. – A w ogóle?

– Aż nie będzie Kolorów.

Śmieje się.

– To dobrze. Nie stawiasz sobie zbyt wysokich celów.

Patrę, jak miesza alkoholem w szklance.

– Gdyby Augustus nie sparował mnie z Julianem, jak myślisz, co by się stało?

– To nie ma znaczenia.

– Powiedzmy, że ma.

– Nie wiem – odpowiada ostro. Dopija whisky i nalewa sobie znowu, zaskakująco zręczny mimo kajdanek. Przygląda się szklance, poirytowany. – Ty i ja nie jesteśmy tacy jak Virginia i Roque. Nie jesteśmy subtelni. Ty masz tylko grom. Ja mam tylko błyskawicę. Pamiętasz te durnoty, które powtarzaliśmy, kiedy malowaliśmy twarze i jeździliśmy konno jak idioci? To jest najszczęśliwsza prawda. Możemy tylko słuchać się tego, czym jesteśmy. A bez burzy czym jesteśmy, ty i ja? Jesteśmy tylko ludźmi. Ale daj nam konflikt, a będziemy grzmieć i dudnić. – Kpi sobie z własnej górnolotności, mroczna ironia barwi mu uśmiech.

– Naprawdę myślisz, że to prawda? – pytam. – Że na dobre ugrzęźliśmy w takiej czy innej roli?

– A ty tak nie uważasz?

– Victra mówi tak o sobie. – Wzruszam ramionami. – A ja założę się o wiele, że z nią jest inaczej. Że z nami jest inaczej.

Cassius pochyla się do przodu i tym razem polewa mnie.

– Wiesz, Lorn zawsze mówił, że sam siebie pętał wyborami, których dokonywał, aż zaczął czuć, że nie żyje własnym życiem. Jakby coś go popychało do przodu, zwężało mu ścieżkę. Ostatecznie cała jego miłość, dobroć, rodzina nie miały znaczenia. Umarł tak, jak żył.

Cassius widzi więcej niż tylko wątpliwość w mojej własnej teorii. Wie, że mogę mówić o Mustang, Sevro czy Victrze, że mogą się zmienić, ale dostrzega podtekst, bo pod wieloma względami jego życie jest podobne do mojego.

– Spodziewasz się, że umrzesz – mówi.

– Jak mawiał Lorn, na końcu przychodzi rachunek. A koniec się zbliża.

Przygląda mi się łagodnie, zapomina o whisky. Chwila staje się bardziej intymna, niż zamierzałem. Dotknąłem czegoś w jego własnym umyśle. Może on też czuł, że zmierza ku własnemu pogrzebowi.

– Nigdy nie myślałem o brzemieniu, jakie dźwigasz – mówi ostrożnie. – Przez cały ten czas wśród nas. Przez lata. Nie mogłeś z nikim porozmawiać, prawda?

– Nie, to by było zbyt ryzykowne. „Cześć, jestem Czerwonym szpiegiem”. Taki tekst kończy rozmowę, zanim ta się na dobre zacznie.

Nie śmieje się.

– I nadal nie masz z kim rozmawiać. To cię zabija. Jesteś pośród własnych ludzi i wciąż czujesz się obcy.

– Otóż to. – Unoszę szklankę. Waham się, zastanawiam, na ile mu zawierzyć. A potem przemawia przeze mnie whisky. – Trudno z kimkolwiek porozmawiać, każdy jest taki kruchy. Sevro z powodu ojca i ludzi, których ledwie zna. Victra uważa, że jest nikczemna, i cały czas udaje, że chce się tylko zemścić. Jakby była pełna trucizny. Myślę, że znam drogę. Że mam wizję przyszłości, po tym, co się stało z moją żoną. Ale ja jej już nie wyczuwam tak jak kiedyś. A Mustang... – Urywam w pół zdania, skrepowany.

– Śmiało. Co z Mustang? Mówże, człowieku. Zabiłeś mi braci. Ja zabiłem Fitchnera. Sytuacja już jest dostatecznie niezręczna.

Krzywię się z powodu dziwaczności tej chwili.

– Ona stale mnie obserwuje. Ocenia. Jakby cały czas obliczała moją wartość. Sprawdzała, czy się nadaję.

– Do czego?

– Dla niej? Do tego, co robię? Nie wiem. Mam wrażenie, że dowiodłem swojej wartości na łodzi, ale to odczucie nie minęło. – Wzruszam ramionami. – Z tobą jest tak samo, nie? Jesteś na rozkazy Suwerenki, podczas gdy Aja zabiła Quinn. Do tego dochodzą oczekiwania twojej matki. I siedzisz tu z człowiekiem, który odebrał ci braci.

– Karnusa możesz sobie zatrzymać.

– Musiał być uroczy w domu.

– Właściwie to naprawdę mnie lubił, gdy byłem dzieckiem – odpowiada Cassius. – Wiem, trudno w to uwierzyć, ale był moim orędownikiem. Włączał mnie do swoich drużyn sportowych. Zabierał na wyprawy. Uczył, jak radzić sobie z dziewczynami, na swój sposób. Nie miał jednak w sobie takiej dobroci jak Julian.

– Mam starszego brata. Nazywa się Kieran.

– Żyje?

– Jest mechanikiem u Synów Aresa. Ma czwórkę dzieci.

– Czekaj, jesteś wujkiem? – dziwi się Cassius.

– Po wielokroć. Kieran ożenił się z siostrą Eo.

– Tak? Byłem kiedyś wujkiem. Byłem w tym niezły. – Patrzy w dal, uśmiech mu rzadnie i wiem, że podejrzenie ciąży mu na duszy. – Zmęczyła mnie ta wojna, Darrow.

– Mnie też. I gdybym mógł zwrócić ci Juliana, zrobiłbym to. Ale ta wojna jest dla niego, czy raczej dla ludzi takich jak on. Przyzwoitych. Bo to cisi i pokorni wiedzą, jaki powinien być świat, ale nie potrafią przekrzyczeć łajdaków.

– Nie boisz się, że zniszczysz wszystko i nie zdołasz poskładać tego do kupy? – pyta szczerze.

– Boję się tego – odpowiadam, rozumiejąc siebie lepiej niż ostatnio. – Po to właśnie mam Mustang.

Patrzy na mnie przez długą, dziwną chwilę, zanim pokręci głową i parsknie śmiechem. Ze mnie albo z siebie.

– Chciałbym, żeby łatwiej się ciebie nienawidziło.

– Na moje ucho to świetny toast.

Unosimy szklanki i pijemy w milczeniu.

Zanim jednak rozstanie się ze mną tej nocy, daję mu holoKostkę do obejrzenia w celi. Z góry przepraszam za jej zawartość, ale jest to coś, co musi zobaczyć. Docenia ironię całej sytuacji. Później w celi obejrzy nagranie, będzie płakał i poczuje się jeszcze bardziej samotny, ale prawda nigdy nie jest lekka.

Pandora

Kilka godzin po wyjściu Cassiusa Sevro budzi mnie z niespokojnego snu. Łączy się przez mój terminal, ma pilną wiadomość. Victra walczy z Antonią w Pasie. Prosi o wsparcie. Sevro już zebrał sprzęt i kazał Holiday przygotować grupę uderzeniową.

Mustang, Wyjce i ja lecimy ocalałym destruktorem Telemanusów, najszybszym z naszych okrętów. Sefi chciała dołączyć, pali się do walki, ale nawet po zwycięstwie nad Io moja flota balansuje na ostrzu brzytwy. A Sefi jest potrzebna, żeby utrzymać dyscyplinę wśród Obsydianowych. Jest rozjemczynią i puentą nowego ulubionego żartu Sevro: co mówisz, kiedy wysoka na siedem i pół stopy kobieta wchodzi do pokoju z bojowym toporem w garści i obciętymi językami nabitymi na hak? Absolutnie nic.

Osobiście martwię się, że tylko garstka silnych osobowości wiąże ten sojusz. Jeśli stracę choćby jedną z nich, wszystko może się zawalić.

Pędzimy na złamanie karku, ale na godzinę przed tym, jak docieramy do podanych przez Victrę współrzędnych w skupisku asteroid zakłócających pracę czujników, otrzymujemy zakodowaną wiadomość w typowym dla Julii stylu: „Suka złapana. Kavax wolny. Zwycięstwo moje”.

Lecimy promem ze smukłego dewastatora Telemanusów na spotkanie czekającej na nas floty. Sevro nerwowo skubie nogawkę spodni. Victra odniosła wielkie zwycięstwo. Wyruszyła w pościg z dwudziestoma okrętami. Teraz ma prawie pięćdziesiąt czarnych statków – szybkich, zwinnych, drogich jednostek. Takich, jakich można oczekiwać po rodzinie zajmującej się handlem. Żadnych zwalistych behemotów preferowanych przez rody Augustus czy Bellona. Wszystkie czarne pojazdy noszą herb rodziny Julii: płaczące słońce przebite włócznią.

Victra czeka na nas na pokładzie dawnego okrętu flagowego matki, *Pandory*. Wygląda olśniewająco i dumnie w czarnym mundurze ze słońcem Julii na prawej piersi, ognście pomarańczowym lampasem wzdłuż czar-

nych spodni i błyszczącymi złotymi guzikami. Znalazła swoje stare kolczyki – znów ma nefryty w uszach. Uśmiecha się szeroko i zagadkowo.

– Łaskawi państwo, witajcie na pokładzie *Pandory*.

Obok niej stoi Kavax, znowu ranny: ma gips na prawej ręce i regenerant po prawej stronie twarzy. Cóрки, które pędziły, żeby go odnaleźć, otaczają go i śmieją się. Kavax wita Mustang tubalnym głosem. Ona stara się zachować kulturalnie, ale podbiega i zarzuca mu ręce na szyję. Całuje go w łusą głowę.

– Mustang! – cieszy się Kavax. Odsuwa ją i pochyla głowę. – Przepraszam, ogromnie przepraszam. Ciągłe daję się złapać.

– Po prostu dama w opałach – mówi Sevro.

– Na to wygląda – zgadza się Kavax.

– Obiecay mi tylko, że to ostatni raz – prosi go Mustang. Kavax składa żadaną obietnicę. – I znowu jesteś ranny!

– Zadrapanie! To tylko zadrapanie, moja pani. Nie wiesz, że w moich żyłach płynie magia?

– Jest tu ktoś, kto nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć – mówi Mustang.

Ogląda się do tyłu na rampę i gwiżdże. Na ten sygnał Pestka na promie wypuszcza Sofoklesa. Pazury drapią o podkład za moimi plecami, potem pode mną, lis przebiega między nogami Sevro, prawie go przy tym przewracając, żeby skoczyć Kavaxowi na pierś. Ten go całuje. Victra się krzywi.

– Myślałem, że masz kłopoty – burczy na nią Sevro.

– Mówiłam, że panuję nad sytuacją – odpowiada. – Jak daleko w tyle została reszta floty, Darrow?

– Dwa dni.

Mustang się rozgląda.

– Gdzie Daxo?

– Czyści wyższe pokłady ze szczurów. Zostało jeszcze paru prawdziwych Niezrównanych. I wykopanie ich jest cholernie ciężkie.

– Nie ma prawie żadnych wraków... – zauważam. – Jak tego dokonałaś?

– Jak? Jestem prawdziwą dziedziczką rodu Julii – odpowiada z dumą Victra. – Zgodnie z wolą matki i wedle urodzenia. Statki Antonii, według prawa należące teraz do mnie, były dowodzone przez kapusiów. Przekupionych sojuszników. Skontaktowali się ze mną, myśląc, że za moją grupką

podąża cała flota. Dosłownie błagali, żebym uratowała ich przed wielkim złym Żniwiarzem...

– I gdzie są teraz ludzie twojej siostry?

– Trzech z nich kazałam stracić i zniszczyłam ich statki dla przykładu. Niewierni pretorzy, których zdołałam złapać, gniją w celach. Moi lojaliści i przyjaciele matki przejęli dowodzenie.

– I pójdą za nami? – pyta szorstko Sevro.

– Pójdą za mną – odpowiada Victra.

– To nie to samo – zauważam.

– Oczywiście. Bo to moje statki – mówi z naciskiem.

Znalazła się o krok bliżej od odzyskania imperium matki, reszty można dokonać tylko drogą pokojową. Niemniej daje jej to przedziwną niezależność. Podobną zyskał Roque, kiedy zdobył statki podczas Deszczu Lwa. To będzie próba jej lojalności i Sevro nie do końca czuje się z tym dobrze.

Mustang i ja patrzymy po sobie, marszcząc brwi.

– Własność to ostatnimi czasy zabawna rzecz – zauważa Sevro. – Ma skłonność do wyrażania własnego zdania.

Victra jeży się, słysząc to wyzwanie.

Mustang się wtrąca:

– Myślę, że Sevro chciał zapytać, czy skoro już się zemściłaś, nadal chcesz lecieć z nami do Rdzenia?

– Nie zemściłam się – odpowiada Victra. – Antonia wciąż żyje.

– A kiedy przestanie żyć?

Victra wzrusza ramionami.

– Zobowiązania nie są moją silną stroną.

Sevro pochmurnieje jeszcze bardziej.

* * *

Dziesiątki więźniów wypełniają cele: są to głównie Złoci, choć jest też paru Niebieskich i Szarych, tych najwyższych rangą i wiernych Antonii. Istny kanion złożony z wrogów, którzy piorunują mnie wzrokiem przez pręty. Idę sam korytarzem, rozkoszując się uczuciem, że tak wielu Złotych wie, że są moimi więźniami.

Znajduję Antonię w przedostatniej celi. Siedzi pod prętami, które oddzielają ją od sąsiedniego pomieszczenia. Poza siniakiem na policzku jest równie piękna jak zawsze. Zmysłowe usta, żarzące się oczy skryte za

gęstymi rzesami, kiedy duma ponuro w słabym świetle aresztu. Podkuliła smukłe nogi, czarnymi paznokciami skubie pęcherz na dużym palcu.

– Tak mi się wydawało, że słyszę, jak Żniwiarz kosi – mówi z uwodzicielskim uśmieszkiem. Przesuwa powoli wzrokiem po całym moim ciele, pożerając każdy jego centymetr. – Nie żałowałeś sobie protein, co? Znowu jesteś duży. Nie przejmuj się. Zawsze będę cię pamiętać jako małego, płaczącego robaka.

– Poza wami we flocie nie ma ani jednego żywego Kościarza – mówię, zaglądając do sąsiedniej celi. – Chcę wiedzieć, co planuje Szakał. Chcę znać pozycję jego oddziałów, linie zaopatrzenia, siłę garnizonów. Chcę wiedzieć, jakie ma informacje na temat Synów Aresa. Chcę wiedzieć, jakie ma plany co do Suwerenki. Są w zmowie? Pojawiło się między nimi napięcie? Wykonuje ruch przeciwko niej? Chcę wiedzieć, jak go pokonać. A nade wszystko, chcę wiedzieć, gdzie trzyma te parszywe głowice nuklearne. Daj mi to, a przeżyjesz. W przeciwnym wypadku umrzesz. Wyrażam się jasno?

Nie wzdrygnęła się, gdy wspomniałem o broni. Podobnie jak kobieta w sąsiedniej celi.

– Nadzwyczaj – odpowiada Antonia. – Nie zamierzam współpracować.

– Ty chcesz przeżyć, Antonio, ale nie mówiłem tylko do ciebie.

Uderzam ręką w pręty sąsiedniej celi, gdzie niższa Żłota o ciemnej twarzy wpatruje się we mnie przekrwionymi oczami. Ma ostre rysy, podobnie ostre jak dawniej był jej język. Jej włosy są kręcone i bardziej złociste, niż kiedy ostatni raz ją widziałem; zostały sztucznie rozjaśnione, podobnie jak oczy.

– Ciebie to też dotyczy, Oset. Ta, która udzieli mi więcej informacji, przeżyje.

– Diabelskie ultimatum. – Antonia klaszcze. – I ty nazywasz siebie Czerwonym. Myślę, że czułeś się lepiej wśród nas niż wśród nich. Mam rację? – Śmieje się. – Mam rację, prawda?

– Macie godzinę na zastanowienie się.

Odchodzę, żeby miały nad czym myśleć.

– Darrow! – woła za mną Oset. – Powiedz Sevro, że jest mi przykro. Darrow, proszę!

Odwracam się do niej powoli.

– Ufarbowałaś włosy.

– Mały Tombak chciał się dopasować – mruczy Antonia, wyciągając długie nogi. Jest o półtora głowy wyższa od Oset. – Nie wiń chuchra za niere-

alistyczne oczekiwania.

Oset wpatruje się we mnie, ściskając pręty.

– Przykro mi, Darrow. Nie wiedziałam, że to zajdzie tak daleko. Nie mogłam...

– Mogłaś. Nie jesteś idiotką, więc nie bądź żalosna i nie odgrywaj jej teraz. Rozumiem, dlaczego mogłaś zrobić coś takiego mnie – cedzę powoli – ale tam miał być Sevro. I Wyjce.

Wbija wzrok w ziemię, nie potrafi mi spojrzeć w oczy.

– Jak mogłaś zrobić im coś takiego? – pytam.

Nie odpowiada. Dotykam jej włosów.

– Lubiliśmy cię taką, jaka byłaś.

Zęby

Dołączam do Sevro, Mustang i Victry w sali obserwacyjnej aresztu. Dwóch techników rozpiera się w ergonomicznych fotelach, kilkadziesiąt holo unosi się jednocześnie wokół nich.

– Coś powiedziały? – pytam.

– Na razie nie – odpowiada Victra – ale w kociołku zamieszano, a ja dorzuciłam drew do ognia.

Sevro obserwuje Oset na holoEkranie.

– Chciałeś porozmawiać z Oset? – pytam.

– Z kim? – odpowiada pytaniem, unosząc brew. – Pierwszy raz słyszę to imię.

Widzę, że jej widok sprawia mu ból. Cierpi tym bardziej, że wmawia sobie, że musi być twardy, ale ta zdrada – ze strony jednego z Wyjców – zraniła go do głębi. Chociaż nadal udaje, że wcale tak nie jest – nie wiem, czy robi to przez wzgląd na Victrę, na mnie, czy na siebie. Pewnie ze wszystkich tych trzech powodów naraz.

Po paru minutach Antonia i Oset zaczynają ociekać potem. Zgodnie z moim zaleceniem ustawiliśmy temperaturę w celach na czterdzieści stopni Celsjusza, żeby zwiększyć ich drażliwość. Grawitacja też jest nieco silniejsza. Tuż poza możliwościami percepcji. Na razie Oset tylko płacze.

Antonia dotyka siniaka, jakby chciała się upewnić, że nie ma trwałych uszkodzeń twarzy.

– Musisz coś wymyślić – rzuca od niechcienia przez pręty.

– Co mam wymyślić? – pyta Oset z kąta swojej celi. – Zabiją nas, nawet jeśli podamy im informacje.

– Ty płaczliwa krowo. Weź się w garść. Przynosisz wstyd swojej bliźnie. Jesteś z domu Marsa, czy nie?

– Wiedzą, że słuchamy – mówi Sevro. – Przynajmniej Antonia wie.

– Czasem to nie ma znaczenia – odpowiada Mustang. – Bardzo inteligentni więźniowie często grają przed swoimi strażnikami. Pewność siebie może sprawić, że są jeszcze bardziej podatni na manipulację psychologiczną, bo myślą, że wciąż panują nad sytuacją.

– Wiesz to z własnych rozległych doświadczeń bycia torturowaną? – pyta Victra. – Opowiedz mi o tym, proszę.

– Cisza – uspokajam towarzystwo i podkreślam głośność.

– Powiem im wszystko – mówi Oset do Antonii. – Mam to w dupie.

– Wszystko? – zacha się Antonia. – Ty nic nie wiesz.

– Wiem dość.

– Ja wiem więcej.

– Kto by ci zaufał? – warczy Oset. – Matkobójczyni, psychopatka! Gdybyś choćby wiedziała, co ludzie naprawdę o tobie myślą...

– Och, kochanie, nie możesz być aż tak głupia. – Antonia wzdycha współczująco. – A jednak jesteś. To smutny widok.

– Co masz na myśli?

– Rusz głową, głąbie. Proszę, spróbuj chociaż.

– Wal się, suko.

– Przykro mi, Oset – mówi Antonia, wyginając plecy przy prętach. – To ten upał.

– Albo syfilis rzucił ci się na mózg – mruczy Oset, krążąc teraz po celi i obejmując się rękami.

– Jakie to... prymitywne. To naprawdę kwestia wychowania.

Zastanawiam się, czy nie zabrać stamtąd Oset, nie wyciągnąć od niej informacji, które chce podać.

– To może być podstęp – odzywa się Mustang. – Coś, co Antonia wymyśliła na wypadek pochwycenia. Albo zagrywka mojego brata. To byłoby w jego stylu: siać dezinformację. Zwłaszcza jeśli same dały się złapać.

– Dały się złapać? – powtarza Victra. – W kostnicy leży ponad pięćdziesiąt ciał Złotych z tego statku, którzy mogliby nie zgodzić się z tym stwierdzeniem.

– Ona ma rację – odzywa się Sevro. – Poczekajmy. Może Antonia będzie bardziej skora do współpracy, kiedy weźmiemy ją na rozmowę.

Antonia zamyka oczy, opiera głowę o pręty. Wie, że Oset zapyta, co to znaczy, że ma ruszyć głowę. I oczywiście Oset pyta.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że jeśli powiem im wszystko, to nie będę już przydatna?

Antonia patrzy na nią z drugiej strony prętów.

– Kochanie, naprawdę sobie tego nie przemyślałaś. Ja już nie żyję. Sama to powiedziałaś. Mogę próbować temu zaprzeczyć, ale... przez moją siostrę wyszłam na ostatnią łajzę. Przestrzeliłam jej kręgosłup, a potem przez prawie rok bawiłam się oblewaniem jej pleców kwasem. Obierze mnie jak cebulę.

– Darrow jej na to nie pozwoli.

– Jest Czerwonym, dla niego jesteśmy diabłami w koronie.

– On by tego nie zrobił.

– Znam pewnego Goblina, który mógłby to zrobić.

– On się nazywa Sevro.

– Tak? – Antonia ma to w nosie. – To niczego nie zmienia. Ja już nie żyję. Ty możesz mieć szansę. Ale potrzebują tylko jednej z nas, żeby uzyskać informacje. Pytanie, które musisz sobie zadać, brzmi: czy zostawia cię przy życiu, jeśli powiesz im wszystko? Potrzebujesz strategii. Musisz sobie coś zatrzymać, żeby móc się targować.

Oset podchodzi do dzielących je prętów.

– Nie oszukasz mnie – mówi dzielnie. – Ale wiesz co? Ty już jesteś skończona. Darrow wygra, może zresztą powinien wygrać. I wiesz co? Pomogę mu. – Oset patrzy w kamerę w kącie celi, odrywając wzrok od Antonii. – Powiem ci, co on planuje, Darrow. Pozwól mi...

– Wyciągnij ją – mówi Mustang. – Wyciągnij ją w tej chwili.

– O nie... – mruczy Victra obok mnie.

Widzi to samo, co Mustang. Sevro i ja patrzymy skonsternowani na kobiety, ale Victra już biegnie do drzwi.

– Otworzyć celę trzydzieści jeden! – krzyczy do techników, zanim zniknie w korytarzu.

Kiedy dociera do nas, co się dzieje, Sevro i ja ruszamy pędem za nią. Po drodze przewracamy Zielonego, który właśnie poprawiał jeden z holoEkranów. Mustang rusza za nami. Wpadamy w korytarz i biegniemy do drzwi aresztu. Victra wali w nie pięściami, krzyczy, żeby ją wpuścić. Rozlega się brzęczenie, drzwi się otwierają i wpadamy do środka, mijając skonsternowanych strażników, którzy zbierają sprzęt i ruszają za nami.

Więźniowie krzyczą, ale i tak słyszę łomot, zanim docieramy do celi Antonii i widzimy ją zgarbioną nad Oset. Przełożyła ręce przez dzielące je pręty, dłonie ma złane krwią. Zaciska palce na kręconych włosach współ-

więźniarki. Roztrzaskane resztki ciemienia Oset oblepiają pręty, Antonia po raz ostatni wali w nie jej głową.

Victra otwiera zamek magnetyczny w drzwiach celi.

Antonia wstaje, skończywszy swoją makabryczną robotę. Podnosi zakrwawione ręce w niewinnym geście, uśmiechając się znacząco do starszej siostry.

– Uważaj – droczy się z nią. – Uważaj, Vicky, potrzebujesz mnie. Tylko ja zostałam, tylko ja mam informacje na sprzedaż. O ile nie chcesz wpaść w paszczę Szakala, będziesz...

Victra uderza ją w twarz. Z odległości dziesięciu metrów dobiega mnie trzask łamanych kości. Antonia zatacza się, próbuje uciec. Victra popycha ją na ścianę i bije. Machinalnie, w upiornej ciszy. Łokcie odciągnięte do tyłu, zamach idzie aż z nóg, tak jak nas uczono. Antonia drapie jej umięśnione ręce, a potem wiotczeje, odgłos bicia staje się bardziej wilgotny, błotnisty. Victra nie przestaje. Ja jej nie powstrzymuję, bo nienawidzę Antonii i drobna mroczna cząstka mnie chce, żeby poczuła ból.

Sevro przepycha się obok mnie i rzuca na Victrę. Odgina jej prawą rękę do tyłu, przydusza ją swoją lewą ręką, podcina i pociąga na podłogę. Oplata ją nogami w talii i unieruchamia. Oswobodzona Antonia upada na bok. Mustang rzuca się do niej, żeby nie dopuścić, by roztrzaskała sobie głowę o ostry metalowy brzeg łóżka. Klękam i sprawdzam przez pręty puls Oset, chociaż nie wiem po co. Ma wgniecioną czaszkę. Patrzę tylko. Zastanawiam się, dlaczego nie jestem wstrząśnięty tą sceną.

Jakaś cząstka mnie umarła. Ale kiedy? Dlaczego tego nie zauważyłem?

Mustang woła, żeby przyprowadzić Żółtego. Strażnicy reagują.

Otrząsam się.

Sevro puszcza Victrę. Ona kaszle po tym, jak ją przydusił, odpycha go gniewnie. Mustang pochyla się nad Antonią, która rzezi przez strzaskany nos. Twarz ma w ruinie. Kawalki zębów przyklejone do rozbitych ust. Jeśli pominąć włosy i Pieczęcie, nie widać nawet, że jest Złota. Victra wychodzi, nie oglądając się na siostrę. Przepycha się między Szarymi strażnikami z taką siłą, że dwóch z nich się przewraca.

– Victra... – wołam za nią, jakby zostało coś jeszcze do powiedzenia.

Odwraca się do mnie z czerwonymi oczami, ale czerwonymi nie z wściekłości, lecz z bezdenne go smutku. Ma pokrwawione kostki rąk.

– Kiedyś zaplatałam jej włosy – mówi z mocą. – Nie wiem, dlaczego taka jest. Dlaczego ja taka jestem.

Jeden ze złamanych zębów siostry wystaje jej z ręki między knykciami środkowego i serdecznego palca. Wyciąga go, podnosi do światła jak dziecko, które znalazło kawałek wypolerowanego przez morze szkła na plaży, a potem drży ze zgrozy i wypuszcza go z brzękiem na stalowy pokład. Patrzy na Sevro.

– A nie mówiłam?

* * *

Później tego dnia, kiedy lekarz zajmuje się Antonią, Synowie Aresa przeglądają osobiste rzeczy Oset na pokładzie destruktora *Tyfon*. Pod fałszywym dnem szafki znajdują cuchnące wyprawione wilcze futro. Sevro dławi się, kiedy Brzydal mu je przynosi.

– Oset ją odcięła – mówi Błazen.

Resztki pierwszych Wyjców kręcą się po pokoju. Mustang stoi z boku i patrzy spod ściany. Są z nami Pestka, Błazen i Sevro.

– Kiedy Antonia została ukrzyżowana przez Szakala w Instytucie, to Oset ją odcięła – wyjaśnia Błazen.

– Zapomniałem – przyznaję, stojąc przy jej biurku.

Sevro prycha.

– Co za świat.

– Pamiętasz, jak podpuściłeś ją na Lee, kiedy ta nie potrafiła oskórować owcy? Chciałeś, żeby stała się twardsza – odzywa się Pestka i śmieje się delikatnie.

Sevro też chichocze.

– Dlaczego się śmiesz? – pyta Błazen. – Ty jadłeś wtedy grzyby i wyłeś do księżyca.

– Obserwowałem was – mówi Sevro. – Cały czas was obserwowałem.

– To upiorne, szefie – reaguje ze śmiechem Błazen. – A co robiłeś, kiedy nas obserwowałeś?

– Walił konia w krzakach, to oczywiste – wtrącam się.

Sevro chrząka.

– Tylko wtedy, gdy wszyscy spali.

– Faj! – Pestka marszczy nos i chowa pelerynę Wyjca do plecaka. – Wyjdź dalej, mała Oset.

Życzliwość w jej spojrzeniu jest niemal nie do zniesienia. Nie ma w nim oskarżeń, nie ma gniewu. Jest wyłącznie brak przyjaźni. Przypomina mi

to o tym, jak bardzo kocham tych ludzi. Błazen i Pestka wychodzą ręką w rękę, Brzydal cały czas się z nich nabija. Uśmiecham się na ten widok, kiedy z Sevro zostajemy w tyle. Mustang nadal nie ruszyła się ze swojego miejsca pod ścianą.

– Co miała na myśli Victra, gdy powiedziała „a nie mówiłam”? – pytam.

Sevro zerka na Mustang.

– To już nie ma znaczenia. – Zachowuje się, jakby chciał wyjść, ale się waha. – Odwołała.

– Co?

– Nas.

– Aha.

– Przykro mi, Sevro – odzywa się Mustang. – To dla niej ciężki czas.

– Wiem. – Sevro opiera się o ścianę. – Jasne. To pewnie moja wina. Powiedziałem jej... – Krzywi się. – Powiedziałem jej, że... ją kocham, przed bitwą. Wiesz, co odpowiedziała?

– Dziękuję? – zgaduje Mustang.

Sevro się wzdryga.

– Skądże. Powiedziała, że jestem idiotą. Może ma rację. Może po prostu za dużo z tego wyczytałem. Poniosło mnie, no wiecie.

Spuszcza wzrok, duma. Mustang kiwa na mnie głową, żebym coś powiedział.

– Sevro, wiele można o tobie rzec. Capiasz. Jesteś pokurcz. Twój gust, jeśli idzie o tatuaże, jest w najlepszym razie wątpliwy. Twoje upodobania pornograficzne są... ekscentryczne. I masz naprawdę dziwne paznokcie u stóp.

Odwraca się do mnie.

– Dziwne?

– Naprawdę długie, stary. Jakby... należało je przyciąć.

– No co ty, przydają się, gdy trzeba się czegoś złapać.

Mrużę oczy, bo nie wiem, czy żartuje, czy nie, ale kontynuuję, najlepiej jak umiem:

– Mówię tylko, że można wiele o tobie powiedzieć, młody, ale nie to, że jesteś idiotą.

Nie sprawia wrażenia, jakby mnie usłyszał.

– Ona uważa, że w jej żyłach płynie trucizna. O tym mówiła w areszcie. Powiedziała, że wszystko popsuje. Więc lepiej to skończyć.

– Przestraszyła się – wtrąca Mustang. – Zwłaszcza po tym, co dopiero się wydarzyło.

– Masz na myśli to, co się dzieje... – Sevro siada pod ścianą i opiera o nią głowę. – To zaczyna wyglądać jak prorocstwo. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć...

– Właśnie wygraliśmy pod Jowiszem... – przypominam.

– Możemy wygrać każdą bitwę i mimo to przegrać wojnę – mruczy Sevro. – Szakal chowa coś w rękawie, a Octavia została tylko raniona. Armada Berło jest większa od armady Miecz, a dodatkowo ściągną floty z Wenus i Merkurego. Mają trzykrotną przewagę liczebną. Zginie wielu ludzi. Pewnie większość tych, których znamy.

Mustang się uśmiecha.

– Chyba że zmienimy paradygmat.

Kiedy Mustang przedstawia nam w szerokim zarysie swój plan i kończymy się śmiać, analizując i roztrząsając jego niedoskonałości, zostawia nas, żebyśmy się nad tym zastanowili i dołącza do swojej floty razem z Telemanusami. My zostajemy z Victrą i Wyjcami, żeby przesłuchać Antonię i nadzorować naprawę statku.

Piękna Antonia to przeszłość. Obrażenia, które odniosła, są na pierwszy rzut oka katastrofalne. Kość lewego oczodołu zmiażdżona. Nos rozplaszczony, wgnieciony tak brutalnie, że musieli go wyciągać z jamy nosowej kleszczami. Usta tak spuchnięte, że słyszać syk, kiedy powietrze przechodzi między strzaskanymi zębami. Uraz kręgosłupa i ciężkie wstrząśnienie mózgu. Lekarze pokładowi myśleli, że przeżyła wypadek na statku, dopóki w paru miejscach na jej twarzy nie zobaczyli odcisku błyskawicy Domu Jowisza.

– Napiętnowana przez sprawiedliwość – mówię. Sevro przewraca oczami. – No co? Ja też potrafię żartować.

– Ćwicz dalej.

Kiedy przesłuchuję Antonię, jej lewe oko jest czarną masą opuchlizny. Prawe patrzy na mnie wściekle, ale dziewczyna współpracuje. Może teraz myśli, że coś się faktycznie kryje w naszych groźbach, a jej siostra tylko czeka, żeby dokończyć to, co zaczęła.

Według niej z ostatniego komunikatu Szakala wynikało, że przygotowuje się na nasz atak na Marsa. Zbiera flotę wokół odzyskanego Fobosa i wzywa statki Wspólnoty z Puszek i innych baz floty. Podobno zaczął się exodus jednostek Złotych, Srebrnych i Miedzianych z Marsa na Lunę lub Wenus, które stały się centrami uchodźstwa dla patrycjuszy pozbawionych praw obywatelskich. Jak Londyn w czasie pierwszej rewolucji francuskiej albo Nowa Zelandia po trzeciej wojnie światowej, kiedy kontynenty jarzyły się promieniowaniem.

Problem z informacjami Antonii polega na tym, że trudno je zweryfikować. Właściwie nie sposób to zrobić, kiedy łączność długodystansowa i międzyplanetarna cofnęła się praktycznie do epoki kamienia łupanego. Na ile się orientujemy, Szakał mógł przygotować Antonii pakiet informacji do przekazania, na wypadek gdyby została złapana i zmuszona do mówienia. Jeśli teraz ona wykorzysta tę wiedzę, a my zaplanujemy zgodnie z nimi nasze działania, wpadniemy w pułapkę. Oset byłaby kluczowa dla potwierdzenia jej słów. Dokonane przez Antonię morderstwo było makabryczne, ale ze względów taktycznych niezwykle efektywne.

Holiday dołącza do mnie na mostku *Pandory*, kiedy próbuję nawiązać kontakt. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami przy przednim stanowisku obserwacyjnym i ponownie próbuję zalogować się na cyfrowy infoNośnik Żywego Srebra. Jest późna noc według czasu okrętowego. Światła są przygaszone. Minimalna załoga Niebieskich trwa na stanowiskach, kierując nas na miejsce spotkania z główną flotą. W oddali wirują ciemne asteroidy. Holiday siada obok mnie.

- Wzmocnij się – mówi, podając mi cynowy kubek.
- To miłe z twojej strony – odpowiadam zaskoczony. – Ty też nie możesz spać?
- Za nic. Nienawidzę statków. Nie śmieję się.
- To musi być strasznie niewygodne dla legionistki.
- Nawet mi nie mów. Bycie żołnierzem to w jednej połowie umiejętność spania w każdym miejscu.
- A w drugiej?
- Umiejętność srania w każdym miejscu. Nie, czekaj, jeszcze niedostawianie świra przy przyjmowaniu głupich rozkazów. – Stuka w pokład. – To przez ten szum silników. Przypomina mi osy. – Zzuwa buty. – Mogę?
- Śmiało. – Upijam łyk napoju, myśląc, że to kawa. – To whisky!
- Szybko łapiesz. – Mruga do mnie chłopięco i kiwa głową na terminal w moich rękach. – Nadal nic?
- Same asteroidy dostatecznie utrudniają łączność, a Wspólnota blokuje wszystko, co się da.
- Cóż, Żywe Srebro dał im popalić.

Siedzimy w milczeniu. Jej obecność nie jest z natury kojąca, ale czuję się swobodnie przy tej kobiecie wychowanej na rolniczej prowincji, gdzie twoja reputacja jest tyle warta, ile twoje słowo i twój pies myśliwski. Pod

wieloma względami różnimy się, ale Holiday ma żal do świata, który dobrze rozumiem.

- Przykro mi z powodu twojej straty – mówi.
- Kogo masz na myśli?
- Oboje. Znałeś tę dziewczynę od dawna?
- Od szkoły. Była okropna, ale lojalna...
- Dopóki przestała być lojalna – dopowiada, a ja wzruszam ramionami.
- Julii jest wstrząśnięta.
- Rozmawiała z tobą?

Holiday się śmieje.

– Za nic w świecie. – Wkłada szluga do ust i zapala. Kręce głową, gdy proponuje mi dymka. Przewody wentylacyjne statku szumią. – Cisza jest okropna, co? – mówi po chwili. – Ale pewnie wiesz, jak to jest, po pudle.

Kiwam głową.

- Nikt nigdy mnie nie pyta o ten czas. O pobyt w celi.
- Mnie nikt nie pyta o Trigga.
- A chciałabyś?
- No co ty.
- Nigdy mi nie przeszkadzała. Cisza.
- Im człowiek jest starszy, tym większą ilością rzeczy ją wypełnia.
- W Lykos nie było wiele do roboty, można było siedzieć i patrzeć w ciemność.

– Patrzeć w ciemność. To brzmi naprawdę zajebicie. – Wypuszcza dym z nosa. – Ja dorastałam wśród kukurydzy. To trochę mniej dramatyczne. Tony kukurydzy, jak okiem sięgnąć. Stawałam pośród niej nocą i czasem udawałam, że to ocean. Słyszać było, jak szepcze. To nie jest kojące. Nie tak, jak można sobie wyobrażać. Brzmi złowieszczo. Zawsze chciałam znaleźć się gdzie indziej. Nie to co Trigg. On kochał Goodhope. Chciał się zgłosić do miejscowej policji albo zostać strażnikiem łowieckim. Byłby szczęśliwy, żyjąc na prowincji do późnej starości, pijąc z tymi idiotami u Lou, chodząc na polowania podczas porannych przymrozków. To ja chciałam uciec. To ja chciałam „usłyszeć ocean, zobaczyć gwiazdy”. Dwadzieścia lat służby w Legionie. Niska cena za marzenia.

Kpi z siebie, ale to dla mnie ciekawe, że zdecydowała się otworzyć w takiej chwili. Znalazła mnie tutaj. W pierwszej chwili myślałam, że chce mnie pocieszyć, ale w jej oddechu już wyczuwam whisky. Nie chciała być sama. Tylko ja znałam Trigga chociaż trochę. Odkładam terminal.

– Powiedziałam mu, że nie musi wyjeżdżać ze mną, ale wiedziałam, że i tak pociągnę go za sobą. Obiecałam mamie, że będę się nim opiekować. Nie byłam jeszcze w stanie powiedzieć jej, że on nie żyje. Może myśli, że oboje zginęliśmy.

– A zdołałaś powiedzieć to jego narzeczonemu? – pytam. – Ephraimowi, zgadza się?

– Pamiętasz.

– Pewnie. Był z Luny.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Eph to porządny gość. Pracował w prywatnej ochronie w Imbrium. Specjalizował się w odzyskiwaniu cennej własności: dzieła sztuki, biżuteria. Prześliczny chłopak. Poznali się w jednym z tych tematycznych barów, kiedy byliśmy na przepustce z Trzynastki. Stylizowanym na wenusjańską plażę. Eph nie wiedział o mnie i Trigg, że jesteśmy Synami Aresa i tak dalej. Ale skontaktowałam się z nim po tym, jak cię uratowaliśmy, kiedy wysłano mnie po zaopatrzenie. Skorzystałam z kafejki netowej. Jakiś tydzień po tym, jak napisałam mu, że Trigg nie żyje, przysłał mi wiadomość, że znika, dołącza do Synów Aresa na Lunie. Od tego czasu nie miałam o nim żadnych wieści.

– Na pewno nic mu się nie stało.

– Dzięki, ale oboje wiemy, że Luna to teraz prawdziwe piekło. – Wzrusza ramionami. Przez chwilę skubie odciski na dłoni powstałe od wyciskania ciężarów, a potem mnie szturcha. – Chcę ci powiedzieć, że dobrze sobie radzisz. Wiem, że nie pytałeś, a ja jestem zwykłym szeregowcem, ale naprawdę. Dobrze sobie radzisz.

– Trigg by to pochwalał?

– Pewnie. I posikałby się w spodnie, gdyby wiedział, że maszerujemy na...

Zawiesza głos, bo holo nad nami popiskuje cicho i jeden z Niebieskich łącznościowców mnie wzywa. Sięgam po terminal. Na wszystkich częstotliwościach pojawiła się wiadomość nadana w kierunku Pasa. Nasz pierwszy kontakt z Marsem, odkąd przekroczyliśmy Pas Asteroid.

– Dawaj! – mówi Holiday.

Odtwarzam nagranie. To szary pokój przesłuchań. Zlany krwią mężczyzna siedzi przykuty do krzesła. Szakał wchodzi w kadr i staje za jego plecami.

– Czy to... – szepcze obok mnie Holiday.

– Tak.

Mężczyzną jest stryj Narol.

Szakał przystawia mu pistolet do głowy.

– Darrow. Moi Kościarze znaleźli go, kiedy sabotował jedną z boi sygnałowych w kosmosie. Naprawdę jest twardszy, niż na to wygląda. Pomyślałem, że może znać twoje zamiary. Próbował odgryźć sobie język, żeby nic mi nie powiedzieć. Co za ironia. – Przechodzi za plecami mojego stryja. – Nie chcę okupu. Nie chcę od ciebie niczego. Chcę tylko, żebyś patrzył.

Podnosi pistolet: smukły, szary kawałek metalu wielkości mojej dłoni. Niebieskim przy stanowiskach wyrrywają się z piersi zduszone okrzyki. Sevro wpada na mostek, kiedy Szakał mierzy z pistoletu w potylicę mojego stryja. Narol patrzy prosto w kamerę.

– Wybacz, Darrow. Pozdrowię twojego ojca...

Szakał pociąga za spust, a ja czuję, jak kolejna częśćka mnie pogrąża się w ciemności, kiedy stryj wiotczeje na krześle.

– Wyłącz to – mówię odrętwiały.

Zalewa mnie przeszłość: Narol zakładający mi hełm piekarnika, gdy byłem chłopcem, nasze bójki podczas Świąta Wawrzynu, jego smutne oczy, kiedy siedzieliśmy pod szubienicą po śmierci Eo, jego śmiech...

– Sygnatura czasowa jest sprzed trzech tygodni, dowódco – odzywa się półgłosem Virga, moja Niebieska od łączności. – Nie odebraliśmy wiadomości wcześniej z powodu zakłóceń.

– Reszta floty też to dostała? – pytam cicho.

– Nie wiem, dowódco. Interferencje są teraz minimalne. A wiadomość jest na częstotliwości impulsowej. Pewnie już to widzieli.

Powiedziałem Orion, by wszystkie statki nasłuchiwały, na wypadek gdyby któremuś się poszczęściło. Wiadomość przecieknie.

– Oż w mordę – mówi Sevro.

– Co? – pyta Holiday.

– Właśnie podpaliliśmy naszą własną flotę – odpowiadam machinalnie.

Kruche przymierze między nadKolorami i podKolorami rozpadnie się z tego powodu. Narol zginął. Tak po prostu. Czuję się bezradny. Drzę w środku. Jeszcze to do mnie nie dociera.

– Co robimy? – pyta Sevro. – Darrow?

– Holiday, obudź Wyjce – rozkazuję. – Sternik, maksymalny ciąg silników rufowych. Chcę w ciągu czterech godzin dołączyć do głównego trzonu

floty. Połącz mnie z Mustang i Orion. I z Telemanusami.

Holiday podrywa się na baczność.

– Tak jest!

Mimo zakłóceń łączę się z Orion i każę jej odciąć mostki i dostęp do broni, na wypadek gdyby ktoś wpadł na pomysł urządzenia sobie strzelnicy z naszymi Złotymi sojusznikami w charakterze tarcz. Moi Niebiescy potrzebują prawie trzydziestu minut, żeby połączyć mnie z Mustang. Sevro i Victra są teraz ze mną, jest też Daxo, ale reszta jego rodziny przebywa na swoich statkach. Sygnał jest słaby. Interferencje wywołują zakłócenia, które przypływają falami po twarzy Mustang. Idzie jakimś korytarzem. Jest z nią dwoje Złotych.

– Darrow, słyszałeś? – pyta, widząc za mną pozostałych.

– Trzydzieści minut temu.

– Ogromnie mi przykro...

– Co się dzieje?

– Otrzymaliśmy wiadomość. Któryś cholerny technik przesłał to wszystkim łącznościowcom – mówi Mustang. – Wiadomość trafiła do węzłów komunikacyjnych w całej flocie. Darrow... Na kilku statkach już zaczęły się ruchy przeciwko nadKolorom. Piętnaście minut temu na *Persefonie* Czerwoni zabili trzech Złotych. Jedna z moich przybocznych strzeliła do dwójki Obsydianowych, którzy ją zaatakowali. Nie żyją.

– Mamy przejebane – mówi Sevro.

– Ewakuuję cały swój personel z powrotem na nasze statki. – U Mustang w tle słychać strzały.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– Na *Gwieździe Zarannej*.

– Co, u diabła, tam robisz? Musisz się z niej wynosić!

– Nadal są tu moi ludzie. Siedmioro Złotych znajduje się na pokładzie maszynowym we wsparciu logistycznym. Nie porzucę ich.

– Wysyłam strażników mojego ojca – warczy Daxo z destruktora swojej rodziny. – Oni was wyciągną.

– To głupie – wtrąca Sevro.

– Nie – warczy Mustang. – Przyślesz tu Złotych rycerzy i sytuacja zamieni się w rzeź, z której już się nie otrząśniemy. Darrow, musisz tu wrócić. Tylko ty możesz to powstrzymać.

– To potrwa kilka godzin.

– Zrób co w twojej mocy. I jeszcze jedno... Zaatakowali więzienie.
Myślę, że zabiją Cassiusa.

Sevro i ja patrzymy po sobie.

– Musisz znaleźć Sefi i z nią zostać – mówię. – Niedługo tam będziemy.

– Mam znaleźć Sefi? Darrow... to ona nimi dowodzi.

Goblin i Złoty

Mój prom szturmowy ląduje na rezerwowym pokładzie *Gwiazdy Zarannej*, gdzie miała spotkać się z nami Mustang. Nie ma jej tu. Nie ma też Złotych, których ratowała. Zamiast tego czeka grupa Synów Aresa, którymi dowodzi Theodora. Nie ma broni i wygląda nie na miejscu wśród uzbrojonych mężczyzn, ale oni traktują ją z szacunkiem. Opowiada nam, co się stało. Śmierć mojego stryja spowodowała kilka potyczek, które eskalowały w strzelaninę. Teraz już konflikt ogarnął kilka jednostek.

– Mustang została zabrana przez ludzi Sefi, razem z Cassiusem i resztą nadKolorowych więźniów – mówi Theodora, mierząc wzrokiem moich przybocznych.

– Przekłęci barbarzyńcy – mruczy Victra. – Jeśli ją zabiją, to koniec.

– Nie zabiją jej – zapewniam. – Sefi wie, że Mustang jest po jej stronie.

– To dlaczego to zrobiła? – pyta Holiday.

– W imię sprawiedliwości – mówi Victra, czym przyciąga spojrzenie Sevro.

– Nie – odpowiadam. – Myślę, że tu chodzi o coś całkiem innego.

– Cudownie, psiakrew. – Victra kiwa głową na kosmos. – Wygląda na to, że Telemanusowie chcą to wszystko schrzanić.

Kolejny prom zbliża się do hangaru. Zbieramy się i patrzymy, jak ląduje. Zanim rampa zdąży dobrze opaść, wybiega po niej cały klan Telemanusów: Daxo, Kavax, Thraxa, dwie inne siostry, których nie poznałem. Uzbrojeni po zęby, chociaż Kavax nadal ma rękę na temblaku. Za nimi idzie ze trzydziestu Złotych z ich domu. Prawdziwa armia, psiajucha.

– Przez nich zginiemy – mówi Holiday.

Stojący obok mnie Sevro mruga na widok przybyłych. Nie wierzy własnym oczom.

– Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć... – mruczy.

– Kavax, co tu, do diabła, robisz? – pytam, kiedy jego rodzina rusza w naszą stronę.

– Virginia potrzebuje naszej pomocy! – grzmi.

Nawet nie zwalnia, dopóki nie zagradam mu drogi w głąb statku. Przez chwilę myślę, że przejdzie po mnie.

– Nie zostawimy jej zdanej na łaskę dzikusów – dodaje.

– Kazałem wam zostać na swoim statku.

– Niestety przyjmujemy rozkazy od Virginii, nie od ciebie – odpowiada Daxo. – Wiemy, co znaczy nasza obecność tutaj. Zrobimy jednak to, co konieczne, żeby chronić naszą rodzinę.

– Nawet Mustang powiedziała, żebyście nie przylatywali tu wraz z rycerzami.

– Sytuacja się zmieniła – dudni Kavax.

– Chcecie to zamienić w wojnę? Chcecie, żeby nasza flota się rozpadła? Najszybszy sposób, by do tego doprowadzić, to wmaszerować tutaj na czele oddziału Złotych.

– Nie damy jej zginąć – odpowiada Kavax.

– A jeśli zabiją ją właśnie przez was? – pytam.

Dopiero teraz Kavax się waha.

– A jeśli poderzną jej gardło, kiedy tam wparujecie? – Podchodzę blisko, żeby widział strach na mojej twarzy, i mówię na tyle głośno, żeby Daxo też mnie słyszał: – Posłuchaj mnie, Kavax, problem polega na tym, że nie zostawicie Obsydianowym wyboru. Będą musieli walczyć. A wiesz, że walczyć to oni potrafią. Pozwól mi się tym zająć, a ją odzyskamy. W przeciwnym wypadku jutro będziemy stać nad jej trumną.

Kavax ogląda się na syna, który zawsze działa na niego łagodząco; chce zobaczyć, co Daxo myśli.

Ku mojej uldze chłopak kiwa głową.

– Dobrze więc – odpowiada Kavax. – Ale pójdę z tobą, Żniwiarzu. Dzieci, czekajcie, aż was wezwę. Jeśli zginę, uderzcie z całą zaciekłością.

– Tak, ojcze – odpowiadają.

Oddycham z ulgą i odwracam się do swoich ludzi.

– Gdzie Sevro?

* * *

Sevro wymknął się, kiedy się kłóciliśmy, ale nie wiem, w jakim celu. Pędzimy za nim korytarzami, Victra biegnie za nami. Holiday prowadzi, odbierając informacje od Synów Aresa przez optyczny implant w oku. Jej ludzie zauważyli tłum w głównym hangarze. Urządzają proces Cassiusowi za zamordowanie tuzina Synów Aresa, i samego Aresa, rzecz jasna. Nie ma tam Mustang. Gdzie zatem jest? Miała się nie wychylać i spotkać z nami, jeśli zdoła. Złapali ją? Gorzej? W korytarzu prowadzącym do hangaru panuje taki ścisk, że ledwie udaje nam się przejść; roztrącam na boki Czerwonych i Obsydianowych.

Wszyscy krzyczą i przepychają się. Ponad ich głowami pośrodku hangaru widzę kilkudziesięciu Obsydianowych i Czerwonych: są na pomoście przebiegającym dwadzieścia metrów nad pokładem, wysoko ponad tłumem. Pośrodku stoi Sefi. Siedmiu martwych Złotych zwisa z pomostu na gumowych kablach, ich stopy kołyszą się pięć metrów nad tłumem. Zostali oskalpowani. Kręgosłupy Aureusów są mocniejsze niż u przeciętnego człowieka. Każdy z nich umierał w potwornych mękach przez kilka minut, dusząc się i patrząc, jak tłum poniżej przeklina, opluwa ich i ciska w nich nakrętkami, kluczami i butelkami. Krew krzepnie, ciągnąc się długimi wstęgami od ich podbródków do piersi. Sefi Milcząca obcięła im języki. Cassius i kilku innych więźniów czeka na egzekucję obok swoich strażników, są zakrwawieni i pobici. Nie ma z nimi Mustang, dzięki niech będą niebiosom. Cassius jest półnagi, na szerokiej piersi wycięty ma krwawy sierpak.

– Sefi! – krzyczę, ale mnie nie słyszy.

Nigdzie nie widzę Sevro. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zebrało się w miejscu, które pomieści dziesięć. Wielu jest uzbrojonych. Niektórzy są jeszcze ranni po wcześniejszych walkach. Wszyscy napierają na hangar, żeby obejrzeć egzekucje. Obsydianowi górują jak olbrzymi nad tą masą, niczym wielkie skały pośród morza pod Kolorów. Nie powinienem był zebrać razem tak wielu rannych i ocalańców w tym tyglu żałoby.

Do ludzi dociera, że jestem wśród nich, rozstępują się i zaczynają skandować moje imię, jakby myśleli, że przyleciałem zobaczyć, jak dokonuje się sprawiedliwość. Barbarzyństwo sytuacji mną wstrząsa. Jeden z mężczyzn, którzy przytrzymują Cassiusa, to Zielony technik, który dał mi kawę na Fobosie. Większości innych nie poznaję.

Jeden po drugim Synowie Aresa zauważają moją obecność. Cisza rozlewa się wokół mnie.

– Sefi! – warczę. – Sefi. – Wreszcie mnie słyszy. – Co ty robisz?

– To, czego ty nie zrobisz – woła w swoim języku, bez cienia gniewu, ale w poczuciu, że musi wypełnić nieprzyjemny, lecz konieczny obowiązek.

Wygląda jak duch zemsty, który powstał z piekła. Białe włosy opadają jej na plecy. Jej nóż jest zakrwawiony po obcięciu języków Złotym. I pomyśleć, że za nią ręczyłem. Pozwoliłem jej nazwać ten statek. Tylko dlatego, że lew jest twoim pupilkiem, nie znaczy, że został obłaskawiony. Kavax jest wstrząśnięty tym, co widzi. Jest prawie gotowy wezwać dzieci i zrobiłby to, gdyby Victra nie złapała go za rękę i nie przekonała do zmiany zdania. Ona też patrzy na wszystko ze strachem – nie tylko z powodu tego, co widzi, ale na myśl o tym, co jej samej może się tu przytrafić. Nie powinienem był przychodzić tu ze Złotymi.

Są takie chwile w życiu, kiedy idziesz naprzód tak skupiony na swoim zadaniu, że zapominasz się rozglądać na boki, dopóki nie wylądujesz po kolana w ruchomych piaskach. Właśnie tam wylądowałem, otoczony przez nieprzewidywalny tłum, patrząc na kobietę, w której żyłach płynie krew Alii Śnieżnej Wróblicy. Moją jedyną ochroną jest skromny krąg Synów Aresa i Złotych. Holiday wyciąga miotacz. Victra przesuwając brzytwę pod rękawem. Zbyt pochopnie tu wparowałem. Sytuacja może bardzo szybko stać się bardzo nieprzyjemna.

– Gdzie jest Mustang? – wołam do Sefi. – Zabiłaś ją?

– Zabiłam? Nie. Córką Lwa sprowadziła nas z Lodu. Stała jednak na drodze sprawiedliwości, więc została zakuta w łańcuchy.

Czyli jest bezpieczna.

– Zatem to jest sprawiedliwość? Czy to sprawiedliwość wymierzono przyjacielom Ragnara, kiedy twoja matka powiesiła ich na łańcuchach na ścianach Wieżyc?

– Takie są zasady Lodu.

– Nie jesteś na Lodzie, Sefi. Jesteś na moim statku.

– Twoim? – To nie podoba się podKolorom w tłumie. – Okupiliśmy go naszą własną krwią.

– Jak my wszyscy. Co takiego dobrego było w Lodzie? Porzuciłaś to miejsce, bo wiedziałaś, że jest złe. Wiedziałaś, że wasze obyczaje ukształtowali wasi panowie. Powiedziałaś, że pójdziesz za mną. Teraz okazujesz się kłamcą?

– A czy ty nim nie jesteś? Obiecałeś, że moi ludzie będą bezpieczni! – ryczy Sefi, wskazując mnie toporem. Cięży jej brzemię żałoby. – Widziałam dzieła tych ludzi. Widziałam ich wojny. Statki, jakimi żeglują. Słowa

nie wystarczą. Ci Złoci mówią tylko w jednym języku. A to jest język krwi. I dopóki żyją, dopóki mówią, moi ludzie nie będą bezpieczni. Bo tamci mają zbyt wielką władzę.

– Myślisz, że tego właśnie chciał Ragnar?

– Tak.

– Ragnar chciał, żebyście byli lepsi od nich. Lepsi niż to, co robisz. Żebyście stali się przykładem. Może jednak Złoci mają rację. Może jesteście tylko zabójcami. Dzikimi psami, jakimi was stworzyli.

– Nie staniemy się niczym więcej, dopóki oni nie znikną – mówi do mnie. Jej głos niesie się po hangarze. – Dlaczego ich bronisz? – Wywleka przed siebie Cassiusa. – Dlaczego oplakujesz tego, kto pomógł zabić mojego brata?

– Jak myślisz, dlaczego umierający Ragnar ścisnął twoją dłoń, a nie miecz? Nie chciał, żeby twoje życie sprowadzało się do zemsty. To droga wiodąca w pustkę. Chciał dla ciebie czego więcej. Chciał przyszłości.

– Widziałam niebo, widziałam piekło i wiem, że nasza przyszłość to wojna – odpowiada Sefi. – Wojna, dopóki oni nie rozpułną się pośród nocy.

Wlecząc Cassiusa ku sobie i unosiąc nóż, żeby odciąć mu język. Zanim jednak to zrobi, strzał z pięści impulsowej wybija jej broń z ręki i Ares, pan Rebelii w kolczastym wojennym hełmie, ląduje z hukiem na pomoście. Obsydianowi odsuwają się od niego, kiedy prostuje się, otrzepuje ramiona i cofa hełm w głąb zbroi.

– Co on robi? – pyta Victra.

– Wy tępe wypierdki – warczy Sevro. – Tykacie moją własność. – Podchodzi do Sefi. – Psik. Zmykaj stąd.

Kilka Walkirii zagraadza mu drogę. Staje przed nimi z nosem na wysokości ich piersi.

– Przesuń się, ty albinotyczny kłaku kudłów łonowych.

Obsydianowi odsuwają się dopiero na polecenie Sefi. Sevro przechodzi obok związanych Złotych, pukając ich żartobliwie po głowach.

– Ten jest mój – mówi, wskazując Cassiusa. – Zabierz od niego łapy, paniusiu. – Sefi nie cofa noża. – Odciął głowę mojemu ojcu i włożył ją do pudełka. O ile nie chcesz, żebym to samo zrobił z tobą, wyświadczyć mi tę grzeczność i łapy precz od mojej własności.

Sefi cofa się, ale nadal nie chowa noża.

– To twój dług krwi. Jego życie należy do ciebie.

– To oczywiste. – Sevro ją przegania. – Wstawaj, mały Piksie – warczy na Cassiusa, kopiąc go i wlekąc do góry za kabel na szyi. – Miej trochę godności. Wstawaj.

Cassius podnosi się niezgrabnie. Ręce ma związane na plecach, twarz spuchniętą od bicia. Sierpak maluje się na jego piersi.

– Zabiłeś mojego ojca? – Sevro pstryka go w tors. – Czy zabiłeś mojego ojca?

Cassius patrzy na niego z góry. Nie ma ani grama humoru w tym człowieku, jest tylko duma, i to wcale nie taka próżna, jaką widziałem u niego na przestrzeni lat. Wojna i życie pozbawiły go tego żywego ducha. To jest twarz, to jest zachowanie człowieka, który chce tylko zachować odrobinę godności, umierając.

– Tak – odpowiada głośno. – Zabiłem.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. To jest morderca! – krzyczy do zgromadzonych Sevro. – A co robimy z mordercami?

Ryczący tłum domaga się życia Cassiusa. A Sevro najpierw demonstracyjnie nadstawia uszu, a potem ulega tym żądaniom. Spycha Cassiusa z krawędzi pomostu. Złoty spada, gruby kabel wokół jego szyi napręża się i powstrzymuje dalszy lot. Cassius się dławi. Wierzga. Twarz mu czerwienieje. Tłum ryczy, wykrzykuje imię Aresa.

Tłuszcza to pozbawiona duszy bestia żywiąca się strachem, impetem i uprzedzeniami. Nie zna ducha Cassiusa, nie ma pojęcia o szlachetności człowieka, który poświęcił swoje życie rodzinie, a potem został skazany na dalsze życie już bez niej. Widzą potwora, wysokiego na siedem stóp dawnego boga, teraz prawie nagiego, upokorzonego, duszącego się własną pychą.

Ja widzę człowieka, który robi, co może – w świecie, który ma to w dupie. Serce mi pęka.

Mimo to nie ruszam się, bo wiem, że jestem nie tyle świadkiem śmierci jednego przyjaciela, co odrodzenia drugiego. Moi towarzysze nie rozumieją. Zgroza płami twarz Kavaxa, Victry też – chociaż przez cały czas nie miała w sobie wiele współczucia dla Cassiusa, to myślę, że teraz oplakuje okrucieństwo, które widzi w Sevro. To paskudna rzecz w każdym człowieku. Holiday wyciąga broń, przyglądając się Czerwonym w pobliżu, którzy wytykają palcami Kavaxa. Przegapiają widowisko.

Patrzę ze zdumieniem na Sevro, który doskakuje do poręczy i rozkłada szeroko ręce, obejmując całą swoją armię. W dole Cassius wisi i umiera,

a publika bawi się, sprawdzając, kto podskoczy na tyle wysoko, żeby pociągnąć go za nogi. Nikomu się to nie udaje.

– Nazywam się Sevro au Barca – krzyczy mój przyjaciel. – Jestem Ares! – Bije się w pierś. – Zabiłem czterdziestu czterech Żółtych. Piętnastu Obsydianowych. Stu trzynastu Szarych. Moją brzytwą.

Tłum ryczy z aprobatą, nawet Obsydianowi.

– Wielkie nieba wiedzą, ilu więcej zgładziłem na statkach, z dział, pięścią impulsową. Bombami nuklearnymi, nożami, zaostrzonymi kijami... – Teatralnie zawiesza głos.

Tłuszcza tupie.

Sevro znowu bije się w pierś.

– Jestem Ares! I jestem też mordercą! – Łapie się pod boki. – A co robimy z mordercami?

Tym razem tłum nie zna odpowiedzi.

Sevro jej nie oczekiwał. Łapie kabel z szyi klęczącego Żółtego, owija wokół własnej szyi i patrząc na Sefi, uśmiecha się szaleńczo, mruga szelmowsko i koziołkuje przez poręcz.

Tłum krzyczy, ale oszołomiony krzyk Victry jest najgłośniejszy. Kabel napina się gwałtownie. Sevro wierzga i dławi się obok Cassiusa. Wymachuje stopami. Wszystko to w zalegającej wokół makabrycznej ciszy. Twarz mu czerwienieje, zaraz posinieje jak u Cassiusa. Kołyszają się obaj, Goblin i Żółty, zawieszeni nad kotłującym się tłumem. Ludzie depczą się nawzajem, próbując podstawić drabinę i odciąć Sevro. Niestety w swoim szaleństwie przesadzają, zbyt wielu ich wchodzi na drabinę, która odgina się od ściany. Victra już ma sama skoczyć w powietrze w grawiButach, żeby go ratować, ale ją przytrzymuję.

– Poczekaj.

– On umiera!

– I o to chodzi.

To nie chłopiec wisi na linie. Nie sierota o złamanym sercu. To mężczyzna, który przeszedł przez piekło i teraz wierzy w marzenie swojego ojca, w marzenie mojej żony. To człowiek, za którego umarłbym i który sam umiera, żeby ratować ducha tej rebelii.

Kavax patrzy jak zahipnotyzowany na Sefi, która obserwuje tę niezwykłą scenę. Jej Obsydianowi są równie skonsternowani. Zerkają na nią, szukają w niej przywódczyni. Ragnar wierzył w siostrę, że jest zdolna stać się

czymś lepszym niż świat, jaki im dano, w którym nie ma miejsca na miłosierdzie, na wybaczenie.

Sefi w milczeniu unosi topór i odcina kabel Sevro, a potem, niechętnie, także kabel Cassiusa.

Gdzieś tam Ragnar się uśmiecha.

Obaj mężczyźni spadają i zostają złapani przez tłum w dole. Kavax nie poruszył się, odkąd Sevro skoczył. Przygląda się Sefi z bezgranicznym zdumieniem. Cały czas trzyma rękę znieruchomiałą w pół gestu, żeby wezwać swoje dzieci, ale gubi mi się gdzieś w tłumie. Synowie Aresa i Wyjce ciasnym kręgiem otaczają swojego przywódcę, odpychając innych. Sevro, na czworaka, próbuje złapać oddech. Podbiegam do niego, a Holiday pomaga Cassiusowi, który rzezi na ziemi na lewo ode mnie. Pestka okrywa go swoją peleryną Wyjca.

– Możesz mówić? – pytam Sevro.

Kiwa głową. Usta mu drżą z bólu, ale oczy płoną. Podaję mu rękę, pomagam wstać. Unoszę pięść, domagając się ciszy. Synowie Aresa wrzaskiem uciszają tłum, aż w końcu dwadzieścia pięć tysięcy ludzi wstrzymuje oddech i nasłuchuje bicia serca mojego małego przyjaciela. On rozgląda się dookoła, zaskoczony miłością, którą widzi, szacunkiem, zapłakanymi oczami.

– Żona Darrowa – chrypi; ma uszkodzoną krtań. – Jego żona – powtarza mocniejszym głosem – i mój ojciec nigdy się nie spotkali, ale podzielali to samo marzenie. O wolnym świecie. Nie zbudowanym na trupach, ale na nadziei. Na miłości, która nas wiąże, zamiast na nienawiści, która nas dzieli. Wielu straciliśmy. Nie załamaliśmy się jednak. Nie zostaliśmy pokonani. Dalej walczymy, ale nie po to, by pomścić tych, którzy zginęli. Walczymy dla siebie. Walczymy za tych, którzy żyją. Walczymy za tych, którzy jeszcze się nie urodzili. Cassius au Bellona zabił mojego ojca... – Staje nad Cassiusem, przełyka ślinę i podnosi wzrok. – Ale wybaczam mu. Dlaczego? Dlatego, że chronił jedyny świat, jaki znał, ponieważ się bał.

Victra przepycha się do kręgu i patrzy na Sevro, którzy przemawia, jakby mówił do niej i tylko do niej.

– Jesteśmy nową erą. Nowym światem. I jeśli mamy wskazać drogę, to lepiej zadbajmy o to, aby była ona dobra. Jestem Sevro au Barca. I już się nie boję.

Nikczemny ród Barca

– Psiajucha, wariat jesteś – mówię do Sevro.

Siedzimy sami w izbie chorych Virany. Sevro trzyma się za szyję i śmieje się z siebie. Całuję go w czubek głowy.

– Kompletny z ciebie świr, wiesz?

– No wiesz, zwędziłem tę zagrywkę z twojego repertuaru, więc co to mówi o tobie?

– Że on też jest wariat – odzywa się z kąta Mickey. Pali swoje podkrecone szlugi. Fioletowy dym wypływa mu z nozdrzy.

Sevro się krzywi.

– Parszywie boli. Nie mogę nawet spojrzeć w bok.

– Nadwyreżyłeś sobie szyję, uszkodziłeś chrząstkę, masz rany szarpane krtani – wyjaśnia doktor Virany zza skanera medycznego. Gibka, opalona kobieta skrywa w sobie specjalny rodzaj ciszy, zarezerwowany dla ludzi, którzy poznali cierpienie z obu stron.

– To właśnie powiedziałem, jak tylko weszłaś. Korzystasz z tyłu narzędzi, Virany. Serio pytam: gdzie w tym sztuka?

Virany przewraca oczami.

– Gdybyś ważył dziesięć kilo więcej, złamałbyś sobie kark, Sevro. Możesz się uznać za szczęściarza.

– Dobrze, że się wcześniej wysrałem – burczy.

– Szyja Darrowa zniosłaby nawet pięćdziesiąt kilo więcej – chełpi się od niechcenia Mickey. – Ciągliwość szyjnego...

– Serio? – przerywa mu zmęczonym tonem Virany. – Nie możesz popprzechwalać się później, Mickey?

– Ja tylko chciałem zwrócić uwagę na swoją maestrię – odpowiada Rzeźbiarz.

Mruga do niej porozumiewawczo. Lubi irytować przeczuloną na tym punkcie Virany. Odkąd zatrudnił ją do pomocy przy swoim projekcie, więk-

szość dni – ku rozgoryczeniu kobiety – spędzają w jego laboratorium.

– Auć! – krzyczy Sevro, kiedy lekarka szturcha go w kręgosłup. – To moje ciało.

– Przepraszam.

– Piks – szydę.

– Prawie skręciłem sobie kark – narzeka Sevro.

– Wiem, jak to jest. Ale przynajmniej cię nie wychłostali.

– Wolałbym chłostę – mruczy i krzywi się, próbując obrócić szyję.

– Nie wolałbyś, jeśli biczowałby cię Pax.

– Widziałem nagrania, wcale nie bił aż tak mocno.

– A byłeś kiedykolwiek chłostany? Widziałeś moje plecy?

– A widziałeś moje parszywe oko w Instytucie? Szakał wyłupił mi je nożem, a jakoś się nie skarżyłem.

– A mnie całutkiego rozkrojono – odpowiadam, kiedy drzwi otwierają się z sykiem i wchodzi Mustang. – I to dwa razy.

– No tak, prędzej czy później zawsze wracamy do tego cholernego Rzeźbienia – mruczy Sevro, wymachując palcami w powietrzu. – Psiajucha, jestem taki nadzwyczajny, oderwali mi mięso od kości i pokroili DNA na kawałki.

– Oni tak zawsze? – pyta lekarka Mustang.

– Najwyraźniej. Jest szansa, że dasz się przekupić, żeby zaszyć im usta, dopóki nie oduczą się tak przeklinać?

Mickey się ożywia.

– To interesujące, że o to pytasz...

Sevro wchodzi mu w słowo:

– Jak się trzyma nasz Złoty? – pyta. – Wiesz coś?

– Ciesz się, że zachował język – odpowiada Mustang. – Właśnie zszywają mu pierś w izbie chorych. Doszło do krwotoku wewnętrznego z powodu ciosów zadanych tępym narzędziem, ale przeżyje.

– Wreszcie poszłaś go odwiedzić? – pytam.

– Owszem. – Kiwa w zadumie głową. – Był... poruszony. Chciał, żebym ci podziękowała w jego imieniu, Sevro. Mówi, że wie, że na to nie zasłużył.

– To jasne jak cholera – mamrocze Sevro.

– Sefi obiecuje, że Obsydianowi zostawią go w spokoju – wtrącam.

– Obsydianowi? – powtarza Mustang, gdy moje stwierdzenie wyrywa ją z zadumy. – Wszyscy Obsydianowi?

Śmieję się nagle.

- Nie pomyślałem o tym.
- Co jest grane? – pyta Sevro.
- Przemawiała w imieniu wszystkich Obsydianowych, nie tylko Walkirii. To nie było przejęzyczenie. Przed zamieszkami nie było mowy o zjednoczeniu plemion – wyjaśniam. – Musiała wykorzystać sytuację, żeby zjednoczyć innych wodzów pod swoim przywództwem.
- Czyli... przeprowadziła zamach stanu? – pyta Sevro.
- Śmieję się.
- Na to wygląda.
- Przekonamy się, czy to trwała zmiana. Niemniej... to imponujące – przyznaje Mustang. – Zawsze nam powtarzano, żeby nigdy nie marnować dobrego kryzysu.
- Mickey dygoce.
- Obsydianowi bawiący się w politykę...
- Czyli to wszystko, co się tam wydarzyło... to była strategia? Czy to działa się naprawdę? – pyta Mustang.
- Nie wiem – odpowiada Sevro. – Znaczy, w którymś momencie trzeba było przerwać ten cykl. To beznadziejne, ale tata odszedł. Nie ma sensu podpalać całego świata, żeby go odzyskać. I wiecie co? Cassius nie zabił mojego ojca dlatego, że go nienawdził. Obaj byli żołnierzami, a żołnierze tak po prostu robią. Zabijają się nawzajem.
- Mustang kręci głową, nie znajduje słów. Kładzie więc tylko rękę na jego ramieniu, a Sevro wie, że jej zaimponował. Komplement w postaci milczenia jest największym, jaki Mustang może mu zaoferować. Ten w zamian posyła jej rzadki, szczerzy, pozbawiony ironii uśmiech – który zaraz znika, gdy drzwi się otwierają i wchodzi Victra. Ma zaczerwienione oczy. Jest wyraźnie poruszona.
- Muszę z tobą porozmawiać – mówi do Sevro.
- Wynoście się – rozkazuje nam karzeł, kiedy nikt się nie rusza. – Wszyscy.

* * *

Czekamy na zewnątrz.

- Jak myślisz, ile potrwa podróż? – pyta Mustang.
- Czterdzieści dziewięć dni – odpowiadam, odciągając Mickeya spod drzwi, do których przykładam ucho i próbuje podsłuchiwać. – Najważniejsze

jest to, żeby Niebiescy nic nie chlapnęli.

– Czterdzieści dziewięć dni to mnóstwo czasu dla mojego brata, żeby obmyślić jakiś plan.

Poza naszym statkiem życie płynie jak dawniej. Czerwoni są zwierzyną. I chociaż rozbudziliśmy ducha w podKolorach i daliśmy rebelii kolejne zwycięstwo, każdy dzień, jaki poświęcamy na podróż do Rdzenia, to kolejny dzień, w którym Szakał może polować na naszych przyjaciół, a Suwerenka dławić dręczące ją bunty. Mój stryj odszedł. Ilu jeszcze umrze, zanim wrócę?

– Wszystkie rany się nie zagoją – zapowiada Mustang. – Obsydianowi zabili siedmiu więźniów. Moi ludzie obawiają się tej wojny. Jej konsekwencji. Zwłaszcza jeśli Sefi zjednoczyła teraz plemiona. Stała się niebezpieczna.

– I bardziej użyteczna – dodaje.

– Dopóki znowu nie wejdzie z tobą w konflikt. To w każdej chwili mogło się źle skończyć.

Prostuje się, kiedy Mickey czmycha spod drzwi, które właśnie się otwierają. Sevro i Victra wychodzą, oboje uśmiechnięci.

– Co tak szczerzycie zęby? – pytam.

– Patrz.

Sevro pokazuje pierścień Domu Jowisza z Instytutu. Kręci się luźno na jego palcu. Zerkam, mrużę oczy, nie od razu rozumiem. Jego własny pierścień zniknął.

Dopiero wtedy dostrzegam, że Victra wcisnęła go z trudem na mały palec.

– Oświadczyła się – wyjaśnia wniebowzięty Sevro.

– Że co?! – pryham.

Mustang unosi brwi.

– Oświadczyła... w sensie...

– Tak, młody! – Sevro promienieje. – Będziemy się chajać!

* * *

Sevro i Victra pobierają się siedem nocy później podczas skromnej ceremonii w rezerwowym hangarze na *Gwieździe Zarannej*. Kiedy Victra poprosiła, żeby ją odprowadził, gdy już nam powiedzieli o swoich planach, zanie-mówilem. Objałem ją, jak obejmuję ją teraz, zanim wezmę ją za rękę

i poprowadzę wśród krótkiego szpaleru wyszorowanych Wyjców i potężnych Telemanusów. Nigdy w życiu nie wiedziałem Sevro równie czystego; niesfornego irokeza szesał na bok i teraz stoi przed Mickeyem. Zwyczajowo to Biały udziela błogosławieństwa, ale Victra wyśmiała tę tradycję i poprosiła o to Mickeya.

Fioletowy promienieje. Ma zbyt mocny makijaż jak na środek dnia, ale i tak wygląda olśniewająco. Z Rzeźbiarza zamienił się w handlarza niewolników, z handlarza niewolników w oficjela, który udziela ślubu. Nie była to prosta droga, ale to czyni go tym bardziej czarującym. Był zachwycony, kiedy Błazen i Brzydał poprosili go, żeby dołączył do nas podczas wieczoru kawalerskiego Sevro. Porwaliśmy karła z jego sypialni noc wcześniej i zaciągnęliśmy do kantyny, gdzie Wyjce zebrały się, żeby się napić.

Wrogość, która pojawiła się podczas zamieszek, nie zniknęła całkowicie, ale śluby wnoszą ze sobą nostalgiczny powiew normalności. Pośród szaleństwa wojny świadomość, że życie może trwać, rodzi specjalny rodzaj nadziei. Chociaż niektórzy Synowie Aresa narzekają, że Czerwony przywódca żeni się ze Złotą, to Victra dokonała dość, żeby zdobyć sobie szacunek przywódców organizacji. A odwaga, z jaką walczyła na *Gwieździe Zarannej* razem z Sefi i ze mną, jeszcze go powiększyła. Victra przelewała krew dla nich i razem z nimi, więc w mojej flocie panuje spokój i cisza. Przynajmniej tego wieczoru.

Nigdy nie widziałem Sevro równie szczęśliwego – ani równie zdenerwowanego jak na godzinę przed ceremonią, kiedy czesał się w łazience. Co na niewiele się zdało w przypadku jego irokeza.

– Czy to szaleństwo? Wczoraj miałem wrażenie, że to dobry pomysł – zapytał, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

– Dzisiaj to też jest dobry pomysł – zapewniłem go.

– Nie mów tego na odwal się. Powiedz mi prawdę. Niedobrze mi.

– Ja przed ślubem z Eo zwymiotowałem.

– Chrzanisz.

– Obryzgałem stryjowi buty. – Krzywię się z bólu, gdy przypomina mi się, że on już nie żyje. – Nie bałem się niewłaściwej decyzji. Bałem się, że ona się boi. Bałem się, że nie dorosnę do jej oczekiwań... Ale stryj powiedział mi, że kobiety oceniają nas lepiej niż my sami siebie. Dlatego kochasz Victrę. Dlatego się z nią kłócisz. Dlatego na to zasługujesz.

Sevro mruży oczy, patrząc na mnie w lustrze.

– Pewnie, ale twój stryjek to był wariat. Wszyscy to wiedzą.

– To pasuje do reszty. Wszyscy jesteśmy trochę stuknięci. Zwłaszcza Victra. Przecież musi być stuknięta, skoro za ciebie wychodzi, nie?

– Racja, psiajucha. – Sevro szczyrzy zęby.

Zmierziłem mu włosy. Wbrew wszystkiemu miałem nadzieję, że tej dwójce uda się teraz zaznać odrobinę szczęścia, a potem może jeszcze więcej. Tak naprawdę to wszystko, na co można liczyć.

– Szkoda, że staruszka tu nie ma.

– Jestem pewien, że właśnie gdzieś zaśmiewa się do łez, bo będziesz musiał stanąć na palcach, żeby pocałować pannę młodą.

– Zawsze był z niego kutas.

Teraz Sevro przestępuje z nogi na nogę, kiedy podaje mu rękę Victry. Patrzy jej w oczy. Mnie nawet nie zauważa. Dla nich nikogo z nas tu nie ma. Czulość, którą widzę w tej gniewnej kobiecie, najlepiej dowodzi tego, jak bardzo go kocha. Nigdy o tym nie mówi. To nie w jej stylu. Jednak jej ostry jak brzytwa sposób bycia jest tego wieczoru stępiony. Jakby widziała w Sevro azyl, miejsce, w którym może być bezpieczna.

Dołączam do Mustang, kiedy Mickey zaczyna swoją kwiecistą przemowę. Nie jest nawet w połowie tak górnolotna, jak się spodziewałem. Mustang kiwa głową, słuchając, i już wiem, że pomagała mu przy jej układaniu. Wyczytuje to z moich myśli, pochyla się i mówi:

– Żałuj, że nie słyszałeś pierwszej wersji. To dopiero było coś. – Pociąga nosem. – Jesteś pijany? – Ogląda się na zarumienionych Wyjców i rozchwianych Telemanusów. – Wszyscy są pijani?

– Ćśś – mówię i podaje jej piersiówkę. – To ty jesteś za trzeźwa.

Mickey kończy ceremonię.

– ...porozumienie, które może zerwać tylko śmierć. Ogłaszam was Sevro i Victrą Barca.

– Julii – poprawia go szybko Sevro. – Jej ród jest starszy.

Victra kręci głową, patrząc na niego.

– Dobrze powiedział.

– Ale ty jesteś Julii – odpowiada skonsternowany Sevro.

– Wczoraj byłam. Dzisiaj wolę być Barca. O ile nie masz nic przeciwko temu i nie będę musiała proporcjonalnie zmaleć.

– Byłoby cudownie – odpowiada Sevro z rumieńcem na policzkach.

Oboje z Victrą obracają się do nas. Mickey kończy przemowę:

– Wobec tego przedstawiam was waszym przyjaciołom i światom jako Sevro i Victrę z marsjańskiego rodu Barca.

* * *

Ceremonia może i była skromna, ale o weselu nie da się tego powiedzieć. Obejmuje ono bowiem całą flotę. Jeśli moi ludzie coś naprawdę potrafią, to właśnie świętować, gdy życie jest ciężkie. Bo aby żyć naprawdę, nie wystarczy przetrwać. Przemowa Sevro i wieść o jego powieszeniu rozniosły się po statkach i zasklepiły powstałe rany.

Jednakże dzisiejszy dzień naprawdę się liczy. Utwierdza ludzi w radości życia. Na mniejszych korwetach, na niszczycielach i destraktorach oraz *Gwieździe Zarannej* urządzono tańce. Myśliwce oblatują mostki w świątecznych formacjach. Gorzała i alkohole Wspólnoty płyną w żyłach tłumów, które zbierają się w hangarach, żeby śpiewać i tańczyć wśród narzędzi wojny. Nawet Kavax, który tak uparcie boi się chaosu i żywi uprzedzenia wobec Obsydianowych, tańczy z Mustang. Pijacko obejmuje Sevro i Victrę, niezręcznie próbuje zapomnieć salonową tandetę tańców Złotych i nauczyć się tańca moich ludzi. Jego nauczycielką jest Czerwona o roześmianej twarzy i bujnych krągłościach, ze smarem pod paznokciami. Towarzyszy im Cyther, niezręczny Pomarańczowy, który tak mi zaimponował półtora roku temu w hangarze *Paxa*. Dopiero co, ledwie tego ranka, skończył specjalny projekt Mustang. Teraz, pijany, obraca swoje niezgrabne ciało na parkiecie, a Kavax pokrzykuje gromko z aprobatą.

Daxo kręci głową, widząc popisy ojca, a sam jak zawsze siedzi z boku, zachowując rezerwę. Dzielę się z nim napitkiem.

– To wino – mówię.

– Dzięki niech będą niebiosom – odpowiada, biorąc ostrożnie kieliszek.
– Twoi ludzie co rusz próbowali mnie częstować jakimś rozpuszczalnikiem do silników.

Sprawdza coś nieufnie na terminalu.

– Wyzaczyłem Holiday do ochrony – uspokajam go. – To nie jest przyjęcie Złotych.

Śmieje się.

– I za to też dziękuję niebiosom. – Wypija w końcu łyk wina. – Wenusjańskie Atole – mówi. – Świetna rzecz.

– Roque miał dobry gust. Twój ojciec stanowi niesamowity widok – mówię, kiwając głową na parkiet, gdzie wielki mężczyzna kołysze się wraz z dwójką Czerwonych.

– Nie on jeden – odpowiada Daxo.

Ma słuszość. Patrzę na Mustang, która właśnie wiruje w tańcu z Sevro. Promienienie życiem. A może to skutek alkoholu. Spocone włosy kleją jej się do czoła.

– Ona cię kocha, wiesz? – dodaje Daxo. – Po prostu boi się, że cię straci, więc trzyma cię na dystans. – Uśmiecha się do siebie. – Zabawne, jak czasem działamy, prawda?

– Daxo, dlaczego nie tańczysz? – pyta Victra, idąc do niego. – Zawsze taki akuraty. Wstawaj! Wstawaj! – Ciągnie go, popycha w stronę parkietu, a potem pada na jego krzesło. – Moje stopy. Buszowałam w szafie Antonii. Zapomniałam, jakie ma koślawe nogi.

Śmieję się. Błazen podchodzi do nas chwiejnie, jest okrutnie wstawiony.

– Victra, Darrow, mam pytanie. Uważacie, że Pestka jest zainteresowana tym facetem? – pyta mnie, opierając się o stół i wypijając duszkiem kolejny kieliszek wina. Zęby już ma fioletowe.

– Tym wysokim? – upewnia się Victra. Pestka tańczy z Szarym kapitanem. – Wygląda, jakby jej się podobał.

– Jest strasznie przystojny – stwierdza Błazen. – I ma ładne zęby.

– Pewnie mógłbyś ją odbić – stwierdzam.

– Nie chcę wyjść na zdesperowanego.

– Niech niebiosy bronią – przytakuje mu Victra.

– Chyba ją odbiję.

– Myślę, że to dobry pomysł – mówi dziewczyna – ale najpierw się ukłóń. Żeby wyszło to grzecznie.

– Aha. Jasne. To idę. – Błazen nalewa sobie kolejny kieliszek. – Tylko się jeszcze napiję.

Zabieram mu wino i popycham go na parkiet. Holiday pojawia się w drzwiach i patrzy, jak Błazen niezręcznie przerywa parze taniec. Kłania się przed Pestką, nadzwyczaj teatralnym gestem podając jej dłoń.

– Jasny gwint, naprawdę to zrobił. – Victra prychnie szampanem przez nos. – Powinieneś zrobić to samo z Mustang. Wydaje mi się, że próbuje mi ukraść męża. Męża! To przedziwne słowo.

– Rzeczywiście, przedziwne.

– Chociaż nie całkiem. „Żona”. Kto by pomyślał?

Obrzucam ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Tobie pasuje. – Obejmuję ją ramieniem. – Pasuje jak ulał.

Uśmiecha się promiennie.

Podchodzi do nas Holiday.

– Dowódco?

– Przyszedł się napić? – Zerkam na nią i uśmiech zamiera mi na ustach na widok jej miny. – Co jest?

Daje znać, żebym odsunął się od Victry.

– To Szakal – zniża głos, żeby nie psuć nastroju. – Chce z tobą rozmawiać. Bezpośrednie połączenie.

– Ile wynosi opóźnienie?

– Sześć sekund.

Na parkiecie Sevro obraca niezręcznie Mustang; śmieją się, bo żadne z nich nie zna tańca, który wokół nich tańczą Czerwoni. Mustang ma włosy na skroniach ciemne od potu, oczy jej płoną radością chwili. Żadne z nich nie wyczuwa nagłej zgrozy, która ogarnia mnie i świat poza statkiem. Nie chcę, żeby ją poczuli. Nie tego wieczoru.

W czasie

Szakał siedzi na zwyczajnym krześle pośrodku mojego okrągłego pokoju treningowego. Ma na sobie biały płaszcz ze złotymi lwami po obu stronach wysokiego kołnierza. Gwiazdy nad jego błyszczącym hologramem są zimnymi plamami światła wpadającego przez kopułę z duroSzkła. Ten pokój został stworzony po to, żeby trenować tu przed wojną, więc właśnie w nim udzielię audiencji mojemu wrogowi. Nie pozwolę mu splugawić statku, na którym żył Roque i na którym świętują moi przyjaciele. Nie dopuszczę go nigdzie indziej.

Chociaż znajduje się miliony kilometrów stąd, prawie wyczuwam jego zapach – woń strużyn ołówka. Słyszę wielką ciszę, którą Szakał wypełnia pomieszczenia, kiedy stoję przed jego cyfrowym obrazem. Jest tak realistyczny, że gdyby nie poświata hologramu, pomyślałbym, że naprawdę tu siedzi. Tło za nim zostało rozmazane. Patrzy, jak wchodzę do pokoju. Bez uśmiechu na twarzy. Bez fałszywej uprzejmości. Mimo to wyczuwam, że jest rozbawiony. Obraca w ręku srebrny rylec. To jedyna oznaka jego wzburzenia.

– Cześć, Żniwiarz. Jak tam zabawa?

Staram się nie okazać skrępowania. Oczywiście, że wie o weselu. Ma szpiegów w naszej flocie. Nie wiem, jak blisko mnie się znajdują. Nie pozwalam jednak, by ta myśl mną owładnęła. Gdyby mógł dosięgnąć nas i zranić aż tutaj, już dawno by to zrobił.

– Czego chcesz?

– Poprzednio to ty się ze mną skontaktowałeś, więc pomyślałem, że się odwzajemnię, zwłaszcza po tym, jak przesłałem ci wiadomość z twoim stryjem. Dostałeś ją?

Nie odpowiadam.

– Bo ostatecznie, kiedy już przylecisz na Marsa, przemówią działa. Możliwe, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Dziwne, prawda? Widziałeś

Roque'a przed śmiercią?

– Tak.

– Błagał z płaczem o wybaczenie?

– Nie.

Szakał marszczy brwi.

– Spodziewałem się, że będzie błagał. Romantyków łatwo ogłupić. I pomyśleć, że na jego oczach odebrałem mu dziewczynę. Ty przebiegłeś korytarzem, wykrzykując imię Tactusa, a on podniósł wzrok skonsternowany. Skalpelem wbiłem odłamek czaszki Quinn głębiej w jej mózg. Myślałem, że pozwolę jej żyć z uszkodzonym mózgiem. Jednak na myśl, że miałyby się wiecznie ślinić, zrobiło mi się niedobrze. Myślisz, że nadal by ją kochał, gdyby się śliniła?

Słysząc jakiś dźwięk przy drzwiach poza zasięgiem kamery. To Mustang przyszła za mną z wesela. Przygląda się tej scenie, obserwuje ją w milczeniu. Powinienem wyłączyć holo. Zostawić tego stwora samemu sobie, ale jakoś nie mogę się z nim rozstać. Ta sama ciekawość, która mnie tu sprowadziła, zatrzymuje mnie w tym miejscu.

– Roque nie był idealny, ale troszczył się o Złoty. Troszczył się o ludzkość. Miał za co umierać. A to sprawia, że był lepszy od większości ludzi.

– Łatwo jest wybaczać martwym – odpowiada Szakał. – Już ja to wiem.

Drobny ludzki spazm szarpie jego ustami. Może nigdy tego nie powie, ale już sam ton jego głosu zdradza mi, że pewnych rzeczy żałuje. Wiem, że pragnął aprobaty ojca. Czy to jednak możliwe, że naprawdę za nim tęskni? Że wybaczył ojcu po śmierci i teraz szczerze go opłakuje?

Podnosi z kolan krótką złotą pałkę. Przyciska guzik i pałka wydłuża się, zamienia się w berło z czaszką szakala na szczycie piramidy Wspólnoty. Zamówiłem ją dla niego ponad rok temu.

– Nie rozstałem się z twoim podarkiem. – Przesuwa palcem po głowie szakala. – Przez całe życie dostawałem lwy. Nie miałem niczego własnego. Co to mówi o mnie, że mój największy wróg zna mnie lepiej niż przyjaciele?

– Ty jesteś berłem, ja mieczem – oznajmiam, ignorując jego pytanie. – Taki był plan.

Dałem mu berło, ponieważ chciałem, żeby poczuł się kochany. Żeby poczuł we mnie przyjaciela. Bo naprawdę byłbym mu przyjacielem. Pomógłbym mu się zmienić, tak jak zmieniła się Mustang. I jak mogłby zmienić się Cassius.

– Jest tak, jak sobie wyobrażałeś?

– O czym mówisz?

– O zasiadaniu na miejscu ojca.

Marszczy brwi, zastanawiając się, jaką dać mi odpowiedź.

– Nie – rzuca w końcu. – Nie jest tak, jak się spodziewałem.

– Chcesz być nienawidzony, prawda? Dlatego zabiłeś mojego stryja, chociaż nie musiałeś tego robić. To ci daje cel. Dlatego skontaktowałeś się ze mną. Żeby poczuć się ważny. Ale ja cię nie nienawidzę.

– Kłamiesz.

– Wcale nie.

– Zabiłem Paxa i twojego stryja, i Lorna...

– Lituję się nad tobą.

Wzdraga się.

– Litujesz?

– Arcygubernator Marsa, jeden z najpotężniejszych ludzi pośród wszystkich światów. Masz władzę, żeby robić, co zechcesz. Ale to ci nie wystarcza. Zawsze wszystkiego było ci mało i zawsze będzie. Adriusie, nie próbujesz wykazać się przed swoim ojcem, przede mną, przed Virginią, przed Suwerenką. Próbujesz nadać znaczenie sobie we własnych oczach. Bo jesteś w środku popsuty. Bo nienawidzisz tego, czym jesteś. Chciałbyś urodzić się taki jak Claudius. Jak Virginia. Chciałbyś być taki jak ja.

– Jak ty? – pyta szyderczo. – Jak obrzydliwy Czerwony?

– Nie jestem Czerwony.

Pokazuje mu ręce pozbawione Pieczęci. To budzi w nim obrzydzenie.

– Nie ewoluowałeś nawet na tyle, żeby mieć Kolor, Darrow? Zwykły *homo sapiens* bawiący się w królestwie bogów.

– Bogów? – Kręcę głową. – Nie jesteś bogiem. Nie jesteś nawet Złotym. Jesteś zwykłym człowiekiem, który myśli, że tytuł uczyni go wielkim. Zwykłym człowiekiem, który chce być czymś więcej, niż naprawdę jest. Jednak w gruncie rzeczy pragniesz tylko miłości. Zgadza się?

Prycha drwiąco.

– Miłość jest dla słabych. Jedyne, co nas dwóch łączy, to głód. Myślisz, że mnie nie da się nasycić. Że zawsze pragnę więcej i więcej. Spójrz jednak w lustro i zobaczysz takiego samego człowieka. Wmawiaj swoim małym Czerwonym przyjaciołom, co chcesz, ale ja wiem, że zatraciłeś się wśród nas. Tęsknisz za tym, żeby być Złotym. Widziałem to w twoich oczach w Instytucie. Widziałem tę gorączkę na Lunie, kiedy zaproponowałem, że

powinniśmy rządzić. Widziałem to, kiedy jechałeś triumfalnym rydwanem do schodów cytadeli. Ten głód sprawia, że jesteście wiecznie samotni.

Te słowa przeszywają mnie do rdzenia mojego jestestwa. Ten otchłanny strach, który ciemność uczyniła moją rzeczywistością. Strach przed samotnością. Lęk, że nigdy więcej nie znajdę miłości. Wtedy jednak Mustang staje obok mnie.

– Mylisz się, bracie.

Na widok siostry Szakał odchyła się na oparcie krzesła.

– Darrow miał żonę – ciągnie Mustang. – Rodzinę, którą kochał. Miał zaledwie odrobinę i był szczęśliwy. Ty miałeś wszystko i byłeś nieszczęśliwy. I zawsze będziesz, bo zazdrośnie wszystkiego pragniesz. – Spokój Szakała zaczyna się kruszyć. – Dlatego zabiłeś ojca i Quinn. Dlatego zabiłeś Paxa. To jednak nie jest gra, bracie. To nie jest jeden z twoich labiryntów...

– Nie nazywaj mnie bratem, dziwko. Nie jesteś moją siostrą. Rozkładasz nogi dla kundla. Dla zwierzęcia jucznego. Następni będą Obsydianowi? Założę się, że już stoją w kolejce. Hańbisz swój Kolor i nasz ród.

Podchodzę w gniewie do holo, ale Mustang kładzie rękę na mojej piersi i odwraca się do brata.

– Myślisz, że nigdy nie byłeś kochany, bracie, ale matka cię kochała.

– Jeśli mnie kochała, to czemu nie została? – pyta ostro Szakał. – Dlaczego odeszła?

– Nie wiem. Ale ja też cię kochałam, a ty to odrzuciłeś. Byłeś moim bratem bliźniakiem. To nas wiązało na całe życie. – Mustang ma łzy w oczach. – Latami cię broniłam. A potem dowiedziałam się, kto kazał zabić Claudiusa. – Mruga, żeby pozbyć się łez, kręci głową, odnajdując determinację. – Nie mogę ci tego wybaczyć. Nie mogę. Miałeś miłość, ale ją straciłeś, bracie. To twoje przekleństwo.

Podchodzę i staję z nią ramię w ramię.

– Adriusie, idziemy po ciebie. Zniszczymy twoje statki. Najedziemy Marsa. Przebijemy się przez ściany twojego bunkra. Znajdziemy cię i doprowadzimy przed oblicze sprawiedliwości. A wtedy zawisniesz na szubienicy. A gdy otworzy się pod tobą zapadnia, kiedy twoje stopy odtańczą Taniec Diabła, wtedy zdasz sobie sprawę, że to wszystko było na darmo, bo nie znajdzie się nikt, kto cię pociągnie za nogi.

Białe światło holo znika, gdy przerywamy połączenie. Zostajemy sami pod szklanym sufitem i gwiazdami.

– Dobrze się czujesz? – pytam Mustang.

Kiwa głową, ocierając oczy.

– Nie spodziewałam się, że się tak popłaczę. Przepraszam.

– Szczerze mówiąc, ja chyba więcej płaczę. Ale wybaczam.

Próbuje się uśmiechnąć.

– Myślisz, że naprawdę damy radę to zrobić, Darrow?

Ma zaczerwienione oczy, tusz, którym umalowała rzęsy na wesele, rozmazał się od łez, nos zaróżowił się od płaczu. Mimo to nigdy nie widziałem bardziej przenikliwej urody. Życie z całą swoją surowością przepływa przez nią. Wszystkie szczeliny, wszystkie lęki, która czynią ją tym, kim jest, są widoczne w jej oczach. Jest tak niedoskonała, że chcę ją objąć i kochać tak długo, jak zdołam.

Przynajmniej ten jeden raz mi na to pozwala.

– Musimy. I ty, i ja mamy przed sobą całe życie.

Przyciągam ją ku sobie. Wydaje się niemożliwe, żeby taka kobieta jak ona mogła kiedykolwiek chcieć, bym ją tulił, ale opiera głowę na mojej piersi, a ja ją przytulam i przypominam sobie, jak idealnie do siebie pasowaliśmy, kiedy się obejmowaliśmy. Gwiazdy i minuty przepływają w oddali.

– Powinniśmy wracać na przyjęcie – odzywa się w końcu.

– Po co? Tu mam wszystko, czego mi trzeba.

Patrzę na jej złotą głowę i widzę włosy ciemniejsze przy skórze. Wdycham jej zapach. Czy to miałoby się skończyć jutro, czy za osiemdziesiąt lat, mógłbym napawać się tą wonią przez resztę życia. Chcę jednak więcej. Potrzebuję więcej. Odchylam jej smukłą twarz, żeby spojrzała mi w oczy. Chciałem powiedzieć coś ważnego. Coś godnego zapamiętania. Ale zapominam, tonąc w jej oczach. Przepaść, która nas dzieli, nadal istnieje, wypełniona pytaniami, oskarżeniami, wyrzutami sumienia, ale to też część miłości, część bycia człowiekiem. Wszystko jest popękane, poplamione, z wyjątkiem kruchych chwil, które zawisają krystalicznie czyste, zatopione w czasie, i sprawiają, że warto żyć.

Luna

Boje Rubikonu to sfera transponderów, z których każdy jest wielki jak dwóch Obsydianowych. Unoszą się w przestrzeni kosmicznej milion kilometrów od jądra Ziemi i otaczają najbardziej wewnętrzną część włości Suwerenki. Przez pięćset lat żadna obca flota nie przekroczyła tych granic. A teraz – dwa miesiące i trzy tygodnie po tym, jak wieści o zniszczeniu niezwyciężonej armady Miecz dotarły do Rdzenia, osiem tygodni po tym, jak oznajmiłem, że lecimy na Marsa, i siedemnaście dni po tym, jak Suwerenka ogłosiła, że we wszystkich miastach Wspólnoty obowiązuje stan wyjątkowy – Czerwona Armada zbliża się do Luny. Przelatuje obok Boi Rubikonu bez choćby jednego wystrzału.

Dewastatory Telemanusów pędzą w awangardzie, żeby oczyścić nam drogę z min i wyszukać wszelkie pułapki pozostawione przez siły Wspólnoty. Za nimi lecą ciężkie niszczyciele Orion wypełnione Obsydianowymi. Na ich kadłubach wymalowano wszystkowidzące oczy lodowych duchów. Dalej sunie flota Julii – ciężkozbrojne drednoty z płaczącym słońcem Victry, *Pandora* i siły Reformatorów – synowe Lorna au Arcosa, które przybyły, by domagać się sprawiedliwości, oraz czarno-złote statki z lwem rodu Augustus, którym przewodzi poblížniona w walce *Dejah Thoris*. Na końcu lecą moje własne okręty, którym przewodzi największy, jaki kiedykolwiek zbudowano i ukradziono, niezłomna biała *Gwiazda Zaranna* z długą na siedemnaście kilometrów czerwoną kosą wymalowaną na obu burtach. Dziury, które wycięliśmy w niej świdroszponami, nie zostały naprawione, ale wymieniono opancerzenie na zewnętrznym kadłubie. *Pax* zginął, żeby nam je ofiarować. I jakież to wspaniały łup! Zabrakło nam farby na kosę na spodzie, więc mamy tam tylko niechlujny sierp księżyca, symbol rodu Lune. Ludzie uważają, że to dobry znak. Niezamierzona zapowiedź dla Octavii au Lune, że znalazła się na naszym celowniku.

Wojna zawitała do Rdzenia.

Od trzech dni wiedzą, że nadchodzę. Nie mogliśmy całkowicie ukryć naszego pojawienia się przed ich czujnikami, ale chaos panujący wokół planet zdradza, jak bardzo są nieprzygotowani na nasze przybycie. To zdezorganizowana cywilizacja. Pan Popiołów rozstawił armadę Berło – dumę Rdzenia – wokół Luny w formacji obronnej. Karawany statków handlowych z Obrzeża tarasują Via Appia nad północną półkulą Luny, podczas gdy spóźnione statki cywilne brną z powrotem Via Flaminia, czekając na inspekcję w kolosalnym astroPorcie Flaminius, zanim wejdą w ziemską atmosferę. Jednakże kiedy przekraczamy Boje Rubikonu i zapuszczamy się coraz głębiej w przestrzeń okołolunarną, statki ogarnia rozgorączkowane szaleństwo. Wiele z nich wyrывa się z uporządkowanych kolejek, żeby popędzić ku Wenus, inne próbują minąć astroPort i dopaść Ziemi. Rozbłyśkują, gdy srebrne i białe myśliwce Wspólnoty i szybkie uzbrojone fregaty rozrywają ich silniki i kadłuby. Dziesiątki jednostek umierają dla zachowania porządku.

Przeciwnik ma przewagę liczebną i kolosalną przewagę uzbrojenia, ale inicjatywa jest po naszej stronie, podobnie jak strach, który żywią wszelkie cywilizacje przed barbarzyńskimi najeźdźcami.

Zaczyna się pierwszy taniec w bitwie o Lunę.

– Uwaga, niezidentyfikowana flota... – Łamiący się głos Miedzianego niesie się na otwartej częstotliwości. – Tu Dowództwo Obrony Luny. Jesteście w posiadaniu skradzionych dóbr i pogwałciliście przepisy Wspólnoty dotyczące granic w przestrzeni kosmicznej. Natychmiast przedstawcie się i ujawnijcie swoje zamiary.

– Wystrzel pocisk dalekiego zasięgu w Cytadelę – rozkazuję.

– Cytadela leży milion kilometrów stąd... – marudzi Niebieski artylerzysta. – Zestrzelą go.

– Psiajucha, on to doskonale wie – warczy Sevro. – Wykonaj rozkaz.

Wymagało to ogromnych wysiłków kontrwywiadu, nie tylko w naszych transmisjach do komórek Synów Aresa w całym Rdzeniu, ale także wśród naszych statków i dowódców, żebyśmy dolecieli tu niezauważeni. Szakal nie będzie w stanie pomóc Suwerence, tak samo jak *Classis Venetum*, czwarta flota Wenus, i *Classis Libertas*, piąta flota Wewnętrznego Pasa, którą Suwerenka wysłała na Marsa, żeby wesprzeć Szakala. Nawet przy maksymalnej szybkości te okręty znajdują się obecnie trzy tygodnie lotu stąd, biorąc pod uwagę położenie planet na orbitach. Kłamstwo podziałało. Szpiedzy na moim statku ujawnili nasze plany, tak jak na to liczyłem.

Oto zagrożenie związane z imperium na skalę Układu Słonecznego – armie i całe uzbrojenie wszystkich światów na nic się nie zdadzą, jeśli znajdują się w niewłaściwym miejscu.

Dwadzieścia minut później mój pocisk zostaje zestrzelony przez stację obrony orbitalnej.

– Kolejne połączenie przychodzące, bezpośrednie – odzywa się za moimi plecami Niebieski łącznościowiec. – Ma pretoriańskie nagłówki.

– Daj na główny ekran – odpowiadam.

Przedemną materializuje się Złoty pretorianin o wyrazistej twarzy i krótko ostrzyżonych, posiwiałych na skroniach włosach. Ten sam obraz pojawi się na wszystkich mostkach i holoEkranach w mojej flocie.

– Darrowie z Lykos – zaczyna z nienagannym akcentem człowieka urodzonego na Lunie – czy zajmujesz pozycję imperatora tej floty wojennej?

– A do czego mi potrzebne wasze tradycje?

– Dobrze więc – odpowiada Złoty, nawet teraz przestrzegając konwencji. – Jestem arcylegat Lucius au Sejanus z pierwszej kohorty Straży Pretoriańskiej. – Słyszałem o Sejanusie. To upiorny, ale kompetentny człowiek. – Kieruję się z misją dyplomatyczną do współrzędnych, które zajmujesz – oznajmia oschle. – Proszę, abyś powstrzymał się od dalszych agresywnych działań i zapewnił mojemu promowi dostęp do swojego okrętu flagowego, byśmy mogli omówić intencje Suwerenki i Senatu w kwestii...

– Odmawiam.

– Słucham?

– Jeśli jakikolwiek statek Wspólnoty zbliży się do mojej floty, zostanie ostrzelany. Jeśli Suwerenka pragnie rozmawiać ze mną, to niech zrobi to osobiście. Nie ustami swojego sługusa. Powiedz wiedźmie, że przybyliśmy na wojnę. Nie na pogaduszki.

* * *

Mój statek tętni gorączkową aktywnością. Załoga raptem trzy dni temu poznała nasz prawdziwy cel, co napełniło ją szaleńczym podnieceniem. Atak na Lunę niesie w sobie zapowiedź nieśmiertelności. Czy zwyciężymy, czy przegramy, na zawsze splamimy dziedzictwo Złotych. A w umysłach moich ludzi, w rozmowach, które wychwytyjemy z planet i księżyców Rdzenia, wyczuwa się, że prawdziwy strach wisi w powietrzu. Po raz pierwszy od wieków Złoci okazali słabość. Zniszczenie armady Miecz

przyczyniło się do rozprzestrzenienia rebelii bardziej, niż zdołałyby to zrobić jakiekolwiek moje przemowy.

Żołnierze salutują, kiedy mijają mnie w korytarzu, idąc do transportowców i pijawek. Oddziały składają się głównie z Czerwonych i zbuntowanych Szarych, ale w każdej kapsule widzę też Zielonych techników uzbrojenia, Czerwonych operatorów maszyn i Obsydianowych zwiadowców oraz ciężkozbrojną piechotę. Ponownie wysyłam do kontrolera lotów *Gwiazdy Zarannej* zezwolenie na lot promu opatrzone moim kodem autoryzacyjnym. Kod zostaje przyjęty. Zwykle zaufałbym, że mój rozkaz zostanie po prostu wypełniony, ale dzisiaj chcę mieć pewność, więc idę na mostek, żeby potwierdzić to osobiście. Odpowiedzialny za ochronę mostka Czerwony kapitan piechoty morskiej rozkazuje swoim ludziom stanąć na baczność. Salutuje mi ponad pięćdziesięciu uzbrojonych żołnierzy. Niebiescy przy swoich stanowiskach nie przerywają pracy. Orion stoi na przednim posterunku obserwacyjnym, gdzie dawniej stawał Roque. Mięsiste dłonie splotła za plecami. Skórę ma niemal równie ciemną jak czarny mundur. Odwraca się do mnie z tym swoim paskudnym białym uśmiechem, patrząc na mnie wielkimi jasnymi oczami.

– Żniwiarzu, flota jest prawie gotowa.

Witam ją ciepło i staję obok, patrząc przez szyby iluminatorów.

– Jak to wygląda?

– Pan Popiołów ustawił się w szyku obronnym. Najwyraźniej uważa, że zamierzamy zacząć od Żelaznego Deszczu, zanim odepchniemy go od księżyca. Przenikliwa analiza. Nie ma powodu, żeby nas atakować. Wszystkie inne statki z Rdzenia będą zmierzać w tym kierunku. Kiedy tu dotrą, będziemy karaluchem przyszpilonym między młotem i kowadłem. Słusznie założył, że będziemy parli do walki.

– Pan Popiołów zna się na wojnie – mówię.

– W rzeczy samej. – Orion zerka na swój terminal. – A cóż to słyszę: wydałeś zezwolenie na lot promu klasy Sarpedon z hangaru Delta?

Wiedziałem, że to zauważy. Nie chcę się teraz przed nią tłumaczyć. Nie wszyscy współczują Cassiusowi tak jak ja, nawet po tym, jak Sevro darował mu życie.

– Wysyłam emisariusza na spotkanie z grupą senatorów – kłamię.

– Oboje wiemy, że to nieprawda. Co jest grane?

Podchodzę bliżej, żeby nikt nas nie podsłuchał.

– Jeśli Cassius pozostanie we flocie, kiedy ruszymy do walki, ktoś spróbuje przedrzeć się przez strażę i poderżnąć mu gardło. Nienawiść do rodu Bellona jest zbyt wielka, żeby mógł tu zostać.

– To ukryj go w innej celi. Nie wypuszczaj go – odpowiada. – Wróci prosto do nich. Dołączy do walki.

– Nie zrobi tego.

Orion zerka za moje plecy, żeby mieć pewność, że nikt nas nie słyszy.

– Jeśli Obsydianowi się dowiedzą...

– Właśnie dlatego nikomu nie mówiłem. Wypuszczam go. A ty pozwolisz temu promowi odlecieć. Musisz mi to obiecać.

Orion zaciska usta w cienką, twardą linię.

– Obiecaj mi – nie ustępuję.

Kiwa głową i ogląda się na Lunę. Jak zawsze czuję, że wie więcej, niż mi zdradza.

– Obiecuję, ale uważaj, chłopcze. Nie zapominaj, że nadal jesteś mi winien papugę.

Spotykam się z Sevro w korytarzu przed wejściem do aresztu o zaostrozonym rygorze. Siedzi na pomarańczowej skrzyni unoszącej się na grawiPlatformie i popija z piersiówki, opierając lewą rękę na miotaczu w kaburze na nodze. Na korytarzu jest ciszej, niż powinno być, biorąc pod uwagę zakwaterowanych tu gości, ale na moim statku to główne hangary, stanowiska artyleryjskie i maszynownie tętnią życiem. Nie areszt.

– Co cię zatrzymało? – pyta Sevro. On też ma na sobie czarny mundur, zbyt mocno napięty na nowej kamizelce bojowej. Uderza butami o siebie, gdy tak zwiesza nogi.

– Na mostku Orion zadawała pytania o zezwolenie na lot.

– Psiajucha. Zorientowała się, że wypuszczamy orła z klatki?

– Obiecała, że go przepuści.

– Mam nadzieję. I lepiej, żeby nie puściła na ten temat pary z gęby. Jeśli Sefi się dowie...

– Wiem. Orion też wie. Nie powie jej.

– Skoro tak mówisz. – Sevro krzywi twarz, dopija resztki z piersiówki i zerka w głąb korytarza.

Nadchodzi Mustang.

– Strażnicy zostali przeniesieni – informuje nas. – Patrole z korytarza trzynastie C przekierowano w inne miejsce. Cassius ma otwartą drogę do hangaru.

– Świetnie. Jesteś pewna? – pytam, dotykając jej dłoni.

Kiwa głową.

– Nie do końca, ale takie jest życie.

– Sevro? Tobie też to pasuje?

Sevro zeskakuje ze skrzyni.

– To oczywiste. W końcu tu jestem, nie?

Pomaga mi przepchnąć grawiPlatformę przez drzwi aresztu. Posterunek straży jest pusty. Opakowania z jedzenia i kubki po tytoniu do żucia to jedyne pozostałości po drużynie Synów Aresa, która strzegła więźniów. Sevro idzie za mną do dziesięciokątnego pomieszczenia, do którego przylegają cele z duroSzkła, pogwizdując pioseneczkę, którą ułożył dla Pliniusza.

– „I mocz ci spływa wzdłuż nóg...” – podśpiewuje.

Zatrzymujemy się przed celą Cassiusa. Cela Antonii znajduje się po przeciwnej stronie. Dziewczyna ma spuchniętą twarz po pobiciu i patrzy na nas z nienawiścią, nie wstając z więziennej pryczy. Sevro stuka w duroSzkło, które oddziela nas od Cassiusa.

– Pobudka, panie Bellona.

Cassius ociera zaspane oczy, wstaje z łóżka, patrzy na nas dwóch, ale zwraca się z pytaniem do Mustang:

– Co jest grane?

– Dolecieliśmy na Lunę – odpowiadam.

– Nie na Marsa? – pyta zaskoczony.

Zza nami Antonia wierci się na pryczy, nie mniej od niego zdziwiona tą nowiną.

– Nie na Marsa.

– Naprawdę zaatakujesz Lunę? – mruczy Cassius. – Oszalałeś. Masz za mało statków. Jak zamierzasz przebić się przez tarcze?

– Już ty się o to nie martw, skarbie – odpowiada Sevro. – Mamy swoje sposoby. Tymczasem wkrótce gorący metal będzie dziurawił ten statek. I ktoś pewnie tu przyjdzie, żeby ci strzelić w łeb. Darrowowi robi się strasznie smutno na myśl o tym. A ja nie lubię, kiedy Darrow się smuci.

Cassius gapi się na nas jak na wariatów.

– On nadal nie kapuje – stwierdza Sevro.

– Kiedy mówiłeś, że skończyłeś z tą wojną, mówiłeś poważnie? – pytam.

– Nie rozumiem...

– Psiajucha, Cassius, to naprawdę cholernie proste – żacha się Mustang.
– Tak czy nie?

– Tak – odpowiada z pryczy Cassius. Antonia siada i obserwuje nas. – Skończyłem z tym. Jak mogłoby być inaczej? Ta wojna odebrała mi wszystko. A przysłużyła się interesom ludzi, którzy myślą tylko o sobie.

– No więc? – pytam mojego małego przyjaciela.

– Błagam... – parska Sevro. – Myślisz, że to mi wystarczy?

– W co wy pogrywacie? – pyta Cassius.

– To nie gra, młody. Darrow chce, żebym cię wypuścił.

Cassius wytrzeszcza oczy.

– Ale ja muszę mieć pewność, że nie spróbujesz wrócić, żeby nas zabić. Tak ci zależy na honorze i długach krwi, więc musisz to przysiąc, żebym mógł spać spokojnie.

– Zabiłem twojego ojca...

– Naprawdę powinienesz przestać mi o tym przypominać.

– Jeśli tu zostaniesz, nie zdołamy cię ochronić – mówię. – Wierzę, że świat nadal potrzebuje Cassiusa au Bellona. Jednak tutaj nie ma miejsca dla ciebie. Tak jak nie ma go przy Suwerence. Jeśli przysięgniesz mi na honor, że zostawisz tę wojnę za sobą, zwrócę ci wolność.

Za naszymi plecami Antonia parska śmiechem.

– To jest przezabawne. Oni się tobą bawią, Cassi. Grają na tobie jak na harfie.

– Zamknij się, ty jadowita smarkulo – warczy Mustang.

Cassius przygląda się Mustang, oceniając naszą propozycję.

– Ty się na to zgadzasz?

– To był mój pomysł. Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. Byłam wobec ciebie okrutna i przykro mi z tego powodu. Wiem, że chciałeś się zemścić na Darrowie. I na mnie...

– Nie na tobie. Nigdy na tobie.

Mustang się wzdraga i kontynuuje:

– ...ale wiem również, że przekonałeś się, co niesie ze sobą zemsta. Wiem, że dostrzegłeś, czym naprawdę jest Octavia. Czym naprawdę jest mój brat. Ponosisz tylko winę za to, że próbowałeś chronić swoją rodzinę. Nie zasługujesz na śmierć tutaj.

– Naprawdę chcesz, żebym stąd odleciał?

– Chcę, żebyś żył. I tak, chcę, żebyś odleciał i nigdy nie wracał.

– Ale... dokąd mam odlecieć?

– Dokądkolwiek, bylebyś tu nie został.

Cassius przełyka ślinę, zastanawia się. Nie tylko próbuje zrozumieć, czego wymaga od niego honor albo obowiązek, ale stara się wyobrazić sobie świat bez Mustang. Znam potworną samotność, którą czuje, kiedy zwracamy mu wolność. Życie bez miłości to najgorsze więzienie ze wszystkich. Oblizuje jednak wargi i kiwa Mustang głową. Jej. Nie mnie.

– Przysięgam na mojego ojca i na Juliana, że nie podniosę na ciebie ręki. Jeśli mnie wypuścisz, odleczę. I nigdy nie wrócę.

– Ty tchórzu. – Antonia wali pięścią w szkło celi. – To przeklęty, służalczy, nędzny robaku...

Szturcham Sevro.

– To nadal twoja decyzja.

Sevro skubie kozią bródkę.

– Do diabła, lepiej, żebyście mieli w tej sprawie rację, dupolizy.

Wkłada rękę do kieszeni, wyjmując kartę magnetyczną i drzwi celi Cassiusa otwierają się z głuchym łoskotem.

– Wobec tego czeka na ciebie prom w rezerwowym hangarze na tym poziomie – oznajmia spokojnie Mustang. – Dostał zezwolenie na start. Ale musisz odejść w tej chwili.

– W tej chwili znaczy teraz – warczy Sevro.

– Strzelą ci w tył głowy! – mówi Antonia. – Ty zdrajco.

Cassius kładzie niepewnie rękę na drzwiach celi, jakby bał się je pchnąć i odkryć, że są zamknięte i zostanie mu odebrana cała nadzieja, jaką właśnie mu daliśmy. Ma jednak wiarę, bierze się w garść i pcha je w końcu, a one bez problemu odchylają się na zewnątrz. Wychodzi do nas. Wyciąga rękę, żebyśmy go skuli.

– Stary, jesteś wolny – bełkoce Sevro i kostkami dłoni stuka w pomarańczową skrzynię. – Ale musisz wejść do tej skrzynki, żebyśmy mogli cię stąd wywieźć po cichutku. Tak, żeby nikt nie widział.

– Jasne.

Cassius waha się, ale w końcu wyciąga do mnie rękę. Ściskam ją. Ogarnia mnie dziwne uczucie bliskości.

– Żegnaj, Darrow.

– Powodzenia – odpowiadam.

Zamiera przed Mustang, chce ją objąć, ale ona tylko podaje mu rękę. Nawet teraz jest wobec niego zimna.

– Zawsze będziemy mieli Lunę – mówi Cassius.

– Żegnaj, Cassiusie.

– Żegnaj.

Podchodzi do skrzyni, którą Sevro właśnie otworzył, i zagląda do środka. Waha się, chce coś powiedzieć do karła, może podziękować mu po raz ostatni.

– Nie wiem, czy twój ojciec miał rację, ale był odważny. – Wyciąga do niego rękę, tak jak wcześniej do mnie. – Przykro mi, że go tu nie ma.

Sevro mruga wściekle, patrząc na wyciągniętą dłoń, z pewnością chce nadal nienawidzić Cassiusa. To nie jest dla niego łatwe. Nigdy nie był czułą duszą. Stara się jednak i przyjmuje podaną rękę. Ściskają sobie dłonie.

Coś jednak jest nie w porządku. Cassius nie chce go puścić. Ma zimną twarz, bezlitosne oczy. Obraca się. Robi to tak szybko, że nie zdążam zareagować. Szarpie Sevro za rękę i przyciąga go ku sobie. Jednocześnie obraca biodra i malec jak w tańcu ląduje przy jego prawej pasze. Wtedy Cassius wyrywa broń z kabury na jego lewej nodze. Sevro potyka się, wybałusza oczy i patrzy na niego ze strachem.

– Darrow...

– Cassius, nie! – krzyczę.

– Cassiusie... – Mustang robi krok naprzód. Jej wyciągnięta ręka drży. – On uratował ci życie... Proszę.

– Na kolana – mówi do nas Cassius. – Na kolana, psiakrew!

Czuję, że chwieję się na krawędzi przepaści, ciemność rozpościera się przede mną, szepcze, że chce mnie odzyskać. Nie mogę sięgnąć po brzytwę. Cassius z łatwością strzeliłby mi w twarz, zanim bym ją wyciągnął. Mustang klęka i daje znać, że bym zrobił to samo. Odrętwiały idę za jej przykładem.

– Zabij go! – wydziera się Antonia. – Zastrzel łajdaka!

– Cassiusie, posłuchaj mnie... – proszę.

– Powiedziałem: na kolana – powtarza Cassius, zwracając się do Sevro.

– Na kolana? – Sevro uśmiecha się szelmowsko. W jego oczach pojawia się szaleńczy błysk. – Durny Złoty. Zapomniałeś, jaka jest pierwsza zasada Wyjców. Nigdy się nie kłaniaj.

Zrywa brzytwę z prawego nadgarstka i próbuje się odwrócić, ale jest za wolny. Cassius strzela mu w ramię. Pocisk okręca ciało mojego małego przyjaciela. Kamizelka bojowa pęka. Krew tryska na metalową ścianę. Sevro zatacza się do przodu, tocząc dziko wzrokiem.

– Za Złotych – szepcze Cassius i sześć razy strzela mu z bliska prosto w pierś.

Gasnące światło

Krew bucha z piersi Sevro. Obryzguje mi twarz. Karzeł się potyka. Upuszcza brzytwę. Osuwa się na kolana, łapiąc gwałtownie powietrze. Podbiegam do niego, przemykam pod dymiącą lufą broni Cassiusa. Skonsternowany trzyma się za pierś. Krew płynie mu z ust, wypływa spod kamizelki, plami ręce. Sevro kaszle nią na mnie. Rozpaczliwie próbuje się podnieść. Oddech mu się rwie. Oczy ma ogromne, ogarnia go potworny, przemożny, pierwotny strach.

Antonia rechoce w swojej celi.

– Nie umieraj – błagam rozpaczliwie. – Nie umieraj, Sevro. – Drży w moich ramionach. – Sevro, proszę. Błagam. Żyj. Proszę. Sevro...

Bez ostatniego słowa, bez prośby czy przebłysku jego osobowości, nieruchomieje, krwawiąc. Jego puls słabnie, mnie łyzy płyną po twarzy, a Antonia wyje prześmiewczo.

Krzyczę ze zgrozy.

Z powodu ponurego zła, jakie wyczuwam w świecie.

Obejmując na podłodze mojego najlepszego przyjaciela.

Przytłoczony ciemnością, nienawiścią i bezradnością.

Cassius wpatruje się we mnie bezlitosnym wzrokiem.

– Kto sieje wiatr, zbiera burzę – mówi.

Podnoszę się targany okrutnym szlochem. Uderza mnie w skroń miotaczem. Nie upadam. Przyjmuję cios i wyciągam brzytwę. On jednak uderza mnie jeszcze dwa razy, aż osuwam się na podłogę. Zabiera mi brzytwę i przykłada ją do gardła Mustang, kiedy ta próbuje wstać. Celuje z broni w moje czoło. Patrzę na niego. Widzę, że zamierza pociągnąć za spust.

– Suwerenka będzie go chciała żywego! – odzywa się Mustang.

– Tak – odpowiada cicho Cassius, przewyciężając swój gniew. – Tak, masz rację. Żeby móc rozebrać go na części, aż zdradzicie nam plan walki.

– Cassiusie, wyciągnij mnie z tej przeklętej celi – syczy Antonia.

Cassius przesuwając nogą ciało Sevro i wyciąga kartę, żeby otworzyć jej drzwi. Kiedy Antonia wychodzi z celi, kroczy jak królowa. Jej więzienne pantofle zostawiają czerwone ślady: krew Sevro. Kolanem kopie Mustang w twarz. Ta upada. Ja sam prawie tracę przytomność. Mam mdłości z powodu wstrząśnienia mózgu. Ciepło krwi Sevro przesącza mi się przez koszulę na brzuchu. Antonia wzdycha nade mną.

– Faj, Goblin wszędzie się rozlał.

– Pilnuj ich i zabierz im terminale – rozkazuje Cassius. – Potrzebujemy mapy.

– Dokąd idziesz?

– Po kajdanki. – Rzuca jej miotacz.

Znika za rogiem. Antonia kuca nade mną. Zastanawia się. W końcu przytyka mi lufę do ust.

– Otwórz. – Uderza mnie w jądra. – Otwórz.

Z bólu oczy uciekają mi w głąb czaszki. Otwieram usta. Wbijają mi w nie lufę miotacza. Czuję obcy metal w gardle. Zgrzytam zębami o czarną stal. Dławię się. W gardle wzbiera mi żółć. Antonia patrzy mi z nienawiścią w oczy, kucając nade mną, podczas gdy moim ciałem wstrząsają konwulsje. Wyciąga broń dopiero wtedy, gdy wymiotuję na podłogę.

– Robal.

Pluje na mnie i zabiera nam terminale i brzytwy. Rzuca broń Sevro Cassiusowi, kiedy ten wraca z posterunku straży. Zakuwają mnie w więzienną uprzęż, połączenie kagańca z kamizelką, która dociska mi ręce do piersi na krzyż, tak że palcami każdej dłoni dotykam przeciwległego ramienia. Wrzucają mnie do skrzyni, którą przynieśliśmy dla Cassiusa; muszę zgiąć nogi w kolanach, żeby się w niej zmieścić. Nie mogę amortyzować upadku rękami, więc walę głową w plastikowe dno. Potem rzucają na mnie Sevro i Mustang, jakby to były śmieci, i zatraskują wieko. Krew Sevro kapie mi na twarz. Sam krwawię z rozcięcia z boku głowy. Jestem zbyt oszołomiony, żeby płakać albo się poruszyć.

– Darrow... – mruczy Mustang. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam.

– Znalazłaś mapę? – pyta Cassius Antonię.

– I zakłócacz do kamer – odpowiada Antonia. – Ja będę pchała, ty kieruj, o ile dasz radę.

– Dam. Chodźmy.

Zakłócacz włącza się z trzaskiem i grawiPlatforma rusza z miejsca. Gdyby Sevro i Mustang nie wylądowali na mnie, mógłbym przykucnąć i naprzeć plecami na wieko, ale ich ciężar przyszpila mnie do dna. Jest gorąco. Śmierdzi potem. Trudno oddychać. Jestem bezradny. Nie mogę ich powstrzymać, kiedy wykorzystują ścieżkę, którą przygotowałem dla Cassiusa. Nie mogę ich powstrzymać, kiedy pchają nas przez opustoszały hangar, a potem po rampie do wnętrza statku, gdzie zaczynają przygotowania do lotu.

– Prom S-129, macie pozwolenie na start. Poczekajcie na dezaktywację tarczy impulsowej – oznajmia przez radio kontroler lotów z odległego mostku, kiedy silniki się rozgrzewają. – Możecie startować.

Wróg wykrada mnie z brzucha mojego okrętu wojennego, odbiera mi oparcie w bliskości przyjaciół, bezpieczeństwo wśród moich ludzi i potęgę mojej własnej armii, która szykuje się do walki. Wstrzymuję oddech, spodziewając się, że w systemie łączności zabrzmiał głos Orion, która zatrzyma statek. Czekam, aż myśliwce ostrzelają nasze silniki. Nic takiego się nie dzieje. Gdzieś tam moja matka będzie parzyć herbatę, zastanawiając się, gdzie się podziwam i czy jestem bezpieczny. Modlę się, żeby nie mogła wyczuć mojego bólu poprzez pustkę, strachu, który mnie pożera mimo całej mojej okrzyczanej siły i durnej fanfaronady. Boję się mimo tego, co wiem. Boję się nie tylko o siebie, ale i o Mustang.

Słyszę przez skrzynię, jak Antonia i Cassius rozmawiają. Cassius wysłał z promu sygnał alarmowy. Kilka minut później dobiega nas zimny głos:

– Prom klasy Sarpedon, tu szturmowiec DOL *Kronos*, wysłałeś sygnał alarmowy Rycerzy Olimpijskich. Podaj swoją tożsamość.

– *Kronos*, tu Rycerz Poranka. Kod identyfikacyjny 7-8-7-Echo-Alfa-9-1-2-2-7. Uciekłem z więzienia na flagowym okręcie wroga, proszę o eskortę i zezwolenie na lądowanie. Jest ze mną Antonia au Severus-Julii. Mamy cenny ładunek. Wróg nas ściga.

Zapada na chwilę cisza.

– Zrozumiano, kod został przyjęty. Proszę czekać, w następnej kolejności usłyszycie Rycerza Zmiany.

Chwilę potem na statku rozbrzmiewa głos Ai, napędzając mnie zgrozą. Zatem przeżyła na pustkowiu i zdołała wrócić do domu.

– Cassius? Ty żyjesz.

– Na razie.

– Co to za ładunek?

– Żniwiarz, Virginia i ciało Aresa – ekscytuje się Antonia.

– Ciało... Chcę ich zobaczyć.

Zbliżają się kroki. Wieko zostaje uniesione i Cassius wywleka ze skrzyni Mustang. Potem wyciąga mnie i ciska na ziemię przed hologramem. Mała i ciemna na holograficznym ekranie Aja przygląda nam się z nieziemskim spokojem. Antonia celuje mi w głowę z broni Sevro, a Cassius łapie go za włosy i unosi jego głowę, żeby pokazać Ai twarz.

– Psiakrew, Bellona – mówi Aja, w jej głosie pojawia się podniecenie. – Psiakrew, udało ci się. Suwerenka będzie chciała zobaczyć się z tobą w Cytadeli.

– Najpierw musisz mnie zapewnić, że Virginii nie stanie się krzywda.

– Co ty wygadujesz? – pyta Antonia, denerwując się teraz tym, jak blisko niej stoi Cassius ze swoją brzytwą. – To zdrajczyni.

– I zostanie uwięziona – odpowiada Cassius – ale nie stracona. Nie będzie również torturowana. Masz mi dać słowo, Aju, bo inaczej zawrócę. Darrow zabił twoją siostrę. Chcesz się zemścić, czy nie?

– Masz moje słowo – odpowiada Aja. – Nie stanie jej się krzywda. Jestem pewna, że Octavia się z tym zgodzi. Potrzebujemy jej, żeby załagodzić sytuację z Obrzeżem. Wysyłam eskadry, żeby przechwyciły ścigające was jednostki. Podaję nowy wektor: 41'13'25. Okrążcie księżyc i poczekajcie na kontakt z *Lwem Marsa*, który przekaze wam instrukcje lądowania. Nie możemy pozwolić, żeby wasz statek wylądował na Lunie, ale arcygubernator Augustus dołączy do Suwerenki w Cytadeli w ciągu godziny. Na pewno chętnie was podwiezie.

– Arcygubernator jest tutaj? – pyta Cassius. – Nie widzę jego statków.

– Oczywiście, że tu jest – odpowiada Aja. – Wiedział, że Darrow wcale nie wybiera się na Marsa. Cała jego flota jest po drugiej stronie Luny i czeka, aż zaatakują mojego ojca. To pułapka.

Lew Marsa

Zostajemy z Mustang zwleczeni po rampie załadunkowej promu przez Obsydianowych w czarnych zbrojach, z których każdy jest niemal tak wielki jak Ragnar i nosi symbol lwa. Próbuję ich kopać, ale wbijają mi długie na dwa metry jonoPiki w brzuch i rażą prądem. Mięśnie mi się kurczą, prąd płynie przeze mnie jak ciekły ogień. Ciskają mnie na pokład, unoszą za włosy, aż klęczę i patrzę na ciało Sevro. Na szczęście ma zamknięte oczy. Usta różowe od rozmazanej krwi. Mustang próbuje się podnieść. Głuche uderzenie: to Obsydianowy wali ją w żołądek. Dziewczyna osuwa się z powrotem na kolana, z trudem łapiąc oddech. Cassiusa też zmuszono do ukłęknięcia.

Antonia dołącza do Lilath, która stoi przed nami w czarnej zbroi. Na każdym ramieniu i pośrodku napierśnika ma wrzeszczącą złotą czaszkę. Wzdłuż boków nosi wprawione w pancerz ludzkie żebra. Oto najważniejsza Kościarka w całej swojej barbarzyńskiej chwale. Taki Sevro Szakala. Ma ogoloną głowę i zatopione w skrzywionej twarzy ciche oczy, którym nie podoba się większość tego, co widzą na świecie. Za nią stoi dziesięciu wysokich i młodych Niezrównanych Naznaczonych, którzy tak jak ona golą głowy.

- Przeskanować ich – rozkazuje.
- Co to, u diabła, znaczy? – pyta Cassius.
- Rozkazy Szakala. – Lilath obserwuje uważnie, gdy Złoci mnie skanują.

Cassius musi znosić to upokorzenie, a Lilath dodaje:

- Szef nie życzy sobie żadnych sztuczek.
- Mam pozwolenie Suwerenki – mówi Cassius. – Mamy zabrać Żniwiarza i Virginie do Cytadeli.
- Zrozumiano. Otrzymaliśmy te same rozkazy. Niedługo ruszamy.

Lilath daje znać Cassiusowi, żeby wstał, gdy jej ludzie już wszystkich sprawdzą. Robi to i otrzepuje kolana. Ja nadal klęczę, kiedy Lilath zerka na Sevro, którego jeden z Obsydianowych zwlekł po rampie. Sprawdza mu puls i się uśmiecha.

– Świetna robota, Bellona.

Jeden z Kościarzy – wyniosły, niezwykle przystojny mężczyzna o płonących oczach i posągowych kościach policzkowych – grucha cicho. Puka wytatuowanymi palcami o pomalowanych paznokciach w dolną wargę.

– Ile za jego kości? – pyta.

– Nie są na sprzedaż – odpowiada Cassius.

Mężczyzna uśmiecha się do niego arogancko.

– Wszystko jest na sprzedaż, mój łaskawy panie. Dziesięć milionów kredytów za żebro.

– Nie.

– Sto milionów. Daj spokój, Bellona...

– Mój tytuł, legacie Valii-Rath, brzmi Rycerz Poranka. Możesz zwracać się do mnie „panie” albo nie zwracaj się w ogóle. Ciało Aresa jest własnością państwa. Nie mogę go sprzedać. Jeśli jednak zapytasz raz jeszcze, nie skończy się wyłącznie na słowach.

– Proponujesz mi numerkę? – pyta starszy brat Tactusa. – O to ci chodzi?

Nigdy dotąd nie spotkałem tego denerwująco arystokratycznego stworzenia i cieszę się z tego faktu. Tactus wygląda na najlepszego z tej paczki.

– Ty przekłety barbarzyńco – mówi przez zakrwawione zęby Mustang.

– Barbarzyńco? – powtarza brat Tactusa. – Takie śliczne usta... Nie tak powinnaś ich używać.

Cassius robi kok w jego stronę. Pozostali Kościarze sięgają po broń.

– Tharsus. Zamknij się. – Lilath przechyla głowę, słuchając komunikatu z sytemu łączności w uchu. Unosi podbródek. – Tak, mój panie – odpowiada. – Barca nie żyje. Sprawdziłam.

Antonia robi krok naprzód.

– To Adrius? Daj mi z nim porozmawiać.

Wyciąga rękę do wyższej kobiety.

– Antonia chce z tobą porozmawiać, panie. – Lilath przez chwilę milczy. – Mówi, że to może poczekać. Tharsus, Novas, rozkujcie Żniwiarza i rozłóżcie mu ręce.

– A co z Virginią? – pyta Tharsus.

– Tknij ją, a umrzesz – odpowiada Cassius. – Tylko tyle musisz wiedzieć.

W jego oczach pojawia się lęk, kiedy wypowiada te słowa, nawet jeśli go nie okazuje. Nie przywiózłby jej tutaj, gdyby nie musiał. W przeciwieństwie do ludzi Suwerenki Szakał jest zdolny do wszystkiego. Gwarancje bezpieczeństwa udzielone przez Aję nagle wydają się bardzo kruche. Po co Suwerenka przysłałaby nas tutaj?

– Nikt nie tknie twoich zdobyczy – zapewnia go Lilath z upiorną nutą w głosie. – Żniwiarza to nie dotyczy.

– Mam go dostarczyć...

– Wiemy, ale mój pan domaga się rekompensaty za dawne zniewagi. Suwerenka udzieliła mu zezwolenia, kiedy lądowaliście. Ze względów bezpieczeństwa.

Lilath pokazuje Cassiusowi terminal. Ten odczytuje rozkaz i błędnie odrobinę, oglądając się na mnie.

– Możemy wreszcie kontynuować, czy będziesz dalej robił zamieszanie?

Cassius nie ma wyboru. Przyciska guzik zdalnego sterowania. Metalowe kajdany przyszpilające mi dłonie do piersi otwierają się. Tharsus i Novas łapią mnie za ręce i odciągają je na boki. Naciągają je tak, że prawie wyrrywają mi je ze stawów barkowych.

– Pozwolisz im na to? – warczy Mustang na Cassiusa. – Co się stało z twoim honorem? Jest równie fałszywy jak reszta ciebie?

I zanim Cassius zdąży się odezwać, pluje mu pod nogi.

Antonia uśmiecha się odrażająco, urzeczona widokiem mojego bólu. Lilath bierze od Cassiusa moją brzytwę i odchodzi w stronę myśliwców, które eskortowały nas do hangaru. Podsuwa mój sierpak pod jeden z tłących się silników.

– Powiedz no, Żniwiarz, pukałeś mojego młodszego brata? Dlatego był w tobie taki zadurzony? – pyta Tharsus. Wyperfumowane kędziory opadają mu na oczy. On jeden nie ogolił głowy. – Cóż, nie ty pierwszy przeorałeś to poletko, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Patrzę przed siebie.

– Jest prawo, czy leworęczny? – woła Lilath.

– Prawo – odpowiada Cassius.

– Pollox, opaska zaciskowa – rozkazuje Lilath.

Dociera do mnie, co zamierzają zrobić, i krew ścina mi się lodem. Mam wrażenie, że to się dzieje komuś innemu. Nawet kiedy guma zaciska się na

moim prawym przedramieniu i czuję mrowienie w czubkach palców.

A potem słyszę swojego wroga.

Stukot jego czarnych butów.

Delikatną zmianę w zachowaniu obecnych.

Strach.

Kościarze rozstępują się, żeby popatrzeć, jak ich pan wchodzi z głównego korytarza do hangaru otoczony przez tuzin wysokich Złotych ochroniarzy z ogolonymi głowami. Wzrostem dorównują Victrze. Złote czaszki śmieją się na ich kołnierzach, na rękoeściach brzytew, na ramionach klekocą kości, paliczki odebrane wrogom: Lornowi, Fitchnerowi, moim Wyjcom. Tak wyglądają zabójcy moich czasów. Ociekają arogancją. Kiedy patrzą na mnie, nie widzę w ich agresywnych oczach nienawiści, ale fundamentalny brak empatii.

Powiedziałem Szakalowi, że nie czuję do niego nienawiści. Kłamałem. Czuję wyłącznie nienawiść, kiedy patrzę, jak idzie przez pokład z pistoletem w magnetycznej kaburze na udzie, którym pozbawił życia mojego stryja. Nosi złotą zbroję zdobioną motywem ryczących lwów. Wtopiono w nią z boków ludzkie żebra, na których wyrzeźbione są detale, których nie jestem w stanie zobaczyć. Włosy zaczesane z przedziałkiem z boku. Trzyma w ręku srebrny rylec, którym nieustannie się bawi. Antonia robi krok w jego stronę, ale powstrzymuje się, kiedy widzi, że on kieruje się w stronę Sevro, a nie jej.

– Świetnie, kości nie zostały naruszone. – Sprawdza zakrwawione ciało, po czym staje nad siostrą. – Cześć, Virginio. Nie masz mi nic do powiedzenia?

– A co tu zostało do powiedzenia? – pyta przez zaciśnięte zęby Mustang.
– Co mogę powiedzieć potworowi?

– Hmm.

Szakał ujmuje jej żuchwę w palce wskazujące. Dłoń Cassiusa przesuwają się ku brzytwie. Lilath i Kościarze posiekaliby go na kawałki, zanim zdążyłby ją wyciągnąć.

– Jesteśmy my przeciwko światu – mówi cicho Szakał. – Pamiętasz, jak mi to powiedziałaś?

– Nie.

– Byliśmy mali. Matka dopiero co umarła. Nie mogłem przestać płakać. Powiedziałaś, że nigdy nie mnie nie opuścisz. Ale potem Claudius gdzieś cię zapraszał i zaraz o mnie zapomniałaś. A ja zostawałem w wielkim, sta-

rym domu i płakałem, bo wiedziałem, że jestem w nim sam. – Stuka ją w nos. – Następne godziny będą sprawdzianem tego, kim tak naprawdę jesteś, siostró. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, kto się kryje pod tą próżną pychą.

Podchodzi do mnie, luzuje mi kaganiec. Nawet gdy klęczę, wydaje się przy mnie drobny. Wagę pięćdziesiąt kilogramów więcej od niego. Mimo to jego obecność jest jak morze – niezwykła, rozległa i mroczna. Pełna ukrytych głębi i mocy. Jego milczenie, jego ryk. Widzę teraz w nim jego ojca. Przechytrzył mnie, odgadując moje plany wobec Luny, i teraz boję się, że wszystko, co zrobiłem, rozpadnie się w pył.

– Znów się spotykamy – mówi.

Nie odpowiadam.

– Poznajesz? – Przesuwa rylcem po żebrach wprawionych w zbroję. Przysuwa się, żebym lepiej widział szczegóły. – Mój drogi ojciec uważał, że człowieka definiują jego czyny. Ja uważam, że jego wrogowie. Jak to ci się podoba?

Przysuwa się jeszcze bliżej. Na jednym z żeber widzę hełm otoczony koroną kolców jak słońce. Na innym – głowę w pudełku.

Szakał nosi na sobie klatkę piersiową Fitchnera.

Gniew aż we mnie huczy, gdy próbuję ugryźć go w twarz, wrzeszczę jak ranne zwierzę, czym zaskakuję Mustang. Szarpię się z trzymającymi mnie mężczyznami, dygocę z wściekłości, a Szakał tylko patrzy, jak się miotam. Cassius wbija wzrok w podłogę, unikając spojrzenia Mustang. Głos, który się ze mnie wyrывa, nie brzmi jak mój. To demon z głębin, którego tylko Szakał potrafi we mnie przywołać.

– Obedrę cię ze skóry – zapowiadam.

Znudzony mną, przewraca oczami i pstryka palcami.

– Załóżcie mu z powrotem kaganiec. – Tharsus mnie knebluje. Szakał rozkłada ręce, jakby witał dwoje dawno zaginionych przyjaciół na przyjęciu. – Cassius! Antonia! Bohaterowie chwili. Moja droga... co się stało? – pyta na widok grymasu malującego się na twarzy Antonii.

Byli kochankami, kiedy mnie więził. Czasem wyczuwałem na nim jej zapach, kiedy przychodził mnie odwiedzić, jeszcze przed wsadzeniem do pudła. Albo widziałem, jak ona przeciąga paznokciami po jego szyi, gdy się przelotnie mijali. Szakał podchodzi teraz do niej, ujmuje jej żuchwę, przekrzywia jej głowę, przyglądając się uszkodzeniom.

– To robota Darrowa?

– Mojej siostry – uściśla Antonia; nie podoba jej się to, jak Szakal jej się przygląda. Opłakiwała swoją twarz podczas uwięzienia bardziej niż opłakiwała śmierć własnej matki. – Ta suka mi zapłaci. Każę to naprawić, nie martw się.

Odsuwa się od niego.

– Przestań – odpowiada ostro Szakal. – Po co naprawiać?

– Wyglądam obrzydliwie.

– Obrzydliwie? Moja droga, blizny cię określają. Opowiadają historię.

– To historia Victry, nie moja.

– Nadal jesteś piękna.

Przyciąga ją, delikatnie ujmując za podbródek i muska jej usta pocałunkiem.

Antonia nic go nie obchodzi. Tak jak powiedziała Mustang, jesteśmy dla niego tylko workami mięsa. A mimo to, że Antonia jest najbardziej zepsutą kreaturą, jaką spotkałem, to wciąż pragnie miłości. Chce być ceniona. Szakal wie, jak to wykorzystać.

– To należało do niego – mówi Antonia, podając mu broń Sevro.

Szakal przesuwając kciukiem po wyjątych wilkach wyciętych na rękoeści.

– Świetna robota – chwali. Wyjmuje swoją broń z magnetycznej kabury i rzuca ją ochroniarzowi, po czym wkłada tam broń Sevro. Oczywiście traktuje ją jak trofeum.

Jego terminal rozbłyskuje. Szakal ucisza wszystkich gestem uniesionej ręki.

– Tak, imperatorze?

Pan Popiołów pojawia się w powietrzu przed Szakalem jako ogromna, pozbawiona ciała, groteskowa głowa. Ciemne złote oczy zerkają spod krzaczystych brwi. Obwisłe policzki opadają poniżej stójki czarnego munduru.

– Augustus, wróg ruszył. Dewastatory na czele.

– Lecą po niego – mówi Cassius.

– Ile statków? – pyta Szakal.

– Ponad sześćdziesiąt. Połowa nosi symbol czerwonego lisa.

– Chcesz, żebym uruchomił pułapkę?

– Jeszcze nie. Przejmę dowodzenie nad twoimi jednostkami.

– Pamiętasz, co uzgodniliśmy?

Pan Popiołów zaciska szerokie usta w linię.

– Tak. Masz dołączyć do Suwerenki zgodnie z planem. Odeskortować Rycerza Poranka i jego ładunek do Cytadeli. Tam zajmie się nimi moja

córka. Leć. Za Złotych.

– Za Złotych.

Głowa znika.

Szakał zerka na Obsydianowych, którzy ściągnęli mnie po rampie załadunkowej.

– Niewolnicy, dołączcie do pretora Licenusa na mostku. Nie jesteście już dłużej potrzebni. – Obsydianowi wychodzą bez pytania. Po ich wyjściu Szakał przygląda się trzydziestce Kościarzy. – Rycerz Poranka dał nam dzisiaj szansę na zwycięstwo w tej wojnie. Telemanusowie przylecą po moją siostrę. Wyjce i Synowie Aresa przylecą po Żniwiarza. Nie dostaną ich. Na nas spoczywa ciężar dostarczenia ich Suwerence i jej strategom w Cytadeli. – Odwraca się do Cassiusa i Antonii: – Odłóżcie na bok swoje drobne urazy. Dzisiaj jesteśmy Złotymi. Możemy się czubić, kiedy z Powstania zostanie popiół. Większość z was żyła ze mną w ciemności jaskiń. Patrzyliście, stojąc u mego boku, jak ta... kreatura ukradła to, co się nam należy. Odbiorą nam wszystko. Nasze domy. Naszych niewolników. Nasze prawo do władzy. Dzisiaj walczymy, żeby zachować to, co nasze. Dzisiaj walczymy ze śmiercią naszej Ery.

Spiją jego słowa, niecierpliwie wyczekując rozkazów. To przerażające widzieć, jaki kult zbudował wokół swojej osoby. Przejął kawałki mnie, mego sposobu mówienia i przerobił na swoją modłę. Nieustannie ewoluuje.

Odwraca się do swoich ludzi. Lilath przynosi z powrotem mój sierpak, rozgrzany do czerwoności w żarze silnika, i podaje mu go rękojeścią do przodu.

– Lilath, masz zostać z flotą.

– Na pewno?

– Jesteś moim zabezpieczeniem.

– Tak, mój panie.

Antonia nie bardzo wie, o czym mówią, i to jej się nie podoba. Szakał obraca moją brzytwę w dłoni. A potem patrzy to na mnie, to na Mustang, jakby nagle coś do niego dotarło.

– Jak długo byłeś więziony przez Darrowa, Cassiusie?

– Cztery miesiące.

– Cztery miesiące. Wobec tego uważam, że tobie powinien przypaść ten zaszczyt. – Rzuca rozgrzaną do czerwoności brzytwę Cassiusowi, który zręcznie łapie ją za rękojeść. – Odetnij dłoń Darrowowi.

- Suwerenka chce go...
- Żywego, tak. I będzie żył. Ale nie chciałaby, żeby wszedł do jej bunkra z prawicą nadal połączoną z ciałem, prawda? Mamy pozbawić go wszelkiej broni. Wykastruj to zwierzę i ruszajmy. Chyba że... to stanowi problem?
- Żadnego – odpowiada Cassius. Robi krok, unosi wysoko brzytwę. Metal pulsuje żarem.
- Tym się stałeś? – pyta Mustang, a Cassius cierpi pod jej spojrzeniem, wstyd rozlewa mu się po twarzy. – Patrz na mnie, Darrow. Patrz na mnie.
- Zmuszam się, żeby zapomnieć o ostrzu. Patrzę na nią, czerpiąc z niej siłę. Kiedy jednak rozgrzany metal przecina mi skórę i kość prawego nadgarstka, zapominam o niej. Wrzeszczę z bólu, patrząc na miejsce, gdzie była moja dłoń i widząc tylko kikut, z którego przez zwęglone naczynia leniwie sączy się krew. Dym z przypalonego ciała unosi się w powietrzu. I mimo bólu widzę, jak Szakal bierze moją rękę z podłogi i podnosi ją wysoko w górę. Najnowsze trofeum.
- *Hic sunt leones* – mówi.
- *Hic sunt leones* – powtarzają jego ludzie.

Smocza Gardziel

Tulę do piersi zwęglony kikut prawej ręki, dygoczę z bólu i myślę o stryju. Czy jest teraz z moim ojcem? Siedzą z Eo przy ognisku, zasłuchani w śpiew ptaków? Patrzą na mnie? Krew przesącza się przez poczerwiałe mięso nadgarstka. Ból jest oślepiający. Wszechogarniający. Siedzimy z Mustang przypięci do foteli w dwóch równoległych rzędach z tyłu promu szturmowego. Towarzyszy nam trzydziestu Kościarzy. Światło nad naszymi głowami pulsuje obcą zielenią. Statkiem wstrząsają turbulencje. Nad Luną wzbiera burza. Miasta toną w skłębionych ciemnych chmurach, tu i ówdzie przebijanych przez czarne wieże. Wszędzie na dachach tańczą światełka czołówek Pomarańczowych i nadCzerwonych, moich krewniaków, którzy – zniewoleni w militarnym jarzmie – w pocie czoła szykują broń mającą zgładzić ich marsjańskich pobratymców. W powodzi blasku reflektorów śledzę przygotowania do obrony. Wśród budynków migają czarne sylwetki obrzeżone złowieszczą czerwienią: eskadry myśliwców patrolują niebo, a Złoci w grawiButach przelatują pomiędzy odległymi o kilometry wieżami, kontrolują postępy prac, szykują się na burzę, żegnają się z przyjaciółmi, kolegami ze szkoły, kochankami.

Kiedy mijamy gmach opery, dostrzegam szereg Złotych, którzy zajęli pozycję na jego najwyższych blankach. Patrzą w niebo. W najeżonych rogami wspaniałych wojennych hełmach przypominają trupe przycupniętych na dachu gargulców, które – obrysowane światłem błyskawic – czekają na piekielny deszcz.

Kierujemy się w stronę tygla chmur wirujących wokół najwyższych wieżowców. Poniżej nich splecione z zazębiających się elementów miasto spokojnie czeka na bombardowanie z orbity. Zalega w nim ciemność, jeśli nie liczyć rozlewających się po horyzoncie płomienistych żyłek: w Straconym Mieście trwają zamieszki. Migające światłami pojazdy służb ratunkowych pędzą do pożarów. Miasto, które od wielu godzin, wielu dni wstrzymuje

oddech, dosłownie pęka w szwach. Jego płuca są rozdęte do granic możliwości.

Opadamy na okrągłe lądowisko na szczycie wieży Suwerenki, gdzie czeka na nas Aja z kohortą pretorianów. Kościarze w grawiButach wyskakuja ze statku i osłaniają nasze lądowanie. Cassius wychodzi pierwszy, popychając mnie przed sobą. Drugą ręką wlecze ciało Sevro jak truchło jelenia. Antonia szturchnięciem ponagla Mustang. Znużony zimowy deszcz miasta-Luny spływa po ciemnej twarzy Ai, para bucha z jej kołnierza. Promienny biały uśmiech przerzyna noc.

– Witaj w domu, Rycerzu Poranka. Suwerenka czeka.

* * *

Ogromna graWinda, znana w wojskowej mitologii jako Smocza Gardziel, zatrzymuje się kilometr pod powierzchnią i otwiera z sykiem. Słabo oświetlony betonowy korytarz prowadzi do drzwi ozdobionych wizerunkiem piramidy: symbolem Wspólnoty. Niebieskie światło skanuje tęczę Ai, piramida rozpęka się na pół, słysząc zgrzyt i chrzęst potężnych trybów i tłoków. Technika tu, na dole, jest starsza od Cytadeli na powierzchni, pradawna, pochodzi z czasów, gdy Ziemia była jedynym wrogiem Luny, a wielkie amerykańskie działa EM siały postrach wśród tutejszych mieszkańców. Dzięki swojej architekturze i dyscyplinie pretorianów bunkier Suwerenki od ponad siedmiuset lat obchodzi się bez żadnych znaczących modyfikacji.

Ciekawe, czy Fitchner znał jego tajniki. Wątpię. Taki sekret Aja raczej zachowałaby dla siebie. Zastanawiam się jednak, czy nawet ona wie o nim wszystko. Tunele odchodzące na boki od wąskiego korytarza, którym idziemy, są od dawna pozawalane, a ja dumam nad tym, kto nimi chodził, a także kto – i po co – je zasypał.

Przechodzimy przez silnie strzeżone pomieszczenie skąpane w poświęceniu holoEkranów. Niebiescy i Zieloni na technoleżankach, wpięci do aparatury i podłączeni do kroplówek; ich mózgi toną w strumieniach danych płynących przez wbudowane w czaszki łącza, oczy ślepo patrzą w dal. Oto ośrodek nerwowy Wspólnoty. Octavia może stąd prowadzić wojnę nawet po tym, jak wokół niej cała Luna zostanie obrócona w perzynę.

Tutejsi Obsydianowi noszą czarne hełmy i ciemnofioletowe pancerze zdobione motywem smoczej czaszki. Na ostrzach krótkich mieczy u ich

pasów wiją się złote napisy *cohors nihil*. Legion Zero. Nigdy o nich nie sły-
szałem, ale widzę, czego strzegą: ostatnich drzwi, wykonanych z litego,
pozbawionego zdobień metalu i prowadzących do najgłębszego azylu
Wspólnoty. Drzwi te z jękiem rozszerzają się jak źrenica oka i wtedy – pół-
tora roku po tym, jak wyskoczyłem z jej promu – dostrzegam sylwetkę
Suwerenki.

Jej patrycjuszowski głos dudni echem w korytarzu:

– A kogo obchodzą ofiary wśród cywilów, Janusie? Czy morzu zabrak-
nie kiedyś soli? Jeżeli zdołają sprowadzić Żelazny Deszcz, macie ich
zestrzelić bez względu na cenę. Ostatnią rzeczą, której nam teraz trzeba,
jest Horda Obsydianowych, która ląduje tutaj i dołącza do zamieszek
w Straconym Mieście...

Władczyni wszystkiego, przeciwko czemu kiedykolwiek walczyłem, stoi
w okrągłym zagłębieniu w samym środku ogromnej szaro-czarnej sali, ską-
pana w błękitnej poświacie okalających ją półokręgiem hologramów preto-
rów i Pana Popiołów. Jest ich ponad czterdzieścioro, to weterani prowadzo-
nych przez nią wojen, bezlitosne potwory. Na mój widok posępne, zarozu-
miałe zadowolenie na ich twarzach upodabnia ich do katedralnych posą-
gów. Patrzą tak, jakby od początku wiedzieli, że tak właśnie się to skończy;
jakby zapracowali na taki finał, a nie dostali go szczęśliwym zrządzeniem
losu jak swoje szlachetne urodzenie.

Wiedzą, co oznacza pojmanie mnie. Transmitują wszystko na żywo pro-
sto do mojej floty. Próbuje zhakować nasz system łączności, żeby wieść
rozeszła się wśród naszych okrętów i dalej, na Ziemię, żeby ugasila tamtej-
sze rebelie. Przekazą sygnał także do reszty Rdzenia, by powstrzymać
wybuch dalszych niepokojów społecznych. Tak samo zrobią z moją egzeku-
cją. Z ciałem Sevro. Może nawet z Mustang, mimo umowy, którą – jak mu
się wydaje – zawarł z nimi Cassius. Spójrzcie, jak kończą ci, którzy ośmielą
się zbuntować, powiedzą. Patrzcie, nawet ci najpotężniejsi muszą ulec Zło-
tym.

Kto inny im się wtedy przeciwstawi? Nikt.

Ich pięść zaciśnie się jeszcze mocniej.

Ich władza okrzepnie.

Jeżeli dziś przegramy, nowe pokolenie Złotych będzie cechował zapach,
jakiego nie widziano od czasu upadku Ziemi. Zrozumieją zagrożenie dla
swojego rodzaju i zaczną tysiącami płodzić bestie pokroju Ai i Szakala.

Stworzą nowe Instytuty, rozbudują armię, zdławią mój lud. Oto jedna z możliwych przyszłości, ta, której Fitchner lękał się najbardziej.

Ta, której ja się lękam, nadchodzi wraz z Szakalem, który wymija mnie i wkracza do sali.

– Jego Obsydianowi nie są przeszkoleni do walki międzyplanetarnej – mówi właśnie jeden z pretorów.

– Powiesz to Fabii? – pyta Suwerenka. – A może jego matce? Jest teraz z innymi senatorami. Musiałam zebrać ich wszystkich i zamknąć w sali senatu, żeby nie rozproszyli się jak małe muszki, zabierając przy okazji swoje statki.

– Tchórzliwi politikosowie... – mruczy ktoś pod nosem.

Nie licząc świetlistych hologramów, w sali znajduje się także grupa Złotych wojskowych, nieduża, ale jednak liczniejsza, niż się spodziewałem. Dwóch Rycerzy Olimpijskich, dziesięciu pretorianów oraz Lysander, który ma już dziesięć lat. Odkąd poprzednio go widziałem, urósł o blisko pół stopy. Trzyma w rękach terminal, zapisuje obszerne notatki z prowadzonych przez babkę rozmów. Uśmiecha się do Cassiusa; na mnie patrzy z ostrożnym zainteresowaniem, jak na tygrysa zamkniętego za taflą duroSzkła. Spojrzenie jego Złotych oczu pada na moje więzy i kikut ręki. Potem na Aję. Jakby stuknął paznokciem w wyimaginowane duroSzkło, sprawdzał, jakie jest grube.

Dwaj Rycerze Olimpijscy cicho witają się z Cassiusem, nie chcą zakłócać trwającej odprawy. Suwerenka zauważa nasze przybycie i posyła mi obojętne spojrzenie. Obaj Rycerze noszą solidne zbroje. Są gotowi jej bronić.

Nad jej głową, pod wysoko sklepionym sufitem dominuje kulisty, nadzwyczaj szczegółowy hologram Luny. Okręty Pana Popiołów rozstawiły się w przestrzeni jak ochronny parawan nad jej ciemną stroną, na której rozpoznaję wklęsłą tarczę Cytadeli. Bitwa trwa w najlepsze, a moje siły nie mają pojęcia, że Szakał tylko czeka na dogodny moment, by przypuścić atak z flanki i zmiażdżyć je jak młot bijący w kowadło Pana Popiołów. Gdyby udało mi się skontaktować z Orion, może zdołałaby jakoś uratować sytuację.

Szakał staje dyskretnie z boku i cierpliwie patrzy, jak Pan Popiołów wydaje polecenia tworzącym sferę dewastatorom.

– Cassius, ty przekłety ogarze! – odzywa się dźwięcznym barytonem Rycerz Prawdy. Oczy ma wąskie, azjatyckie. Pochodzi z Ziemi i jest mniej-

szy od nas, Marsjan. – To naprawdę on?

– We własnej osobie. Zabrałem go z jego okrętu flagowego.

Cassius kopniakiem powala mnie na kolana, łapie za włosy i zadziera mi głowę, żeby wszyscy ujrzeni moją twarz. Rzuca Sevro na ziemię. Z zainteresowaniem przyglądają się zdobyczy. Rycerz Radości kręci głową. Pochodzi ze starego wenusjańskiego rodu, jest szczuplejszy od Cassiusa i dwa razy bardziej od niego arystokratyczny. Poznałem go kiedyś na Marsie, przy okazji pojedynku.

– Virginie też? Ależ ty masz fart... A Aja załatwiła tego Obsydianowego. Strach i Miłość dorwają Victre i Białą Wiedźmę...

– Dużo bym dał, żeby złować Victre – przyznaje Rycerz Prawdy. Obchodzi mnie dookoła. – Ależ bym z nią zatańczył! Słuchaj no, Cassiusie... Spałeś z nią?

– Nigdy nie zdradzam sekretów alkowy. – Cassius ruchem głowy wskazuje toczącą się bitwę. – Jak nam idzie?

– Lepiej niż Fabii. Chociaż są nieustępliwi. Trudno ich przyszpilić, cały czas usiłują się zbliżyć, żeby użyć swoich Obsydianowych, ale Pan Popiołów trzyma ich na dystans. Flota arcygubernatora uderzy jak młot i przeważy szalę. Już zachodzą tamtych ze skrzydła, widzisz?

Rycerz patrzy na holo tęsknym wzrokiem. Cassius to zauważa.

– Zawsze możesz do nich dołączyć – przypomina. – Wezwij prom.

– To by trwało godziny – odpowiada Rycerz Prawdy. – W starciu uczestniczy już czterech Rycerzy, a ktoś musi przecież strzec Octavii. Zresztą moje okręty trzymamy w odwodzie, mają chronić jasną stronę. Jeśli tamci wylądują, co w tej chwili wydaje się mało prawdopodobne, będziemy potrzebowali żołnierzy na powierzchni. Trzeba mu obmyć twarz.

– Co?

– Mówię o twarzy au Barca, jest za bardzo zakrwawiona. Jeśli znów nas nie zhakuja, niedługo rozpoczniemy nadawanie. Sabotażyści próbują nam pokrzyżować szyki. To ludzie Żywego Srebra, technodemokratyczna mierzwa żyjąca złudzeniem swojej wielkości. W nocy zlikwidowaliśmy jedną z ich kryjówek, nasłaliśmy na nich oddział lurcherów.

– Czym najlepiej powstrzymać hakera? – wtrąca Rycerz Radości. – Gorącym żelazem.

– Nieprzyjaciół dzielnie walczy, trzeba mu to przyznać – mówi tymczasem Pan Popiołów ze środka sali. Jego hologram jest dwa razy szerszy od

wizerunków jego adiutantów. – Odcieśliśmy im drogę ucieczki, a mimo to nie odstępują na krok.

Przebywa na pokładzie korwety na tyłach szyku, jego sygnał jest retransmitowany przez dziesiątki okrętów po drodze. Jego flota porusza się z cudowną precyzją. Moje jednostki nie mają szans zbliżyć się do niej bardziej niż na pięćdziesiąt kilometrów.

Roque przejmował się ofiarami, martwił się perspektywą zniszczenia przejętych przeze mnie trzystuletnich okrętów. Pan Popiołów nie ma takich oporów, jak ostatni bandzior unicestwienia statek za statkiem. Chrzanić spuściźnę, chrzanić ludzkie życia, chrzanić koszty. To niszczyciel. Przyparty do muru jest gotowy wygrać za każdą cenę. Boli, kiedy patrzę, jak moja flota cierpi.

– Melduj o dalszym rozwoju sytuacji – poleca mu Suwerenka. – Jeśli będzie to możliwe, Daxo au Telemansu chcę dostać żywcem. Wszyscy inni są mi zbędni, włącznie z jego ojcem i Julii.

– Tak jest, moja pani.

Stary zabójca salutuje i znika. Suwerenka wzdycha znużona i odwraca się do swojego Rycerza Poranka. Rozkłada ramiona jak na powitanie dawno zaginionego dziecka.

– Cassiusie. – Obejmuje go i całuje w czoło z tą samą czułością, jaką dawniej zastrzegała dla Mustang. – Serce mi pękło na wieść o tym, co wydarzyło się na lodzie. Myślałam, że zginąłeś.

– Aja miała pełne prawo tak myśleć. Przepraszam tylko, że powrót z martwych zabrał mi aż tyle czasu, moja pani. Musiałem jeszcze pozalać pewne sprawy.

– Widzę. – Suwerenka niezbyt się mną interesuje. Zamiast tego jej wzrok spoczywa na Mustang. – Naprawdę uważam, że wygraliście tę wojnę, Cassiusie. Razem. – Kiwa Szakalowi głową. Nie uśmiecha się. – Twoje okręty szybko zakończą bitwę.

– Służymy z przyjemnością – odpowiada Szakał, uśmiechając się znacząco.

– Tak... – W głosie Suwerenki dźwięczy osobliwa, niemal nostalgiczna nuta. Wodzi palcami po bliznach na szerokiej szyi Cassiusa. – Powiesili cię?

– Próbowali. – Cassius uśmiecha się szeroko. – Jakoś nie chwyciło.

– Przypominasz mi Lorna, kiedy był młody.

Kiedyś powiedziała Virginii, że przypomina jej ją samą. To uczucie prawdziwsze od tego, jakim Szakal darzy swoich ludzi, ale Suwerenka nie przestaje być kolekcjonerką. Wykorzystuje miłość i lojalność jak tarczę, za którą się chroni.

Wskazuje mnie ręką. Krzywi się na widok mojego metalowego kagańca.

– Wiecie, co zamierza? Jeżeli chce pokrzyżować nam plany w końcówce...

– O ile się orientuję, planuje atak na Cytadelę.

– Przestań! – ucisza Mustang Cassiusa. – Nic dla niej nie znaczysz.

– A dla ciebie tak? – pyta Suwerenka. – Bo my dobrze wiemy, na czym ci zależy, Virginio. I do czego jesteś zdolna, żeby to osiągnąć.

– Z ziemi czy z powietrza? – wtrąca Szakal. – Mówię o ataku.

– Przypuszczam, że z ziemi.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej, w kosmosie?

– Wtedy bardziej zajmowało cię odcinanie mu dłoni.

Szakal udaje, że nie słyszał zaczepki.

– Ile świdroszponów jest na Lunie? – pyta.

– Nie ma ani jednego sprawnego – odpowiada Suwerenka. – Nigdzie, nawet w opuszczonych kopalniach. Zadbaliśmy o to.

– Jeżeli ma tu przybyć jego ekipa, należy się spodziewać Volarus i Julii – mówi Szakal. – To jego najlepszy oręż. Pomogły mu przejąć Niszczyciela Księżyców.

– Volarus jest Obsydianową, prawda? – upewnia się Suwerenka. – Dobrze myślę?

– Królową Obsydianowych – potwierdza Mustang. – Powinnaś ją poznać. Przypominałabyś Sefi jej matkę.

– Królowa Obsydianowych... Czy to znaczy, że się zjednoczyli? – pyta Suwerenka Cassiusa. – Tak czy nie? Moi politikosowie twierdzili, że ponadplemienne przywództwo jest u Obsydianowych niemożliwe.

– Mylili się – mówi Cassius.

Antonia wykorzystuje ten moment, by wyróżnić się w oczach Suwerenki.

– Mówimy tylko o tych Obsydianowych, którzy sprzymierzyli się z Darowem, moja pani. To sojusz plemion z południa.

Suwerenka jej nie słucha.

– Nie podoba mi się to. W samej Cytadeli mamy ich setki...

– Są lojalni – wtrąca Aja.

– Skąd wiesz? – pyta Cassius. – Którzyś są z Marsa?
Octavia przenosi wzrok na Aję. Szuka u niej potwierdzenia.
– Większość – przyznaje Aja. – Nawet Legion Zero. Marsjańscy Obsydianowi są najlepsi.
– Wyrzucić ich z bunkra – poleca Suwerenka. – Natychmiast.
Jeden z pretorianów rusza wypełnić rozkaz.
– Czy budzi podobną grozę i szacunek jak jej brat? – zwraca się Aja do Cassiusa.
– Jest jeszcze gorsza. – Mustang, na klęczkach, parska śmiechem. – O wiele gorsza i znacznie mądrzejsza. W walce towarzyszy jej oddział wojowniczek. Złożyła przysięgę krwi, że cię odnajdzie, Aju; wypije twoją krew, a twojej czaszki będzie używać w Walhalli jako pucharu. Sefi nadchodzi. Nie powstrzymasz jej.
Aja z Octavią spoglądają z wahaniem po sobie.
– Najpierw musieliby wylądować – zauważa Aja – zanim przypuszczą szturm na Cytadelę. To niewykonalne.
– Jak tu przybędą? – pyta mnie Cassius.
Kręcę głową i śmieję się zza kagańca. Aja kopie mnie w kikut prawej ręki. Kulę się i niemal mdleję z bólu.
– Jak przybędą? – powtarza Cassius.
Nie odpowiadam.
– Złap go za drugą rękę – zwraca się do Rycerza Radości. – Jak mają tu przybyć? – Tym razem nie pyta mnie, tylko Mustang. – Jeżeli mi nie powiesz, odetnę mu drugą dłoń. Potem stopy i nos. A potem wyłupię mu oczy. Jaką drogą ma przybyć Volarus?
– Pierdol się – odpowiada Mustang z szyderczym uśmiechem. – I tak go zabijecie.
– Ale to od ciebie zależy, jak powoli będzie umierał.
– A kto powiedział, że już nie wylądowali?
– Jak to?
– Przylecieli z Ziemi na statkach z ziarnem. Żywe Srebro to załatwił. Wylądowali przed kilkoma godzinami, teraz zmierzają w stronę Cytadeli. Dziesięć tysięcy ludzi. Nie wiedziałeś?
– Dziesięć tysięcy? – powtarza półgłosem Lysander.
Siedzi na krześle z boku holoplatfomy. Przed nim na stole spoczywa należące do jego babki Berło Świtu: złoto-żelazne, długie na metr, zwień-

czone piramidą Wspólnoty i zasuszonym sercem Obsydianowego watażki, który przed niemal pięcioma wiekami stanął na czele Mrocznej Rewolty.

– Legiony zostały skierowane do powstrzymania inwazji – ciągnie. – Zanim wrócą, Obsydianowi przełamią nasze szyki.

– Przygotuję pretorianów i odwołam dwa legiony. – Aja rusza do wyjścia.

– Nie. – Octavia stoi nieruchomo. Myśli. – Nie, Aju. Zostaniesz ze mną. – Odwraca się do dowódcy pretorianów. – Legacie, udzielisz wsparcia obrońcom na powierzchni. Zabierz swój pluton, tutaj nie będzie mi potrzebny. Mam swoich Rycerzy. Strzelajcie do każdego okrętu, który zbliży się do Cytadeli, choćby twierdzili, że na pokładzie znajduje się Pan Popiołów. Nic mnie to nie obchodzi. Zrozumiałeś?

– Tak się stanie.

Legat wybiega wraz z resztą pretorianów. W sali zostają tylko Cassius, trzech Rycerze Olimpijscy, Antonia, Szakał, Suwerenka, trzech pretorianów i my, więźniowie. Aja przykładą dłoń do czytnika przy drzwiach. Azył Suwerenki zamyka się za pretorianami, drugie, grubsze drzwi śrubowym ruchem wynurzają się ze ścian i powoli odcinają nas od świata na zewnątrz.

– Przykro mi, Aju – odzywa się Suwerenka, gdy Aja na powrót staje obok niej. – Wiem, że chcesz być ze swoimi ludźmi, ale Moirę już straciliśmy. Nie mogę ryzykować, że stracę także ciebie.

– Wiem o tym – zgadza się Aja, ale jej rozczarowanie jest oczywiste. – Pretorianie poradzą sobie z Hordą. Czy możemy teraz zająć się drugą sprawą?

Octavia zerka na Szakala, który odpowiada jej ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Severus-Julii, wystap – mówi Suwerenka.

Zdumiona tym wyróżnieniem Antonia robi krok w przód, na jej usta z wolna wypływa pełen nadziei uśmiech. Na pewno dostanie pochwałę za swoje dzisiejsze dokonania. Staje przed Suwerenką, splata dłonie za plecami. Czeką.

– Pretorko... Służyłaś w armadzie Miecz, kiedy ta w czerwcu bieżącego roku stłumiła bunt Władców Księżyców. Zgadza się?

Antonia marszczy brwi.

– Nie rozumiem, moja pani...

– To proste pytanie. Odpowiedz na nie najlepiej, jak potrafisz.

– Tak, pani. Tak właśnie było. Kierowałam okrętami mojego rodu oraz piątym i szóstym legionem.

– Pod tymczasowym dowództwem Roque au Fabii?

– Tak, pani.

– Powiedz mi wobec tego, jak to się stało, że ty wciąż żyjesz, a twój imperator nie?

– Ledwie udało mi się ujść z życiem z bitwy – przyznaje Antonia. Dostrzega zagrożenie płynące z tak prowadzonego przesłuchania i stosownie moduluje głos. – To była prawdziwa klęska, moja pani. Wyjce ukryły się na Tebe i Roque... Imperator Fabii wpadł w pułapkę po dwakroć, choć absolutnie nie ze swojej winy. Każdy na jego miejscu zachowałby się tak samo. Próbowалам ocalić jego flotę, przegrupować nasze siły, ale Darrow zdążył tymczasem dotrzeć na mostek. Dewastatory płonęły wokół nas, nie sposób było odróżnić przyjaciela od wroga. Dźwięki wydawane przez Hordę Obsydianowych wdzierających się na statki prześladowają mnie w koszmarnych snach...

– Kłamiesz. – Mustang prycha pogardliwie.

– Wycofałaś się więc.

– Tak, pani. Ponosząc ciężkie straty. Ocaliłam dla Wspólnoty tyle okrętów, ile tylko się dało. Ewakuowałam też swoich ludzi, wiedząc, że będą nam potrzebni w nadchodzącej bitwie. Więcej nie mogłam zrobić.

– Szlachetny to czyn, uratować tak wiele ludzkich istnień – przyznaje Suwerenka.

– Dziękuję...

– Przynajmniej byłby szlachetny, gdyby był prawdziwy.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś, dziewczyno. Uważam, że uciekłaś z pola bitwy, porzuciłaś posterunek i zostawiłaś swojego imperatora na pastwę nieprzyjaciela.

– Zarzucasz mi kłamstwo, moja pani?

– Na to wygląda – wtrąca Mustang.

– Nie zamierzam tolerować takich oszczerstw – odparowuje Antonia i wydyma pierś. – To poniżej...

– Uspokój się, dziecko – odzywa się znów Octavia. – Zapaściłaś się na głębokie wody, w których pływają ryby grubsze od ciebie. Bo widzisz, z pola walki uciekło was więcej. I niektórzy przesłali nam dane do analizy, żebyśmy wiedzieli, co się tam wydarzyło. Dzięki nim mogliśmy ocenić roz-

miary klęski i zobaczyć, jak Antonia Severus-Julii zhańbiła swoje nazwisko i przegrała bitwę; jak porzuciła swojego pretora, pozostała głucha na jego wołanie o pomoc i w obawie o własną skórę skryła się w Pasie Asteroid, gdzie następnie straciła swoje okręty.

– To Fabii przegrał bitwę – odpowiada zawziętym tonem Antonia. – Nie ja.

– Tylko dlatego, że sojusznicy go porzucili – mruczy Aja. – Mógłby ocalić swoje siły, gdybyś nie zasiała chaosu w jego szykach.

– Fabii popełnił błędy – przyznaje Octavia – ale był człowiekiem szlachetnym i wiernym sługą swojego Koloru. Miał dość honoru, żeby odebrać sobie życie; przyznać się do porażki, zapłacić za nią należytą cenę i zagwarantować, że nie zostanie pojmany, przesłuchany i wykorzystany jako karta przetargowa. Jego ostatnie dokonanie, zniszczenie stoczni rebeliantów, dowodzi, że był prawdziwym bohaterem. Żelaznym Złotym. Natomiast ty... Ty, tchórzliwa prostaczko, czmychnęłaś jak mała dziewczynka, która zasikała sobie sukienkę na Białe Święto. Porzuciłaś go, żeby ratować własną skórę, a teraz oczerniasz go przed nami wszystkimi. Przed jego przyjacielem. – Opiekuńczym gestem wskazuje Cassiusa. – Twoi ludzie dostrzegli kryjącą się w tobie podłą żmiję, dlatego zwrócili się przeciwko tobie. Dlatego straciłaś okręty na rzecz swojej siostry, która jest od ciebie lepsza.

– Z każdym, kto rzuca takie kalumnie, spotkam się w Krwawym Kręgu – zapowiada Antonia. Trzęsie się ze złości. – Nie pozwolę, żeby jakieś anonimowe zazdrosne kreatury plugawiły mój honor. Przykre to, że fabrykują dowody, by zniszczyć moje dobre imię. Z pewnością kierują nimi ukryte podłe motywy: może chcą uderzyć w moją firmę i pozycję, a może usiłują podważyć status wszystkich Złotych. Adriusie, powiedz Suwerence, jakie to wszystko jest niedorzeczne.

Ale Szakal milczy.

– Adriusie?

– Lepszy wierny pies niż lojalny tchórz – odzywa się w końcu Adrius. – Lilath miała rację, jesteś słaba. A to niebezpieczne.

Antonia rozgląda się rozpaczliwie jak tonąca, której woda zalewa głowę i którą podstępny nurt wciąga w głębinę, a ona nie ma się czego uchwycić, nie ma jak się uratować. Aja wzbiera za jej plecami jak mroczna fala.

– Antonio au Severus-Julii – zaczyna urzędową formułkę Suwerenka – nestorko Domu Julii, pretorko pierwszej klasy piątego i szóstego legionu. Na mocy władzy nadanej mi przez Porozumienie Wspólnoty uznaję cię za

winną zdrady stanu i zaniedbania obowiązków w czasie wojny i niniejszym skazuję na śmierć.

– Ty suko – syczy do niej Antonia. Odwraca się do Szakala. – Nie możesz sobie pozwolić na to, żebym zginęła. Adriusie, proszę...

Ale nie ma już okrętów. Straciła twarz. Łzy płyną z jej podpuchniętych oczu, wciąż rozpaczliwie szuka nadziei, wyjścia z tej matni, a gdy niczego nie znalazłszy spogląda mi w twarz, odczytuje z niej moje myśli: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”. To za Victrę, Leę, Oset i wszystkich innych, których poświęciła, żeby przeżyć.

– Błagam... – skamle.

Ale nie ma tu dla niej litości.

Aja zachodzi ją od tyłu i obiema rękami łapie za szyję. Antonia dygocze ze zgrozy i osuwa się na kolana, w ogóle nie stawia oporu, gdy górująca nad nią Aja zaczyna ją dusić. Parska, prycha, wiję się. Umiera przez całą długą minutę. A potem Aja gwałtownym szarpnięciem skręca jej kark i rzuca ciało na trupa Sevro.

– Cóż za odrażająca postać. – Suwerenka odwraca się tyłem do zwłok. – Jej matka przynajmniej miała kręgosłup. Masz brudne buty, Cassiusie. – Krew, teraz już zakrzepła, przywarła do gumowych podeszew jego więzionych pantofli i obryzgała zielone nogawki kombinezonu. – Tam dalej jest kompleks mieszkalny: kuchnia, prysznice... Doprowadź się do porządku. Służący od paru godzin usiłuje wmusić we mnie posiłek; każe mu go podać, zjesz coś. Nie bój się, nie przegapisz bitwy; Pan Popiołów obiecał, że potrwa jeszcze co najmniej kilka godzin. Zaprowadzisz go, Lysandrze?

– Nie odstąpię od twego boku, pani – zapowiada szlachetnym tonem Cassius – dopóki nie doprowadzimy sprawy do końca i nie pozbedziemy się tych potworów.

Rycerz Prawdy przewraca oczami, widząc ten popis.

– Dobry z ciebie chłopak – mówi Octavia i odwraca się do mnie. – Czas rozprawić się z Czerwonym.

Czerwony

Aja łapie mnie i wlecze na środek holoplatformy, przed oblicze Suwerenki. Lodowato władczy grymas szyderstwa wykrzywia wykutą z marmuru twarz tyranki, ale przygarbione ramiona zdradzają znużenie: ogrom imperium ją przytłacza, ciąży jej mroczne brzemie stu lat nieprzespanych nocy. Ciasno spięte włosy są gęsto przetykane głębokimi rzekami siwizny. Z kącików oczu rozchodzą się sine linie: ślady powtarzanej terapii odmładzającej. To ja nie daję jej spokoju. Klęczę przed nią i krwawię, ale miła jest świadomość, że dręcę ją w koszmarnych snach.

– Zdejmijcie mu ten kaganiec – rozkazuje.

Aja czeka za moimi plecami, gotowa wymierzyć mi sprawiedliwość Suwerenki. Rycerze Prawdy i Radości stoją po bokach Octavii. Z boku Cassius w zielonych więziennych drelichach stoi nad klęczącą Mustang, otoczony przez pretorianów. Szakał śledzi rozwój wypadków, siedząc na krześle obok Lysandra i sącząc podaną przez służącego kawę.

Kaganiec spada. Rozwieram szczęki, żeby je rozruszać.

– Wyobraź sobie świat pozbawiony arogancji młodych – zwraca się Suwerenka do swojej Furii.

– Wyobraź sobie świat pozbawiony chciwości starych – chrypię w odpowiedzi.

Aja uderza mnie pięścią w skroń. Świat rozbłyska czernią. Prawie się przewracam.

– Po co zdejmować mu kaganiec, skoro chcesz, by milczał? – pyta Mustang.

Szakał parska śmiechem.

– Ma dziewczyna trochę racji, Octavio!

Suwerenka piorunuje go wzrokiem.

– Poprzednim razem zgładziliśmy dublera i świat o tym wie. A teraz mamy jego: Czerwonego, który się zbuntował. We własnej osobie. Chcę,

żeby wszyscy wiedzieli, że to on właśnie padł; że nawet ich najlepsi nic nie znaczą.

– Jeśli damy mu słowa, ukuje kolejny slogan – przestrzega ją Szakal.

– Naprawdę myślisz, Octavio, że mój brat cię nie zabije? – wtrąca Mustang. – Nie spocznie, dopóki nie umrzesz. Dopóki wszyscy nie umrzą. Dopóki nie weźmie do ręki twojego berła i nie zasiądzie na twoim tronie.

– Ależ oczywiście, że pożąda mojego tronu! Któż by go nie chciał? Powiedz nam, Lysandrze, jaka jest moja rola.

– Bronić tronu. Stworzyć unię, w której podwładni wolą słuchać niż walczyć, bo tak jest bezpieczniej. Oto rola Suwerena: bądź kochany przez nie-licznych, wzbudzaj lęk w sercach mas i nigdy nie zapominaj, kim jesteś.

– Doskonale, Lysandrze – przyznaje ze smutkiem Suwerenka.

– Suweren nie powinien rządzić – odzywam się – lecz prowadzić.

Nie słucha mnie. Odwraca się do Rycerza Radości, który stoi przy pulpicie i przygotowuje się do uruchomienia transmisji.

– Gotowe?

– Tak, moja pani. Zieloni naprawili łącza. Przekaz pójdzie na żywo do Rdzenia.

– Pożegnaj się ze swoim Czerwonym... – Aja klepie Mustang po głowie.

– Nawet tego nie możesz zrobić osobiście? – pytam Szakala. – Co z ciebie za mężczyzna?

Marszczy brwi.

– Tak – mówi nieoczekiwanie – chcę to zrobić.

Wstaje i wchodzi na holoplatformę.

– Wykonywanie wyroków to prerogatywa Rycerzy Olimpijskich – zauważa Aja. – Nie ma tu dla ciebie miejsca, arcygubernatorze.

– Nie przypominam sobie, żebym pytał cię o pozwolenie.

Znieważona Aja szczyrzy zęby, ale dłoń Suwerenki na jej ramieniu powściąga jej język.

– Dajmy mu to zrobić.

Dziwny jest ten szacunek Suwerenki dla Szakala, zupełnie nie w jej stylu, ale zarazem spójny z łączącą ich osobliwą więzią, którą wyczułem już wcześniej. Zastanawiam się, co on tu w ogóle robi – nie na Lunie, to akurat jest oczywiste, ale po co zjawił się w miejscu, w którym Suwerenka ma nad nim władzę absolutną? Mogłaby go zabić w dowolnej chwili. Musi

mieć na nią jakiegoś haka, coś, co zapewnia mu nietykalność. W co on pogrywa? Wyczuwam, że Mustang zмага się z tym samym pytaniem.

Aja odsuwa się ode mnie. Rycerz Radości podaje Szakalowi miotacz, ale ten odmawia. Zamiast tego wyjmuję z kabury broń Sevro i kręci nią w powietrzu, zahaczywszy palcem o osłonę spustu.

– Nie jest Złotym – wyjaśnia. – Nie zasługuje na brzytwę ani honorową śmierć. Zginie jak jego stryj. A ja bardzo chętnie rozpocznę przemianę w karzącą dłoń sprawiedliwości. Poza tym załatwienie go z broni Sevro ma sobie coś... poetyckiego, nie uważasz, Octavio?

– Jak chcesz. Coś jeszcze? – pyta znużonym tonem Suwerenka.

– Nie. Jesteś nadzwyczaj szczodra.

Szakał zajmuje miejsce Ai obok mnie. Suwerenka na naszych oczach przechodzi przemianę. Wyczerpanie znika bez śladu z jej twarzy, która przybiera spokojny, dostoyny wyraz. Znam ją z hP w Lykos, kiedy to raz po raz powtarzała: „Posłuszeństwo. Poświęcenie. Dobrobyt”. Wtedy wydawała mi się boginią tak ogromnie przewyższającą nas, śmiertelników, że oddałbym życie, żeby tylko ją zadowolić; żeby była ze mnie dumna. A teraz oddałbym życie, żeby ją zabić.

Rycerz Radości daje jej znak skinieniem głowy. Łagodny blask spływa na nią z góry, jakby udzielały jej się gniew i ciepło słońca. To zwykły reflektor. Światło staje się mocniejsze. Szakał odgarnia niesforne pasemko nieskazitelnie poza tym zaczesanych włosów i uśmiecha się do mnie z czułością.

Transmisja się rozpoczyna.

– Do wszystkich mężczyzn i kobiet, członków Wspólnoty – zaczyna Octavia. – Tu wasza Suwerenka. Od zarania dziejów rodzaj ludzki rozdzierały walki plemienne. Jej historia jest historią zmagania, ofiarności, śmiałości do łamania naturalnych granic. Z czasem, po latach znoej pracy, wzniesiliśmy się ku gwiazdom. Podjęliśmy zobowiązanie. Wyrzekliśmy się swoich żądz i pragnień i poddaliśmy Hierarchii Kolorów, nie po to jednak, by ciemnić pracujące rzesze na chwałę nielicznych wybrańców, jak Ares i ten... terrorysta usiłują wam wmówić, lecz by zapewnić ludzkości nieśmiertelność w oparciu o ład i dobrobyt. I tej nieśmiertelności mogliśmy być pewni, zanim ten człowiek spróbował nam ją ukraść. – Wskazuje mnie długim, eleganckim palcem. – Ten człowiek, niegdyś szlachetny sługa wasz i waszych rodzin, powinien być najlepszym synem swojego Koloru. W młodości został wyniesiony na piedestał, obsypany honorowymi wyróżnieniami...

Wybrał jednak próżność. Wolał stać się zdobywcą. Chciał, żeby jego ego zapanowało ponad gwiazdami. Zapomniał o swoich obowiązkach. Zapomniał o przyczynach, dla których ład jest niezbędny. Popadł w mrok i pociągnął za sobą całe światy. My jednak nie wpadniemy w tę ciemność razem z nim, o nie. Nie ugniemy się przed siłami zła. – Kładzie dłoń na sercu. – Bo my... jesteśmy Wspólnotą. Jesteśmy Złoci, Srebrni, Miedziani, Niebiescy, Biali, Pomarańczowi, Zieloni, Fioletowi, Żółci, Szarzy, Brązowi, Różowi, Obsydianowi i Czerwoni. Łączące nas więzi są mocniejsze od sił, które próbują nas rozerwać. Od siedmiuset lat Złoci prowadzą ludzkość, niosąc światło tam, gdzie wcześniej był mrok, a obfitość tam, gdzie panował głód. Dziś przynosimy pokój tam, gdzie trwa wojna. Jeżeli jednak mamy go zaprowadzić, musimy unicestwić tego oto mordercę, który sprowadził wojnę do domów nas wszystkich.

Kiedy się do mnie odwraca, przypominam sobie, z jaką obojętnością śledziła mój pojedynek z Cassiusem; sączyła wino do kolacji, gotowa patrzeć, jak umieram. Nawet teraz jestem dla niej zaledwie pyłkiem. Wybiega myślami daleko w przód, poza chwilę, w której moja krew stygnie na posadzce, a moje ciało zostaje zabrane do poćwiartowania.

– Darrowie z Lykos, na mocy władzy nadanej mi przez Porozumienie Wspólnoty uznaję cię za winnego udziału w spisku i podżegania do aktów terroru.

Patrzę wprost w kamerę holoPuszeki, wiem, że obserwują mnie w tej chwili nieprzeliczone rzesze ludzi – i te same rzesze będą patrzeć długo po tym, jak mnie już nie będzie.

– Uznaję cię za winnego masowego mordu na mieszkańcach Marsa.

Słucham jej jednym uchem. Serce wali mi w piersi jak młotem, pcha się do gardła, wprawia palce lewej dłoni w drżenie. To jest ta chwila. Koniec wspina się ku mnie.

– Uznaję cię za winnego morderstwa. – Ta chwila, ten okrucieństwa czasu to moje życie w pigułce. Mój krzyk w pustkę. – Uznaję cię za winnego zdrady Wspólnoty...

Ale ja nie chcę krzyku. Zostawiam go dla Roque'a. Dla Żółtych.

Ja chcę czegoś więcej, czegoś, czego nie rozumieją. Chcę gniewu mojego ludu, wściekłości wszystkich zniewolonych. I kiedy Suwerenka recytuje wyrok, Szakał czeka, aż będzie mógł go wykonać, Mustang klęczy na posadzce, otoczona przez pretorianów i Rycerzy, Cassius obserwuje mnie i również czeka, Aja zaś widzi, jak na niego patrzę, i zdjęta lękiem

robi krok w przód, bo zdaje sobie sprawę, że coś jest nie w porządku – wtedy ja zadzieram głowę i wyję.

Wyję za żoną i ojcem. Za Ragnarem, Quinn, Paxem i Narolem. Za wszystkimi, których straciłem. Za wszystkimi, których mi odebrano.

Wyję, bo jestem piekłonurkiem z Lykos. Jestem Żniwiarzem Marsa i własnym ciałem zapłaciłem za prawo wejścia do tego bunkra, żeby stanąć przed Octavią i albo umrzeć wśród przyjaciół, albo sprowadzić sprawiedliwość na wrogów.

Suwerenka kiwa Szakalowi głową: ma wykonać wyrok. Szakal przyciska lufę do mojej potylicy i pociąga za spust. Broń wierzga mu w dłoni i pluje ogniem, który osmala mi głowę. Ogłuszający huk razi moje prawe ucho. Nie padam jednak. Kula nie ryje drogi na wskroś mojej czaszki. Z lufy snuje się dym.

Szakal spogląda na pistolet... i już wie.

– Nie...

Cofa się o krok, wypuszcza broń z ręki, próbuje dobyć brzytwy.

– Octavia! – krzyczy Aja i rzuca się naprzód.

W tej samej chwili, dokładnie w tym samym ułamku sekundy Suwerenka słyszy jakiś dźwięk zza kamery i spogląda w tym kierunku. Widzi pretorianina z przekrzywioną w bok głową, któremu karabin impulsowy wypada z ręki i z głuchym łoskotem spada na podłogę. Makabrycznie czerwony język wyłazi mu z ust... tylko że to wcale nie jest język, to zakrwawiona brzytwa Cassiusa, która – wbita w potylicę – przeszła czaszkę i wyszła pomiędzy zębami. Zaraz znika w głębi ust. Trzej strażnicy padają, zanim Suwerenka zdąży wykrztusić choć jedno parszywe słowo. Cassius stoi za nimi ze spuszczoną głową. W jednej ręce trzyma czerwoną od krwi brzytwę, w drugiej – pilota zdalnego sterowania do więzów moich i Mustang.

– Bellona? – Tylko tyle udaje się Octavii wykrztusić, zanim Cassius wciśnie guzik.

Stalowa kamizelka Mustang rozpina się i opada na ziemię. Moja też zostaje poluzowana. Mustang dopada karabinu jednego z zabitych strażników. Uwolniony z kajdan wstaje, otrząsam się z kamizelki i wyciągam ukryty pod nią nóż. Rzucam się w stronę Suwerenki i zanim zdąży choćby mrugnąć powieką, przebijam ostrzem jej czarną kurtkę, a wraz z nią miękkie podbrzusze. Stęka. Oczy wychodzą jej z orbit. Dzieli nas kilka cali. Wyczuwam w jej oddechu woń kawy. Czuję, jak trzepoczą jej rzęsy, gdy

dżgam ją w brzuch jeszcze sześć razy, po czym przy ostatnim pchnięciu przeciągam nożem w górę, w stronę mostka. Rozpruwam ją. Gorąca krew chlusta mi na dłoń i pierś.

– Octavia!

Aja szarżuje na mnie. Udaje jej się pokonać połowę dzielącej nas odległości, kiedy Mustang podnosi się z kolan i strzela z karabinu prosto w jej opancerzony bok. Impet trafienia zmiata Aję z nóg i ciska nią w stojący w głębi sali drewniany stół konferencyjny, tuż obok ciał Sevro i Antonii; niewiele brakuje, żeby przy okazji zmiażdżyła Lysandra. Na widok zataczającej się wypatroszonej Suwerenki Rycerze Prawdy i Radości jak jeden mąż zwracają się przeciw Cassiusowi. Sięgają po przypasane brzytwy, ich tarcze ożywają z charakterystycznym buczeniem. Pozbawiony pancerza, ubrany tylko w zakrwawione więzienne drelichy Cassius rzuca się naprzód jak błyskawica i wbija zaskoczonemu Rycerzowi Prawdy brzytwę w oko. Ostrze wychodzi przez ciemię.

Szakal atakuje mnie moją brzytwą, którą nosi u pasa. Schodzę z linii cięcia i skracam dystans. Tnie po raz drugi, krzycząc z wściekłości. Łapię go za rękę z bronią i walę z byka w twarz, a potem podcinam i obalam na ziemię. Zabieram mu brzytwę i przyszpilam mu nią lewe ramię do podłogi. Nie ma w tej chwili wolnej ręki. Wrzeszczy. Kropelki jego śliny pryskają mi w twarz. Wierzga.

Uderzam go kolanem w czoło i zostawiam oszołomionego i przybitego do ziemi.

– Darrow! – woła walczący z Rycerzem Radości Cassius. – Za tobą!

Za moimi plecami Aja wygrzebuje się właśnie spośród szczątków stołu. Jej oczy pałają gniewem. Cofam się przed nią, żeby wspomóc Cassiusa i Mustang; wiem, że po tym, jak straciłem prawą rękę, zabiłaby mnie w mgnieniu oka. Zielony kombinezon Cassiusa ciemnieje od krwi. Lepiej opancerzony Rycerz Radości rozplatał mu lewą nogę, a teraz spycha go do obrony, wykorzystując przewagę masy i napór noszonej na lewym ramieniu pulsującej egidy. Mustang zabiera zabitym pretorianom dwie brzytwy i jedną rzuca mnie. Łapię ją w biegu w lewą dłoń. Pstrykam przełącznikiem w rękojeści i brzytwa rozwija się na całą zabójczą długość. Cassius po raz kolejny obrywa w nogę, a potem przewraca się o leżące ciało. Kolejne cięcie paruje pięścią impulsową, która ulega przy tym zniszczeniu. Rycerz Radości, zwrócony do mnie tyłem, wyczuwa, że się zbliżam, ale zbyt późno. Bezgłośnie wyskakuję w powietrze i zamaszystym okrężnym cio-

sem tnę go przez plecy. Tętniąca energią tarcza impulsowa stawia opór, spowalnia ruch mojej ręki na kilka centymetrów przed zbroją, ale ostatecznie brzytwa z szarpnięciem tnie błękitny jak niebo płytowy pancerz, mięśnie, kości. Rozrąbuję ciało Rycerza po skosie, od lewego barku po prawe biodro. Trup z głuchym odgłosem osuwa się na ziemię.

Poza tym w sali panuje cisza.

Mustang doskakuje do mnie. Odrzuca znad oczu burzę złotych loków, szczyrzy zęby w uśmiechu podniecenia. Pomagam Cassiusowi wstać.

– Jak wam się podobało moje aktorstwo? – pyta, krzywiąc się z bólu.

– Mniej niż twój fechtunek. – Patrzę po rozrzuconych wokół niego ciałach.

Uśmiecha się od ucha do ucha. Nic go tak nie ożywia jak walka, a ja czuję przykre ukłucie, bo wiem, że tak właśnie powinno to być wyglądać od początku. Tęsknię za dniami, kiedy razem jeździliśmy po wyżynach i udawaliśmy władców świata. Uśmiecham się w odpowiedzi: jestem ranny, pokrwawiony, ale pierwszy raz od niepamiętnych czasów czuję się prawie kompletny.

– Później sobie poplirtujecie – wtrąca Mustang.

Stojąc ramię w ramię, razem stawiamy czoło najgroźniejszej istocie ludzkiej w całym Układzie Słonecznym. Przykucnęła nad ciężko poranioną Octavią, która zdołała przeczołgać się na skraj holoplatfory, gdzie teraz leży na wznak, trzyma się obiema rękami za brzuch i dyszy ciężko. Łzy płyną po twarzach Ai i Lysandra, który podbiegł, żeby pomóc babce.

– Aja! – drze się leżący na podłodze Szakal. – Zabij ich! Otwórz drzwi albo ich zabij! – Postradał rozum. Miota się, szarpie, próbuje kikutem ręki dosięgnąć przełącznika na rękojeści brzytwy, ten jednak znajduje się trzy i pół stopy nad jego głową. – Otwórz je! – cedzi przez zęby.

Żeby jednak otworzyć drzwi, najpierw Aja musi do nich podejść. A żeby do nich podejść, musi przejść przeze mnie i moich przyjaciół, a potem odwrócić się do nas plecami, kiedy będzie wprowadzać kod. Tkwi w potrzasku do momentu, gdy zginiemy albo my troje, albo ona sama.

– Oddaj nam Suwerenkę – mówię. – Niech dosięgnie ją sprawiedliwość.

Wiem, jaka będzie jej odpowiedź, ale nie zapominam, że transmisja trwa. W hP wszyscy widzą, jak Złota krew plami podłogę.

Aja nie odwraca się do nas. Jeszcze nie teraz. Ogromną dłonią czule muska twarz Octavii, tuli starszą kobietę jak matka trzymająca własne dziecko.

– Nie umieraj – mówi. – Wyciągnę cię stąd, obiecuję. Tylko nie umieraj, Octavio.

Suwerenka odpowiada słabym skinieniem głowy. Lysander dotyka ręki Ai.

– Pośpiesz się – mówi. – Proszę.

– Trzeba ją wziąć na przeczekanie – szepcze Mustang. – Czas działa na naszą korzyść.

– Nie możemy dać się przyprzeć do muru – mówię. – Przemieszczamy się na boki, tak jak mówiliśmy. Cassiusie, możesz stanąć na szpicy?

– Jeśli za mną nadążycie...

Aja prostuje się na całą wysokość: groźna masa mięśni i zbroi, najlepsza uczennica największego mistrza brzytwy w dziejach Wspólnoty. Nieprzenikniona ciemnoskóra twarz. Granatowy pancerz Rycerza Zmiany, po którym przepływają subtelne kształty morskich smoków. Jest niemal równie barczysta jak Ragnar. Żałuję, że nie ma z nami Sefi. Półtora metra zabójczego srebra rozwija się przed Ają, która przybiera postawę zimową z Drogi Wierzby: miecz uniesiony jak pochodnia, trzymany z boku, lewa stopa wysunięta do przodu, kolana przygięte, biodra nisko. Rozdzielamy się z Mustang, zajmując pozycje po bokach Cassiusa, w tej chwili najlepszego szermierza z naszej trójki. Aja łapczywym wzrokiem chłonie nasze słabości: powłóczenie nogą u Cassiusa, mój brak prawej dłoni, drobną posturę Mustang, rozmieszczenie przeszkód na podłodze.

A potem atakuje.

W samotnej walce z liczniejszym wrogiem można stosować jedną z dwóch strategii. Pierwsza zakłada wykorzystanie przeciwników przeciwko sobie nawzajem – tyle że ja i Cassius w walce zawsze myślimy podobnie, a Mustang jest elastyczna, umie się dostosować. Dlatego Aja wybiera drugą strategię: huraganowy atak na mnie, zanim Cassius i Mustang zdołają mi przyjść w sukurs. Uznaje mnie za najsłabsze ogniwo. Całkiem słusznie. Jej bicz tnie na wysokości mojej twarzy z taką szybkością, że nie zdążam zasłonić się brzytwą. Cofam się odruchowo, omal nie straciwszy oka, i na moment tracę równowagę. Natychmiast mnie dopada, już usztyniła klingę i wykonuje kolejne pchnięcia, jedno za drugim, w poetyckim szale starannie wypracowanych ruchów. Chce mnie zmusić do odkrycia się, co umożliwiłoby jej wykonanie manewru zwanego przez Lorna „skalpowaniem bocznym”, w którym przewyciężywszy mój opór, przyciska czubek brzytwy do mojego barku i zjeżdża ostrzem po zewnątrz-

nej aż do nadgarstka, zdzierając po drodze mięśnie i ścięgna. Odskakuję zwinnie, nie dając jej ku temu okazji i manewrując wśród leżących na posadzce zwłok.

Cassius z Mustang nacierają na Aję. Cassius daje się ponieść emocjom i robi nieco przydługi wypad. Sam ledwie ustrzegłem się tego błędu.

Aja nie używa brzytwy. Zamiast tego odpala grawiButy i taranuje Cassiusa: pchnięte krótkim impulsem dwieście kilogramów pancernei Niezrównanej Naznaczonej zderza się z ciałem i kością. Niemal słysząc, jak szkielet Cassiusa trzeszczy, gdy owija się wokół niej i czołem uderza w jej opancerzone ramię, a potem spływa po jej zbroi. Aja przyszpila go do podłogi.

Mustang przypuszcza atak z flanki, żeby uniemożliwić jej dobiecie Cassiusa. Tyle że Aja spodziewała się takiej właśnie reakcji i Cassius był tylko przynętą. Tnie Mustang przez brzuch, płytko, ale niewiele brakuje, żeby wypruła jej wnętrzności.

Rzucam w nią od tyłu brzytwą. Słyszy ją albo jakoś wyczuwa w locie i zdąża się uchylić; brzytwa przelatuje obok i wbija się w ścianę oddzielającą holoplatformę od znajdującej się nieco wyżej widowni. Aja wymierza Mustang kopniaka i trafia w rzepkę kolanową. Trudno stwierdzić, czy zdołała ją wybić, ale Mustang zatacza się wstecz, zasłaniając się trzymaną w wyciągniętej ręce brzytwą. Tymczasem Aja znów zwraca się w moją stronę.

A ja jestem bezbronny.

– Kurwa kurwa kurwa kurwa – klnę pod nosem.

Rzucam się do martwych pretorianów, żeby zabrać któremuś brzytwę. Natrafiam na karabin impulsowy i strzelam na oślep za siebie. Tarcza impulsowa przejmuje energię strzałów i pulsuje czerwienią. Aja dopada mnie i brzytwą wytrąca mi broń z ręki. Robię unik i przewrót w tył. Zaliczam długie, piekące cięcie po ścięgnach podkolanowych, ale zdobywam brzytwę. Wyskakuję z holoplatformy na umieszczoną kilkanaście stóp wyżej widownię. Aja podnosi pięść impulsową i strzela do mnie. Chybia, bo przypadam do ziemi, ale stalowy sufit wrze i skapuje mi na głowę. Turlam się w bok.

Z holoplatformy dobiega lament brzytew. Cofam się z powrotem na skraj widowni, chcę wrócić do walki. Aja kraje nas na plasterki, a moja ucieczka pozwoliła jej znów zająć się Cassiusem i Mustang. Napiera na Cassiusa, wykorzystuje fakt, że ten utyka i ma świeżą ranę ręki. Zanim jednak zdąży go wykończyć, Mustang atakuje ją od tyłu. Aja spokojnie uchyla

się przed cięciami. Porusza się tak, jakby dokładnie przestudiowała całą potyczkę, zanim w ogóle do niej doszło.

Dociera do mnie, że nie zdołamy jej pokonać. Obawialiśmy się tego. No i nie planowaliśmy, że stracę rękę. Aja wykończy nas jedno po drugim.

Odczuwam przelotny przypływ nadziei, kiedy Mustang i Cassiusowi udaje się ją wreszcie osaczyć. Zeskakuję, żeby ich wspomóc. Aja wije się, skręca i balansuje jak wierzba pochywiona między trzy trąby powietrzne. Wie, że jej pancerz oprze się naszym słabym lub nieczystym cięciom, a nasza skóra nie zatrzyma żadnego z jej ciosów, dlatego zadowala się zadawaniem nam drobnych ran, wykrwawia nas metodycznie, mierzy w ścięgna kolan, rąk, tak jak Lorn uczył nas oboje. Mędrzec, który wykopuje korzenie.

Jej brzytwa wrzyna mi się głęboko w przedramię, haracze kostki dłoni, ścina czubek małego palca. Ryczę ze złości, ale złość nie wystarczy. Jesteśmy zbyt zmęczeni, przytłoczeni jej potwornością. Lorn za dobrze ją wyszkolił. Kręci piruet i nadziewa mnie na brzytwę oburęcznym pchnięciem w prawy bok. Moim światem targa wstrząs. Aja podnosi mnie na brzytwie, wydając przy tym przerażający ryk. Moje stopy zawisają pół metra nad podłogą.

Cassius przypuszcza atak. Aja musi zrzucić mnie z brzytwy, żeby go odeprzeć. Spadam na ziemię, mam wrażenie, że pierś zapada mi się do środka. Rozpaczliwie usiłuję nabrać powietrza w płuca. Cassius i Mustang odgradzają mnie od Ai.

– Nie waż się go tknąć – syczy Mustang.

Ostrze zaklinowało się między dwoma wzmocnionymi żebrami od Mickeya i chybiło moich głównych organów, ale i tak krwawię jak zarzynane prosię. Czołgam się, próbuję wstać. Szakal śledzi moje ruchy, wyczerpany nieudanymi próbami oswobodzenia się. Mimo leżących wszędzie trupów szczerzy zęby w uśmiechu, bo wie, że Aja mnie zabije. Nieco dalej majączy mi niewyraźnie twarz Octavii: pólży oparta plecami o krawędź holoplatformy, podtrzymywana przez Lysandra, i patrzy. Aja zerka na nią z lękiem. Wie, że Suwerenka długo nie pożyje.

– Jak mogliście przedłożyć go ponad nas? – wykrzykuje pod adresem Mustang i Cassiusa.

– To było łatwe – odpowiada Mustang.

Cassius wyciąga strzykawkę z kabury na udzie i rzuca mi ją przez salę.

– Zrób to, zanim ona nas zabije.

Z trudem staję na nogi. Rozjuszona Aja próbuje się do mnie przebić, ale Mustang z Cassiusem mają jeszcze dość sił, żeby ją powstrzymać. Ryczy sfrustrowana. Wszyscy troje ślizgają się na rozlanej krwi, ale moi przyjaciele nie zdołają długo dotrzymać jej kroku.

Docieram do skraju holoplatformy naprzeciw Suwerenki i wspinam się wyżej, do ciała Sevro.

– Nie uciekniesz! – woła za mną Aja. – Wyłupię ci oczy! Nie masz dokąd uciec, rdzawy tchórze!

Tyle że ja wcale nie uciekam. Na kolanach przypadam do Sevro. Jego pierś jest jednym wielkim bagnem laboratoryjnej krwi i poszarpanej tkaniny po ranach zadanych mu przez Cassiusa. Brzytwą rozcinam mu koszulę. Sześć dziur spogląda mi w oczy z kamizelki bojowej, którą zrobił dla niego Cyther. Strzępy Rzeźbionego ciała wyglądają najzupełniej autentycznie. Twarz Sevro jest spokojna, ale spokój nie leży w jego naturze, a my jeszcze na niego nie zasłużyliśmy.

Odkorkowuję strzykawkę z ukąszeniem węża od Holiday. Wystarczy, żeby obudzić umarłego, nawet takiego, który udaje sen wieczny po wypiciu koktajlu Narola z wyciągu z hemantusa. Ściągam mu kamizelkę.

– Pobudka, Goblinie.

Podnoszę wysoko strzykawkę, modląc się w duchu, żeby jego serce to wytrzymało, i dżgam go igłą głęboko w pierś.

Gwałtownie otwiera oczy.

– Kuuuuuurwa...

Omnis vir lupus

Wybudzony raptownie ze śpiączki wywołanej działaniem olejku z heman-tusa w piersiówce, z której popijał przed tym, jak uwolniliśmy Cassiusa, wymachuje ramionami, zrywa się na równe nogi i toczy dokoła szalonym wzrokiem. Drżącymi dłońmi łapie się za serce i dyszy ciężko, tak jak ja, kiedy Trigg i Holiday wyciągnęli mnie z więzienia.

Ostatnią rzeczą, jaką widział, była moja twarz w pierdłu, a teraz budzi się tutaj, w środku bitwy, wśród krwi i ciał zaścielających podłogę. Gapi się na mnie wybałuszonymi, przekrwionymi oczami. Wskazuje na mój brzuch.

– Ty krwawisz, Darrow! Krwawisz!

– Wiem.

– Co ci się stało w rękę? Kurwa, nie masz ręki!

– Wiem!

– Psiajucha. – Strzela oczami na boki, widzi Szakala przyszpilonego do podłogi, leżącą Octavię, Aję napierającą na Cassiusa i Mustang. – Udało się! Kurwa, udało się! Wstawaj, durna pało, musimy pomóc Złotogłowym. No wstawaj!

Pomaga mi wstać, wpycha mi brzytwę w dłoń i puszcza się biegiem w stronę holoplatformy, wydając przy tym makabryczny okrzyk bojowy, jak dawniej, gdy byliśmy dziećmi wśród oszronionych sosen.

– Aja! Zabiję cię! Zabiję cię jak psa!

– To Barca! – drze się Szakal. – Barca żyje!

Sevro w biegu zabiera nieżywemu pretorianinowi pięść impulsową, trątuje młodego arcygubernatora, depcze mu po twarzy i nie zatrzymując się, wyrywa przybijając go do ziemi brzytwę. I od razu rzuca się na Aję, oszołomiony narkotykiem i zapachem bliskiego zwycięstwa.

Najpierw strzela z pięści impulsowej. Ładunek rozpływa się po tarczy Ai, obrysowuje szkarłatem jej sylwetkę i oślepia ją na tyle, że Cassiusowi udaje się wreszcie przebić przez jej zasłonę. W ostatniej chwili Aja skręca

całe ciało i brzytwa trafia ją tylko w bark, ale wtedy dopada ją Sevro i dźga dwa razy od tyłu na wysokości krzyża. Aja stęka z bólu. Cofa się. Włączam się do walki. Aja zatacza się w tył, zostawiając po sobie coś, co niewielu ludzi miało okazję zobaczyć: wąską strużkę krwi. Krew została też na broni Sevro, który przesuwając teraz palcami po ostrzu i rozciera ją w palcach.

– Ha, ha, ha! Patrzcie państwo! A więc jednak krwawisz. Przekonajmy się, ile tej juchy jeszcze w tobie siedzi.

Ugina kolana, kuli się jak zwierzę przed skokiem i skrada się w jej stronę. Mustang, Cassius i ja osaczamy ją. Razem tworzymy czworobok wokół największego z żyjących Rycerzy Olimpijskich, niczym sfora wilków, które dopadły leśną panterę: odskakują, kiedy ta atakuje, kłapią ją w zad, orzą zębami boki. Czeka ją, aż się wykrwawi. Jesteśmy czteroosobową klatką.

Sevro ze świstem tnie brzytwą powietrze i wyje jak potępieniec.

– Zamknij się! – warczy Aja i usiłuje go dosięgnąć.

Sevro tanecznym ruchem unika jej cięcia, a my z Cassiusem jednocześnie robimy wypad, próbując ją trafić. Aja paruje wymierzony w szyję cios Cassiusa, podobnie jak jego dwa kolejne ataki, ale mojego ruchu nie zdąży już skontrolować. Pozoruję pchnięcie w brzuch i zamiast tego tnę ją po piszczelu, przerywając po drodze metal. Sypią się skry, moje ostrze pokrywa się krwią. Mustang trafia w łydkę. Odskakuję pośpiesznie, bo Aja odwraca się do cięcia, ale odsłania się przy tym, dzięki czemu Sevro może znów zaatakować – i tak właśnie robi: zajadłym chłapieniem przecina jej ścięgno Achillesa w prawej nodze. Aja stęka ciężko, potyka się, próbuje riposty. Sevro bez wysiłku jej unika.

– Umrzesz – syczy złowieszczco. – Zaraz umrzesz.

– Zamknij się!

– To za Quinn – warczy Sevro, kiedy Cassius podcina jej ścięgno pod lewym kolaniem.

– Za Ragnara. – Pchnięciem od dołu przeszywam jej prawe udo.

– Za Marsa. – Mustang obcina jej rękę w łokciu.

Aja patrzy na leżącą na ziemi odciętą kończynę takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy ta należy do niej.

Nie dajemy jej ani chwili wytchnienia. Sevro odrzuca pięść impulsową, podnosi leżącą na ziemi brzytwę Rycerza Prawdy, wybija się wysoko w powietrze i wbija obie klingi w pierś Ai. Zawisa dobrą stopę nad

posadzką, twarzą w twarz z wrogiem, tak że niemal stykają się nosami. Dopiero kiedy Aja osuwa się na kolana, Sevro znów staje na ziemi.

– *Omnis vir lupus.*

Całuje Aję w czubek nosa, wyszarpuje brzytwy z jej piersi i owija je sobie na przedramionach. Z wyciągniętymi rękami odsuwa się od umierającego Rycerza Zmiany, najlepszej fechtmistrzyni swojej epoki, która właśnie wykrwawia się na zimną posadzkę. Klęcząc, Aja zwraca jeszcze pozbawiony nadziei wzrok na Suwerenkę, kobietę, która stała się matką dla jej siostr, wychowała ją samą i pokochała, jak tylko ktoś rządzący całym Układem Słonecznym może pokochać – a teraz umiera razem z nią.

– Przepraszam... moja pani. – Oddech świszczy jej wilgotno w piersi.

– Nie przepraszaj – udaje się wykrztusić Octavii. – Płonęłaś jasnym blaskiem, moja Furio. Czas... cię zapamięta.

– Eee tam – odpowiada Sevro bez cienia litości. – Wątpię. Dobrej nocy, Grimmus.

Ścina Ai głowę i kopie ją w pierś. Ciało chwieje się przez chwilę, zanim w końcu przewraca się na ziemię. Sevro wskakuje na nie na czworakach i głośno wyje. Ten odrażający widok wydobywa głęboki jęk z piersi Suwerenki, która zamyka oczy i roni łzy.

Ruszamy do niej i Lysandra. Cassius i ja utykamy w jednym rytmie; obejmuje mnie ramieniem, żeby odciążyć niewładną nogę. Mustang idzie za nami. Sevro pilnuje Szakala: siada mu na klatce piersiowej i bawi się trzymaną nad jego głową brzytwą.

Lysander – cały we krwi babki – podnosi jej leżącą obok brzytwę i staje nam na drodze.

– Lysandrze... nie – powstrzymuje go Octavia. – Za późno.

Oczy chłopca są opuchłe od płaczu. Brzytwa drży w jego dłoniach.

Cassius występuje naprzód i wyciąga rękę.

– Rzuć broń, Lysandrze. Nie chcę cię zabijać.

Patrzymy z Mustang po sobie. Octavia to zauważa, jej dusza pewnie aż drży. Lysander wie, że nie może z nami walczyć. Rozsądek bierze w nim górę nad żałobą: odrzuca brzytwę, cofa się i obserwuje nas z twarzą bez wyrazu.

Suwerenka patrzy w dal, jej oczy mrocznieją, jest już w pół drogi do tego drugiego świata, w którym nie ma żadnej władzy. Spodziewałem się z jej strony złośliwości na koniec, może błagać jak u Vixusa i Antonii, ale nawet teraz nie okazuje cienia słabości. Zostały tylko smutek i miłość. Nie

stworzyła hierarchii, ale podczas swoich rządów stała na jej straży i musi ponieść za to odpowiedzialność.

– Dlaczego? – pyta Cassiusa, wstrząsana żalem. – Dlaczego?

– Dlatego, że kłamałaś.

Bez słowa wyjmuję z pasa amunicyjnego małą holoKostkę, piramidkę wielkości kciuka, i wkłada ją w zakrwawione ręce Suwerenki. Obrazy tańczą przez chwilę na ścianach, a potem wznoszą się w powietrze ponad dłońmi Octavii. Oblewa ją niebieskawa poświata scen śmierci rodziny Cassiusa. Cienie sunące przez salę przeobrażają się w ludzi w skarabSkórach. W przedpokoju ścinają jego ciotkę, przechodzą dalej i znikają, a kiedy pojawiają się ponownie, wloką za sobą dzieci, które następnie mordują za pomocą brzytw i butów. Ściągają więcej ciał, składają je na stos i podpalają go. Nikt nie może ująć z życiem. Tamtej nocy zginęło ponad czterdzieścioro dzieci i nie-Naznaczonych członków rodu. Myśleli, że zrzucą brzemie grzechu na barki upadłego człowieka, ale to było dzieło Szakala. To on położył kres wojnie Bellony z Augustusami. Współpraca i milczenie Suwerenki były jego ceną za mój Triumf.

– Pytasz dlaczego? – Głos Cassiusa jest niewiele głośniejszy od szeptu. –

Dlatego, że nie masz krzty honoru. Jako Rycerz Olimpijski przysięgałem stać na straży Porozumienia i sprawiedliwości we Wspólnocie Ludzkości. Złożyłaś tę samą przysięgę, Octavio, ale zapomniałaś, co oznacza. Wszyscy zapomnieli. To dlatego ten świat wali się w gruzy. Może następny będzie lepszy.

– To najlepszy świat, na jaki nas stać – szepcze Suwerenka.

– Naprawdę w to wierzysz? – wtrąca Mustang.

– Całym sercem.

– Wobec tego żal mi cię.

Cassius podziela jej uczucie.

– Moim sercem był mój brat – mówi. – Nie wierzę już w świat, w którym był za słaby, by zasługiwać na życie. Ale w ten nowy mógłby wierzyć. Mógłby żywić nadzieję na coś nowego. – Spogląda na mnie. – I dla Juliana ja też mogę w to uwierzyć.

Podaje mi dwie inne holoKostki, również wyjęte z zasobnika przy pasie. Pierwsza przedstawia morderstwo moich przyjaciół podczas mojego Triumfu. Druga jest przeznaczona dla Obrzeża: kiedy zobaczą to nagranie, dowiedzą się, że zadałem cios w ich imieniu. Polityka nigdy nie śpi. Wkładam obie kostki w dłonie Suwerenki. Rozświecła się obraz Rei: błękitno-

biały księżyc prezentuje się cudownie obok swoich braci, Japeta i Tytana krążących wokół ogromnego Saturna. Nad jej biegunem północnym widać kilka ledwie zauważalnych, niewinnych rozbłysków, a potem na powierzchni rozkwitają ogniste grzyby.

Nuklearny ogień płonie w oczach Suwerenki. Mustang odsuwa się trochę, żebym mógł przykucnąć obok umierającej. Mówię zniżonym głosem, żeby wiedziała, że to sprawiedliwość, nie zemsta, upomniała się o nią na koniec.

– Wśród mojego ludu istnieje legenda o strażniku stojącym okrakiem ponad drogą prowadzącą w zaświaty. Ma oddzielić nikczemników od ludzi dobrych. Nazywamy go Żniwiarzem. Nie jestem nim, jestem zwykłym człowiekiem. Ty jednak wkrótce go spotkasz. A on osądzi cię za wszystkie popełnione grzechy.

– Grzechy? – Octavia kręci głową. Spuszcza wzrok na trzy tańczące w jej rękach holoprojekcje, trzy krople w oceanie grzechów. – To ofiary, których złożenie było niezbędne do rządzenia. – Zaciska dłonie. – Są moje, tak samo jak moje są zwycięstwa. Przekonasz się. Będiesz taki sam, Zdobycwo.

– Nie będę.

– Kiedy zabraknie słońca, zostanie tylko ciemność.

Dygocze. Marznie. Powstrzymuję odruch, by czymś ją okryć. Wie, co teraz nastanie: po jej śmierci rozpoczną się zmagania o sukcesję, które podzielią Złoty.

– Ktoś... musi rządzić. Bo jeśli nie, to za tysiąc lat od dzisiaj dzieci będą pytały: Kto zniszczył światy? Kto zgasił światło? A rodzice powiedzą im, że to byłeś ty.

Ale ja już to wiem, wiem, odkąd zapytałem Sevro, jak to się skończy. Nie dopuszczę do tego, by chaos zastąpił tyranię. Ład musi zostać zachowany, choćby opierał się na kompromisie. Nie mówię jej tego jednak. Z wysiłkiem przełyka ślinę, walczy o każdy oddech.

– Posłuchaj mnie... Musisz go powstrzymać. Musisz... powstrzymać Adriusa...

To ostatnie słowa Octavii au Lune. Kiedy wybrzmiewają, płomień Rei w jej oczach stygną i życie zostawia po sobie wpatrzoną w dal zimną źrenicę w złotej obwódce. Zamykam jej oczy, zmrożony jej odejściem, jej słowami, jej strachem.

Suwerenka, która przez sześćdziesiąt lat stała na czele Wspólnoty, nie żyje.

Mnie zaś ogarnia zgroza, bo słyszę, że Szakał zaczyna się śmiać.

Milczenie

Całe pomieszczenie zdaje się dygotać od jego śmiechu. Twarz ma bladą w świetle holograficznych obrazów Luny i kosmicznych flot zmagających się w ciemności. Mustang wyłączyła transmisję i zaczyna oglądać centrum informacyjne Suwerenki. Cassius podchodzi do Lysandra.

Prostuję się znad zwłok Octavii. Moje ciało płonie bólem ran.

– O co jej chodziło z tym powstrzymaniem go? – pyta Cassius.

– Nie wiem.

– Lysandrze?

Chłopiec, wstrząśnięty niedawną makabrą, nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

– Transmisja poszła do statków i na planety – odzywa się Mustang. – Ludzie oglądają śmierć Octavii. W eterze panuje zamęt. Nikt nie wie, kto teraz rządzi. Musimy działać natychmiast, zanim ktoś skrzyknie ich pod swoje sztandary.

We dwóch z Cassiusem podchodzimy do Szakala.

– Co zrobiłeś? – pyta go Sevro. Potrząsa nim. – Co miała na myśli?

– Zabierz swojego pieska – mówi Szakal, przygnieciony jego kolanami.

Odciągam Sevro, który zaczyna krążyć wokół nas. Wciąż jeszcze wibruje od adrenaliny.

– Co zrobiłeś? – pytam.

– Nie ma sensu z nim rozmawiać – mówi Mustang.

– Nie ma sensu? A jak myślicie, dlaczego Suwerenka mnie do siebie dopuściła? – pyta Szakal. Podnosi się z podłogi, klęka na jedno kolano, przyciska zranioną rękę do piersi. – Dlaczego nie bała się mojego miotacza? Czyżby inne, większe zagrożenie trzymało ją w szachu?

Spogląda na mnie spod opadających na oczy zmierzwionych włosów. Mimo całej niedawnej jatki wzrok ma zupełnie spokojny.

– Pamiętam, jakie to uczucie znaleźć się pod ziemią, Darrow – cedzi słowa. – Dotyk zimnego kamienia. Moi pobratymcy z domu Plutona, kulący się wokół mnie w ciemności. Para z ich oddechów, kiedy na mnie patrzą. Pamiętam, jak bardzo bałem się wtedy, że nie dam rady; jak długo musiałem się przygotowywać; jak bardzo ojciec mnie nie doceniał. W tych paru krótkich chwilach przypomniałem sobie całe moje życie, które właśnie mi się wymykało. Uciekliśmy z zamku przed żołnierzami Wulkanu. Zaatakowali błyskawicznie, chcieli nas zniewolić. Ostatni z naszego domu byli jeszcze w tunelu, kiedy zdetonowałem miny. Ale tak samo byli w nim ci od Wulkanu. Słyszałem w głowie głos ojca: nie był zaskoczony, że tak szybko zawiodłem. Upłynął tydzień, zanim zabiliśmy dziewczynę i zjedliśmy jej nogi. Błagała, żebyśmy tego nie robili, żebyśmy wzięli kogoś innego. Wtedy się nauczyłem, że jeśli nikt się nie poświęci, nikt nie przeżyje.

Wzbiera we mnie lodowaty strach, rodzi się głęboko w trzewiach i rozlewa ku górze.

– Mustang...

– Są tutaj – mówi ze zgrozą Mustang.

– O co chodzi? – nie rozumie Sevro. – Co jest tutaj?

– Darrow... – szepcze Cassius.

– Na Marsie nie ma bom atomowych – mówię. – Są tu, na Lunie.

Szakał uśmiecha się jeszcze szerzej. Powoli wstaje na nogi. Nikt z nas nie waży się go tknąć. Wszystko składa się w całość. Napięcie pomiędzy nim i Suwerenką. Subtelne groźby. Śmiałość, z jaką wszedł do jej matecznika. Jego bezkarne drwiny z Ai.

– Ożeż kurwa. – Sevro łapie się garścią za włosy. – Kurwa. Kurwa. Kurwa.

– Nigdy nie chciałem zbombardować Marsa – odzywa się Szakał. – Urodziłem się tam. To moje dziedzictwo, moja nagroda, źródło wszystkiego. Wydobywany na nim hel to krew imperium. A Luna? Ten szkielet udający planetę? Jest jak sama Octavia, zdradziecka stara wiedźma, która wysysa szpik Wspólnoty i rozwodzi się nad tym, co było, zamiast nad tym, co może być. Octavia pozwoliła mi wziąć Księżyc na zakładnika. I ty zrobisz to samo, bo jesteś słaby i nie przyswoiłeś sobie ważnej lekcji w Instytucie: triumf wymaga poświęceń.

– Mustang? Możesz znaleźć te bomby? – pytam. – Mustang!

– Nie. – Stoi oniemiała. – Na pewno zamaskował ich sygnatury radiacyjne. Zresztą nawet gdybyśmy je znaleźli, nie zdołalibyśmy ich rozbroić...

Sięga po nadajnik, żeby powiadomić naszą flotę.

– Jeżeli się z nimi skontaktujesz, będę detonował ładunki co minutę – zapowiada Szakal. Stuka się po uchu, w które ma wszczepiony malutki nadajnik. Sugeruje, że Lilath wszystko słyszy. Jest jego polisą ubezpieczeniową. – Serio? Zdradziłbym wam swój plan, gdybyście mogli go pokrzyżować? – Przygląda włosy i wyciera krew ze zbroi. – Bomby zostały podłożone wiele tygodni temu. Syndykat je dla mnie przeschmugłował; zapłaciłem im za to. Jest ich dość, żeby wywołać tu nuklearną zimę. Zrobić drugą Reę. Po ich zainstalowaniu powiadomiłem Octavię i przedstawiłem swoje warunki. Miała rządzić jako Suwerenka do czasu zdławienia Powstania. Wypadki... przybrały niespodziewany obrót, jak widać, ale w dniu zwycięstwa miała zwołać posiedzenie senatu, abdykować i wskazać swojego następcę na Tronie Poranka. W zamian obiecałem nie zniszczyć Luny.

– To po to Octavia zebrała senatorów? – odzywa się zdeglustowana Mustang. – Żebyś ty mógł zostać Suwerenem?

– Tak.

Odsuwam się. Czuję w kościach znużenie po walce, słabość przenika całe moje ciało, straciłem mnóstwo krwi, a teraz jeszcze... takie zło. Egoizm Szakala jest obezwładniający.

– Jesteś szurnięty, psiajucha – orzeka Sevro.

– Bynajmniej – oponuje Mustang. – Gdyby był szalony, mogłabym mu wybaczyć. Adriusie, na Lunie są trzy miliardy ludzi. Nie chcesz być takim człowiekiem.

– Mój los jest im obojętny. Dlatego ja miałbym się nimi przejmować? To gra. A ja wygrałem.

– Gdzie są bomby? – pyta groźnie Mustang i robi krok w jego stronę.

– Nawet o tym nie myśl. Jeśli choć jeden włos spadnie mi z głowy, Lilath zdetonuje któryś ładunek.

– To są ludzie – mówi Mustang. Jest wściekła. – Możesz ofiarować życie trzem miliardom ludzi. To władza, o jakiej nikt nie mógłby nawet śnić. Możesz być lepszy od ojca, lepszy od Octavii...

– Ty protekcyjna suko. – Szakal z niedowierzaniem parska śmiechem. – Tobie się naprawdę wydaje, że wciąż możesz mną manipulować. Ta pójdzie na twoje konto. Lilath, odpal bombę na południu Mare Serenitatis.

Patrzemy na hologram Luny nad naszymi głowami. Wbrew wszystkiemu mamy nadzieję, że Szakal jednak blefuje; że może jakimś cudem jego transmisja nie dotrze do adresatki. Wtedy jednak na zimnym obrazie

rozbłyska czerwony punkcik i rozlewa się coraz szerzej: maleńka, niemal nic nieznacząca animacja obejmująca dziesięć kilometrów miasta.

Mustang doskakuje do komputera.

– Wybuch nuklearny – mówi szeptem. – W tym rejonie żyje ponad pięć milionów ludzi.

– Żyło – poprawia ją Szakal.

– Ty świrze... – Sevro z rykiem rzuca się na niego. Cassius staje mu na drodze i go odpycha. – Zejdź mi z drogi!

– Uspokój się, Sevro.

– Ostrożnie, Goblinie! – upomina go Szakal. – Są ich setki.

Przytłoczony Sevro łapie się za żebra. Serce szarpie mu się w piersi po narkotykach.

– Co robimy, Darrow?

– Słuchacie mnie – odpowiada Szakal.

Zmuszam się, żeby zadać to pytanie:

– Czego chcesz?

– Czego chcę? – Kawalkiem materiału owija krwawiącą rękę, pomagając sobie zębami. – Chcę, żebyś stał się tym, kim zawsze pragnąłeś zostać; tym, kim stała się twoja żona, Darrow. Męczennikiem. Zabij się. Tu i teraz. Na oczach mojej siostry. Ocalisz trzy miliardy istnień. Nie o tym zawsze marzyłeś? Żeby być bohaterem? Ty umrzesz, ja zostanę mianowany Suwerenem. Zapanuje pokój.

– Nie – mówi Mustang.

– Lilath, następna bomba. Mare Angius.

Na ekranie rozkwita kolejny czerwony punkt. Atomowy ogień przynosi zagładę milionom.

– Przestań! – woła Mustang. – Adriusie, proszę cię!

– Właśnie zabiłeś sześć milionów ludzi – stwierdza Cassius. Nie rozumie.

– Pomyślą, że to nasza robota – szydzi Sevro.

– Każda bomba wygląda jak element inwazji – potwierdza Szakal. – Oto twoja spuścizna, Darrow. Pomyśl o dzieciach, które w tej chwili płoną żywcem, o ich krzyczących matkach... Pomyśl, ile z nich mógłbyś uratować. Wystarczy pociągnąć za spust.

Przyjaciele patrzą na mnie, ja jednak jestem daleko od nich. Wsłuchuję się w skowyt wiatru w tunelach w Lykos. Czuję zapach rosy na przekładniach o poranku. Wiem, że Eo będzie na mnie czekać, kiedy wrócę do

domu, tak jak czeka na mnie teraz na końcu brukowanej drogi, razem z Narolem, Paxem, Ragnarem, Quinn, a także – mam nadzieję – Roque'em, Lornem, Tactusem i pozostałymi. Śmierć nie byłaby wtedy końcem, tylko początkiem czegoś nowego. Muszę w to wierzyć. Jednak po mojej śmierci Szakał zostałby tutaj, w tym świecie, zyskałby władzę nad tymi, których kocham, i nad wszystkim, o co walczyłem. Zawsze spodziewałem się, że umrę przed końcem, ale moi przyjaciele tchnęli we mnie miłość, na nowo nasączyli moje kości wiarą. Sprawili, że chcę żyć. Chcę budować.

Kiedy Mustang patrzy na mnie szklistym wzrokiem, wiem, że chce, bym wybrał życie – i że nie wyręczy mnie w dokonaniu tego wyboru.

– Darrow? Jak brzmi twoja odpowiedź?

– Nie.

Uderzam go w krtani. Chrypi. Nie może oddychać. Przewracam go i siadam na nim okrakiem, kolanami przyszpilając mu ręce do ziemi. Jego głowa tkwi między moimi nogami. Wciskam mu rękę do ust. Toczy dzikim wzrokiem. Wierzga. Jego zęby zdzierają mi skórę z kłykci. Płyń krew.

Kiedy poprzednio go tak unieruchomiłem, wybrałem niewłaściwą broń. Czymże są dłonie dla takiej kreatury jak on? Całe zło, wszystkie swoje kłamstwa Szakał tka i plecie językiem. Dlatego chwytam ten język w swoją dłoń piekłonurka i ściskam kciukiem i palcem wskazującym jak małą żmiję jaskiniową, którą w istocie jest.

– Ta historia zawsze tak właśnie miała się zakończyć, Adriusie – mówię.
– Nie twoim krzykiem, nie twoją furją. Twoim milczeniem.

I mocnym szarpnięciem wyrywam mu język.

Wrzeszczy. Buchająca z kikuta krew wzbiera i bulgocze mu w gardle. Chlusta na wargi. Szakał rzuca się, miota, zawodzi głośno. Odpycham się od niego i wstaję, posępny i gniewny. Trzymam w ręce krwawy strzęp ciała mojego wroga. Czuję przewalającą się przeze mnie falę nienawiści, widzę oszołomione spojrzenia towarzyszy. Zostawiłem mu w uchu moduł łączności, żeby Lilath słyszała jego lamenty.

Podchodzę do holoprzyrządów i wywołuję okręt Victry. Pojawia się jej twarz. Jej oczy rozszerzają się na widok mojej miny.

– Darrow... ty żyjesz... – udaje jej się wykrztusić. – Sevro... bomby atomowe...

– Musicie zniszczyć *Lwa Marsa* – tłumaczę jej. – Lilath detonuje bomby rozłokowane na powierzchni; są ich setki, poukrywane w miastach. Rozwalcie ten okręt!

– Zajmuje pozycję w samym środku szyku – oponuje Victra. – Stracimy flotę, próbując się do niego przebić. To potrwa wiele godzin i wcale nie musi się udać.

– Możemy zakłócić ich sygnał? – pyta Mustang.

– Nie.

– Może impuls elektromagnetyczny? – sugeruje Sevro, stając za moimi plecami.

Victra rozpromienia się na jego widok, ale kręci głową.

– Mają ekranowanie – wyjaśnia.

– Porażcie impulsem bomby, usmażycie im odbiorniki – mówię. – Zrzućcie Żelazny Deszcz i walcie impulsami w miasto, do skutku.

– Mamy wtrącić trzy miliardy ludzi w średniowiecze? – wtrąca Cassius.

– Urządzą nam rzeź – odpowiada Victra. – Nie możemy zrzucić Deszczu, stracimy całą armię. A Złoci i tak zachowają Lunę.

Eksploduje trzecia bomba, tym razem bliżej bieguna południowego. Potem czwarta, na równiku. Znamy konsekwencje tych wybuchów.

– Lilath nie wie, co dokładnie stało się z Adriusem – zauważa Cassius. – Jak bardzo jest lojalna? Zdetonuje wszystkie ładunki?

– Nie, dopóki Szakal jeszcze kwili – odpowiadam.

Taką przynajmniej mam nadzieję.

– Przepraszam bardzo... – rozlega się cienki głosik.

Odwracamy się do stojącego za nami Lysandra. W całym tym piekle zupełnie o nim zapomnieliśmy. Oczy ma przekrwione od płaczu.

Sevro podnosi pięść impulsową, żeby do niego strzelić. Cassius zbija mu rękę w bok.

– Wywołajcie mojego ojca chrzestnego – mówi dzielnie Lysander. – Pana Popiołów. Jest rozsądny. Zrozumie.

– Już to widzę... – mruczy Sevro.

– Właśnie zabiliśmy Suwerenkę i jego córkę – przypominam. – Pan Popiołów...

– Zniszczył Reę – dopowiada Lysander. – Owszem. I to wspomnienie go prześladowa. Wywołajcie go, on wam pomoże. Moja babka tego by właśnie chciała. Luna to nasz dom.

– Chłopak ma rację. – Mustang odpycha mnie od pulpitu. – Przesuń się, Darrow.

Zamknęła się w tej swojej sferze koncentracji, nie jest w stanie wyrazić swoich myśli, kiedy otwiera bezpośrednie kanały łączności z pretorami Zło-

tej floty. Górujący nad nami mężczyźni i kobiety wyrastają dookoła jak srebrzyste duchy, pośród trupów ludzi, których śmierć oglądali przed chwilą. Ostatni zjawia się Pan Popiołów z twarzą wykrzywioną gniewem. Jego córka i zwierchniczka zginęły z naszych rąk.

– Bellona – mruczy ponuro. – Augustus. – Dostrzega Lysandra. – Czy nie dość...

– Ojczy chrestny, nie pora na przerzucanie się oskarżeniami – wchodzi mu w słowo chłopiec.

– Lysandrze...

– Wysłuchaj ich, proszę. Od tego zależą losy naszego świata.

Mustang wychodzi naprzód.

– Pretorzy floty – zaczyna, podnosząc głos. – Panie Popiołów. Suwerenka nie żyje. Wybuchy jądrowe, które niszczą nasz dom, nie są skutkiem użycia broni przez Czerwonych. Bomby pochodzą z waszego arsenału, wykradzonego przez mojego brata. Lilath, jego pretorka, z mostka *Lwa Marsa* nadzoruje detonację ponad czterystu głowic bojowych. Dopóki żyje, eksplozje będą trwały. Aureusowie, macie wybór: zmiana albo unicestwienie. Decyzja należy do was.

– Zdrajczynie... – syczy jeden z pretorów.

Lysander opuszcza holopłatformę i podchodzi do stołu, przy którym wcześniej siedział. Bierze do ręki berło Suwerenki i wraca z nim do Mustang. Pretorzy prześcigają się w groźbach.

– Nie jest zdrajczynią – odzywa się chłopak i wręcza jej berło. Ma na rękach krew babki. – Jest naszą zdobywczynią.

Bądź pozdrowiona

Lew Marsa ginie nędną śmiercią, ostrzelany ze wszystkich stron przez lojalistów i rebeliantów pospołu. Widok Luni wstrząsanej wybuchami jądrowymi ugasił trawiącą obie floty żądzę krwi skuteczniej niż wszystkie wcześniejsze pokoje i rozejmy. Mało kto lubi patrzeć, jak piękno płonie – lecz ono płonie mimo to. Zanim udaje się uśpić *Lwa*, wybucha jeszcze ponad tuzin bomb, które wyrzynają nowe miasta z ognia i popiołu pośród tych ze stali i betonu. Na Lunie wybucha zamęt.

Podobnie jak w armadzie Złotych. Wieści o śmierci Suwerenki i detonacji bomb rozchodzą się, cała Wspólnota drży. Zamożni pretorzy zabierają prywatne okręty, pomału wykruszają się z szyku i lecą do domu – na *Wenus*, *Merkurego*, *Marsa*. Nie trzymają się razem, bo nie wiedzą, jak rozwinie się sytuacja. *Octavia* rządziła przez sześćdziesiąt lat. Większość z nich nie znała innego Suwerena. Nasza cywilizacja znalazła się na krawędzi upadku. Na Lunie zaczyna brakować prądu, panika i zamieszki rozlewają się coraz szerzej.

Przygotowujemy się do opuszczenia azylu Suwerenki. Jest tu statek ewakuacyjny, ale nie uciekniemy od tego, co zrobiliśmy. Wyrwaliśmy Wspólnocie serce. Jeżeli teraz odejdziemy, co zajmie jego miejsce?

Od początku wiedzieliśmy, że sama siła militarna nie powoli nam zdobyć Luni – tylko że my nigdy nie mieliśmy takiego zamiaru. Tak jak *Ragnar* nie zamierzał walczyć do momentu, w którym *Złoci* zostaną wybici w pień. Wiedział, że *Mustang* jest kluczem. Zawsze nim była. Dlatego położył na szali nasze życie i uwolnił *Kavaxa*. *Mustang* stoi teraz pod hologramem poranionej Luni i nie mniej uważnie ode mnie wsłuchuje się w bezgłośne krzyki miasta. Podchodzę do niej.

– Jesteś gotowa?

– Co? – Kręci głową. – Jak on mógł to zrobić?

– Nie wiem – przyznaję – ale naprawimy to.

– Niby jak? Przecież to istne pandemonium, dziesiątki milionów zabitych, zniszczenia...

– Wszystko odbudujemy. Razem.

Na te słowa odczuwa przypływ nadziei, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, gdzie jesteście. Co zrobiliśmy. Żyjemy i jesteście razem. Mruga szybko powiekami i uśmiecha się do mnie. Spogląda na moją prawą rękę, pozbawioną teraz dłoni, a potem dotyka mojego brzucha, w który dźgnęła mnie Aja.

– Dlaczego jeszcze stoisz na nogach?

– Dlatego, że to jeszcze nie koniec.

Poobijani i zakrwawieni dołączamy do Cassiusa, Lysandra i Sevro przy drzwiach. Cassius wprowadza kod, który ma je otworzyć, ale nagle nieruchomieje i węszy w powietrzu.

– Co tak śmierdzi?

– Fakt – przyznaję. – Zalatuje szambem.

Sevro wpatruje się natarczywie w zabrane Ai brzytwy; jedna z nich należała do Lorna.

– To chyba zapach zwycięstwa – mówi.

– Zesrałeś się w gacie? – Cassius patrzy na niego spod zmrużonych powiek. – Nie no, naprawdę. Zesrałeś się.

– Sevro... – zaczyna Mustang.

– To mimowolna reakcja mięśniowa na sfingowaną egzekucję i połknięcie ogromnej ilości olejku z hemantusa! – odwarkuje Sevro. – Myślisz, że zrobiłbym coś takiego celowo?

Patrzymy z Cassiusem po sobie.

– Być może. – Wzruszam ramionami.

– Prawdę mówiąc...

Sevro pokazuje nam krzyżyk, krzywi się i natęża tak bardzo, jakby miał zaraz eksplodować.

– Co jest? – dziwię się. – Czy ty dalej...

– Nie! – Rzuca we mnie swoją manierką. – Wstrzyknąłeś mi końską dawkę adrenaliny, kutafonie! Mam zawał! – Ogania się od nas, kiedy rzuca mu się na pomoc. – Już dobrze. Wszystko gra.

Jeszcze przez chwilę rzezi ciężko, w końcu prostuje się z grymasem na twarzy.

– Na pewno wszystko jest pierwszorzędnie? – pyta go Mustang.

– Lewa ręka mi zdrętwiała. Przydałby się pewnie jakiś Żółty.

Parskamy śmiechem. Wyglądamy jak chodzące trupy. Trzymam się na nogach tylko dzięki znalezionym przy pretorianach stymulantach. Cassius utyka jak starzec, ale pilnuje Lysandra po tym, jak odrzucił propozycję Sevro, żeby tu i teraz położyć kres rodowi Lune.

– Chłopak jest pod moją opieką – warknął, dobywając swojej brzytwy.

Obecność dzieciaka legitymizuje nasze poczynania.

– Kocham was wszystkich – mówię, kiedy drzwi z jękiem zaczynają się otwierać. Poprawiam sobie niesionego na ramieniu nieprzytomnego Szakala. Nasze trofeum. – Obojętne, co się wydarzy.

– Cassiusa też? – dopytuje się Sevro.

– Dzisiaj zwłaszcza mnie – potwierdza Cassius.

– Trzymajcie się blisko mnie – poleca nam Mustang i mocniej ujmuje berło.

Otwierają się pierwsze ogromne wrota. Mustang ściska moją dłoń. Sevro aż wibruje ze strachu. Drugie drzwi rozwierają się jak żrenica oka, odsłaniając salę pełną uzbrojonych pretorianów, którzy celują prosto w wyjście z bunkra.

Mustang wychodzi naprzód. W rękach trzyma dwa symbole władzy, po jednym w każdej dłoni.

– Pretorianie! – odzywa się. – Służycie Suwerenowi. Suweren nie żyje. Wschodzi nowa gwiazda.

Idzie w ich stronę, bez wahania zbliża się do najeżonego metalem szyku. Wydaje mi się, że jeden młody Złoty z furią w oczach ma ochotę pociągnąć za spust, ale jego dowódca, stary wiarus, kładzie dłoń na jego broni i spycha lufę w dół.

Rozstępują się przed nią i po kolei opuszczają broń. Cofają się, robią jej przejście. Hełmy znikają w głębi kołnierzy. Nigdy w życiu nie widziałem równie wspaniałej i władczej kobiety. Jest spokojnym okiem cyklonu. Podążamy za nią. W milczeniu wyjeżdżamy ze Smoczej Gardzieli. Towarzyszą nam ponad cztery tuziny pretorianów.

W Cytadeli panuje chaos. Służący plądrują pokoje, strażnicy dwójkami i trójkami schodzą z posterunków, zatroskani o los krewnych i przyjaciół. Obsydianowi, których przybycie zapowiadaliśmy, są jeszcze na orbicie. Sefi przebywa na jednym z okrętów. Nasz podstęp miał jedynie na celu wywabienie ludzi z azylu Suwerenki, ale najwyraźniej wieść się rozniosła. Suwerenka nie żyje. Obsydianowi nadlatują.

W tym zamieszaniu jest tylko jeden przywódca. Idąc przez wyłożoną czarnym marmurem Cytadelę, mijamy posągi Złotych i siedziby ministerstw, a za naszymi plecami przybywa żołnierzy, którzy z głośnym tupotem wojskowych butów skupiają się wokół Mustang, jedynej ostoji władzy i celowości, jaka jeszcze ocalała w tym gmachu. Insignia władzy trzyma wysoko w górze. Ci, którzy pierwsi podnoszą przeciw niej broń, widzą je, zaraz potem dostrzegają mnie, Cassiusa i wzbierającą masę wojska za nami i zdają sobie sprawę, że tego przypływu nie zdołają powstrzymać. Dołączają więc do nas – albo uciekają. Niektórzy próbują do nas strzelać albo atakować małymi oddziałami, żeby zatrzymać nasz pochód, ale zostają wycięci w pień, zanim zbliżą się na dziesięć metrów do Mustang.

Kiedy stajemy przed wielkimi białymi jak kość słoniowa drzwiami do sali senatu, do której pretorianie spędzili wszystkich senatorów, liczebność naszej armii idzie już w setki. Na drodze staje nam wąły szereg pretorianów. Jest ich łącznie dwudziestu.

Elegancki Złoty Rycerz, dowódca tej straży, wychodzi nam na spotkanie. Patrzy na nasze wojsko, widzi zgromadzonych zwolenników Mustang: pretorianów, Obsydianowych, Szarych, mnie. I podejmuje decyzję. Salutuje regulaminowo.

– Mój brat ma w Cytadeli trzydziestu ludzi – mówi do niego Mustang. – Kościarzy. Proszę ich znaleźć i aresztować, kapitanie. A gdyby stawiali opór, zabić.

– Tak jest, lady Augustus.

Kapitan pstryka palcami i oddala się wraz z garstką swoich żołnierzy. Dwaj Obsydianowi wartownicy otwierają nam drzwi. Mustang wkracza do sali senatu.

Pomieszczenie – wznoszący się tarasowato marmurowy lej – jest ogromne. Na dole, pośrodku, znajduje się podwyższenie, z którego Suwren kieruje pracami dziesięciokondygnacyjnej izby. Wchodzimy do sali od strony północnej. Robi się zamieszanie. Setki chytrych ślepi politikosów zwracają się – całkiem słusznie – w naszą stronę. Oglądali transmisję. Widzieli śmierć Octavii i eksplozję niszczące Lunę. Gdzieś wśród nich matka Roque’a wstaje ze swojego miejsca na marmurowej ławie i wyciąga szyję, żeby patrzeć, jak nasza zakrwawiona drużyna ciężkim krokiem schodzi po białych marmurowych stopniach na środek sali. Po obu stronach mijamy stojących senatorów. Milczenie zastępuje okrzyki sprzeciwu. Lysander drepcze za Cassiusem.

Słysząc schrypy, spanikowany oddech przewodniczącego senatu, Różowi asystenci sprowadzają zasuszonego staruszka z podwyższenia, skąd nadzorował sprawę wielkiej wagi: wybory. Tutaj, w samym środku tego zamieszania. A teraz senatorowie wyglądają jak dzieci przyłapane z rękami w słoju z ciasteczkami. Nie spodziewali się, rzecz jasna, że strzegący ich pretorianie przyłączą się do rebeliantów. Ani że bez przeszkód przyjdziemy do nich z bunkra Suwerenki. Stworzyli Wspólnotę strachu, w której wszyscy, mężczyźni i kobiety, muszą podczepić się pod wschodzącą gwiazdę, jeżeli chcą przetrwać. I to wystarczy. To jest ta najprostsza ludzka motywacja, dzięki której nasz przewrót się powiedzie. Stara władczyni odeszła, więc już gromadzą się wokół nowej.

Mustang wchodzi na podwyższenie. My stojemy po bokach. Zrzucam Szakala na podłogę, żeby cały senat zobaczył, co się z nim stało. Jest nieprzytomny i blady, stracił dużo krwi. Mustang spogląda na mnie. Nigdy nie pragnęła tej chwili, ale przyjmuje jej brzemię na barki, tak jak ja przyjąłem ciężar bycia Żniwiarzem. Widzę, jak bardzo ją to martwi; będzie mnie potrzebować, tak jak ja potrzebowałem jej. Ja jednak nigdy nie mógłbym zająć jej miejsca, nie mógłbym trzymać w rękach tego co ona. Senatorowie nigdy by się z tym nie pogodzili. To by ich zniszczyło. Tak jak ja jestem pomostem do podKolorów, ona łączy nas z nadKolorami. Tylko wspólnymi siłami możemy zjednoczyć tych ludzi. Tylko razem możemy zaprowadzić pokój.

– Senatorowie Wspólnoty – przemawia. – Oto stoję przed wami, Virginia au Augustus, córka Nero au Augustusa z marsjańskiego Domu Lwa. Możecie mnie znać. Sześćdziesiąt lat temu Octavia au Lune stanęła przed wami, trzymając w ręce głowę tyrana i roszcząc sobie prawo do godności Suwerenki Wspólnoty. – Wodzi bystrym wzrokiem po sali. – Dzisiaj to ja stoję przed wami z głową tyranki w dłoni.

Podnosi lewą rękę i pokazuje wszystkim głowę Octavii, jeden z dwóch przedmiotów, które utorowały nam drogę do tego miejsca. Złoci szanują tylko jedną rzecz. Jeżeli mają się zmienić, muszą zostać tą jedną rzeczą okiełznani.

– Stara Epoka przyniosła sercu Wspólnoty zagładę nuklearną. Przez zachłanność Octavii zginęły miliony. Dziś miliony płoną żywcem z powodu zachłanności mojego brata. Musimy ocalić się przed sobą samymi, zanim całe dziedzictwo ludzkości obróci się w popiół. Dzisiaj obwieszczam początek nowej ery. – Patrzy na mnie. – Nowych sojuszków. Nowych zwy-

czajów. Mam poparcie Powstania, floty największych Złotych rodów i Obsydianowej Hordy na orbicie. Daję wam wybór. – Rzuca głowę Octavii na kamienne podwyższenie i podnosi drugą rękę, w której trzyma Berło Świtu: symbol władzy nad Wspólnotą. – Możecie się ugiąć. Albo zostać złamani.

Zapada cisza – głęboka, bezdenna, aż mam wrażenie, że mogłaby pochłonać nas wszystkich i rozpocząć wojnę od nowa. Żaden Złoty nie ugnie się pierwszy. Mógłbym ich do tego zmusić, ale lepiej będzie, jeśli ich wyręczę. Przyklękam przed Mustang. Patrzę jej w oczy, przykładam kikut ręki do serca i daję się ponieść niewyobrażalnej radości tej chwili.

– Niech żyje Suwerenka – mówię.

Cassius klęka. Sevro też. I Lysander au Lune, a wraz z nim pretorianie. A potem jeden po drugim klękają senatorowie, aż zostaje nie więcej niż pięćdziesięciu niepokornych.

– Niech żyje Suwerenka – wołają jednym głosem ci na klęczkach. – Niech żyje Suwerenka!

* * *

Tydzień po wstąpieniu Mustang na tron stoję obok niej. Razem oglądamy egzekucję jej brata. Nie licząc Valii-Rath i około dziesięciu innych, wszyscy Kościarze Szakala zostali wyłapani i straceni. Teraz ich przywódca mija mnie na zatłoczonym placu na Lunie. Włosy ma miękkie jak puch, uczesane. Jest ubrany w więzienny kombinezon limonkowej barwy. Zgromadzone wokół nas podkolory patrzą w milczeniu. Drobnny śnieg prószy z wątych szarych chmur. Dręczą mnie mdłości po lekach przeciwradiacyjnych, ale przyszedłem tu dla niej, tak jak ona przyszła dla mnie na pogrzeb Roque’a. Nic nie mówi, stoi spokojnie obok mnie z twarzą białą jak marmur pod naszymi stopami. Stojący dalej Telemanusowie patrzą beznamiętnie, jak Szakal wchodzi po schodkach metalowego podwyższenia z szubienicą, gdzie czeka już na niego Biała kobieta-kat.

Kobieta odczytuje wyrok. Tłum reaguje szyderstwami. U stóp Szakala rozbija się butelka. Rzucony kamień rozcina mu czoło. On jednak nie uchyla się, nawet nie mrugnie: stoi dumny i próżny, kiedy zakładają mu pętlę na szyję. Żałuję, że nie możemy w ten sposób odzyskać Paxa. Chciałbym, żeby Quinn, Roque i Eo wrócili z martwych, ale ten człowiek odcisnął swoje piętno na świecie. Szakal z Marsa nigdy nie zostanie zapomniany.

Biała kładzie rękę na dźwigni. Na włosach Adriusa zbiera się śnieg. Mustang przełyka ślinę. Zapadnia się otwiera. Na Marsie ciężenie jest mizerne, trzeba wisielca szarpnąć za stopy, żeby złamać mu kark. Pozwalają to zrobić jego najbliższym. Na Lunie grawitacja jest jeszcze słabsza, nikt jednak nie wychodzi z tłumu, mimo że Biała zaprasza chętnych pod szubienicę. Nikt nie kiwa palcem, gdy Szakał wierzga i fioletośnie na twarzy. Patrzę na niego i czuję dziwny spokój, jakbym był milion kilometrów stąd. Nie potrafię mu współczuć. Nie teraz. Nie po tym wszystkim, co zrobił. Wiem jednak, że Mustang mu współczuje. I wiem, że rozdziera ją to na strzępy. Dlatego ściskam lekko jej dłoń i prowadzę ją naprzód. Oszłamiona przechodzi po śniegu i łapie swojego brata-bliźniaka za stopy. Podnosi wzrok, patrzy na niego jak we śnie. A potem szepcze coś, spuszcza głowę i pociąga w dół. Pokazuje mu, że jednak był kochany. Do końca.

Dolina

Minęły tygodnie od zbombardowania Luny i intronizacji Mustang. Świat się zmienił. Zginęły miliony, ale po raz pierwszy pojawiła się nadzieja. Po przemowie Mustang na forum senatu dziesiątki okrętów Złotych zdezerterowały, by przyłączyć się do sił Orion i Victry. Pan Popiołów robił, co mógł, żeby utrzymać jedność swoich ludzi, ale kiedy Luna stała w ogniu, a jego flota pomału się wykruszała, ledwie zdołał zapobiec wpadnięciu własnych jednostek w ręce wroga. Zabrał trzon swojej armady i wycofał się na Merkurego.

Korzystając z jego nieobecności, Mustang zagwarantowała sobie współpracę większości wojska, w szczególności Szarych Legionów i Obsydianowych rycerzy-niewolników. W oparciu o tę siłę polityczną poczyniła pierwsze kroki na drodze do zniesienia Hierarchii Kolorów i osłabienia władzy Złotych nad armią. Senat został rozwiązany, podobnie jak Komisja Kontroli Jakości. Mamy tysiące oskarżonych o zbrodnie przeciw ludzkości. Sprawiedliwość nie dosięgnie ich tak szybko ani tak elegancko jak dosięgła Szakala, ale zrobimy, co w naszej mocy.

Myślałem, że może po śmierci Octavii będę mógł wreszcie odpocząć, ale wrogów wciąż mamy pod dostatkiem. Na Obrzeżu czyhają Romulus i Władcy Księżyców. Pan Popiołów usiłuje przeciągnąć na swoją stronę Merkurego i Wenus. Złoci watażkowie zaczynają sobie wykrawać własne udzielne księstwka. A Luna jest w rozsypce: ogarnięta zamieszkami cierpi z powodu braków żywności i rozlewającego się coraz szerzej skażenia promieniotwórczego. Przetrwa, ale przypuszczam, że zmieni się przy tym nie do poznania – bez względu na obietnice Żywego Srebra, który zarzeka się, że odbudowane miasto będzie wspanialsze niż kiedykolwiek przedtem.

Moje ciało wraca do sił. Mickey i Virany przytwierdzili mi z powrotem dłoń; znalazłem ją na promie, którym Szakał przybył na Lunę. Upłyną jeszcze całe miesiące, zanim będę mógł znowu pisać, nie mówiąc o fechtowa-

niu. Chociaż mam nadzieję, że ta druga umiejętność będzie mi w przyszłości mniej potrzebna.

Kiedy byłem młody, myślałem, że zniszczę Wspólnotę, unicestwię jej obyczaje, zerwę kajdany, a z popiołów powstanie coś nowego i pięknego. Świat tak jednak nie funkcjonuje. Nasze oparte na kompromisie zwycięstwo to najlepsze, na co może liczyć ludzkość. Zmiana nastąpi wolniej, niż chcieliby Dancer i Synowie Aresa, ale nie przyjdzie nam za nią płacić ceny anarchii.

Taką mamy nadzieję.

Sefi wyruszyła na Marsa, by tam – pod nadzorem Holiday – rozpocząć żmudny proces wyzwiania swojego ludu. Uda się na bieguny, niosąc lekarstwa zamiast broni. Pamiętam, jak ponure było jej spojrzenie, gdy na własne oczy zobaczyła jeden z kraterów atomowych pozostawionych przez Szakalą. Tymczasem przyjęła spuściznę brata i zamierza osiedlić się na cieplejszych terenach zarezerwowanych dla jej pobratymców na Marsie. Najchętniej odcięłaby Obsydianowym dostęp do obcych miast, ale w głębi serca zdaje sobie chyba sprawę, że nie zdoła ich kontrolować. Opuszczą swoje więzienia. Ciekawość zwycięży, zaczną się przemieszczać i asymilować. Ich świat nigdy już nie będzie taki sam. Świat mojego ludu również. Niedługo wrócę na Marsa, pomogę Dancerowi poprowadzić migrację Czerwonych na powierzchnię. Wielu zostanie, żeby dalej prowadzić takie życie, jakie znają, ale inni będą mieli szansę zamieszkać pod otwartym niebem.

Pożegnałem się z Cassiusem tuż przed jego odlotem z Luny. Mustang chciała, żeby został i pomógł nam zbudować nowy, sprawiedliwszy system prawny, ale powiedział, że ma dość polityki.

– Nie musisz lecieć – przypominałem mu, kiedy staliśmy razem na lądowisku.

– Poza wspomnieniami nic mnie tu nie trzyma. Zbyt długo żyłem dla innych. Teraz chcę się przekonać, co mógłbym jeszcze robić. Nie możesz mieć o to do mnie pretensji.

– A co z nim? – Kiwnąłem głową na Lysandra, który właśnie wsiadł na pokład statku, taszcząc torbę ze swoimi rzeczami. – Sevro uważa, że oszczędzenie go jest błędem. Jak on to dokładnie powiedział? „To jakbyś podłożył sobie pod fotel jajo żmii jaskiniowej. Prędzej czy później coś się z niego wykluje”.

– A ty co o tym myślisz?

– Myślę, że to jest już inny świat i nasze zachowanie też powinno się zmienić. W żyłach chłopaka płynie nie tylko krew Octavii, lecz także Lorna. Chociaż oczywiście dzisiaj krew już nic nie znaczy.

– Przypomina mi Juliana – odpowiedział z życzliwym uśmiechem mój wysoki przyjaciel. – To dobra dusza, mimo wszystko. Wychowam go jak należy, z dala od tego wszystkiego.

Wyciągnął rękę, nie do pożegnania jednak, tylko żeby oddać mi sygnet, który ściągnął mi z palca tamtego wieczora, gdy zginęli Lorn i Fitchner.

Ująłem jego dłoń i zacisnąłem jego palce na pierścieniu.

– Należy do Juliana – powiedziałem.

Pokiwał lekko głową.

– Dziękuję... bracie.

I tam, na lądowisku w Cytadeli, dawnym ośrodku władzy Złotych, Cassius au Bellona i ja podaliśmy sobie ręce na pożegnanie, niemal dokładnie sześć lat po tym, jak się poznaliśmy.

* * *

Minęły tygodnie. Patrę na rozchlapujące się na brzegu fale. W górze kołuje mewa. Białe grzywacze znaczą ciemną wodę chłoszczącą skalne kolumny przy północnej plaży. Sadzamy z Mustang nasz mały dwuosobowy samolot na wielkim półwyspie na północno-wschodnim wybrzeżu Oceanu Spokojnego, przy skraju lasu deszczowego. Mech porasta kamienie i pnie drzew. Rześkie powietrze jest dostatecznie chłodne, żebym widział swój oddech. To mój pierwszy raz na Ziemi, a mimo to czuję, jakby mój duch wrócił do domu.

– Eo by się tu spodobało, prawda? – pyta Mustang.

Nosi czarny płaszcz z postawionym kołnierzem. Jej nowi pretoriańscy strażnicy siedzą na kamieniach pół kilometra od nas.

– Tak – zgadzam się. – Spodobałoby się jej.

Takie miejsce jak to jest bijącym sercem naszych pieśni. Nie żadna ciepła plaża ani tropikalny raj. Ta dzika kraina jest przepełniona tajemnicą, zazdrośnie strzeże swych sekretów, skrywa je w ramionach mgły i woalach sosnowych igieł. Na jej przyjemności – tak samo jak na zgłębienie tych sekretów – trzeba sobie zasłużyć. Przypomina mi moje dawne sny o Doli-nie. Dym z ogniska, które rozpaliliśmy z wyrzuconego na brzeg drewna, skośnie przecina horyzont.

– Myślisz, że się utrzyma? – pyta Mustang. Patrzy na wodę z naszego miejsca na piasku. – Mówię o pokoju.

– To by było coś nowego.

Krzywi się, opiera o mnie i zamyka oczy.

– Przynajmniej mamy to, co tutaj.

Uśmiecham się i myślę o Cassiusie. Orzeł zniża lot nad falami, po czym wznosi się we mgle i znika wśród drzew rosnących na szczycie jednej z kolumn.

– Zdałem twój test?

– Test?

– Sprawdzasz mnie, odkąd uniemożliwiłaś mi odlecenie z Fobosa. Myślałem, że przeszedłem próbę pomyślnie na lodzie, ale to wcale nie był koniec.

– Zauważyłeś – mówi z lekkim figlarnym uśmiechem. Zaraz poważnieje i odgarnia włosy z oczu. – Przepraszam, że nie potrafiłam po prostu pójść za tobą. Musiałam sprawdzić, czy potrafisz coś zbudować, musiałam się przekonać, czy mój lud będzie mógł żyć w twoim świecie.

– Rozumiem – zapewniam ją – ale to nie wszystko. Coś się zmieniło po tym, jak zobaczyłaś moją matkę i brata. Coś się w tobie otworzyło.

Kiwa głowę, cały czas wpatrzona w wodę.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Spoglądam na nią.

– Okłamywałaś mnie przez prawie sześć lat, od momentu naszego pierwszego spotkania. W tunelu w Lykos zniszczyłaś to, co nas połączyło. Zaufanie. Poczucie bliskości. Poskładanie czegoś takiego w całość wymaga czasu. Musiałam się upewnić, że zdołamy odnaleźć to, co straciliśmy. Nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać.

– Przecież wiesz.

– Teraz tak, ale...

Marszczę brwi.

– Ty drżysz, Mustang.

– Daj mi skończyć. Nie chciałam cię okłamywać, ale nie wiedziałam, jak zareagujesz. Co zrobisz. Czekalam, aż postanowisz stać się kimś więcej niż zabójcą. Nie tylko dla mnie, ale dla kogoś jeszcze.

Przenosi wzrok na błękitne niebo, z którego leniwie opada statek kosmiczny. Dłonią zasłaniam jesienne słońce i też patrzę, jak maszyna obniża lot.

– Będziemy mieli towarzystwo? – pytam ostrożnie.

– Można tak powiedzieć.

Wstaje. Ja również. Wspina się na palce i mnie całuje: długi, łagodny pocałunek każe mi zapomnieć o piasku pod stopami i woni soli i sosen na wietrze. Mustang ma zimny nos i zarumienione policzki. Cały mój przeszły smutek i ból przydają tej chwili wyjątkowej słodczy. Jeżeli cierpienie jest ciężarem istnienia, to miłość jest jego celem.

– Chcę, żebyś wiedział, że cię kocham. Najbardziej na świecie. – Odsuwa się i pociąga mnie za sobą. – No, prawie.

Statek prześlizguje się nad wiecznie zielonym lasem i ląduje na plaży. Składa skrzydła ku tyłowi, jak sadowiący się na gałęzi gołąb. Podmuch z silników wznieca tuman piasku zmieszanego z solą. Brniemy przez piach, Mustang splata palce z moimi palcami. Ze statku rozwija się pochylnia i na plażę wybiega Sofokles. Pędzi prosto w stronę stadka mew. Za nim słychać głos Kavaxa i słodki śmiech dziecka. Potykam się. Zerkam zmieszany na Mustang. Uśmiecha się nerwowo, ale dalej ciągnie mnie za sobą. Ze statku schodzą Kavax z Dancerem, potem Victra i Sevro. Machają do mnie, a później odwracają się i patrzą wyczekująco w górę pochylni.

Dawniej obawiałem się, że nici życia moich przyjaciół strzępią się i niszczą w mojej obecności, ponieważ moja nić jest zbyt mocna. Teraz zdaję sobie sprawę, że spleceni razem tworzymy coś niezniszczalnego, coś, co przetrwa jeszcze długo po zakończeniu tego żywota. Przyjaciele zapełnili pustkę ziejącą w moim sercu po śmierci Eo. Dzięki nim znów stałem się całością. Na pochylni pojawia się moja matka: schodzi razem z Kieranem, żeby pierwszy raz postawić stopę na Ziemi. Wyczuwa woń soli i uśmiecha się tak samo, jak ja się uśmiechnąłem. Wiatr wzburza jej siwe włosy. Oczy ma zaszklone łzami, przepełnione radością, jakiej zawsze pragnął dla niej mój ojciec.

Na rękach niesie roześmiane złotowłose dziecko.

– Mustang? – Głos mi drży. – Kto to jest?

– Darrow... – Mustang odwraca się do mnie i uśmiecha się. – To nasz syn. Ma na imię Pax.

Epilog

Pax urodził się dziewięć miesięcy po Deszczu Lwa, kiedy tkwiłem zamknięty w kamiennym stole Szakala. Bojąc się, że nasi wrogowie zaczną szukać chłopca, jeśli tylko się o nim dowiedzą, Mustang aż do momentu rozwiązania na *Dejah Toris* trzymała swoją ciążę w tajemnicy. Następnie oddała niemowlę pod opiekę żony Kavaxa w Pasie Asteroid i wróciła na front.

Kiedy zamierzała zawrzeć pokój z Suwerenką, robiła to z myślą nie tylko o sobie i swoim ludzie, lecz o swoim synu. Chciała, żeby dorastał w świecie bez wojny. Nie potrafię jej nienawidzić za to, że zataiła przede mną jego istnienie. Bała się – nie tylko tego, że nie mogła mi ufać, ale także tego, że nie mogłem być ojcem, na jakiego nasz syn zasługuje. To dlatego przez cały czas poddawała mnie próbie. Niewiele brakowało, żeby w Tinos powiedziała mi prawdę, ale naradziwszy się z moją matką porzuciła ten zamiar. Matka wiedziała, że kiedy się dowiem, że mam syna, nie będę w stanie zrobić tego, co konieczne.

Moi ludzie potrzebowali miecza, nie ojca.

Teraz zaś pierwszy raz w życiu mogę być jednym i drugim.

Wojna trwa. Ofiary, które ponieśliśmy podczas zdobywania Luny, będą się kładły cieniem na naszym nowym świecie. Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie jestem już teraz sam w ciemnościach. Kiedy pierwszy raz przekroczyłem próg Instytutu, dźwigałem na barkach brzemień świata. Przygniotło mnie. Zmiażdżyło. Ale moi przyjaciele pomogli mi wstać, a teraz każde z nich niesie część snu Eo. Razem możemy stworzyć odpowiedni świat dla mojego syna. Dla przyszłych pokoleń.

Mogę być budowniczym, nie tylko niszczycielem. Eo i Fitchner dostrzeżli to we mnie, kiedy sam tego nie widziałem. Uwierzyli we mnie. Dlatego bez względu na to, czy czekają na mnie w Dolinie, czy nie, czuję ich obecność w sercu i słyszę echo ich głosów niosące się poprzez światy. Widzę ich w moim synu. Gdy podrośnie, posadzę go sobie na kolanach i razem z jego

matką opowiemy mu o gniewie Aresa, sile Ragnara, honorze Cassiusa, miłości Sevro, lojalności Victry i marzeniu Eo, dziewczyny, która natchnęła mnie, bym szukał w życiu czegoś więcej.

Podziękowania

Bałem się zacząć pisać *Gwiazdę zaranną*.

Miesiącami odwlekałem napisanie pierwszego zdania. Szkicowałem przekroje statków, tworzyłem pieśni Czerwonych i Żółtych, snułem historie rodów, planet i księżyców składających się na dziki świat, na który napotycałem się przypadkiem pięć lat temu, w moim pokoju nad garażem w domu rodziców.

Bałem się nie dlatego, że nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Wiedziałem doskonale, jak ta historia się kończy. Nie byłem jednak pewien, czy wystarczy mi umiejętności, żeby Was tam zabrać.

Brzmi znajomo?

Dlatego zamknąłem się w odosobnieniu. Spakowałem trochę rzeczy, wziąłem buty turystyczne i wyjechałem z mieszkania w Los Angeles do naszego rodzinnego domku letniskowego na smagany wiatrami północno-zachodnim wybrzeżu.

Myślałem, że samotność przyśpieszy proces twórczy; że w oceanicznej ciszy i mgle odnajdę swoją muzę. Mogłem pisać od świtu do zmierzchu. Przechadzać się wśród wiecznie zielonych drzew. Nawiązywać duchowy kontakt z mitotwórcami z zamierzchłej przeszłości. Przy *Czerwonym świetle* to się sprawdziło. Przy *Żółtym synu* również. A przy *Gwieździe zarannej* nie.

Czułem się odcięty od świata, zamknięty w potrzasku przez Darrowa, spętany tysiącem ścieżek, którymi mógł podążać, zdławiony natłokiem myśli i pomysłów. W takim właśnie stanie psychicznym napisałem pierwsze rozdziały. Myślę, że miało to wpływ na ich ostateczny kształt i upiorny, smutny obłęd kryjący się w głębi oczu Darrowa. Nie potrafiłem jednak wyjść poza jego wyratowanie z Attyki.

Dopiero kiedy wróciłem z domku, historia zaczęła przemawiać własnym głosem, a ja zrozumiałem, że Darrow przestał być jej ośrodkiem. Ważniejsi

stali się otaczający go ludzie: rodzina, przyjaciele, ukochane, głosy współbrzmiące z jego głosem i serca bijące w jednym rytmie z jego sercem.

Jak mogłem myśleć o napisaniu takiej książki na odludziu? Bez nasiadówek przy kawie z Tamarą Fernandez (najmądrzejszą nie-siwą osobą, jaką znam), śniadań o świcie z Joshem Crookiem, przy których spiskujemy, jak zawładnąć światem, koncertów w Holywood Bowl z Madison Ainley, wielogodzinnych dyskusji o rzymskiej historii wojskowości z Maksem Carverem, lodowych krucjat z Jarrettem Llewelynem, spotkań z maniaczką *Battlestara* Callie Young i wariackich knowań w towarzystwie Dennisa Strattona?

Przyjaciele są istotą życia. Moi są liczni i szaleni, skłonni do marzycielstwa i skorzy do absurdów. Bez nich byłbym cieniem, a ta książka – pustką zamkniętą między dwiema okładkami. Dziękuję im – wszystkim razem i każdemu z osobna, tym nazwanym i tym niewymienionym z imienia – że dzielą ze mną to cudowne życie.

Każdy prostaczek potrzebuje mądrego czarodzieja, który by go poprowadził. Uważam się za szczęściarza, ponieważ tytan mojego dzieciństwa stał się moim mentorem, gdy miałem lat dwadzieścia kilka. Terry Brooks: dziękuję za wszystkie rady i zachęty. Jesteś najlepszy.

Dziękuję klanowi Phillipsów za to, że zawsze znajdowałem u nich drugi dom, w którym mogłem marzyć na głos. W szczególności dziękuję Joelowi – za to, że pięć lat temu usiadł ze mną na kanapie i z wielkim rozmachem planował rysowanie map do książki, która jeszcze nie powstała. Jesteś niesamowitym gościem i moim prawdziwym bratem, nawet jeśli nie rodzonym. Dziękuję też pozostałej dwójce: Aaronowi, który zmusił mnie do pisanie, i Nathanowi, któremu podoba się wszystko, co napiszę, choć nie zawsze słusznie.

Dziękuję także mojej agentce Hannah Bowman, która wyłowiła *Czerwony świt* z zalewu sentymentalnych bzdurek. Havisowi Dawsonowi za pokierowanie moimi książkami w taki sposób, że doczekały się przekładu na ponad dwadzieścia osiem obcych języków. Timowi Geraldowi Reynoldsonowi za dreszcz, jaki przechodzi mnie, gdy słucham audiobooka w jego wykonaniu. Moim zagranicznym wydawcom za nieustawanie w wysiłkach zmierzających do przetłumaczenia „parszywego dewastatora” albo dowolnych wypowiedzi Sevro na koreański, włoski i inne lokalne narzecza.

Dziękuję niezrównanej ekipie Del Rey: uwierzyli w *Czerwony świt* od razu, gdy tylko wylądował na nich biurkach. Nie mógłbym sobie wymarzyć

lepszego wydawcy. Scott Shannon, Tricia Narwani, Keith Clayton, Joe Scallora, David Moench – dla mnie macie serca Puchonów i odwagę Gryfonów.

Dziękuję moim najbliższym, którzy zawsze podejrzewali, że moje dziwactwo jest jednak atutem, a nie ciężarem. Jestem im wdzięczny, że kazali mi eksplorować lasy i pola zamiast kanałów telewizyjnych. Dziękuję ojcu, który pokazał mi uroki nienadużywania władzy, i matce, która nauczyła mnie radości płynącej z jej właściwego wykorzystywania. Dziękuję też mojej siostrze za niezmordowane prowadzenie strony fanowskiej Synów Aresa, a także za to, że rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

Największe podziękowania należą się mojemu redaktorowi, którym jest Mike „au Telemamus” Braff. Jeżeli przed powstaniem tej książki nie ogarniał jeszcze w pełni rozmiarów mojej neurozy, to teraz już zna prawdę. Nie wielu autorów ma tyle szczęścia, żeby trafić na takiego redaktora jak Mike, który jest pokorny, cierpliwy i skrupulatny – nawet gdy mnie tych przymiotów zabraknie. Fakt, że ta książka trafiła do waszych rąk zaledwie rok po wydaniu *Złotego syna*, to prawdziwy cud, którego sprawcą był Mike. Chylę przed tobą czoło, łaskawy panie.

Dziękuję też wszystkim czytelnikom. Wasza pasja i ekscytacja pozwalają mi wieść życie na moich własnych warunkach, za co jestem Wam dożgonnie wdzięczny. Wasza kreatywność, poczucie humoru i wsparcie płyną z każdej wiadomości, tweeta i komentarza. Spotkania z wami na konwentach, słuchanie waszych historii i rozdawanie autografów to jeden z przywilejów bycia pisarzem. Dziękuję wam, Wyjce, za wszystko, co robicie. Mam nadzieję, że niedługo będziemy mieli okazję zawyć razem.

Był taki czas, gdy myślałem, że napisanie tej książki okaże się niewykonalne. Była jak drapacz chmur, ogromny, ukończony i niezdolnie odległy. Majaczyła prowokacyjnie na horyzoncie. Tylko czy na widok takiego gmaszyska przyjdzie nam do głowy, że wyrosło ot tak, z dnia na dzień? Nie. Widzieliśmy jego szkielet, rojących się na nim robotników i towarzyszące budowie korki uliczne, słyszeliśmy szcęk dźwigów...

Wszystko, co wspaniałe, składa się z krótkich brzydkich chwil, wszystko, co wartościowe, z długich godzin zwątpienia i wielu dni mozolnej harówki. Wszystkie dzieła ludzi, których podziwiamy, wznoszą się na fundamencie wcześniejszych niepowodzeń.

Dlatego bez względu na to, co planujecie, o co walczycie i o czym marzycie – nie ustawajcie w wysiłkach. Świat potrzebuje Waszych drapaczy chmur.

Per aspera ad astra!

Pierce Brown

Przypisy

1. Przełożył Tadeusz Węclewski (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Przełożył Jan Kasprowicz (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. W oparciu o tłumaczenie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Przełożył Maciej Słomczyński (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Przełożył Leon Ulrich (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
6. Przełożył Leon Ulrich (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)